

Barbara Kingsolver

## BIBLIA JADOWITEGO DRZEWA

Barbara Kingsolver mieszkała i pracowała w Europie, Afryce oraz Stanach Zjednoczonych. Jej artykuły z dziedziny kultury, polityki i historii naturalnej ukazywały się w magazynach „The New York Times”, „The Nation”, „National Geographic” i innych. Jest autorką takich książek, jak: *Pigs in Heaven*, *Animal Dreams*, *The Bean Trees* oraz zbioru krótkich opowiadań i poezji — *High Tide in Tucson*.

Biblia jadowite go drzewa to doskonała opowieść o Afryce. „Opisane tutaj postacie i wydarzenia historyczne są na tyle autentyczne, na ile potrafiłam je oddać z pomocą źródeł historycznych, z całym ich fantastycznym zróżnicowaniem”.

Barbara Kingsolver

## BIBLIA JADOWITEGO DRZEWA

Tłumaczył Tomasz Bieroń

Tytuł oryginału THE POISONWOOD BIBLE

Dla Frances

## NOTA AUTORKI

Książka ta jest fikcją literacką. Jej główni bohaterowie są dziełem wyobraźni i o ile mi wiadomo, nie łączą ich żadne więzy pokrewieństwa z osobami istniejącymi na tej ziemi. Jednak Kongo, w którym ich umieściłam, odpowiada rzeczywistości. Opisane tutaj postacie i wydarzenia historyczne są na tyle autentyczne, na ile potrafiłam je oddać z pomocą źródeł historycznych, z całym ich fantastycznym zróżnicowaniem.

Ponieważ nie byłam w stanie pojechać do Zairu, kiedy zbierałam materiały i pisałam tę powieść, oparłam się na wspomnieniach, podróżach po innych regionach Afryki, jak również relacjach wielu ludzi na temat naturalnej, kulturalnej i społecznej historii Konga/Zairu. Różnorodność i wartość tych źródeł jest tak duża — dla mnie i dla każdego czytelnika, który chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o faktach leżących u podłoża fikcji — że przytoczyłam wiele z nich w bibliografii zamieszczonej na końcu książki. Najbardziej pomocna była znakomita praca Jonathana Kwitny'ego na temat postkolonialnej historii Zairu, *Endless Enemies*, która nadała kształt mojemu pragnieniu, aby napisać o tym książkę. Stale powracałam do tego dzieła, z którego zaczerpnęłam ogólny obraz i wiele drobnych szczegółów. Wiele skorzystałam też z następujących prac: Janheinz Jahn, *Muntu*; Chinua Achebe, *Things Fall Apart* (powieść); Alan P. Merdam, *Congo: Background of Conflict*; G. Heinz i H. Donnay, *Lumumba: The Last Fifty Days*. Nie byłabym w stanie napisać tej książki bez dwóch wyjątkowych źródeł inspiracji literackiej, mniej więcej równych rozmiarów: *Dictionnaire Kikongo-Francais* K.E. Łamana i Biblii Króla Jakuba.

Znalazłam również oparcie w moim aktywnym kręgu przyjaciół — niektórzy z nich obawiali się chyba, że nie doczekają chwili, kiedy wreszcie położę przed nimi ostateczną wersję opasłego rękopisu. Steven Hopp, Emma Hardesty, Frances Goldin, Terry Karten, Sydelle Kramer i Lilian Lent

prze czytali i zgłosili wiele pożytecznych uwag do wielu z tych wersji. Takt, przyjaźń i praktyczna pomoc Emmy Hardesty pozwoliły mi poświęcić się w całości pisaniu. Annę Mairs i Erie Peterson pomogli mi zweryfikować szczegóły dotyczące gramatyki języka kikongo i kongijskiego życia. Jim Malusa i Sonya Norman udzieli mi porad, które pozwoliły wykrystalizować się ostatecznej wersji książki. Kate Turkington mobilizowała mnie do pisania z Południowej Afryki. Mumia Abu-Jamal przeczytał i skomentował rękopis w więzieniu; jestem wdzięczna za jego inteligencję i odwagę.

Szczególne dzięki składam Virginii i Wendellowi KingsoWerom, za to, że pod każdym względem różnią się od rodziców, których stworzyłam do roli narratorów tej opowieści. Oboje pracowali w publicznej służbie zdrowia, a współczucie i ciekawość przywiodły ich do Konga. Zabrali mnie do kraju pełnego cudowności, nauczyli mnie uważnie obserwować i wcześniej posłali mnie w drogę, bym spenetrowała to wielkie, zmienne terytorium pomiędzy faryzeuszostwem a poczuciem sprawiedliwości.

Prawie trzydzieści lat czekałam na mądrość i dojrzałość niezbędne do napisania tej książki. To, że powstała, nie dowodzi, że posiadałam te cechy, lecz jest świadectwem niezłomnej wiary i nieustrzonego dodawania mi odwagi przez mojego wyjątkowego męża, który zawsze gotów był rozmawiać ze mną do białego rana i potrafił błyskawicznie dostarczyć mi całe sterty egzotycznych materiałów źródłowych. Dziękuję ci, Steven, za nauczenie mnie, że nie ma sensu czekać na rzeczy, które ledwo majaczą na horyzoncie, i za wiarę, że duch przygody zazwyczaj wystarczy.

## KSIĘGA I GENESIS

I błogosławi! im Bóg i rzeki: Roście i mnożcie się, i napelniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną: i panujcie nad rybami morskimi, i nadptastwem powietrznem, i nade wszemi zwierzęty, które się ruchają na ziemi.

Genesis 1,28\*

Orleanna Price

Sanderling Island, Georgia

Wyobraź sobie ruinę tak dziwną, że nie mogła się nigdy wydarzyć.

Najpierw przedstaw sobie las. Chcę, żebyś była jego sumieniem, oczami na drzewach. Drzewa to słupy śliskiej, moregowatej kory, podobne do muskularnych, przerośniętych ponad wszelką miarę zwierząt. Każda przestrzeń pulsuje życiem: delikatne, jadowite ropuchy pomalowane w szkieletowate barwy wojenne, szczepione w kopulacji, wydzielają swe cenne jajka na ociekające

\* Jeżeli nie zaznaczono inaczej, cytaty biblijne wg: Biblia to jest Księgi Starego i Nowego Testamentu, z łacińskiego na język polski przełożone przez ks. D. Jakóba Wujka, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1950. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

liście. Liany duszą swych bliskich w wiecznej walce o światło słoneczne. Oddech małp. Ślizg brzucha węża na gałęzi. Maszerująca gęsiego armia mrówek wygryza z mamuciego drzewa jednakowe okruchy i wlecze w ciemności do swej żarłocznej królowej. W odpowiedzi chór młodych pędów wyciąga szyje ze spróchniałych pniaków drzew, wysysa życie ze śmierci. Ten las zjada sam siebie i żyje wiecznie.

Ścieżką w dole idą gęsiego kobieta i cztery dziewczynki, wszystkie w szmizjerkach. Widziane z góry są bladymi, skazanymi na pożarcie pąkami, budzącymi nieodparte współczucie. Bądź ostrożna. Później zdecydujesz, na ile współczucia zasługują. Zwłaszcza matka — spójrz, jak je prowadzi, bladooka, stanowcza. Ciemne włosy ma przewiązane potarganą chustką z koronki, a krzywiznę jej zuchwy rozświetlają kolczyki ze sztucznych pereł, jakby te

reflektory z innego świata mogły pokazać drogę. Córki maszerują za nią, cztery dziewczynki wciśnięte w ciała naprężone jak cięciwy, gotowe wystrzelić z siebie kobiecym sercem każde na innej drodze do chwały lub potępienia. Nawet teraz wypierają się pokrewieństwa jak koty w worku: w środku dwie blondynki —

jedna niska i gwałtowna, druga wysoka i władcza — na zewnątrz po jednej brunetce-bliźniaczce, bliźniaczka na czele rwie wygłodniałym krokiem do przodu, a ta zamykająca tyły zamiata ziemię rytmicznym utykaniem. Jednak dosyć sprawnie przeskakują cuchnąco zgniłe pnie, które upadły w poprzek ścieżki. Matka z wdziękiem rozgarnia ręką kolejne zasłony pajęczyn. Wygląda, jakby dyrygowała orkiestrą symfoniczną. Po ich przejściu zasłony zamykają się. Pająki powracają do swych morderczych praktyk.

Nad brzegiem strumienia matka rozdaje mało wymyślny prowiant, który składa się ze zbitego w gęstą masę, kruszącego się chleba z odrobiną rozgniecionych orzechów arachidowych i plasterków gorzkiej figi rajskiej. Po miesiącach życia w umiarkowanym głodzie dzieci nie pamiętają już o tym, żeby narzekać na jedzenie. Połykają w milczeniu, strzepują okruszki i dają się unieść nurtowi w dół strumienia, żeby popływać w bardziej

wartkiej wodzie. Matka zostaje sama w zagajniku olbrzymich drzew koło rozlewiska. To miejsce jest dla niej równie znajome jak salon w domu życia, o jakim nigdy nie śniła. Odpoczywa niepewnie w ciszy, patrzy, jak mrówki kłębią się czarno wokół okruszków lunchu, który już na początku wydawał się niewyobrażalnie skąpy. Zawsze jest ktoś bardziej głodny niż jej własne dzieci. Matka podwija sukienkę pod nogi i ogląda swe biedne, nieopierzone stopy leżące w trawiastym gnieździe na skraju wody — dwa ptaki, które nie są w stanie stamtąd odfrunąć, uciec od nadchodzącej—ma tego świadomość—katastrofy. Może stracić wszystko: siebie, a co gorsza, swoje dzieci. A co

najgorsze: ciebie, jej jedyny sekret. Jej ulubieńca. Czy jakakolwiek matka potrafiłaby żyć, czując się winna?

Jest nieludzko sama. A potem, nagle, przestaje być sama. Po drugiej stronie wody stoi piękne zwierzę. Podnoszą wzrok znad swego życia, kobieta i zwierzę, zdumione, że znajdują się w tym samym miejscu. Zwierz zastyga, nasłuchuje uszami z czarnymi czubkami. Grzbiet, purpurowobrązowy w przytłumionym świetle, opada w dół od łagodnego wzniesienia karku. Cienie lasu kładą się liniami na bokach prążkowanych w białe pasy. Sztywne przednie łapy są rozstawione na boki jak szczudła, ponieważ zwierz został złapany w chwili sięgania w dół po wodę. Nie zdejmując z niej oczu, szarpie nieznacznie kolanem, potem karkiem, gdzie dokucza mu mucha. Wreszcie przewycięża zaskoczenie, odwraca wzrok, pije. Matka czuje dotyk jego długiego, zwiniętego w trąbkę języka na skórze wody, jakby zwierz pił jej z ręki. Głowa trochę podskakuje, a razem z nią małe, aksamitne rogi, od tyłu białe jak młode liście.

To trwało zaledwie chwilę, cokolwiek to było. Jeden wstrzymany oddech? Popołudnie mrówki? To było krótkie, tyle mogę powiedzieć na pewno, bo chociaż minęło wiele lat, odkąd moje dzieci rządziły moim życiem, matka pamięta, ile trwały okresy ciszy. Nigdy nie miałam więcej niż pięć minut niezmaconego spokoju. Oczywiście to ja byłam tą kobietą nad brzegiem strumienia. Orleanna Price, baptystka po mężu, matka dzieci żyjących

i nieżyjących. Tylko ten jeden raz samiec okapi przyszedł nad strumień i tylko ja go widziałam.

Nazwę tego, co widziałam, poznałam dopiero parę lat później w Atlancie, kiedy na jakiś czas zagrzebałam się w bibliotece publicznej, sądząc, że każde pęknięcie na duszy można zalepić za pomocą książki. Przeczytałam, że samiec okapi jest mniejszy od samicy i bardziej płochliwy oraz że ponad to niewiele o nich wiadomo. Przez setki lat w dolinie rzeki Kongo ludzie mówili o tym

pięknym, dziwnym zwierzęciu. Kiedy usłyszeli o nich europejscy odkrywcy, uznali je za mityczne: jednorożec. Jeszcze jedna bajka, która wyszła z mrocznej krainy zatrutych strzał i przekłutych kośćmi warg. Potem, w latach dwudziestych XX stulecia, kiedy w innych stronach świata mężczyźni zrobili sobie przerwę w wojowaniu, żeby udoskonalić samolot i samochód, wzrok białego człowieka nareszcie spoczął na okapi. Wyobrażam go sobie, jak szpieguje tego zwierza przez lornetkę, bierze go na muszkę, jakby należał do niego. Cała ich rodzina mieszka obecnie w nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej, martwa i wypchana, z powściągliwymi szklanymi oczami. Nauka uznała zatem okapi za realnie istniejące zwierzę. Tylko tyle, realnie istniejące, nie mityczne. Taka koniowata gazela, spokrewniona z żyrafą.

Ale przecież ja nie jestem taka głupia, i ty też. Te szklane muzealne spojrzenia nie mają nic wspólnego z tobą, moim nie oswojonym ulubionym dzieckiem, tak dzikim jak dzień jest długi. Twoje jasne oczy patrzą na mnie nieustannie, w imieniu żywych i umarłych. Więc zajmij miejsce. Spójrz na to, co się wydarzyło z każdej strony i rozważ wszystkie inne drogi, jakimi to mogło się potoczyć. Wyobraź sobie nawet, że Afryka nie została podbita. Wyobraź sobie tych pierwszych portugalskich poszukiwaczy przygód, którzy zbliżają do wybrzeża, lustrują skraj dżungli swymi mosiężnymi lunetami. Wyobraź sobie, że zstąpił na nich cud zgrozy lub czci, skutkiem czego opuścili lunety, odwrócili się, przebrasowali żagle, odpłynęli. Wyobraź sobie, że wszyscy, którzy przybyli później, postąpili tak samo. Jaka byłaby dzisiaj Afryka? Wszystko, co przychodzi mi do głowy, to owo inne okapi, to, w które niegdyś wierzyli. Jednorożec, który potrafił spojrzeć ci w oczy.

Roku pańskiego 1960 małpa pędziła przez przestrzeń kosmiczną w amerykańskiej rakiecie, młodzieniec nazwiskiem Kennedy wysadził z siodła paternalistycznego generała, na którego mówiono Ike, a cały świat obracał się wokół osi zwanej Kongiem. Małpa szybowała w górze, a w bardziej

przyziemnych sferach mężczyźni targowali się za zamkniętymi drzwiami o skarb Konga. Lecz ja tam byłam. Na samym czubku tej szpilki.

Wyrzuciły mnie tam fale pewności siebie mego męża i przybój potrzeb moich dzieci. Taki miałam pretekst, choć żadne z nich mnie aż tak bardzo nie potrzebowało. Moje pierworodne i mała od początku próbowały zrzucić mnie z siebie jak zbędną skorupę, a bliźniaczki urodziły się z darem przenikliwego wewnętrznego widzenia, które pozwalało im patrzeć wskroś mnie na bardziej interesujące rzeczy. A mój mąż, cóż, strzeż nas, Panie Boże, przed baptystowskimi pastorami. Wysłałam za mężczyznę, który chyba nie był w stanie mnie kochać. Zaszkodziłoby to jego umiłowaniu całej ludzkości. Pozostałam jego żoną, ponieważ była to jedyna rzecz, którą potrafiłam robić każdego dnia. Moje córki mawiały: „Widzisz, mammo, nie miałaś swojego własnego życia”.

Bzdura. Ma się tylko swoje własne życie.

Widziałam rzeczy, o których nigdy się nie dowiedzą. Widziałam rodzinę ptaków tkaczy, która przez wiele miesięcy budowała gniazdo, aż wreszcie stało się ono taką monstrualną kupą patyków, potomstwa i nonsensu, że całe drzewo runęło z hukiem pod jego ciężarem. Nigdy nie powiedziałam o tym mężowi ani dzieciom. Tak więc sama widzisz. Mam swoją historię, która na starość coraz bardziej mi ciąży. Teraz, kiedy każda zmiana pogody świszczy bólem w moich kościach, wiercę się w łóżku, a wspomnienia wzlatają z bzykiem jak muchy z padliny. Chciałabym się ich pozbyć, lecz robię to ostrożnie, wybieram, które można bezpiecznie ekshumować. Chcę, żebyś uznała mnie za niewinną. Tak samo mocno, jak tęskniłam za twoim małym, odeszłym ciałkiem, teraz chcę, żebyś przestała głaskać mnie wewnątrz ramion opuszkami palców. Przestań szeptać. Twoja ocena będzie dla mnie wyrokiem życia lub śmierci, ale najpierw pozwól mi powiedzieć, kim jestem. Pozwól mi powiedzieć, że Afryka i ja przez jakiś czas dotrzymywałyśmy sobie towarzystwa, a potem nasze drogi się



rozeszły, jakbyśmy obie żyły w nieudanych związkach. Albo inaczej, powiedzmy, że zaraziłam się Afryką jak rzadką chorobą, z której nie do końca wyzdrowiałam. Może nawet wyznam, że cwałowałam z jeźdźcami apokalipsy, lecz wciąż się upieram, że byłam tylko zniewolonym świadkiem. Czym jest żona zdobywcy, jeśli nie samym podbojem? A skoro już o tym mowa, to kim jest on sam? Kiedy jedzie pokonać nietknięte plemiona, nie uważasz, że one padają na ziemię z pożądania przed tymi błękitnymi jak niebo oczami? Że pragną tych koni, tych strzelb? Tak właśnie odkrzykujemy historii, zawsze, zawsze. Nie byłam sama, zbrodnie popełniano we wszystkich zakątkach kontynentu, a ja miałam swoje gęby do wykarmienia. Nie wiedziałam. Nie miałam swojego własnego życia.

Ty powiesz, że miałam. Powiesz, że przeszłam przez Afrykę z rękami nie skutymi kajdanami, a teraz jestem jeszcze jedną duszą, która chodzi na wolności w białej skórze, nosi jakieś włókno ukradzionych dóbr: bawełnę lub diament, a przynajmniej wolność, dostatek. Niektórzy z nas wiedzą, jak doszliśmy do fortuny, a niektórzy nie wiedzą, ale i tak wszyscy ją nosimy. Jest tylko jedno pytanie, które warto teraz zadać: jak zamierzamy z tym żyć?

Znam ludzi i ich sposoby myślenia. Większość z nich przemknie od kołyski do grobu z sumieniem czystym jak śnieg. Łatwo jest wytykać palcem innych ludzi, wygodnie dla nas nieżywych, zaczynając od tych, którzy jako pierwsi kopali łopatami błoto nad brzegami rzek, żeby poczuć zapach źródła. Weźmy „doktora Livingstone'a, jak tuszę” — czyż nie był z niego łajdak? On i wszyscy wyzyskiwacze, którzy później porzucili Afrykę tak jak mąż porzuca żonę, zostawiają ją z nagim ciałem zwiniętym dokoła wyeksploatowanej kopalni jej łona. Znam ludzi. Większość z nich nie ma realistycznego wyobrażenia o cenie czystego jak śnieg sumienia.

Nie różniłabym się od innych, gdybym nie opłaciła mojego skromnego udziału krwią. Bezmyślnie deptałam Afrykę, maszerując od natchnionych przez

Boga początków naszej rodziny aż po nasz straszny koniec. Uważam, że pomiędzy początkiem a końcem, pośród tych wszystkich parujących nocy i ciemno zabarwionych dni, pachnących ziemią, było jakieś solidne jądro nauki. Czasem prawie potrafię ją sformułować. Gdybym potrafiła, rzuciłabym ją innym, niestety, chyba ze szkodą dla ich spokoju ducha. Zwaliłabym tę straszną historię z ramion, rozplaszczyła, naszkicowała nasze zbrodnie jak nieudany plan bitwy i sypnęła tym w twarz moim bliźnim, którzy już mają mnie dosyć. Ale Afryka przesuwa mi się pod rękami, nie chcąc uczestniczyć w nieudanych związkach. Odmawia jakiegokolwiek przyporządkowania, chce być tylko sobą: królestwem zwierząt, które bruździ w królestwie chwały. A zatem zajmij miejsce. Nie zostawiaj nawiedzanej przez duchy starej babie nic, czym mogłaby zakłócić spokój. Nic prócz jej własnego życia. Nie dążyliśmy do niczego więcej jak zapanowanie nad wszystkimi stworzeniami, które żyją na tej ziemi. I stało się, że zstąpiliśmy do tej krainy, którą uważaliśmy za nieukształtowaną, w której tylko ciemność unosiła się nad wodami. Teraz śmiejesz się, dzień i noc, ogryzając moje kości. Ale co innego mogliśmy myśleć? Tylko że wszystko zaczynało się i kończyło na nas. Co wiemy, nawet teraz? Spytaj dzieci. Spójrz, na kogo wyrosły. Możemy mówić tylko o rzeczach, które zabrałyśmy ze sobą, i o rzeczach, które wywiozłyśmy.

## RZECZY, KTÓRE ZABRAŁYŚMY ZE SOBĄ

Kilanga, 1959

Lea Price

Przybyłyśmy z Bethlehem, w Georgii, niosąc do dżungli torebki ciasta w proszku firmy Betty Crocker. Moje siostry i ja liczyłyśmy na to, że będziemy miały po jednych urodzinach podczas tej dwunastomiesięcznej misji.

— A w Kongo na pewno nie mają Betty Crocker — przewidywała nasza matka.

— Tam, gdzie się wybieramy, w ogóle nie będzie kupujących ani sprzedających — poprawił ją mój ojciec. Jego ton sugerował, że matka nie uchwyciła istoty naszej misji i że jej martwienie się o to, czy będziemy miały ciasto w proszku od Betty Crocker, stawia ją w jednym rzędzie z brzęczącymi srebrną monetą grzesznikami, którzy zdenerwowali Jezusa, aż w końcu się wściekł i wywalił ich z kościoła. — Tam, gdzie się wybieramy — powiedział, żeby nie pozostawiać żadnych wątpliwości — nie będzie nawet supermarketów Piggly Wiggly. — Słysząc było, że ojciec poczytuje to na korzyść Konga. Przeszły mnie ciarki, kiedy tylko spróbowałam to sobie wyobrazić.

Nasza matka oczywiście nie śmiała mu się sprzeciwić, ale kiedy zrozumiała, że nie ma odwrotu, zaczęła gromadzić w pokoju gościnnym wszystkie doczesne rzeczy, której jej zdaniem były nam potrzebne, żeby przetrwać.

— Absolutne minimum, dla moich dzieci — deklarowała półgłosem przez cały dzień. Oprócz ciasta w proszku zapakowała kilkanaście puszek pikantnej szynki Underwood; lusterko Rachel, zrobione z plastiku imitującego kość słoniową, z wizerunkiem pań w upudrowanych perukach, napastrzek ze stali nierdzewnej, ostre nożyczki; kilkanaście ołówków H2, całe góry plastrów, proszki na bóle kości, proszki przeciwwymiotne, termometr do mierzenia gorączki.

I oto teraz mamy wszystkie te malownicze skarby bezpiecznie przetransportowane i zmagazynowane na czarną godzinę. Nie ma tylko proszków na bóle kości, zużytych przez matkę, i napastrka, który wpadł Ruth May do wychodka. Ale już teraz nasze zapasy wydają się symbolizować miniony świat: odcinają się jak jasne kotyliony w naszym kongijskim domu, na tle innych rzeczy, które w większości mają błotnisty kolor. Kiedy patrzę na nie ze światłem pory deszczowej w oczach i pyłem Konga w zębach, z trudem

potrafię sobie przypomnieć miejsce, w którym te przedmioty były czymś pospolitym, zwyczajnym żółtym ołówkiem, zwyczajną

zieloną buteleczką aspiryny pośród innych zielonych buteleczek wysoko na półce.

Matka starała się przewidzieć każdą ewentualność, łącznie z głodem i chorobą. (Ojciec, ogólnie biorąc, aprobuje przewidywanie, ponieważ jest to umiejętność, którą Bóg obdarzył tylko człowieka). Załatwiła spory zapas antybiotyków od naszego dziadka, doktora Buda Whartona, który cierpi na starcze zniedołężnienie i uwielbia spacerować nago, ale dwie rzeczy potrafi robić doskonale: wygrywać w warcaby i wypisywać recepty. Zabrałyśmy również żeliwną patelnię, dziesięć opakowań drożdży piekarskich, sekator, ostrze topora, składaną wojskową łopatkę i mnóstwo innych rzeczy. Takie było brzemię próżnostek cywilizacji, które czułyśmy się zobowiązane dźwigać ze sobą.

Przetransportowanie choćby tego „absolutnego minimum” okazało się ciężką próbą. Kiedy uważałyśmy się za w pełni przygotowane do podróży, grom z jasnego nieba: dowiedziałyśmy się, że PanAm pozwala przewieźć przez Atlantyk tylko dwadzieścia kilo. Dwadzieścia kilo bagażu na osobę, ani grama więcej. Jakże byłyśmy zdesperowane tą smutną nowiną. Kto by pomyślał, że nowoczesny transport epoki odrzutowej narzuca jakieś limity? Kiedy zsumowałyśmy razem nasze dwudziestokilowe przydziały, łącznie z przydziałem Ruth May — która na szczęście liczyła się jako cała osoba, choć była mała — przekroczyłyśmy limit o dwadzieścia siedem kilo. Ojciec omiółł wzrokiem naszą rozpacz, jakby od początku się tego spodziewał, zostawił rozwiązanie tego problemu żonie i dzieciom, sugerując tylko, byśmy pomyślały o trawach polnych, które nie potrzebują lusterka ani tabletek aspiryny.

— Ale oczywiście trawy polne potrzebują Biblii i jego przeklętej łopatkii do kopania latryn — mruknęła Rachel, kiedy jej ukochane przybory toaletowe jeden po drugim wyleciały z walizki. Rachel nie potrafi za dobrze uchwycić sensu Pisma Świętego.

Choć zastosowałyśmy się do sugestii ojca, tylko w niewielkim stopniu zbliżyło nas to, celu nawet po usunięciu upiększających sprzętów Rachel. poczułyśmy się zapędzone w kozi róg,

i nagle — Alleluja! W ostatniej chwili przyszedł ratunek. Na skutek przeoczenia (a może ze zwykłej uprzejmości) nie wazą pasażerów. Pomysł ten podsunął nam Związek Misyjny Południowych Baptystów — nie mówiąc nam wprost, abyśmy naruszyły przepis o dwudziestu kilogramach — i wychodząc od tej sugestii, zbudowałyśmy nasz plan. Wyruszyłyśmy do Afryki, niosąc cały nadbagaż na sobie, pod ubraniami. Pod którymi miałyśmy dalsze ubrania. Moje siostry i ja wyszłyśmy z domu w sześciu warstwach bielizny, dwóch halkach i kamizelce każda, na wierzch płaszcz na każdą pogodę. (Encyklopedia przestrzegała, żeby spodziewać się deszczu). Inne dobra, narzędzia, pudełka proszku do pieczenia ciasta i tak dalej, powciskałyśmy do kieszeni i za ściągacze, opancerzając się dźwięczną zbroją.

Pod sam płaszcz wszystkie ponakładałyśmy nasze najlepsze sukienki, żeby zrobić dobre wrażenie. Rachel miała na sobie swój wielkanocny kostium z zielonego lnu, którym tak się pyszniła, a swe długie, białawe włosy ściągnęła do tyłu szeroką różową opaską. Rachel ma piętnaście lat — albo, jak ona woli mówić, idzie jej na szesnasty — i dba tylko o pozory. Na drugie imię ma Rebeccah, więc czuje się potomkinią Rebeki, dziewicy przy studni, która w Księdze Rodzaju określona jest jako „dzieweczka zbyt sliczna”, a kiedy sługa Abrahama zobaczył ją nad wodą, natychmiast zaproponował jej złote kolczyki na prezent ślubny. (Ponieważ jest ode mnie o rok starsza, nie czuje się spokrewniona z biedną biblijną Rachel, młodszą siostrą Lei, która musiała

czekać tyle lat na zamążpójście). Siedząc obok mnie w samolocie, nieustannie trzepała swymi rzesami białego królika i poprawiała jasnoróżową opaskę, chcąc zwrócić moją uwagę na to, że potajemnie polakierowała sobie paznokcie pod kolor. Zerknęłam na ojca, który siedział pod oknem po drugiej stronie całego rzędu zajmowanego przez Price'ów. Za jego oknem wisiała krwistoczerwona kula słońca, która rozpalała mu oczy, gdy wypatrywał na horyzoncie Afryki. Na całe szczęście dla Rachel miał na głowie tyle innych rzeczy. Chociaż Rachel ma już piętnaście lat, zdarzało się jej brać od ojca w skórę za lakierowanie paznokci. Ale to cała

Rachel, musi dołożyć sobie jeszcze jeden grzech przed wyjazdem z cywilizowanego świata. Uważam Rachel za materialistkę i osobę nudną, toteż patrzyłam przez okno, za którym malowały się ciekawsze widoki. Ojciec uważa makijaż i lakier do paznokci za sygnały, że dziewczyna wyrośnie na prostytutkę, tak samo jak przekłute uszy.

Miał też rację co do traw polnych. Gdzieś nad Atlantykiem sześć par bielizny i ciasto w proszku zaczęło być poważnym krzyżem do dźwigania, a za każdym razem, gdy Rachel pochylała się, żeby pogrzebać w torebce, drugą ręką przytrzymywała żakiet, który mimo to podzwaniał z lekka. Już nie pamiętam, jakie tam schowała narzędzie gospodarstwa domowego. Ignorowałam ją, więc gawędziła głównie z Adą — która też ją ignorowała, ale ponieważ Ada nigdy z nikim nie rozmawia, mniej rzucało się to w oczy.

Rachel uwielbia naigrawać się z całego stworzenia, ale przede wszystkim z naszej rodziny.

— Ty, Ade! — szepnęła do Ady. — A gdybyśmy tak poszły teraz na program Arta Linklettera?

Wbrew sobie roześmiałam się. Pan Linkletter lubi zaskakiwać panie, zabierając im torebki i pokazując całą ich zawartość telewizjom, którzy

uważają komiczne, jeśli zdarzy mu się wyciągnąć otwieracz do konserw albo zdjęcie Herberta Hoovera. Gdyby tak potrząsnął nami i wypadłyby wszystkie sekatory i topór... Ta myśl wprawiła mnie w zdenerwowanie. Czułam się też klaustrofobicznie i było mi gorąco.

Nareszcie, nareszcie wymaszerowałyśmy jak bydło z samolotu i po schodkowej rampie zstąpiłyśmy w skwar Leopoldville. Po zejściu na pas nasza mała siostrzyczka z kręconymi blond włosami, Ruth May, pochyliła się do przodu i zemdląła, padając na matkę.

Odzyskała przytomność bardzo szybko na lotnisku, które cuchnęło moczem. Byłam podniecona i musiałam iść do ubikacji, ale nie miałam pojęcia, gdzie dziewczyna ma szukać tego przybytku w takim miejscu. W jasnym świetle na zewnątrz powiewały duże liście palmowe. Tłumy ludzi pędziły w jedną i drugą stronę.

Lotniskowa policja nosiła koszule w kolorze khaki z dodatkowymi metalowymi guzikami i — uwierzcie mi — pistolety. Gdziekolwiek się spojrzało, maleńkie, ciemne staruszki wlokły koszyki pełne przywędłych warzyw. Także kury. Koło drzwi domów czyhały bandy dzieci. Na widok naszej białej skóry natychmiast rzucały się ku nam i żebrały po francusku: Cadeau, cadeau? Podniosłam do góry ręce, aby pokazać, że nie przywiozłam ze sobą absolutnie żadnych prezentów dla afrykańskich dzieci. Może ludzie po prostu chowają się za drzewem i kucają, może stąd ten odór, zaczynałam sobie myśleć.

W tej samej chwili z tłumu wyszło małżeństwo baptystów i uścisnęło nam dłonie. Nazywali się dosyć osobliwie: Under-down, wielebny Underdown i pani Underdown. Przyszli po to, żeby przeprowadzić nas przez kontrolę celną i porozmawiać po francusku z mężczyznami w mundurach. Ojciec dał im wyraźnie do zrozumienia, że doskonale poradzilibyśmy sobie sami, ale jesteśmy im wdzięczni za ich życzliwość. Mówił to takim uprzejmym tonem, że

Underdownowie nie zdali sobie sprawy, iż jest wkurzony. Dalej robili zamieszanie, jakbyśmy byli starymi znajomymi, i dali nam w prezencie moskitierę, całe jej naręcza, wlokące się bez końca jak bukiet od namolnego adoratora w ogólniaku.

Kiedy stałyśmy tam, trzymając otrzymaną w darze moskitierę i pocąc się przez wszystkie warstwy garderoby, oni raczyli nas informacjami o naszym przyszłym domu, Kilandze. O, mieli bardzo dużo do powiedzenia, ponieważ mieszkali tam kiedyś ze swymi chłopcami i zapoczątkowali to wszystko, szkołę, kościół i tak dalej. W pewnym okresie Kilanga była regularną misją z czterema amerykańskimi rodzinami i lekarzem, który przyjeżdżał raz w tygodniu. Teraz wszystko to podupadło, powiedzieli. Nie ma już lekarza, a sami Underdownowie musieli się przenieść do Leopoldville, aby zapewnić dzieciom namiastkę wykształcenia — o ile można to w ogóle nazwać wykształceniem, powiedziała pani Underdown. Innym misjonarzom w Kilandze już dawno pokończyły się kadencje. A zatem mieliśmy tam być tylko my i służba domowa, jaką uda nam się zatrudnić. Ostrzegali nas,

żebyśmy nie spodziewali się zbyt wiele. Serce tłukło się we mnie jak oszalałe, bo spodziewałam się wszystkiego: kwiatów tropikalnych, ryczących dzikich zwierząt. Królestwo Boże w swej czystej, pierwotnej chwale.

Potem, kiedy ojciec z zapalem wyjaśniał coś Underdownom, nagle wsadzili nas do maleńkiego samolotu i zostawili nas. Lecieliśmy tylko my i pilot, który poprawiał sobie słuchawki pod hełmem. Zupełnie nas ignorował, jakbyśmy były zwykłym towarem. Siedziałyśmy jak zmęczone panny młode udrapowane metrami białego welonu, odrętwiałe od straszego hałasu silnika samolotu, który prawie ocierał się o wierzchołki drzew. Wypompowane — jak mawiała moja matka. „Słoneczko, uważaj, żebyś się nie potknęła, widać, że jesteś wypompowana”. Pani Underdown rozwodziła się ze śmiechem nad naszym, jak to określiła, uroczym południowym akcentem. Próbowała nas nawet



przedrzeźniać. Poczułam się zawstydzona naszymi prostymi wyrażeniami i przeciąganiem samogłosek, podczas gdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mówię z jakimś akcentem, chociaż oczywiście zdaję sobie sprawę, że brzmimy zupełnie inaczej od Jankesów w radio i TV. Miałam o czym rozmyślać, kiedy siedziałam w tym samolocie, a tak nawiasem mówiąc, wciąż chciało mi się sikać. Ale wszystkie byłyśmy już wtedy oszołomione i milczące, przyzwyczajaliśmy się nie zajmować więcej miejsca na siedzeniu, niż nam się uczciwie należało.

W końcu wylądowaliśmy z podskokami na polu wysokiej żółtej trawy. My wszystkie wyskoczyłyśmy z naszych siedzeń, ale ojciec, ze względu na swą pokąźną posturę, nie mógł stanąć wyprostowany w samolocie, tylko zgarbił się jak staruszek. Zmówił szybką modlitwę:

— Ojcze niebieski, proszę, uczyni mnie skutecznym narzędziem Twojej nieomyślnej woli tu w belgijskim Kongu. Amen.

— Amen! — odpowiedziałyśmy, a potem wyprowadził nas przez owalne drzwiczki na światło.

Przez moment stałyśmy, mrugając, wpatrzone przez kurz na setkę ciemnoskórych mieszkańców wioski, szczupłych i milczących, lekko rozkołysanych jak drzewa. Zostawiłyśmy Georgię w środku rozkwitającego brzoskwiniami lata, a teraz stałyśmy w zadziwiającej mgiełce, suchej i czerwonej, która nie kojarzyła się z żadną określoną porą roku. We wszystkich tych warstwach ubrania, które miałyśmy na sobie, musiałyśmy przypominać rodzinę Eskimosów, która spadła z nieba do dżungli.

Ale to było nasze brzemię, ponieważ potrzebowałyśmy zabrać tam ze sobą tak dużo rzeczy. Każda z nas przybyła obarczona jakimś ważnym przedmiotem: młotkiem do wbijania gwoździ, baptystowskim śpiewnikiem, każdy wartościowy przedmiot zajął miejsce czegoś frywolnego, co miałyśmy

siłę woli zostawić w domu. Nasza podróż miała się okazać wielkim ćwiczeniem z umiaru. Nasz ojciec oczywiście przywoził słowo Boże — które na szczęście nic nie waży.

Ruth May Price

Bóg mówi, że Afrykanie to potomkowie Chama. Cham był najgorszym z trzech synów Noego: Sem, Cham i Jafet. Każdy pochodzi w swoim drzewie geologicznym od tej trójki, ponieważ Bóg zrobił wielką powódź i potopił wszystkich grzeszników, ale Sem, Cham i Jafet wsiedli na łódkę i się uratowali.

Cham był najmłodszy, tak jak ja, i był niedobry. Czasami ja też jestem niedobra. To się stało, kiedy wszyscy zeszli z arki i wypuścili zwierzęta. Któregoś dnia Cham znalazł swego ojca Noego pijanego jak świnia na podłodze namiotu i uznał to za najlepszy dowcip sezonu. Dwaj pozostali bracia przykryli Noego kocem, ale Chamowi pękły portki ze śmiechu. Kiedy Noe się obudził, bracia Chama wypaplali mu wszystko i Noe przeklął wszystkie dzieci Chama, które miały na zawsze pozostać niewolnikami. Dlatego zrobili się czarni.

U nas w Georgii mają swoją własną szkołę, żeby nie przyłazili tam, gdzie uczą się Rachel, Lea i Ada. Leah i Adah są dziećmi szczególnie uzdolnionymi, ale muszą chodzić do tej samej szkoły

co wszyscy. Ale nie dzieci kolorowe. Pastor w kościele powiedział, że są od nas inni i muszą się trzymać osobno. Jimmy Crow tak mówi, a on ustala prawa. Nie przychodzą też do restauracji White Castle, gdzie mama zabiera nas na coca-colę, ani do zoo. Oni mogą przychodzić do zoo w czwartki. Tak jest napisane w Biblii.

Wnaszej wiosce będzie raz, dwa, trzy... sześcioro białych: ja, Rachel, Lea, Adah, mama i ojciec. Rachel jest najstarsza, ja najmłodsza. Lea i Ada są pośrodku i są bliźniaczkami, więc może powinny się liczyć za jedną osobę, aleja

myślę, że za dwie, bo Lea wszędzie biega i wspina się na drzewa, ale Adah nie może, jest chora po całej jednej stronie i nie mówi, bo ma uszkodzony mózg, i wszystkie nas nienawidzi. Czyta książki od tyłu. Powinno się nienawidzić tylko Diabła, a wszystkich innych kochać.

Nazywam się Ruth May i nienawidzę Diabła. Długo myślałam, że mam na imię Słoneczko. Mama zawsze tak mówi. „Słoneczko, chodź tu na chwilkę. Słoneczko, no nie rób tak”.

W szkółce niedzielnej Rex Minton powiedział, żebyśmy nie jechali do Konga, bo tam są ludożercy, co nas ugotują w kotle i zjedzą. Powiedział, ja umiem mówić tak jak krajowcy, posłuchajcie: Ugga bugga bugga lugga. Powiedział, że to znaczy, mam nóżkę tej małej z kręconymi słomianymi włosami. Nasza nauczycielka w szkółce niedzielnej, panna Banie, kazała mu się uciszyć, ale nic nie mówiła, czy to prawda z tym gotowaniem w kotle i zjadaniem, więc w sumie nie wiem, co z nami będzie.

Z innych białych ludzi, których spotkaliśmy w Afryce, jest jeszcze pan Axelroot, który sterowa! samolotem. Ma przeokropnie brudny hełm. Kiedy tutaj przylatuje, mieszka w baraku hen koło lądowiska i mama mówi, że jak na niego, to i tak za blisko porządnych ludzi. Są jeszcze wielebny Underdown z żoną, którzy wiele lat temu zaczęli posyłać afrykańskie dzieci do kościoła. Underdownowie rozmawiają ze sobą po francusku, chociaż są biali. Nie wiem dlaczego. Mają dwóch synów, którzy są duzi i chodzą do szkoły w Leopoldville. Zrobiło się im nas żal, więc przekazali przez rodziców komiksy, żebyśmy zabrały do samolotu. Prawie wszystkie zabrałam ja, kiedy Lea i cała reszta zasnęła

w samolocie. Kaczor Donald. Lone Ranger. I te z bajkami, Kopciuszek i Śpiąca Królewna. Schowałam je w jednym miejscu. Kiedy źle się poczułam w samolocie i podeszło mi do gardła, to wywaliłam wszystko z siebie na torbę

„jamnika" i na Kaczora Donalda. Włożyłam go pod siedzenie, więc go już nie mamy.

Więc oto, kto będzie mieszkał w naszej wiosce: rodzina Price'ów, Lone Ranger, Kopciuszek, Śpiąca Królewna i potomkowie Chama.

Rachel Price

O jeny, ale się wpakowaliśmy, myślałam sobie o Kongo od chwili, gdy wysiedliśmy z samolotu. Niby mamy tu wziąć sprawy w swoje ręce, ale nie wygląda mi na to, żebyśmy mieli zbyt wiele do powiedzenia, nawet co się tyczy nas samych. Ojciec planował wielkie spotkanie modlitewne jako ceremonię powitalną, dla pokazania, że to Bóg nas tu przysłał i zamierza osadzić nas tu na stałe. Ale kiedy wysiedliśmy z samolotu i wytoczyliśmy się z bagażami na lądowisko, Kongijczycy otoczyli nas śpiewającą czeredą. Na pewno czarownik rzucił na nich wcześniej urok. Kręciło nam się w głowie od woni spoconych ciał. Powinnam była włożyć sobie do torebki te wkładki zapachowe, które wystarczają na pięć dni.

Rozejrzałam się za siostrami, żeby im powiedzieć: „Hej, Ade, Lea, nie cieszycie się, że używacie mydła Dial? Nie byłoby źle, gdyby wszyscy używali, no nie?" Nie mogłam znaleźć żadnej z bliźniaczek, ale zobaczyłam Ruth May, która szykowała się do swojego drugiego omdlenia tego dnia. Wywinęła oczy do góry, tak że widać było prawie tylko same białka. Widziałam, że stara się jak może, żeby nie stracić przytomności. Ruth May jest zaskakująco uparta jak na pięcioletnie dziecko i nie chce przegapić żadnej ciekawej sytuacji.

Mama wzięła ją za rękę i mnie też — coś, czego bym nie zdzierżyła u nas w Bethlehem. Ale tutaj w całym tym rwetesie

zgubiłybyśmy się, po prostu uniosła nas wielka, ciemna rzeka ludzi. A pył, jeny! Pył był wszędzie, jak czerwona kreda, a ja włożyłam na wierzch

elegancki żakiet z zielonego lnu, co za głupota. Czułam piasek we włosach, które są tak jasne, że bardzo łatwo się brudzą. Rany, co za kraj. Już tęskniłam za spłuczkami, wypranymi w pralce ubraniami i innymi zwykłymi rzeczami, które sądziłam, że ma każdy.

Krajowcy zagonili nas na takie jakby zadaszone patio bez żadnej posadzki, a potem się okazało, że to ma być" kościół naszego ojca. Ale nic z tych rzeczy, tego dnia nie było w programie żadnych nabożeństw. Wylądowaliśmy pod tym słomianym dachem, a potem o mało co nie krzyknęłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że trzymam za rękę nie matkę, lecz wielką brązową łapę kogoś obcego! Grunt usunął mi się spod nóg. Wyszarpnęłam dłoń i ziemia zawirowała pode mną. Rozejrzałam się panicznie wokół siebie jak Black Beauty pośród płomieni. Wreszcie zobaczyłam białą szmizjerkę mojej matki, która powiewała blisko ojca jak flaga „Poddajemy się!” Potem, kolejno, odszukałam pastelowe kształty moich sióstr, podobne do balonów na imprezie, ale trafiłyśmy na niezłą imprezę, o jeny. Już wtedy wiedziałam, że wdepłam w niezły kanał. Z kolei ojciec wprost ociekał wdzięcznością, składał dzięki Jezusowi za tę sytuację, która dawała nam szansę wykazania się hartem ducha.

Rozpaczliwie potrzebowałyśmy się przebrać — nadliczbowa bielizna i sukienki ciągnęły nas do ziemi — ale nie było na to żadnej szansy. Najmniejszej. Wrzucono nas w sam środek pogańskiego pantymonium. Nie mam pojęcia, co się wtedy stało z naszymi walizkami i płóciennymi torbami. Moje tamborki do haftowania i sekator w ceratowym futerale wisiały mi na szyi, zagrażając mnie i innym w tej przepychance. Wreszcie pozwolono nam usiąść przy stole, tak ściśnięte, jak to jest fizycznie możliwe, na oleistej ławce zrobionej z nieheblowanych kłód drzewa. Pierwszy dzień w Kongu, a tutaj mój nowiutki seledynowy kostium z kwadratowymi guzikami z macicy perłowej, skrojony w kształcie tulipana, właśnie wydawał ostatnie tchnienie.

Musiałyśmy siedzieć tak blisko innych ludzi, że nie było miejsca na oddychanie, nawet gdyby ktoś miał ochotę, zważywszy, że można było w ten sposób złapać wszystkie zarazki, jakie istnieją na świecie. Jeszcze jedna rzecz, którą powinnyśmy były zabrać: listeryna. Czterdzieści pięć procent mniej przeziębień. Ryk głosów i dziwnych ptaków grzmiał mi w uszach i szczelnie wypełniał mi głowę. Jestem wrażliwa na wszelkie hałasy — od tego i od jasnego słońca boli mnie głowa, ale przynajmniej słońce już wtedy zaszło. Pewnie poszłabym za przykładem Ruth May i zemdłała albo zerzygała się — były to dwa jej wielkie wyczyny tego dnia. Czułam się tak, jakby ktoś szczypał mnie w kark i grzmocił mnie w serce jak w bęben. Na jednym końcu kościoła rozpalili okropne, huczące ognisko. Tłusty dym wisiał nad nami jak sieć, gromadząc się pod słomianym dachem. Odór był na tyle silny, że każde zwierzę by się od niego udusiło. Wewnątrz jasnopomarańczowego pierścienia ognia widziałam coś ciemnego, nakłutego na rożen i obracanego w koło, stworzenie to rozpaczliwie wzywało pomocy wyrzuconymi do góry czterema łapami. Moja kobieca intuicja mówiła mi, że przeznaczone mi jest umrzeć w tej właśnie chwili, bez dłoni mojej matki, która pomacałaby mi czoło. Pomyślałam o kilku sytuacjach, kiedy próbowałam — przyznaję — dostać gorączki, żeby nie musieć iść do szkoły albo do kościoła. Teraz huczał mi w skroniach prawdziwy ogień, wszystkie gorączki, o które prosiłam, wreszcie na mnie spłynęły. Natychmiast zrozumiałam, że szczypanie w kark to matka. Miała nas wszystkie w zasięgu swych długich ramion: Ruth May, mnie i moje siostry Leę i Adę — Ruth May bardzo mała, ale Lea i Ada były całkiem spore jak na bliźniaczki, Ada niższa przez swoje upośledzenie. Przerasta mnie, w jaki sposób matka potrafiła nas tak trzymać wszystkie cztery. A to walenie serca, o którym mówiłam, to nie było serce, tylko bębny. Mężczyźni tłukli w duże, kłocowate bębny, a kobiety śpiewały piskliwe, szybkie melodie jak ptaki, które zwariowały od pełni księżyca. Śpiewały w swoim języku, zaczynała wodzirejka, a kończyła reszta grupy. Pieśni te brzmiały tak dziwacznie, że dopiero po dłuższej chwili zdałam

sobie sprawę, że powielają melodię chrześcijańskich hymnów, Onward Christian Soldiers i What a Friend I Have in Jesus. Ścierpła mi skóra, kiedy to sobie uświadomiłam. Pewnie miały prawo je śpiewać, ale wyobraźcie sobie: parę metrów od nas nagie kobiety stały w świetle ogniska z nagimi piersiami jak jajka sójki. Niektóre tańczyły, a inne krzątały się przy gotowaniu, jakby nagość nie była niczym szczególnym. Latały tam i z powrotem z garnkami i kociołkami, wszystkie miały piersi na wierzchu i nie wstydziły się tego. Były bardzo zajęte płonącym w ogniu zwierzęciem, rozrywały go teraz na kawałki i mieszały z czymś, co parowało w garnku. Kiedy się pochylały, ich ciężkie piersi kołysały się jak balony napelnione wodą. Odwracałam od nich wzrok, i od gołych dzieci, które trzymały się ich długich spódnic. Stale zerkałam na ojca i zastanawiałam się: Czy tylko ja jedna jestem tak kompletnie zaszokowana? Miał zwężone oczy i zaciśnięte zęby, jakby zaraz miał urządzić jakąś straszną awanturę.

Po długim seansie tak zwanych hymnów, którymi kobiety przekrzykiwały się między sobą, ofiara całopalna przepoczwarzyła się w szarawą, dymiącą gęstą zupę w kotle. Zaczęły ją stawiać przed nami na cynowych talerzach albo miskach. Jako łyżki dały nam wielkie metalowe chochle — wiedziałam, że coś takiego w życiu nie zmieści mi się w ustach. Mam takie małe usta, że zęby mądrości muszą się w nich potwornie rozpychać. Rozejrzałam się dokoła, z kim by się tu można zamienić na łyżkę, a tu co widzę: tylko nasza rodzina miała jakiegokolwiek sztuce! Nie podjęłabym się wtedy przewidywać, co inni zamierzają zrobić ze swoim jedzeniem. Większość z nich wciąż czekała, aż zostaną obsłużeni, jak padlinożerne ptaki. Podnieśli do góry swoje metalowe miski, kołpaki samochodowe czy co to tam było i radośnie tłukli w nie jak w bębny. Brzmiało to jak cała orkiestra ze złomowiska, każdy talerz był inny. Ruth May dostała maleńką miseczkę i wiedziałam, że nie jest zadowolona, bo wyglądała przez to jeszcze bardziej jak niemowlę.

W całej tej wrzawie ktoś mówił coś po angielsku. Nagle zdałam sobie z tego sprawę. Bardzo trudno było powiedzieć, co

jest grane, bo ludzie wokół nas śpiewali, tańczyli, tłukli w talerze, kołysali podniesionymi ramionami na boki jak drzewa podczas huraganu. Ale koło ogniska, tam, gdzie gotowali, czarny jak węgiel mężczyzna w żółtej koszuli z podwiniętymi rękawami gestykulował do nas i wrzeszczał na cały głos: „Zapraszamy! Zapraszamy was!”

Za nim był inny mężczyzna, znacznie starszy i w stroju zupełnie nie z tego świata, z czymś wysokim na głowie, w okularach i powłóczystej płóciennej szacie, machał na boki zwierzęcym ogonem. Wydarł się w ich języku i wszyscy odrobinę się uciszyli.

— Wielebny, pani Price i wasze dzieci! — zawołał młody mężczyzna w żółtej koszuli. — Zapraszamy na naszą ucztę. Dzisiaj zabiliśmy kozę, żeby uczcić wasz przyjazd. Niedługo wasze brzuchy będą pełne nasz&go fufupili-pili.

Półnagie kobiety za jego plecami ni z tego, ni z owego zaczęły klaskać i wznosić okrzyki, jakby nie mogły już dłużej powściągnąć radości z powodu zabicia kozy.

— Wielebny Price — powiedział mężczyzna — proszę, po dziękuj wraz z nami za tę ucztę.

Pokazał ręką, żeby ojciec wstał, ale ojca nie trzeba było namawiać, stał już na krześle, przez co wyglądał, jakby miał trzy metry wzrostu. Był w samej koszuli, co nie stanowiło zaskakującego widoku, ponieważ należał do ludzi, którzy dobrze się czują w swojej skórze i w ferworze kazania często zrzucal z siebie marynarkę. Plisowane czarne spodnie ciasno spiął paskiem, lecz klatkę



piersiową i ramiona miał ogromne. Już prawie zdążyłam zapomnieć, że pod tą czystą białą koszulą transportuje liczne niebezpieczne narzędzia.

Ojciec powoli podniósł nad głowę jedną rękę, jak ci bogowie w czasach rzymskich, szykujący się do posłania na ziemię piorunów i błyskawic. Wszyscy patrzyli na niego uśmiechnięci, klaskali, machali rękami nad głową, gołe piersi kolebały się. Potem zaczął mówić. Była to nie tyle mowa, co nadciągająca burza.

— Pan jedzie na prędkiej chmurze — powiedział niskim, groźnym głosem — i przybędzie do Egiptu.

Hurra! zachwycili się wszyscy, aleja poczułam supeł w żołądku. O jeny, to spojrzenie, Mojżesz zstępuje z Góry Cyjańskiej z dziesięcioma nowymi receptami na uprzykrzenie ci życia.

— Do Egiptu — krzyknął swym śpiewnym kaznodziejskim głosem, który wznosi się i opada, potem wznosi się jeszcze wyżej i opada jeszcze niżej, jak piła tnąca pień drzewa — i do każdego zakątka ziemi, na który światłość Jego—ojciec przerwał, piorunując wzrokiem dokoła — na który światłość Jego jeszcze nie spłynęła!

Przerwał, aby zaczerpnąć tchu i zaczął znowu, kołysząc się nieznacznie:

— Pan przybywa w osobie swych aniołów miłosierdzia, Jego posłańców świętości do miast na równinie, gdzie Lot mieszkał wśród grzeszników!

Radosne owacje przygasały. Wszyscy uważnie słuchali.

— I powiedział Lot do grzeszników, co tłoczyli się u drzwi jego, wołam do was, nie czyńcie, proszę, bracia moi, nie czyńcie tej złości. Albowiem grzesznicy z Sodomy obścapiли dom jego.

Ciarki mnie przeszły. Naturalnie znałam rozdział 19 Księgi Rodzaju, który kazał nam raz po raz przepisywać. Nie cierpię tego fragmentu, w którym Lot zaproponował swoje własne córki dziewice tłuszczy grzeszników, aby uczynili z nimi, co zechcą, po to, aby zapomnieli o składających wizytę aniołach Bożych i zostawili ich w spokoju. Cóż to za transakcja? No i jego biedna żona, która zamieniła się w słup soli.

Lecz ojciec opuścił to wszystko i przeszedł od razu do ponurych konsekwencji:

— Wysłańcy Boży zgładzili grzeszników, co nie mieli wsty du przed wejrzeniem Pańskim, nie wstydzili się swej nagości.

Przerwał, zastygł w idealnym bezruchu. Potem wyciągnął wielką dłoń w stronę wiernych, zapraszając ich bliżej. Drugą ręką pokazał na kobietę blisko okna. Jej wielkie, długie piersi zwisały płasko jak przyprasowane, lecz ona zdawała się nie zwracać na to uwagi. Na biodrze trzymała długonogie dziecko, a wolną ręką drapała się przez krótkie włosy. Rozglądała się wokół siebie speszona, bo każda para oczu w ślad za oskarżycielskim spojrzeniem ojca wycelowała w jej nagość. Kobieta podrzuciła dziecko wyżej na biodrze, aż mu się głowa zatrzęsła. Chłopak miał na głowie czerwonawe kępki włosów i sprawiał wrażenie oszołomionego. Przez trwającą całą wieczność chwilę milczenia matka stała w świetle reflektorów, odginając głowę do tyłu ze strachu i zdziwienia. Wreszcie odwróciła się, wzięła do ręki długą drewnianą łyżkę i zaczęła mieszać w kotle z duszonym mięsem.

— Nagość — powtórzył ojciec — i ciemność duszy! Zgładziemy bowiem to miejsce, przeto iż przemógł krzyk ich przed Panem, który nas posłał, abyśmy je wytracili.

Nikt już nie śpiewał i nie wrzeszczał. Nie wiem, czy zrozumieli zwrot „przemógł krzyk”, ale w każdym razie żadnego krzyku nie było. Przestali nawet

oddychać, a w każdym razie tak się wydawało. Ojciec potrafi wiele zdziałać samym tonem głosu, uwierzcie mi. Kobieta z dzieckiem na ręku dalej stała do nas plecami i zajmowała się jedzeniem.

— Wyszedłszy tedy Lot, mówił do zięciów swoich, którzy mieli pojąć córki jego. — Teraz ojciec mówił łagodniejszym, opadającym tonem. — Wstańcie, wyniźdźcie z miejsca tego; bo zatraci Pan miasto to. Módlmy się — zakończył, nagle wracając z powrotem na ziemię. — Panie Jezu, spraw, by ci z nas, którzy są tego godni, przemogli swą grzeszność i zaznali cudownej światłości Ojca Twego. Amen.

Wszystkie głowy wciąż były skierowane w stronę mojego ojca, jakby były błyszczącymi, ciemnymi roślinami, a jego czerwona głowa słońcem. Lecz wyraz ich twarzy w zwolnionym tempie przeszedł od radości do zmieszania, a potem przerażenia. Teraz, gdy czar prysł, ludzie zaczęli mrużyć pod nosem i kręcić się. Kilka kobiet podciągnęło sarongi i owinęło sobie wokół tułowia, żeby zasłonić piersi. Inne gromadziły swe dzieci, które świeciły gołymi tyłkami, i zabierały je w ciemność. Wyglądało na to, że kładą je do łóżka z pustym żołądkiem.

W głębokiej, czarnej nocy wokół nas nie słychać było żadnych dźwięków prócz cykania świerszczy.

Nie było innego wyjścia, jak zabrać się do jedzenia. Mając na

sobie wzrok wszystkich, moje siostry i ja podniosłyśmy wielkie metalowe łyżki. Jedzenie, które przed nami postawili, wyglądało jak mokre grudy bez żadnego smaku, które trzeba będzie rozgryźć na papkę. Kiedy jednak wzięłam do ust pierwszy kęs, język zaczął mi płonąć. Czułam się tak, jakby ktoś przypalał mi od wewnątrz bębenki uszu. Łzy nabiegły mi do oczu i nie mogłam przełknąć. Pomyślałam, że zaczyna się czarny okres dla dziewczyny, której

jedyną ambicją na ten rok było urządzić porządne przyjęcie na szesnaste urodziny i dostać w prezencie pulower i cardigan z różowego moheru.

Ruth May zakrzuszyła się głośno i skrzywiła makabrycznie. Matka pochyliła się, żeby ją trzepnąć w kark, jak sądziłam, ale ona szepnęła do nas okropnym syczącym głosem:

— Macie być uprzejme, dziewczęta, słyszycie? Przykro mi, ale jeśli wyplujesz, to cię spiorę na kwaśne jabłko.

Mama, która nigdy nie podniosła na nas ręki, mówi takie rzeczy! Już pierwszego wieczoru w Afryce wyraźnie zobaczyłam, co nas czeka. Siedziałam, oddychając przez nos, i trzymałam w ustach kawał czegoś płonącego i kępę sztywnego włosa ze spalonej skóry martwej kozy. Zamknęłam oczy, ale łzy nie przestały płynąć. Płakałam za grzechy wszystkich, za których sprawą moja rodzina znalazła się tej okropnej, mrocznej krainie.

Ada Price

Promienie wschodzącego słońca opalizują, złe oczy hipnotyzują: taki jest poranek, róż kongijski. Każdy poranek. Kwieciste, różane, rozewierkotane powietrze z kwaśnymi zaciekami dymu ognisk, na których gotuje się śniadanie. Szeroka czerwona deska pylistej ziemi — tak zwana droga — przed nami, teoretycznie ciągnie się nieprzerwanie stąd do jakiegoś odległego miejsca. Jednak przez moje adooczy widzę to inaczej: płaska deska pocięta na kawałki, prostokąty i trapezy, przez chude czarne cienie wysokich pni palm. Widziany adooczyna świat jest trzęsawiskiem kolorów i kształtów, które rywalizują ze sobą o uwagę połowy

mózgu. Ta parada nigdy się nie kończy. Na pokawałkowaną drogę wychodzą z buszu małe afrykańskie koguty, kukurykują. Stapają z kogucią

pewnością siebie, jakby jeszcze nie słyssały o dwunogich bestiach, które zrobią z ich żon niewolnice.

Kongo stoi okrakiem na środku świata. Słońce wschodzi i zachodzi dokładnie o szóstej godzinie. Wszystko, co przynosi ranek, zabiera wieczór: kur wraca do lasu, ogniska dogasają, ptaki robią ku-ku-ku, słońce spada za horyzont, niebo krwawi, traci przytomność, ciemnieje, wszystko przestaje istnieć. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Wioska Kilanga biegnie wzdłuż rzeki Kwilu rzędem małych lepianek ustawionych jedna za drugą koło samotnego czerwonego węża bitej drogi. Wszędzie wokół nas rosną do góry drzewa i bambus. Lea i ja jako małe dzieci miałyśmy długi sznur paciorków każdy z innej bajki, którego używałyśmy, bawiąc się w przebieranki. Czasem pękał, kiedy się o niego biłyśmy, i paciorki spadały wężową linią na ziemię. Tak samo wygląda Kilanga z samolotu. Każda czerwona lepianka stoi przykucnięta na swoim czerwonym podwórzu, bo ziemia w wiosce jest wyczyszczona do ostatniego włoska i z daleka przypomina cegłę. Ponoć w ten sposób łatwiej jest wypatrzeć i zabić naszych przyjaciół wężę, kiedy przychodzą z wizytą. Kilanga jest zatem długim, wężowym karczowiskiem. Wszystkie ziemianki klęczą twarzami na wschód, jakby się modliły, by nareszcie pozwolono im upaść — nie dokładnie w stronę Mekki, ale na wschód w stronę jedynej drogi, rzeki i różowego wschodu słońca z tyłu za tym wszystkim.

Na jednym końcu wioski jest budynek kościoła, w którym odbyła się niedawna uczta. Na drugim końcu — nasz dom. Kiedy rodzina Price'ów idzie do kościoła, po drodze możemy więc zajrzeć do chaty każdego mieszkańca wioski. Każda chata składa się z jednej tylko kwadratowej izby nakrytej strzechą, coś takiego mógłby sobie wybudować Robinson Crusoe. Lecz tutaj nikt nie siedzi pod dachem. Życie toczy się przed lepiankami — cały świat jest sceną z ubitej czerwonej ziemi pod bosymi stopami. To tutaj zmęczone, chude kobiety,

niemożliwie rozmamłane i sfatygowane, grzebią patykami w swych małych ogniskach i gotują. Gromadki dzieci, rzucając kamieniami, napadają na przerażone małe kozy, które rozpierzchają się na drodze, a potem wracają, żeby je można było znowu pogonić. Mężczyźni siedzą na wiadrach i gapią się na wszystko, co przechodzi im przed oczyma. Na ogół jest to kobieta sunąca powoli drogą z górą tobołków na głowie. Te kobiety to dziw nad dziwy, negują prawo ciążenia, a jednocześnie roztaczają wokół siebie aurę doskonałej nudy. Mogą siedzieć, stać, rozmawiać, pogrozić kijem pijanemu mężczyźnie, sięgnąć na plecy, żeby nakarmić dziecko piersią, nie roniąc przy tym ani jednego ze swych spiętrzonych tobołków. Są jak tancerki baletowe zupełnie nieświadome tego, że występują na scenie. Nie mogę oderwać od nich oczu.

Za każdym razem, gdy kobieta opuszcza swe szeroko otwarte na świat podwórze, aby popracować w polu albo pójść za jakimś sprawunkiem, najpierw musi się ochędożyć. W tym celu, choć już ma na sobie obwijaną wokół bioder spódnicę, bierze z chaty inny duży kwadrat płótna, który owija sobie wokół pierwszej spódnicy — zakrywając nogi aż po podbicie stopy — tworząc długi, wąski sarong zawiązany pod nagimi piersiami. Zawoje są kolorowe i noszone w kakafoicznych zestawieniach, które dzwonią mi w uszach: na przykład różowe paski i pomarańczowa kratka. Te kolory napinają do granic strunę mojej wrażliwości, ale niezależnie od tego, czy ktoś uważa je za piękne czy okropne, kobiety wyglądają w nich bardziej odświętnie i mniej mizernie.

Tłem do tego jasełkowego spektaklu jest wysoka ściana trawy słoniowej, która wznosi się za chatami i zasłania wszystko prócz oddali. Słońce, które wisi nad nią po południu, jest różową, okrągłą kropką w odległej mgiełce, na którą można patrzeć i nigdy nie oślepnąć. Wydaje się, że prawdziwa ziemia oświetlana przez prawdziwe słońce jest gdzie indziej, daleko stąd. Na wschód od nas, za rzeką, ciemnozielone wzgórza marszczą się jak wielki stary obrus i rozmywają w kolor jasnoniebieski.

— Wiszą nad nami jak sąd ostateczny — mówi nasza matka, odrywając się od swego zajęcia, aby wytrzeć wilgotne czoło wierzchem dłoni.

— Zupełnie jak z książeczki dla dzieci — lubi na to odpowia dać moja siostra bliźniaczka, Lea, otwierając szeroko oczy i wsu wając sobie krótkie włosy za uszy, żeby lepiej wszystko słyszeć i widzieć. — A przecież to my, rodzina Price'ów, tu mieszkamy!

Potem następuje ta uwaga mojej siostry Ruth May:

— Nikt tutaj nie ma za dużo zębów. Wreszcie odzywa się Rachel:

— O jeny, obudźcie mnie, jak to się skończy.

Tak oto rodzina Price'ów komentuje rzeczywistość. Wszyscy z wyjątkiem Ady. Ada nic nie komentuje. Ja jestem tą, która nie mówi.

Za nas wszystkie mówi nasz ojciec, tak mi się wydaje. A w tej chwili mało się odzywa. Wyszło na to, że zmarnował dobry kilogram bagażu, zabierając młotek, bo w gliniano-słomianym mieście Kilanganie ma zbyt wielu gwoździ. Otwarty na przestrzał budynek, który służy za kościół i szkołę, został zbudowany z betonowych słupów, które podtrzymują strzechę z liści palmowych i puchate obłoki szkarłatnej bugenwilli. Teraz wszystko wydaje się zespawane razem na skutek gnicia. Nasz dom również zrobiony jest z gliny, słomy, cementu i kwitnących pnączy. Lea, jak zawsze w najlepszej wierze, próbowała wyszukać mu coś, w co mógłby sobie postukać, ale nie znalazła nic, co on uznałby za warte zachodu. Było to wielkie rozczarowanie dla ojca, który między jedną niedzielą a następną lubi sobie coś ponaprawiać.

Jednak zostajemy tutaj. Pilot samolotu wysadził nas na polu i zaraz odleciał, nie będzie żadnych podróży, dopóki nie wróci ten sam samolot. Spytaliśmy o bitą drogę, która przecina wioskę, i powiedziano nam, że biegnie aż do samego Leopoldville. Wątpię w to. Niedaleko od wioski, w obie strony,

droga jest poryta twardymi koleinami, które wyglądają jak fale oceanu zastygłe na kamień podczas burzy. Nasz ojciec mówi, że w otaczającej nas głuszy przypuszczalnie są bagna, w których można by utopić okręt wojenny, a co dopiero samochód. W wiosce można zobaczyć ślady obecności samochodów, ale przypominają raczej zabytki prehistorycznych kultur, które wykopuje się na cmentarzu,

jeśli ktoś ma takie hobby. Mówiąc po prostu: martwe, zardzewiałe części aut, porzucane po całej wiosce i używane do wszystkich możliwych celów prócz transportu. Któregoś dnia podczas spaceru ojciec pokazał nam gwoli nauki pokrywę filtra powietrza, na której gotował się nad ogniskiem czyjs obiad, jak również tłumik jeepa, którego sześciu chłopców naraz używało jako bębna.

Gościńcem jest tutaj rzeka Kwilu: nazwa, do której trudno w języku angielskim znaleźć jakiś rym. Niepokoi mnie ta wątpliwa droga ucieczki. Tkwi mi w uchu bez odpowiedzi jak połowa muzycznej frazy.

Ojciec twierdzi, że Kwilu jest spławna w dół rzeki aż do miejsca, w którym uchodzi do Konga, a w górę można dotrzeć do wysokich, malowniczych katarakt, które grzmią zaraz na południe od nas. Innymi słowy, dotarliśmy prawie że na koniec świata. Czasami rzeczywiście widzimy, jak przepływa jakaś łódka, lecz wiezie tylko ludzi z pobliskich wiosek takich jak nasza. Aby otrzymać wiadomości, pocztę czy też dowody na istnienie tego, co Rachel nazywa mityczną cywilizacją, musimy czekać na pana Eebena Axelroota, naszego solidnego i godnego zaufania pilota samolotu. Można na nim polegać bez pudła, że jeśli powie, iż przylatuje w poniedziałek, to przyleci w czwartek, piątek albo wcale.

Tak samo jak droga przez wioskę i rzeka, nic tutaj nie dociera do końca. Kongo jest tylko długim szlakiem, który przenosi cię z jednego ukrytego miejsca w drugie. Rosnące wzdłuż tego szlaku palmy patrzą na ciebie



zaskokowane, jak zbyt wysokie, przestraszone kobiety ze sterczącymi do góry włosami. Mimo to postanowiłam przemierzyć ten szlak, chociaż nie jestem dobrym ani szybkim piechurem. Moja prawa strona wlecze się za mną. Urodziłam się z połową mózgu wysuszoną jak rodzynek, pozbawioną krwi na skutek jakichś niefortunnych zająć prenatalnych. Moja siostra bliźniaczka Lea i ja w teorii jesteśmy identyczne, tak jak w teorii wszyscy jesteśmy uczynieni na podobieństwo Boga. Lea i Ada na początku były jak lustrzane odbicia. Mamy takie same ciemne oczy i kasztanowe włosy, ale ja jestem pokrzywionym pomieszaniem z poplątaniem, a ona pozostaje bez skazy.

Potrafię sobie wyobrazić, na czym polegały niefortunne zajścia prenatalne: byliśmy razem w łonie, tralala, kiedy Lea nagle odwróciła się do mnie i oznajmiła: „Ada, jesteś zbyt powolna. Zabieram cały prowiant i idę do przodu”. Ona robiła się coraz silniejsza, a ja coraz słabsza. (Tak! Jezus mnie kocha!) I stało się, że w rajskim ogrodzie łona mojej matki moja siostra pożarła mnie jak kanibal.

Oficjalnie moja przypadłość nazywa się hemiplegia. Hemi znaczy połowa, jak w wielu tych łacińskich słowach. Plegia to paraliż. Po naszych skomplikowanych narodzinach lekarze w Atlancie postawili wiele diagnoz na temat mojego asymetrycznego mózgu, łącznie z afazją Wernickego i Broki, a potem odprawili moich rodziców do domu po oblodzonych drogach w Wigilię z połową zestawu idealnych bliźniąt i prognozą, że może kiedyś nauczę się czytać, ale nigdy nie powiem ani słowa. Jak się zdaje, moi rodzice przyjęli to bardzo dzielnie. Jestem pewna, że wielebny ojciec wytłumaczył swojej wymęczonej tym wszystkim żonie, że taka jest wola Boga, który widział, że po przyjsciu na świat dodatkowych dwóch dziewczynek — niedługo po pierwszej — w naszym domu jest aż za dużo kobiet, by wypełnić go swym trajkotaniem. Ruth May jeszcze wtedy nie było na świecie, ale mieli sukę, która wyła, ten o jeden za dużo sopran w kościele, by zacytować naszego ojca. Pies, który złamał

grzbiet wielbłąda, tak też na nią mówi. Nasz ojciec przypuszczalnie zinterpretował afazję Broki jako dodatkowy prezent świąteczny od Boga dla jednego z Jego najlepszych pracowników.

Sądzę, że nie będę podważała proroctwa lekarzy, i zatrzymam swoje myśli dla siebie. Milczenie ma wiele zalet. Kiedy nic nie mówisz, inni ludzie zakładają, że jesteś głucha albo słaba na umyśle, przez co łatwiej obnażają się ze swymi własnymi ograniczeniami. Tylko z rzadka stwierdzam, że muszę przerwać milczenie: krzycz, bo inaczej zgubią cię w tłumie. Z reguły jednak wybieram to drugie rozwiązanie. Piszę i rysuję w zeszycie, czytam, co tylko chcę.

To prawda, że mówię gorzej, niż myślę, ale odnoszę wrażenie, że to samo można orzec na temat większości ludzi.

Lea

Na początku moje siostry krzątały się po domu, grając rolę pomocnic matki z większym entuzjazmem niż w całym ich dotychczasowym ziemskim żywocie. Tylko z jednego powodu: bały się wychylić nos na zewnątrz. Ruth May wpadła na osobliwy pomysł, że nasi sąsiedzi pragną ją zjeść. Rachel, która wszędzie potrafi zobaczyć wyimaginowane węże, powiedziała: „O jeny”, wywinęła oczami i zadeklarowała, że następne dwanaście miesięcy zamierza spędzić w łóżku. Gdyby istniała taka dyscyplina sportowa, kto będzie dłużej chorował, Rachel zgarniałaby wszystkie złote medale. Wkrótce jednak znudziło się jej i zwlokła się z łóżka, żeby zobaczyć, co jest grane. Razem z Adą i Ruth May pomogła rodzicom w rozpakowaniu rzeczy i urządzeniu domu. Pierwszym zadaniem było rozbicie namiotów z moskitier nad naszymi czterema identycznymi łózkami i większym wyrkiem naszych rodziców. Malaria jest naszym wrogiem numer jeden. W każdą niedzielę łykamy tabletki chininy, takie gorzkie, że język chce się wywrócić na lewą stronę jak poproszony solą ślimak.

Pani Underdown ostrzegała nas jednak, że choćbyśmy brały nie wiadomo ile tabletek, zbyt duża liczba ukąszeń moski-tów może pokonać chininę w naszej krwi, a to na ogół kończy się niewesoło.

Ja osobiście nie zaangażowałam się w wojnę z pasożytami krwi. Wolałam pomóc ojcu przy pracy w ogródku. Zresztą zawsze wybierałam prace na świeżym powietrzu, takie jak palenie śmieci czy pielenie, podczas gdy moje siostry kłóciły się przy myciu naczyń i tym podobnych zajęciach. W Stanach każdego lata mieliśmy cudowny ogródek, nic więc dziwnego, że mój ojciec pomyślał o zabranii do kieszeni nasion: fasoli Kentucky Wonder, dyni figolistnych, kabaczków, pomidorów Big Boy. Zamierzał posadzić wzorcowy ogródek, z którego mielibyśmy warzywa na własny stół i który dostarczałby jedzenia i nasion mieszkańcom wioski. To miał być nasz pierwszy afrykański cud: nie kończący się łańcuch dobroczynności wyrastający z tych małych, popękanych woreczków z nasionami, ciągnący się z naszego ogrodu do innych, rozlewający się na całe Kongo jak zmarszczki na wodzie stawu, do którego wrzucono kamień. Łaska, która spłynęła na nas za sprawą naszych dobrych chęci, sprawiła, że czułam się mądra, pobłogosławiona i bezpieczna od ukąszeń węży.

Nie było jednak ani chwili do stracenia. Niemal od razu, gdy tylko uklękliśmy na naszym skromnym progu do modlitwy dziękczynnej, wprowadziliśmy się, zrzuciliśmy z siebie wszystkie sprzęty kuchenne i wszystkie ubrania z wyjątkiem minimum wymaganego przez względy przyzwoitości, ojciec zaczął karczować kawałek ziemi na skraju dżungli i odmierzać krokami grządki. Maszerował jak żołnierz na paradzie, stawiał kroki cyklopa, jakbyśmy je nazwały, gdyby najpierw zapytał: „Mamo, mogę?” Lecz mój ojciec pyta o pozwolenie tylko Zbawiciela, który najwyraźniej opowiada się za poskramianiem dzikiej przyrody w celu założenia ogrodu.

Udeptał kwadrat wysokiej trawy i różowych polnych kwiatów, ani razu na mnie nie spojrzawszy. Potem pochylił się i zaczął wrywać długie garście trawy szybkimi, energicznymi szarpnięciami, jakby wrywał światu włosy. Miał na sobie workowate robocze spodnie khaki i białą koszulę z krótkim rękawem, pracował pośród chmury czerwonego pyłu jak obcięty na rekruta dzin, który dopiero co się tam pojawił. Futro czerwonego pyłu pokryło kręcone włoski jego przedramion, a ze skroni spływały mu strużki potu. Ściągnę jego zuchwy pracowało, toteż wiedziałam, że szykuje jakieś objawienie. Ojciec nie przepuścił żadnej okazji powiedzenia nam czegoś pożytecznego dla naszych dusz. Często mówi, że uważa się za kapitana tonącego statku z kobiecą załogą. Wiem, że na pewno uważa mnie za męczącą, lecz mimo to dużo bardziej lubię spędzać czas z moim ojcem, niż robić cokolwiek innego.

— Lea — zapytał w końcu — jak myślisz, dlaczego Pan daje nam nasiona, zamiast przykazać, żeby obiad wyskoczył z ziemi jak kamienie na łące?

Cóż za frapujący obraz. Kiedy się nad nim zastanawiałam, on

wziął ostrze motyki, które przebyło Atlantyk w torebce naszej matki, i nasadził je na długi, zastrugany wcześniej kij. Dlaczego pan dał nam nasiona? Bo łatwiej je włożyć do kieszeni niż całe warzywa, wątpiałam jednak w to, czy Bóg się przejmuje naszymi problemami z nadbagażem. W tym miesiącu skończyłam dokładnie czternaście i pół roku i wciąż nie mogłam przemóc wstydu związanego z comiesięcznymi przypadłościami. Wierzę w Boga z całej duszy, ale zaczęłam sobie ostatnio myśleć, że wiele szczegółów urąga Jego godności.

Przyznałam się, że nie znam odpowiedzi.

Sprawdził, czy stylisko motyki jest mocne, a potem przyjrzał mi się badawczo. Mój ojciec jest przystojny, bardzo postawny, barczysty, ma

niezwykle duże dłonie. Ma rude włosy, przez co ludzie biorą go czasem za Szkota, charakter zaś energiczny, choć chyba nieco porywczy.

— Albowiem Pan pomaga tym, którzy pomagają sobie samym.

— A! — zawołałam i serce podeszło mi do gardła, bo oczywiście wiedziałam o tym. Że też nigdy nie potrafię sobie przypomnieć tego, co wiem, na tyle szybko, żeby zadowolić ojca.

— Bóg stworzył świat — rozwinął swoją myśl — w którym praca i nagroda za nią ważą się na wielkich szalach. — Wyjął z kieszeni chusteczkę, aby ostrożnie wytrzeć pot w jednym, a potem drugim oczodole. Ma bliznę ma skroni i słabo widzi na lewe oko, wskutek obrażeń odniesionych podczas wojny, o których nigdy nie mówi, bo nie należy do ludzi, którzy lubią się chwalić. Złożył chusteczkę i wsunął z powrotem do kieszeni. Potem podał mi motykę i uniósł ręce, aby zademonstrować mi numer Boga z ważeniem. — Małe uczynki miłosierdzia po tej stronie — opuścił nieco lewą dłoń — małe nagrody po tej. — Prawa dłoń opadła niemal niedostrzegalnie pod ciężarem jakiejś mikroskopijnej nagrody. — Wielkie poświęcenia, wielkie nagrody! — powiedział, opuszczając nisko ramiona. Całą duszą pożałowałam rozkosznego ciężaru miłosierdzia, który trzymał w tych dłoniach.

Potem potarł dłonie o siebie i powiedział na zakończenie katechezy: — Bóg oczekuje od nas tylko tego, Lea, żebyśmy

wzięli na siebie naszą część trudu nagradzanego darami z niewyczerpanej skarbnicy Jego stworzenia.

Wziął ode mnie motykę i przystąpił do wyrąbywania małego, kwadratowego królestwa odebranego dżungli. Zabrał się do tego z takim umięśnionym wigorem, że nie miałam wątpliwości, iż pomidory i fasola zaczną wyrastać nam uszami. Wiedziałam, że Boża waga jest olbrzymia i

stuprocentowo dokładna: wyobraziłam sobie jajako znacznie większą wersję tej, którą miał rzeźnik w Bethlehem. Poprzysięgłam ciężko pracować dla Niego, prześcignąć wszystkich innych w mym zapale uprawiania ziemi na chwałę Boga. Może któregoś dnia nauczę całą Afrykę hodować warzywa! Bez narzekania przynosiłam wiadro za wiadrem wody z wielkiej galwanizowanej balii na ganku, żeby mógł spryskać trochę ziemię, zanim zabierze się do niej motyką, bo w ten sposób nie wzbijał tego okropnego pyłu. Czerwone błoto wysychało mu na spodniach jak krew zabitego zwierzęcia. Szłam za nim i znalazłam ucięte głowy wielu małych, jasnopomarańczowych orchidei. Przyjrzałam się jednej z bliska. Była delikatna i niezwykła, miała pękaty żółty język i nakrapianą kasztanowymi kropkami gardziel. Byłam pewna, że nikt nie posiał tych kwiatów ani nikt ich nigdy nie zbierał; były dziełem Bożym, które Pan dokończył samodzielnie. Widać w dniu, w którym stworzył kwiaty, nie wierzył, że ludzkości starczy wytrwałości.

Mama Bekwa Tataba stała i patrzyła na nas. Była to niska, smolistoczarna kobieta. Łokcie sterczały jej na boki jak skrzydła, a na głowie miała olbrzymią, emaliowaną białą miednicę, która w trochę nadprzyrodzony sposób trzymała się poziomo, gdy Mama Tataba poruszała się szybkimi szarpnięciami na lewo i prawo. Jak dowiedzieliśmy się ze zdziwieniem, zadaniem mamy Tataby było mieszkać z nami i dostawać niewielką pensję za tę samą pracę, którą wykonywała dla naszego poprzednika na misji w Kilandze, brata Fowlesa. W istocie zostawił nam dwie lokatorki: Mamę Tatabę i papugę imieniem Matuzalem. Obie nauczyły się od niego języka angielskiego, a najwyraźniej także wielu innych rzeczy, ponieważ brat Fowles pozostawił po sobie jakąś

tajemnicę. Z podsłuchanych rozmów rodziców dowiedziałam się, że brat Fowles nawiązywał niekonwencjonalne stosunki z miejscowymi ludźmi i że on także był Jankesem. Usłyszałam, jak mówią, że był Irlandczykiem z Nowego Jorku, co wiele tłumaczy, bo to notoryczni papiści. Ojciec wyjaśnił nam, że brat

Fowles kompletnie zwariował skutkiem spoufalania się z mieszkańcami tej krainy.

Z tego właśnie powodu Związek Misyjny wreszcie pozwolił nam tu przyjechać. Na początku znieważyli mojego ojca, odrzucając nasze zgłoszenie, chociaż wierni w Bethlehem przez cały rok płacili specjalną dziesięcinę, żebyśmy mogli tu przylecieć i głosić chwałę Pana. Nikt inny się jednak nie zgłosił na misję w Kilandze, a Underdownowie zażądali, żeby przysłać kogoś statecznego, z rodziną. Nikt chyba nie zaprzeczy, że jesteśmy rodziną, a mój ojciec jest stateczny jak... jak statek. Underdownowie upierali się jednak, że nasza misja ma trwać nie więcej niż rok — pewnie dlatego, że przez ten czas można zwariować tylko trochę, a nie kompletnie, nawet gdyby sprawy potoczyły się niepomyślnie.

Brat Fowles mieszkał w Kilandze sześć lat, co na pewno wystarczy, aby popaść we wszelkie bezceństwa, jakie można wymyślić. Trudno było ocenić, czy nie wywarł złego wpływu na Mamę Tatabę. Potrzebowaliśmy jej jednak do pomocy. Nosiła nam wodę z rzeki, zapalała lampy naftowe, rąbała drewno, rozpaliała ogień w piecu do gotowania i w przerwie między cięższymi zajęciami dla rozrywki zabijała węże. Moje siostry i ja podziwialiśmy Mamę Tatabę, ale jeszcze się do niej nie całkiem przyzwyczailiśmy. Jedno oko miała ślepe. Wyglądało jak jajko, którego żółtko zostało rozbite i trochę rozbełtane. Kiedy tak stała koło naszego ogródka, ja gapiłam się na jej ślepe oko, a ona patrzyła tym widzącym na ojca.

— Na co kopane? Robaki na zjeść? — spytała. Pokręciła trochę głową na boki, lustrując pracę ojca swym, jak on to nazywa, „skondensowanym jednoocznym promieniem”. Galwanizowane wiadro ani drgnęło na jej głowie — wielka kwitująca korona.

— Uprawiamy ziemię, siostró — powiedział.

— Ten, co trzymasz, bracie, on gryzła — powiedziała, pokazując kościstą dłonią na małe drzewo, które wrywał z grządki. Po rozszarpanej korze ciekła biała żywica. Ojciec wytarł ręce o spodnie.

— Jadowite drzewo — dodała rzeczowym tonem, jednakowo akcentując wszystkie sylaby, jakby każda była tak samo męcząca.

Ojciec znów wytarł czoło i wdał się w przypowieść o jednym ziarnie gorzycy, które padło na jałową ziemię, i drugim, które trafiło do żyznej gleby. Pomyślałam o jasnych, plastikowych butelkach musztardy, której zużywalismy znaczne ilości na para-? fialnym pieczeniu kiełbasek — jakże odległy świat od tego, co kiedykolwiek widziały oczy Mamy Tataby. Dla ojca była to wymarzona praca, nieść Słowo Boże w takie miejsce. Chciałam rzucić mu się na jego steraną szyję i pogłaskać po potarganych włosach.

Mama Tataba sprawiała wrażenie, że nie słucha tego, co on mówi. Znów pokazała na czerwoną ziemię.

— Ty musi zrobić górki.

Ojciec nie zszedł z kazalnicy, wysoki jak Goliat i czystego serca jak Dawid. Z błoną czerwonego kurzu na włosach, brwiach i spiczastym podbródku wyglądał trochę diabolicznie, co było z gruntu sprzeczne z jego naturą. Przebiegł dużą, piegowatą dłonią po boku głowy, gdzie włosy miał podgolone, a potem po zmierzwionej czuprynie na czubku głowy, gdzie matka zostawia mu trochę dłuższe włosy. Przez cały ten czas przyglądał się Mamie Tatabie w duchu chrześcijańskiej tolerancji, bez pośpiechu przygotowując swe posłanie.

— Mamo Tatabo — powiedział wreszcie — uprawiałem ziemię, odkąd potrafiłem chodzić za moim ojcem.

O czymkolwiek by mówił, nawet o samochodzie czy zepsutej uszczelce, jego słowa zawsze nabierają religijnego znaczenia.



Mama Tataba kopnęła ziemię płaską bosą podeszwą i zrobiła pełną obrzydzenia minę.

— On ci nie wyrośnie. Ty musi zrobić górki — oświadczyła,

po czym odwróciła się na pięcie i poszła do domu pomóc mojej matce umyć podłogę wodą z chlorem, żeby pozabijać wszystkie tęgoryjce.

Byłam zaszokowana. W Georgii zdarzało mi się widzieć ludzi, w których mój ojciec wzbudził gniew lub strach, ale nigdy pogardę. Nigdy.

— Co to znaczy zrobić górki? — spytałam. — I dlaczego ona myśli, że roślina może pogryźć?

Nie okazywał po sobie ani śladu zdenerwowania, chociaż włosy mu płonęły, jakby zapaliły się od światła późnego popołudnia.

— Nasz świat jest pełen tajemnic — powiedział pewnym siebie tonem.

Spośród wszystkich tajemnic Afryki kilka bezzwłocznie się ujawniło. Mój ojciec obudził się następnego dnia rano z makabryczną wysypką na dłoniach i ramionach, przypuszczalnie urządzony tak przez roślinę, która gryzie. Nawet lepsze oko spuchło mu tak, że nic przez nie nie widział, w miejscu, w którym ścierał pot z czoła. Żółta ropa ciekła jak żywica z jego zmartwiałej skóry. Kiedy matka próbowała posmarować go maścią, ryknął:

— Powiedz mi, czym ja sobie na to zasłużyłem? — Usłysza łyśmy to przez zamknięte drzwi sypialni. — Au! Boże wszech mogący, Orleanna. Za co Bóg mnie tak pokarał, skoro Jego wolą jest, abyśmy uprawiali ziemię? — Drzwi otworzyły się z łomotem i wypadł z nich ojciec. Matka gonila za nim z bandażami, ale odepchnął ją brutalnie i wyszedł na zewnątrz, żeby pospacerować po ganku. W końcu musiał jednak wrócić i pozwolić się opatrzeć. Musiała obwiązać mu dłonie czystymi szmatami, zanim był w stanie wziąć do ręki widelec czy Biblię.

Tuż po modlitwie wyszłam na zewnątrz, żeby zobaczyć, jak się miewa ogródek i z osłupieniem zobaczyłam, co Mama Tataba rozumiała przez górki: dla mnie one wyglądały jak groby, szerokie i długie jak dla sporych rozmiarów nieboszczyka. Przez noc Przekształciła nasz ogród w osiem równiutkich kopców grobowych. Zawołałam ojca, który przybiegł tak szybko, jakby zobaczył żmiję i chciał ją skrócić o głowę. Cały się zatrzęsł z gniewu. Długo patrzył przymrużonym gorszym okiem, żeby ocenić, czy ogródek da się jeszcze uratować. Potem we dwojkę, nie zamieniwszy ani słowa, znów go wyrównaliśmy, tak że był płaski jak stół. Ja kopałam motyką, żeby oszczędzić jego poranione ręce. Palcem wskazującym wyryłam długie, proste bruzdy, do których powsadzaliśmy kolejną porcję naszych cennych nasion. Na końcu grządek postawiliśmy etykiety na patykach—kabaczki, fasola, dynia zwyczajna — żeby pamiętać, czego mamy się spodziewać.

Kilka dni później, kiedy ojciec się uspokoił i znów widział na oboje oczu, powiedział mi, że Mama Tataba nie miała zamiaru zniszczyć naszego wzorcowego ogródka. Istnieje coś takiego, jak rodzime obyczaje, powiedział. Będzie nam potrzebna cierpliwość Hioba.

— Ona tylko na swój sposób stara się nam pomóc — powiedział.

To właśnie najbardziej podziwiam w ojcu: nawet w najgorszych tarapatach zawsze znajdzie w sobie łaskę, aby wrócić do równowagi. Niektórzy uważają go za człowieka zbyt surowego i nieprzejednanego, ale bierze się to tylko stąd, że otrzymał w darze taki trzeźwy osąd i czyste serce. Został wybrany do życia w trudach i ciężkich próbach, tak samo jak Jezus. Ponieważ zawsze pierwszy dostrzega niedoskonałości i grzechy, na niego spada zadanie wymierzenia kary. Jednak zawsze jest gotów przyznać, że w sercu grzesznika istnieją zarodki zbawienia. Wiem, że któregoś dnia, kiedy osiągnę dojrzałość w Duchu Świętym, ojciec obdarzy mnie swoją szczerą aprobatą.

Nie wszyscy to widzą, ale mój ojciec ma serce tak samo wielkie jak dłonie. Wielką jest też jego mądrość. Nigdy nie należał do tych pastorów z leśnej głuszy, którzy zmuszają ludzi do brania do ręki jadowitych węży, rzucania dziećmi i wykrzykiwania nieartykułowanych dźwięków. Mój ojciec wierzy w oświatę. Jako chłopiec nauczył się czytać fragmenty Biblii po hebrajsku, a zanim pojechaliśmy do Afryki, kazał nam wszystkim przysiąc fałdów i nauczyć się francuskiego, gwoli lepszemu sprawowaniu

naszej misji. Był już w tylu miejscach na świecie, włączając w to inną dżunglę po drugiej stronie oceanu, na Filipinach, gdzie został rannym bohaterem podczas drugiej wojny światowej. Czyli widział praktycznie wszystko.

Rachel

W kongijską Wielką Niedzielę dziewczęta Price'ów nie dostały żadnych nowych ubrań, ani mowy o tym! Pomaszerowałyśmy do kościoła w tych samych starych butach i sukienkach, które nosiłyśmy we wszystkie dotychczasowe afrykańskie niedziele. O białych rękawiczkach mogłyśmy tylko pomarzyć. No i nie było mizdrzenia się przed lustrem, bo w całym domu jest tylko moje ręczne lustro z imitacji kości słoniowej, którym musimy się wszystkie dzielić. Matka postawiła je na biurku w dużym pokoju, oparte o ścianę, i za każdym razem, kiedy Mama Tataba przechodzi koło niego, drze się, jakby ukąsił ją wąż. Czyli: Wielka Niedziela w zabrudzonych ziemiach Oksfordach, uroczy widok. Muszę powiedzieć, że moje siostry zupełnie się tym nie przejmowały. Ruth May należy do dziewcząt, które poszłyby na własny pogrzeb w podwiniętych dżinsach, a bliźniaczkom też nigdy nie zależało na tym, jak się prezentują. Spędziły tyle czasu, oglądając nawzajem swoje twarze zanim się urodziły, że przez resztę życia mogą mijać lustra, nawet nie zerknąwszy w ich stronę.

Skoro już jesteśmy przy tym temacie, powinniście zobaczyć, w czym chodzą Kongijczycy. Dzieci ubrane w łachmany od baptystowskiej organizacji

dobroczynej albo golusieńkie. Dobór kolorów nie należy do najmocniejszych punktów miejscowej ludności. Dorośli mężczyźni i dorosłe kobiety najwyraźniej żyją w przekonaniu, że tkanina w czerwoną kratę i w różowe kwiaty ładnie się dopełniają. Kobiety wkładają sarongi z jednego materiału, a na wierzch zawijają kwadrat innej tkaniny. Żadnych dżinsów czy spodni — nigdy w życiu. Piersi mogą powiewać na wietrze, ale nogi trzeba zgrupulatnie zasłonić, ściśle tajne. Kiedy

moja matka wystawia za drzwi nogę w czarnych spodniach Capri, wszystkie wybałuszają na nią gały. Jeden facet wlaźł nawet w drzewo przed naszym domem i wybił sobie zęba przez te elastyczne spodnie mamy. Od kobiet oczekuje się, że będą nosiły tylko jeden rodzaj odzienia, ale mężczyźni to oczywiście zupełnie inna historia. Ubierają się najprzeróżniej: niektórzy mają długie koszule z tego samego afrykańskiego płótna w kwiaty, które odziewa kobiety. Niektórzy owijają sobie kawałek tego płótna wokół ramienia jak Chergules, inni wkładają koszule na guziki w amerykańskim stylu i szorty w smutnych, zabrudzonych kolorach. Kilku niższych mężczyzn paraduje nawet w małych podkoszulkach z dziecinnymi nadrukami i nikt nie uważa tego za śmieszne. Ten, który wybił sobie zęba, skombinował skądś purpurowy strój ze stalowymi guzikami, który wygląda jak wyrzucony mundur woźnego. Jeśli chodzi o akcesoria, to nie wiem, od czego zacząć. Furore robią sandały zrobione z opon samochodowych, podobnie jak przedpotopowe buty z zadartymi noskami, kalosze z czarnej gumy i jasnoróżowe sandały z plastikowych rzemyków albo bose stopy — każdy z wymienionych typów obuwia może być noszony do dowolnego z wymienionych typów odzieży wierzchniej. Okulary przeciwsłoneczne, zwykłe okulary, głowy zakryte, odkryte—jak wyżej. Czasem nawet czapka włóczkowa z pomponem albo damski jasnożółty beret—byłam świadkiem wszystkich tych dziwów i wielu innych. Odnoszę wrażenie, że filozofia ubierania się jest następująca: jeśli coś mam, to czemu tego nie nosić?

Niektórzy mężczyźni wydają się stale przygotowani na nieoczekiwaną tropikalną śnieżycę, natomiast inni nakładają na siebie szokująco niewiele — tylko szorty. Kiedy się rozejrzeć, wygląda to tak, jakby każdy wybierał się na inną imprezę, ale przypadkowo wszyscy zostali spędzeni w jedno miejsce.

Tak właśnie wyglądała Wielka Niedziela w kościele. Zresztą trzeba przyznać, że nie jest to kościół na krynoliny i lakierki. Nie ma ścian, ptaki mogą wlecieć i uwić sobie gniazdo w czyichś włosach, jeśli przyjdzie im ochota. Ojciec postawił z przodu ołtarz z liści palmowych, który miał swój prowincjonalny urok, ale dalej

widać było czarny popiół i plamy na podłodze od ogniska, które rozpalili wieczorem w dniu naszego przyjazdu, na ucztę powitalną. Nieprzyjemne memento o Sodomie, Gomorze i tak dalej. Wciąż dławię się na wspomnienie o tym kozim mięsie. Nie przełknęłam ani kęsa. Trzymałam jeden i ten sam kawałek w ustach przez cały wieczór i wyplułam za wychodkiem, kiedy poszliśmy do domu.

Trudno, nie ma nowych sukienek. Ale nie było mi wolno nawet się poskarżyć w tej sprawie, ponieważ wiecie co? Tak naprawdę to nie była Wielkanoc. Przyjechaliśmy w samym środku lata, daleko od najbliższego święta kościelnego. Ojciec był tym rozczarowany, dopóki nie dokonał szokującego w epoce odrzutowych podróży międzykontynentalnych odkrycia, że dla mieszkańców tej wioski dni i miesiące nie mają najmniejszego znaczenia. Oni nie odróżniają nawet niedzieli od wtorku czy piątku, a co dopiero mówić o dwunastym czegoś tam! Liczą do pięciu, mają dzień targowy, a potem zaczynają od nowa. Jeden z wiernych wyznał ojcu, że urządzenie przez chrześcijan nabożeństw w jakies zupełnie przypadkowe dni, jak oni to odbierają, zamiast w dzień targowy, zawsze ich bardzo dziwiło. Aleśmy się uśmieły, kiedy to usłyszałyśmy! Ojciec nie miał nic do stracenia, kiedy ogłosił swój własny

kalendarz, w którym Wielkanoc przypadła na Czwartego Lipca. Czemu nie? Potrzebował nabrać rozpędu ze swoim kościołem.

Najważniejszym punktem programu fałszywej Wielkiej Niedzieli były jasełka, zorganizowane przez ojca i wszystkich, którzy potrafili rozniecić w sobie święty ogień. Przez pierwsze kilka tygodni naszego pobytu w Kilandze frekwencja w kościele była bliska zeru, ojciec uznał więc te jasełka za wyraźny znak, że sprawy mają się ku lepszemu. Czterech mężczyzn, w tym ten w mundurze woźnego i jeden bez nogi, grali role żołnierzy i mieli prawdziwe włócznie. (Kobiety prawie nie przychodziły na nabożeństwa, więc nie było szans, żeby je zaciągnąć do jakiegoś spektaklu). Na początku mężczyźni chcieli, żeby ktoś zagrał rolę Jezusa i wstał z martwych, lecz ojciec sprzeciwił się temu z przyczyn prynsypialnych.

Przebrali się więc tylko za rzymskich strażników i stali wokół grobu, śmiejąc się z pogańską satysfakcją, bo udało im się zabić Boga, a potem w drugim akcie podskakiwali bardzo niezadowoleni, kiedy się okazało, że kamień został odsunięty.

Nie miałam zbyt przyjemności w patrzeniu na tych ludzi grających w jasełkach. Po pierwsze nie jesteśmy za bardzo przyzwyczajeni do afrykańskiej rasy, bo u nas w kraju trzymają się swoich dzielnic miasta. Ale tutaj oczywiście wszędzie jest ich dzielnica miasta. Poza tym ci mężczyźni w jasełkach mocno z tym przesadzili. Nie widziałam powodu, żeby robili to aż tak bardzo po afrykańsku. Mieli stalowe brzolety na swoich czarnych ramionach i luźne, powiewające szmaty poobwijane byle jak wokół pasa (nawet ten z drewnianą nogą!). Przylecieli w podskokach do kościoła z tymi samymi ciężkimi włóczniami, którymi w tygodniu zabijają zwierzęta. Wiedzieliśmy, że to robią, bo ich żony przychodziły do nas codziennie z całymi ociekającymi krwią nogami czegoś, co dziesięć minut wcześniej jeszcze żyło. Podejrzewam, że zanim skończy się ta wielka przygoda, ojciec zmusi swoje córki do jedzenia

nosorożców. Nasz mniej więcej powszedni chleb to antylopa. Zaczęły nam je przynosić w pierwszym tygodniu. Raz przyniosły nawet małpę. Mama Tataba targuje się z kobietami w drzwiach i wreszcie odwraca się do nas z rękami podniesionymi do góry jak mistrz bokserski, trzymając w nich nasz obiad. O jeny, powiedzcie mi, kiedy już będzie po wszystkim! Potem człapie do kuchni i rozpala w żelaznym piecu tak wielki ogień, jakby chciała wystrzelić w kosmos raketę z Cape Carniveral. Jest bardzo pożyteczna, jeśli chodzi o gotowanie wszystkiego, co żywe lub martwe, ale Bogu dzięki mama kazała usunąć z jadłospisu małpę, z jej makabrycznym uśmieszkiem. Powiedziała Mamie Tatabie, że ograniczymy się do stworzeń, które mają mniej spokrewniony z nami wygląd.

Więc kiedy mężczyźni z zakrwawionymi włóczniami, podzwaniając żelazem, defilowali przez kościół w ramach wielkanocnych jasełek, na pewno był to jakiś postęp, ale ojciec liczył na coś innego. Wyobrażał sobie, że urządzi chrzest. Jeśli już robił

w lipcu Wielkanoc, to po to, żeby zgromadziwszy wszystkich przed ołtarzem, poprowadzić ich w radosnej procesji nad rzekę, gdzie ubrane na biało dzieci dostąpiłyby zbawienia. Ojciec stałby po pas w wodzie jak święty Jan Chrzciciel, uniósłby do góry dłoń i w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego podtapiałby dziatki jedno po drugim. Rzeka wypełniłaby się po brzegi oczyszczonymi duszyczkami.

Przez wioskę płynie mały strumień i w głębszych miejscach ludzie piorą ubrania i czerpią wodę do picia, ale jest za płytki i za wąski na porządny, efektowny chrzest. Ojciec musi mieć szeroką rzekę Kwilu i cześć. Wiedziałam dokładnie, jak wyobrażał sobie tę ceremonię. To naprawdę byłby piękny widok.

Ale mężczyźni powiedzieli nie, nie zgadzamy się. Kobiety były tak bardzo przeciwne pomysłowi z podtapianiem w rzece, o którym wiedziały tylko

z pogłosek, że tego dnia wszystkie trzymały swoje dzieci jak najdalej od kościoła. W sumie większość mieszkańców Kilanga nie skapowała sensu i istoty ojcowych jasełek. Jediną damską publicznością byłyśmy my, nasza matka i Mama Tataba, a wszyscy mężczyźni, którzy potrafili chodzić, występowali w spektaklu, toteż nieprzyzwoicie duży procent widzów albo myślał o niebieskich migdałkach, albo oglądał sobie zawartość nosa.

Potem, zamiast chrztu, ojciec przywabił ludzi jak najbliżej rzeki za pomocą starodawnej metody, jaką jest parafialna wieczerza. Mieliśmy piknik na brzegu rzeki Kwilu, która wydziela rozkoszną woń szlamu i zdechłych ryb. Rodziny, które nie chciały przestąpić progę kościoła (który nawiasem mówiąc, nie ma żadnego progę), zdołały się jednak wkręcić na piknik. Rozumiem ich, to my przynieśliśmy większość jedzenia. Im się chyba wydaje, że jesteśmy Świętym Mikołajem, dzieci przybiegają do nas codziennie, żebrząc o jedzenie i inne rzeczy — a my jesteśmy biedni jak myszy kościelne! Jedna kobieta, która przyszła, żeby spróbować nam sprzedać swoje ręcznie plecione koszyki, zajrzała przez drzwi, zobaczyła nasze nożyczki i po prostu spytała, czy mogłaby je sobie wziąć! Co za bezpośredniość.

Wszyscy więc z wielką pompą przybyli na piknik: kobiety z głowami zawiniętymi w batik jak prezenty urodzinowe. Dzieci ponakładały całą nieliczną garderobę, jaką posiadały — a i to zrobiły tylko ze względu na nas, po awanturze na temat obowiązujących strojów wieczorowych, jaką pierwszego dnia urządził ojciec. Jednak mimo to wydawało się, jakby wszyscy byli nadzy. Niektóre z kobiet przyniosły ze sobą noworodki, maciupkie, płowe, pomarszczone stworzenia, które matki obwijają szmatami, kocami, a nawet nakładają im wełniane czapeczki, w tym upale! Pewnie żeby pokazać, jak bardzo je hołubią. W całym tym kurzu i pyle, gdzie rzadko można zobaczyć coś błyszczącego i nowego, noworodek wydaje się sporym wydarzeniem.



Oczywiście wszyscy gapili się na mnie, jak zawsze w Kilandze. Jestem najbardziej ekskremalną blondynką, jaką można sobie wyobrazić. Mam szafirowe oczy, białe rzęsy i platynowoblond włosy do pasa. Są takie delikatne, że muszę używać szamponu Breck Special Formulated i nawet nie chcę myśleć o tym, co będzie, kiedy skończy mi się jedyna butelka, którą ojciec pozwolił mi zabrać: pewnie będę tłuc włosy o kamień, tak jak Mama Tataba robi z naszymi ubraniami, urocza perspektywa. Z własnej inicjatywy Kongijczycy wydają się niezdolni do wyhodowania sobie zbyt bujnych włosów — co drugi jest łysy jak kolano, nawet dziewczęta. To nieprzyjemny widok zobaczyć dziewczynkę w powiewającej sukience i bez jednego włosa na głowie. W efekcie wszystkie są tak zazdrosne o moje włosy, że beczelnie podchodzą i szarpią mnie za nie. To zaskakujące, że moi rodzice dopuszczają do takiej sytuacji. Pod pewnymi względami są tacy surowi, że mogłybyśmy równie dobrze mieć komunistów za rodziców, ale kiedy chodzi o rzecz, którą naprawdę by się chciało, żeby zauważyli, to uprawiają kompletny tumiwisizm.

Wielkanocny piknik w dniu czwartego lipca ciągnął się przez całe kongijskie popołudnie, które wydawało się wiecznością. Brzeg rzeki, chociaż z oddali wygląda atrakcyjnie, z bliska nie jest już taki piękny: śliskie, cuchnące wały błota porośnięte gęstwiną krzaków z krzykliwymi pomarańczowymi kwiatami, tak

wielkimi, że gdyby włożyć sobie jeden z nich za ucho jak Dorothy Lamour, to wyglądałoby to tak, jakby ktoś nosił dla ozdoby talerz na zupeł. Rzeka Kwilu ma niewiele wspólnego z rzeką Jordan, zimną i szeroką. Jest to leniwa, snująca się powoli rzeka ciepła jak kąpiel w wannie, a krokodyle przetaczają się w niej ponoć jak kłody drzew. Po drugiej stronie nie ma krainy mlekiem i miodem płynącej, tylko śmierdząca, rozedrgana dżungla, tak odległa jak wspomnienie pikników w Georgii. Zamknęłam oczy i marzyłam o napoju gazowanym w wygodnych jednorazowych puszkach. Wszyscy jedliśmy

smażone kurczaki po amerykańsku, które przyrządziła moja matka, zaczynając od samego początku, czyli od zarżnięcia kurczaków i poobcinania im głów. Były to te same kurczaki, za którymi Ruth May ganiała wokół domu tego dnia przed kościołem. Moje siostry robiły płaczliwe miny, ale ja z przyjemnością obgryzałam swoją nóżkę! Pomyślałam, że w kontekście całej mojej sytuacji nie będę się jeszcze dodatkowo martwiła o zniwo śmierci, które zebrał nasz piknik. Byłam wdzięczna za chrupiący smak czegoś, co łączyło ten obłąkany, bzyzący upał z prawdziwym latem.

Kurczaki były dla nas kolejną niespodzianką, tak samo jak Mama Tataba. Kiedy przyjechaliśmy, czekało na nas ogromne stado kur w czarno-białą kratkę. Wychodziły z kurnika, wysiadywały jajka na drzewach i w innych tajemnych miejscach, bo odkąd wyjechał brat Fowles, wszystkie zaczęły chować swoje jajka i wychowywać dzieci w przerwie między misjami. Mieszkańcy wioski zamierzali nam trochę pomóc, zjadając kilka kur przed naszym przyjazdem, ale domyślałam się, że Mama Tataba odwiodła ich od tego za pomocą kija. To matka postanowiła poświęcić większość stada na nakarmienie wioski, coś w rodzaju ofiary pokoju. W dniu, w którym miał się odbyć piknik, musiała wstać ze świtaniem, żeby zdążyć pozabijać i upiec te wszystkie kury. Podczas pikniku chodziła wśród tłumu, rozdając udka i skrzydełka małym dzieciom, które były przeszczęśliwe, oblizywały palce i śpiewały hymny. Ale chociaż tak strasznie się namęczyła przy tym gorącym piecu, ojciec prawie nie zwrócił uwagi na to, w jaki

sposób pozyskała gawieź. Myślami był dwa miliony mil stąd. Głównie gapił się na rzekę, gdzie nikt nie miał zamiaru dać się tego dnia podtopić. Widać było tylko duże dywany przepływających roślin i ptaki na szczudłowatych nogach, które paradowały tak dumnie, jakby każdy uważał się za pępek świata.

Byłam zła na ojca, że w ogóle się tam znaleźliśmy, ale widziałam, że on też jest mocno przygnębiony. Kiedy coś sobie wymyśli, to wołami się go od

tego nie odciągnie. Piknik miał w sobie coś odświętnego, ale ojciec nie tak to sobie zamierzył. Z punktu widzenia Bożego planu zbawienia impreza poszła na marne.

Ruth May

Nie rozumiem, jak ktoś może być głodny i mieć wielki, tłusty brzuch.

Dzieci mają na imię Tumba, Bangwa, Mazuzi, Nsiba i tak dalej. Pod nasz dom najczęściej przychodzi taki, co nie wiem, jak ma na imię. Jest prawie taki duży jak moje siostry, ale nie ubiera nic oprócz starej, szarej koszuli bez guzików i workowatych szarych spodni. Ma wielki okrągły brzuch, a pępek sterczy mu jak czarna kulka. Rozpoznaję go po koszuli i spodniach, nie po pępku. Pępki wszyscy mają. Myślałam, że wszyscy są grubi, ale ojciec powiedział, że nie. Są okropnie głodni i brakuje im witamin, a mimo to Pan Bóg każe im wyglądać, jakby byli grubi. To chyba kara za to, że są potomkami Chama.

Jedno z dzieci to dziewczynka, poznaję po sukience. Jest purpurowa w kratkę i rozdartą u góry, więc widać jeden cycek, ale ona i tak ją nosi, jakby nic nie zauważyła i nikt jej nie powiedział. Ma też buty. Kiedyś były białe, ale teraz mają ten sam kolor co ziemia. Tutaj wszystko, co kiedyś było białe, przestało być białe. Nie widuje się tutaj tego kolom. Nawet biały kwiat, co otwiera się na krzaku, wygląda, jakby się urodził nie w tym kraju co trzeba.

Pozwolili mi zabrać ze sobą tylko dwie zabawki: wycior do fajki i szmacianą małpkę. Małpki już nie mam. Zostawiłam ją

kiedyś na werandzie i kiedy przyszłam następnego dnia rano, już jej nie było. Jedno z tych małych dzieci ukradło, co jest ciężkim grzechem. Ojciec mówi, żeby im wybaczyć, bo nie wiedzą, co czynią- Mama mówi, że trudno to nawet nazwać grzechem, skoro im tak strasznie wszystkiego brakuje. W sumie

nie wiem, co mam myśleć, czy to był grzech, czy nie. W każdym razie wściekłam się i urządziłam awanturę. Niechący nasikałam do spodni. Moja małpa miała na imię Święty Mateusz.

Dorośli mężczyźni w Kongu nazywają się Tata Coś Tam. Ten jeden, co się nazywa Tata Nydo, jest wodzem. Chodzi cały na biało, w kocich skórkach i takim czymś na głowie. Ojciec musiał pójść się zobaczyć z Tata Nydo, żeby oddać diabłu, co diabelskie. A kobiety nazywają się Mama Coś Tam, nawet jak nie mają dzieci. Tak jak Mama Tataba, nasza kucharka. Rachel nazywają Mama Tatarą, ale ona nie chce zrobić nam tatarą, choćja bardzo lubię.

Ta pani w małym domku niedaleko naszego nazywa się Mama Mwanza. Kiedyś zapalił jej się dach i spalił jej nogi, ale nie resztę. To się stało dawno temu. Mama Tataba opowiedziała o tym mamie w kuchni i ja wszystko słyszałam. Nie chcą mówić o przykrych rzeczach przy moich siostrach, ale ja mogę słuchać przez cały dzień, kiedy biorę z kuchni banana i obieram go. Mama Tataba wiesza całą dużą rodzinę bananów w rogu, żeby trantatule, co tam mają mieszkanie, mogły wyjść, kiedy tylko zechcą. Siedziałam cichutko na podłodze i obierałam banana tak samo jak obierałby Święty Mateusz, gdyby był prawdziwą małpą i gdyby mi go nie ukradli, i usłyszałam, jak rozmawiali o kobiecie, co się spaliła. Dachy się palą, bo są zrobione z patyków i siana jak domki Trzech Małych Świnek. Wystarczyłoby, żeby wilk chuchnął z bliska i dom by się zapalił. Nawet nasz. Jest o niebo lepszy od innych, ale nie z cegły. Nogi Mamy Mwanzy nie spaliły się całe, ale wyglądają jak poduszka czy coś, na czym siedzi, zawinięte w płócienny worek. Musi kicać na rękach. Spody dłoni ma jak podeszwy stóp, tyle że z długimi palcami. Poszłam tam i popatrzyłam sobie na nią i na jej małe dziewczynki, które chodzą bez ubrania. Była miła i dała mi kawałek pomarańczy. Mama o tym nie wie.

Mama Mwanza o mało co nie spaliła się wtedy na śmierć, ale potem wyzdrowiała. Mama mówi, że biedaczka miała pecha, bo teraz musi się

zajmować mężem i siódemką czy ósemką dzieci. Nic ich nie obchodzi, że ona właściwie nie ma nóg. Dla nich ona jest po prostu mamą i czemu nie ma obiadu? I dla wszystkich innych ludzi z Konga. Nie zwracają na nią uwagi, jakby była normalną osobą. Nikt nawet nie mrugnie okiem, kiedy ona kica na rękach na pole albo nad rzekę, żeby zrobić pranie z innymi kobietami, które tam codziennie pracują. Wszystko nosi w koszu na głowie. Jest taki sam duży jak wielki biały kosz na pranie, który mama ma w kraju, i Mama Mwanza wkłada do niego ze sto rzeczy naraz. Kiedy kica drogą, nic jej nigdy nie wypadnie. Wszystkie inne panie też noszą na głowach duże kosze, więc nikt nie gapi się zdziwiony na Mamę Mwanzę.

Jeśli się na kogoś gapią, to na nas. A najgorzej na Rachel. Z początku mama i ojciec pomyśleli, że może nie zaszkodzi, jak trochę utną Rachel nosa. Ojciec powiedział do mamy: „Dziewczyna nie powinna się uważać za lepszą od innych tylko dlatego, że włosy mają biały królik”. Tak powiedział. Powiedziałam to Lei, a ona głośno się roześmiała. Ja też jestem blondynką, ale nie przypominam białego królika. Mama mówi, że jestem ryż, ale mnie się wydaje, że ryż ma inny kolor. W każdym razie mam nadzieję, że nie będą mi musieli ucierać nosa jak Rachel. Lubię ryż, wolę od ziemniaków. Królika można trzymać do zabawy albo można go zjeść. Biedna Rachel. Zawsze jak wychodzi, to banda kongijskich dzieci biegnie za nią drogą i szarpia ją za jej długie białe włosy, żeby zobaczyć, czy nie da się trochę urwać. Czasem nawet dorośli tak robią. Pewnie uważają, że to fajna zabawa. Lea powiedziała, że oni nie wierzą, że to są jej włosy, myślą, że włożyła sobie coś na głowę.

Rachel ma też najgorzej poparzoną skórę od słońca. Mnie też się to zdarza, ale nie tak jak jej. Różowy to ulubiony kolor Rachel, i całe szczęście, bo sama jest teraz różowa. Ojciec mówi, że każda młoda kobieta musi nauczyć się pokory, a Bóg dla każdej wybiera inną metodę.

— Ale czy muszą wyglądać jak dziwolągi? — mówi mama.

Dawniej Rachel była Panna Niedotykalska, a teraz jest dziwołagiem. Kiedyś jedynym członkiem naszej rodziny, z którym coś było nie w porządku, była Ada, ale tutaj nikt nie gapi się na Adę, może tylko trochę, dlatego, że jest biała. Nikogo nie obchodzi, że ma chorą całą jedną stronę, bo mają swoje upośłone dzieci, mamę bez nóg albo bez oka. Wystarczy wyglądnąć przez drzwi, żeby zobaczyć kogoś, komu czegoś brakuje i w ogóle się tego nie wstydzą. Pomachają ci przyjaźnie kikutem, jeśli mają kikut.

Z początku mama zdorcowała nas za to, że gapimy się na ludzi i pokazujemy ich palcami. Ciągłe szeptała: — Czy muszę wam co chwilę powtarzać, żebyście się nie gapiły! — Ale teraz mama też się patrzy. Czasami mówi do nas albo do siebie, Zaraz, Tata Zinsana to będzie ten, co nie ma ani jednego palca, no nie? Albo mówi, Ta z tym wielkim wolem jak kacze jajo to jest Mama Nguza.

Ojciec powiedział: —? Oni żyją w ciemnościach, złamani na ciele i duszy, i nawet nie wyobrażają sobie, że mogliby zostać uzdrowieni.

Mama powiedziała: — Może oni mają inny stosunek do swoich ciał.

Ojciec mówi, że ciało jest świątynią. Mama czasami mówi takim głosem, jakby mu się odszczekiwała. Szyła zasłony na okna z materiału na sukienki, żeby nam nie zaglądali, i miała w ustach szpilki.

Wyjęła szpilki i powiedziała: — Tutaj w Afryce ta świątynia musi w ciągu dnia wykonać makabrycznie dużo pracy. — Powiedziała: — Nathan, przecież oni tu posługują się swoimi ciałami tak jak my w kraju używamy rzeczy — ubrań, narzędzi ogrodowych czy czegoś. Ty przecierasz sobie spodnie na kolanach, a oni przecierają sobie kolana!

Ojciec surowo spojrzął na mamę za to, że się z nim nie zgodziła.

— Cóż, mój drogi, tak mi to po prostu wygląda — powiedzia ła- —  
Takie jest moje spostrzeżenie. Wydaje mi się, że ich ciała zużywają się tak jak  
nasze dobra materialne.

Mama nie odszczekiwała się. Mówi na niego mój drogi, tak jak do nas  
mówi słoneczko czy żabuniu, chce być miła. Ale mimo wszystko. Gdybym ja  
mu tak odpowiedziała, to bym usłyszała: „Oj, bo się doigrasz, koleżanko”. I  
wyglądało na to, że szykuje się powiedzieć to samo do mamy. Nie mógł się  
zdecydować. Stał w drzwiach wejściowych, słońce ledwo ledwo przeciskało się  
z obu stron. Jest taki duży, że zasłaniał prawie całe drzwi. Głową prawie dotykał  
góry. Mama po prostu siedziała przy stole i zaczęła znowu szyć.

Powiedział: — Orleanna, ludzkie ciało jest czymś dużo, dużo cenniejszym  
aniżeli para spodni khaki od Searsa i Roebucka. Sądziłem, że dostrzegasz  
różnicę. — Potem spojrział na nią wrednie swoim jedynym okiem i powiedział:—  
Akurat po tobie się tego nie spodziewałem.

Poczerwieniała i wypuściła głośno powietrze, jak zawsze robi, kiedy się  
coś takiego dzieje. Powiedziała: — Nawet coś cennego może się złachmanić od  
zużycia. Zważywszy, w jakich oni tu żyją warunkach, może ich stosunek do  
swoich ciał nie jest taki zły.

Potem mama znów włożyła sobie szpilki do ust, więc nie było już więcej  
rozmawiania.

Ojciec nic nie powiedział, ani na tak, ani na nie, tylko odwrócił się i  
wyszedł. Nie lubi, jak ktoś się z nim spiera. Gdybym to była ja, to o jeny. Ten  
pasek do ostrzenia brzytwy tak okropnie piecze i jeszcze w nocy człowiek czuje  
się tak, jakby miał nogi pasiaste jak zebra.

Jest jedna rzecz, którą ojciec porządnie zużył: stary zielony fotel bujany w  
salonie domu, w którym mieszkamy w Bethlehem, w Georgii. Widać białe nitki

w kształcie pupy. Nie wygląda to zbyt elegancko. Ale to niczyja wina, tylko jego. On siedzi w tym fotelu całymi wieczorami i bez końca czyta. Od czasu do czasu czyta nam na głos historie z Pisma Świętego. Czasem zaczynam drapać się w strupki i myśleć o kreskówkach zamiast o Jezusie, i On widzi, że to robię. Ale Jezus mnie kocha i jedną rzecz wiem na pewno: nikomu prócz ojca nie wolno siedzieć na tym zielonym fotelu bujanym.

Mama mówi, że w naszym domu w Bethlehem mieszka teraz

inny pan i pani z dwójką małych dziewczynek i niemowlęciem. Ten pan jest pastorem, który zastępuje ojca. Mam nadzieję, że wiedzą o fotelu ojca, bo jeśli na nim usiądą, to o jejku, kara ich nie minie.

Ada

„LEK NIE BYŁ ANI DIABELSKI, ANI BOSKI. Otworzył jedynie więzienną bramę, za którą tkwiły me skłonności, a one, jak jeńcy z Filipi, wybiegły na wolność”\*. Tak czuję. Życie w Kongu otwiera bramy więzienia mych przyrodzonych skłonności i wypuszcza na zewnątrz wszystkie złe i perfidne Ady.

Aby zabawić moje zdeprawowane adoja w porze odrabiania lekcji zapisałam ten cytat z pamięci na małej trójkątnej kartce papieru i podałam ją Lei, z pytaniem: Z KTÓREJ KSIĘGI BIBLIJNEJ? Lea uważa się za ulubioną uczennicę naszego ojca w dziedzinie biblistyki. Pani biblistka przeczytała cytat, kiwając poważnie głową i napisała pod spodem: „Święty Łukasz. Nie jestem pewna, który werset”.

Ha, ha! Potrafię śmiać się do rozpuku bez śladu uśmiechu na zewnątrz.

Cytat pochodzi z Przedziwnej historii doktora Jekylla i pana Hyde'a, którą przeczytałam wiele razy. Mocno się utożsamiam z mrocznymi pragnieniami doktora Jekylla i kalekim ciałem pana Hyde'a.



Zanim uciekłyśmy od ponurych bibliotek Bethlehem, przeczytałam również ostatnio Wędrowkę pielgrzyma i Raj utracony, które mają gorszą fabułę niż Dr Jekyll, jak również wiele innych książek, o których nie wie Ojciec Nasz, włączając w to wiersze panny Emily Dickinson i Tales of the Grotesque and Arabesque Edgara Allana Poeego. Bardzo lubię pana Poeego i jego znamiennego Kruka: A, kruk, kurka!

\* Robert Louis Stevenson, Przedziwna historia doktora Jekylla i pana Hyde'a, Przełożył Maciej Słomczyński, Świat Książki, Warszawa 1999, s. 83.

Matka jest tą, która zauważa i nic nie mówi. Ona to wszystko zapoczątkowała, czytając na głos mnie i Lei psalmy i różne rzeczy z serii Klasyka dla Rodziny. Matka traktuje Biblię jak poganka, rozkoszując się takimi zwrotami jak „pokrop mnie hizopem”, „osaczają mnie byki Baszanu” czy „wórnicy rozwiązałeś, opasałeś mnie radością”\*. Ma szczególną obsesję na punkcie statusu Lei i mnie jako wyjątkowych dzieci. Kiedy zaczęłyśmy chodzić do pierwszej klasy, dyrektorka szkoły podstawowej w Bethlehem, panna (stara) Leep, zrobiła nam testy i orzekła, że jesteśmy wybitnie uzdolnione: Lea ze względu na imponujące wyniki sprawdzianów na rozumienie tekstu pisanego, a ja przechodnio, ponieważ zakłada się, że nieuszkodzone części mózgu mam takie same. Był to szok dla matki, która do tej pory nie zaproponowała nam innej edukacji prócz nauczania nas nazw polnych kwiatów rosnących w przydrożnych rowach, kiedy szłyśmy na bosaka (o ile nie spoczywał na nas gromiący wzrok ojca) z pastorówki na targ za rogiem. Moje najwcześniejsze wspomnienia związane z matką leżą roześmiane i niebieskookie w trawie, sama była dzieckiem, przetaczała się z boku na bok, gdy Rachel i Lea dekorowały ją całą biżuterią z czerwonej koniczyny. Odkąd się jednak okazało, że Lea i ja jesteśmy dziećmi wybitnie uzdolnionymi, wszystko się zmieniło. Ta wiadomość od naszych nauczycieli otrzeźwiła matkę, jakby to była szczególna kara zesłana przez Boga. Matka stała się bardziej konspiracyjna i zorganizowana. Postawiła

szlaban przechadzkom wśród natury i zabrała się do roboty uzbrojona w kartę biblioteczną.

Konspiracja była zupełnie niepotrzebna, bo Ojciec Nasz i tak niczego by nie zauważył. Kiedy po raz pierwszy usłyszał diagnozę pani Leep o naszym geniuszu, wywinął tylko oczami do góry, jakby mu ktoś powiedział, że na jego podwórzu złapano dwa psy, które gwizdały hymn Konfederatów. Ostrzegał matkę, żeby nie stawiała okoniem wobec woli Bożej i nie oczekiwała po nas zbyt wiele.

\* Cytaty z Psalmów wg: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. III poprawione, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.

— Posłać dziewczynę na studia to jak nalać sobie wody do butów — powtarza przy każdej nadarzającej się okazji i.—Trudno powiedzieć, co gorsze: patrzeć, jak woda wycieka i się marnuje, czy patrzeć, jak niszczy buty.

Nigdy zatem nie będę miała szansy zniszczyć sobie butów studiami, ale mam wielki dług wdzięczności wobec panny Leep za to, że ocaliła mnie przed wysypiskiem śmieci szkoły podstawowej . Mniej spostrzegawcza dyrektorka umieściłaby Leę w klasie dla dzieci wybitnie uzdolnionych, a mnie w specjalnej z mongolami i całą szóstką ssących kciuki i szarpiących się za uszy dzieci Crawleyów, gdzie nauczyłabym się ciągnąć siebie samą za ucho. Feralny, katastrofalny, mongoidalny. Wciąż utożsamiam się z tym słowem, które kojarzy mi się ze stepami Azji.

Ale jakże rozsierdziło matrony z Bethlehem, kiedy zobaczyły, że to biedactwo wznosi się o klasę wyżej od ich własnych dzieci, a tam bryluje w matematyce. W trzeciej klasie zaczęłam sumować w głowie nasz rachunek w sklepie spożywczym, spisywać go i podawać Delmie Royce szybciej, niż ona potrafiła go zliczyć na kasie. To stało się głośnym wydarzeniem i nieodmiennie ściągało tłumy. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego to budziło taką sensację. Po

prostu pociągały mnie te grzechoczące, luźne liczby, które domagały się, by je ustawić w szeregu. Najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy, że obliczanie sum wymaga tylko najbardziej podstawowych narzędzi i dobrej koncentracji. Znacznie trudniejsza jest poezja. I palindromy, z ich wspaniałym, sycącym smakiem: Owo zakop pokazowo! A jednak wrażenie robią szare, nijakie sumy rachunku w spożywczym.

Moim hobby jest nie robić nic na pokaz i wybijać się wtedy, kiedy mam na to ochotę. Umiem czytać i pisać po francusku, a w Kilandze mówią tym językiem wszyscy, którzy przeszli przez szkołę Underdownów. Moje siostry chyba nie zwolniły tempa na wystarczająco długi czas, żeby nauczyć się francuskiego. Jak już stwierdziłam, mówienie — wraz z całą resztą gimnastyki życia — z pewnego punktu widzenia może sprawiać wrażenie czegoś, co odciąga od ważniejszych rzeczy.

Kiedy skończę czytać książkę od przodu do tyłu, czytam ją od tyłu do przodu. Od tyłu do przodu jest to inna książka i można się z niej dowiedzieć nowych rzeczy. Rzeczy nowych dowiedzieć z niej się można i książka inna to jest przodu do tyłu od?

Można się z tym zgodzić lub nie. Oto inne odczytanie, chociaż podobno dla normalnego mózgu za trudne: Yzcezr hcywon éeizdeiwod jein z ęis anżom i akżąisk anni ot tsej udozrp od ułyt do. Jak rozumiem, normalny mózg widzi tak jak ja tylko wystarczająco poetyckie teksty: Ada blask sal bada.

Moje własne imię i nazwisko, tak jak najczęściej o nim myślę, brzmi Ecirp Nelle Hada. Czasami piszę je w ten sposób bez zastanowienia i ludzie są zaskoczeni. Dla nich j estem tylko Adah, a moje siostry używają czasem tego okropnego monosylabicznego Ade, które z niczym się porządnie nie rymuje.

Wolę wersję Ada, bo jest dwustronna, tak jak ja. Jestem doskonałym palindromem. Na okładce mojego zeszytu napisałam ostrzeżenie dla innych, że jestem surowym sędzią: »

ADA BLASK SAL BADA\*.

Jeśli chodzi o imię mojej siostry bliźniaczki, to wolę pisownię Lea, bo wydaje mi się jędrniejsza i mniej chrapliwa.

Kongo to dobre miejsce, aby nauczyć się czytać tę samą książkę wiele razy. Zwłaszcza kiedy z nieba leje deszcz, spędzamy długie godziny w niewoli i moje siostry oddają się znużeniu. Ale przecież istnieją książki! Grzechoczące słowana ich stronach wzywają moje oczy, żeby z nimi tańczyły. Wszyscy inni raz przebrną przez ten labirynt, lecz Ada wciąż ma przed sobą i za sobą wiele odkryć.

Kiedy spadła na nas w Kilandze pora deszczowa, to było jak prawdziwa katastrofa. Ostrzegano nas, byśmy spodziewali się deszczu w październiku, lecz pod koniec lipca — nie zaskakując w Kilandze nikogo prócz nas — przyjazne niebiosa chlusnęły wiadrami wody. Ydow imardaiw! Lało jak z cysterny, jak mówi

\* Wg: Józef Godzić, Echozdania czyli palindromy, Mitel, Rzeszów 1996.

mama. Prało żabami szczurami rurami, a potem węzami i jaszczurkami. Spadła na nas zaraza deszczu, jakiej nigdy nie widzieliśmy i nigdy sobie nie wyobrażaliśmy w Georgii.

Pod okapem ganku nasz podopieczny Matuzalem darł się w swojej klatce jak tonący człowiek. Matuzalem jest afrykańską papużką szarą z ładną, jakby łuskowatą głową, ostrym, sceptycznym okiem jak panna Leep i szkarłatnym ogonem. Mieszka w niezwyklej bambusowej klatce, wysokiej jak Ruth May. Jako żerdka służy mu kawałek staroświeckiej metrowej linijki o trójkątnym

przekroju, z której dawno temu ktoś odłamał odcinek od 47. do 91. centymetra i przydzielił go Matuzalemowi do jego prywatnych celów.

Papugi słyną z długowieczności, a spośród wszystkich ptaków świata afrykańskie papużki szare najlepiej naśladową ludzką mowę. Nie wiem, czy Matuzalem zdaje sobie z tego sprawę, bo strasznie bełkocze. Mruczy pod nosem przez cały dzień jak dziadek Wharton. Z reguły mówi niezrozumiałe rzeczy w języku kikongo, ale posługuje się także obcesowym angielskim jak Kruk pana Poego. W pierwszym dniu deszczu podniósł głowę i poprzez ryk burzy wyrzaskiwał swoje dwa popisowe zwroty w naszym języku: najpierw, skrzywionym głosem Mamy Tataby, „Zbudź się, bradzie Fowels! Zbudź się, bradzie Fowels!”

Potem niskim warkotem: „Odwal się, Matuzalem!”

Wielebny Price podniósł wzrok znad biurka przy oknie i odnotował słowa „Odwal się”. Moralnie podejrzany duch brata Fowlesa osaczał nas.

— To jest katolicki ptak — orzekł wielebny.

Matka podniosła wzrok znad szycia. Moje siostry i ja wierciłyśmy się w krzesłach, oczekując, że ojciec zada Matuzalemowi Werset.

Budzący przerażenie „Werset” pełni w naszym domu funkcję kary. Inne dzieci, które miały więcej szczęścia, za swoje grzechy biorą po prostu w skórę, lecz dziewczęta od Price'ów chłostane są za pomocą Pisma Świętego. Wielebny wbija w ciebie wzrok i oznajmia: „Dostajesz Werset”. Potem powoli, gdy my wijemy

się na haczyku jego wędziska, pisze na kartce papieru, na przykład, Jeremiasz 48,18. Pożegnaj się zatem, biedna grzesznico, ze słońcem i Hardy Boys\* na to popołudnie, musisz bowiem z ołówkiem w swej sprawnej lewej ręce przepisać Jeremiasza 48, 18, „Zstąp z sławy a siądź w pragnieniu, córko

Dybon!", a dodatkowo dziewięćdziesiąt dziewięć następnych wersetów. Sto całych wersetów przepisanych odręcznie, ponieważ dopiero ten ostatni ujawnia, na czym polegała twoja zbrodnia. W przypadku Jeremiasza 48, 18 ostatni jest werset 50,31: „Owoja do ciebie, hardy! — mówi Pan, Bóg zastępów; bo przyszedł dzień twój, czas nawiedzenia twego". Dopiero po dotarciu do setnego wersetu rozumiesz, że zostałeś ukarana za grzech hardości. Chociaż czasami da się to przewidzieć.

Czasami każe nam przepisywać z Biblii Króla Jakuba, lecz woli używać przekładu amerykańskiego, który zawiera jego ukochane apokryfy. To jedna z misji życiowych wielebnego: nakłonić innych baptystów, aby przyswoili sobie apokryfy.

Nawiasem mówiąc, tak się czasem zastanawiam: czy Ojciec Nasz zna Biblię tak dokładnie, że potrafi wybrać pouczający werset i policzyć sto wersetów do tyłu? A może ślęczy nocami i wyszukuje wersety na każde potencjalne przekroczenie i trzyma tę amunicję w pogotowiu, aby wystrzelić nią do swoich córek? Tak czy owak jest to równie imponujące jak moje sumowanie rachunków w Piggly Wiggly. Wszystkie, zwłaszcza Rachel, żyjemy w strachu przed straszliwym Wersetem.

Lecz Matuzalem, który przeklinał w pierwszy dzień deszczu, nie mógł zostać ukarany przepisywaniem Biblii. Matuzalem, choć nie podlegał regulaminowi wielebnego, tak samo jak Ojciec Nasz stwierdzał, że naród kongijski pozostaje poza zasięgiem jego władzy. Matuzalem był podstępny przedstawicielem Afryki, mieszkającym jawnie w naszym domu. Można nawet twierdzić, że to my zamieszkaliśmy u niego.

\* Hardy Boys — bohaterowie najpopularniejszej serii powieściowej Edwarda L. Stratemeyera (1862-1930), autora powieści dla młodzieży.

Słuchałyśmy papuziego trajkotania i siedziałyśmy uziemione, zamknięte w jednym pomieszczeniu z Ojcem Naszym. Przez pięć bitych godzin ulewy patrzyłyśmy, jak małe czerwone ropuchy z olbrzymimi palcami jak w kreskówkach próbują wcisnąć się przez okna i wskakują na ściany. Nasze płaszcze na każdą pogodę wisały każdy na swoim kołku. Być może były przeznaczone na każdą pogodę oprócz tej.

Nasz dom jest zbudowany z gliny i palmowej strzechy, lecz różni się od wszystkich innych domostw w Kilandze. Po pierwsze jest większy, z szeroką izbą od frontu i dwiema sypialniami z tyłu, z których jedna przypomina scenę szpitalną z czasów Florence Nightingale, ponieważ jest zapchana łóżkami osłoniętymi moskitierą, aby pomieścić rodzinną nadwyżkę dziewcząt. Kuchnia mieści się w osobnej chacie, za głównym domem. Jeszcze dalej stoi nasza latryna, która ani trochę się nie wstydzi, mimo że Rachel codziennie obrzucają najgorszymi wyzwiskami. Opodal jest też kurnik. W przeciwieństwie do chat pozostałych mieszkańców, mamy kwadratowe szyby w oknach, a fundamenty i podłoga są z betonu. Wszystkie inne domostwa mają klepisko za podłogę. Kobiety z wioski nieustannie zamiatają swoje izby i nagi kawałek klepiska przed chatami, za pomocą mioteł z liści palmowych. Rachel z charakterystyczną dla siebie przenikliwością powiedziała, że taką podłogę można zamieść aż do Chin, a i tak nie będzie czysta. Dzięki Bogu i betonowi tego rodzaju frustracje naszej rodzinie zostały oszczędzone.

W pokoju od frontu mamy stół jadalny, który wygląda, jakby został uratowany z wraku statku, jest też olbrzymie biurko z zamykaniem żaluzjowym (przypuszczalnie z tego samego statku), używane przez Ojca Naszego do pisania kazań. Biurko ma drewniane nogi i żeliwne kurze łapki, z których każda ściska olbrzymią szklaną kulę, lecz trzy kule są popękane, a jednej nie ma w ogóle; w celu zapewnienia użytkownikowi poziomego blatu do pisania zastąpiono ją kawałkiem skorupy kokosa. W izbie naszych rodziców kolejne sprzęty:

drewniana komoda i stary patefon z wypatroszonym mechanizmem. Wszystko sprowadzone przez innych

dzielnych baptystów przed nami, choć trudno sobie wyobrazić, jak tego dokonali, chyba że korzystali z innych, bardziej tradycyjnych środków transportu, na których nie obowiązuje dwudziestokilogramowy limit. Mamy też stół jadalny i z gruba ciosany, ręcznie zrobiony kredens, w którym stoi komisowa kolekcja szkła, plastikowych talerzy i kubków, wszystkiego o jeden za mało, toteż my dziewczęta musimy negocjować, która będzie jadła drugie widelcem, a która łyżką. W kredensie stoi też stary, porysowany talerz upamiętniający Wystawę Światową w St. Louis oraz plastikowy kubek z namalowanym nosem i uszami myszy. Pośród tej całej gawiedzi, spokojna jak Maryja Dziewica w stodole pełnej pastuszków i owrzodziałego bydła, jedna niezwykła, przepiękna rzecz: duża, owalna biała taca pomalowana w delikatne niebieskie niezapominajki, z białej porcelany, tak cienkiej, że przenika przez nią słońce. Jej pochodzenie jest niezgłębione. Musimy się pilnować, żeby nie zacząć bić przed nią pokłonów.

Z przodu domu ciągnie się długi, cienisty ganek, który nasza urodzona w Missisipi matka nazywa werandą. Moje siostry i ja uwielbiamy wylegiwać się na nim w hamakach i tęskniłyśmy za schronieniem się tam nawet w dniu pierwszej ulewy. Burza zacinała jednak ukośnie, spryskując ściany i biednego Matuzalema. Kiedy jego krzyki stały się nie do wytrzymania żałościwe, matka z ponurą miną wniosła kłatkę do środka i postawiła na podłodze pod oknem, gdzie Matuzalem dalej snuł swój głośny, niezborny komentarz. Oprócz papizmu wielebny przypuszczalnie podejrzewał to hałaśliwe stworzenie o utajoną samiczość.

Ulewa wreszcie ustała tuż przed zachodem słońca. Świat sprawiał wrażenie podeptanego i przemoczonego, lecz moje siostry wybiegły na zewnątrz z piskiem jak trzy pierwsze świny z arki, chcąc zobaczyć, co pozostawił po



sobie potop. Okazało się, że wisząca nisko w powietrzu chmura w istocie składa się z milionów latających stworzeń podobnych do mrówek. Unosiły się tuż nad ziemią, z przeciągłym, basowym buczeniem, które ciągnęło się aż na koniec świata. Gdy je od siebie odpędzałyśmy, dobywał się z nich klekoczący dźwięk. Zawahałyśmy się na

skraju podwórza, gdzie błoto przechodzi w długi trawiasty spad, a potem ruszyłyśmy przez trawę, aż zablokowały nam drogę tysiące splecionych gałęzi na skraju lasu: awokado, palmy, wysokie chaszczki dzikiej trzciny cukrowej. Las zasłania nam widok na rzekę i wszystko inne, co się za nią ciągnie. Jedyna droga przez wioskę biegnie obok naszego podwórza w stronę wioski na południu; w kierunku północnym tonie w lesie. Chociaż często widzimy, jak Mama Tataba często tam znika, by potem pojawić się znowu cała i zdrowa, z pełnymi wiadrami wody, nasza matka wciąż jeszcze nie ma zaufania do tej ścieżki, że kiedy nas połknie, to później wypluje nas z powrotem. Wróciłyśmy więc i szłyśmy pod górę, kierując się na dwa obsypane kwieciami krzewy hibiskusa, które rosną po obu stronach naszego ganku.

Ależ z nas była ekipa, gdy tak wałęsałyśmy się identycznie ubrane w sznurowane trzewiki, długie spódnice i pastelowe bawełniane spodnie, lecz tak bardzo od siebie różne. Lea jak zwykle szła pierwsza, Bogini Polowania, jej krótka fryzura w kolorze łasicy podskakiwała energicznie, jej mięśnie współpracowały ze sobą jak trybiki zegarka. Potem szła reszta z nas. Tuż za Leą Ruth May z powiewającymi kucykami, strasznie się spieszyła, bo jest najmłodsza i wierzy, że ostatni będą pierwszymi. Potem Rachel, nasza rodzinna królowa Saby, trzepiąca białymi rzęsami, otrząsająca grzywę białawych włosów jak kucyk palomino, którego kiedyś bardzo chciała mieć. Królowa Rachel odstawała od peletonu o kilka kroków, patrząc gdzie indziej. Miała prawie szesnaście lat i była ponad to wszystko, lecz wciąż nie lubiła, kiedy znajdowałyśmy sobie bez niej coś ciekawego. Ostatnia szła Ada monstrum,

quasimodo, wlokąc prawą stronę ciała za lewą w niezmiennej pieśni marszowej jej ciała: lewą marsz...- do diabła!

Taka jest nasza stała kolejność: Lea, Ruth May, Rachel, Ada. Ani chronologiczna, ani alfabetyczna, lecz rzadko się zmienia, chyba że Ruth May czymś się zainteresuje i wypadnie z szeregu.

Pod krzewem hibiskusa znalazłyśmy gniazdo z pisklętami, które spadło z góry — wszystkie się utopiły. Moje siostry były bardzo przejęte nagimi, skrzydlatymi stworzonkami, podobnymi

do bajkowych gryfów, oraz faktem, że są martwe. Potem znalazłyśmy ogród. Rachel wydała okrzyk triumfu, że został raz na zawsze zniszczony. Lea padła na kolana, aby okazać rozpacz w imieniu Ojca Naszego. Woda zalała płaskie grządki i nasiona odplęły jak łodzie, które zerwały cumy. Znajdowałyśmy je wszędzie, ukryte w wysokiej trawie na skraju ogrodu. Większość zdążyła zakiełkować w poprzednich tygodniach, lecz ich małe korzonki za słabo trzymały się płaskich jak Kansas grządek wielebnego rolnika, aby nie wypłukała ich woda. Lea chodziła na kolanach i zbierała kielki do poły spódnicy, wyobrażając sobie zapewne, że tak postąpiłaby w tej sytuacji Sacajaweah, jej ulubiona bohaterka indiańska.

Później Ojciec Nasz przyszedł oszacować szkody i Lea pomogła mu posortować nasiona wedle gatunków. Oznajmił, że zmusi je, aby wyrosły w imię Boże albo posieje znowu (jak każdy porządny prorok, wielebny zostawił sobie trochę nasion w rezerwie), jeśli tylko wyjdzie słońce i osuszy to przeklęte trzęsawisko.

Słońce już zaszło, a wielebny i Lea wciąż nie wracali na kolację. Mama Tataba pochyliła się nad stołem w wielkim białym fartuchu naszej matki, w której wyglądała sztucznie i komicznie, jakby grała rolę pokojówki w spektaklu teatralnym. Obserwowała ich przez okno, ze swym dziwnym uśmiechem —

kąćki ust w dół — i z zadowoleniem mlaskała językiem o zęby. Przystąpiłyśmy do konsumpcji przyrządzonego przez nią jedzenia, smażonych fig rajskich i konserw mięsnych z puszki, które dostawałyśmy tylko od święta (nie dosłownie).

Wreszcie posłał Leę do domu, lecz jeszcze długo po kolacji wciąż słyszeliśmy, jak wielebny dzióbie ziemię motyką, przerabiając świat wedle swego planu. Nie można powiedzieć, by nie uczył się na błędach, chociaż czasami potrzeba powodzi, aby mu je uświadomić i chociaż w życiu by się nie przyznał, że to nie był jego własny pomysł. Mimo to Afryka nie pozostała bez wpływu na Ojca Naszego. Wielebny formował ogród w prostokątne, odporne na powódź przyzmy ziemi, dokładnie rozmiarów grobów.

Lea

Potrzeba zaledwie pięciu dni gorącej pogody, żeby fasola Kentucky Wonder zebrała wszystkie swoje roślinne siły witalne i zakwitła. Wydawało się, że nic więcej nam nie potrzeba. Kiedy deszcze ustąpiły, ogród mojego ojca szalał w gorącej pogodzie jak spuszczonej ze smyczy furia. Ojciec powiedział, że uwielbia stać i patrzeć, jak mu rośnie, i można było w to uwierzyć. Pędy fasoli wiły się wokół konstrukcji z palików w kształcie tipi, które dla nich zbudował, a potem wznosiły się coraz wyżej i wyżej jak damskie głosy w chórze — każdy chce znaleźć się na szczycie. Dosięgały gałęzi pobliskich drzew i wplatały się w baldachim zieleni.

Również pędy dyni nabrały wyglądu roślin tropikalnych. Liście rosły im tak olbrzymie, że Ruth May potrafiła ukryć się pod nimi i wygrzywać w chowanego jeszcze długo po tym, jak reszta z nas przestała się bawić. Kiedy przykucaliśmy koło niej, oprócz szeroko otwartych niebieskich oczu Ruth May widziałyśmy żółte kwiaty ogórków i kabaczków wyzierających z liściastej ciemności.

Mój ojciec śledził postępy każdego nowego liścia i każdego barylkowatego pączka. Szłam za nim, uważając, żeby nie zdeptać kłaczy. Pomogłam mu zbudować mocną barykadę z patyków na obwodzie, żeby zwierzęta z dżungli i wioskowe kozy nie mogły wejść i zniszczyć naszych delikatnych roślin, gdy już wzejdą. Mama twierdzi, że ja sama mam maniery dzikiego zwierzęcia, bo zachowuję się jak chłopczyca, ale zawsze potrafię uszanować ogród mojego ojca. Jego poświęcenie dla ogrodu, tak jak jego poświęcenie dla Kościoła, było dla mnie ostoją przez całe to minione lato. Wiedziałam, że mój ojciec na pewno zakosztuje fasoli Kentucky Wonder, tak jak czysta dusza na pewno zakosztuje rozkoszy raj.

Pod koniec sierpnia wypadały urodziny Rachel, ale wszystkie się zawiodłyśmy na proszku do pieczenia ciasta od Betty Crocker. Okazało się zupełnie nieprzystosowane do tropikalnych warunków.

Poza tym nasz piec jest żelazną maszyną z tak olbrzymim

paleniskiem, że można wejść do środka, jeśli ktoś wpadłby na taki pomysł. Mama wyciągnęła stamtąd Ruth May za ramię, dosyć brutalnie, gdy ją tam znalazła. Bała się, że Mama Tataba może w przyływie kucharskiej energii rozpaść w piecu z dzieckiem w środku. Ruth May tak bardzo zależy na wygranej w chowanego, że przypuszczalnie wolałaby spłonąć żywcem, niż krzyknąć i ujawnić swoją kryjówkę.

Mama „przechrzyła Kongo”, jak to nazywa, i wymyśliła sposób na pieczenie chleba, ale piec nie ma prawdziwego piekarnika. W ogóle to bardziej niż piec przypomina maszynę posklecaną z części innych maszyn. Rachel mówi, że został zrobiony z lokomotywy, ale ona słynie z tego, że coś sobie ubzdura, a potem to obwieszcza wszechwiedzącym tonem.

Ale piec to był dopiero początek naszych kłopotów. W bardzo wilgotnym powietrzu proszek uległ przeistoczeniu jak biedna żona Lota, która spojrzawszy za

siebie na Gomorę i została zamieniona w słup soli. Rano w dniu urodzin Rachel znalazłam matkę w kuchni z głową ukrytą w dłoniach, płakała. Podniosła torebkę z proszkiem i huknęła nią o żelazny piec, tylko raz, żeby mi zademonstrować. Zadźwięczało jak młotek o dzwon. Matka posługuje się parabolą inaczej niż ojciec, bardziej obrazowo.

— W ogóle, ale w ogóle mi to nie przyszło do głowy — powiedziała bardzo powoli, patrząc na mnie bladymi, zażawionymi oczami. — Zabraliśmy nie te rzeczy co trzeba.

Kiedy ojciec po raz pierwszy usłyszał, jak Matuzalem mówi: „Do diabła”, dziwnie się poruszył, jakby zstąpił na niego Duch Święty albo jakby zapiekła go zgaga. Matka weszła do domu.

Rachel, Ada i ja zostałyśmy na ganku i ojciec spojrzał na każdą z nas po kolei. Zniósł to w milczeniu, kiedy Matuzalem powiedział: „Odwal się”, ale to była oczywiście sprawka brata Fowlesa. Żdźbło w oku brata jego, nie zaś grzech wylęgły pod jego własnym dachem. Matuzalem nigdy wcześniej nie powiedział: „Do diabła”, więc to było coś nowego, wypowiedzianego stanowczym kobiecym głosem.

.— Która z was nauczyła Matuzalema wymawiać to słowo? \_\_\_ spytał.

Zrobiło mi się mdło w żołądku. Żadna z nas się nie odezwała. U Ady to oczywiście normalne i dlatego często na nią spada wina, kiedy żadna z nas nic nie mówi. Zresztą jeśli którakolwiek z nas byłaby skłonna używać przekleństw, to właśnie Ada, która nie dba o takie rzeczy jak grzech i zbawienie. To jest główny powód, dla którego nakłoniłam matkę, żeby obcięła mi włosy na krótko, a Adzie zostawiła długie: aby nikt nas ze sobą nie mylił. Ja nigdy nie przeklinam, przy Matuzalemie czy bez niego, a nawet przez sen, ponieważ bardzo chcę pójść do nieba i być ulubienicą mego ojca. Rachel też nie przeklina — mówi tylko z obrzydzeniem te swoje „O jeny” albo „Kurza melodia”, kiedy

nikt nie słyszy, ale w innych okolicznościach jest skończoną damą. A Ruth May jest po prostu za mała.

— Nie potrafię zrozumieć — powiedział ojciec, który wszystko rozumie — dlaczego chcecie, aby ta biedna, pozbawiona rozumu istota skazała nas wszystkich na wieczne potępienie.

Coś wam jednak powiem: Matuzalem wcale nie jest pozbawiony rozumu. Naśladuje nie tylko słowa, ale i głosy ludzi, którzy je powiedzieli. Od Matuzalema nauczyliśmy się irlandzko-jankeskiego akcentu brata Fowlesa, którego wyobrażamy sobie jako podobnego do ojca Flanagana, szefa sierocińca Boys Town. Rozpoznawałyśmy także głos Mamy Tataby i nasze własne. Poza tym Matuzalem nie tylko naśladował słowa, on je rozumiał. To jedna rzecz po prostu powiedzieć: „Bóg jest wielki, siostrzo! Zamknij drzwi!”, kiedy coś go natchnie, ale on mówi też „banan” albo „fistaszki”, kiedy widzi te rzeczy w naszych rękach i chce, żebyśmy się z nim podzielili. Często nas obserwuje, powiela nasze ruchy i wyraźnie chce wiedzieć, które słowa sprowokują nas do śmiechu czy skrzyczenia go albo nas zbulwersują. Zrozumiałyśmy już to, co dopiero zaczynało świtać naszemu ojcu: że Matuzalem może zdradzić nasze tajemnice.

Zachowałam to oczywiście dla siebie. Nigdy nie sprzeciwiłam s'ę ojcu w żadnej sprawie.

Rachel wybąkała w końcu: — Przepraszamy, ojcze.

Ada i ja udawałyśmy zaaferowane naszymi książkami. Przywiozłyśmy ze sobą podręczniki szkolne i zagłębiałyśmy się w nie za każdym razem, gdy matka groziła, że będziemy miały zaległości i każą nam nosić ośle uszy, kiedy wrócimy do szkoły, ale to bardzo mało prawdopodobne, z wyjątkiem Rachel, która jest jedyną osobą w naszej rodzinie o miernym intelekcie. Sądzę, że nasza matka po prostu się boi, że zapomnimy o zwyczajnych rzeczach, takich jak

przeprawa George'a Washingtona przez Delaware, jesienne liście i pociągi pędzące na zachód w stronę St. Louis z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Zerknęłam znad książki. Boże drogi, patrzył prosto na mnie. Serce tłukło się we mnie jak szalone.

— Pan wybaczy wam, jeśli Go o to poprosicie — powiedział tym pełnym obrzydzenia cichym głosem, który mnie najbardziej przeraża. — Nasz Pan jest miłosierny, lecz z tego biednego afrykańskiego ptaka nie można zdjąć brzemienia, którym go obarczyłyście. To niewinne stworzenie tylko powtarza to, co usłyszy. Zło dokonało się. — Zaczął odchodzić. Wstrzymałyśmy oddech, gdy przystanął na schodach i spojrzał do tyłu, prosto w moje oczy. Płonęłam ze wstydu.

— Jeżeli płynie z tego jakaś nauka — powiedział — to że grzech pierwородny jest cuchnący i obrzydliwy. Chciałbym, żebyście się nad tym zastanowiły, kiedy będziecie przepisywały Werset. — Ogarnęła nas rozpacz. — Wszystkie trzy — powiedział. — Księga Liczb, dwadzieścia dziewięć trzydzieści cztery.

Potem odszedł szybkim krokiem, zostawiając nas jak sieroty na ganku.

Perspektywa spędzenia reszty dnia na przepisywaniu nudnej Księgi Liczb mocno mnie otrzeźwiła, kiedy patrzyłam na ojca kierującego się w stronę rzeki. Schodził tam codziennie, przebijając laską liście trawy słoniowej, które zasłaniały brzeg rzeki jak kurtyna.

Wiedziałam, czym kończy się Księga Liczb 29, 34, bo kiedyś mi to już wlepił. Setny werset wypada na 32, 32, w którym jest

mowa, że jeśli zgrzeszysz przeciwko Panu, to rzecz się wyda i musisz uważać na to, co wychodzi z twoich ust.

Kwestia nieodwracalnej utraty niewinności przez Matuzalema w ogóle nie przyszła mi do głowy, co pokazuje, jak wiele muszę się jeszcze nauczyć. Przyznam jednak, że modliłam się tego popołudnia, aby ojciec uznał przeprosiny Rachel za przyznanie się do winy i nie przypisywał tego grzechu mnie. Wszystkie wiedziałyśmy bardzo dobrze, kto wrzasnął to nieszczęsne: „Do diabła!” Mama powtarzała to w kółko, kiedy płakała nad potłuczonym na drobne kawałki, do niczego się nie nadającym ciastem w proszku. Żadna z nas nie mogła go jednak dopuścić do tej strasznej tajemnicy. Nawet ja — a wiem, że to ja najczęściej odwracam się do niej plecami.

Co jakiś czas, bardzo rzadko, po prostu musimy jej bronić. Pamiętam, że nawet kiedy byłyśmy jeszcze bardzo małe, biegłam objąć mamę za kolana, kiedy on obrzucał ją wyzwiskami i nie tylko za nie zaciągnięte zasłony czy wystającą halkę — grzeszki płci niewieściej. W bardzo młodym wieku przekonaliśmy się, że nie wszyscy dorośli są w równym stopniu odporni na ciosy. Mój ojciec nosi swoją wiarę jak kolczugę żołnierza Bożego, podczas gdy wiara naszej matki bardziej przypomina dobry płócienny płaszcz kupiony w sklepie z używaną odzieżą. Przez cały ten czas, kiedy ojciec przesłuchiwał nas na ganku, oczyma duszy widziałam ją zgarbioną i przygnębioną w kuchni, tłukącą piec zrobiony z lokomotywy. W ręku ciasto w proszku Angel Dream, twarde jak kamień, lecz w sercu pięknie polukrowane na różowo, z zapalonymi świeczkami, dumnie wnoszone do jadalni na drogocennej tacy z białej porcelany w niebieskie kwiaty. Mama trzymała to w tajemnicy, ale chciała urządzić Rachel tradycyjne szesnaste urodziny.

Ciasto Angel Dream nie stanęło jednak na wysokości zadania. Przewiozłam je pod własnym ściągaczem spódnicy, więc wydawało się, że część odpowiedzialności spoczywa na mnie.

Ada



— Ojcie niebieski, pobłogosław nam i miej nas w swojej opiece — powiedział wielebny. W opiece swojej nam pobłogosław Ojcie. I wszystkie z zamkniętymi oczami wachałyśmy kwiaty jaśminu na dużych prostokątach otwartej ściany, kwiaty tak rozkoszne, że przywodzą na myśl grzech lub niebo, zależy od punktu widzenia. Wielebny górował nad rozchwierutanim ołtarzem, jego ognista fryzura na rekruta jeżyła się jak grzebień dzięcioła. Kiedy Duch wniknął w niego, Ojciec Nasz jęknął, rzucając się ciałem i duszą w to cotygodniowe oczyszczenie. „Amen enema”, jak ja to nazywam. Mój palindrom na wielebnego.

Tymczasem ciało Mamy Tataby obok mojego w ławce było jak martwe. Jej zdrętwiałość przypominała mi te wszystkie ryby, które leżą poskręcane i sztywne na brzegach rzeki, łuszcząc się w słońcu jak stare kostki białego mydła. Wszystko z powodu nowoczesnej metody połowu, którą wymyślił Ojciec Nasz. Pokaz mocy wielebnego, z turbodoładowaniem. Kazał mężczyznom wypłynąć w łodziach na rzekę i wrzucić do wody dynamit, ogłuszając wszystko w zasięgu słuchu. Skąd on wziął dynamit? Na pewno żadna z nas nie przywiozła go pod reformami. Więc chyba od Eebena Axelroota, za dużą sumę pieniędzy. Nasza rodzina otrzymuje 50 dolarów pensji za bycie misjonarzami. Nie jest to regularna pensja, ponieważ Ojciec Nasz to renegat, który przyjechał bez pełnego błogosławieństwa Związku Misyjnego i wymusił czy też wyszachrował tę niższą pensję. Mimo to we frankach kongijskich wychodzi olbrzymia suma, która w Kongu stanowi fortunę, ale pieniądze przywozi samolotem w kopercie Eeben Axelroot i do kieszeni Eebena Axelroota w większości powracają. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Głodnym mieszkańcom Kilangi Ojciec Nasz obiecał na koniec lata szczególny dar od Pana, obfitość ryb, jakiej przez całe życie nie widzieli. „Słowo Chrystusa umiłowane jest!”, woła, balansując niebezpiecznie na łodzi.

„Tata Jezus jest bangalaP' Postanowił sobie, że ich zwabi albo zaciągnie siłą na Drogę

krzyża. Najpierw nakarmić brzuch, oznajmił pewnego wieczoru przy kolacji, podekscytowany swym błyskotliwym planem. Nakarmić brzuch, a dusza przyjdzie sama. (Nie zauważył, bo żona nie jest czymś godnym zauważenia, że metodę tę wypróbowała już nasza matka, kiedy pozabijała wszystkie kury). Jednak po podwodnym grzmocie same przyszły nie dusze, lecz ryby. Wyłynęły na powierzchnię, pootwierawszy szeroko pyszczki od tego wstrząsającego huk. Okrągłe, zaszokowane bąble oczu. Cała wieś ucztowała przez cały dzień, jadłyśmy bez końca, aż same poczułyśmy, że oczy wychodzą nam na wierzch, a brzuchy pęcznieją. Wielebny Price wykonał odwróconą wersję cudu z bochenkami i rybami, usiłując napchać pięćdziesiąt gęb dziesięcioma tysiącami ryb. Goniąc tam i z powrotem wzdłuż brzegu w mokrych do kolan spodniach, z Biblią w jednej ręce i kolejną nadzianą na kij osmaloną rybą, groźnie wymachiwał swoim łupem. Dalsze tysiące ryb podrygiwały w słońcu i psuły się na brzegach. Na naszą wioskę przez całe tygodnie spływało dobrodziejstwo zapachu rozkładającego się mięsa. Zamiast święta obfitości były to całe wakacje marnotrawstwa. Ojciec zapomniał, że aby łowić ryby metodą nowoczesnego chłopca z Georgii, potrzebny jest lód.

Można się było domyślić, że w dzisiejszym kazaniu nie poruszy historii z bochenkami i rybami, tylko rozda komunię, jak zwykle okraszając to tymi nieprzyjemnymi tekstami na temat jedzenia ciała i picia krwi. Być może to wzmogło zainteresowanie wiernych, lecz my, dziewczęta Price' ów, słuchałyśmy półuchem. A Ada półmózgiem. Ha, ha. Nabożeństwo trwa teraz dwa razy dłużej, ponieważ wielebny mówi wszystko po angielsku, a potem miejscowy nauczyciel Tata Anatole powtarza to w języku kikongo. Ojciec Nasz nareszcie załapał, że nikt nie rozumie jego brutalnych prób kaleczenia francuskiego albo kikongo.

— Bezprawie wyszło z Babilonu! Bez-pra-wie! — oznajmił wielebny, machając ilustracyjnie ramieniem w stronę Babilonu, jakby to imprezowe miasto czyhało tuż za szkolną latryną. Przez sfatygowany dach promień słońca padł jak Boży reflektor teatralny na jego prawe ramię. Wielebny maszerował, przystawał, mówił i znów maszerował za ołtarzem z liści palmowych, stwarzając wrażenie, że wymyśla biblijne przypowieści na poczekaniu. Tego ranka snuł opowieść o Zuzannie, pięknej i pobożnej żonie bogatego Joakima. Annasus ho! Kiedy kąpała się w ogrodzie, dwóch doradców Joakima zobaczyło ją nagą i uknuło swój nikczemny plan. Wskoczyli z zarośli i zażądali, aby legła z nimi. Biedna Zuzanna. Gdyby odmówiła, złożyliby przeciwko niej fałszywe świadectwo, twierdząc, że przyłapali ją w ogrodzie z mężczyzną. Naturalnie cnotliwa Zuzanna odmówiła im, choć wiedziała, że to oznacza, że zostanie oskarżona o cudzołóstwo i ukamieniowana. Nie oczekiwano od słuchaczy, że będą się zastanawiali, cóż to za mąż był z tego Joakima, że zabiłby swoją cudowną żonę, zamiast wysłuchać jej wersji wydarzeń. Babilończycy już zabrali się do szukania najlepszych kamieni.

Wielebny przerwał, płasko położywszy jedną dłoń na ołtarzu. Reszta ciała kołysała się niemal niedostrzegalnie wewnątrz białej koszuli, wyznaczając rytm. Szukał na nieodgadnionych twarzach swych parafian jakichś oznak, że ledwo mogą usiedzieć na miejscu z ciekawości. Pojawiło się paręnaście nowych twarzy, istny owczy pęd do zbawienia. Chłopak niedaleko mnie, z rozdziawionymi ustami, zamykał jedno oko, potem drugie, potem otwierał i tak w kółko. Wszyscy czekali na Tatę Anatola, nauczyciela-tłumacza, żeby nadgonił z fabułą.

— Lecz Bóg nie dopuścił, aby to się stało — warknął wielebny jak pies zbudzony przez włóczęgę. Potem wyżej o oktawę jak w Gwiazdzistym sztandarze: — „Wzbudził Bóg świętego ducha w młodzieńcu imieniem Daniel”\*.

Hurra, Daniel idzie na ratunek. Nasz ojciec kocha Daniela, protoplastę prywatnego detektywa. Tata Daniel (tak go nazywał, żeby miejscowi nabrali stosunku uczuciowego do postaci) wkroczył do akcji i zażądał osobnego przesłuchania dwóch doradców. Tata Daniel zapytał ich, pod którym drzewem stała Zuzanna,

\* Opowiadanie o Zuzannie wg-. Biblia Tysiąclecia, wyd. cyt.

kiedy rzekomo spotkała się w ogrodzie z tym mężczyzną. „Yy, no, pod lentyszkiem”, powiedział jeden, a drugi: „Kurka wodna, to chyba był dąb”. Co za głupota, nawet nie uzgodnili wersji. Wszyscy złoczyńcy biblijni sprawiają wrażenie wyjątkowych kretynów.

Patrzyłam na Tatę Anatola, oczekując, że przynajmniej zawaha się przy lentyszku, ponieważ było absolutnie niemożliwe, aby w języku kikongo istniała nazwa tego drzewa, a i dębów też przecież nie rośnie w okolicy zbyt wiele. Nawet się nie zająknął. Kufwema, kuzikisa, kugambula, rzucał od niechcienia i wtedy zdałam sobie sprawę, że nauczyciel może sobie gadać, co mu ślina na język przyniesie, a ojciec i tak się nie zorientuje. No i ukamieniowali kobitkę, każdy se wziął jeszcze po dwie żony, a potem żyli długo i szczęśliwie. Ziewnęłam, bo pobożna i piękna Zuzanna znów nie zdołała mnie zainspirować. Nie zanosilo się, abym kiedykolwiek miała takie problemy jak ona.

Wymyślałam sobie w głowie ynmyhymny, jak je nazywam, moje własne, przewrotne hymny, które można śpiewać do przodu i do tyłu. A łza popa zła. Skorzystałam również z rzadkiej okazji przyjrzenia się z bliska Mamie Tatabie. Zazwyczaj jest o wiele za ruchliwa. Uważałam ją za swoją sojuszniczkę, ponieważ tak samo jak ja była niedoskonała. Trudno było powiedzieć, co ona myśli o homiliach Ojca Naszego, głoszonych w kościele i poza nim, toteż próbowałam zgłębić ciekawsze zagadki, na przykład jej oka. W jaki sposób je straciła? Czy jest z tego powodu zwolniona z obowiązku zamążpójścia, tak jak

ja uważałam się za zwolnioną? Nie miałam pojęcia, w jakim jest wieku ani jakie ma ambicje życiowe. Wiedziałam, że w Kilandze mieszka wiele znacznie bardziej oszpeconych kobiet, które mimo to mają mężów. Mieszka mieszek rzezimieszek. Mężowie. Tutaj uszkodzenia ciała uważane są za normalny skutek uboczny życia, a nie coś wstydlivego. Jeśli chodzi o odbiór mojego ciała w opinii społecznej, to cieszę się tutaj życzliwą aprobatą, której nigdy nie zaznałam w Bethlehem, stan Georgia.

Skończyliśmy temat Zuzanny, śpiewając Amazing Grace

z prędkością hymnu żałobnego. Zgromadzenie obdartych wiernych wtrącało najprzeróżniejsze słowa i melodie. Byliśmy istną wieżą Babel w Pierwszym Kościele Baptystowskim w Kilandze, nikt więc nie zauważył, że mruczałam pod nosem swoje własne słowa do właściwej melodii.

A łza popa zła.

A kto Pana łamał, kata napotka.

O, ma mękę, mamó!

Ano krach, car kona\*.

Po kościele Mama Tataba zabrała nas do domu, natomiast wielebny i jego żona zostali, aby się uśmiechać, ścisnąć dłonie i pławić się w atmosferze ogólnej świątobliwości. Mama Tataba człapała ścieżką przed moimi siostrami i mną. Zamykając tyły, skoncentrowałam się na próbach wyprzedzenia tej guzdrały Rachel, która jak zwykle szła z rękami trochę odsuniętymi od bioder, jakby znowu ukoronowano ją Miss America. „Trzymajcie dłonie, jakbyście dopiero co upuściły kulkę”, instruuje nas często, paradując po domu jak modelka. Mimo jej dostojnego kroku nie potrafiłam jej dogonić, patrzyłam więc na pomarańczowo-białego motyla, który zawisł nad nią i wreszcie wylądował na jej białej głowie. Zapucił swoją mikroskopijną trąbkę w jej włosy, szukając pokarmu, a potem

odleciał nie zaspokojony. Mama Tataba nie widziała tych wszystkich perypetii. Była w złym humorze i krzyczała do nas stanowczym tonem: „Wialebny Price on lepi z tym przestanie!” Z jedzeniem ciała i pić krwi, o to jej chodziło? Kazanie pokrętnymi drogami przeszło od Zuzanny do Rahab, ładaczniczki z Jerycha. Tak wiele biblijnych imion brzmi, jakby zostały napisane od tyłu, na przykład Rahab, więc zastanawiam się czasami, czy Biblii nie napisał ktoś o równie pokręconej psychice jak ja. Jednak na koniec ojciec jak zawsze zdołał włączyć temat konieczności chrztu. Podejrzewam, że właśnie to

\* Wg: Józef Godzić, Echozдания czyli palindromy, wyd. cyt.

wytrąciło z równowagi Mamę Tatabę. Ojciec Nasz nie potrafił zaakceptować czegoś, co wydawało się oczywiste nawet dziecku: miejscowi uciekali przed słowem chrzest — batiza—jak diabeł przed święconą wodą.

Później, kiedy siedzieliśmy przy kolacji, wciąż był pełen ożywienia, co w niedziele należy do reguły. Kiedy się nakręci za kazalnica, to dalej chce pozostać w centrum uwagi.

— Czy wiecie — spytał nas, wysoki i jasnogłowy jak świeczka— że w zeszłym roku jacyś ludzie przyjechali tutaj z Leopoldville ciężarówką z pękniętym paskiem klinowym? Ciężarówką Mercedesa.

Ach, jeden z jego nastrojów sokratejskich. To nie było niebezpieczne, ponieważ rzadko nas bił przy stole, ale jego intencją było zademonstrowanie nam, jakie z nas tępe krowy. Zawsze kończył te przesłuchania prowadzoną na głos prywatną rozmową z Bogiem na temat tego, jakie jesteśmy beznadziejne.

Matuzalem wyraźnie poczuwał się do członkostwa w obozie dziewcząt. Miał zwyczaj trajkotać co sił w płucach przez cały niedzielny obiad. Podobnie jak wielu przedstawicieli homo sapiens każde symptomy rozmowy traktował jako sygnał do robienia hałasu. Nasza matka irytowała się czasem na niego i

zarzucała ścierkę na jego klatkę. Mbote! Mbote!, wrzeszczał teraz — w języku kikongo oznacza to jednocześnie dzień dobry i do widzenia. Ta symetria mi się podoba. Wiele słów w kikongo przypomina angielskie słowa czytane od tyłu i posiada przeciwstawne znaczenia: Syebo to straszliwy, niszczycielski deszcz, który nigdy nie robi tego, co obiecuje po angielsku w wersji czytanej do tyłu, czyli nie jest posłuszny.

Słuchałyśmy niezbyt uważnie opowieści Ojca Naszego o domniemanej ciężarówce Mercedesa. Ostatnimi czasy naszymi jedynymi dobrami materialnymi ze świata zewnętrznego były komiksy, które moje siostry ceniły sobie jak chińskie przyprawy przywiezione przez Marco Polo, oraz jajka i mleko w proszku, do których to artykułów miałyśmy stosunek obojętny. Wszystko to przywoził Eben Axelroot. Jeśli chodzi o historię o mercedesie

i pasku klinowym, to wielebny uwielbiał mówić przypowieściami i wiedziałyśmy, że szykuje się kolejna.

— Po tej drodze? — powiedziała nasza matka z zdziwieniem, leniwie pokazując zgiętym nadgarstkiem na widok za oknem. — Nie wyobrażam sobie tego. — Pokręciła głową, jakby mu nie uwierzyła. Czy ona może sobie pozwolić na to, żeby mu nie wierzyć? Nigdy tego nie wiedziałam.

— To był koniec pory suchej, Orleanna — warknął. — Kiedy jest wystarczająco ciepło, kałuże wysychają. — Nie potrzebował dodawać: ty bezmózga kretynko.

— Ale jak oni zdołali przejechać bez paska klinowego? — spytała matka, rozumiejąc z irytacji wielebnego, że należy podjąć temat. Pochyliła się, żeby go poczęstować herbatnikami z tacy z białej porcelany, którą to tacę czasami potajemnie tuliła do siebie jak dziecko po umyciu i wytarciu. Dzisiaj delikatnie pogłaskała ją w brzeżek, zanim złożyła dłonie, poddając się woli ojca. Miała na sobie wesołą szmizjerkę, białą z czerwonymi i niebieskimi

semaforami. Nałożyła ją na wszystko inne, kiedy leciałyśmy do Konga. Małe chorągiewki zdawały się teraz dawać sygnał SOS, przerażone skutkami energicznego prania koszuli w rzece przez Mamę Tatabę.

Pochylił się, abyśmy mogły lepiej docenić dramatyczny efekt jego czerwonych brwi i wydatnego podbródka.

— Trawa słoniowa — oznajmił triumfalnym tonem. Zamarłyśmy z nieprzeżutym jedzeniem w ustach.

— Kilkunastu chłopców siedziało z tyłu i plotło paski klinowe z trawy.

— A zatem zwykła, stworzona przez Boga trawa może być tak mocnajak... j ak guma!—wypaliła podniecona Lea. Siedziała wyprężona jak struna, jakby odpowiadała w telewizji na pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary.

— Nie — powiedział. — Każdy pasek wytrzymał nie więcej niż parę mil.

— A. — Lea była niepoczyszona. Pozostałe kretyнки wołały się nie kompromitować.

— Ale jak pękł, to oni mieli gotowy następny — wyjaśnił.

— Sprytne — powiedziała Rachel bez przekonania. Jest najbardziej teatralnym członkiem rodziny i najgorszą aktorką, co w naszej rodzinie należy do podstawowych umiejętności. Wszystkie skupiłyśmy się na ziemniakach purée. Oczekiwano od nas zrozumienia, że pasek klinowy z trawy słoniowej jest ilustracją nieskończonej wielkości Boga. Żadna z nas nie chciała zostać wywołana do odpowiedzi.

— Ciężarówka Mercedesa! — powiedział w końcu. — Chłuba niemieckiej techniki, która nie ruszyłaby z miejsca, gdyby nie dwunastu afrykańskich chłopców i trochę trawy słoniowej.



— Zamknij drzwi, siostró! Wenda mbote! — zawołał Matuzalem. Potem krzyknął: — Ko ko ko! — Mieszkańcy Kilangi wołają tak od wejścia, kiedy kogoś odwiedzają, nie mogąc zastukać do drzwi, z braku takowych. W naszym domu okrzyk ten często było słycać, ale wiedzieliśmy, że to Matuzalem, ponieważ mieliśmy drzwi, bardzo rzadko natomiast zdarzali się goście. Jeżeli ktoś już przyszedł, zazwyczaj w nadziei, że sprzeda nam coś do jedzenia, to nie pukał do drzwi, tylko kręcił się po podwórzu, dopóki go nie zauważyliśmy.

— Myślę, że wszystko można naprawić, jeśli ma się wystarczająco dużo małych chłopców i wystarczająco dużo trawy słoniowej — powiedziała nasza matka. Wcale nie sprawiała wrażenia ucieszonej z tej konstatacji.

— Otóż to. Trzeba tylko umieć się dostosować do warunków.

— Do diabła do diabła do diabła! — zauważył Matuzalem. Matka rzuciła uprzykrzonemu ptakowi zmartwione spojrzenie.

— Jeśli to ptaszysko przeżyje dziewięćset baptystowskich misji, to będzie miało sporo do powiedzenia.

Potem wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Jej trwała ondulacja już dawno wyzionęła ducha i ogólnie biorąc, matka sprawiała wrażenie, że przystosowała się do warunków na amen. Powiedziała, że musi iść zagotować wodę na mycie naczyń, i wyszła.

Nie potrafiąc wpleść do swej paraboli ani wody do mycia naczyń, ani długiej pamięci Matuzalema, Ojciec Nasz omiótł nas tylko spojrzeniem i wydał z siebie ciężkie westchnienie mężczyzny ciężko doświadczanego przez los. Cóż to było za westchnienie — tak głębokie, że potrafiłoby wyssać wodę ze studni, spod podłogi naszego domu z jego menażeriapółgłówek. Westchnienie to

sugerowało, że Ojciec Nasz stara się tylko wyciągnąć nas z trzęsawiska nieuctwa i głupoty.

Zwiesiłyśmy głowy, odsunęłyśmy krzesła i gęsiego poszłyśmy do chaty kuchennej pomóc wkładać drewno do pieca. Gotowanie zajmuje tutaj pół dnia, a zmywanie drugie pół. Musimy gotować wodę, ponieważ pochodzi ze strumienia, w którym pasożyty mnożą się jak oszalałe. Afryka dysponuje tak swoistymi i różnorodnymi pasożytami, że zamieszkują wszystkie zakamarki ciała: jelito cienkie i grube, skórę, pęcherz moczowy, męski i żeński system rozrodczy, płyny śródmiąższowe, nawet rogówkę oka. W książce o afrykańskiej służbie zdrowia, którą przeglądałam w bibliotece, zanim tu przyjechałyśmy, znalazłam rysunek cienkiego jak włos robaka, który wił się przed zdziwioną gałką oczną jakiegoś mężczyzny. Ogarnęło mnie moje wywrotowe poczucie czci: chwała niech będzie Panu za wszystkie plagi i utajone choroby! Jeżeli Bogu sprawiało przyjemność wymyślanie kwiatów polnych, to przy afrykańskich pasożytach musiał mieć zabawę nie z tej ziemi.

Na zewnątrz zobaczyłam Mamę Tatabę, która po drodze do kuchni wypła garść wody prosto z wiadra. Trzymałam kciuki za jej jedno zdrowe oko. Zadrzałam na myśl, co by było, gdyby ta porcja Bożego stworzenia wyssała jej oko od środka.

Lea

Mój ojciec codziennie chodził do ogrodu, gdzie siedział i rozmyślał. Zaniepokoiło go, że rośliny rozkrzewiły się i wypełniły ogrodzone grządki kwieciami jak zakład pogrzebowy, lecz nie chciały rodzić owoców. Wiedziałam, że modli się o to. Czasami chodziłam i siadałam obok niego, choć matka miała mi to za złe, mówiła, że on potrzebuje побыć czasem sam.

Zastanawiał się, czy nie ma za dużo cienia od drzew. Długo

rozmyślałam o tym wyjaśnieniu, ponieważ bardzo mi zależy na tym, aby dobrze się znać na ogrodnictwie. To prawda, drzewa stale wdzierały się na nasze poletko. Stale musieliśmy odłamywać i odrąbywać gałęzie, próbując odzyskać utracony teren. Niektóre pnącza fasoli wyspindrały się aż na same wierzchołki drzew, sięgając ku światłu.

Pewnego razu, kiedy medytowaliśmy nad dyniami, nagle spytał:

— Lea, wiesz, o co się spierali na ostatniej konferencji biblijnej w Atlancie?

Nie spodziewał się, że będę to wiedziała, więc czekałam na odpowiedź. Byłam zachwycona, że odezwał się do mnie tym łagodnym, niemal intymnym tonem. Nie spojrział na mnie, oczywiście, bo jak zawsze zaprzętało go tak wiele rzeczy. Pracował tak ciężko dla Pana Boga, a jednak wydawało się, że Pan Bóg wciąż czeka na jakiś dodatkowy wysiłek z jego strony i ojciec musiał wymyślić, co to powinno być. Swym lepszym okiem wpatrywał się usilnie w kwiat dyni, poszukując źródła choroby swego ogrodu. Kwiaty otwierały się i zamykały, a potem zielone owoce marszczyły się i brązowiały. Wszystkie, bez wyjątku. W zamian za nasz ciężki trud na razie otrzymaliśmy kwiaty i liście, nic jednak, co moglibyśmy zjeść na kolację.

— Rozmiary nieba — powiedział wreszcie.

— Słucham? — Serce we mnie zamarło. Próbowałam wyprzedzić myśli ojca, zastanawiając się nad problemem ogrodu, lecz on zawsze jest o dwa kroki przede mną.

— Debatowali o rozmiarach nieba, na konferencji biblijnej. Ile na długość, ile na szerokość — zlecili obliczenia ludziom z kalkulatorami. Rozdział dwudziesty pierwszy Apokalipsy podaje w stajaniach, inne księgi w łokciach i nic się ze sobą nie zgadza. — Nieoczekiwanie sprawiał wrażenie zirytowanego

na ludzi, którzy przyjechali na konferencję biblijną z kalkulatorami, a może nawet na samą Biblię. Poczułam się mocno nieswojo.

— W każdym razie mam nadzieję, że starczy miejsca dla wszystkich — powiedziałam. Problem ten był dla mnie zupełnie nowy. Nagle zaczęłam myśleć o tych wszystkich ludziach, którzy

już poszli do nieba, w większości starych i w niezbyt dobrej kondycji. Wyobraziłam sobie, jak ocierają się o siebie łokciami jak na kościelnej wencie dobroczynnej.

— Dla sprawiedliwych zawsze starczy miejsca — powiedział.

— Amen — odetchnęłam z ulgą, gdyż znaleźliśmy się na bezpieczniejszym gruncie.

— Wiele nieszczęść spada na sprawiedliwego, lecz ze wszystkich Pan go wybawia.

— Ojciec Niebieski, wybaw nas od trosk wszelakich — po wiedziałam, chociaż nie podobało mi się to nowe podejście do sprawy. Ojciec już nagiął swą wolę do wymagań Afryki, przeko pując ogród w przyzmy, tak jak tutaj mają w zwyczaju. Był to dla Boga wyraźny znak jego pokory i ofiarności, toteż chyba mieli śmy prawo oczekiwać nagrody za nasze trudy. Co to więc za historia z wybawianiem przez nieszczęścia? Czyżby ojciec chciał zasugerować, że Bóg nie jest zobowiązany zesłać nam ani jednej dyni czy strączka fasoli, choć byśmy nie wiadomo ile trudzili się dla Jego chwały? Że będzie siedział beczynn timer i spuszczał na nas jedną plagę za drugą? Wiem, że nie jestem powołana do brania pod lupę Bożego planu zbawienia, ale co z równoważącymi się szalami sprawiedliwości?

Ojciec nie powiedział nic, co by uśmierzyło moje niepokoje. Zerwał tylko kolejny kwiat fasoli i oglądał go w afrykańskim świetle jak lekarz zdjęcie rentgenowskie, szukając utajonego schorzenia.

Jego pierwsze kazanie w sierpniu, podniosłe i długie, dotyczyło chrztu. Później, już w domu, kiedy matka poprosiła Mamę Tatabę, żeby postawiła zupę na piecu, Mama Tataba obróciła się na pięcie i wyszła drzwiami frontowymi pomiędzy słowami „zupa” i „piec”. Poszła do ogrodu i nawrzucała ojcu ile wlezie, grożąc mu palcem nad rządkiem krzaczków pomidorowych bez pomidorów. Nie wiedziałyśmy, co jej zdaniem nabroił, ale słyhać było, że przebrała się miarka. Jej strofowania stawały się coraz głośniejsze.

Naturalnie byłyśmy głęboko zaszokowane, że ktoś sztorcuje ojca w ten sposób. Jeszcze bardziej nami wstrząsnęło, kiedy

zobaczyłyśmy, że stoi cały czerwony na twarzy i usiłuje wtrącić choć słowo. Stojąc we czwórkę w oknie z rozdziawionymi ustami, musiałyśmy wyglądać jak Lennon Sisters w programie telewizyjnym Lawrence'a Welka. Matka przegoniła nas spod okna i kazała nam czytać podręczniki szkolne. Nie była to pora szkoły, nawet w dzień powszedni, ale teraz robiłyśmy wszystko, co nam kazała. Niedawno widziałyśmy, jak rzuciła w ścianę pudełkiem puree ziemniaczanego Potato Buds.

Po zakończeniu wojny trojańskiej, która nam wydawała się trwać wieki, Mama Tataba wpadła do środka i cisnęła fartuch na krzesło. Wszystkie zamknęłyśmy książki.

— Ja tutaj nie zostanie — oznajmiła. — Pani pośle po mnie dziewczyna do Banga, jak potrzebuje pomoc. Ja pokaże, jak gotuje węgorz. Złowili duży węgorz w rzeki wczoraj. Dobra ryba dla córki.

Tą zbawienną radą zakończyła swój monolog.

Wysłałam za nią na zewnątrz i patrzyłam, jak człapie drogą, jej bose stopy łyksały do mnie. Potem poszłam znaleźć ojca, który powędrował trochę dalej za ogród i siedział na pniaku. W palcach ostrożnie rozpostarł coś, co wyglądało jak osa i wciąż żyło. Było szerokie jak moja dłoń i na każdym przezroczystym skrzydle miało żółtą ósemkę, tak wyraźną, jakby namalowała ją jakaś pilna uczennica albo Pan Bóg. Ojciec wyglądał, jakby właśnie spadł z nieba.

— Nie ma zapylaczy — powiedział.

— Słucham?

— Nie ma owadów, które zapyliłyby ogród.

— Przecież całe chmary ich tu latają! — Uwaga raczej zbędna, jako że oboje patrzyliśmy na dziwnego insekta, który wyrywał mu się z palców.

— To są afrykańskie owady, Lea. Stworzenia, którym Bóg poruczył, aby były użyteczne afrykańskim roślinom. Spójrz na tego jegomościa. Skąd miałby wiedzieć, co ma zrobić z fasolą Kentucky Wonder?

Nie wiedziałam, czy ma rację. Bardzo słabo znam się na zagadnieniu zapyłania. Wiem, że w większości robią to pracowite pszczołki.

— Pewnie trzeba było przywieźć w kieszeniach trochę pszczoł — powiedziałam.

Ojciec spojrzał na mnie z nie znaną mi miną, niepewną i przez to przerażającą. Czułam się tak, jakby spod stanowczych rysów mego ojca nagle wyrzał jakiś niepozorny, zdezorientowany obcy człowiek. Spojrzał na mnie jak na nowo narodzone dziecko, które bardzo kocha, ale lęka się, że świat nigdy nie będzie taki, na jaki oboje mamy nadzieję.

— Lea — powiedział — nie można przewieźć pszczoł. Rów nie dobrze można by przetransportować tutaj cały świat, a na to nie ma miejsca.

Przełknęłam ślinę.

— Wiem.

Siedzieliśmy razem i przez krzywy płot z patyków patrzyliśmy na wielką różnorodność nie zapyzonych kwiatów w ogrodzie mego ojca. Kłębiło się we mnie wtedy tak wiele różnych uczuć: radość z powodu dziwnie czulej miny ojca i rozpacz z powodu jego porażki. Tak bardzo się staraliśmy i co nam z tego przyszło? Poczułam zamęt i lęk. Wyczuwałam, że kończy się wiele rzeczy, w które wierzyłam.

Z dużej klatki na ganku Matuzalem zaskrzeczał do nas w kikongo:

— Mbote! — powiedział, a ja zastanawiałam się: dzień dobry czy do widzenia?

— O co Mama Tataba była taka zła? — ośmieliłam się zapytać, bardzo cicho. — Widziałyśmy, jak się awanturuje.

— O małą dziewczynkę.

— Ma córkę?

— Nie. O dziewczynkę z tej wioski, która zmarła tragicznie w zeszłym roku.

Serce zabiło mi szybciej.

— Co jej się stało?

Nie patrzył teraz na mnie, lecz utkwiał wzrok w oddali.

— Pożarł ją krokodyl. Nigdy nie pozwalają dzieciom choćby zamoczyć stopy w rzece. Nawet po to, by obmyły się w Krwi Baranka.

— A — powiedziałam.

Mój własny chrzest, i każdy inny, którego do tej pory byłam świadkiem, odbywał się w czymś podobnym do dużej wanny albo małego basenu w baptystowskim kościele. Najgorsze, co mogło się komuś przytrafić, to że pośliznę się na schodkach. Miałam nadzieję, że w niebie znajdzie się miejsce dla tej biednej dziewczynki, niezależnie od tego, w jakim stanie tam przybyła.

— Nie potrafię zrozumieć — powiedział — dlaczego minęło sześć miesięcy, zanim ktoś mnie o tym poinformował. — W ogarniętego dziwną melancholią ojca znów wstępował dawny ogień. Poczułam ulgę.

— Ko ko ko! — zawołał Matuzalem.

— Proszę wejść! — odparował ojciec zniecierpliwionym głosem.

— Zbudź się, bracie Fowles!

— Odwal się! — krzyknął ojciec. Wstrzymałam oddech.

Błyskawicznie zerwał się na nogi, zamaszystym krokiem poszedł na ganek i otworzył drzwiczki klatki Matuzalema. Matuzalem skulił skrzydła i odsunął się od drzwiczek. Wybałuszone oczy mrugały, próbując zrozumieć, czego chce ta wielka biała zjawa.

— Jesteś wolny — powiedział ojciec wyczekująco, lecz pa puga nie chciała wyjść z klatki. W końcu ojciec włożył rękę do środka i chwycił ją.

W dłoniach mojego ojca Matuzalem wyglądał jak opierzona zabawka. Kiedy ojciec podrzucił ptaka w stronę wierzchołków drzew, ten z początku nie leciał, tylko szybował nad ogrodem jak lotka badmintonowa z czerwonym ogonem. Pomyślałam, że ojciec podduśił biedne stworzenie w swym brutalnym uścisku i że ptak zaraz runie na ziemię.

Jednak nie. W jednym mgnieniu Matuzalem rozpostarł skrzydła i zatrzepotał jak wolność sama, wyfrunął wyżej niż pnącza Kentucky Wonder,



ponad wierzchołki drzew dżungli, która po naszym wyjeździe na pewno z powrotem wszystko pochłonie.

## KSIĘGA II APOKALIPSA ŚW. JANA

I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza... Jeśli kto ma uszy, niechaj posłyszy!

Apokalipsa św. Jana, 13,1-9.

Orleanna Price

Sanderling Island, Georgia

Co kilka lat, nawet teraz, łapię w nozdrza zapach Afryki. Chce mi się wtedy lamentować, śpiewać, przywołać grzmot klaskaniem w dłonie, położyć się pod drzewem i pozwolić robakom zjeść wszystko, co jeszcze na mnie zostało pożywnego.

Nie potrafię tego znieść.

Dojrzałe owoce, kwaśny pot, mocz, kwiaty, ciemne przyprawy i inne rzeczy, których nigdy nie widziałam — nie potrafię powiedzieć, co składa się na ten bukiet ani dlaczego dopada mnie czasem niespodziewanie, kiedy wychodzę zza węgła. Znalazł mnie tutaj na tej wyspie, w naszym małym miasteczku, w bocznej uliczce, w której jacyś mali chuligani palą papierosy na klatce schodowej pośród nie zabranych worków na śmieci. Kilka lat temu znalazł mnie w delcie Missisipi, gdzie wróciłam na rodzinny pogrzeb: tchnienie Afryki zdybało mnie, kiedy szłam nabrzeżem obok grupki wędkarzy z głowami żółwi, wiadra z przynętą stały

wokół nich, jakby urządzali bankiet. Kiedyś zwyczajnie wyszłam z biblioteki w Atlancie i zapach już czekał, by zwalić mnie z nóg, z niezrozumiałego dla mnie powodu. Uczucie to rodzi się w moim wnętrzu i

wiem, że wciąż tu jesteś, nadal masz nade mną władzę. Pomajstrowałaś coś przy mechanizmie podziału moich komórek, aby moje ciało nigdy się nie uwolniło od cząstek Afryki, które w siebie wchłonęło. Afryka, gdzie jedno z moich dzieci pozostaje w zawilgłej czerwonej ziemi. Jest to zapach oskarżycielski. Wydaje się, że teraz znam siebie tylko poprzez twoją obecność w mojej duszy.

Powiesz, że mogłam być inną matką. Mogłam unieść głowę i przewidzieć, co się wydarzy, bo powietrze było tym naładowane. Dało się to wyczuć w zapachu dnia targowego w Kilandze. Targ odbywał się co pięć dni — nie co siedem albo trzydzieści, dnia targowego nie można było nazwać „sobotą” czy „pierwszym dniem miesiąca”, lecz na przykład „kciukiem”, jeśli liczyło się na palcach. To brzmi absurdalnie, dopóki się nie zrozumie, że w Kongu wszyscy liczą czas na palcach. Ze wszystkich wiosek, z których dało się dojść pieszo, co pięć dni ludzie z pełnymi lub pustymi rękami ściągali do naszej wioski, aby targując się o cenę, spacerować wzdłuż długich rzędów wyłożonych na ziemi mat z żywnością. Panie sprzedawczynie kucwały z nastroszonymi minami, oparłszy podbródki na skrzyżowanych ramionach, za twierdzami zbudowanymi z pryzm orzeszków kola, wiązek aromatycznych patyków, stert węgla drzewnego, butelek i puszek z odzysku czy ekspozycji wysuszonych organów zwierzęcych. Nieustannie zrzedziły, kiedy skórzastymi, zwinnymi dłońmi budowały i odbudowywały piramidy cętkowanych zielonkawych pomarańcz i owoców mango czy półkoliste fortyfikacje z twardych zielonych bananów. Brałam głęboki wdech i mówiłam sobie, że w każdym miejscu na świecie kobieta potrafi zrozumieć inną kobietę w dzień targowy. Jednak moje oko nie potrafiło odcyfrować tych sprzedawczyń: zawijały głowy w jasne, radosne kawałki płótna, lecz nieodmiennie rzucały światu jadowite, zmarszczone spojrzenia wąskimi szparkami oczu. Odchylały głowy do tyłu ze znudzonymi minami, splatając sobie nawzajem włosy w gejzery zaskoczonych szpikulców. Choćbym nie wiem ile udawała, że jestem ich bliźnim, one miały na ten temat

odmienny pogląd. Byłam blada i szerokooka jak ryba. Ryba w pyle targowiska, która próbuje pływać, podczas gdy wszystkie pozostałe kobiety spokojnie oddychały w atmosferze przejrziałych owoców, suszonego mięsa, potu i przypraw, nasączając swe życie mocami, których ja się lękałam. Prześladowe mnie zwłaszcza jeden dzień. Próbowałam mieć na oku wszystkie moje dziewczynki, ale widziałam tylko Leę. Pamiętam, że była w jasnoniebieskiej sukience z kokardą na plecach. Wszystkie dziewczęta z wyjątkiem Rachel zazwyczaj chodziły obdarte, więc to musiała być — dla naszej rodziny — niedziela, nasze święto przypadkowo zbiegło się ze świętem mieszkańców wioski. Lea niosła koszyk z jakimiś kupionymi przeze mnie rzeczami, co nie pozwalało jej utrzymać jej ulubionej pozycji lidera stada. Pozostałe znikły mi z oczu. Wiedziałam, że Nathan niecierpliwie czeka naszego powrotu, więc zawołałam do siebie Leę. Żeby do mnie dotrzeć, musiała przebyć barierę mat z jedzeniem. Bez namysłu, jako ta z bliźniaczek, której nogi jeszcze nigdy nie odmówiły posłuszeństwa, podniosła kosz na lewe biodro i postawiła krok olbrzyma nad piramidą pomarańczy. Wyciągnęłam do niej rękę, lecz kiedy po nią sięgała, z jakiegoś powodu utknęła okrakiem nad pomarańczami, nie potrafiła podciągnąć drugiej nogi. Kobieta przykucnięta koło pomarańczy skoczyła z sykiem na nogi, tnąc powietrze dłońmi jak nożyczkami, strzelając we mnie tak ognistym spojrzeniem, że rozgniewane czekoladowe oczy zdawały się roztopiać na białko. Rząd mężczyzn na ławce podniósł wzrok znad misek świeżo uwarzonego piwa i spojrzeli na nas identycznymi, zaciągniętymi mgłą oczami, pokazując mi, żebym przesunęła moje dziecko: głupia zjawa! nieczłowiek! stoi okrakiem nad majątkiem jakiejś kobiety. Wciąż czuję wstyd na wspomnienie o mnie i Lei, która stała tam z genitaliami — wszyscy na pewno sądzili, że gołymi — wiszącymi nad pomarańczami tej kobiety. Obca matka i dziecko, którym wydaje się, że tyle znaczą, nagle obnażają się w całej swej znikomości.

Do tej pory sądziłam, że będę mogła to pogodzić ze sobą: być jedną z nich, a jednocześnie żoną swego męża. Cóż za zarozumiałstwo! Byłam jego narzędziem, jego zwierzęciem. Niczym więcej. Do jakiego stopnia my, żony i matki, jesteśmy ofiarami własnej prawości. Byłam tylko jedną z tych kobiet, które zaciskają zęby i wymachują sztandarem, kiedy ich naród wyrusza na wojnę, aby pokonać inny naród. Winne czy niewinne, mają wszystko do stracenia. Są tym, co jest do stracenia. Żona jest jak ziemia, przechodzi z rąk do rąk, nosi blizny.

Wszystkie musimy uciec z Afryki inną drogą. Niektóre z nas są teraz w ziemi, a niektóre wyżej, lecz wszystkie jesteśmy kobietami, ulepionymi z tej samej okaleczonej gliny. Obserwuję swoje wyrosnięte już córki, szukając oznak, że osiągnęły jakiś spokój ducha. Jak im się to udało, skoro mnie prześladowe strach przed potępieniem? Ich oczy na drzewach otwierają się na moje sny. W świetle dziennym patrzą na moje koślawe ręce, kiedy kopię ziemię w moim podmokłym ogródku. Czego ode mnie chcecie? Kiedy podnoszę do góry moje stare oczy wariatki i mówię do siebie, co chcecie, żebyście mi powiedziały?

Och, ty małe zwierzątko, mała ulubienico. Nie widzisz, że ja też umarłam?

Czasami modlę się, bym pamiętała, czasami modlę się, bym zapomniała. Nie ma znaczenia. Czy mogę jeszcze kiedykolwiek chodzić wolna po świecie, po tym, jak klaśnięcie tych dłoni na targu ewidentnie próbowało mnie przepędzić? Byłam nie raz ostrzegana. Jak mogę znieść zapach tego, co mnie dogania?

Miałam tak mało czasu na zastanawianie się, co jest dobrem, a co złem, kiedy właściwie nie wiedziałam nawet, gdzie się znajduję. W tych pierwszych miesiącach często budziłam się zdezorientowana i myślałam, że jestem z powrotem w Pearl, Missisipi. Przed małżeństwem, przed religią, przed

wszystkim. Poranki w Kongu były tak parne, że nie widziało się nic prócz chmury, która zstąpiła na ziemię, więc mogłam znajdować się wszędzie. Mama Tataba zjawiała się w drzwiach sypialni, stała

w oliwkowym swetrze zapiętym do połowy, z dziurami jak pięciodolarówki na łokciach, w dzierganej czapce z mechatej wełny naciągniętej na czoło, skóra dłoni gruba jak u krowy: mogła być kobietą stojącą w drzwiach sklepu Lutton's General w 1939 roku, czasach mojego dzieciństwa.

Potem mówiła: „Mama Prize, mangusta się złapał w biała mąka”, a ja musiałam chwycić się ramy łóżka, bo krajobraz wirował jak woda w odpływie wanny i wciągał mnie z powrotem w sam środek wszystkiego. Tutaj. Teraz. W jaki sposób ja się tutaj znalazłam?

Przełomowy był dzień, kiedy straciliśmy je obie, Mamę Tatabę i tę przeklętą papugę, obie zdymisjonowane przez Nathana. Cóż to był za dzień. Dla krajowców w naszym domostwie — święto Niepodległości. Ptak kręcił się w pobliżu, patrząc na nas z drzew rozdrażnionym okiem, bo wciąż potrzebował być karmiony. Ta druga, od której byliśmy tak bardzo zależni, znikła z wioski. Deszcz chlustał z nieba, a ja zastanawiałam się: Czy jesteśmy zgubieni, nie wiedząc o tym? Już tyle razy w moim życiu (przychodzi mi na myśl dzień mojego ślubu) zdarzyło się, że sądziłam, iż najgorsze mam już za sobą, nie zdając sobie sprawy, że tylko zawisłam na chwilę na wąskiej skalnej półce i czeka mnie jeszcze bardzo długi upadek.

Wciąż potrafię wyrecytować litanie rzeczy, które trzeba było zrobić, aby mój mąż i dzieci dotrwały żywe i nakarmione do końca każdego dnia w Kongu. Każdy dzień zawsze zaczynał się od tego, że siadałam na łóżku z pianiem koguta, rozsuwałam moskitierę i wkładałam buty — bo tęgoryjce na podłodze tylko czyhały, by wpić się w nasze bose stopy. A zatem buty, w których ślizgałam się po podłodze, aby powitać dzień. Marząc o kawie. Obawiam się, że

kawy brakowało mi bardziej niż fizycznej obecności męża, kiedy go nie było. Tylnymi drzwiami na zewnątrz, szok wilgotnego upału, wyciągam szyję, aby zobaczyć rzekę, duszę w sobie pragnienie, by uciec od tego wszystkiego.

Och, ta rzeka życzeń, śliskie jak skóra krokodyla marzenie o niej, że mogłaby zanieść moje ciało przez wszystkie lśniące

łachy piasku aż do morza. Każdego dnia najtrudniejszą rzeczą było podjęcie jeszcze raz decyzji o pozostaniu z rodziną. Oni niczego się nie domyślali. Po otwarciu zamka, którego zadaniem było nie wpuszczać do kuchni zwierząt i ciekawskich dzieci, prawie musiałam zamknąć go z powrotem, żeby oprzeć się pokusie ucieknięcia stamtąd. Szarość, wilgotność, nieustanny kwaśny oddech pory deszczowej przypierały mnie do muru jak natrętny zalotnik. Świeży smród nocnej gleby w zaroślach. I nasza własna latryna, różniąca się zapachem tylko o jeden odcień.

Stojąc przy stole kuchennym, zostawiałam swoje myśli i obserwowałam sama siebie, jak morduję pomarańcze naszym jedynym, tępym nożem, rozpruwam im brzuchy i wyciskam czerwoną krew. Ale nie, najpierw owoc trzeba było umyć. Te dziwne, tak zwane krwiste pomarańcze rosły dziko w lesie. Kiedy kupowałam je od Mamy Mokali, wiedziałam, że przeszły przez dłonie jej chłopców, którzy wszyscy mieli białe strupy na oczach i penisach. A zatem umyć w wodzie z dodatkiem kropli bezcennego wybielacza Clorox, odmierzanego jak Krew Baranka. To komiczne, wiem o tym, ale cały czas miałam w głowie kampanię reklamową z kraju, w której czereda dzieci w potwornie brudnych ubraniach stała pod kobylastym hasłem: **CLOROX PILNIE POTRZEBNY!**

A zatem wytłoczyć ze zdezynfekowanej skórki, a potem rozcieńczyć miąższowaty płyn wodą, aby bezcenne pomarańcze natychmiast się nie skończyły. Trudno powiedzieć, co najwięcej kosztowało: wybielacz,

pomarańcze czy woda. O wybielacz i pomarańcze musiałam się targować albo wypraszać u tego okropnego Eebena Axelroota, który przywoził nam zapasy samolotem. Co kilka tygodni pojawiał się bez zapowiedzi, nagła zjawą w nadgniłych butach i poplamionej potem fedorze, palił Tiparillos w wejściu do mojego domu i żądał pieniędzy za rzeczy, które należały do nas, bo pochodziły od Związku Misyjnego. Nawet pocztę musieliśmy od niego kupować! Ale tutaj nic nie było za darmo. Nawet woda. Trzeba ją było przynosić z odległości półtorej mili i gotować. „Gotować”, takie niepozorne słowo, lecz oznaczało dwadzieścia minut spędzonych nad ogniem huczącym

w piecu, który przypominał zardzewiały wrak oldsmobila. „Ogień” oznaczał zbieranie sterty patyków w wiosce, która zносиła drewno na opał od czasów, kiedy Pan Bóg był dzieckiem, wyczyściła teren ze wszystkich materiałów palnych równie skutecznie, jak zwierzę iskające się z wszy. „Ogień” oznaczał zatem coraz dłuższe i dłuższe wyprawy do lasu, wykradanie poodłamywanych gałęzi pod niemiłym spojrzeniem węży, żeby można było zagotować jedno wiadro zdatnej do picia wody. Najdrobniejsza czynność higieniczna wymagała wielogodzinnego pracowitego gromadzenia najprostszycy żywoiołów: wody, ciepła, wszystkiego, co posiada działanie dezynfekujące.

No i jedzenie, to osobny rozdział. Znaleźć je, dowiedzieć się, jak się nazywa, pokrajać, potłuc albo rozwalić mu mózg, żeby przerobić je na coś możliwego do przełknięcia przez moją rodzinę. Przez długi czas nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób wszystkie inne rodziny dają sobie radę. Wydawało się, że jedzenia jest rozpaczliwie mało, nawet w dni targowe, kiedy wszyscy przycho.dzili, aby usypać jak najwyższą stertę z wszystkiego, co mieli. W sumie nie wyglądało to na wystarczającą ilość pożywienia dla dwudziestu kilku rodzin z naszej wioski. Tak, widziałam, że jest węgiel drzewny do gotowania, pomarszczone papryczki pili-pili do przyprawiania i kalebasy, w których można

było podać jedzenie, ale gdzie jest rzecz sama i czym ona jest? Czym oni się żywią, na litość boską?

Wreszcie poznałam odpowiedź: jedzą kleistą maź o nazwie fufu. Bierze się to z olbrzymiej bulwy, którą kobiety uprawiają, wykopują z ziemi, odmaczają w rzece, suszą na słońcu, tłuką na biały proszek w wydrążonych pniach drzew i gotują. Nazywa się to maniok, jak mnie poinformowała Janna Underdown. Posiada wartość odżywczą papierowej torby, z tą różnicą, że w manioku występują śladowe ilości cyjanku. Ważne jednak, że wypełnia żołądek. Po ugotowaniu powstaje z tego pozbawiona smaku papka, do której spróbowania można nakłonić amerykańskie dziecko jeden raz, a i tak nie obejdzie się bez długiego kręcenia nosem. Jednak dla mieszkańców Kilangi/u/w było jedyną rzeczą

w życiu, oprócz czasu, o którą nie musieli szczególnie zabiegać. Maniok zawsze był, jest i będzie. Jest osią życia. Kiedy wysokie, wąskie kobiety ubrane w sarongi powracały statecznym krokiem z pól, dźwigały to w ogromnych pakunkach balansujących po prestidigitatorsku na głowach: tobołki korzeni manioku wielkości pokurczonych koni. Po ich namoczeniu i obraniu, układały długie białe korzenie w wiązki w emaliowanych miednicach i przemaszerowywały gęsiego przez wieś jak ogromne lilie na smukłych, ruchomych łądygach. Te kobiety spędzały każdy dzień na sadzeniu, kopaniu i tłuczeniu manioku, choć poruszały się przy tej pracy z taką rozmarzoną ospałością, że sprawiała ona wrażenie zupełnie nie związanej z jej produktem końcowym. Przypominała mi grupy murzyńskich robotników kolejowych na Starym Południu, którzy szli wzdłuż torów, śpiewając, kiwając głowami, posuwając się unisono do przodu i do tyłu, wybijając rytm stalowymi prętami, oczarowując dzieci, a potem wędrowali dalej, zanim człowiek zdał sobie sprawę, że przy okazji naprawili również tory. W taki sam sposób te kobiety wytwarzały maniok i w taki sam sposób ich dzieci go jadły: nie zastanawiając



się nad wyższymi celami produkcji i konsumpcji. Fufu było dla nich synonimem jedzenia. Wszystko inne, co nadawało się do spożycia — banan, jajko, fasola mangwasi, kawałek poczerniałego od ognia mięsa antylopy — było przeciwieństwem jedzenia, a spożycie tych pokarmów uchodziło za wyjątkową, być może niezasłużoną okazję.

Moja rodzina żądała wyjątkowych okazji trzy razy dziennie. Nie mogli zrozumieć, że posiłek, który uważali za coś oczywistego, owoc trzydziestu minut pracy w krainie General Electric, tutaj przekłada się na całe życie w znojach. Rodzina siedzi i czeka, aż matka i jej pomocnice wyjdą z kuchni z trzema odświętymi posiłkami dziennie. I Mama Tataba potrafiła tego dokonać, cały czas narzekając. Mruczała do siebie przy pracy, nigdy nie odpoczywała, tylko od czasu do czasu robiła sobie przerwę na podciągnięcie zawoju pagne, który nosiła pod wełniany sweter. Wywijiała oczami do góry za każdym razem, gdy musiała naprawiać

moje wpadki: to zapomniałam umyć i zachować blaszane puszki, to nie sprawdziłam, czy w bananach są tarantule, to znowu nawkladałam do pieca patyków bdnkala — jadowitego drzewa! Wytrąciła mi zapalkę z dłoni, kiedy zamierzałam je podpalić, a potem wyjęła patyki jeden po drugim przez rękawicę kuchenną, tłumacząc mi zgryźliwie, że już sam dym by nas zabił.

Na początku w ogóle nie znałam kikongo, nie licząc kilku praktycznych słów, których mnie nauczyła, oszczędzona mi więc była świadomość, że Mama Tataba przeklina nasze śmiertelne dusze z takim samym zaangażowaniem, z jakim karmi nasze ciała. Rozpieszczała moje niewdzięczne dzieci i szczerze nas nie znosiła. Sięgała palcami do zapleśniałej torebki, jakimś cudem wyciągała uncję białej mąki i piekła ciasteczka. Przekształcała kozi tłuszcz w coś zbliżonego do masła i mielila mięso antylopy na hamburgery za pomocą urządzenia, które zostało chyba sklecone ze śruby napędowej motorówki. Używała płaskiego kamienia i siły woli do rozgniatania orzechów ziemnych na

znośne masło orzechowe. A u celu tej długiej pracy siedziała za stołem Rachel, która wzdychała, zrzucała swe białe włosy z ramion i oznajmiała, że jedyna rzecz w świecie, której pragnie, to „Jiffy, słabo wypieczone”.

Fufu nsala, mówiła na nas Mama Tataba. Sądziłam, że ma to coś wspólnego z fufu, codzienną karmą mieszkańców wioski, nie wiedziałam bowiem jeszcze, że kikongo to język nie tyle mówiony, co raczej śpiewany. To samo słowo zależnie od wysokości na skali może mieć wiele różnych znaczeń. Kiedy Mama Tataba intonowała pod nosem ten hymn na cześć nas wszystkich, nie nazywała nas ludźmi, którzy jedzą/w/t/, kręcą nosem nu fufu czy cokolwiek innego, czego mogłabym się domyślić. Fufu nsala to mieszkający w lesie szczur z czerwoną głową, który ucieka przed światłem słonecznym.

Mnie się wydawało, że jestem dzielna. Kiedy po raz pierwszy weszłam do kuchni, z progu spełznął wąż, a ze ściany lornetowała mnie tarantula, przycupnięta na zakrzywionych nogach jak futbolista nalinii ataku. Nosiałam więc przy sobie wielki kij. Powiedziałam Mamie Tatabie, że od małego umiałam gotować, ale nie pracować jako cyrkowy poskramiacz zwierząt. Boże, jak ona musiała gardzić swoją skuloną ze strachu panią, tym bladym szczurem. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić czegoś takiego jak leuchenka elektryczna albo kraj, w którym do głównych zmartwień kobiety należą plamy na dywanie. Chociaż miała mnie w wielkiej pogardzie, przypuszczalnie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jestem bezradna. Sądzę, że gdyby wiedziała, to by od nas nie odeszła. A tak zostawiła po sobie spieniony kilwater, w którym mogłabym się utopić.

Może to zabrzmie dziwnie, ale do tego kroku popchnęła ją przerażająca pewność siebie Nathana. Uważał, podobnie jak ja, że należało przyjechać przygotowanym. Nie można się jednak przygotować na żmije na progu i bębny w lesie, przywołujące koniec stulecia nieszczęść. Zanim lato stopniowo przerodziło się w porę nieustannych deszczów, stało się dla mnie oczywiste, że

nie ominą nas kłopoty. Nie mogłam przestać sobie wyobrażać śmierci moich dzieci. Kiedy sen nie chciał powrócić, zapalałam lampę naftową i siedziałam sama aż do świtu przy dużym stole jadalnym, wpatrując się w słowa Psalmów, aby wprawić duszę w odrętwienie: „Panie, miłuję dom, w którym mieszkasz, i miejsce, gdzie przebywa Twoja chwała. Nie dołączaj mej duszy do grzeszników i życia mego do ludzi pragnących krwi”.

Zmiłuj się nade mną!

O wschodzie słońca czasami wychodziłam z domu na spacer. Nie chcąc mieć styczności z rzeką, szłam do lasu. Nie raz zaskakiwałam rodziny słońi, które pasły się na polanach. Słonie leśne różnią się od swych kuzynów, które cwałują po sawannach: są mniejsze i delikatniejsze, gmerają w porosłej zielenią ziemi różowymi trąbami. Czasami w świetle brzasku widziałam również rodziny Pigmejów, które poruszały się wśród cieni. Nie mieli na sobie nic prócz naszyjników z piór i zębów zwierząt, a w deszczowe dni także czapek z trawy. Byli tacy mali — dosłownie dwa razy mniejsi ode mnie — i tak barwnie udekorowani, że przez długi czas brałam ich za dzieci. Nie mogłam wyjść ze zdumienia,

co też duże grupy chłopców i dziewcząt robią same w lesie, z nożami, włóczniami i noworodkami przypiętymi do pleców.

Być może czytanie Biblii zrodziło we mnie taką otwartość umysłu, że gotowa byłam uwierzyć w najbardziej niestworzone rzeczy. Czytanie Biblii i brak snu. Potrzebowałam się w czymś zakotwiczyć, ale zupełnie nie miałam z kim porozmawiać. Próbowałam przeglądać amerykańskie tygodniki informacyjne przysyłane nam przez Underdownów, ale rozstrajały mnie. Prezydent Eisenhower mówił, że wszystko jest pod kontrolą; młody Kennedy powiedział, że wujek Ike już się zupełnie wystrzelał i że jeżeli ktoś potrzebuje dowodów na słabość przywództwa amerykańskiego, przewagę Rosjan w

wyścigu zbrojeń i zagrożenie komunistyczne, to wystarczy spojrzeć na Kongo. Kongo! Takie osoby jak Eleanor Roosevelt nawoływały do udzielenia temu krajowi pomocy i przeprowadzenia tych biednych dzieci w wiek dwudziesty. Z kolei pan George F. Kennan, emerytowany dyplomata, przyznawał, że nie czuje „absolutnie żadnej odpowiedzialności moralnej za Afrykę”. To nie nasz problem, powiedział. Niech sobie zostaną komunistami, jeśli sprawia im to przyjemność.

Rozważanie takich kwestii przerastało moje możliwości w sytuacji, gdy na progu pełzały mi węże, które mogły uśmiercić dziecko, spluwając mu w oczy.

Nathan nie chciał jednak słuchać o moich zmartwieniach. Dla niego nasze życie było proste jak płacenie gotówką i wkładanie pokwitowania do kieszeni na piersi: Pan otacza nas Swą opieką, ponieważ przyjechaliśmy do Afryki w Jego służbie. A jednak śpiewaliśmy w kościele Tata Nzolo, co znaczy Ojciec na niebie albo Ojciec przynęty na ryby, zależnie od tego, jak się to zaśpiewa — to dobrze odzwierciedlało mój dylemat. Nigdy nie mogłam zdecydować, czy traktować religię jako polisę na życie czy dożywotni wyrok. Potrafię zrozumieć rozgniewanego Boga, który najchętniej złapałby nas wszystkich na haczyk. Potrafię też zrozumieć łagodnego, pozbawionego uprzedzeń Jezusa. Nigdy natomiast nie umiałam sobie do końca wyobrazić ich dwóch mieszkających w tym samym domu. Człowiek siedzi jak na szpilkach,

nie wiedząc, który Tata Nzolo jest w danej chwili w domu. Pod tym niepewnym dachem — gdzie było miejsce dla moich dziewczynek? Nic dziwnego, że często sprawiały wrażenie, jakby mnie nie kochały — nie mogłam stanąć między nimi a mężem, aby je ochronić przed jego prążącą światłością. Oczekiwał od nich, że będą patrzyły prosto na niego i oślepną.

Tymczasem Nathan był całkowicie pochłonięty misją zbawienia Kilangi. Jako chłopiec grał w futbol amerykański w licealnej drużynie w Killdeer, Missisipi, ponoć z wielkim powodzeniem i od tej pory oczekiwał, że sezon zwycięstw nigdy się nie skończy. Nie potrafił znieść porażki albo konieczności wycofania się. Myślę, że miał zadatki na człowieka upartego i gardzącego porażką, na długo zanim wzięto go podczas wojny do wojska, a potem zdemobilizowano w dziwnych okolicznościach. Prześladowany wspomnieniami o tym, co wydarzyło się na Filipinach, i zjawami tysięcy żołnierzy, którzy nie uszli stamtąd z życiem, dopuścił do tego, aby jego nieprzejeđnana pogarda do tchórzostwa zamieniła się w obsesję. Trudno sobie wyobrazić śmiertelnika mniej chętnego do zejścia z raz obranej drogi niż Nathan Price. W najmniejszym stopniu nie pojmował, jak dalece pobił ze swą fiksacją chrzcielną. Wódz wioski, Tata Ndu, głośno przestrzegał ludzi, by trzymali się z daleka od kościoła, ponieważ Nathan chce nakarmić ich dziećmi krokodyle. Nawet Nathan powinien był zrozumieć, że taka sytuacja wymaga podjęcia pojednawczych kroków.

Lecz pojednanie się z Tatą Ndu było nie lada krzyżem do dźwigania. Kiedy udzielił nam audiencji, siedział na krześle przed swoim domem i patrzył w inną stronę. Poprawił wysokie nakrycie głowy zrobione z włókien sialowych. Zdjął i obejrzał duże czarne oprawki okularów (bez soczewek) i na wszelkie sposoby okazywał wyniosłe desinteressement, kiedy Nathan mówił. Odpędzał muchy służbową laską symbolizującą jego urząd — był to usztywniony ogon jakiegoś zwierzęcia z jedwabistą białą frędzlą na końcu. Podczas drugiej rozmowy Nathan wycofał się nawet z koncepcji chrztu z zanurzeniem i zasugerował, że moglibyśmy zorganizować jakiś rodzaj pokropienia.

Po długim okresie oczekiwania otrzymaliśmy oficjalną odpowiedź, za pośrednictwem starszego syna Ndu, w której oznajmiono nam, że pokropienie

jak najbardziej, ale nasz poprzednik, brat Fowles, zaniepokoił wodza osobliwymi pomysłami, zgodnie z którymi można mieć tylko jedną żonę naraz. Wyobraźcie sobie, powiedział Tata Ndu, jakiego upokorzenia doznałby wódz, którego stać byłoby tylko na jedną żonę! Wódz oczekiwał od nas, że odżegnamy się od takich nedorzeczności, zanim on udzieli oficjalnego poparcia naszemu kościołowi.

Mój uparty mąż prywatnie rwał sobie włosy z głowy. Bez błogosławieństwa wodza nie miałby wiernych. W Nathanie wrzało. Nie da się tego inaczej wyrazić. „Wiele nieszczęść spada na sprawiedliwego; lecz ze wszystkich Pan go wybawia”, powiedział niebiosom, zerkając z ukosa na Boga i żądając sprawiedliwości. Trzymałam go nocą w ramionach i widziałam, jak włókna jego duszy spalają się na popiół. Potem ujrzałam go odrodzonego, z kamieniem zamiast serca. Od tej pory żadnych kompromisów. Bóg poddaje go próbom jak Hioba, powiedział, a istotą tej przypowieści było to, że Hiob nie uczynił nic złego. Nathan uznał, że błędem było jakiegokolwiek naginanie się do żądań Afryki. Że przekopał ogród w przyzmy; że ustąpił Tacie Ndu w kwestii chrztu w rzece; że w ogóle słuchał Taty Ndu czy nawet tyrad Mamy Tataby. Bóg poddał go próbie, która wypadła niepomyślnie. Bóg już się na nim więcej nie zawiedzie, postanowił Nathan.

Dzieci coraz mniej zauważał. Był ojcem tylko w sensie formalnym, jak garncarz, który musi kształtować glinę. Nie potrafił odróżnić ich śmiechu, lęków każdej z nich. Nie zauważył, że Ada wybrała wewnętrzną emigrację, że Rachel usycha z tęsknoty za normalnym życiem, w którym są imprezy z nocowaniem i albumy muzyczne. I biedna Lea. Lea chodziła za nim jak kiepsko opłacana kelnerka, która liczy na napiwek. Serce mi pękało na ten widok. Wymyślałam najróżniejsze preteksty, aby ją od niego odciągnąć. Nic nie pomagało.

Kiedy intencje mego męża krystalizowały się jak sól kamienna, a ja walczyłam o to, żebyśmy przeżyli, za zasłoną lasu oddychało Kongo, gotowe do tego, by przetoczyć się przez nas jak

rzeka. Jednoczyłam się w duszy z grzesznikami i ludźmi pragnącymi krwi, myślałam teraz tylko o tym, jak nakłonić Mamę Tatabę do powrotu i co powinniśmy byli przywieźć z Georgii. Oślepiłam od ciągłego oglądania się za siebie: żona Lota. Nie widziałam nic prócz nadciągających chmur.

## CZEGO SIĘ NAUCZYŁYŚMY

Kilanga, 30 czerwca 1960

Lea Price

Na początku jechałyśmy mniej więcej na tym samym wózku co Adam i Ewa. Musiałyśmy się nauczyć nazw wszystkich rzeczy. Nkoko, mongo, żulu — rzeka, góra, niebo — wszystko musi zostać wywołane z pustki za pomocą słowa, którym to coś nazywamy. Wszystkie stworzenia Boże noszą imiona, czy pełzną nam w poprzek drogi, czy ktoś chce nam je sprzedać przed naszym domem: buszbok, mangusta, tarantula, kobra, czerwono-czarna małpa zwana ngonndo, gekony śmigające po ścianach. Próg Nilu, nkyende i elektryczny węgorz wyciągnięty z rzeki. Akala, nkento, a-ana: mężczyzna, kobieta i dziecko. I wszystko, co rośnie, jaśmin, rząb, fasola mcingwasi, trzcina cukrowa, chlebowiec, rajski ptak. Nguba to fistaszek, malała to pomarańcze z krwistoczerwonym sokiem; mankondo to banany. Nanasi to ananas, a nanosi mputu znaczy „ananas biedaka”, czyli papaja. Wszystkie te rośliny rosną dziko! Kawalek ziemi za naszym własnym domem przypomina ogród Edenu. Zapisuję każde nowe słówko w szkolnym zeszycie i obiecuję sobie, że go nie zapomnę, kiedy będę dorosłą Amerykanką z ogrodem za domem. Powiem całemu światu o naukach, jakie wyniosłam z Afryki.

Uczyłyśmy się z książek, które zostawił brat Fowles, były to przewodniki po ssakach, ptakach i Lepidoptera, czyli motylach. Uczyłyśmy się od każdego (głównie dzieci), kto mówił do nas,

a jednocześnie pokazywał. Parę razy spotkały nas nawet niespodzianki ze strony matki, która wychowała się na znacznie głębszej prowincji Południa niż my. Kiedy pąki na drzewach rozchylają się w kwiaty, ona ze zdziwieniem unosi czarne brwi nad szerokimi niebieskimi oczami i orzeka: bugenwilla, hibiskus, a to — przecież to bożodrzew! Kto by pomyślał, że matka zna się na drzewach? I owoce — mango, guawa, awokado — do tej pory widywałyśmy je w przelocie w dużym supermarkecie Krogera w Atlancie, a teraz drzewa pochylają się i wkładają nam te egzotyczne pyszności prosto do rąk! To jeszcze jedna rzecz na temat Konga, o której muszę pamiętać i opowiedzieć wszystkim, kiedy będę dorosła: owoce mango zwisają na bardzo długich łodygach podobnych do elektrycznych przedłużaczy. Sądzę, że Bogu zrobiło się żal Afrykanów, kiedy umieścił kokosa tak daleko poza ich zasięgiem, toteż mango postanowił dać bliżej ziemi.

Pilnie się wszystkiemu przyglądam, mrugając, jakby moje oczy były migawkami aparatu fotograficznego robiącego zdjęcia do zabrania z powrotem do kraju. Również ludzie mają imiona, których trzeba się nauczyć. Z czasem zaczęłyśmy pozdrawiać naszych sąsiadów. Najbliżej mieszka biedna, kaleka Mama Mwanza, która śmiga po drodze, podpierając się rękami. I Mama Nguza, która bardzo wysoko podnosi głowę, bo ma na szyi wole wielkości gęsiego jaja. Tata Boanda, stary rybak, każdego ranka wypływa swoją pirogą w najjaskrawszych czerwonych spodniach, jakie w życiu widziałam. Tutaj każdy chodzi zawsze tak samo ubrany, dzięki czemu mniej więcej wszystkich rozpoznajemy. (Mama mówi, że jeśli iby chcieli zrobić nam kawał, to powinni na jeden dzień pozamieniać się ubraniami). W chłodne poranki Tata Boanda wkłada także jasnozielony sweter z obrębionym wcięciem — co za widok,



potężnie umięśniony tors pod dekoltem w serek damskiego swetra! Ale skąd Tata Boanda albo ktokolwiek inny w wiosce miałby wiedzieć, że to jest damski sweter? Po czym ja to poznaję? Po kroju, choć nie jest to coś, co dałoby się jednoznacznie opisać. A więc czy w ogóle można powiedzieć, że to jest damski sweter, tutaj w Kongu? Nie jestem pewna.

Jest jeszcze coś, co muszę wyjawić na temat Taty Boandy: jest grzesznikiem. Bez zahamowań, na oczach Pana Boga, ma dwie żony, młodą i starą. Wszyscy razem chodzą do kościoła! Ojciec mówi, że mamy się modlić za całą trójkę, ale kiedy przyjrzeć się sprawie bliżej, to nie bardzo wiadomo, o co powinniśmy się modlić. Chyba o to, żeby zrezygnował z jednej żony, ale na pewno zrezygnowałby ze starszej, a ona już teraz ma smutną minę. Młodsza jest matką wszystkich jego dzieci, a raczej nie można modlić się o to, żeby tatuś wziął i wywalił z domu cały swój przychówek, prawda? Zawsze uważałam, że z każdego grzechu można się łatwo wyleczyć, jeśli tylko wpuści się do swego serca Jezusa Chrystusa, ale tutaj sprawa jest bardziej skomplikowana.

Mama Boanda numer dwa nie sprawia wrażenia zmartwionej sytuacją. Przeciwnie, wygląda, jakby miała zaraz eksplodować ze szczęścia. Ona i jej córeczki mają włosy sterczące na wszystkie strony krótkimi kolcami, przez co przypominają poduszeczki ze szpilkami. (Rachel nazywa to fryzurą na drut kolczasty). Mama Boanda zawsze byle jak zawija swoje pagne, świecąc wielką różową gwiazdą, którą ma na swym szerokim zadzie. Długie zawoje kobiet mają różne najdziwniejsze kolorowe nadruki: koło naszego domu w każdej chwili może się pojawić rząd żółtych parasoli, perkalowy kot, pasiasty pies albo odwrócony do góry nogami wizerunek katolickiego papieża.

Późną jesienią mleczozielone krzewy rosnące koło każdego domu i ścieżki nagle ujawniły, że są poinsecjami. Opadły z liści i kwiatów, po czym w wilgotnym upale przyszło Boże Narodzenie: coś równie zaskakującego, jakby w lipcu usłyszeć w radio kolędę. Och, Kongo to istny raj i czasami mam ochotę

zamieszkać tu na zawsze. Mogłabym bez końca wspinać się na drzewa tak samo jak chłopcy, żeby zrywać guawy i jeść je, plamiąc sobie soki koszulę. Tyle że mam dopiero piętnaście lat. Nasze urodziny, w grudniu, wzięły mnie przez zaskoczenie. Ada i ja zawsze trochę odstawałyśmy z tyłu za rówieśnicami, jeśli chodzi o złe rzeczy, takie jak piersi i przypadłość kobieca. W Georgii, kiedy moje koleżanki zaczęły przychodzić do szkoły w biustonoszach,

jedna po drugiej, jakby wybuchła jakaś epidemia, ja nosiłam włosy na pazia i poprzysięgałam sobie, że pozostanę chłopczycą. Ada i ja studiowałyśmy algebrę na poziomie akademickim i czytałyśmy najbardziej opasłe książki, jakie udało nam się dostać w swoje ręce, podczas gdy inne dzieci mozolnie przerabiały każde zadanie po kolei, toteż sądziłyśmy, że zawsze będziemy w takim wieku, w jakim nam się spodoba. Ale teraz to już minęło. Mam piętnaście lat i muszę myśleć o tym, jak stać się dojrzałą chrześcijanką.

Prawdę rzekłszy, Kongo to nie jest wyłącznie raj. Może zjedliśmy zakazane owoce w Ogrodzie, bo nasza rodzina zawsze sprawia wrażenie, jakby za dużo wiedziała, choć jednocześnie nie dosyć. Zawsze kiedy zdarzy się coś ważnego, jesteśmy zupełnie zaskoczeni, w przeciwieństwie do wszystkich innych. Nikogo prócz nas nie dziwi nadejście, a potem odejście pory deszczowej nie wtedy, co zwykle, albo nagła metamorfoza zwykłych zielonych krzewów w poinsecje. Nikogo prócz nas nie dziwią motyle ze skrzydełkami przezroczystymi jak szklane kulki, nikogo prócz nas nie dziwi bardzo długi, bardzo krótki albo bardzo zielony wąż na drodze. Nawet małe dzieci zdają się wiedzieć więcej niż my, przychodzi im to z taką samą łatwością co mówienie swoim językiem.

Muszę przyznać, że z początku byłam zdeprymowana, kiedy słyszałam, jak małe dzieci szczebioczą w języku kikongo. Jak to możliwe, że szczeniaki mniejsze od Ruth May tak doskonale władają tym zupełnie innym językiem? Czasami podobnie jest z Adą, która nagle okazuje się znać francuski albo wiedzieć, ile wynosi pierwiastek kwadratowy z pi, chociaż ja przyjęłam za

aksjomat, że wiem wszystko, co wie ona. Kiedy tu przyjechałyśmy, dzieci każdego ranka gromadziły się pod naszym domem, co nas zdezorientowało. Sądziłyśmy, że musi być coś dziwnego na dachu, na przykład balon. Potem zdałyśmy sobie sprawę, że tą dziwną rzeczą jesteśmy my same. Dzieci przychodziły pod nasz dom z tych samych powodów, dla których ludzie gromadzą się, aby obejrzeć pożar albo wypadek samochodowy. Nie musiałyśmy robić nic szczególnego, żeby ich fascynować, wystarczyło chodzić po domu, mówić, nosić spodnie, gotować wodę.

Z mojego punktu widzenia nasze życie było znacznie mniej fascynujące. Matka dała nam kilka tygodni urlopu od podręczników szkolnych, abyśmy miały czas zadomowić się w nowych warunkach, ale we wrześniu klasnęła w dłonie i oznajmiła: „Kongo, nie Kongo, wracamy do szkoły, dziewczęta!” Postanowiła, że zrobi z nas intelektualistki, i to nie tylko z tych uzdolnionych spośród nas. W swoich planach traktowała nas zbiorczo. Codziennie po śniadaniu i modlitwie sadzała nas za stołem i stukwała nas w tył głowy palcem wskazującym, żebyśmy pochylały się nad podręcznikami (a Ruth May nad kolorowankami) — pewnie żeby dać nam przedsmak czyścica. Ja jednak nie mogłam się skupić na niczym innym oprócz głosów dzieci na zewnątrz, oprócz dziwnych, migotliwych sylab ich słów. Brzmiało to jak bełkot, ale niesło ze sobą jakieś tajemne przesłanie. Jedna zagadkowa fraza wykrzyczana przez któregoś ze starszych chłopców potrafiła sprowokować całą gromadę do pisków i śmiechów.

Po lunchu miałyśmy kilka cennych godzin wolności. Dzieci wrzeszczały i zmykały przerażone na nasz widok, jakbyśmy były jadowite. Potem po paru chwilach podpełzały znowu, gołe i osłupiałe, zauroczone regularnością naszych obyczajów. Po niedługim czasie znów stały w półkołu na skraju placyku przed naszym domem, żując różowe łydki trzciny cukrowej i wślepiając się w nas. Co odważniejsze podchodziły kilka kroków do przodu, wyciągały rękę i

krzyczały: Cadeaul, po czym uciekały, piszcząc z przerażenia. Był to najwyższy stopień zażyłości, jaki udało nam się do tej pory osiągnąć — wy wrzeszczana prośba o prezent! Co mogłyśmy im dać? Kiedy planowałyśmy wyjazd, ani przez chwilę nie pomyślałyśmy o tym, że oni też będą chcieli dóbr doczesnych. Przywiozłyśmy tylko rzeczy dla siebie. Próbowalam więc nie zwracać na to wszystko uwagi, kiedy leżałam w hamaku z nosem w książce, którą już trzy razy przeczytałam. Udawałam, że nie obchodzi mnie, że patrzą na mnie jak na zwierzę w zoo albo potencjalne źródło łupów. Pokazywali palcami i rozmawiali ze sobą, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że nie mam dostępu do ich świata.

— Ale, słoneczko, ten kij ma dwa końce—powiedziała moja matka. — Ty znasz angielski, a oni nie.

Wiedziałam, że ma rację, ale nie pocieszało mnie to. Mówienie po angielsku nic nie znaczyło w porównaniu na przykład z umiejętnością wymienienia wszystkich stolic i podstawowych surowców Ameryki Południowej, recytowania Pisma Świętego czy chodzenia po płocie. Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek musiała ciężko pracować, aby się nauczyć mego rodzimego języka. Przez jakiś czas mozoliłam się nad francuskim, ale potem Ada zdobyła wawrzyny, więc zaprzestałam starań. Pomyślałam, że ona będzie znała francuski za nas obie. Muszę jednak powiedzieć, że zdolność do uczenia się języków wydaje mi się dziwna u kogoś, kto w imię zasad ogólnych odmawia mówienia. W Stanach francuski kojarzył się zresztą z czymś w rodzaju gry salonowej. Po przyjeździe tutaj prawdę mówiąc też. Te dzieci nie mają nic wspólnego z je suis, vous etes. Mówią językiem, który bulgocze i chlupocze im z ust jak woda z rury. Chciałam wstać z hamaka i krzyknąć coś, co by je spłoszyło jak stado wystraszonych kaczek. Próbowalam wymyślić jakiś rytmiczny, soczysty okrzyk. Wyobraziłam sobie, że wołam: „Bakabuka!” Albo: „Niech żyje Ike!” Albo, z filmu o statku kosmicznym, który kiedyś widziałam: „Klatu barada nikto!”

Chciałam, żeby się ze mną bawiły.

Sądzę, że wszyscy w mojej rodzinie w gruncie rzeczy chcieli tego samego. Bawić się, rozsądnie targować, ofiarować Słowo, wyciągnąć rękę przez martwą przestrzeń, która nas otulała.

Pierwszą z nas, której się udało, była Ruth May.

To nie powinno było nas zaskoczyć, zważywszy, że Ruth May wydaje się posiadać umiejętność przeskakiwania gór samą siłą woli. Ale kto by pomyślał, że pięcioletnia dziewczynka nawiąże porozumienie z Kongijczykami? Przecież jej nie było wolno wychodzić poza placyk przed naszym domem! Zadanie pilnowania jej zwykle spadało na mnie, jednym okiem kontrolowałam, czy przypadkiem nie zamierza spaść z drzewa i rozwalić sobie czaszki o kamień. Ruth May była jak najbardziej zdolna zrobić

coś takiego, tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę. Miała wielką ochotę gdzieś drapnąć i czasami musiałam snuć przed nią wizje katastrofy, żeby ją powstrzymać. Mówiłam jej straszne rzeczy. Że wąż ją ukąsi albo że któryś z tych gości, którzy chodzą, wymachując maczetami, poderżnie jej gardło. Zawsze miałam potem wyrzuty sumienia i recytowałam psalm pokutny: Zmiłuj się nade mną, Boże, w ogromie swego miłosierdzia. Ale przy całym ogromie swego miłosierdzia On musi rozumieć, że czasami trzeba kogoś przestraszyć dla jego własnego dobra. Z Ruth May sprawdzają się tylko ekstremalne środki.

Kiedy już ją porządnie nastraszyłam, wymykałam się spod domu. Szłam poszukać Pigmejów, którzy podobno mieszkają nam tuż pod nosem w lesie, albo małp (łatwiej je zauważyć). Czasami zrywałam owoce dla Matuzalema, który wciąż kręcił się opodal i żebrał, albo łapałam koniki polne dla Leona, kameleona, którego trzymamy w drewnianej skrzynce. Matka nam na to pozwoliła pod warunkiem, że nigdy nie wniesiemy go do domu. Co jest o tyle zabawne, że znalazłam go u nas w domu. Jego wylupiaste oczy obracają się w

dowolną stronę i uwielbiamy tak mu namieszać, żeby jedno patrzyło w górę, a drugie w dół. Koniki polne, które wrzucamy mu do skrzynki, łapie, strzelając językiem jak z procy.

Mogłabym również spróbować namówić ojca, żeby zabrał mnie ze sobą. Zawsze istnieje taka możliwość. Ojciec spędza dni, obchodząc wioskę, próbuje nawiązać rozmowę z beczynnymi staruszkami albo wypuszcza się dalej, aby sprawdzić, czy Pan Bóg darzy łaską sąsiednie wioski. Jest kilka małych osad, do których można dotrzeć na piechotę i wrócić tego samego dnia, ale z przykrością informuję, że wszystkie podlegają władzy naszego bezbożnego wodza, Taty Ndu.

Ojciec nigdy nie pozwala mi chodzić tak daleko, ale ja nie przestaję go prosić. Próbuję unikać nużących zajęć gospodarskich, które bardziej odpowiadają Rachel, o ile jest skłonna się do tego zniżyć danego dnia. Mój pogląd na dom brzmi, że zawsze lepiej jest być na zewnątrz. Wałęsam się więc po skraju wioski i czekam na powrót ojca. W miejscu, gdzie gruntowa droga

wrzyna się głęboką czerwoną bruzdą między wysokie ściany żółtej trawy, nigdy nie wiadomo, kogo mogą przynieść zakurzone stopy. Zazwyczaj kobiety, dźwigające świat na głowie: olbrzymi szklany dymion z winem pał mowym, a na wierzchu kalebasę niby odwrócony do góry nogami kapelusz albo wiązkę drewna na opał, zwieńczoną dużą emaliowaną miednicą z warzywami. Kongijski zmysł równowagi jest godzien podziwu.

Większość dziewcząt w moim wieku, a nawet młodszych, ma dzieci. Wydają się o wiele za młode jak na czyjeś żony, dopóki nie spojrzysz im się w oczy. Wtedy widać. Ich oczy są zarazem szczęśliwe i smutne, ale nic nie budzi ich entuzjazmu, łatwo uciekają na bok, jakby już prawie wszystko widziały. Zameżne oczy. A młodsze dziewczęta—jeśli są za młode na zamążpójście i za stare, żeby matka nosiła je na plecach (dosyć wąski przedział) — maszerują z

workami przerzuconymi przez ramię i stroszą się na ciebie, jakby chciały powiedzieć: Zejdź mi z drogi, nie widzisz, że jestem zajęta! Czasami są to tylko małe dziewczynki, które wloką się za matkami, ale traktują się bardzo poważnie. Dziewczęta są zazwyczaj prawie łyse, tak samo jak chłopcy. (Matka mówi, że to z powodu niedoboru białka). Dziewczęta można jednak poznać po poplamionych plisowanych sukienkach, wyrzuconych na śmietnik w jakiejś odległej krainie. Przez wiele miesięcy nie mogłam wyjść z podziwu, że wyglądają zupełnie jak mali chłopcy w falbaniastych sukieneczkach. Żadna dziewczyna ani kobieta nie nosi tu spodni, nigdy, toteż wyraźnie odstajemy od reszty towarzystwa. Oni zdaje się myślą, że jesteśmy chłopcami, może z wyjątkiem Rachel, i nie potrafią nas odróżnić jednej od drugiej. Nazywają nas wszystkie BeelezU co znaczy Belgowie! Mówią nam to prosto w twarz. Tak nas pozdrawiają: Mbote, BeelezU Kobiety uśmiechają się, ale potem zakrywają usta zawstyżone. Niemowlęta raz spojrzą i natychmiast wybuchają płaczem. Można dostać kompleksów. Mnie to jednak nie przeszkadza, jestem zbyt zafascynowana, żeby gnić w domu albo tkwić na placyku przed domem. Wiem, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale niżej staram się nie schodzić.

W samym środku wioski rośnie wielki puchowiec, właśnie wokół niego co pięć dni odbywa się targ. Co to za widok! Wszystkie panie przychodzą sprzedawać i trajkotać. Mają zielone banany, różowe banany, kopczyki ryżu i innych białawych rzeczy wysypanych na papier, cebule, marchewki, a nawet fistaszki, jeśli szczęście się do nas uśmiechnie, albo miski małych czerwonych pomidorów, koślawych, ale bardzo cenionych. Widuje się nawet butelki jasnopomarańczowej oranżady, które ktoś tu pewnie przytargał aż z samego Leopoldville i jeszcze się sporo nachodzi, zanim je wszystkie sprzeda. Jedna pani sprzedaje kostki mydła w kolorze karmelkowym, które wyglądają tak smakowicie, że chciałoby się je zjeść. (Ruth May zwędziła kiedyś jedno i ugryzła, a potem strasznie płakała, podejrzewam, że nie z powodu okropnego

smaku, tylko z rozczarowania, bo mamy tutaj tak niewiele słodczy). Czasami widzimy też znachora z aspirynami, różowymi pigułkami, żółtymi pigułkami i wnętrznościami zwierząt ułożonymi w równiutkich rzędach na czarnym aksamicie. Wysłucha twoich bolączek, a potem mówi ci, czy masz kupić pigułkę albo amulet, czy też iść do domu i nie myśleć o tym. Tak wygląda dzień targowy. Na razie kupujemy różne rzeczy tylko na obrzeżu targu. Nie możemy zdobyć się na odwagę, żeby pójść na całego i zrobić normalne zakupy. Fascynujące jest jednak oglądać te szpalery długonogich kobiet w ich barwnych pagnes, zgiętych niemal w pół, żeby obejrzeć wyłożone na ziemi artykuły. Kobiety podwijają wargi pod nos, kiedy wyciągają rękę po pieniądze. Patrzy się na ten cały zgiełk i handlowanie, a potem na falujące zielone wzgórza w oddali i zupełnie to do siebie nie pasuje. Jakby ktoś jednocześnie puścił dwa całkiem różne filmy.

W dni, kiedy nie ma targu, ludzie zbierają się na rynku, żeby załatwić jakieś sprawy: zrobić sobie fryzurę, naprawić buty albo po prostu poplotkować w cieniu. Fryzury to bardzo skomplikowana rzecz, co o tyle zaskakuje, że kobiety prawie nie mają włosów. Dzieli się je na długie rzędy poukładane w misterne wzory i na koniec ich głowy wyglądają jak kulki ciemnej wełny pracowicie pozszywane z setki kawałków. Jeśli jest do dyspozycji

choć parę centymetrów włosów, fryzjerka obwiązuje ich wiązki czarną nitką, toteż sterczą czarnymi szpikulcami, jak u Mamy Boandy. Pokazy fryzjerskie zawsze ściągają publiczność. Obowiązuje chyba zasada, że jeżeli sam nie masz włosów, to popatrz sobie, jak układają innym. Starsi mężczyźni i kobiety gapią się, międląc bezzębnymi ustami, ubrani w znoszone stroje sprane dokładnie na ten sam kolor co ich skóra. Z daleka nie widać, czy mają cokolwiek na sobie, odcinają się tylko włosy delikatnie przyprószone siwizną. Z wyglądu są starzy jak świat. Każda kolorowa rzecz, którą zdarza im się trzymać



w rękach, na przykład plastikowe wiadro, dziwnie odstaje. Ich wygląd neguje istnienie nowoczesnego świata.

Główną fryzjerką jest Mama Lo. Produkuje też na boku olej palmowy, każe go wyciskać swoim małym synkom z czerwonych orzechów palmowych za pomocą skleconej własnym przemysłem prasy, a potem sprzedaje innym mieszkańcom wioski codziennie po trochu, do smażenia warzyw i tak dalej. Mama Lo nie ma męża, mimo że jest bardzo przedsiębiorcza. Wydawałoby się, że jak na tutejsze stosunki powinna być dla mężczyzn smakowitym kąskiem. To prawda, że nie grzeszy urodą, ma smutne małe oczka i pomarszczone usta, które trzyma zamknięte od rana do wieczora, układając włosy. Jej własna fryzura pozostaje zagadką, ponieważ Mama Lo zawsze owija głowę olśniewającym płótnem w pawie pióra. Te radosne pióra nie pasują do jej osobowości, ale tak samo jak Tata Boanda w damskim swetrze, Mama Lo nie zdaje sobie sprawy, że jej strój jest humorystyczny.

Stwierdziłam, że jeśli usiądę na pniaku na skraju wioski, prędeż czy później o mnie zapomną. Lubię tam siedzieć i wypatrywać kobiety z wielką białą torebką, taką samą, z jaką Mamie Eisenhower mogłaby pójść na zakupy — ta kobieta z dumą niesie ją przez całą wioskę na głowie. Uwielbiam też patrzeć, jak chłopcy wspinają się na drzewa, żeby zrywać orzechy palmowe. Wysoko w górze, gdzie słońce kładzie się czerwonawobrazowym kolorem na pnie drzew i chude kończyny chłopców, wyglądają przepięknie. Jakby spłynęła na nich łaska Boża. W każdym razie

nigdy nie spadają. Lis'cie palmowe falują im koło głów jak strusie pióra.

Dwa razy widziałam pszczelarza, który wychodzi z lasu, niosąc ociekający plaster miodu — czasem z pszczołami! — w gołych rękach. Dymiący rulon liści sterczy mu z ust jak gigantyczne cygaro. Śpiewa po cichutku pszczołom, kiedy idzie przez wioskę, wszystkie dzieci biegną za nim,

zahipnotyzowane perspektywą zjedzenia miodu, ich apetyt na coś słodkiego każe im wibrować i bzyczeć jak pszczoły.

W te rzadkie dni, kiedy Eeben Axelroot jest w swojej chacie na końcu łądowiska, zdarzało mi się tam iść i szpiegować go. Czasami idzie ze mną Ada, chociaż z reguły woli przebywać w swoim własnym towarzystwie. Jednak pan Axelroot stanowi ogromną pokusę, ponieważ zarazem budzi ciekawość i odpycha. Chowamy się pośród bananowców, które wykwitły wokół jego latryny, chociaż bierze nas obrzydzenie na myśl, że ta bujna roślinność jest używana przez odchody tego odrażającego człowieka. Wielkie liście bananowców ocierają się o brudne tylne okno chaty, zostawiając wąskie szpary, przez które znakomicie się podgląda. Pan Axelroot jest dosyć nudny do oglądania. W typowy dzień śpi do południa, a potem urządza sobie sjęstę. Widać po nim, że nie jest zbawiony. Ma jednak fascynujące rupiecie: pistolety, narzędzia, wojskowe ubrania, nawet radio, które trzyma w wojskowej metalowej szafce. Słyszymy dobywające się ze środka trzaski i trochę upiorne głosy z oddali, mówiące po francusku i po angielsku. Rodzice powiedzieli nam, że w odległości stu mil od wioski nie ma ani jednego radia (chcą mieć radio dla bezpieczeństwa, ale ani Związek Misyjny, ani Pan Bóg na razie go nam nie dostarczyli). Czyli nie wiedzą o radiu pana Axelroota. aja nie mogę im o tym powiedzieć, bo musiałabym się przyznać do podglądania.

Moi rodzice stronią od niego. Mama jest przekonana, że żadna z nas nie miałaby ochoty kręcić się koło jego domu, toteż nie przyszło jej do głowy, żeby nam tego zabronić. Bardzo się z tego cieszę. Skoro nikt wprost nie powiedział, że szpiegowanie pana

Axelroota jest grzechem, to formalnie rzecz biorąc, Pan Bóg nie może mi z tego czynić zarzutu. Hardy Boys szpiegowali w dobrej sprawie i ja też zawsze uważam, że kierują mną szlachetne intencje, kiedy kogoś podglądam.

Była połowa września, kiedy Ruth May poczyniła pewne postępy na froncie towarzyskim. Któregoś popołudnia, kiedy wróciłam z wyprawy szpiegowskiej, zobaczyłam, jak bawi się w „Mamo, mogę?” z połową wioskowych dzieci. Zupełnie osłupiałam. Moja własna siostrzyczka stała na środku placyku przed naszym domem, otoczona wianuszkiem czarnych dzieci, które w milczeniu ssały trzcinę cukrową, nie śmiać nawet mrugnąć okiem. Ich twarze były skupione na Ruth May tak jak soczewka skupia światło słoneczne. Pomyślałam, że nie zdziwiłabym się, gdyby stanęła w płomieniach.

— Ty, tam.—Ruth May pokazała palcem i podniosła do góry cztery palce. — Zrób cztery nożycokroki.

Wybrane przez nią dziecko otworzyło szeroko usta i zaśpiewało czteronutową piosenkę: — Ma-mo-mo-gem?

— Tak, możesz — odparła dobrotliwie Ruth May. Chłopczyk skrzyżował nogi w kolanach, odchylił się do tyłu,

posunął się o dwa kroki do przodu, a potem jeszcze o dwa, zupełnie jak krab, który umie liczyć.

Obserwowałam ten obrazek przez dłuższą chwilę, zaskoczona widokiem tego, co Ruth May zdołała osiągnąć za moimi plecami. Każde z dzieci wykonywało kroki olbrzyma, kroki niemowlęcia, nożycokroki i kilka innych absurdalnych ruchów wymyślonych przez Ruth May. Niechętnie pozwoliła nam przyłączyć się do zabawy i niechętnie to uczyniliśmy. Przez kilka popołudni pod gromadzącymi się chmurami wszystkie cztery — łącznie z Rachel, która zazwyczaj była ponad takie rzeczy — bawiłyśmy się w „Mamo, mogę?” Wyobrażałam sobie, że jestem misjonarką, która opiekuje się dziećmi, czułam się bowiem zażenowana, że uczestniczę w tej infantylnej zabawie z dziećmi sięgającymi mi do pasa. Byłyśmy jednak tak zmęczone sobą nawzajem, że towarzystwo tych dzieci było dla nas nieodpartą atrakcją.

Wkrótce jednak straciłyśmy zainteresowanie, ponieważ wynik był zawsze z góry do przewidzenia: kongijskie dzieci zawsze prześcigały nas w marszu do zwycięstwa. Chcąc wycisnąć jak największy przebyty dystans z nożycokroków czy czego tam, moje siostry i ja czasami zapominałyśmy zapytać (a Ada wymamrotać) „Mamo, mogę?”, podczas gdy innym dzieciom nie zdarzało się to absolutnie nigdy. Dla nich krzyknięcie: „Ma-mo-mo-gem?” było jednym z kroków w wyuczonym na pamięć łańcuchu czynności, a nie grzecznościową formułą, której można było użyć albo pominąć tak samo jak „tak, proszę pani” czy „dziękuję”. Kongijskie dzieci nie miały pojęcia, że w tej zabawie chodzi o nauczenie się zasad dobrego wychowania, tak samo jak Matuzalem nie wiedział, co czyni, kiedy skazywał nas na wieczne potępienie. Nieprzyjemnie nas to zaskoczyło, że wygrywają zawsze ci, którzy znają reguły, lecz nie rozumieją, jaka płynie z nich nauka.

Jednak „Mamo, mogę?” przełamało lody. Kiedy dzieci zorientowały się, jaka Ruth May jest apodyktyczna i stopniowo się wykruszyły, został jeden chłopiec. Miał na imię Pascal albo coś zbliżonego i zafrapował nas swym wybujałym językiem migowym. Pascal był moim nkundi: moim pierwszym prawdziwym przyjacielem w Kongu. Chociaż niższy o jedną trzecią, był dużo silniejszy i szczęśliwie dla nas obojga posiadał parę szortów w kolorze khaki. Przez dwie wystrzępione dziury na siedzeniu widać mu było spory kawał zadka, ale to mi nie przeszkadzało. Rzadko znajdowałam się bezpośrednio za nim, chyba że wchodziliśmy na drzewa. Nawet wtedy znacznie mniej mnie to krępowało niż zupełna nagość. Myślę, że nie umiałabym się zaprzyjaźnić z zupełnie nagim chłopcem.

— Beto nki tutasala? — pytał mnie w ramach pozdrowienia. — Co robimy? — To było dobre pytanie. Nasze wspólne spędzanie czasu polegało głównie na tym, że Pascal podawał mi nazwy wszystkiego, co widzieliśmy, i pewnych rzeczy, o których sprawdzeniu nie pomyślałam. Na przykład bdnkala,

jadowite drzewo, które nas stale prześladowało. Nareszcie nauczyłam się zauważać i unikać jego gładkich, błyszczących liści. Powiedział mi też

o ngondi, rodzajach pogody: mawalala to deszcz w oddali, który nigdy nie przychodzi. Kiedy grzmi i przygina trawę do ziemi, to się nazywa nuni ndolo, a łagodniejszy deszcz to nkazi ndolo. Nazywał je „deszcz chłopaka” i „deszcz dziewczyny”, pokazując na swoje i moje narządy intymne z taką miną, jakby w ogóle nie przychodziło mu do głowy, że może w tym być coś zdroźnego. Były też inne słowa z chłopakiem i dziewczyną, na przykład prawo i lewo: ręka męska i ręka kobieca. Te dyskusje rozpoczęły się po kilku tygodniach naszej przyjaźni, kiedy Pascal się dowiedział, że nie jestem chłopcem, lecz istotą, o której wcześniej nie słyszał: dziewczyną w spodniach. Wiadomość ta niepomnie go zaskoczyła (nie chcę się rozwodzić nad tym, jak do tego doszło — w każdym razie wiązało się to z sikaniem w krzakach). Jednak szybko mi wybaczył, z czego się ucieszyłam, bo przyjaciele w tym samym wieku i tej samej płci byli nieosiągalni — wszystkie dziewczęta w Kilandze były zbyt zajęte dźwiganiem drewna na opał, wody albo dzieci. Nie przyszło mi do głowy, żeby się zastanawiać, dlaczego Pascal ma czas na zabawy i wałęsanie się ze mną, a jego siostry nie. Można było odnieść wrażenie, że kiedy mali chłopcy biegają i udają, że strzelają do siebie i padają martwi na drodze, małe dziewczynki zarządzają krajem.

Pascal był doskonałym kolegą. Kiedy kucaliśmy twarzą w twarz, zaglądałam mu w jego szeroko osadzone oczy i próbowałam go nauczyć angielskich słów — drzewo palmowe, dom, biegać, chodzić, jaszczurka, wąż. Pascal owszem, umiał powtórzyć po mnie te słowa, ale nie chciało mu się ich zapamiętywać. Zwracał uwagę tylko na rzeczy, których nigdy wcześniej nie widział, na przykład zegarek Timex z sekundnikiem, który nosiła Rachel. Chciał również wiedzieć, jak się nazywają włosy Rachel. „Włosy, włosy”, powtarzał bez końca, jakby to była nazwa jakiegoś pożywienia, którego nie chciał kiedyś

przez pomyłkę wziąć do ust. Dopiero później uzmysłowiłam sobie, że powinnam mu była powiedzieć „blond”.

Kiedy się już ze sobą zaprzyjaźniliśmy, Pascal pożyczał maczetę i ścinał dla mnie trzcinę cukrową. Ostroymi, przerażającymi zamachnięciami odrąbywał kawałki długości lizaka, po czym

odkładał maczetę obok hamaka swego ojca. Zwyczaj ssania trzciny cukrowej w Kilandze bez wątpienia nie pozostawał bez związku z czarnymi kikutami zębów, które wszyscy szczyrzyli, uśmiechając się do nas. Matka nigdy nie przegapiła okazji, żeby wspomnieć o tym związku, lecz Pascal miał wspaniałą garnitur mocnych, białych zębów, więc postanowiłam zaryzykować.

Zaprosiłam Pascala do naszej kuchni, kiedy matki tam nie było. Staliśmy w pachnących bananami ciemnościach i oglądaliśmy ścianę nad blatem z deski, do której mama przypina pinezkami wyrwane z czasopism zdjęcia. Podejrzewam, że znajduje w nich towarzystwo, w tych wszystkich gospodyniach domowych, dzieciach i przystojnych mężczyznach z reklam papierosów, których ojciec by nie zaaprobował, gdyby Pan skierował kiedyś jego kroki do kuchni, co jest mało prawdopodobne. Mama powiesiła nawet zdjęcie prezydenta Eisenhowera. W półmroku kuchni błada, bulwiasta głowa prezydenta świeci jak żarówka. Nasz substytut elektryczności! Lecz Pascal zawsze jest bardziej zainteresowany grzebaniem w workach z mąką i czasem bierze do ust garście mleka w proszku. Mnie odrzuca ta substancja, lecz on zjadają ze smakiem, jakby to były słodycze.

W zamian za to, że pozwoliłam mu po raz pierwszy w życiu zakosztować mleka w proszku, Pascal pokazał mi drzewo z gniazdem ptaków. Weszliśmy na nie i obejrzeliliśmy sobie różowe pisklęta, a potem Pascal włożył sobie jedno do ust, jakby to był cukierek. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Podał mi inne pisklę i pokazał, żebym zjadła. Doskonale zrozumiałam, o co mu chodzi,

lecz odmówiłam. Nie wyglądał na rozczarowanego, że musi sam zjeść cały wylęg.

Innego dnia Pascal nauczył mnie budować wysoki na piętnaście centymetrów dom. Przykucnięty w cieniu naszej guawy, pionowo wbił w ziemię gałązki. Potem zrobił z gałązek ściany, przeplatając je paskami kory, jakby wił koszyk. Wziął do ręki garść ziemi, splunął na nią, ugniół w czerwoną glinę i obłożył nią ściany. Wreszcie wygryzł zębami prostokąty z liści palmowych, których użył jako budulec dachu. Wreszcie usiadł na piętach

i spojrzał na swoje dzieło z namaszczoną miną. Zdałam sobie sprawę, że domek Pascala pod względem użytych materiałów i konstrukcji jest identyczny jak nasz, różni się tylko wielkością. Uderzyło mnie, jak olbrzymia przepaść dzieli od siebie nasze zabawy: my bawimy się w „Mamo, mogę?” i chowanego, on w „znajdź jedzenie”, „rozpoznaj jadowite drzewo”, „zbuduj dom”. A Pascal miał zaledwie osiem czy dziewięć lat. Miał młodszą siostrę, która wszędzie nosiła niemowlę i pielę z matką chwasty na polu manioku. Zrozumiałam, że jedyna znana mi wcześniej koncepcja dzieciństwa nie jest wcale oczywista. Wydało mi się ono nawet czymś wymyślonym przez białych ludzi i przyfastrygowanym do dorosłego życia jak falbanka do sukienki. Po raz pierwszy w życiu poczułam gniew na ojca, że uczynił mnie dzieckiem białego kaznodziei z Georgii. To nie była moja wina. Zagryzłam wargę i przystąpiłam do budowy mojego własnego domku pod guawą, lecz w porównaniu ze zwinnopalcym Pascalem moje ręce były niezdarne jak płetwy wyrzuconego na brzeg morska. Pod ubraniem zalała mnie fala głębokiego szkarłatnego zawstydzienia.

Ruth May Price

Mama codziennie mi mówiła, rozwalisz sobie głowę, ale nie rozwaliałam sobie. Za to złamałam rękę.

Stało się to, kiedy szpiegowałam Afrykańskich Komunistycznych Skautów. Siedziałam wysoko na drzewie i widziałam ich, a oni mnie nie. Na drzewie wisiały zielone gruszki awokado, które smakują tak sobie. Żadna z nas ich nie je, oprócz mamy, która pamięta jak smakowały w kraju z solą i majonezem Hellmana, kupione w Piggly Wiggly.

— Majonez... Jakiego koloru był słoik? — spytałam jej, ale nie rozpląkała się. Czasem, gdy nie pamiętam czegoś z Georgii, to ona płacze.

Wyglądali dla mnie tak samo jak normalni skauci z Konga, tyle że maszerowali bez butów. Żołnierze armii belgijskiej mają

buty i karabiny, czasami przemaszerowują przez wioskę po drodze dokądś. Ojciec powiedział, że pokazują wszystkim Kongijczykom, takim jak Pan Nydo, że Belgia wciąż tu rządzi. Druga armia to tylko chłopcy z tej okolicy. Łatwo ich odróżnić. Nie ma żadnych białych dowódców i nie noszą takich samych ubrań. Mają tylko szorty i chodzą boso. Jeden skombinował skądś czerwoną francuską czapkę. Strasznie mi się ta czapka podoba. Inni mają czerwone chusty zawiązane na szyi. Mama mówi, że to nie są skauci, tylko Jeune Mou-Pro.

— Ruth May, słoneczko, ty nie masz nic do roboty z Jeune Mou-Pro, więc kiedy ich zobaczysz, zaraz biegnij do domu. — Mama pozwala nam bawić się z małymi dziećmi i chłopcami, nawet jeśli są prawie całkiem goli, ale nie z tymi w czerwonych chustach. Mbote ve! To znaczy nic dobrego. Dlatego wdrapałam się na awokado, kiedy ich zobaczyłam. Przez jakiś czas myślałam, że to nie jest Jeune Mou-Pro, tylko Jimmy Crow, nazwisko, które znałam z Ameryki.

Przed południem nie możemy szpiegować. Moje siostry muszą mieć lekcje, a ja muszę kolorować i uczyć się liter. Nie lubię szkoły. Ojciec mówi, że dziewczyna nie może iść na studia, bo należą jej wody do butów. Czasami wolno



mi bawić się ze zwierzętami zamiast kolorować, byłam nie hałasowała. Przedstawiam wam moje zwierzęta: Leon i mangusta. I papuga. Ojciec wypuścił papugę, bo niechcący nauczyłyśmy ją mówić brzydkie słowa, ale nie odleciała w siną dal. Odlatuje, a potem wraca, bo ma słabe skrzydła; za bardzo się udomowiła i zapomniała, jak się lata i zdobywa jedzenie. Karmię ją kwaśnymi limonkami z drzewa dima, żeby kichnęła i wytarła sobie dziobek, po jednej stronie, a potem po drugiej. Mbote vel Dima, dimba, dimbama. Lubię mówić te wszystkie słowa, bo wychodzą z ust i się śmieją. Moim siostróm jest żal papugi, ale mnie nie. Miałabym też węża, gdyby mi pozwolili, bo nie boję się węży.

Mangusty nikt mi nie podarował. Przyszła kiedyś pod dom i patrzyła na mnie. Każdego dnia podchodziła coraz bliżej. Któregoś dnia weszła do domu, następnego też. Mnie lubi najbardziej.

Nikogo innego nie toreluje. Lea powiedziała, że nazwiemy ją Ricky Ticky Tabby — a guzik, jest moja i nazwę ją Stuart Malutki. Tak nazywa się mysz w jednej książce. Nie mam węża, bo mangusta zabija węże. Stuart Little zabił jednego koło kuchni i bardzo dobrze się złożyło, bo teraz mama wpuszcza go do domu. Dimba znaczy Słuchaj no! Słuchaj no, gnojku! Wąż koło kuchni to była kobra, która pluje ci w oczy, ty ślepniesz, a ona wtedy może cię kąsać, ile wlezie.

Kameleona znalazłyśmy kiedyś same. To znaczy właściwie Lea znalazła go na łóżku. Większość zwierząt jest tego koloru, który dał im Pan Bóg i muszą się z tym pogodzić, ale kameleon może sobie wybrać każdziuteńki kolor. Bierzemy go do domu, kiedy mama i ojciec są jeszcze w kościele i jednego razu położyłyśmy go dla ekskrementu na sukience mamy i zrobił się cały w kwiatki. Kiedy nam się wyrwie w domu, to jejku, nie możemy go znaleźć. Wendambote! Żegnaj, szczęśliwej drogi i amen! Więc trzymamy go na zewnątrz w pudle, w którym przyjechały komiksy. Jeśli szturchnąć go kijem, robi się czarny z iskierkami i tak jakoś burczy. Robimy to, żeby wiedział, kto tu rządzi.

Złamałam sobie rękę w dniu, w którym miał przylecieć pan Axelroot. Ojciec powiedział, że to łaskawe zrządzenie Pana Boga. Ale kiedy pan Axelroot dowiedział się, że musimy lecieć do Stanleyville, to odwrócił się i poszedł w górę rzeki czy gdzieś, nikt nie wiedział dokąd, powiedział, że będzie jutro.

— Co za człowiek — powiedziała mama, a ojciec powiedział: — A w ogóle to co ty tam wyrabiałaś na tym drzewie, Ruth May?

Powiedziałam, że Lea miała mnie pilnować, więc to nie moja wina. Powiedziałam, że chowałam się przed Jeune Meu-Pro.

— Na litość boską — powiedziała mama. — Co robiłaś na dworze, przecież kazałam ci natychmiast biec do domu, kiedy ich zobaczysz. — Bała się powiedzieć ojcu, żeby mnie nie sprął, z moją złamaną ręką i w ogóle. Powiedziała mu, że jestem baran kiem Bożym i to był zwykły wypadek, więc ojciec nie złoił mi skóry. Jeszcze nie. Może to zrobi, kiedy ręka się zrośnie.

Bardzo mnie bolała. Nie płakałam, ale trzymałam ją nieruchomo na piersi. Mama zrobiła mi temblak z tej samej beli płótna, którą przywiozła na prześcieradła i chrzcielne sukienki dla afrykańskich dziewczynek. Na razie nie ochrzciliśmy ani jednej. Nie zgadzają się na żadne wrzucanie do rzeki, pięknie dziękujemy, lubimy krokodyle, ale nie aż tak bardzo.

Pan Axelroot rzeczywiście wrócił następnego dnia w południe, woniał jak zepsuty owoc. Mama powiedziała, że lepiej będzie poczekać jeszcze jeden dzień, jeśli chcemy dolecieć w jednym kawałku. Powiedziała: — Mieliśmy szczęście, że to tylko złamana ręka, a nie ukąszenie węża.

Kiedy czekaliśmy, aż pan Axelroot wsiądzie do samolotu, kongijskie kobiety przyszły na lądowisko z wielkimi worami manioku na głowach, a on dawał im pieniądze. Kobiety płakały, kiedy dawał im pieniądze. Ojciec powiedział, że to dlatego, że im płacił dwa centy za dolara, ale oni tu nawet nie

mają normalnych dolarów. Używają takich różowych pieniędzy. Niektóre kobiety strasznie się darły na pana Axelroota i poszły sobie, nie zostawiając mu swoich worków. Potem wsiedliśmy do samolotu i poleciliśmy do Stanleyville: pan Axelroot, ojciec i moja złamana ręka. Byłam pierwszą ze wszystkich sióstr, która sobie cokolwiek złamała, nie licząc palców u nóg. Mama chciała polecieć zamiast ojca, bo dla niego to była strata czasu. Gdyby poleciała, mogłabym jej siedzieć na kolanach, więc ja też mu powiedziałam, że to dla niego strata czasu. Ale nie, on wtedy zdecydował, że ma ochotę się przejść po ulicy w Stanleyville, więc poleciał, a mama została. Z tyłu samolotu było tyle worków, że musiałam na nich siedzieć. Wielkie, drapiące brązowe worki z maniakiem i bananami i małe płócienne worki z czymś twardym. Zajrzałam do paru z nich: kamienie. Takie migoczące rzeczy i brudne kamienie. Pan Axelroot powiedział ojcu, że jedzenie sprzedaje się w Stanleyville za cenę złota, ale w tych małych płóciennych workach nie było złota, tylko diamenty. Dowiedziałam się o tym, ale nie mogę powiedzieć, w jaki sposób. Ojciec nie wie, że lecieliśmy samolotem z diamentami. Pan Axelroot powiedział, że jeśli wypaplam, to

Pan Bóg tak zrobi, że mama zachoruje i umrze. Więc nie mogę powiedzieć.

Potem zasnęłam, a kiedy się obudziłam, pan Axelroot tłumaczył nam, co widać w dole: hipopotamamy w rzece; słonie biegające po dżungli, całe stado, lew nad wodą, jadł coś, głowa mu się ruszała jak naszej kotce w Atlancie. Powiedział nam, że są tam też malutęcy Pigmeje, ale nie zauważyliśmy ani jednego. Może są za mali.

— Gdzie są te wszystkie zielone węże mamby? — spytałam go. Wiem, że żyją na drzewach, żeby móc spaść na człowieka

z góry i go zabić, chciałam je zobaczyć. Pan Axelroot powiedział:

— Żadne inne stworzenie na tym świecie nie umie się tak dobrze schować jak zielona mamba. Są takiego samego koloru jak to, na czym leżą — powiedział — i ani drgną. Można się o takiego otrzeć i nie wiedzieć o tym.

Wylądowaliśmy gładko na trawie. Z większymi podskokami jechało się po niebie niż po tej trawie. Niedaleko stał wielki budynek szpitala, w którym było mnóstwo białych ludzi i trochę kolorowych w białych fartuchach. Było tylu białych ludzi, że zapomniałam ich policzyć. Już strasznie dawno nie widziałam żadnych białych oprócz nas.

— Co taka grzeczna dziewczynka, córka pastora, robiła na drzewie? — spytał pan doktor. Miał żółte włosy na rękach, wielką twarz i brzmiał z cudzoziemska. Ale nie dał mi zastrzyku, więc go polubiłam.

— To samo chciała wiedzieć matka i ja — powiedział ojciec.

Powiedziałam, że nie chciałam, żeby mnie wrzucili do wielkiego gara i zjedli, więc musiałam się schować. Pan doktor uśmiechnął się. Potem powiedziałam mu, że tak naprawdę chowałam się przed Jimmym Crowem i pan doktor nie uśmiechnął się, tylko spojrzął na ojca. Potem powiedział do mnie:

— Wspinanie się po drzewach to zajęcie dla chłopców i małąp.

— W naszej rodzinie nie ma chłopców — powiedziałam mu. Roześmiał się, kiedy to usłyszał.

— Małąp też nie, jak sądzę! — powiedział.

Rozmawiali z ojcem o wielu rzeczach. Pan doktor zdziwił się, że w naszej wiosce są chłopcy od Jimmy'ego Crowa. Mówił po angielsku tak jakoś dziwnie, przestawiał wyrazy. Zapytał ojca: — Słyszeli o naszym Patrisie Lumumbie aż w Kilandze?

— Aż tak często ich nie widzimy — odparł ojciec. — Czasami słyszymy, jak ćwiczą strzelanie z karabinów.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece — powiedział pan doktor.

— Oczywiście, że Bóg będzie miał nas w swojej opiece! — powiedział mu ojciec. — Nie opuści w biedzie swych służebników, którzy niosą pomoc.

Pan doktor zmarszczył brwi. Powiedział, żeby mu wybaczyć, ale nie zgadza się z tym. Mówił do mojego ojca „wielebny”. — Wielebny, praca misyjna to doskonały interes dla Belgów, ale diabelnie nieskuteczny sposób na zapewnienie pomocy społecznej.

Powiedział „diabelnie”! Wstrzymałam oddech i słuchałam, co będzie dalej.

Ojciec powiedział: — Ależ panie doktorze, ja nie jestem urzędnikiem państwowym. Niektórzy z nas wykonują swój zawód, a niektórzy idą za swym powołaniem. Moją misją jest nieść zbawienie w mroki grzechu.

— Zbawienie, co za bzdura! — powiedział pan doktor. Je stem pewna, że ten człowiek był grzesznikiem, bo tak odpyskował ojcu. Patrzyliśmy, jak miesza gips i rozwija bandażę. Miałam nadzieję, że się nie pobiją z moim ojcem, a jeśli się pobiją, to będę mogła popatrzeć. Widziałam kiedyś, jak ojciec uderzył człowieka, który nie czcił Pana Boga.

Nie odejmując wzroku od mojego ramienia, pan doktor powiedział: — My, Belgowie, zrobiliśmy z nich niewolników i ucinaliśmy im ręce na plantacjach kauczuku. Teraz wy, Amerykanie, każecie im pracować w kopalniach za niewolnicze pieniądze i pozwalacie, żeby sami sobie ucinali ręce. A pan, przyjacielu, został tutaj przysłany po to, żeby im trochę wynagrodzić szkody.

Mówiąc o obcinaniu rąk, bandażował mi ramię. Obwijał je chłodną białą gazą, aż całe ramię było opatulone jak hot dog

w bułce. Cieszyłam się, że mnie nikt nie chce obcinać rąk. Pomyślałam, że ponieważ Jezus uczynił mnie białą, to tego raczej nie zrobią.

— Będzie uwierało — powiedział do mnie. — Zdejmiemy za sześć tygodni.

— Dobrze — powiedziałam do rękawa jego białego fartucha. Miał na nim krew. Cudzą.

Lecz ojciec jeszcze nie skończył z panem doktorem. Przeszł z nogi na nogę i krzychał: — Ja mam im wynagradzać szkody? Nie wyrządziliśmy im żadnych szkód! Belgowie i amerykańscy przedsiębiorcy przynieśli Kongu cywilizację! Amerykańska pomoc będzie zbawieniem dla Konga. Zobaczysz pan!

Pan doktor trzymał moje złamane białe ramię w dwóch palcach, jak wielką kłódkę, sprawdzał, czy mi się dobrze palce zginają. Zmarszczył swe żółte brwi, nie podnosząc wzroku na ojca i powiedział: — Proszę mi powiedzieć, wielbny, cóż to za cywilizacja, którą przynieśli Belgijczycy i Amerykanie?

— Jak to? A drogi, koleje...

— Ach, rozumiem — odparł pan doktor. Potem pochylił się w swoim dużym białym fartuchu i spojrzał mi w twarz. Spytał mnie: — Czy twój ojciec przywiózł cię tutaj samochodem? Czy też przyjechaliście pociągiem pasażerskim?

Wymądrzał się tylko, więc ojciec i ja nie odpowiedzieliśmy mu. Dobrze wiedział, że w Kongu nie ma żadnych aut.

Potem wstał i otrzepał ręce z białego proszku, więc wiedziałam, że już zrobił wszystko, co trzeba z moim ramieniem, chociaż ojciec najchętniej by się z nim kłócił, aż zrobiłby się siny na twarzy. Pan doktor przytrzymał nam drzwi.

— Wielebny — powiedział.

— Tak?

— Nie lubię się spierać, ale jedyne drogi, jakie Belgowie wybudowali przez ostatnie siedemdziesiąt pięć lat, służą do wywożenia diamentów i kauczuku. Tak między nami, wielebny, nie sądzę, aby tutejsi ludzie szukali tego zbawienia, które pan im proponuje. Myślę, że oni czekają na Patrice'a Lumumbę, nową duszę Afryki.

— W Afryce jest milion dusz — powiedział mu ojciec, a on chyba wie najlepiej, bo przyjechał tutaj, żeby je wszystkie zbawić.

— W rzeczy samej — powiedział pan doktor. Wyrzwał na korytarz, po czym zamknął drzwi, zanim zdążyliśmy wyjść. Ściszonego głosem dodał: — I mniej więcej połowa z nich była w zeszłym tygodniu w Stanleyville, żeby oddać hołd Tacie Lumumbie.

— Z tego, co słyszę — powiedział ojciec — Tata Lumumba to bosonogi pracownik poczty, który nie skończył żadnych studiów.

— To prawda, wielebny, ale ten człowiek posiada taką moc mobilizowania tłumów, że nie potrzebuje butów. W zeszłym tygodniu przez godzinę mówił o uzyskaniu niepodległości bez użycia przemocy. Ludziom tak bardzo się to spodobało, że zrobili zamieszki i zabili dwanaście osób.

Pan doktor odwrócił się od nas plecami, umył ręce w miednicy i wytarł je ręcznikiem jak mama po myciu naczyń. Potem przez chwilę patrzył na moje ramię, a później przerzucił wzrok na ojca. Powiedział mu, że w całym kraju jest tylko ośmiu Kongijczyków, którzy skończyli studia. Nie ma ani jednego

kongijskiego lekarza czy oficera wojskowego, bo Belgowie nie pozwalają im uzyskać wykształcenia. Powiedział: —Wielebny, jeśli pan szuka nowych przywódców kongijskich, to niech pan nie traci czasu w salach szkolnych. Lepiej niech pan zajrzy do więzienia — sam pan Lumumba tam wylądował po wywołaniu w zeszłym tygodniu zamieszek. Sądzę, że zanim wyjdzie, będzie miał więcej wyznawców niż Jezus.

Ja cię kręcę! Po tych słowach ojciec do reszty przestał lubić pana doktora. Powiedzieć, że coś jest lepsze od Jezusa, to ciężki grzech. Ojciec wzniosł oczy do góry, a potem wyrzwał przez okno i starał się o nic nie uderzyć, zanim pan doktor otworzy nam drzwi i pójdziemy sobie. Za lampę na suficie robiła szklana miska z przezroczystego szkła pełna czegoś ciemnego, jak szklanka kawy, tyle że na dnie leżały zdechłe owady. Wiem, dlaczego. Lubią przylatywać do światła, bo jest takie piękne, więc garną się do niego i wpadają w pułapkę.

Wiem, jakie byłyby w dotyku —jak czyjeś rzęsy.

Kiedy wróciliśmy do domu, moje siostry codziennie musiały mi kroić jedzenie i pomagać mi się ubierać. To była najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu zdarzyła. Pokazałam Lei, w którym miejscu można wejść na drzewo awokado, i podesadziła mnie. Jedna ręka całkiem mi wystarczała do łażenia po drzewach. Przez większość czasu musiałam bawić się z Leą, bo z resztą rodziny coś jest nie w porządku albo są zbyt dorośli, żeby się bawić.

Musiałśmy czekać tam na drzewie. Powiedziałam jej: Pan Axelroot pije czerwoną whisky. Trzyma ją pod siedzeniem samolotu. Wytoczyłam ją nogą, a potem wtoczyłam z powrotem.

Byłam najmłodsza, ale miałam coś do opowiedzenia.

Na armię belgijską nigdy nie trzeba długo czekać. Przychodzą zawsze o tej samej porze. Zaraz po obiedzie, kiedy jeszcze nie pada i wszystkie kobiety z



wiadrami i innymi rzeczami idą nad rzekę i na pola, a mężczyźni śpią w chatach. Jest cicho. Chłopcy z wojska maszerują drogą, śpiewając piosenki po francusku. Ten biały wie, kto jest szefem, a wszyscy inni muszą mu odkrzykiwać, bo są potomkami Chama. Ale, ojejku, coś wam powiem, wszyscy mają buty. Idą drogą „lewa-lewa”, a potem zatrzymują się tak szybko, że piach opada im na buty.

Trudniej zobaczyć chłopców od Jimmy'ego Crowa. Nie przepadają za armią belgijską, więc się chowają. Przychodzą co jakiś czas i mają spotkania na placyku za naszym kurnikiem. Kucają i słuchają takiego głównego, co mówi, nogi i ręce mają takie chude, że widać kształt kości. I chodzą bez butów. Mają tylko biały strupiasty pył na stopach i wszystkim im widać na skórze te czarne wrzody i blizny. Każda blizna aż bije po oczach. Mama mówi, że na ich skórze lepiej widać blizny, bo ich skóra jest mapą ich życiowej niedoli.

Czekałyśmy, żeby ich pospieszować za kurnikiem, kiedy przyszli. Lea powiedziała mi, że mama mówi, że pani Underdown mówi nawet na nich nie patrzcie, kiedy przyjdą. Oni chcą przejąć rządy w całym kraju i wyrzucić białych.

— Chciałabym mieć taką czerwoną czapkę — powiedziałam.

— Zamknij dziób — powiedziała Lea, ale potem sama powiedziała: — Ja też bym chciała. Fajna czapka. — Powiedziała to dlatego, że „zamknij dziób” zraniło moje uczucia.

Chłopcy powiedzieli: — Patrice Lumumba!

Powiedziałam Lei, że to znaczy nowa dusza Afryki i że poszedł do więzienia i że Pan Jezus jest o to strasznie wściekły. Wszystko jej opowiedziałam! Byłam najmłodsza, ale tylko ja o tym wiedziałam. Leżałam nieruchomo na gałęzi, niczym się nie odróżniałam od drzewa. Byłam jak zielona

mamba, ten wąż. Jadowity. Mogłabym leżeć tuż koło was i nic byście o tym nie wiedzieli. '

Rachel

Alleluja i podajcie mi amunicję. Mamy gościa na kolację! Na dodatek kawaler na wydaniu, nie ma trzech żon, z tego, co wiem, to nawet jednej nie ma. Anatole, nauczyciel, dwadzieścia cztery lata, ma wszystkie palce, dwoje oczu i obie stopy, co tutaj oznacza wymarzonego kandydata na męża. Oczywiście należy do innej kategorii kolorystycznej niż ja, ale nawet gdybym była kongijską dziewczyną, to obawiam się, że musiałabym powiedzieć, dziękuję, nie skorzystam. Anatole ma twarz całą pokrytą bliznami. Nie po skaleczeniach, ale cienkimi kreskami, które specjalnie im robią, coś w rodzaju tatuażu. Próbowałam się na niego nie gapić, ale nie mogłam się powstrzymać od myśli, jak oni to zrobili, że te kreski są takie równiutkie? Jakby cięli od linijki. Kreski były cieniutkie jak włos i idealnie proste, tak na oko parę milionów sztuk, od środka nosa na boki, ukośne jak u kota syjamskiego, tylko trochę bardziej intelektualne. W naszej wiosce się tego za często nie widuje, ale Anatole nie jest stąd. To znaczy jest z Konga, ale ma inne oczy, trochę ukośne jak Syjamczyk, tylko bardziej intelektualne. Musiałyśmy się strasznie pilnować, żeby się w niego nie wślepić. Siedział przy naszym stole ze swoją gładką fryzurą, w normalnej żółtej koszuli zapinanej na guziki, a jego inteligentne brązowe oczy mrugały zupełnie normalnie, kiedy nas

śluchał, ale te blizny! Wyglądał przez nie tajemniczo, jak człowiek wyjęty spod prawa. Ciągle zerkałam na niego znad mięsa antylopy i starych tłuczonych ziemniaków, co chyba dobrze pokazuje, na ile odzwyczaiłam się od rodzaju męskiego.

Anatole mówi po francusku i po angielsku, i zupełnie sam prowadzi całą szkołę. Sześć razy w tygodniu tłumy hałaśliwych chłopców z naszej wioski i

sąsiedniej przychodzą pobierać nauki. Tylko chłopcy, i to nie wszyscy, bo większość rodziców nie chce, żeby ich dzieci uczyły się francuskiego i ogólnie obcych rzeczy. Lecz kiedy ci nieliczni szczęśliwcy przychodzą co rano, Anatole ustawia ich w szeregu, od najmniejszego do największego. Jeżeli komuś zdarzy się być poza domem o świcie, czego ja staram się unikać, można zobaczyć, jak to robią. Każdy chłopak trzyma rękę na ramieniu wyższego sąsiada, przez co tworzy się długa, pochyła linia ramion. Lea narysowała ich kiedyś. Nie ulega kwestii, że moja siostra ma zaburzenia psychiczne. Zatytułowała rysunek „Chłopcy na pochylonej płaszczyźnie”.

Po apelu Anatole zabiera ich do kościoła i zapewne każe im walczyć z liczbami, francuskimi koniogacjami i tak dalej. Ale oni są dosyć oporni. Nawet jeśli jeszcze nie stracili zainteresowania, to kiedy kończą dwanaście lat, przestają chodzić do szkoły. Takie jest tutejsze prawo, jeśli można to tak nazwać. Wyobraźcie sobie: nie wolno chodzić do szkoły po dwunastym roku życia. (Mnie by to mnie przeszkadzało!) Pani Underdown powiedziała nam, że Belgowie zawsze prowadzili taką politykę, żeby kongijscy chłopcy nie studiowali na uniwersytecie. Dziewczęta oczywiście też, bo tutaj dziewczęta zaczynają rodzić dzieci, kiedy same mają mniej więcej dziesięć lat, a potem dalej je rodzą, aż cycki zrobią im się płaskie jak naleśniki. Tutaj nikomu nie zależy na tym, żeby móc sobie postawić mgr przed nazwiskiem. A jednak Anatole zna francuski, angielski i kikongo, musi też znać swój rodzimy język, a poza tym wie wszystko, co potrzeba, żeby być nauczycielem trolejbusem. Musiał strasznie zakuwać w swoich krótkich szkolnych latach.

Anatole urodził się gdzieś w pobliżu Stanleyville, ale w młodym wieku umarła mu matka, a jego wysłali do pracy na plantacjach kauczuk

owych koło Coquilh

atville, gdzie jest więcej możliwości, zarówno dobrych

, jak i złych — tak to ujął, kiedy nam opowia

dał przy kolacji swoją osobistą autograf

ię. Spędził też trochę czasu w kopalnia

ch diament

ów na południ

u w Katanga

, mówi, że stamtąd pochodz

i jedna czwarta diament

ów na świecie. Kiedy mówił o diament

ach, od razu pomyśla

łam o Marylin Mon-roe w długich rękawic

zkach i z powłócz

ystymi ustami, szepczącej: „Diame

nty są najlepsz

ym przyjaci

elem dziewcz

yny". Moja najlepsz

a przyjaci

ółka Dee Dee Baker i ja wyrwały

śmy się kiedyś do kina, żeby obejrzeć M.M. i Brigitte Bardot na tym samym poranku (ojciec by mnie chyba zabił, gdy się dowiedz

iał), więc widzicie

, że znam się trochę na diament

ach. Ale kiedy spojrzała

m na pomarsz

czony brązowy palec i różowy dłoń Anatole'

a, wyobraziła

m sobie, że te ręce wykopu

ją diament

y z kongijs

kiego piachu, i pomyśla

łam sobie, kurza melodia, czy Marilyn Monroe w ogóle wie, skąd one się biorą? Na samą myśl o tym, że ona w jej sukni z satyny i kongijsk

i kopacz diament

ów mieszka

ją w tym samym wszechś

wiecie dostała

m gęziej skórki, więc przestał

am o tym myśleć.

Zami

ast tego oglądała

m dekorac

yjne blizny na twarzy Anatolem. W tej okolicy, a w każdym razie tam,  
skąd on pochodzi

i, uważa się, że dodają urody. Ludzie w ten sposób radzą sobie z bliznam  
i, którymi chlasta ich życie, że traktują je jak ozdoby. Tak samo jak  
zwydźci

wiane fryzury kobiet, które mnie w ogóle nie rajcują.

Jedn

ak Anatole nie jest stąd, co tłumacz

y, dlaczego

o nie mieszka jak wszyscy inni z ojcem, matką i stu czterdzi

estoma kuzynami. Już wcześni

ej wiedziel

isimy, że jest sierotą. Underd

ownowie zrobili z niego nauczyc

ieła charytat

ywnie, bo jego rodzina zginęła w jakichś makabry

cznych okoliczn

ościach, których nigdy nam dokładn

ie nie opowied

zieli, choć uwielbia

ją robić do tego aluzje. Jeszcze kiedy tutaj mieszka

li, usłyszel

i o Anatole'

u od innych misjona

rzy i wyciągn

ęli go z osławio

nych kopalni diamentów

, nauczyli go kochać Jezusa, jak również czytać i pisać.

A potem dali mu posadę nauczyciela. Ojciec mówi, że Anatole jest „naszym jedynym sprzymierzeńcem w tym wszystkim”, co jest dla mnie jasne jak dwustuwatowa żarówka, ale z tego, co wiem, Anatole został zaproszony na kolację dlatego, że ojciec sobie tego zażyczył. Dzięki temu wiedziałyśmy przynajmniej, że czeka nas coś jeszcze oprócz tych cudownych zdechłych zwierząt, którymi nas tu karmią. A matka miała pretekst, żeby odstawić totalną histerię. Powiedziała, że absolutnie nie ma pomysłu, jak go godnie ugościć. Ugotowała jakieś mięso antylopie i próbowała zrobić smażone figi rajskie, z których wyszła kleista bryja czarna jak końskie kopyto. Próbowała zrekompensować niedostatki kulinarne, kładąc na stół biały obrus i podając te żałosne czarne figi rajskie na talerzu z białej porcelany w niezapominajki, z którego była tak dumna — jedyna ładna rzecz w tym bajzlu, w którym musimy żyć. I muszę jej przyznać, że starała się, jak mogła, żeby go miło potraktować. W każdym razie Anatole obsypywał ją komplementami, co świadczy o tym, że albo jest dobrze wychowanym młodym człowiekiem, albo ma nierówno pod sufitem.

Pogaduszki o niczym i komplementy trwały tak długo, że myślałam, że wykituję z nudów. Moje siostry wybałuszały gały na fascynującego gościa i chłonęły każde jego słowo, ale dlamnie niczym to się nie różniło od kolacji w

Georgii, na które ojciec spraszał te wszystkie dewotki, tyle że tutaj żarcie było jeszcze paskudniej sze.

A potem grom z jasnego nieba.

Anatole pochylił się i powiedział:

— Nasz wódz, Tata Ndu, jest zmartwiony upadkiem moralnym w naszej wiosce.

— I słusznie, ponieważ tak niewielu mieszkańców chodzi do kościoła — powiedział ojciec.

— Nie, wielebny, on martwi się o to, że tak wielu mieszkańców chodzi do kościoła.

Wszystkich nas kompletnie замуrowało, lecz ojciec pochylił się do przodu, aby podjąć rękawicę. Zawsze, kiedy widzi, że szykuje się kłótnia, o jeny, ale się nabuzowuje.

— Bracie Anatole'u, nie dostrzegam powodu, dla którego chodzenie do kościoła miałyby oznaczać co innego niż radość dla tych nielicznych, którzy wybrali chrześcijaństwo, odrzucili zaś ciemnotę i otchłanie grzechu.

Anatole westchnął.

— Rozumiem twoje zdziwienie, wielebny. Tata Ndu poprosił mnie, abym ci to wyjaśnił. Jego zmartwienie dotyczy ważnych bogów i przodków tej wioski, którym zawsze oddawano cześć na pewne święte sposoby. Tata Ndu jest strapiony, że ludzie, którzy chodzą do kościoła, zaniedbują się w swych obowiązkach.

— Zaniedbują się w bałwochwalstwie, chcesz powiedzieć, bracie Anatole'u.



Anatole znów westchnął.

— Może trudno jest to wielebnemu zrozumieć. Ludzie, którzy przychodzą do kościoła, to w większości ci, których w języku kikongo nazywamy lenzuka. Ludzie, którzy okryli się hańbą, mieli w życiu wielkiego pecha i tak dalej. Na przykład Tata Boanda. Miał strasznego pecha do swoich żon. Pierwsza nie może urodzić żadnych normalnych dzieci, a druga ma teraz dziecko, które ciągle umiera przed urodzeniem i ciągle wraca do jej łona. Nikt już nie może pomóc tej rodzinie. Boandowie bardzo tego pilnują, żeby oddawać w domu cześć swym osobistym bogom, składać należne ofiary z żywności i robić wszystko zgodnie z rytuałem, ale mimo to ich bogowie z jakiegoś powodu ich opuścili. Oni tak to czują. Już gorzej nie może im się powodzić, więc chcieliby spróbować składać ofiary Jezusowi.

Ojciec wyglądał tak, jakby dławił się kością. Pomyślałam: Czy jest w domu lekarz? Lecz Anatole gadał dalej w najlepsze, najwyraźniej nieświadomy, że może być winien śmierci mego ojca na zawał serca.

— Tata Ndu jest zadowolony, że wielebny odciąga na bok ludzi pechowych — powiedział Anatole. — Dzięki temu duchy opiekuńcze wioski mniej ich zauważają. Martwi się jednak, że próbujesz skusić zbyt wielu innych do przejścia na niemoralne obyczaje. Lęka się, że spadnie na nas katastrofa, jeśli rozgniewamy bogów.

— Powiedziałeś: niemoralnych — spytał, a raczej stwierdził ojciec, kiedy już ustalił, gdzie kot zaniósł jego język.

— Tak, wielebny Price.

— Niemoralne obyczaje. Tata Ndu uważa, że niesienie tym ludziom Słowa Bożego wiedzie ich ku niemoralnym obyczajom.

— Sądzę, że ten przekład najwierniej oddaje jego intencje. Dosłownie powiedział, że prowadzisz mieszkańców wioski do dziury, w której przestaną widzieć słońce i będą jak robaki na gnijącej padlinie.

No pięknie, teraz to już ojciec na sto procent odwali kitę. Niech ktoś wezwie pogotowie. Tymczasem Anatole patrzył na niego z uniesionymi brwiami, jakby chciał zapytać: „Czy pan nie rozumie po angielsku?” Już nie mówiąc o moich młodszych siostrach, które wywaliły na Anatole'a gały jak na dwugłowe cielę.

— Tata Ndu kazał ci, abys mi to przekazał, bracie Anatole' u?

— Tak.

— I zgadzasz się, że nakłaniam mieszkańców twojej wioski, aby się posilili padliną?

Anatole zawiesił głos. Widziałam, że wypróbowuje w głowie różne słowa. Wreszcie powiedział:

— Wielebny, czyż nie stoję koło ciebie w kościele każdej niedzieli, tłumacząc słowa Biblii i twoje kazania?

Mój ojciec nie odpowiedział na to ani tak, ani nie, choć oczywiście była to prawda. Ale to dla ojca typowe. Prawie nigdy nie odpowiada wprost na pytanie. Zawsze zachowuje się tak, jakby gdzieś był haczyk, a on nie miał zamiaru się na niego złapać.

— A teraz czyż nie siedzisz przy moim stole i nie tłumaczysz biblii fałszywego bałwochwalstwa Taty Ndu i jego kazania skierowanego do mnie?

— Tak, wielebny.

Ojciec skrzyżował nóż i widelec na talerzu i wziął głęboki wdech, zadowolony, że jego jest na wierzchu. U ojca zawsze jego musi być na wierzchu.

— Bracie Anatole'u, codziennie modłę się o zrozumienie i cierpliwość, które pozwoliłyby mi przyprowadzić brata Ndu do

kościola — powiedział. — Być może powinienem modlić się też o ciebie.

Rozmawiali o Wielkim Wodzu Ndu, albo „panu Nydo”, jak go nazywa Ruth May. Muszę powiedzieć, że niezły z niego egzemplarz. Trudno jest wzbudzić w sobie szacunek do wodza, który nosi okulary bez szkieł (jemu się chyba wydaje, że podnoszą mu iloraz inteligencji) i futro jakiegoś zwierzątka zawinięte wokół szyi, akcesorium modne również wśród starszych pań, które chodzą do kościoła w Georgii.

— Jeśli zastanawiasz się, jakich masz wrogów, nie powinie neś mnie do nich zaliczać, wielebny — powiedział Anatole. — A jeśli boisz się rywali swego kościoła, to trzeba ci wiedzieć, że jest tu inny nganga, inny kapłan. Ludzie darzą go zaufaniem.

Ojciec poluzował krawat i kołnierzyk swej niedzielnej koszuli z krótkim rękawem.

— Po pierwsze, młody człowieku, nie boję się nikogo w Ki-landze. Jestem przekazicielem Bożej dobrej nowiny dla całej ludzkości i Pan obdarzył mnie większą siłą, niż jej posiada wół czy najbardziej zatwardziali spośród pogan.

Anatole przyjął to ze spokojem, chociaż zastanawiał się pewnie, czy ojciec zaklasyfikował go jako woła, czy jako zatwardziałego poganina.

— Po drugie — ciągnął ojciec — chciałbym zwrócić ci uwagę na coś, o czym musisz wiedzieć, a mianowicie, że brat Ndu nie jest żadnym kapłanem.

Zajmuje się regulowaniem stosunków międzyludzkich, a nie sprawami ducha. Masz wszakże rację, jest jeszcze inny pastor prócz mnie, który kieruje moją prawicą. Pan jest naszym pasterzem. — Naturalnie ojciec starał się stworzyć wrażenie, że wie, o kim mówi Anatole, chociaż nie wiedział. On zawsze musi być najmądrzejszy.

— Tak, tak, oczywiście, Pan jest naszym pasterzem — powiedział szybko Anatole, jakby nie za bardzo w to wierzył i chciał odfajkować tę sprawę. — Ja jednak mówię o nganga Tacie Kuvudundu.

Wszyscy wpatrywaliśmy się w środek stołu, jakby wyskoczyło tam coś martwego na czterech łapach. Przecież my znałyśmy Tatę Kuvudundu. Widziałyśmy, jak bełkocze i zezując, chodzi drogą, taki pochylony, że to cud, że się nie wykopyrtnie. Ma sześć palców u lewej stopy i to wcale nie jest w nim najdziwniejsze. W niektóre dni sprzedaje na targu aspirynę, dostojny jak doktor Kildare, ale w inne dni przychodzi pomalowany od stóp do głów (araczej od pasa do głów) jakimś wapnem. Widziałyśmy też, jak kuca przed swoją chatą otoczony przez innych mężczyzn, z których każdy się przewraca od wina palmowego. Ojciec powiedział nam, że Tata Kuvudundu uprawia grzech fałszywego prorocstwa i nakłania do niego innych. Podobno on i jego dorośli synowie wróżą przyszłość, wrzucając kości kurze do kalebasy.

— Co masz na myśli, nazywając go kapłanem, Anatole'u? — spytała matka. — Myśleliśmy, że Tata Kuvudundu jest wioskowym pijakiem.

— Nie, Mama Price, nie jest wioskowym pijakiem. To szanowany nganga, strażnik tradycji, można powiedzieć. Jest bardzo dobrym doradcą Taty Ndu.

— Doradcą, też coś — powiedział ojciec, unosząc się w krzesło i przestrajając głos na „baptystowskiego kaznodzieję”. Czerwone brwi nastroszyły się nad miotającymi pioruny oczami, to chore trochę zezowało od

tych wszystkich stresów.—To czubek, a nie żaden kapłan. Czubek ostry jak grot włóczni. Tam, skąd ja pochodzę, mój panie, takich nazywają znachorami.

Anatole wziął do ręki płócienną serwetkę i wytarł nią sobie twarz. Krople potu ściekały mu bruzdami wzdłuż nosa. Moje siostry wciąż gapiły się na niego jak najęte, i nie dziwota. Nie mieliśmy żadnego towarzystwa, odkąd mama przestała dopuszczać pana Axelroota do stołu tylko dlatego, że spluwał i przeklinał. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że to bandyta, który każe nam płacić za nasze własne rzeczy. Od tego czasu nie słyszeliśmy przy kolacji ani po angielsku ani jednego słowa, które nie wyszłoby z ust Price'ów. W rodzinie, która przez sześć miesięcy kisi się we własnym sosie, muszą być ciągle niesnaski.

Anatole wyraźnie siedział jak na szpilkach, ale wciąż był

zdecydowany spierać się z ojcem. Mimo że ten miał wypisane wielkimi literami na twarzy ostrzeżenie: „Pożałujesz”. Anatole powiedział:

— Tata Kuvudundu troszczy się tutaj o wiele praktycznych spraw. Mężczyźni chodzą do niego zwłaszcza wtedy, kiedy żony nie rodzą im dzieci albo kiedy cudzołożą. — Zerknął na mnie, jakbym akurat ja była za młoda, żeby wiedzieć, co to znaczy. No nie, to już przesada.

Mama nagle ocknęła się z osłupienia.

— Pomóżcie mi, dziewczęta — powiedziała. — Woda na naczynia pewnie się już wygotowała, zupełnie o niej zapomniałam. Posprzątajcie ze stołu i zaczynajcie zmywać. Uważajcie, że byście się nie poparzyły.

Ku mojemu zdziwieniu moje siostry po prostu zerwały się od stołu. Na pewno umierały z ciekawości, ale ojciec jest zawsze najważniejszy. Był zdrowo wkurzony i wyglądało na to, że zaraz wybuchnie. Ja jednak zostałam. Pomogłam posprzątać talerze, ale potem znowu usiadłam. Jeżeli uważają, że

jestem za młoda, żeby rozmawiać przy mnie o cudzołożnicach i rodzeniu dzieci, to się grubo mylą. Poza tym to było najciekawsze wydarzenie od czasu, jak Ruth May spadła z drzewa, co daje obraz tego, jakie ekscytujące było nasze życie. Jeśli tatuńcio szykuje się do tego, żeby dostać wścieklicy, to ja nie zamierzam przepuścić takiego widowiska.

Anatole powiedział ojcu, że nie powinien traktować Taty Kuvudundu jako konkurencji. Powiedział, że bezpłodność i cudzołóstwo to poważne sprawy, które raczej należy traktować odrębnie od Taty Jezusa. Zapewnił nas jednak, że wiele osób w Kilandze pamięta czasy misjonarskie, kiedy brat Fowles nakłonił prawie całą wioskę, żeby modliła się do Jezusa, pamiętają też, że bogowie za bardzo się o to nie pogniewali, bo w Kilanga nie zdarzyło się wtedy więcej nieszczęść niż normalnie.

Teraz to już przebrała się miarka, pomyślałam. Pamięta czasy misjonarskie? Nawet mnie to zaszokowało, kiedy usłyszałam, że dla mieszkańców wioski chrześcijaństwo jest jak jakiś stary film, który dawno zszedł z ekranu. W takim razie kim jest dla nich

ojciec, jakimś Charlie Chaplinem, który chodzi jak kaczką z laseczką i międli bezdźwięcznie ustami?

Matka i ja patrzyłyśmy na niego, oczekując strasznego wybuchu jądrowego. Ojciec rzeczywiście otwierał i zamykał usta jak w niemym filmie i zrobił się czerwony na szyi. Potem znieruchomiał. Było tak cicho, że słyszałam, jak ta ohydna mangusta Ruth May szura pod stołem, czekając, aż ktoś coś upuści. Potem twarz się ojcu zmieniła i wiedziałam, że zamierza użyć tego specjalnego sposobu mówienia, który często ćwiczy na członkach rodziny, psach, które nasikały w domu i na niedorozwiniętych: słowa mówią coś w miarę miłego, a ton głosu mówi coś w miarę niemiłego. Powiedział Anatole'owi, że docenia i jest mu wdzięczny za jego pomoc (czytaj: mam już dosyć twojego

pyskowania, gnojku), ale jest zawiedziony infantylnym interpretowaniem Bożego zamysłu przez mieszkańców wioski (czytaj: jesteś takim samym debilem jak oni). Powiedział, że przygotuje kazanie, które rozwieje wszelkie nieporozumienia. Potem oznajmił, że rozmowa dobiegła końca i Anatole może się uważać za zwolnionego do domu.

Anatole bezzwłocznie skorzystał z tej dyspensy.

— No, to trochę zmienia obraz rzeczy, prawda? — spytała mama w głębokiej ciszy, która zapadła po wyjściu Anatole'a. Ze spuszczoną głową posprzątała ze stołu resztę naczyń, z wyjątkiem wielkiej tacy w niebieskie kwiaty, która królowała na środku stołu w strefie zagrożenia jądrowego wokół ojca.

— A jakież to nowy obraz rzeczy ci się wyłania? — powiedział do matki tym samym specjalnym głosem, przeznaczonym dla niesfornych psów i niedorozwiniętych.

Odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się do niego, a jednocześnie sięgnęła po porcelanową tacę.

— Po pierwsze ty i nasz dobry Pan musicie trzymać kciuki, żeby przez następne pół roku nie strzelił gdzieś w pobliżu piorun!

— Zamknij się, Orleanna! — wrzasnął, łapiąc ją boleśnie za ramię i wrywając jej tacę. Podniósł ją wysoko nad głowę i walnął nią w stół, aż pękła na dwie części. Mniejsza połowa wywróciła

się do góry nogami, kiedy się odłamała i ociekała czarnym sosem figi rajskiej jak krwią na biały obrus. Matka stała bezradnie, wyciągając ręce do tacy, jakby liczyła na to, że potrafi uśmierzyć fizyczny i psychiczny ból, który jej zadano.

— Za bardzo polubiłaś tę tacę. Myślisz, że nie zauważyłem? Nie odpowiedziała mu.

— Miałem nadzieję, że jesteś za mądra na to, aby przywiązywać się do rzeczy doczesnych, ale jak widać, pomyliłem się. Wstydzę się za ciebie.

— Masz rację — powiedziała cicho. — Za bardzo lubiłam tę tacę.

Przyjrzał jej się uważnie. Ojciec nie należy do ludzi, których wystarczy po prostu przeprosić. Zapytał z wrednym uśmiechem:

— Komu chciałaś zaimponować tym swoim obrusem i wy kwintną tacą? — Słowa „obrus” i „taca” wymówił takim tonem, jakby to były powszechnie znane grzechy.

Mama stała przed nim z tępą miną.

— A to twoje żalosne gotowanie, Orleanna? Droga do serca młodego Murzyna prowadzi przez jego żołądek — na to liczyłaś?

Z jej jasnyniebieskich oczu zniknął wszelki wyraz, wyglądały jak płytkie rondelki z wodą. Zupełnie nie dało się powiedzieć, co ona myśli. Zawsze obserwuję jego ręce, patrzę, w którą stronę uderzą. Lecz płytkowodne oczy mojej matki pozostały utkwione na jego twarzy, choć właściwie na nią nie patrzyły.

W końcu odwrócił się od niej i ode mnie jak zawsze z obrzydzeniem. Usiadł za biurkiem w milczeniu jeszcze głębszym niż przedtem. Pewnie pracował nad tym obiecany kazaniem, które miało rozwiać wszelkie nieporozumienia. A ponieważ nie kto inny, jak Anatole stoi obok ojca i tłumaczy kazania na tutejszy język, na pewno ojciec sobie pomyślał, że na Anatole'a jako pierwszego z infantylnej, niedorozwiniętej kongregacji sikających na dywan piesków spłynie światłość Boża.



Ada Price

Chodzić się uczyć. Ja a drogą. Długą jedną jest Kongo.

Kongo jest jedną długą drogą, a ja uczyć się chodzić.

Taki jest tytuł mojej opowieści, do przodu i wstyk. Manene znaczy „droga”: Manene, enenam, amen. Na jednej długiej manene Konga Ada uczy się chodzić, amen. Któregoś dnia o mało co, aby nie wróciła. Niczym Daniel wchodzi do jaskini lwa, lecz pozbawiona czystej, nieskalanej duszy Daniela, Ada przyprawiona jest ziołami występku, którym jedzenie zawdzięcza swój smak. Czyste, nieskalane dusze muszą być strasznie mdłe, z gorzkim posmakiem.

Tata Ndu obwieścił o moim zgonie. Tata Ndu jest wodzem Kilangi i wszystkiego dookoła w każdym kierunku. Za okularami i dziwnym strojem kryje się imponujące łyse czoło i olbrzymi, trójkątny tors komiksowego osiłka. Co on miałby wiedzieć o kimś takim jak ja, białej dziewczynce, co krzywo chodzi, jak mnie nazywano? A jednak wiedział. W dniu, w którym odwiedził moją rodzinę, spacerowałam sama, wracałam do domu drogą przez las nad rzeką. Jego odwiedziny były zaskakującym wydarzeniem. Nigdy nie pofatygował się spotkać z moim ojcem, raczej go unikał, chociaż czasem przysyłał nam wiadomości przez Anatolem, swych synów lub innych pomniejszych ambasadorów. Ten dzień był inny. Wódz przyszedł do naszego domu, ponieważ dowiedział się, że zostałam zjedzona przez lwa.

Wczesnym popołudniem I<sup>ea</sup> i ja zostałyśmy posłane po wodę. Razem we dwójkę, bliźniaczka i akzcainzilb, zawsze złączone ze sobą, w życiu i w przedżyciu. Nie było wyboru, Jej Wysokość Rachel nie zniża się do pracy fizycznej, a Ruth May nie zwyża, by tak rzec, więc matka drogą eliminacji wytypowała Leę oraz mnie jako dziewczęta na posyłki. Zawsze posyła bliźniaczkę i akzcainzilb na marche w dzień targowy, abyśmy chodziły wśród

tych przerażających kobiet i przyniosły do domu owoce, czajnik czy co akurat mama potrzebuje. Czasami posyła nas nawet po mięso na marche rzeźniczy, gdzie noga Rachel by nie powstała ze względu

na wnętrzności i głowy troskliwie ułożone w stosy. Zęby sprawdzić, czy na marche rzeźniczym handlują, wystarczy wyjrzeć przez drzwi i zobaczyć, czy wielki puchowiec obsiadły czarne myszołowy. Naprawdę. Nazywamy go kongijską tablicą ogłoszeń.

Ale przede wszystkim i codziennie posyła nas po wodę. Trudno mi było nieść ciężkie wiadro jedną zdrową ręką, więc szłam za wolno. Woino za szłam. Miałam zwyczaj recytować po drodze zdania do przodu i do tyłu, bo kiedy się na czymś skupiałam, lepiej mi się szło. Pomagało mi to zapomnieć, jakie to nużące poruszać się przez świat tylko na jeden sposób, na sposób bardzo powolnego ciała. Więc Lea wzięła całą wodę i poszła przodem. Jak zawsze.

Ścieżka przez las była żywym stworzeniem, każdego dnia trochę się wydłużała. Przynajmniej dla mnie. Na początku sięgało tylko od jednego końca placyku przed naszym domem do drugiego: tyle, ile moja matka widziała i uważała za bezpieczne, jeśli stała w środku. Z początku słyszeliśmy tylko historie o tym, co się dzieje z drogą w kierunku północnym, po tym jak las zamykał się wokół niej: strumień, wodospad, rozlewiska czystej wody do pływania. Dociera do mostu z bali. Dociera do kolejnej wioski. Dociera do Leopoldville. Dociera do Kairu. Niektóre z tych historii na pewno były prawdziwe, niektóre nie. Żeby się przekonać, gdzie przebiega granica, postanowiłam pójść tą drogą. Postanowiłam, że każdego dnia poznam jej o kilka kroków więcej. Gdybyśmy zostali wystarczająco długo, doszłabym do Johannesburga i Egiptu. Moje siostry chyba wolą latać, a w przypadku Rachel wstąpić prosto do nieba dzięki szlachetniejszej duszy, ale mój sposób to było chodzenie, powoli, lecz nieustępliwie do celu. Nie dla mnie kakakaka, co w języku kikongo znaczy iść szybko. Okazuje się jednak, że potrafię zajść daleko

bez kakakaka. Dotarłam już do rozlewisk i mostu z bali na północy, a na południu do leśnych polan, na których kobiety z dziećmi w nosiłkach razem kopią maniok i śpiewają pieśni (nie hymny). Każdy zna te miejsca, ale z braku kakakaka odkrywam widoki, które należą tylko do mnie: kobiety pochylone przy kopaniu prostują się jedna po drugiej, rozwijają pagne z jasnego płótna, które mają zawiązane

pod piersiami, rozciągają je szeroko i znowu się nim owijają. Przypominają motyle rozkładające skrzydła.

Widziałam leśne słonie, które poruszają się cichymi stadami, trącając drzewa małymi, różowawymi kłami. Widziałam też stada Pigmejów. Kiedy się uśmiechają, pokazują zęby spiłowane w szpic, ale są łagodni i niewiarygodnie mali. Gdyby nie to, że mężczyźni mają brody, a kobiety piersi, a jedni i drudzy zachowują się bardzo opiekuńczo wobec dzieci, trudno byłoby uwierzyć, że to dorośli ludzie. Zawsze widzą cię pierwsi i nieruchomieją jak pnie drzew.

Odkryłam bidila dipapfumu, cmentarz czarowników.

Odkryłam ptaka z czarną głową i mahoniowym ogonem długim jak moje ramię, zakrzywionym w łuk. W Przewodniku po ptactwie afrykańskim, który zostawił po sobie nasz ornitologicznie usposobiony poprzednik brat Fowles, mój ptak nazywa się rajski muchołap. W zeszycie, który trzymam w poszewce poduszki i rysuję w nim wszystkie widziane rzeczy, narysowałam rajskiego muchołapa z uśmiechem na twarzy i pod spodem napisałam moim odwróconym szyfrem:

EIBEIN W YHCUM AN DÓWOD YWON PAŁOHCUMIKSJAR

Nabrałam też zwyczaju śledzenia Matuzalema, kiedy krąży niepewnymi spiralami wokół naszego domu. Gnieździ się w naszej latrynie, czyli blisko miejsca, w które wielebny rzucił pustą klatkę. Gnije tam w zielsku jak wrak

statku. Matuzalem, tak samo jak ja, jest kaleką: Wrakiem Dzikiej Afryki. Przez cały czas od nadejścia Chrystusa żył na kawałku patyka w klatce. Teraz ma swój świat. Cóż on może z nim zrobić? Mięśnie jego skrzydeł zwiotczały. Uległy atrofii, raczej nieodwracalnej. Tam, gdzie powinien mieć mięśnie piersiowe, zwisa pierś obciążona słowami ludzi: wolny jak ptak, co mu nie w smak, a mnie nie wspan! Czasami trzepocze skrzydłami, jakby sobie mgliście przypominał, na czym polega latanie. Ten przebłysk przypomnienia naszedł go w momencie radosnej trwogi, kiedy został wypuszczony na wolność, lecz jego niepodległość została w tym momencie zamrożona. Teraz, kiedy rozprostuje skrzydła, z powrotem je zwija, wyciąga głowę do przodu i chodzi jak kaczka, mozolnie przeskakując z gałęzi na gałąź. Każdego ranka Matuzalem wypelza z dziury pod krokwiami naszego wychodka, przekręca głowę na bok i rzuca nerwowym spojrzeniem do góry, jakby się modlił: Panie piór, zechciej obronić mnie przed mięsożercami, którzy rozszarpaliby mnie na skrzydełka, nóżki i podroby! Od tego miejsca wytyczam jego szlak. Kładę na ziemi niewielkie ofiary z guawy i awokado, które zrywam i otwieram, żeby wiedział, co z nimi zrobić. Nie sądzę, aby rozpoznał te owoce, gdybym zostawiała mu je całe okryte skórą. Kiedy nauczy się je rozpoznawać, będzie to następny krok do uświadomienia sobie, że owoców nie dostaje się z rąk człowieka, lecz rosną na drzewach. Zrosną owoce rąk.

Siedząc Matuzalema podczas jego powolnych wypraw do lasu, odkryłam chłopców i mężczyzn ćwiczących musztrę. To nie była armia belgijska, oficjalny zaciąg obrońców białych ludzi, lecz grupa młodych mężczyzn, którzy schodzili się na konspiracyjne spotkania za naszym domem. Dowiedziałam się, że Anatole jest czymś więcej niż tylko nauczycielem szkolnym i tłumaczem kazań. Anatole, a to lane! Anatole nie miał karabinu, kiedy go zobaczyłam na polanie, lecz przemawiał do uzbrojonych mężczyzn, którzy go słuchali. Któregoś razu przeczytał na głos list o Belgach ustalających kalendarz

niepodległości. Anatole powiedział: 1964. Mili neufcent soixante quatre! Mężczyźni odrzucili głowy do tyłu i śmiali się do rozpuku. Krzyczeli, jakby ktoś obdzierał ich ze skóry.

Nie czułam strachu i przyzwyczaiałam się do samotnego chodzenia. Nasza matka sądziła, że tego zabroniła, zwłaszcza tuż przed zmrokiem. To była moja tajemnica. Nie zdawała sobie sprawy, że zawsze kiedy wysyła mnie z Leą, na przykład nad rzekę po wodę, oznacza to dla mnie samotny powrót.

Było już późne popołudnie i szłam przez cętki światła, potem przez jaśniejsze polany, z trawą tak wysoką, że gięła się z obu

stron i tworzyła nad głową tunel, potem znów między drzewami. Lea już dawno poszła przodem, niosąc wodę. Lecz ktoś szedł za mną, ktoś lub coś. Doskonale wiedziałam, że jestem śledzona. Nic nie usłyszałam, ale wiedziałam. Chciałam móc sobie pomyśleć: Matuzalem urządza sobie ze mną zabawę. Albo Pigmeje. Nie byłam jednak taka naiwna. Czułam, jak włoski stają mi dęba na karku. Nie bałam się, ponieważ w moim przypadku nic to nie daje. Nie mogę uciec, pobudziwszy mięśnie adrenaliną, czułam jednak smak strachu głęboko w gardle i jego rozpaczliwy ciężar w moich wiotkich kończynach. Słyszałam, że ta przykuwająca do ziemi bezradność niektórych ludzi spotyka w snach. Dla mnie to jest codzienność. W moim adożyciu muszę indywidualnie wypracować sobie stosunki z Drapieżką.

Stałam, odwróciłam się, spojrzałam. Ruch za moimi plecami również ustał: ostatni szmerek wysokiej trawy obok ścieżki, jak kołysanie się aksamitnej zasłony. Działo się to za każdym razem, gdy przystawałam. Potem czekałam w ciszy i gęstniejącym mroku, aż do czasu, gdy nie mogłam już dłużej czekać i musiałam iść dalej.

Takie są konsekwencje bycia bardzo powolnym: każda historia, którą chcesz opowiedzieć, już się skończyła, zanim zdążysz otworzyć usta. Kiedy dotarłam do domu, była już noc w innym życiu.

Zachód słońca o szóstej oznacza, że życie trwa dalej po zmroku: czytanie przy lampie na ganku, nasz rodzinny program wieczoru. Lea przyniosła wiadra wody, mama zagotowała ją i odstawiła do ostygnięcia, kiedy przygotowywała kolację, Rachel zamoczyła w niej szmatę, którą położyła sobie na czole i leżąc w hamaku, oglądała sobie w lusterku pory skórne. Ruth May próbowała przekonać wszystkich członków rodziny po kolei, że potrafi podnieść pełne wiadro wody jednym niezłamanym ramieniem, które jej zostało. Wiem to wszystko, chociaż mnie przy tym nie było. Gdzieś w tym dyskretnym rodzinnym gwarze zakładano, że ja zajmuję się jakimiś swoimi sprawami. Kiedy wreszcie wróciłam do domu, jak zwykle było tak, jakbym

spóźniła się na swoje własne życie, więc położyłam się w hamaku na końcu ganku i odpoczywałam pod ciemnymi bugenwillami.

Niedługi czas potem z ciemności wyłonił się Tata Ndu. Wszedł na ganek, żeby wyjaśnić swoją uroczystą francuszczyznę, że na ścieżce prowadzącej nad rzekę zauważono tropy lwa, samotnego samca-myśliwego. Najstarszy syn Taty Ndu właśnie stamtąd przyszedł i złożył taki raport. Widział ślady dziewczynki, która powłóczy prawą nogą, a na nich bardzo świeże tropy lwa. Znalazł ślady skradania się i skoku oraz smugę krwi prowadzącą do buszu. Poznał po tym wszystkim, że pokrzywione białe dziecko, dziewczynka bez kakakaka, została zjedzona. Lapetite blanche tordue a ete mangee. Taką oto smutną nowinę przyniósł Tata Ndu. Jednak wyglądał na zadowolonego. Pragnąc wyświadczyć grzeczność moim rodzicom, wysłał oddział młodych mężczyzn, w którego skład wchodził jego synowie, na poszukiwanie ciała czy też tego, co zeń zostało.

Stwierdziłam, że nie mogę oddychać, kiedy patrzyłam na twarz opowiadającego i twarze jego słuchaczy. Moje siostry nie potrafiły zrozumieć tej siczki złożonej ze słów francuskich i kikongo, toteż stały tylko sparaliżowane obecnością na ganku tak wielkiej osobistości. Ja byłam ostatnią rzeczą, o której myślały, nawet Lea. Lea, która zostawiła mnie w jaskini rzezonego lwa. Ale moja matka: tak. Nie! Zrozumiała. Przybiegła na ganek z chaty kuchennej, wciąż trzymając w ręce duże drewniane mieszadło, z którego kapłała na podłogę parująca woda. Część włosów opadła jej falą na twarz. Reszta wydawała się nieżywa, przypominała blady woskowy model mojej matki: kobiety, która nie umiała zwalczać zła złem, nawet dla uratowania swych dzieci. Na jej twarzy ujrzałam takie cierpienie, że na chwilę uwierzyłam, iż jestem martwa. Wyobraziłam sobie lwa, który patrzy na mnie oczami złego człowieka i pożera moje ciało. Zamieniłam się w nicość.

Nasz ojciec wstał i powiedział rozkazującym tonem:

— Módlmy się do Pana o miłosierdzie i przebaczenie.

Tata Ndu nie pochylił głowy, lecz uniósł ją do góry, nie radośnie, lecz z dumą. Wtedy zrozumiałam, że zwyciężył, a ojciec

został pokonany. Tata Ndu przyszedł do nas osobiście, żeby nas powiadomić, iż bogowie nie patrzą zyczliwym okiem na kapłana zepsucia. Jako dyskretny sygnał swego niezadowolenia zjedli mu żywcem córkę.

Wstanie i ujawnienie się było prawie niemożliwe, ale zrobiłam to. Ojciec natychmiast przestał się modlić. Tata Ndu cofnął się, zwęził oczy. Nie sądzę, by był rozczarowany tym, że nie zostałam zjedzona, tylko nie lubił się mylić. Powiedział tylko: Mbote — żegnajcie. Potem odwrócił się dostojnie na pięcie i zostawił nas sobie samym. Po raz drugi przyszedł do naszego domu o wiele później, kiedy mnóstwo rzeczy się zmieniło.

Następnego ranka dowiedzieliśmy się, co wyprawa poszukiwawcza znalazła zjedzone zamiast mnie przez lwa: rocznego buszboka. Zastanawiałam się, jaki był duży i czy miał delikatne mięso, czy lew był bardzo rozczarowany i czy buszbok kochał życie. To niezwykle, że religię może zdmuchnąć lekki powiew wiatru. Trop przesuwają się, przez co drapieżnik nie trafia w swoją ofiarę. Jeden bóg wciąga w płuca życie i powstaje, inny wydaje ostatnie tchnienie.

Lea

Niektórzy ludzie przysyłają liściki z podziękowaniami, kiedy się ich podejmie kolacją. Anatole przysłał nam chłopca do posług. Chłopak stanął w naszych drzwiach z kartką, na której było napisane, że ma na imię Lekuyu, ale uprasza się mówić do niego Nelson. W zamian za posiłki, przywilej nocowania w kurniku (do którego ostrożnie wróciło stadko kur, ukrywających się po masakrze urządzonej przez matkę przed piknikiem) i koszyk jajek tygodniowo (żeby mógł zacząć oszczędzać na żonę), Nelson miał rąbać drewno, gotować parujące garnki pełnego grud manioku oraz przynosić owoce, warzywa i wywary z kory zebranej w lecie. Sporządził lek na ból głowy, od którego matka się uzależniła. Podzielił nasze węże według rodzajów śmierci, którą lubiły zadawać, bardzo teatralnie odegrał nam na ganku sceny rozmaitych agonii. Z własnej inicjatywy podejmował się też innych zaskakujących prac. Na przykład pewnego dnia zbudował bambusową ramę na lustro, abyśmy mogły powiesić je na ścianie dużego pokoju. Później Nelson zaczynał każdy dzień od tego, że stał z twarzą oddaloną o trzy cale od lustra i pracowicie czesał swoje skąpe włosy w naszym salonie, uśmiechając się przy tym tak szeroko, że bałyśmy się, żeby mu zęby trzonowe nie wyskoczyły. Również inni ludzie zaczęli zaglądać do naszego domu, aby przejrzeć się w lustrze. Jak się zdaje, na naszej ścianie wisiało jedyne zwierciadło w Kilandze.

Łapię się na tym, że analizuję wzrokiem Nelsona, który spogląda na swoje odbicie: łokcie pociemniałe ze zużycia, skóra w wielu odcieniach brązu, jak



antyki z mahoniu. Skutkiem zwyczaju ssania trzciny cukrowej prawie wszystkie z jego przysadkowatych przednich zębów odeszły do krainy przodków. Kiedy się uśmiecha, siekacze z boku połyskują mu niepokojąco jak u małpy, lecz wiadomo, że robi to szczerze. Ma pogodne usposobienie, jest higieniczny i przyszedł do nas bez żadnego dobytku, jeśli nie liczyć wielkich brązowych szortów z tylko trochę wytartym siedzeniem, czerwonego podkoszulka, który nosi każdego dnia swojego życia, skórzanego paska, różowego grzebienia z plastiku, podręcznika gramatyki francuskiej i maczety. Nelson podróżuje przez życie z niedużym bagażem. Włosy ma obcięte bardzo krótko, a na jego karku widnieje idealnie okrągła różowa blizna. Anatole wybrał nam Nelsona do pomocy, ponieważ tak samo jak Anatole, jest on sierotą. Kilka lat temu cała rodzina Nelsona, łącznie z obojgiem rodziców, licznymi starszymi braćmi i nowo narodzoną siostrzyczką, utopiła się podczas wyprawy w górę rzeki, kiedy łódka się wywróciła. Kongijskie pirogi są zrobione z ciężkiego drewna, które idzie na dno jak pręty zbrojeniowe, jeśli tylko dać mu szansę. Ponieważ większość Kongijczyków nie umie pływać, można by sądzić, że zatapialne łodzie będą ich odstręczały od żeglugi rzecznej, ale najwyraźniej tak nie jest. Radośnie śmigają w górę i w dół rzeki, nie myśląc o wywrotkach.

Nelson twierdzi, że tego feralnego dnia przez przypadek zostawiono go na brzegu. Mówi, że matka była tak podniecona perspektywą pochwalenia się niemowlęciem swym zamieszkałym w górze rzeki krewnym, że ogarnęła go zazdrość i schował się, a ona najzwyczajniej w świecie zapomniała go zabrać. Skutkiem tego Nelson przywiązuje wielką wagę do omenów i zabobonów. A teraz nie ma co ze sobą zrobić, nie posiada już rodziny, której mógłby pomagać, a ponieważ ukończył dwanaście lat, nie chodzi już do szkoły.

Anatole napisał w swojej notce, że Nelson to jego najlepszy uczeń i wkrótce się o tym przekonamy. No i rzeczywiście. Kiedy do nas przyszedł, po angielsku umiał powiedzieć tylko: „Jak się masz?” i „Dziękuję bardzo”, lecz po

kilku tygodniach potrafił się z nami porozumieć prawie we wszystkich istotnych sprawach, nie przekraczając wyrazów tak jak Mama Tataba. Powiedziałabym, że Nelson jest zdolnym dzieckiem, ale w Kongu to liczy się za nic, bo nawet ktoś tak inteligentny jak Nelson nie może iść na studia, podobnie zresztą jak dziewczęta Price'ów. Jak twierdzą państwo Underdown, Belgowie bronią się w ten sposób przed rozwojem niezależnej myśli wśród krajowców.

Jeśli tak jest, to co z Anatole'em — na przykład w jaki sposób Underdownowie zdołali zrobić z niego nauczyciela. Czasami wyobrażam sobie, że go o to pytam. Kiedy moje siostry odpoczywają po lunchu i mój mózg nie ma nic do roboty, układam sobie w myślach takie sceny. Anatole i ja idziemy ścieżką nad rzekę. Robimy to w jakimś celu, albo on ma mi pomóc przynieść coś do domu, albo poprosił mnie, żebym mu wytłumaczył jakąś kwestię biblijną, co do której nie ma całkowitej jasności. Idziemy zatem i rozmawiamy. W mojej wyimaginowanej scenie ojciec wybaczył Anatole'owi i nie ma nic przeciwko temu, żeby się zaprzyjaźnił z naszą rodziną. Anatole ma bardzo wyrozumiały uśmiech, z niewielką szczeliną między wspaniałymi przednimi zębami, i wyobrażam sobie, że uśmiech ten tak mnie ośmiela, iż zdobywam się nawet na to, aby go zapytać o jego niezwykłą twarz: jak to żrebili, że każda blizna jest tak idealnie prosta? Czy bardzo go bolało? A potem on mi opowiada o plantacjach kauczuku. Jak tam było?

Czytałam w jakiejś książce, że obcinają robotnikom dłonie, jeśli nie zebrali przez cały dzień określonej ilości kauczuku. Belgijscy nadzorcy przynoszą szefowi kosze pełne brązowych dłoni, podobnych do świeżych ryb. Czy to możliwe, aby cywilizowani biali chrześcijanie dopuszczali się takich rzeczy?

W mojej wyobraźni rozmawiamy z Anatole'em po angielsku, chociaż w prawdziwym życiu on mówi przede wszystkim w kikongo do swoich uczniów. Mówi tym językiem z innym akcentem niż pozostali mieszkańcy wioski—nawet

ja to słyszę. Układa usta w szerokie, precyzyjne kształty wokół zębów, jakby wiecznie się bał, że zostanie źle zrozumiany. Myślę, że Anatole pomaga naszej rodzinie, bo jest tutaj obcy tak jak my. Rozumie, co czujemy. Ojciec sprawia wrażenie wdzięcznego, że Anatole nie odmówił tłumaczenia jego kazań po wymianie zdań, do jakiej między nimi doszło. Anatole mógłby zostać przyjacielem mojego ojca, gdyby tylko lepiej znał Pismo Święte.

Mimo wszystko zadawałyśmy sobie pytanie, dlaczego był tak miły i przysłał nam Nelsona. Kiedy Nelson po raz pierwszy przyniósł wodę i sam ją zagotował, mama była tak wdzięczna, że usiadła na krześle i zalała się łzami. Najlepszy uczeń to bardzo duży prezent. Wedle mojej teorii Anatole'a natchnęły do tego dwie rzeczy, które zobaczył w naszym domu: po pierwsze, mnóstwo książek, które inteligentny chłopak będzie sobie mógł poczytać, nawet jeżeli nie może już chodzić do szkoły; po drugie, potrzebowaliśmy pomocy równie rozpaczliwie jak dzieci Mojżesza potrzebowwały Mojżesza. Gdzieś w okolicy Święta Dziękczynienia mama zaczęła na głos modlić się przy ojcu, aby Pan Bóg zechciał nas stąd wyprowadzić w jednym kawałku. Ojcu nie podobały się jej spektakle kulejącej wiary, o czym nie omieszkał jej poinformować. To prawda, że Ruth May zdrowo nas nastraszyła, ale rozsądnie przypomniał matce, że dziecko może sobie złamać rękę także w Georgii i Kansas City. I prawdę rzekłszy, jeśli któraś z nas miała sobie złamać rękę, to właśnie Ruth May. Pędzi przez życie, jakby zamierzała przeżyć wszystko, co się da, zanim skończy dwadzieścia lat.

Przykro mi to mówić, ale Ada jest tak samo przykra i niszczycielsko usposobiona, na swój ślamazarny sposób. Nikt jej nie kazał wałęsać się samej po dżungli. Mogła zostać ze mną. Pan jest naszym pasterzem, lecz my, owieczki, powinnyśmy przynajmniej starać się trzymać reszty stada. Zwłaszcza że jesteśmy teraz właściwie dorosłe, jeśli uwierzyć temu, co mówią rodzice. Bliźniaczki zawsze robią wszystko razem, kiedy są małe, ale trudno, żeby

dorośle kobiety chodziły jednakowo ubrane, trzymając się za rączki. Czy oni się spodziewają, że Ada i ja zawsze będziemy siostrami bliźniaczkami?

Tak czy owak ojciec wlepił nam wszystkim Werset, Księga Rodzaju 4, o Kainie i Ablu, po jej tak zwanej przygodzie z lwem, a ponieważ zdarzyło się to niedługo po fajtnięciu Ruth May z drzewa, matka ze wzmożoną energią zaczęła się bać o nasze życie. Pora deszczowa nasiliła się i cała wioska zaczęła zapadać na kakakaka. Myślałyśmy, że to znaczy tylko „spieszyć się”. Kiedy Mama Mwanza powiedziała nam, że wszystkie jej dzieci to dostały, pomyślałyśmy, że są niespokojne albo że musiała je poganiać do pracy. Nelson powiedział jednak: „Nie, nie, Mama Price, kakakaka!” Okazuje się, że jest to choroba, przy której trzeba sto razy dziennie latać do ubikacji. (Odegrał pantomimę, od której Ruth May zwijała się ze śmiechu). Powiedział, że człowiek tak często odwiedza ubikację, że nic mu nie zostaje we wnętrzościach. A potem dzieci czasem umierają. Ale Nelson mówi różne rzeczy, na przykład, że jeśli natrafisz na swej drodze na dwa skrzyżowane patyki, musisz przez nie przeskoczyć do tyłu na lewej nodze, więc nie wiedziałyśmy, czy mu wierzyć z tą chorobą. Ale zaraz potem przy domku kawałek dalej przy drodze pojawił się łuk pogrzebowy spleciony z liści palmowych i kwiatów i okropnie smutne twarze na podwórzu. Zmarło nie dziecko, ale matka ich wszystkich, wyglądały jeszcze bardziej chudo i mizernie, jakby straciły ochotę do życia po odejściu mamy. Trudno się nie zastanawiać, na co umarła i czy to jest zaraźliwe.

Jak się można domyślić, naszej mamie nie poprawiło to humoru. Zaraza, rany boskie, to gorsze niż węże, bo nie widać, jak

przypelza! Wymyślała tysiąc i jeden pretekstów, żeby nie wypuszczać nas z domu, nawet jeśli nie padało. Wymyśliła „czas na odpoczynek”, nie kończący się okres bezczynności między szkołą a lunchem, który miałyśmy spędzać w łózkach, pod baldachimami z moskitiery. Mama nazywała to „porą sjesty”, ale ja usłyszałam „porą fiesty” — zagadka dla mnie, bo nie było w tym absolutnie nic

radosnego. Ruth May z reguły zasypiała, z otwartymi ustami i włosami przyklejonymi do spoconej twarzy jak na plakacie z dzieckiem chorym na febrę. My we trójkę pociliśmy się jak świnie, leżąc pokotem na metalowym łóżku, rozdzielone upiornymi ścianami moskitier i wściekle, że nie możemy wstać. Nie miałam nic do czytania oprócz Bliźniaków Bobbsey w krainie Eskimosów, infantylnej książki, która mnie okropnie nudziła. Tylko zazdrościłam tym debilowatym Bobbseyom, że mają ciekawsze przygody od nas, w tym chłodnym, ośnieżonym kraju, w którym nikt nie musiał odbywać przymusowej kary sjesty.

Brakowało mi wolności. W wiosce działo się tyle rzeczy, za którymi nie nadążałam. Przede wszystkim Eeben Axelroot. Wyraźnie coś knuł. Kiedy Ada i ja ostatni raz go oglądałyśmy, usłyszałyśmy, że ktoś wrzeszczy na niego przez radio, i po raz pierwszy usłyszałyśmy, jak odpowiada. Zrolował materac i mruknął pod nosem słowa, za których samo usłyszenie można iść do piekła. Uklęknął i założył na głowę skomplikowaną maszynę z drutu. Powiedział kilka razy: „Zrozumiałem” i „Już po nim, sir”. Myślałam, że będą mnie musieli wołami stamtąd odciągać!

A teraz pewnie nigdy się nie dowiem, na kogo zapadł wyrok śmierci, gdyż wyglądało na to, że będziemy musiały leżeć tak bez końca i słuchać, jak leje deszcz. Rachel nareszcie się do czegoś przydała. W rozpaczliwych sytuacjach potrafi nas rozśmieszyć, specjalizuje się w reklamach radiowych prezentowanych komicznym głosem modelki: „Sprawdzone dermatologicznie Odo-rono, zabija u źródła nieprzyjemne zapachy pod pachami!” Mówiąc to, wyrzucała ramiona do góry, pokazując ciemne plamy potu pod pachami. Reklamowała też różne środki na włosy, skręcała sobie włosy na czubku głowy w krowi placek i mówiła: „Najmodniejsze

fryzury tylko z naszą magiczną pianką!” Uwielbiała też przypominać nam reklamę odłuszczonego mleka instant firmy Carnation („Nowe magiczne

kryształki rozpuszczają się w jednej sekundzie!"), które stało się naszym podstawowym pożywieniem i nie rozpuszczało się w jednej sekundzie, tylko zlepiało się w zakrzepy białej krwi. Miałyśmy tak serdecznie dość tych skrzystalizowanych grud, że dławiliśmy się nimi w snach.

Jednak prędzej czy później zawsze wyczerpywał jej się zapas reklam, jak nakręcanej zabawce. Zapadała cisza i bez entuzjazmu wracałyśmy do czytania książek. Nasze lektury były przypadkowe i nieodpowiednie do wieku, przysyłano je nam w nie oznaczonych tekturowych pudłach z Leopoldville. Podejrzewałyśmy pana Axelroota o to, że ma ciekawsze pudła, które zawozi innym dzieciom. W Bethlehem same organizowałyśmy wożenie książek gorzej uposażonym rodzinom i teraz zrobiło mi się żal tych dzieci, które zarzucałyśmy naszymi zakurzonymi powieściami drugiego gatunku i zdezaktualizowanymi poradnikami majsterkowicza, i jeszcze oczekiwałyśmy, że będą nam za to wdzięczne. Obiecuję, że kiedy wrócimy do domu, przekażę gorzej uposażonym rodzinom swoje najlepsze książki, kiedy je tylko przeczytam.

Z tej samej przedszkolnej przesyłki, w której przyszły bliźnięta Bobbsey, wybrałam Nancy Drew, z czystych nudów, byłam wściekła i oburzona, że zostałam postawiona w takiej sytuacji, będąc młodą kobietą, która menstruuje i czyta książki na poziomie akademickim. Choć muszę przyznać, że niektóre fragmenty Nancy Drew przykuły moją uwagę. W jednej z książek była dziwna fabuła z tajną piwnicą, która sprawiła, że leżąc w łóżku i próbując zasnąć, snułam długie fantazje, które wydawały mi się grzeszne. Może to prawda, że beczynny umysł to kuźnia dla Szatana. Rzeczywiście miałam w tych momentach myśli o diable. Wyobrażałam sobie Nancy schodzącą długimi żelaznymi schodami do podziemnego świata i mężczyznę, który czekał na nią na dole. Czasami był tylko pozbawioną twarzy zjawą w kapeluszu. Czasami miał uśmiech ze szparą między zębami i dostojną, pokrytą bliznami twarz. Innymi razy był tym

czerwonym Diabłem, który czai się na puszkach z szynką firmy Underwood, zadowolony z siebie i zdeprawowany, w muszce, z wąsami i ogonem zakończonym grotem strzały. Nie potrafię powiedzieć, czy byłam jeszcze obudzona, czy zapadłam w gorączkowy, barwny sen, kiedy po raz pierwszy przesunął mi się w głowie ten scenariusz. Wiem tylko, że nagle zostałam z tego wytrącona i stwierdziłam, że otacza mnie ostra woń mego własnego potu, a poniżej pasa czułam swędzenie i pobudzenie. Wiedziałam, że to uczucie to coś bardzo złego. Mimo to miałam więcej takich snów — a czasami, jestem tego pewna, jeszcze nie spałam, kiedy się zaczynały.

Po kilku tygodniach zaczęłam bardziej gorączkować i mama zdała sobie sprawę, że ponieważ jestem wysoka i aktywna jak na swój wiek, nie doszacowała mojej dawki chininy. Okazuje się, że te historie poniżej pasa to były skutki uboczne malarii.

Na Boże Narodzenie mama dała nam wszystkim różne haftowane rzeczy. Wiedziałyśmy, że nie należy się wiele spodziewać, a żebyśmy na pewno nie zapomniały, kazanie Gwiazdorka poświęcone było temu, że należy mieć w sercu łaskę, która wypiera pożądanie rzeczy materialnych. Ale mimo wszystko. Za choinkę robił liść palmowy wsadzony do wiadra z kamykami. Kiedy zebrałyśmy się wokół niej i czekałyśmy każda na swoją kolejkę, żeby otworzyć nasze mizerne, pożyteczne prezenty, ja patrzyłam na pozał się Boże liść palmowy, który rudział na brzegach i ozdobiony był białymi aniołkami z jaśminu, i pomyślałam, że lepiej byłoby dać sobie z tym wszystkim spokój. Nawet jeżeli ktoś niedawno skończył piętnaście lat bez tortu urodzinowego, to trudno o równie dojrzałe podejście do Bożego Narodzenia.

Mama oznajmiła, że teraz możemy wykorzystać wolny czas na kuferki małżeńskie. Kiedy byłam mała, myślałam, że nie chodzi o kuferki, tylko kuperki, i sądziłam, że matka ma do nich negatywny stosunek, bo mówiła o zbyt zalotnych dziewczętach: „Myśli jedna z drugą, że jak będzie tak kręciła

kuperkiem, to łatwiej złapie męża!" Jednak matka miała na myśli taki kuferek, do którego dziewczyna powinna wkładać wszystko, co ma nadzieję wykorzystać po wyjściu za mąż. Chciała w ten sposób uzasadnić, po co przewoziłyśmy przez Atlantyk (potajemnie lub jawnie) te wszystkie nici do haftowania, sekator i tak dalej.

Teraz oczekiwała od nas, że będziemy się entuzjasmowały długofalowymi planami małżeńskimi, leżąc w łóżku i obserwując, jak buty obrastają nam pleśnią. Rachel i Adzie przydzielono cały szereg „wiannych” przedsięwzięć, lecz prace domowe nigdy nie należały do moich atutów, toteż miałam się skupić na jednym, ale za to dużym projekcie: obrusie haftowanym ścięciem krzyżykowym. Nic prostszego, trzeba tylko wyszyć tysiące maleńkich iksów różnokolorowymi nitkami. Wzór był wyrysowany na obrusie zmywalnym atramentem. Nawet mała potrafiłaby to zrobić, gdyby się bardzo nudziła. Do haftowania ścięciem krzyżykowym z pewnością nie jest potrzebny żaden szczególny talent. „Małżeństwo” kufierka polega zapewne na tym, że kiedy już dobrniesz do końca, to znajdziesz kogoś, kto zechce się z tobą ożenić.

Osobiście nie wydaje mi się to prawdopodobne. Po pierwsze mam płaskie piersi, jestem po prostu za chuda. Kiedy Ada i ja zostałyśmy przeniesione o dwie klasy wyżej, to tylko pogorszyło sprawę. Nie dość, że byłyśmy córkami pastora, to teraz wyglądamy jak cebule, które ktoś przez pomyłkę posadził wśród petunii, tych wszystkich dziewiątoklasistek z zalotnymi oczami, makijażem i piersiami sterczącymi spod moherowych swetrów. Żaden chłopak nigdy na mnie nie spojrzał, chyba że chciał, abym mu pomogła odrobić zadanie. Ale prawdę powiedziawszy, nie bardzo mi na tym zależy. Całowanie się za bardzo mi przypomina dezynfekowanie komuś jamy ustnej. Jeśli ktoś chce zobaczyć gwiazdy—Rachel twierdzi, że to tego rodzaju doznanie — to czy nie lepiej wyjść w nocy na drzewo? Kiedy próbuję wyobrazić sobie przyszłość, potrafię się zobaczyć tylko jako misjonarka, nauczycielka albo farmerka,



mówiąca innym, że Pan Bóg pomaga tym, którzy pomagają sami sobie. W każdym razie jakieś zbożne życie (gwarantuję, że Ada ma zupełnie inne marzenia), chciałabym też spędzać możliwie najwięcej czasu na powietrzu, sławiąc Boże dzieło stworzenia, i nosić spodnie, jeśli się będzie dało.

Czasami wyobrażam sobie siebie z dziećmi, bo w przeciwnym razie po co prowadzę zeszyt ze wszystkimi lekcjami, jakich uczy mnie dzieciństwo w Afryce? Ale jeśli ktoś chce pogaworzyć do swoich dzieci, najpierw musi mieć męża. Przeszkoda ta wydaje się trudna do przeskoczenia.

Ojciec mówi, że dziewczyna, która nie wyjdzie za mąż, zbacza z wytyczonej przez Boga drogi—dlatego jest przeciwny posłaniu Ady i mnie na studia, poza tym że uważa to za wyrzucone pieniądze — i jestem pewna, że ma rację. Ale jeśli nie pójdę na studia, to skąd dowiem się rzeczy, których mogłabym uczyć innych? I który młody, pełnokrwisty Amerykanin spojrzy na prymuskę z geografii ze strupami na kolanach, skoro mógłby mieć dziewczynę w moherowym swetrze? Chyba będę musiała po prostu zaczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Pan Bóg na pewno zaplanował wszystko na tyle precyzyjnie, że znajdzie się mężczyzna dla każdej kobiety, którą przeznaczył do zamążpójścia. Jeśli Bóg nie ma dla mnie zarezerwanego kandydata na męża, to Jego sprawa.

Z kolei Rachel nigdy nie miała żadnych wątpliwości w tej materii. Kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku, że nie będzie nowych płyt Plattersów, moherowych swetrów ani imprez, na których można by zatańczyć do muzyki Plattersów w moherowym swetrze, zapaliła się do pomysłu z wianem, a w każdym razie udawała zapaloną. Rzucała się na łóżko, leżała na brzuchu ze stopami do góry, gorączkowo przebierała palcami rąk dziesięć centymetrów od twarzy i rozmyślała o swoich projektach do kuferka małżeńskiego. Zachowywała się tak, jakby potrzebowała mieć to wszystko w tydzień gotowe. Wyszywała monogramy na ręcznikach dla gości, dziergała kołnierzyki do

wyprawki panny młodej i robiła dziesiątki innych rzeczy. Były to jedyne chwile, kiedy nie wywijiała oczami i nie odrzucała włosów na plecy, tylko zabierała się do uczciwej pracy.

Ada i ja wychodziłyśmy z robótkami na ganek, żeby móc mieć oko na ciekawe wydarzenia, które działy się na świecie. Między mną i Adą coś zmieniło się na gorsze od dnia, w którym rzekomo

szedł za nią lew. Cała wieś wciąż o tym mówiła, uwielbiali pokazywać Adę palcami i naśladować ryczenie lwa, co nie pomagało nam w odłożeniu całej sprawy ad acta. Z drugiej strony historia ta bardzo dobrze się przysłużyła kościołowi ojca. Ludzie myślą, że skoro Jezus potrafił powstrzymać lwa przed pożarciem biednej kalekiej dziewczynki, to znaczy, że bacznie strzeże swych chrześcijańskich owieczek. Ha! I to właśnie w okresie, kiedy wszyscy myśleli, że afrykańscy bogowie są na nas rozgniewani i szykują dla nas nauczkę. Oni to widzą jako zawody zapaśnicze między bogami, w których Jezus i Ada odnieśli zwycięstwo. Ojciec oczywiście mówi, że to zabobonne i nadmiernie upraszczające, ale tak się szczęśliwie złożyło, że kilka dni wcześniej omawiał czytanie o Danielu i jaskini lwa, więc teraz mało się nawzajem nie zadcpczą, żeby wejść w niedzielę do kościoła. A sprawiła to wszystko Ada i ojciec ją za to uwielbia, cokolwiek by mówił — objął ją publicznie ramieniem! Co nie jest do końca sprawiedliwe.

Jednak my wciąż musiałyśmy przebywać głównie w swoim własnym towarzystwie. Przykute do ganku zakazami matki, jak naburmuszone niedźwiedzie bliźniaki w niewoli, z zazdrością patrzyłyśmy na Nelsona, który żył jak dawniej, chodził do wioski i mógł w każdej chwili złapać kakakaka, gdyby naszła go taka ochota. Kiedy się oddalał, jego okrągła różowa blizna zerkąła na nas między drzewami jak małe, uśmiechnięte oko. Obserwowałyśmy też Matuzalema, który po czterech miesiącach od wypuszczenia na wolność wciąż kręcił się w pobliżu naszego domu, mrucząc coś do siebie. Dziwnie było

słyszeć głosy członków naszej rodziny rozlegające się z gałęzi drzew, jakbyśmy zostali zamienieni w latające duszki, których najbardziej w życiu interesują fistaszki, banany oraz pospolite zwroty grzecznościowe i niegrzecznościowe. Czasami zaskakiwał nas w nocy, jeśli zapomnieliśmy, że spędza swoje samotne noce w wychodku. Uwierzcie mi, to dziwne uczucie, kiedy człowiek siada w ciemnościach na desce, żeby się wysikać, i słyszy za plecami głos, który oznajmia: „Siostrze, Bóg jest wielki!” Jednak było nam go żal

i zaczęliśmy mu tam zostawiać kawałki owoców. Uważaliśmy, żeby zamykać w nocy na rygiel drzwi wychodka, bo mogłaby się tam zakraść mangusta albo cybeta i go ukatrupić.

Z początku chciałam, żeby Matuzalem wrócił i zamieszkał w klatce, ale ojciec wytłumaczył mi, że ten cały układ był niedobry. Wypuściliśmy Matuzalema, bo jego niewola nie przynosiła nam chluby. Bóg przeznaczył papudze zbyt szlachetne miejsce w hierarchii stworzeń, aby trzymać ją w klatce. Musiałam więc kibicować Matuzalemowi, żeby nauczył się żyć na wolności. Nie wiem, czego życzyła mu Ada, kiedy leżałyśmy na ganku z robótkami i patrzyłyśmy, jak łązi po gałęziach. Moim zdaniem w ogóle jej to nie obchodziło, tylko była ciekawa, co się dalej stanie. Ada taka jest. Nie czuje się zobowiązana do pielęgnowania w sobie dobrych myśli, aby zasłużyć sobie na pomyślność w życiu pozagrobowym, a nawet doczesnym. Ona potrafi po prostu przyglądać się życiu bez zaangażowania.

W każdym razie na pewno nie podejmowała żadnych wysiłków ukierunkowanych na jej przyszłość jako kobiety. Ada przygotowywała do kufierka małżeńskiego dziwne, chorobliwe rzeczy, obrębiała płócienną serwetki na czarno i tak dalej, co przygnębiało naszą matkę. Ruth May została zwolniona z tego przedsięwzięcia, lecz miała prawo leżeć w hamaku i robić z przędzy kocie kołyski, musiała tylko obiecać, że nie ucieknie do lasu i nie złamie sobie czegoś.

Leżałam na plecach i pracowałam apatycznie nad moim obrusem, aby nie uśmiercać mrzonek matki, że kiedyś wyjdę za mąż, lecz po jakimś czasie zaczęło mnie to wciągać. Samo haftowanie ścięciem krzyżykowym było nużące, ale rysujące się przede mną perspektywy — wspaniałe. Mama pomyślała o mnie i dała mi motyw botaniczny, wiedząc, że lubię kolor zielony i rośliny. W czterech rogach miały zakwitnąć bukiety bratków i róż, połączone obrąbkami ze splecionych zielonych pędów. I w taki sam sposób, w jaki Duch Święty dawno temu objawił się w Ciele Chrystusa, pierwsza stulistna róża zaczęła się materializować na moim obrusie. Wychodząc od tego, potrafiłam sobie wyobrazić cały ogród.

Jednak całe przedsięwzięcie przerażało mnie swym ogromem. Rachel machnęła cały zestaw serwetek, zanim ja zdążyłam wypełnić jedną różową różę. Wilgotność była tak duża, że woda ściekała nam po rzesach i w tej parnej atmosferze wyhaftowanie pierwszego bukietu zajęło mi tyle czasu, że metalowe kółka przyrdzewiały do płótna.

Program kuferków małżeńskich wkrótce przestał być naszym głównym zajęciem. Rachel za bardzo rwała się do małżeństwa i skończył się jej materiał, a my rwałyśmy się zbyt mało i skończył nam się zapał. Od czasu do czasu wyciągam swój obrus i próbuję wzbudzić w sobie entuzjazm. Modliłam się nawet do Pana Boga, żeby uczynił ze mnie kobietę bardziej nadającą się na żonę, ale przyrdzewiałe kółka zostawiły na płótnie brzydkie pomarańczowe ślady, które być może na zawsze przekreśliły moje szanse na zamążpójście.

Ruth May

Próbowałam zobaczyć Nelsona gołego. Nie wiem, dlaczego tego chciałam. Kiedy wstaje rano, najpierw myje twarz w poobijanej miednicy w kurniku, a potem nakłada spodnie i koszulę. Myje sobie z tyłu szyję, na której ma tę różową dziurę, aż skóra mu zacznie błyszczeć i cała woda spłynie na dół.

Potem wlepia oczy w swoje ubranie i zaklina je, zanim nałoży. Brązowe portki, czerwony podkoszulek. Więcej ubrań nie ma. Każdy tutaj ma tylko jedno ubranie. Moi przyjaciele to ten w niebieskiej górze od pidżamy, ten w spodniach w kratkę z podwiniętymi nogawkami, ten w szortach z wielkimi, obwisłymi kieszeniami i ten w różowawej koszuli do kolan i bez portek. Dziewczeta nigdy, ale to nigdy nie noszą spodni. A małe dzieci w ogóle nic nie noszą, więc kucają i sikają, kiedy tylko im się zachce.

Kurnik jest zrobiony z patyków. W ścianach są małe kwadratowe dziury i chciałam tylko popatrzeć na Nelsona. Byłam niedobra. Czasami modliłam się do małego Jezusa, żebym była dobra, ale mały Jezus nie posłuchał.

Kury siedziały na jajkach. Kochane kokoszki, mówiliśmy, robią dla nas więcej kurczaczków. Mieszkały w zwykłej budzie. Próbowaly chować swoje gniazda w krzakach, ale Nelson i ja znaleźliśmy je. Powiedział, że to niedobre kwoki, które chcą nam ukraść swoje dzieci. Próbowalam je skrzyczeć, ale powiedział, że kury nie rozumiają po angielsku. Pokazał mi, jak się im śpiewa: Kuyiba diaki, kuyiba diaki, mbote vel Mbote ve! Potem przynieśliśmy z powrotem wszystkie te jajka. Wolno mi było pomagać Nelsonowi rano, kiedy Rachel i te dwie miały szkołę, jeśli obiecałam mamie, że nie będę się zbliżała do innych dzieci. Wszystkie są chore. Muszą chodzić w krzaki za dużą potrzebą i moglibyśmy się zarazić.

Zanieśliśmy jajka mamie, a ona wrzuciła je do wiadra z wodą. Opadły na dno, a niektóre zostały na wierzchu. Tonące można jeść, a niezatopki są zgniłe. Nelson chciał je wziąć i mama bała się, że będzie chory, kiedy je zje, ale powiedziała: „A, bierz”, więc wziął, ale ich niejadł. Schował je w jednym miejscu. Powiedział, że znachor Tata Kuvudundu chce tych jajek dla zmarłych, którzy potrzebują się położyć. Nganga znaczy znachor. Tata Kuvudundu jest znachorem, bo ma sześć palców u jednej stopy. Nelson powiedział, że Tata Kuvudundu potrafi tak zrobić, żeby żywi ludzie umarli, a umarli ludzie byli

znowu żywi. Nelson uważa, że Tata Kuvudundu to wielki człowiek, który mógłby rządzić armią, ale jest za stary. Może jeden z jego synów. Nelson wie, kto to jest Patrice Lumumba, tak samo jak ja. Mówi, że niektórzy z nich mówią, żeby zakopać kamienie w ogrodzie, a kiedy wszyscy biali będą nie żyli, to żeby je wykopać i kamienie zamienią się w złoto. Nelson powiedział, że w to nie wierzy. Tak naprawdę nikt w to nie wierzy, powiedział, z wyjątkiem ludzi, którzy chcą wierzyć. Powiedziałam, dlaczego wszyscy biali ludzie będą nie żyli? Nelson nie wiedział.

Wszyscy ci dodatkowi ludzie chodzą teraz do kościoła. Nelson mówi, że to dl atego, że lew próbował zjeść Adę, ale Jezus w ostatniej chwili zamienił ją w buszboka. Jak w Biblii. Kiedy lew zagryzł zęby na Adzie, która zamieniła się w buszboka, prawdziwa Ada zniknęła stamtąd i wyskoczyła cała i zdrowa na naszym ganku.

Nelson mówi, że każdy ma swojego małego boga, co go broni, takie specjalne afrykańskie bogi mieszkają w takiej maciupkiej rzeczy, którą oni noszą na szyjach. To się nazywa gri-gri. Takie podobne do buteleczki, tylko zrobione z patyków, muszelek i innych rzeczy. Czasami sobie myślę o tych maciupkich bogach, co wożą się na szyjach ludzi i drą się: Pomocy! Wypuście mnie stąd! Jak dzin w lampie Ladyna. Pocierasz i mówisz: Słuchaj no, mały bogu, lepiej się mną opiekuj, bo inaczej lew cię zje razem ze mną!

Wszystkie małe bogi wściekają się teraz na Pana Jezusa i gdyby mogły, zrobiłyby którejs z nas krzywdę. Gdyby Pan Jezus nas nie pilnował. Powiedziałam Nelsonowi, że Pan Jezus jest o wiele za duży, żeby się wozić w małym gri-gri. Jest duży jak mężczyzna, z długimi brązowymi włosami i w sandałach, numer buta 46. Nelson mówi, że tak, ludzie zrozumieli, że On musi być dosyć spory. Zaczęli walić do kościoła drzwiami i oknami, żeby posłuchać, jak ojciec mówi o Panu Jezusie, i próbują wymyślić, jak to z Nim jest. Ale

Nelson mówi, że oni są jedną nogą w kościele, a drugą poza kościołem. Jeśli któreś z nas coś się stanie, to drugą też wyciągną.

Kiedy znaleźliśmy wszystkie jajka w krzakach i zabraliśmy je, mały Jezus kazał wszystkim kurom, żeby były grzeczne i składały wszystkie jajka w jednym dużym gnieździe, które im zrobiliśmy w rogu kurnika. Mama wzięła ołówkę i pozaznaczała wszystkie jajka iksami. Trzymaliśmy te pozaznaczane w gnieździe, a kiedy kury zniosły świeże, to braliśmy je do jedzenia. Czasami jedliśmy jajecnicę, czasami gotowane na twardo. Nigdy nie jemy jajek z iksami, bo z nich mają się zrobić kurczaczki. Kiedy urosną, z niektórych będą nowe kury nioski, a wszystkie inne wyrosną na pieczone kury! Te niefartowne. Utnie się im głowy i będą biegały, pryskając krwią, ha ha ha, bidulki. Chyba lepiej by zrobiły, gdyby też sobie powiesiły na szyi gri-gri.

Codziennie sprawdzałam, czy wykluły się małe, i pierwsza je znajdowałam. Wszystkie się wykluły poza jednym, które się rozgniotło. Przyklepiło się na płask do glinianej ściany za gniazdem, jak obrazek. Nelson mieszkał z obrazkiem zdechłego kurczaczka na ścianie. Żal mi się go zrobiło i od tego czasu nie próbowałam już podglądać jego siusiaka.

Kiedy na dworze jest ciemno i zobaczysz węża, a nawet jeśli chcesz tylko porozmawiać o wężu, to nie wolno ci powiedzieć „wąż”. Musisz powiedzieć „sznurek”. Mówisz, pamiętasz, jak kiedyś widzieliśmy mały czarny sznurek po drodze z pikniku? Po zmroku tak się mówi. Nelson strasznie się na mnie wściekł, kiedy powiedziałam po ciemku „wąż”, bo mówi, że po zachodzie słońca wąż słyszy, jak wołasz jego imię, i zaraz do ciebie przyleci. Inne zwierzęta też. Po ciemku bardzo dobrze słyszą, więc trzeba uważać.

Nelson wściekł się też na Leę, że trzyma w domu sowę. Sowa była pisklęciem i nie umiała latać, kiedy ją znalazłyśmy, więc Lea zrobiła jej klatkę, karmiła ją robakami i dawała jej trochę mięsa. Jej futro jest białe i wszędzie jej

sterczy. Lea dała jej imię z tego języka, co tu mają: Mvufu. To znaczy „sowa”. Ale przyjaciel Lei Pascal jej nie cierpi, a Nelson jej nie cierpi jeszcze gorzej. Mama Mwanza też jej nie cierpi, kiedy przytuptuje na rękach, żeby pohandlować z nami pomarańczami za jajka. Mama Boanda też jej nie cierpi. To ta, co nosi czarną spódnicę z wielką pomarańczową gwiazdą na tyłku i fryzurą, która też wygląda jak gwiazdy, sterczy jej na wszystkie strony. Ta, co robi ludziom fryzury, to Mama Lo, która ma tylko dwa zęby, jeden na górze, drugi na dole, więc ciamka jedzenie zamiast gryźć. Nienawidzi naszej sowy najgorzej ze wszystkich i wydarła się na nas, że ją trzymamy! Bo jej siostra niedawno temu zmarła. Wszyscy, co widzą naszą sowę, to od razu jej nie cierpią. Nelson powiedział, żeby ją zabrać z domu, bo jak nie, to on przestanie przychodzić i to załatwiło sprawę. Mama kazała wynieść ją na dwór, chociaż Lea strasznie się rzucała, że sowa jest jeszcze pisklęciem. To była prawda, sówce wyrastały już pióra, ale głównie miała białe włoski jak u dziecka i była oswojona.

Nelson poszedł i przyprowadził Anatole'a, wlokąc go za sobą jak tobołek. Anatole powiedział, że ludzie w Kongu nie lubią sów, bo sowa lata po nocy i zjada dusze zmarłych. A ostatnio za dużo

się ich zrobiło, powiedział. Za dużo chorych dzieci, żeby ludzie pozwolili sowie latać po wiosce i patrzeć na nie wygłodniałymi oczami. Nawet jeżeli sowa sama jest jeszcze dzieckiem. Może chce innych dzieci do towarzystwa.

Ojciec powiedział, że to wszystko zabobony, więc Lea poszła i przyniosła sowę z powrotem, sadzała ją sobie na ramieniu i paradowała po domu, mówiła, że ojciec jest po jej stronie. Ho, ho, ho! Trzepnął ją mocno za grzech pychy i zadał jej Werset. Siedziała, trzymając się za bok szyi, kiedy przepisywała. Kiedy zdjęła rękę z szyi, wyraźnie widać było siniec. To wyglądało tak, jakby ojciec trzymał dłoń przed lampą naftową i rzucał na nią cień, ale nie, ojciec był w drugim pokoju i czytał Biblię.



Kiedy skończyła robić Werset, poszła daleko do dżungli, żeby wypuścić sowiátko, i myślałyśmy, że już nigdy nie wróci. Wszystkie się okropnie bałyśmy i czekałyśmy na nią, tylko ojciec nie czekał. Było tak cicho, że słyszałyśmy, jak sekundnik Timeksa Rachel robi cyt-cyt-cyt. Płomień lampy szedł do góry i w dół, a cienie skakały za każdym razem, gdy się mrugnęło oczami. Było już wtedy długo po zmroku, więc kiedy któraś z nas sobie pomyślała, co mogło dopaść w lesie Leę, wąż albo lampart, to nie mogła powiedzieć tego na głos, tylko „sznurek” albo „płótno w cętki”. Powiedziałam:

— Mam nadzieję, że nie ukąsił ją „sznurek”!

Ojciec dużo wcześniej poszedł do sypialni. W końcu wydarł się na mamę, żeby położyła nas do łóżek i sama przysła. Powiedział, że nasza siostra wróci, więc lepiej będzie, jeśli zajmujemy się swoimi sprawami, bo ona chce tylko zwrócić na siebie uwagę. Powiedział, żebyśmy ją ignorowały, bo inaczej spotka nas taka sama kara. Potem powiedział: „Jeśli sowa potrafi na miejscu pożreć duszę, to jest o klasę lepsza od Diabła, bo Diabeł musi najpierw kupić duszę i widzę, że dokonał paru zakupów w moim własnym domu”. Ojciec był wściekły i chciał, żebyśmy zeszły z tematu Lei, bo to przez niego uciekła.

Nie odezwałyśmy się do niego ani słowem, ale do łóżek też nie poszłyśmy. Siedziałyśmy w dużym pokoju, mama wypatrywała sobie oczy przez otwarte drzwi, czekałyśmy, aż Lea wróci

do domu. Moskity i duże białe ćmy wlatywały drzwiami i wylatywały oknami. Niektóre postanowiły zdjąć płaszcze i zostać chwilę, toteż wleciały do lampy naftowej i spaliły się. Tak się dzieje, jeśli ktoś jest zły i nie zasługuje na pójście do nieba, idzie się smażyć w piekle. Tej nocy nasz dom był piekłem dla kongijskich owadów. Hi hi hi.

Ojciec próbuje wszystkich nauczyć, żeby kochali Pana Jezusa, ale tak się jakoś składa, że Go nie kochają. Niektórzy się Go boją, niektórzy nie, ale nie

wydaje mi się, żeby Go kochali. Nawet ci, co chodzą do kościoła, dalej czczą te lalki ze złymi oczami i ciągle żenią się od nowa. Ojca doprowadza to do szału.

Ja też się boję Pana Jezusa.

Kiedy Lea wróciła z lasu, wrzeszczałyśmy i darłyśmy się, wybiegłyśmy naganek i wciągnęłyśmy ją do środka za fraki. Ale, o rany, ojciec wystawił głowę z ciemnej sypialni. Widać mu było tylko oczy. Nie chciałyśmy dostać tej samej kary, więc tylko patrzyłyśmy na Leę oczami, które mówiły: „Tak mi cię żal”, żeby jej było trochę różnie. Kiedy położyłyśmy się do łóżek, sięgnęłam przez moskitierę i chwyciłam ją za rękę.

Mama nie spała w swoim pokoju.

Mama mówi, że ptaki przyprawiają o śmierć. Ja bym powiedziała, że jeśli już, to węże. Ale skoro ptak zjada dusze martwych dzieci, to chyba jest się o co martwić. Jeszcze jeden dźwięk, za którym trzeba w nocy nastawiać uszu. Jeszcze jedna rzecz, której nie można powiedzieć w nocy na głos.

Rachel

W styczniu zupełnie niespodziewanie przylecieli z Leopoldville Underdownowie. Pan Axelroot przywiózł ich swoim samolotem, kiedy wszyscy oczekiwaliśmy w najlepszym razie Potato Buds i szynki konserwowej. Underdownowie nie lubią przyjeżdżać w tę dzicz, więc to było prawdziwe święto. Wyglądali, jakby dostali migreny od stresów. Mama była podenerwowana, bo to

nasi szefowie ze Związku Misyjnego i przyłapali ją na gorącym uczynku, jak sprzątała dom w swoich starych czarnych spodniach Capri z przetartymi kolanami. Niezły był z niej widok, kiedy skrobała podłogę z niestarannie spiętymi włosami i sinymi kręgami pod oczami, których się dorobiła od zamartwiania się, że złapiemy chorobę kamikadze. Jak dla mnie to były gorsze

rzeczy niż chodzenie w starym ubraniu, których powinna się wstydzić, na przykład panoszące się w domu mangusty i jaszczurki. Ale przynajmniej nie było już tej okropnej sowy. Bogu niech będą za to dzięki, chociaż ojciec trochę za ostro ją potraktował. To była paskudna scena. Po tym wszystkim jeszcze bardziej niż zwykle chodziłyśmy po domu jak po rozżarzonych węglach, ale sowa cuchnęła zepsutym mięsem, więc daj Boże zdrowie na drogę.

Ale właściwie dlaczego mielibyśmy urządzać Underdownom Ritza? Nie są nawet baptyстами, powiedział kiedyś ojciec, nadzorują tylko sprawy finansowe Związku Misyjnego, odkąd tak wielu ludzi się wycofało. Są episkopotamianami, a ich prawdziwe nazwisko brzmi jakoś tak zagranicznie, On-tre-don czy coś w tym rodzaju. My mówimy Underdown, bo tak jest łatwiej. Między nami mówiąc, wyglądali jak wsiury, w swoich oszczędnych fryzurach domowej roboty i spodniach khaki. Frank i Janna Underdown. Najśmieszniejsze jest w nich to, że wyglądają dokładnie tak samo, nie licząc akcesoriów: on ma wąsy, a ona małe złote kolczyki w kształcie krzyżyków i okulary na łańcuszku. Pan Burak i pani Burakowa.

Siedzieli przy naszym stole i pocili się, a mama pobiegła wycisnąć pomarańcze i przyniosła sok. Nawet szklanki ociekały potem. Na zewnątrz niebo przygotowywało się organizacyjnie do swojej codziennej popołudniowej burzy: wiatr klaskał liśćmi palmy, wzbijał nad drogę upiory czerwonego pyłu, małe dzieci biegły się schować jak skszaty. Mama była za bardzo zdenerwowana, żeby usiąść z resztą towarzystwa, więc stała za krzesłem ojca, oparta o parapet, czekała, aż ojciec skończy czytać gazetę, którą przywieźli. Wszyscy podawali ją sobie kolejno, pomijając pana Axelroota, który zapewne nie wiedziałby, co zrobić z gazetą

oprócz podarcia sobie wiadomo czego. Tak, on również zaszczyił nas swoją obecnością. Stał oparty o tylne drzwi i splotował, myślałam, że mnie coś trafi. Gapił się na mnie i rozbierał mnie w myślach. Już wcześniej

powiedziałam, że moi rodzice niektórych rzeczy kompletnie nie czają. Robiłam do niego miny, aż w końcu sobie poszedł.

Kiedy ojciec czytał najświeższe wiadomości, pani Underdown próbowała zaprzyjaźnić się z mamą, skarżąc się jej na chłopaka, który usługiwał im w Leopoldville.

— Mówię ci, Orleanna, ukradłby wszystko z wyjątkiem dzieci. Zresztą dzieci też by ukradł, gdyby miał je komu sprzedać. Jeśli próbuję zamykać rzeczy na klucz, to wali się pięścią w serce, jakbym go oskarżyła o morderstwo. Nawet jeśli poprzedniego wieczoru złapałam go z czterema chusteczkami do nosa Franka i kilogramem cukru pod koszulą. Zawsze twierdzi, że nie ma pojęcia, skąd się tam wzięły.

— Co za historia — powiedziała mama, choć nie sprawiała wrażenia zbytnio zainteresowanej.

Pani Underdown spojrzała na mamę zaskoczona.

— Co za histeria? — Zawsze sugeruje, że mówimy z akcentem, powtarzając nasze słowa i wyrażenia w formie dowcipu. Ponieważ sama jest trochę cudzoziemką, to przyganiał kocioł brytfannie.

Chociaż raz moje siostry i ja zostałyśmy zwolnione z obowiązku bawienia się w szkołę. Wizyta Underdownów zaciekała nas jednak i nie chciałyśmy wychodzić z domu. Strasznie brakowało nam towarzystwa. Kręciłam się po pokoju, parę razy sprawdziłam w lustrze fryzurę, posprzątałam na biurku i wreszcie wylądowałam razem z moimi siostrami na werandzie, na tyle blisko drzwi, że mogłyśmy śledzić rozwój sytuacji. Patrzyłyśmy na szklanki z oranżadą, żałując, że matka nie wpadła na to, żeby zrobić jej wystarczająco dużo dla wszystkich, a jednocześnie słuchałyśmy i próbowałyśmy wyrobić sobie

pogląd, po co tu przyjechali. Wiedziałam jednak, że zanim wyjadą, będę nimi znudzona po pachy.

I rzeczywiście, kiedy artykuł w gazecie obszedł już wszystkich, skończyli z tematem młodocianego złodzieja u Underdownów i zaczęli rozmawiać o najnudniejszych rzeczach, jakie można sobie wyobrazić: nowa pościel, pigułki na malarię, nowe Biblie dla szkoły, tego typu sprawy.

Weszłam do środka i podniosłam gazetę, którą ojciec rzucił na podłogę. Bo niby dlaczego nie? Była napisana czystą żywą angielszczyzną, z Nowego Jorku w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Na stronie, na której była otwarta, przeczytałam: „Strategiczne ruchy Sowietów w Kongu”. Pisało tam, że Chruszczow chce zająć Kongo belgijskie i uniemożliwić niewinnym dzikusom stanie się wolnym społeczeństwem, co jest elementem jego planu uzyskania przez ZSRR dominacji nad światem. A ja na to jak na lato, jeśli o mnie chodzi, to Chruszczow może sobie wziąć Kongo, jeśli ma na nie ochotę. Zresztą gazeta była z zeszłego grudnia. Gdyby jego strategia rozwijała się tak pomyślnie, to już byśmy widzieli gęby Rosjan. W artykule pisało, że Belgowie to cisi bohaterowie zachodniej cywilizacji i kiedy przychodzą do jakiejś wioski, to z reguły zastają ludożerczych krajowców na składaniu ofiar z ludzi. Hm. Gdyby przyszli tego dnia do naszej wioski, to zastaliby mamę na skrobaniu podłogi i około dwunastu gołych chłopców na konkursie w sikaniu na odległość przy drodze. Dałam gazetę Adzie, a Lea czytała jej przez ramię. Przewróciły kilka kartek i pokazały mi rysunek: wielki, tłusty, łysy Nikita Chruszczow w komunistycznym uniformie trzyma się za ręce i tańczy z kościstym ludożerczym krajowcem, który ma grube wargi i kość we włosach. Chruszczow śpiewał: „Bingo bango bongo, nie chcę wyjeżdżać z Kongo!”

Wyglądałam przez okno i zastanawiałam się, kto zdrowy na umyśle nie wyjechałby w trzy i pół sekundy z Konga, gdyby miał taką szansę. Underdownowie i matka właśnie podsumowali fascynujący temat tabletek

chininy i zapadła, jak to się mówi, krępująca cisza. Underdownowie chrząkali, zakładali nogę na nogę i wreszcie wykrztusili z siebie sensacyjną ich zdaniem wiadomość: w maju odbędą się wybory, a w czerwcu Kongo

ogłosi niepodległość. Jeśli o mnie chodzi, to w konkursie na najnudniejszy temat rozmowy mogłoby to konkurować z pigułkami na malarię i Bibliami, ale mama i ojciec przeżyli wstrząs. Mamie szczena opadła do ziemi. Wyglądała jak Claire Bloom w Pięknej i bestii, kiedy wreszcie zostaje przedstawiona swemu przyszłemu małżonkowi. Czekałam, aż matka wróci do swojego typowego wszystko-jest-w-najlepszym-porządku, ale dalej była blada jak płótno i wyglądała, jakby przestała oddychać. Położyła sobie rękę na gardle, jakby połknęła łyk mleczka do czyszczenia i wtedy się już przestraszyłam. Zaczęłam uważniej słuchać.

— W czerwcu tego roku? — upewniała się mama.

— Nie ma siły, żeby Belgia zaakceptowała wynik wyborów

— powiedział ojciec. Oczywiście, on wiedział już wszystko na ten temat. Cokolwiek by się stało na tym Bożym świecie, ojciec zawsze zachowuje się tak, jakby już widział ten film, a my jesteśmy tępe debilki, że nie wiemy, jak się to kończy. Lea oczywiście o mało co nie wypadła z hamaka, chłonąc każde jego słowo. Odkąd ojciec trzepnął ją za tę sowę, dwa razy bardziej niż zwykle stara się wkraść w jego łaski.

— Właśnie że zaakceptuje, Nathan. Taki jest nowy, oficjalny plan. Król Baudouin zaprosił do Brukseli osiemdziesięciu przywódców kongijskich, żeby wytyczyć drogę do niepodległości. — Tako rzekł pan Burak, którego głos jest zupełnie pozbawiony siły przekonywania. On musi być obcokrajowcem, albo dawniej był.

— Kiedy? — spytała mama.

— Dwa tygodnie temu.

— A mogę zapytać, co się stało ze starym oficjalnym planem?

— powiedział ojciec. Zawsze musi powiedzieć: „A mogę zapytać?”, zamiast po prostu zapytać.

— Leopoldville i Stanleyville zostały sparaliżowane przez zamieszki i strajki, jeśli nie słyszeliście o tym. Stary oficjalny plan nie został przyjęty zbyt przychylnie.

— A co z groźbą przejęcia kraju przez Sowietów? — dopytywała się matka.

— Szczerze powiedziawszy, sądzę, że Belgia bardziej martwi

się groźbą przejęcia kraju przez Afrykanów — powiedział wielebny Underdown. — Rosjanie to zagrożenie teoretyczne, podczas gdy Kongijczycy są tutaj i wygląda na to, że nie ma z nimi żartów. Mamy takie francuskie powiedzenie, jeśli twój bliźni chce ukraść ci kurę, zachowaj twarz i daj mu ją pierwszy.

— Czyli po prostu podadzą Kongijczykom niepodległość na tacy? — Matka pochyliła się nad głową ojca, kiedy mówiła. Można powiedzieć, anioł stróż chory na anemię z powodu niedoborów żelaza we krwi. — Frank, o jakich ty mówisz przywódcach, którzy zostali zaproszeni do Brukseli? Któż tutaj mógłby wystąpić w takiej roli?

— Wodzowie plemion, szefowie związków zawodowych i tak dalej. Podobno to była dość pstrokata zbieranina. Joseph Kasavubu wahał się między zbojkotowaniem całej imprezy a wystąpieniem w roli wodzireja. Lumumbę specjalnie na tę okazję wypuszczono z więzienia. Ustalili, że będą mieli parlamentarny system rządów. Wybory odbędą się w połowie maja, a święto niepodległości wyznaczili na trzynastego czerwca.

Matuzalem podkradł się pod krzew bugenwilli tuż za nami i mruczał „lubamubaluba”. Przysięgam, że wyglądał, jakby też przysłuchiwał się rozmowie.

— Belgia nigdy wcześniej nie była gotowa nawet dyskutować o niepodległości — oznajmił ojciec.

— To prawda, Frank — poparła go matka. Trzymała obie dłonie na włosach, odgarniała je do tyłu z twarzy jak obdarty ze skóry królik i wachlowała sobie kark. Bardzo nieładnie to wyglądało. — Mówiliśmy o tym z ludźmi ze Związku w Atlancie, zanim zdecydowaliśmy o przyjeździe tutaj. Powiedzieli, że doradcy polityczni w Belgii opracowali w zeszłym roku plan, który przewidywał niepodległość za... ile to było lat, Nathan, trzydzieści? Za trzydzieści lat!

Matka powiedziała to trochę podniesionym głosem i pan Burak sprawiał wrażenie trochę zażenowanego.

— Przykro mi, że muszę wam o tym przypominać, ale pora dzono wam, abyście nie przyjeżdżali — powiedział w końcu.

— To nie całkiem prawda — powiedziała mama. Spojrzała na ojca i pan Burak też spojrzał na ojca. Ojciec zgromił wzrokiem pana Buraka, który nie miał odwagi patrzeć mu w oczy. Cała historia była nie z tego świata.

Wreszcie pan Burak ośmielił się przemówić:

— Bez obrazy — powiedział. — Wasza praca tutaj z pewno ścią posiada błogosławieństwo Związku Misyjnego, Orleanna. — Może nie chciał ich obrażać, ale imię matki wymówił tak, jakby to było brzydkie słowo. — Dodałbym też, że budzi podziw wielu ludzi, którym brakuje... odwagi waszej rodziny. — Spojrzał na guzik rękawa, pewnie przyszyty do góry nogami albo



nie do pary przez kradnącego chusteczki boya. Potem zaczął obracać swoją mokrą pustą szklanką, która odcisnęła na stole wilgotne kółko.

Wszyscy czekali na to, co Frank Underdown zamierza jeszcze powiedzieć bez obrazy. Wreszcie wydusił z siebie:

— Ale wiecie, że wasza misja tutaj nie została usankcjonowana. — Spojrzał na matkę, po czym znów spuścił wzrok na wirującą szklankę.

— A cóż to znaczy?

— Sądzę, że wiecie. Nie otrzymaliście przeszkolenia językowego ani żadnego innego, któremu normalnie poddawani są misjonarze. Obawiam się, że Związek Misyjny traktuje waszą pensję jako swego rodzaju akt dobrej woli. Nie byłbym zdziwiony, gdyby ją cofnięto.

Tego już było za wiele! Mama huknęła pięścią w stół, łup!

— Jeśli myślisz, że moja rodzina mieszka w tej zapleśniałej piekielnej dziurze dla pięćdziesięciu dolarów miesięcznie! — Prawie że krzyknęła na niego. O jeny, gdyby ganek mógł się otworzyć i połknąć nas wszystkie...

— Orleanna — powiedział ojciec. (Głosem jak do psa, który nasikał na dywan).

— No nie, Nathan, na litość boską. Nie widzisz, że nas tu obrażają?

Zazwyczaj ojciec potrafi wypatrzeć zniewagę schowaną pod kamieniem w sąsiednim hrabstwie. Wszystkie zacisnęłyśmy pięści.

— Uspokójmy się wszyscy — powiedział pan Burak, próbując roześmiać się przyjaźnie. — Nikt nikogo nie obraża. Nie mamy żadnego wpływu na decyzje Związku Misyjnego, wiecie o tym. Jesteśmy tylko skromnymi urzędnikami pracującymi dla SBML i wielu innych organizacji, które wszystkie udzielają teraz podobnych porad. Przyjechaliśmy porozmawiać

z wami osobiście, bo jesteśmy głęboko zatroskani o wasze dawanie świadectwa Chrystusowi i o wasze wspaniałe dzieci.

Matka, która chwilę wcześniej powiedziała słowo „piekielny”, była w tej chwili o milion mil od dawania świadectwa Chrystusowi. Powiedziałabym, że wyglądała na osobę, która najchętniej zdzieliłaby kogoś w głowę kijem baseballowym. Odwróciła się plecami do Underdownów.

— Dlaczegoż pozwolili nam tu przyjeżdżać, skoro to było niebezpieczne? — spytała jakiegoś ptaszka za oknem.

Ojciec jeszcze się nie wypowiedział. Podejrzewałam, że nie wie, na kogo najpierw naskoczyć, na znieważających go Underdownów czy na swoją przeklinającą połowicę, więc tylko stał tam i wrzał jak dzbanek z kawą. Tyle że z dzbankiem z kawą zawsze wiadomo, co się z niego wyleje.

— Proszę cię, Orleanna — zaświergolił pan Burak. — To nie jest wina Związku Misyjnego. Nikt nie mógł przewidzieć, że decyzja o przyznaniu niepodległości nastąpi tak szybko.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

— A komuś przypadkiem nie płacą za przewidywanie takich rzeczy?

— Jak mogli to przewidzieć? — spytał, rozkładając szeroko ręce. — W zeszłym roku, kiedy de Gaulle przyznał niepodległość wszystkim koloniom francuskim, Belgowie upierali się, że to nie ma nic wspólnego z nami! Nikt nawet nie wsiadł na prom do Brazaville, żeby obejrzeć uroczystości. Belgowie dalej mówili o rządach ojcowską ręką.

— To ma być ojcowska ręka? — Mama pokręciła głową z boku na bok. — Wyzyskiwanie tych ludzi jak niewolników na plantacjach kauczuku, w kopalniach i nie wiem gdzie jeszcze?

Słyszeliśmy o tym, co się tu dzieje, myślisz, że jesteśmy tacy naiwni? Ludzie w tej wiosce mają do opowiedzenia takie historie, że włosy stają dęba. Jednemu starszemu mężczyźnie odrąbali w Coquilhatville rękę i uciekł, bryzgając krwią! Ojciec rzucił jej ostre spojrzenie.

— Naprawdę, Nathan. Rozmawiam z ich żonami. — Spojrzała na panią Burakową, która wyraźnie nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

— Nie mieliśmy pojęcia, co się tu dzieje — powiedziała mama spokojnie, jakby właśnie ułożyła sobie to wszystko w głowie. — Wasz król Baudouin karmi się mlekiem i miodem tej ziemi, a misyjnym lekarzom bez grosza przy duszy i takim bezinteresownym ludziom jak mój mąż każe zabiegać o najprostsze potrzeby. Czy tak rządzi ojciec? Do licha ciężkiego! I on się nie spodziewał, że ludzie mogą być niezadowoleni?

Zerkała to na pana Underdowna, to na ojca, jak wystraszone dziecko, niepewne, który z mężczyzn ma prawo spuścić jej lanie.

Pan Underdown spojrzał na mamę, jakby nie wiedział, skąd ona się tu wzięła—jak ten boy, który nie wiedział, skąd wziął się cukier pod jego koszulą. O jeny, ale się zdenerwowałam. Wszyscy dorośli w pokoju, łącznie z moją rzucającą mięsem matką i panią Underdown, która pocierała sobie szyję i dziwnie wykrzywiła podbródek, wyglądali jak pacjenci szpitala psychiatrycznego. Z wyjątkiem ojca, który oczywiście jest autentycznie psychiczny.

Wielebny Underdown machnął pięścią i moja matka skuliła się odruchowo. Ale on nie chciał jej bynajmniej uderzyć. On chciał tylko, aby wszyscy podziwiali jego rękę.

— Taki jest stosunek Belgii do Konga — powiedział. — Spójrzcie! Mocna dłoń, silnie zaciśnięta. Nikt nie mógł przewidzieć takiego powstania.

Matka wyszła tylnymi drzwiami z domu i poszła do chaty kuchennej. Nikt tego nie skomentował. Po chwili wróciła, przypomniawszy sobie zapewne, że nie może po prostu iść na dworzec i wsiąść w autobus do Atlanty.

— Co on mówi? — mama spytała pani Underdown. — Że

nie będzie żadnego okresu przejściowego? Choćby na szkolenie urzędników rządowych? Trzask-prask, Belgowie do domu i Kongijczycy sami wszystkim rządzą?

Nikt nie odpowiedział i bałam się, że matka zacznie znowu przeklinać króla albo płakać. Co za wstyd. Ale nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Przez chwilę szarpała się za włosy, a potem wypróbowała nową, ulepszoną wersję tonu „wyjaśnij my-to-sobie-do-końca”.

— Frank. Janna. Ani jeden z tych ludzi nie studiował na uniwersytecie ani nie miał praktyki urzędniczej za granicą. Tak nam powie dział Anatole. A wy mówicie, że z dnia na dzień zaczną prowadzić każdą szkołę, każdy urząd? A wojsko? Co z wojskiem, Frank?

Wielebny Underdown pokręcił głową.

— Ja mogę ci tylko powiedzieć to, co wiem, Orleanna.

Do domu, do domu, do domu, do domu, modliłam się. Jeżeli problem okaże się poważny, to po prostu będziemy musieli wrócić do domu. Możemy wsiąść do tego samolotu choćby jutro i wynosić się stąd, jeśli tylko on tak powie.

Ojciec podszedł do drzwi i stanął twarzą do ganku. Zadrżałam, zarazem mając nadzieję i bojąc się, że przeczytał mi myśli. Ale on nie patrzył na nas, tylko prosto przed siebie, aby podkreślić, że odwraca się plecami do Underdownów i mamy. Osunęłam się z powrotem w hamak i zajęłam skórkami, podczas gdy ojciec przemówił do ptaszków i innych stworzeń.

— Ani jednego odbiornika telewizyjnego w całym tym błogostawionym kraju — oznajmił palmom. — Może jedno radio na sto tysięcy mieszkańców. Nie ma telefonów. Gazet tyle, co kot napłakał, a procent umiejących czytać i pisać na zbliżonym poziomie. Ich wieczorne wiadomości to koncert bębnowy w sąsiedniej wiosce.

To wszystko była prawda. Prawie każdego wieczoru słyszeliśmy bębny z sąsiedniej wioski, Nelson powiedział, że to mówiące bębny. Ale kurza melodia, co można komuś powiedzieć za pomocą bębna? To chyba jeszcze bardziej beznadziejne niż te popiskiwanie alfabetem morsa, których używają w wojsku.

— Wybory! — powiedział ojciec. — Wstyd mi za ciebie, Frank. Dałeś się nabrać na bajeczkę. Człowieku, otwórz oczy. Ci ludzie nie potrafią nawet przeczytać prostego sloganu: Głosuj na mnie! Przecz z Shapoopiem! Wybory! Skąd by tutaj ludzie wie dzieli, że się w ogóle odbyły?

Nikt mu nie odpowiedział. My dziewczęta oczywiście ani pisnęłyśmy, tak samo jak palmy, bo wiedziałyśmy, że on mówi do mamy i Underdownów. Wiedziałam, co czują, bombardowani teleturniejowymi pytaniami ojca.

— Dwieście różnych języków — powiedział — używanych w granicach tak zwanego państwa wymyślonego przez Belgów na salonach. Równie dobrze można ogrodzić płotem owce, wilki i kury i kazać im, żeby były dla siebie braćmi. — Odwrócił się i nagle wyglądał jak zwykły kaznodzieja. — To nie jest naród, Frank, to jest wieża Babel, w której nie da się przeprowadzić wyborów. Jeśli ci ludzie w ogóle się zjednoczą, to tylko jeśli zjedną się jako Boże owieczki w miłości Chrystusa. Nic innego ich nie zmobilizuje. Nie polityka, nie pragnienie wolności — nie mają usposobienia ani intelektu do takich rzeczy. Wiem, że próbujesz nam powiedzieć, co słyszałeś, ale uwierz mi, Frank, ja wiem, co widzę.

Pani Burakowa odezwała się po raz pierwszy, odkąd skończyli z tematem tabletek przeciwko malarii.

— Orleanna, tak naprawdę przyjechaliśmy tutaj po to, aby wam powiedzieć, żebyście przygotowali się do wyjazdu. Wiem, że zamierzaliście zostać do piętnastego czerwca, ale musimy wysłać was do domu.

O jeny, moje serce zatańczyło czaczę, kiedy to usłyszało. Do domu!

Jeśli jest jakaś jedna rzecz, której ojciec najbardziej nie lubi, to kiedy mu się mówi, co ma robić.

— Mój kontrakt wygasa w czerwcu — oznajmił wszystkim zainteresowanym. — Zostaniemy do lipca, żeby pomóc się zainstalować wielebnemu Minorowi i jego żonie. Jestem pewien, że Ameryka nie poskąpi temu krajowi chrześcijańskiego miłosierdzia, niezależnie od wszystkich problemów, jakie będzie miała Belgia ze swoją ojcowską ręką.

— Nathan, Minorowie... — zaczął mówić Frank, ale ojciec wszedł mu w słowo.

— Dokonałem tu kilku cudów, powiem ci to wprost, i dokonałem ich w pojedynkę. Pomoc z zewnątrz nie jest mi potrzebna. Nie mogę tracić zdobytego terenu, uciekając jak tchórz, zanim nie przekazemy duszpasterstwa.

Ile potrwa przekazanie duszpasterstwa, chciałam wiedzieć. Tydzień dłużej? Miesiąc? Do lipca zostało prawie pół roku!

— Frank, Janna — powiedziała moja matka głosem, w którym słycać było strach. — Ja ze swej strony... — zaczęła i zawahała się. — Ze względu na dziewczęta chciałabym...

— Co byś chciała, Orleanna? — Ojciec wciąż stał w drzwiach, więc widziałyśmy jego twarz. Wyglądał jak chuligan, który szykuje się do rozwalenia

szczeniętom głów za pomocą cegły. — Co byś chciała powiedzieć ze swej strony? — spytał.

Pani Underdown rzucała mężowi zmartwione spojrzenia w stylu „Boże miły, ale się porobiło!”

— Może nie być żadnego przekazania, Nathan — powiedział pan Underdown niepewnie, wymawiając imię ojca tonem, jakie go używa się wobec warczącego psa, żeby go jeszcze bardziej nie rozsierdzić. — Minorowie zrezygnowali z kontraktu, za naszą poradą. Może upłynąć wiele lat, zanim ta misja znów zacznie działać.

Ojciec stał ze wzrokiem utkwionym w drzewach, nie dając po sobie poznać, czy słyszał słowa swojej biednej, wystraszonej żony i nowiny o Minorach. Ojciec prędeż pozwoliłby nam wszystkim umrzeć jedna po drugiej, niż słuchał kogokolwiek oprócz siebie samego. Minie wiele lat, zanim przyślą kogoś innego na tę misję, pomyślałam. Wiele lat! Proszę Cię, Boże, spraw, aby spadło na niego drzewo i przetrąciło mu czaszkę, żebyśmy mogli zaraz wyjechać!

— My sami przygotowujemy się do wyjazdu — wstawiła się za nami pani Underdown.

— Tak, tak — powiedział jej mąż. — Bezwzględnie. Pakujemy się i wyjeżdżamy. Przez wiele lat uważaliśmy Kongo za swój dom, jak wicie, ale sytuacja jest ekstremalna. Nathan, ty chyba nie doceniasz powagi sytuacji. Wszystko wskazuje na to, że ambasada ewakuuje się z Leopoldville.

— Sądzę, że doskonale doceniam — powiedział ojciec, nagle odwracając się w ich stronę. W spodniach khaki i białej koszuli z podwiniętymi rękawami wyglądał jak robotnik, ale uniósł jedną rękę nad głowę, tak jak to robi w kościele, kiedy udziela błogosławieństwa.

— Tylko Bóg wie, kiedy ktoś przyjedzie nas złuzować. Ale On to wie i wytrwamy w Jego zaszczytnej służbie.

Ada

Tak wiele zależy od czerwonych taczek, które stoją szkliste od deszczu koło białych kur. To jest cały wiersz napisany przez lekarza, który nazywa się William C. Williams. Kur białych koło deszczu od szkliste stoją które taczek czerwonych. Od zależy! Wiele tak. Więc?

Najbardziej mi się podoba nazwisko William C. Williams. Napisał ten wiersz, czekając na śmierć dziecka. Chyba chciałabym zostać lekarzem-poetą, jeśli dożyję dorosłości. Nigdy nie potrafiłam za bardzo wyobrazić sobie siebie jako dorosłej kobiety, a dzisiaj wydaje mi się to marnowaniem wyobraźni. Ale gdybym została lekarzem-poetą, to spędzałabym cały dzień z ludźmi, którzy nie potrafiliby mnie prześcignąć w biegu, a potem szłabym do domu i pisała o tym, co mi się podobało w ich wnętrznościach.

Wszyscy teraz czekamy, co się dalej stanie. Czekanie na śmierć dziecka nie jest w Kilandze bodźcem do napisania wiersza: za długo się człowiek nie naczeka. Prawie codziennie nowy pogrzeb. Pascal nie przychodzi już się bawić, bo zmarł jego starszy brat i Pascal jest potrzebny w domu. Mama Mwanza, ta

bez nóg, straciła dwójkę najmniejszych dzieci. Kiedyś nas dziwiło, że wszyscy mają tutaj tak dużo dzieci: sześć, osiem, dziesięć. Ale teraz nagle się wydaje, że wszyscy mają ich za mało. Zawijają ciała w warstwy płótna jak duży ser kozi i wystawiają przed dom pod łukiem pogrzebowym uwitym z liści palmowych i skowyczącego, słodkiego zapachu kwiatów jaśminu. Wszystkie matki przychodzą na kolanach. Wykrzykują i zawodzą długą, przejmującą pieśń rozedrganymi, miękkimi podniebieniami, jak niemowlęta umierające z głodu. Z załzawionymi twarzami wyciągają ręce do zmarłego dziecka, lecz nigdy go nie dosięgają. Kiedy już przestają próbować, mężczyźni niosą ciało w hamaku



rozpiętym na palikach. Kobiety idą za nimi, dalej zawodząc i wyciągając ręce. Mijają nasz dom po drodze do lasu. Ojciec Nasz zabrania nam patrzeć. Przeszkadzają mu nie tyle zwłoki, co nie zbawione dusze. Na wielkiej tablicy wyników Tam w Górze każda liczy mu się jako punkt ujemny.

Jak twierdzili moi nauczyciele z baptystowskiej szkółki niedzielnej, dziecko nie zostaje wpuszczone do nieba za sam fakt, że urodziło się w Kongu, zamiast, powiedzmy, w północnej Georgii, gdzie mogłoby regularnie uczęszczać do kościoła. To była rozstrzygająca kwestia w moim własnym kulawym marszu do zbawienia: wstęp do nieba zyskują ci, którzy wyciągną szczęśliwy los na loterii. Kiedy miałam pięć lat, podniosłam w szkółce niedzielnej moją zdrową rękę i zużywając miesięczny zapas słów, zwróciłam uwagę na ten problem pannie Betty Nagy. To, czy ktoś urodzi się w pobliżu jakiegoś pastora, to kwestia wyłącznie przypadku, argumentowałam. Czy to możliwe, żeby nasz Pan zdawał kwestię zbawienia na ślepy przypadek? Czy naprawdę skazuje niektóre dzieci na wieczne męki tylko dlatego, że przypadkiem urodziły się poganami, a innych nagradza za przywilej, na który niczym sobie nie zasłużyły? Czekałam, aż Lea i inni uczniowie podejmą tę oczywistą kwestię i zaleją nauczycielkę niepowstrzymanym potokiem słów. Ku mojej konsternacji nie uczynili tego. Nawet moja siostra bliźniaczka, która powinna mieć coś do powiedzenia na temat niezasłużonych przywilejów. To było jeszcze zanim Lea i ja zostałyśmy zdiagnozowane jako dzieci szczególnie uzdolnione. Ja wciąż byłam Adą Matołkiem. Błada Ada zawada, regularnie tłuczona naparstkiem w głowę. Panna Betty postawiła mnie do końca lekcji w kącie, gdzie miałam modlić się o swojaduszę, klęcząc na surowym ryżu. Kiedy wreszcie wstałam z ostrymi ziarenkami powciskanymi w kolana, stwierdziłam ku swojemu zaskoczeniu, że nie wierzę już w Boga. Wyglądało na to, że inne dzieci wciąż wierzą. Kiedy kuśtykałam z powrotem na miejsce, odwracały oczy od moich kropkowanych kolan grzesznicy. Czy naprawdę ich własny stan łaski

nie budził w nich żadnych wątpliwości? Niestety, brakowało mi ich pewności siebie. Spędzałam więcej czasu niż przeciętne dziecko na rozważaniach o nieszczęśliwych wypadkach narodzin.

Od tego dnia przestałam powtarzać jak papuga słowa „Boże drogi!” czy „Na miły Bóg!”, a zaczęłam wymyślać różne surrealistyczne przeróbki, w rodzaju „Zboże rogi!” albo „Nabiły mu!”

Teraz znalazłam język jeszcze bardziej cyniczny od mojego: w Kilandze słowo nzolo posiada przynajmniej trzy znaczenia. Może znaczyć „najukochańszy”, ale tak samo nazywa się gruby żółty robak bardzo ceniony jako przynęta na ryby, jak również rodzaj małego ziemniaka, który od czasu do czasu pojawia się na targu, zawsze sprzedawany w kiściach stłoczonych wzdłuż korzenia jak węzły na sznurku. Kiedy więc na całe gardło śpiewamy w kościele Tata Nzolo!, do kogo wołamy?

To chyba musi być bóg małych ziemniaków. Ten inny Najukochańszy, który mieszka w północnej Georgii, wyraźnie nie zwraca większej uwagi na dzieci w Kilandze. Wszystkie umierają. Umierają na kakakaka, chorobę, która zamienia ciało w czarny dzbanek, przechyla go i wylewa całą płynną zawartość. Ulewne deszcze przyniosły tę chorobę z nurtem strumieni i rzek. Jak się niedawno zorientowałyśmy, każdy w tej wiosce wie więcej od nas na temat higieny. My myłyśmy się i pływałyśmy w dowolnym miejscu strumienia, a tu się okazuje, że istnieją na ten temat przepisy: pierz ubranie niżej, w miejscu, gdzie leśny strumień wpada do krokodylowej rzeki. Wodę do picia nabieraj nad wioską. W Kilandze są to sprawy sakramentalne, jak chrzest i komunie. Afrykańscy bogowie regulują nawet kwestię oddawania stolca: zarządzili, abyśmy korzystały jedynie z zarośli, które poświęcił na ten cel Tata Kuvudundu — i uwierzcie mi, wybiera zarośla mocno oddalone od wody pitnej. Nasz wychodek stał chyba na neutralnym terytorium, ale w kwestii kąpania się i prania bardzo długo tkwiłyśmy w mrokach niewiedzy. Obraziłyśmy wszystkie

najstarsze bóstwa, na wszelkie możliwe sposoby. Tata Nzolo!, śpiewamy, a ja zastanawiam się, jakie to nowe, odrażające grzechy popełniamy każdego dnia, trzymając głowy wysoko w uświęconej ciemności, podczas gdy nasi sąsiedzi rozdziawiają przerażeni usta, dyskretnie zasłaniając je dłońmi.

Nelson mówi, że to nasze występki sprowadziły porę deszczową. Faktycznie leje niemiłosiernie, sam Noe byłby przerażony. Obecna pora deszczowa zlekceważyła wszelkie reguły. Przyszła za wcześnie, trwała za długo i chlustała taką ilością wody, że pagórki manioku rozpląnęły się i bulwy odpadły od nadgniłych kłaczy, a w końcu ulewa przyniosła nam kakakaka. Bo nawet jeśli wszyscy oddają stolec na sposób, który podoba się bogom, to są wioski w górę rzeki od nas. Dół rzeki jest zawsze czyjaś górą rzeki. Ostatni będą pierwszymi.

Teraz burze z piorunami skończyły się. Pogrzeby wysychają równie powoli jak kałuże. Matuzalem siedzi cierpiący i nieruchomy na drzewie awokado, miota na wszystkie strony niespokojnym spojrzeniem, nie przygotowany na ciężkie brzemie wolności. Beto nki tutasala?, mruczy czasem upiornym głosem Mamy Tataby: Co wy robicie? To pytanie mógłby zadać każdy. W tej dziwnej ciszy nasza rodzina nie wie, co robić.

Wszyscy inni sprawiają wrażenie jednocześnie oszołomionych i zabieganych, jak ogłuszone owady, które wychodzą po burzy ze swych kryjówek. Kobiety ubijają swe sizalowe maty i obsadzają na nowo pola, oplakując jednocześnie zmarłe dzieci. Anatole chodzi po domach naszych sąsiadów, składając kondolencje rodzinom swoich zabranych przez chorobę uczniów. Widziałam również, że przygotowuje ich do wyborów i Niepodległości. To będą wybory kuchenne: ponieważ nikt nie umie czytać, każdemu z kandydatów przypisany jest symbol i ludzie ci mądrze postanowili, że chcą być kojarzeni z użytecznymi przedmiotami

— nożem, butelką, zapalkami, garnkiem. Anatole wystawił przed szkołą kolekcję wielkich glinianych mis, a obok każdej z nich nóż, butelkę albo zapalki. W dniu wyborów każdy mężczyzna ma wrzucić jeden kamyczek do którejś z mis. Kobiety stale powtarzają swym mężom: „Nóż! Butelka! Pamiętaj, co ci mówię!” Mężczyźni, którym przysługuje przywilej głosowania, wydają się najmniej zainteresowani wyborami. Najbardziej rozentuzjasmowane są dzieci: ćwiczą wrzucanie kamyczków do mis z drugiego końca podwórza. Anatole opróżnia misy wieczorem każdego dnia. Wzdycha, kiedy kamyczki spadają na ziemię, tworząc nowe konstelacje. Dziecięce głosowanie na niby. Pod koniec dnia wyborów synowie Taty Ndu włożą kamyczki do worków razem z symbolem danego kandydata — nożem, butelką lub zapalkami

— i zawiozą je pirogą w górę rzeki aż do Banningville. Kamyczki z całego Konga będą tego dnia podróżowały w górę rzeki. Można powiedzieć, że wyborcy poruszają ziemię. Wypalana piroga wydaje się zbyt kruchym ptakiem, by udźwignąć taki ciężar.

Toorlexa Nebee, Eeben Axelroot, również podróżuje. Nie traci czasu. Ostatnio ciągle lata w górę rzeki Kwilu gdzieś na południe. Katanga i Kasai, mówi jego radio. Tam, gdzie są kopalnie. Zatrzymuje się tutaj raz na tydzień na tak długo, żeby zdążyć zapłacić kobietom nędzne grosze za ich maniok i figi rajskie, zostawia je skowyczące jak żałobnice na pogrzebie i odlatuje ze wszystkim, co da się wpakować do worka, póki jeszcze może. Wyobrażam sobie, że Belgowie i Amerykanie, którzy kierują plantacjami kauczuku i kopalniami miedzi, używają większych worków.

Lekarzem-poetą w naszej wiosce jest chyba nganga Ku vudundu. Wyjątkowy czubek, nazywa go Ojciec Nasz — czubek, rzecz, którą można stępić. Kocioł przygania garncowi. Nganga Kuvudundu pisze wiersze tylko dla nas. Tak wiele zależy od białych kości kurczaka w kalebasie zostawionej w kałuży deszczu pod naszymi drzwiami.

Widziałam, jak ją tam zostawił. Wyglądałam przez okno i on odwrócił się na chwilę, spojrzął mi prosto w oczy. Zobaczyłam w nich życzliwość i wiarę, że on naprawdę chce nas ochronić. Ochronić przed rozgniewanymi bogami i przed naszą własną głupotą, odprowadzając nas stąd.

Bongo bango bingo. Taka jest historia Konga, którą opowiadają teraz w Ameryce: opowieść o kanibalach. Znam tego rodzaju historie — samotne spojrzenie z góry na głodnych; głodne spojrzenie z góry na zdychających z głodu. Winowajcy winią pokrzywdzonych. Ludzie o wątpliwej moralności mówią o kanibalach, skończonych nikczemnikach, grzesznikach i potępionych. Dzięki temu wszyscy czują się dużo lepiej. Mówi się zatem, że Chruszczow tańczy tutaj z ludożerczymi krajowcami, uczy ich nienawidzić Amerykanów i Belgów. To musi być prawda, bo w przeciwnym razie skąd ci biedni Kongijczycy by wiedzieli, jak się nienawidzi Amerykanów i Belgów? W końcu mamy taką białą skórę, jemy ich jedzenie w naszym dużym domu i rzucały im kości. Kości, które leżą jak popadnie na trawie, można z nich wywróżyć naszą przyszłość. Dlaczego Kongijczycy mieliby wyczytać z nich naszą zgubę? W końcu zaproponowaliśmy, że nakarmimy krokodyły ich dziećmi, żeby poznały Królestwo, Moc i Chwałę.

Wszystkie oczy Ameryki wiedzą teraz, jak wygląda Kongijczyk. Tańcząca skóra i kości, wargi wywinięte do góry jak muszle ostryg, człowiek, który liczy się za nic, z kością udową we włosach.

Nganga Kuvudundu ubrany na białą, bez kości we włosach, stoi na skraju naszego podwórza. Jedenastopalcy. W kółko powtarza koniec swego imienia: słowo dundu. Dundu to rodzaj antylopy. Albo mała roślina z gatunku Weronia. Albo pagórek. Albo cena, którą trzeba zapłacić. Tak wiele zależy od intonacji. Jedną z tych rzeczy czeka naszą rodzinę. Nasze baptystowskie uszy z Georgii nigdy nie uchwycą różnicy.

Rachel

Ojciec poleciał z Eebenem Axelrootem do Stanleyville, pewnie chciał zobaczyć, jak wygląda drugi koniec Konga. I zobaczył: dokładnie tak samo jak pierwszy. Drugi powód jego wyprawy to tabletki chininy, które prawie nam się skończyły, jaka szkoda. Tabletki chininy są tak paskudne, że włosy mogą od tego zacząć wypadać. Przypadkiem wiem, że Ruth May nie zawsze połyka swoje: raz widziałam, jak schowała za zębami, kiedy otworzyła szeroko usta, żeby pokazać mamie, że zażyła. Potem wypluła do ręki i przyklepiła do ściany za swoim łóżkiem. Ja połykam. Jeszcze tego mi potrzeba, żeby wrócić do domu z jakąś okropną chorobą. Wystarczy, że mam szesnaście lat i jeszcze się nigdy nie całowałam, po co jeszcze zarazić się jakimś paskudztwem? Wolę nawet o tym nie myśleć.

Ojciec jest wściekły na Underdownów. Normalnie przysyłają wszystkie podstawowe produkty, których ich zdaniem będziemy potrzebowali przez miesiąc (uwierzcie mi, że jest tego niewiele), ale tym razem przysłali list: „Przygotujcie się do wyjazdu. Wysyłamy specjalny samolot Misji, który ewakuuje was 28 czerwca. Wyjeżdżamy z Leopoldville w następnym tygodniu i załatwiliśmy, żebyście pojechali z nami aż do Belgii”.

A zatem koniec? Od tej pory rodzina Price'ów żyła długo i szczęśliwie? Nigdy w życiu. Ojciec chyba sobie zafiksował, że musimy tu zostać już na zawsze. Mama codziennie próbuje mu tłumaczyć, że naraża życie swoich dzieci, ale on nie chce słuchać swojej żony, nie mówiąc już o najstarszej córce, która w ogóle się nie liczy. Wrzeszczałam i kopałam meble, aż odpadła jedna noga od stołu, urządziłam taką chryję, że słychać było chyba aż w Egipcie. No bo co, miałam się poddać? Zostać tutaj? Kiedy wszyscy inni wracają do domu, balangują i piją colę? To przecież czysta żywa niesprawiedliwość.

Ojciec wrócił ze Stanleyville ze zjeżonym włosom, nafaszerowany najświeższymi wiadomościami. Zrobili ponoć te słynne wybory i zwyciężył w nich człowiek, który ma na imię Patrice,

choć trudno w to uwierzyć. Patrice Lumumba. Ojciec powiedział, że partia Lumumby zdobyła w nowym parlamencie trzydzieści pięć mandatów na ponad sto, głównie dzięki swemu wrodzonemu zwierzęcemu magnetyzmowi. A także dzięki dużej liczbie ludności swego rodzinnego miasta. Skojarzyło mi się to z wyborami przewodniczącego rady uczniowskiej w ogólniaku w Bethlehem: kto ma największą klikę kumpli, ten wygrywa. Nie żeby córka pastora miała jakąkolwiek szansę, kurza melodia. Choćby nie wiadomo, ile flirtowała, grała równiaczę i podciągała spódnicę do pępka w autobusie, oni i tak uważają ją za sztywniaczkę. Spróbuj w tych warunkach załapać się na chłopaka: twoje szanse są minimalistyczne.

A zatem pan Patrice będzie teraz premierem Konga, które nie będzie już Kongiem Belgijskim, tylko Republiką Konga. Sądźcie, że ktokolwiek w tym supernowoczesnym mieście, w którym mieszkamy, cokolwiek zauważy? Oczywiście wszyscy będą musieli pojechać do stolicy, żeby sobie zmienić prawa jazdy. To znaczy w roku dwumilionowym, kiedy doprowadzą tu drogę i ktoś kupi sobie samochód.

— Czy to ten, o którym mówią, że jest komunistą? — spytała mama.

— Jeśli nie zauważyłaś, to znaczy, że nie jest — powiedział ojciec. To jedyne powiedzenie z Missisipi, które zerznął od matki. Pytamy się jej na przykład: „Wyprasowałaś mi lnianą sukienkę, tak jak cię prosiłam?” A ona na to: „Jeśli nie zauważyłaś, to znaczy, że nie wyprasowałam”. U nas w Georgii potrafiła czasem grać bezczelną. To znaczy, kiedy ojca nie było w domu.

Ojciec powiedział, że kiedy siedział w Stanleyville u fryzjera, usłyszał w radio, jak przyszły premier Lumumba mówi o neutralnej polityce zagranicznej,

Jedności Afrykańskiej i temu podobnych bredniach. Mówi, że Patrice Lumumba i inni wybrani Kongijczycy handlują kurami i jajami, żeby ustanowić rząd, który poprze cały parlament. Jednak problem w tym, że wszyscy z nich dalej najbardziej lubią swoje własne plemiona i swoich własnych wodzów. Potrafię sobie wyobrazić salę parlamentu: ponad setka Tatów Ndu w szpiczastych czapkach i okularach bez szkieł,

wszyscy oganiają się od much magicznymi różdżkami ze zwierzęcych ogonów, gorąco jak w piecu, wszyscy udają, że nie zwracają na siebie uwagi. Zajmie im pewnie ze sto lat, zanim ustalą, kto ma gdzie siedzieć. Już mi wystarczy. Chcę tylko wrócić do domu i zacząć zeskrobywać ze skóry wrośnięte głęboko nieczystości Konga.

Ruth May

Mama potrzebuje paru łyków energii instant. Kiedy ojciec poleciał samolotem z Leą, położyła się do łóżka i nie chce wstać.

To nie był samolot pana Axelroota. On przylatuje i odlatuje, kiedy mu się podoba. To był inny samolot, taki sam mały, ale żółty. Kierowca był w białej koszuli i miał we włosach brylantynę, czuć było. Pachniał czystością. Miał gumę Experiment i dał mi jedną. Był biały i mówił po francusku. Czasem niektórzy z nich mówią po francusku, nie wiem dlaczego. Wszystkie ubrałyśmy buty i poszłyśmy popatrzeć, jak samolot ląduje. Muszę nosić białe buty jak niemowlę, choć nie jestem już niemowlę. Kiedy dorosnę, mama zostawi sobie moje buty. Zamierza zamienić je w brązowy błyszczący metal i trzymać na stole w Georgii koło mojej fotografii jako niemowlęcia. Zrobiła tak ze wszystkimi innymi, nawet z Adą, która właściwie ma tylko jedną stopę. Druga jest zadarta do góry i but śmiesznie na niej wygląda. Nawet tego powykrzywianego buta mama zamieniła w metal i zachowała, więc na pewno nie wyrzuci moich.



Mama powiedziała, że ten samolot to jest specjalny samolot czartowy, który przysłali po nas Underdownowie, żebyśmy zabrali wszystkie potrzebne rzeczy i zmykali stąd. Ale ojciec się nie zgodził. Tylko on i Lea wsiedli do samolotu i nic nie zabrali, bo zamierzają tu wrócić. Rachel odezwała się do niego niegrzecznie prosto w twarz i próbowała wskoczyć do samolotu ze swoimi rzeczami! Odepchnął ją. Rzuciła rzeczy na ziemię i powiedziała, dobra, w takim razie idę utopić się w rzece, ale wiedzieliśmy, że tego nie zrobi. Bałaby się, że się pobrudzi.

Ady też nie było, została w domu. Tylko ja i mama stałyśmy na lądowisku i patrzyłyśmy, jak samolot odlatuje. Ale mamie nie chciało się nawet podskoczyć i pomachać na pożegnanie. Stała z coraz bardziej smutną miną, a kiedy samolotu nie było już widać, poszła do domu i położyła się do łóżka. Było rano, nie wieczór. Nawet nie pora dżemki.

Powiedziałam Rachel i Adzie, że potrzebujemy 7Up dla mamy. Rachel parodiuje reklamy z Ameryki i robi też tą: „Wycięty? Zdechnięty? Potrzebujesz postawić się na nogi? 7Up to największe odkrycie wszech czasów w dziedzinie energii instant. W ciągu dwóch do sześciu minut poczujesz się jak nowo narodzony”.

Jednak dzień minął, zrobiło się ciemno, a mama wciąż się nie czuje jak nowo narodzona. Rachel nie chce ze mną rozmawiać o tym, skąd wziąć 7Up. Siedzi na ganku i patrzy na dziurę w niebie, w której zniknął samolot. A Ada w ogóle nie mówi, bo taka już jest. Nelson przyniósł nam kolację, ale kręci się koło domu, jakby w środku była awantura, a on nie chciał z tym mieć nic wspólnego. Jest więc bardzo cicho. Próbowałam się bawić, ale nie miałam nastroju. Weszłam do środka i wzięłam mamę za rękę, ale opadła z powrotem. Potem wśliznęłam się jej do łóżka i teraz jest nas dwie, które nie mają ochoty już nigdy wstawać.

Lea

Mój ojciec i ja pogodziliśmy się. Pozwolił mi polecieć razem z nim do Leopoldville, gdzie zobaczyliśmy, jak tworzy się historia. Oglądaliśmy uroczystości niepodległościowe z gigantycznej zardzewiałej barki przycumowanej do brzegu rzeki Kongo. Był na niej taki dziki tłum rozpychających się, skłębionych ludzi, że pani Underdown powiedziała, iż najprawdopodobniej wszyscy pójdziemy na dno jak „Tkanie”. To było tak ważne wydarzenie, że miał się zjawić sam król belgijski Baudouin. Wiem, że to dziecinne, ale bardzo się podnieciłam, kiedy mi to powiedziała. Chyba wyobrażałam sobie kogoś w koronie i szkarłatnej todze

przybranej gronostajem, jak w książeczkach dla dzieci z obrazkami. Jednak biali ludzie, którzy siedzieli na podium, byli wszyscy ubrani tak samo, w białych mundurach z pasami, szablami, frędzlami na ramionach i w białych wojskowych czapkach z płaskim denkiem. Ani jednej korony. Kiedy czekali na swoją kolejkę do przemawiania, pod pachami mundurów wykwitwały im ciemne plamy potu. A kiedy było już po wszystkim, nie potrafiłam powiedzieć, który z nich był królem.

Biali mężczyźni mówili głównie o wspaniałych czasach panowania poprzedniego króla Belgii, Leopolda, który uczynił Kongo tym, czym jest dzisiaj. Dowiedziałam się tego wszystkiego z przekładu ściskającej mnie za rękę pani Underdown, bo to wszystko było po francusku. Nie przeszkadzało mi, że trzyma mnie za rękę. Jestem tego samego wzrostu co ona i nie boję się wszystkiego tak jak ona, ale mogłybyśmy się zgubić w tym tłumie. A ojciec za żadne skarby świata nie wzięłby mnie za rękę — on taki nie jest. Pani Underdown nazywała mnie biednym, zagubionym jagniątkiem. Nie wierzyła własnym oczom, kiedy ojciec i ja przylecieliśmy sami. Szczeka jej opadła na piersi. Później, kiedy byłyśmy same, powiedziała mi, że jej zdaniem ojciec nie jest przy zdrowych zmysłach i powinien pomyśleć o swych biednych dzieciach.

Powiedziałam jej, że mój ojciec wie, co jest najlepsze w oczach Pana Boga, i że możliwość służenia Mu to dla nas przywilej. Osłupiała, kiedy to usłyszała. To zrezygnowana kobieta i nie mogę powiedzieć, żebym czuła do niej szacunek. Wyjeżdżają jutro do Belgii, a my wracamy do Kilangi, żeby bronić twierdzy, dopóki nie zluzuje nas inna rodzina. Taki jest plan ojca. Wielebny Underdown udaje, że nie jest na nas wściekły.

Po przemówieniach króla i innych białych zaprzysiężyli Patrice'a Lumumbę jako nowego premiera. Od razu wiedziałam, który to jest: chudy, dostojny mężczyzna w prawdziwych okularach i z małą, spiczastą bródką. Kiedy wstał, żeby przemówić, wszyscy umilkli. W nagłej ciszy słychać było, jak wielka rzeka Kongo obmywa brzegi. Nawet ptaki sprawiały wrażenie speszonych. Patrice Lumumba uniósł lewą dłoń i wydawało się, że urósł do trzech metrów. Oczy jaśniały mu białą wokół czarnych źrenic. Uśmiech miał trójkątny, zadarty po bokach do góry i schodzący się spiczasto w dół, jak jego broda. Widziałam jego twarz bardzo wyraźnie, choć staliśmy daleko.

— Panie i panowie Kongijczycy — powiedział — którzy walczyliście o uzyskaną dzisiaj niepodległość, pozdrawiam was!

Milczący tłum zaczął wznosić gromkie okrzyki:

— Je vous salue! Je vous salue encore!

Patrice Lumumba poprosił nas, abyśmy na zawsze zachowali w sercach ten dzień, 30 czerwca 1960 roku, i wyjaśnili dzieciom, jakie jest jego znaczenie. Wiedziałam, że wszyscy ludzie na barce i na zatłoczonych brzegach rzeki zrobią to, o co ich poprosił. Nawet ja, jeśli będę kiedyś miała dzieci. Zawsze, kiedy przerywał, żeby zaczerpnąć tchu, ludzie krzyczeli i wymachiwali rękami.

Najpierw mówił o naszym równorzędnym partnerze, Belgii. Potem powiedział inne rzeczy, które zaniepokoiły panią Underdown.

— Naszym losem było osiemdziesiąt lat rządów kolonialnych — przetłumaczyła, a potem urwała. Puściła moją rękę, wytarła ją w spodnie, znowu mnie chwyciła.

— Co on mówi? — spytałam. Nie chciałam uronić ani słowa z tego, co mówił Patrice Lumumba. Jego oczy zdawały się płonąć. Widziałam kaznodziejów, którzy mówili w ten sposób na spotkaniach odnowy religijnej, wznoszącymi się głosami, w których niebo mieszało się z gniewem. Ludzie skandowali coraz głośniej.

— Mówi, że zdewastowaliśmy ich kraj i wykorzystywaliśmy Murzynów jako niewolników, dopóki oni nam na to pozwalali — powiedziała.

— Naprawdę tak robiliśmy?

— No, może nie my, tylko ogólnie Belgowie. Jest bardzo zły o te wszystkie miłe rzeczy, które wcześniej powiedziano o królu Leopoldzie. Który rzeczywiście był niezłym ziółkiem, przyznaję.

— O — powiedziałam. Przymrużyłam oczy, żeby lepiej skupić wzrok na Patrisie Lumumbie i próbowałam zrozumieć jego słowa.

Zazdrościłam Adzie, która z większą łatwością uczyła się języków, niż wiązała buty. Żałowałam, że się bardziej nie przykładałam.

— Mieliśmy les maisons magnifiques dla białych w miastach i rozlatujące się domy dla Murzynów. — To akurat bez problemu zrozumiałam. Miał rację, sama widziałam, kiedy poszliśmy do Underdownów. Leopoldville to sympatyczne miasteczko z eleganckimi domami z werandami i ukwieconymi ogrodami przy ładnych brukowanych ulicach dla białych, a dookoła tego całe mile zapyłonych, sypiących się nor dla Kongijczyków. Murzyni budują domy z patyków, blachy i wszystkiego innego, co im wpadnie w rękę. Ojciec powiedział, że to sprawka Belgów i że Amerykanie nigdy by nie tolerowali

takiego nierównego traktowania. Mówi, że po Niepodległości Ameykanie przyślą zagraniczną pomoc, żeby miejscowi mogli sobie zbudować lepsze domy. W domu Underdownów są puszyste czerwone perskie dywany, krzesła i otomany z identycznymi obiciami, a nawet radio. Na kredensie z ciemnego drewna stoi serwis do herbaty z prawdziwej porcelany. Wczoraj wieczór patrzyłam, jak pani Underdown pakuje wszystkie kruche filiżanki, jęcząc przy tym, że będzie musiała zostawić mnóstwo rzeczy i w czyje to wpadnie ręce. Kiedy jedliśmy kolację, boy wnosił kolejne dania, aż myślałam, że pęknę: prawdziwe mięso, pomarańczowe sery zawinięte w czerwony воск, żółte szparagi z puszki. Po stu białych posiłkach złożonych z fufii, chleba, Potato Buds i mleka Carnation to było dla mnie za wiele smaku i koloru. Przeżuwałam i połykałam powoli, było mi niedobrze. A po kolacji — ciastka czekoladowe z Francji! Dwaj synowie Underdownów, wysocy, obcięci na rekruta chłopcy, którzy wiercili się w ciałach dorosłych mężczyzn, porwali garście ciasteczek i zwiali od stołu. Ja wzięłam tylko jedno, ale nie mogłam przekonać swoich ust, żeby je zjadły, choć miałam na nie wielkiego smaka. Chudy boy Underdownów pocił się w wyprasowanym białym fartuchu, ganiając między kuchnią i jadalnią, żeby nas obsłużyć. Pomyślałam o kilogramie cukru, który próbował przemycić pod koszulą. Mając wszystkiego potąd, dlaczego pani Underdown nie mogła mu darować tego kilograma cukru? Czy zamierza zabrać cały cukier z powrotem do Belgii?

Jutro jej nie będzie, a ja zostanę, pomyślałam do siebie, kiedy stałyśmy na barce przycumowanej do brzegu rzeki Kongo i patrzyłyśmy na historię. Koło bosych stóp ludzi w pobliżu nas przebiegł szczur, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Dalej wznosili okrzyki. Patrice Lumumba na chwilę przestał mówić, żeby zdjąć okulary i wytrzeć czoło białą chusteczką. Na jego ciemnym garniturze nie widać było plam pod pachami, ale twarz mu się świeciła.

— Niech mi pani powie, co on mówi — prosiłam panią Underdown.  
— Doszłam dopiero do czasu przeszłego dokonane go w moim podręczniku do francuskiego.

Pani Underdown po chwili ustąpiła i przetłumaczyła mi niektóre zdania. Duża część pozostałych docierała do mnie w przebłyskach zrozumienia, jakby Patrice Lumumba mówił językami, a na moje uszy spłynął ten sam strumień łaski.

— Moi bracia — powiedział. — Mes freres, nasze ciała i dusze cierpiały w kolonialnym ucisku, lecz powiadamy wam, to wszystko już za nami. Razem zrobimy miejsce dla sprawiedliwości i pokoju, dostatku i grandeur. Pokażemy światu, czego potrafi dokonać homme noir, kiedy walczy o wolność. Uczynimy z Kon ga serce światłości dla całej Afryki.

Myślałam, że ogłuchnę od ryku, jaki się rozległ.

Ada

Oróip enowrezc ondej. Tak wiele zależy od jednego czerwonego pióra, które zobaczyłam, kiedy wyszłam z wychodka.

Jest teraz wczesny ranek, z różowym jak grzebień koguta niebem i zadymionym powietrzem. Długie cienie nożycują drogą stąd donikąd. Dzień Niepodległości. Trzynasty lipca.

Czy tutaj ktokolwiek wie o nowej wolności? Te kobiety, które kucają z szeroko rozchylonymi kolanami w długich zawojach, wrzucają garście papryczek i ziemniaczków na patelnie syczące na ogniu? Te dzieci, które z zapalem bądź apatycznie, zależnie od

pisanego im przeznaczenia, oddają stolec w krzakach? Jedno czerwone pióro symbolizujące s'więto. Nikt oprócz mnie jeszcze go nie widział.

Kiedy panna Dickinson mówi: „»Nadzieja« jest tym upierzonym Stworzeniem"\*, zawsze myślę o czymś okrągłym — piłce do jednej z gier, w których nigdy nie wezmę udziału — nabitej piórami jak pomarańcza goździkami. Wyobrażałam ją sobie wiele razy — Nadzieja! — zastanawiając się, w jaki sposób miałabym ją złapać jedną ręką, gdyby zleciała do mnie z nieba. Teraz stwierdzam, że już spadła i kawałek leży koło naszego wychodka, jedno czerwone pióro. Dla uczczenia tego faktu pochyliłam się, aby je podnieść.

W wilgotnej trawie zobaczyłam czerwoną rurkę jeszcze jednego pióra i sięgnęłam po nią. Idąc za tropem, znalazłam kępy czerwonych i szarych piór, wciąż przyczepionych do chrząstek i skóry, rozpostartych jak palce. Puchate, blade pióra piersi, kosmate wzgórki. Matuzalem.

Nareszcie Dzień Niepodległości, dla Matuzalema i dla Konga. „O, Panie piór, wybaw mnie dnia tego". Po całym życiu zamkniętym w klatce przed lataniem i prawdą przychodzi wolność. Po długich latach przygotowań do niewinnej śmierci świat nareszcie należy do nich. „Zechciej obronić mnie przed mięsożercami, którzy rozszarpaliby mnie na skrzydełka, nóżki i podroby"!

Matuzalem, na którego zaczęła się cybeta, szpieg, oko, głód wyższej potrzeby, nareszcie został wyswobodzony z niewoli. Oto, co pozostawia światu: szare i szkarłatne pióra porzucane na wilgotnej trawie. Tylko tyle, demaskujące serce, opowieść o mięsożercy. Nic, czego nauczył się w domu swego pana. Same pióra, bez piłki Nadziei w środku. Nareszcie nareszcie pióra i żadnych słów.

\* Emily Dickinson, 700 wierszy, wybór, przekład i wstęp Stanisław Barańczak, ARKA, Kraków 1990, s. 43.

KSIĘGA III KSIĘGA SĘDZIÓW

Żebyście nie czynili przymierza z obywatelami tej ziemi, ale żebyście ołtarze ich powywracali... Żebyście mieli nieprzyjaciele, a bogowie ich byli wam na upadek.

Księga Sędziów 2,2-3

Orleanna Price

Sanderling Island, Georgia

Posłuchaj, mała bestio. Osądź mnie, jak chcesz, ale najpierw posłuchaj. Jestem twoją matką. To, co się z nami stało, mogło się przytrafić każdemu, każdej matce. Nie jestem pierwszą kobietą na świecie, która widziała swoje córki opętane. Od początku świata istnieją tacy ojcowie jak Nathan, którzy nie potrafią inaczej, jak tylko widzieć w córce swoją własność, kawałek ziemi, który się uprawia, orze, spryskuje potworną trucizną. Jakimś cudem to sprawia, że córki rosną. Wyciągają jasne, smukłe łodyżki swych dążeń, jak słoneczniki z ciężkimi głowami. Można je osłaniać swym ciałem i duszą, próbując wchłonąć ten makabryczny deszcz, lecz one nie przestaną rwać się ku niemu. Bez ustanku będą się gnać ku jego światłu.

Owszem, żona może w duszy obrzucać takiego mężczyznę wszystkimi obelgami, jakie posiada w swym repertuarze, lecz nie

może miotać kamieniami. Kamień przeleciałby przez niego na wskroś i uderzyłby dziecko uczynione na jego obraz i podobieństwo, wyrywając mu oko, język lub wyciągniętą dłoń. Na nic by się to zdało. Nie istnieje broń do tej walki. Istnieją niezliczone prawa ludzkie i prawa natury, lecz żadne z nich nie działa na korzyść kobiety. Jej ramiona robią się w stawach jak wata, serce robi się puste. Zdaje sobie sprawę, że to, co kocha bardziej od wszystkiego innego w świecie, wyrosło z diabelskiego nasienia. I to ona pozwoliła mu je posiać.



Wreszcie nadchodzi dzień, kiedy córka może odejść od takiego człowieka — jeśli ma trochę szczęścia. Jego gwałtowność odnajduje się w niej samej i córka zrywa wszelkie więzy, już nigdy w życiu się do niego nie odzywa. Zamiast tego rozmawia ze swoją matką, pytając pełna oburzenia: Jak mogłaś mu pozwolić? Dlaczego?

Jest tak wiele odpowiedzi. Wszystkie znakomite, ale żadna nie wystarcza.

Co miałam własnego? Na pewno nie miałam pieniędzy. Nie miałam doradcy, nie miałam przyjaciół, do których mogłabym się tam zwrócić, nie miałam środków, żeby stawić czoło siłom, które rządziły naszym życiem. Historia nie jest nowa: byłam słabsza.

Była też inna rzecz, do której strach się przyznać. Zaczęłam wierzyć, że Bóg jest po jego stronie. Czy wychodzę przez to na niepoczytalną? Jednak rzeczywiście w to wierzyłam, musiałam w to wierzyć. Bałam się Go bardziej, niż można się bać człowieka. Bałam się Go, kochałam Go, służyłam Mu, zatykałam sobie uszy dłońmi, żeby zatrzymać Jego słowa, które dzwoniły mi w głowie, nawet gdy był daleko albo spał. W otchłaniach mych bezsennych nocy szukałam pociechy w Biblii, by znowu usłyszeć to samo: „Rozmnożę nędze twoje, i poczęcia twoje: z boleścią rodzić będziesz dziatki i pod mocą będziesz mężową, a on będzie panował nad tobą”.

Litości! Jeśli Biblia Króla Jakuba złapie cię w nieodpowiednim nastroju, potrafi wzbudzić w tobie pragnienie wypicia trucizny.

Moja ruina nie była przewidziana. Nie dorastałam w nadziei,

że zostanę uprowadzona albo uratowana. Moje dzieciństwo było na swój sposób szczęśliwe, choć także rozwichrzone. Moja matka zmarła, kiedy byłam jeszcze całkiem młoda, a dziewczyna bez matki bez wątpienia ma pewne braki, ale moim zdaniem cieszy się wolnością nie znaną innym córkom. Nie dowiaduje

się zawczasu, jakie są realia życia kobiety, lecz za to na horyzoncie mruga do niej cała konstelacja możliwości.

Jackson w stanie Missisipi podczas wielkiego kryzysu nie różniło się aż tak bardzo od Konga trzydzieści lat później, poza tym, że w Jackson znaleźliśmy parę osób, które żyły w dostatku, co na pewno nas trochę drażniło. W Kilandze ludzie nie wiedzieli, że można mieć w życiu lodówkę czy pralko-suszarkę. Łatwiej byłoby im sobie wyobrazić drzewo, które wyrwie się z ziemi i pójdzie upiec chleb. Nie przychodziło im do głowy, żeby użalać się nad sobą. Tylko kiedy umierały dzieci — wtedy płakali i lamentowali. Każdy potrafi w tym dostrzec krzyczącą niesprawiedliwość. Poza tym jednak wydawało im się, że są zadowoleni ze swego losu.

Tak samo było ze mną, małą dziewczynką za wielkiego kryzysu, cierpiącą na taką samą nieznajomość realiów. Dopóki byłam otoczona tym, co znałam, życie nie miało mi nic więcej do zaoferowania i zadowalałam się tym. Jako wyjątkowo ładne dziecko, a później dziewczyna o przykuwającej wzrok urodzie, na swój skromny sposób urządziłam się w świecie. Mój ojciec, Bud Wharton, był okulistą. Mieszkaliśmy na obrzeżach Jackson, na zapyziałym osiedlu, które nazywało się Pearl. Tata przyjmował pacjentów w pokoju na tyłach domu, miał tam metalowe szafki na soczewki, które dzwoniły jak kuranty, kiedy się otwierało lub zamykało szuflady. Od frontu prowadziliśmy sklep. Musieliśmy to robić, bo w ciężkich czasach ludziom wzrok się poprawia. W sklepie sprzedawaliśmy świeże owoce i warzywa, które moi kuzyni przywozili z farmy, jak również trochę pasmanterii i amunicję. Jakoś wiązaliśmy koniec z końcem. Wszyscy mieszkaliśmy na górze. W pewnym okresie było nas w sumie jedenaścioro, kuzyni z Noxubee County, wujkowie, którzy przyjeżdżali pomagać przy zbiorach, a potem wyjeżdżali, i staruszka

ciotka Tess. Zastępowała mi matkę, kiedy tego potrzebowałam. Ciocia Tess stale mi powtarzała: „Słoneczko, w życiu nie ma lekko, ale iść trzeba, więc

trzymaj się prosto i maszeruj do przodu". Wszyscy mniej więcej wyznawaliśmy ten pogląd.

Wydaje mi się, że tata nigdy mi nie wybaczył, że zostałam baptystką. Nie rozumiał, po co komu więcej dowodów na Boży plan stworzenia, niż on znajdował na przykład w delikatnie pożyczowanym świetle gałki ocznej. To, plus smaczny kurczak w niedzielę. Tata trochę pił i przeklinał, lecz z umiarem. Nauczył mnie gotować, a poza tym pozwalał mi się wałęsać z kuzynkami. Na obrzeżach Pearl rozpleniła się dzika natura. Odkryłyśmy tam mokradła kaptownic, z podkasanymi sukienkami brodziłyśmy po kolana w gęstym czarnym błocie i patrzyłyśmy prosto w paszcze mięsożernym roślinom, które karmiłyśmy pajakami. To były obiekty mego kultu i uwielbienia: cuda żarliwej natury. Później odkryłyśmy, że można całować się z chłopcami. Później święta odnowy religijnej pod namiotami.

Wszystko to po trosze postawiło na mojej drodze Nathana Price'a. Miałam siedemnaście lat i tryskałam radością życia. My dziewczęta maszerowałyśmy ramię w ramię w naszych cienkich bawełnianych sukienkach, mając na sobie spojrzenia wszystkich. Odrzucając włosy do tyłu, szłyśmy między rzędami składanych krzeseł pożyczonych z zakładu pogrzebowego, aż na sam przód zatłoczonego namiotu, aby stanąć do Jezusowego apelu. Oddałyśmy się Jezusowi ze zdyszanymi, niezabawionymi pierściami. Zdążyłyśmy już dać szansę wszystkim nieokrzesanym chuliganom w Pearl i szukałyśmy kogoś, kto bardziej na nas zasługuje. Właściwie czemu by nie Jezus? Poza tym traktowałyśmy sprawę jako chwilową — zakładałyśmy, że Jezus pójdzie sobie razem ze wszystkimi innymi, kiedy tydzień dobiegnie końca.

Lecz kiedy namiot został zwinięty, stwierdziłam, że zamiast Jezusa mam w swoim życiu Nathana Price'a, przystojnego, młodego rudowłosego kaznodzieję, który rzucił się na moją bezpańską duszę jak pies na kość. Był

bardziej pewny siebie, niż wydawało mi się to możliwe u młodego człowieka, ale stawiałam mu

opór. Jego powaga deprymowała mnie. Potrafił być jowialny w stosunku do starszych pań w sukienkach z krepdeszynu, poklepywał je po zgarbionych plecach, ale rozmawiając ze mną, nie mógł się oderwać od tematu nieba, no chyba że w celu przekazania mi swoich przemyśleń na temat piekła.

Z początku w ogóle się nie zorientowałam, że Nathan ubiega się o moją rękę. Sądziłam, że jego jedynym celem jest zbawienie mojej duszy. Sadowił się na zakurzonych stopniach ganku frontowego, starannie składał marynarkę garnituru i kładł na huśtawce, podwijał rękawy i czytał mi z księgi Psalmów i Powtórnego Prawa, podczas gdy ja łuskałam fasolę. „Dlaczego mi mówicie: »Niby ptak uleć na górę!«" Słowa te były tajemnicze i piękne, więc pozwalałam mu zostać. Moje wcześniejsze doświadczenia z młodymi mężczyznami ograniczały się do bluźnierstw w rodzaju „Chryste Panie, co za zasaństwo!", pod adresem sukienki liczącej zbyt wiele guzików. Tymczasem z ust tego młodego mężczyzny wychodziło: „Słowa Pańskie to słowa szczerze, wypróbowane srebro, bez domieszki ziemi, siedmiokroć czyszczone" i „Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach". Jakże tęskniłam za tymi zielonymi pastwiskami. Czułam delikatny, jasnozielony smak kłosów pszenicy, wyłuskanych i ssanych między zębami. Chciałam położyć się z tymi słowami i wstać, mówiąc nowym językiem. Więc pozwalałam mu zostać.

Ten młody i ambitny wędrowny kaznodzieja powinien był równo rozdzielić swe ewangelizacyjne starania pomiędzy hrabstwa Rankin, Simpson i Copiah, lecz działało się inaczej: tego lata w Pearl zostało zbawionych tyle dusz, że Pan Bóg przypuszczalnie nie wiedział, co z nimi zrobić. Nathan przychodził prawie na każdy niedzielny obiad z kurczakiem. Ciocia Tess w końcu powiedziała: „Już i tak go karmisz, moje dziecko, więc właściwie mogłabyś wyjść za niego za mąż, skoro tego chce".

Chyba nigdy się nie dowiem, czy rzeczywiście tego chciał, lecz kiedy mu oznajmiłam, że ciocia Tess domaga się jednoznacznej odpowiedzi, zanim zainwestuje w to przedsięwzięcie kolejne kurczaki, pomysł z małżeństwem na tyle mu się spodobał, że go

sobie przywłaszczył. Właściwie nie miałam czasu, żeby się zastanowić nad swoją własną odpowiedzią — którą wszyscy uważali za nie podlegającą kwestii. A nawet gdyby ktoś pragnął poznać moje zdanie, to nie umiałabym go sformułować. Nigdy nie przyglądałam się z bliska niczyjemu życiu małżeńskiemu. Co ja wiedziałam o małżeństwie? Z miejsca, w którym stałam, jawiło się ono jako świat przypochebnych atencji, a poza tym szansa na przekroczenie granicy hrabstwa.

Pobraliśmy się we wrześniu i spędziliśmy miesiąc miodowy na zbieraniu bawełny, żeby wspomóc naród w przygotowaniach do wojny. W trzydziestym dziewiątym i czterdziestym ciągle mówiło się o wojnie, powoływano ludzi do wojska chyba tylko po to, żeby pokazać, że jesteśmy gotowi na wszystko. Lecz Nathan był zwolniony od wojska jako niezastąpiony pracownik —nie w służbie Pana Boga, lecz Jej Wysokości Bawełny. Pomiędzy sesjami odnowy religijnej pracował na plantacjach i jesienią czterdziestego pierwszego naszym pierwszym przedsięwzięciem jako pary młodej było wspólne pochylenie pleców na zapyłonych polach. Kiedy szorstkie worki bawełny były pełne, nasze dłonie obolałe, a włosy i ramiona pokryte białymi kłakami, uważaliśmy, że zrobiliśmy swoje. Nie przeszło nam przez myśl, że wkrótce spadną bomby na daleki port, którego nazwa zmroziła wszystkich mieszkańców naszego małego, śródlądowego Pearl.

Pod koniec tego niesławnej pamięci tygodnia połowa mężczyzn tego świata była zaangażowana w jedną i tę samą wojnę, łącznie z Nathanem. Dostał powołanie. W Fort Sili kapitan Nathana odnotował jego żarliwą wiarę i obiecał mu, że będzie służył jako pastor albo kapelan szpitalny, w przyzwoitej

odległości od linii wroga. Odetchnęłam: nareszcie mogłam prawdziwie powiedzieć, że kocham Pana! Lecz później, bez żadnego wyjaśnienia, Nathan znalazł się w Paris, w stanie Teksas, na szkoleniu wojsk piechoty. Pozwolono mi spędzić z nim dwa tygodnie na tej smaganej wiatrem równinie, większość czasu schodziło mi na czekaniu w dziwnej pustce zimnego mieszkania i układaniu w głowie słów otuchy, które mogłabym kierować do innych żon.

Ależ była z nas zbieranina, kobiety o najróżniejszych akcentach i perspektywach życiowych, wyrzucone na tamten brzeg, aby gotować kaszę czy makaron, co było naszą jedyną pociechą. Jednoczyły nas wysiłki, aby nie myśleć o rękach naszych mężów, które uczyły się, jak trzymać karabin. Wieczorami leżał z głową na moich kolanach, a ja czytałam mu z Pisma Świętego: „Miłuję Cię, Panie, Mocy moja, ostoja moja i twierdzo [...] tarczo moja, mocy zbawienia mego i moja obrono!” Kiedy wyruszył w drogę, ja wróciłam do domu, do Pearl.

Nie było go zaledwie przez trzy miesiące. Ciężarówką, statkiem i samolotem przetransportowano go na okręt floty azjatyckiej, a później znalazł się w obozie pod palmami na wybrzeżu filipińskim, aby walczyć u boku generała McArthur'a. Jego kompania przebiła się do Luzon, na początku nie napotykając żadnych przeszkód prócz komarów i dżungli, lecz drugiej nocy zbudziły ich ze snu salwy artyleryjskie. Nathan dostał w głowę odłamkiem pocisku. Pobiegł się schować, oszołomiony, i spędził noc w bambusowym chlewiku. Doznał wstrząsu mózgu, lecz do świtu stopniowo odzyskał świadomość i na poły oślepiiony wytoczył się na otwartą przestrzeń, mając tyle poczucia kierunku co owad rzucający się w ogień. Czystym trafem tuż przed zmrokiem został zauważony na plaży i zabrany przez łódź patrolową. Z bunkra szpitalnego na wyspie Corregidor cenzurowaną pocztą wojskową przysłał mi radosny list o tym, że łaska Boża i japoński chlewik uratowały mu życie. Nie

wiedział, gdzie się znajduje, ale przysięgał się, że cud sprawił, iż jest prawie nieuszkodzony i wkrótce wróci do domu!

To była ostatnia wiadomość od człowieka, którego poślubiłam — mężczyzny, który potrafił się śmiać (nawet ze spania w chlewie), nazywać mnie swoim „aniołkiem” i wierzyć w cud sprzyjającego losu. Wciąż potrafię sobie wyobrazić młodego żołnierza, który napisał ten list, siedząc podparty na łożku, uśmiechając się przez bandażę i opatrunki, pokazując pielęgniarce zdjęcie swej ślicznej żony ze zbieraną w Delcie bawełną we włosach. Jak się później okazało, cieszył się wtedy ostatnimi szczęśliwymi godzinami swego życia. Jeszcze nie wiedział, co się stało z resztą jego

kompanii. Po kilku dniach wiadości zaczęły docierać na wyspę Corregidor. Przez podziemne tunele tej fortecy dmuchnął wiatr zgrozy zbyt wielkiej, aby mówić o niej na głos — szeptana litania, która potrzebowała wielu lat, żeby została w pełni ujawniona światu, a w szczególności mnie. Serce jednego żołnierza na zawsze zrogowaciało jak skóra starego buta.

Tej nocy, kiedy zaczął się ostrzał, a Nathan odniósł rany i dotoczył się nie zauważony w ciemnościach do chlewika, kompania otrzymała rozkaz szybkiego przemarszu na półwysep Bataan, gdzie mogliby ukryć się w dżungli, przegrupować szyki, a potem wrócić i odbić Manilę. Zbyt pewny siebie dowódca popełnił błąd w ocenie sytuacji, mało istotny w skali historycznej, lecz gigantyczny z punktu widzenia życia tych ludzi. Na półwyspie dostali się w pułapkę, nie mający co jeść i przerażeni, wreszcie pędzono ich na bagnietach przez pola ryżowe w prażącym upale, aż do wyczerpania, choroby i jeszcze dalej, najpierw na nogach, potem na czworakach, wycieńczeni, dręczeni halucynacjami na skutek pragnienia i malarii, pędzeni na północ do obozu jenieckiego, do którego niewielu z nich dotarło, a jeszcze mniej przeżyło. Kompania Nathana wyginęła do ostatniego człowieka podczas marszu śmierci z półwyspu Bataan.

Szeregowy Price został ewakuowany z wyspy Corregidor kilka tygodni przed zejściem z posterunku przez samego McArthur'a, który poczynił wówczas słynną obietnicę, że powróci. Jednak chłopcy z Bataan nie powrócili, nie powrócił też młody rekrut, za którego wyszłam. Zjawił się w domu z sierpowatą blizną na skroni, znacznie osłabionym wzrokiem w prawym oku i podejrzeniem o tchórzostwo, którego nigdy w sobie nie zwalczył. Pierwsze słowa, jakie od niego usłyszałam, dotyczyły surowego spojrzenia Boga, które czuł na sobie. Wyrwał się, kiedy go chciałam pocałować i przytulić, i zapytał: „Nie rozumiesz, że Pan nas obserwuje?”

Próbowałam go przekonać, że mieliśmy szczęście. Uważałam, że wojna poczyniła tylko minimalny wyłom w naszych planach. Nathan się zmienił, to było widać, ale sprawiał wrażenie

bardziej pobożnego i trudno było w tym dostrzec oznaki katastrofy. Nareszcie przekroczę granice hrabstwa, o czym zawsze marzyłam, będą podróżowała jako żona pastora.

Boże miłosierny, tak właśnie się stało — Missisipi, Alabama, Georgia. Przekraczaliśmy piaszczyste granice wytyczone w palmowych zaroślach, granice biegnące w poprzek szos, linie kolejek do okienka z zupą w przytułkach dla biednych, linie zmartwienia, sznury dusz czekających na płomień zbawienia. Nathan chciał wypalić szlak szeroki jak czołg Sherman. Nie mając pieniędzy i czasu, żeby kupić i urządzić dom, co roku przenosiliśmy się do nowych nędznych kwater, do momentu, gdy moja ciąża stała się tak widoczna, że nasza nomadyczność przestała się wydawać możliwa do przyjęcia. Pewnego wieczoru po prostu wybraliśmy na mapie Bethlehem w Georgii. Przypadek lub Opatrzność sprawiły, że nasze kombi zajechało aż do Bethlehem, które okazało się bardzo chłonnym rynkiem na baptystowskich kaznodziejów. Próbowałam się śmiać z tego obrazka: mąż, ciężarna żona i ani jednego wolnego pokoju w gospodzie.



Nathana nie rozbawiło to optymistyczne porównanie. Przeciwnie, wtedy po raz pierwszy podniósł na mnie rękę. Pamiętam, że siedziałam na skraju krzesła w kuchni — nic jeszcze nie było rozpakowane — i przytrzymywałam obiema rękami swój ogromny brzuch, kiedy słuchaliśmy radia. Jakiś człowiek czytał długą opowieść wojenną, jak to wówczas mieli w zwyczaju: relacja z pierwszej ręki o obozie jenieckim i strasznym marszu, podczas którego wyczerpani mężczyźni rozpaczliwie starają się iść dalej, zostają z tyłu i giną w krótkich rozbłyskach ognia karabinów maszynowych, rozświetlających ciemności na pomarańczowo. Słuchałam jednym uchem, dopóki Nathan nie przywołał mnie do porządku.

— Żadnemu z tych ludzi nie urodzi się syn, który uwieczniłby ich nazwisko. A ty śmiesz przechwalać się przed Chrystusem błogosławieństwem, na które nie zasłużyłaś.

Aż do tego wieczora nie znałam szczegółów na temat miejsca, w którym przebywał Nathan ani całego ogromu tego, przed czym nieustannie uciekał.

Moje ciążę wprawiały go w głębokie zażenowanie. Z jego punktu widzenia były to niezasłużone błogosławieństwa, a poza tym każda z nich na nowo przypominała Bogu, że ja posiadam pochwę, a on penisa oraz że umieściliśmy je w wystarczającej bliskości siebie, żeby począć dziecko. Nie odbywało się to jednak w taki prosty sposób. Seks wprawiał Nathana w rozgorączkowanie, po fakcie mój mąż cały drżał, modlił się głośno i ganił mnie za rozwiązłość. O ile wobec ludzi jego poczucie winy czyniło z niego tyrana, o tyle wobec Boga zamieniało go w dziecko. Nie bezradne czy błagające, lecz histeryczne, typ chłopaka udającego twardziela, który zaznał za mało miłości i ma skłonność do obarczania innych winą za swoje błędy. Z gatunku tych, którzy dorastając, wyrabiają w sobie postanowienie, że jeszcze wszystkim pokażą. Wydaje mi się, że zamierzał osobiście zbawić więcej dusz, niż ich wyginęło po

drodze z Bataanu i na wszystkich drogach wybrukowanych ludzkim nieszczęściem.

A gdzie się podziałam ja, dziewczyna czy kobieta imieniem Orleanna, kiedy podróżowaliśmy tymi drogami i ciągle przekraczaliśmy te wszystkie granice i linie? Zostałam połknięta przez jego misję, z ciałem i duszą. Albo jakbym była okupowana przez obce mocarstwo. Jestem pewna, że z zewnątrz nie byłam inna niż przedtem, tak samo jak Nathan nie różnił się od chłopaka, który wyruszył kiedyś na wojnę. Teraz jednak każda komórka mojego ciała była poślubiona przedsięwzięciu Nathana. Jego niezwyklej sile woli. Tak dochodzi do podboju: jedno przedsięwzięcie zwycięża drugie. Ze wszystkich sił starałam się robić to, co uważałam za obowiązki żony, takie rzeczy jak pranie białych koszul osobno i czarnych skarpetek osobno w umywalkach pensjonatów, jak gotowanie posiłku za posiłkiem z kaszki kukurydzianej. Miasta, w których Nathan głosił kazania, były ogołoczone z młodych mężczyzn, bo wciąż jeszcze trwała wojna, co rozdmuchiwało płomienie wewnętrznego cierpienia Nathana. Jestem przekonana, że kiedy omiatał wzrokiem te zgromadzenia wiernych bez żołnierzy, widział maszerujące na północ duchy. Ja zaś patrzyłam na młode piersi kobiece wzdychające do mego przystojnego męża,

żołnierza Bożego. (Miałam ochotę krzyknąć: No dalej, dziewczęta, użyjcie sobie z nim, ja jestem zbyt zmęczona!) Ewentualnie czekałam na niego w domu, wypijałam cztery szklanki wody, zanim przyszedł, żeby nie burczało mi w brzuchu, kiedy będę patrzyła na niego, jak je. Kiedy byłam w ciąży z bliźniaczkami, miałam takie dziwaczne zachcianki, że czasami wychodziłam w nocy na czworakach do ogrodu i potajemnie zjadałam ziemię. Urodziłam trójkę dzieci w dwa samotne lata. Wątpię, czy jakkolwiek inna kobieta osiągnęła tak wysoki współczynnik liczby dzieci na jeden stosunek. Trójka dzieci to było za dużo, odczuwałam to głęboko w swoim ciele. Kiedy urodziła się trzecia dziewczynka, nie potrafiła przekręcić głowy na bok ani nawet dobrze ssać

piersi. To była Ada. Płakałam całymi dniami, kiedy się dowiedziałam, że noszę w sobie bliźnięta i teraz leżałam po nocach i myślałam, że może ją zatrulałam swoją rozpaczą. Zdażyłam się już zarazić Nathanową obsesją na punkcie poczucia winy i Bożej dezaprobaty. Adę zesłał mi Bóg, w formie kary lub nagrody. Świat ma na ten temat swoje zdanie, ja mam swoje. Lekarze dawali jej niewiele nadziei, lecz jedna z pielęgniarek okazywała mi współczucie. Powiedziała mi, że sztuczne karmienie to najlepsza rzecz na świecie, „cud techniki”, ale nie było nas stać na odżywkę dla dwójki. Skończyło się więc na tym, że karmiłam łąpczywą Leę piersią, Adzie zaś dawałam do ssania kosztowne butelki, obu jednocześnie. Mając bliźnięta, człowiek uczy się robić wszystko wierzchem dłoni. I nie tylko bliźnięta, przypominam, ale także raczkującego berbecia z kędzierzawymi włosami, który miał chyba za cienką skórę, ponieważ wył pod każdym możliwym pretekstem. Rachel wrzeszczała za każdym razem, gdy zasikała pieluchę i uruchamiała pozostałą dwójkę jak dzwonki alarmowe. Strasznie też płakała podczas ząbkowania. Ada darła się z frustracji, a Lea płakała z powodu koszmarów sennych. Przez sześć lat, od dziewiętnastego do dwudziestego piątego roku życia, nie przespałam bez zakłóceń ani jednej nocy. A ludzie się dziwią, dlaczego nie powstałam i nie zbuntowałam się wobec Nathana? Cieszyłam się, jeśli mi się udało nie włożyć prawego buta na lewą nogę, oto

dlatego. Patrzyłam wyłącznie przed siebie, myśląc sobie każdego ranka od nowa, że najgorsze mamy za sobą.

Nathan wierzył przede wszystkim w jedną rzecz: że Bóg zauważa cnotę i ją wynagradza. Mój mąż nie dopuszczał żadnej innej możliwości. Jeśli więc cierpieliśmy w naszym małym domku pomiędzy plantacjami fistaszków na równinie wokół Bethlehem, świadczyło to o tym, że jedno z nas popełniło jakiś występki. Dawał mi oczywiście do zrozumienia, że chodzi o mnie. Nathan miał mi za złe, że jestem atrakcyjna, jakbym celowo wybrała sobie szczupłe biodra i

duże niebieskie oczy, aby ściągać na siebie uwagę. Oczy Boga obserwują ciebie, oznajmiał. Jeśli znieruchomiałam na chwilę podczas wieszania prania w ogrodzie za domem, aby spojrzeć na wilgotną trawę łaskoczącą mnie w boscie stopy, Bóg zauważał moją bezczynność. Czujnie nastawiał uszu, czy czasem nie wypnie mi się jedno z przekleństw używanych przez mego ojca, i obserwował mnie podczas kąpieli, czy przypadkiem zanadto się nie rozkoszuję ciepłą wodą. Nie mogłam nawet wytrzeć sobie nosa, żeby nie czuć się obserwowana. Jakby chcąc mi zrekompensować tę nieustanną inwigilację, Nathan, ogólnie biorąc, nie zwracał na mnie uwagi. Jeśli poskarżyłam się na to, jak żyjemy, przeżuwał kolację, odwracając taktownie wzrok, tak jak ignoruje się dziecko, które naumyślnie potłukło wszystkie lalki, a teraz jęczy, że nie ma się czym bawić. Aby zachować równowagę psychiczną, nauczyłam się obchodzić trudności cichym krokiem i patrzeć na nie z dobrej strony.

Jeśli został we mniejszce jakiś ślad pięknej poganki, dziewczyny, którą ciągnęło do uroków tego świata, tak jak ćmę ciągnie do światła księżycy, i jeśli jej serce wciąż biło jak młotem w noc, kiedy z przydrożnych rowów Georgii wołały zielone żabki, była zbyt zafascynowana, żeby się bronić. Parę razy, kiedy Nathan wyjechał na spotkania odnowy religijnej, zamykałam drzwi i chuchałam w swój własny obraz w lustrze, nakładając szminkę, zanim zabrałam się do pracy przy domu. Działo się to jednak bardzo rzadko. Coraz rzadziej potrafiłam odnaleźć samą siebie. Kiedy urodziła się Ruth May, mieszkaliśmy już w pastorówce przy Hale Street i Nathan

wszedł w całkowite posiadanie kraju, który kiedyś nazywał się Orleanna Wharton. Przyjęłam Pana do serca jako mego osobistego Zbawiciela, gdyż nareszcie sprezentował mi pralkę firmy Maytag. Podałam się temu spokojowi i nazywałam go szczęściem. W tych bowiem czasach tak właśnie określano życie takie jak moje.

Zajęło mi dużo czasu, zanim zrozumiałam, jaką straszliwą cenę zapłaciłam i że nawet Bóg musi przyznać, iż wolność ma swoją wartość. „Dlaczego mi mówicie: »Niby ptak uleć na górę" Wtedy tkwiłam już w jądrze ciemności, tak dokładnie dopasowawszy ciało i duszę do formy małżeństwa, że właściwie nie potrafiłam już przyjąć innej pozy. Tak jak Matuzalem, kuliłam się obok swej klatki, bo choć moja dusza wzdychała za górą, to stwierdziłam, tak jak Matuzalem, że nie mam skrzydeł.

Oto dlaczego, mała bestio. Straciłam skrzydła. Nie pytaj mnie, w jaki sposób je odzyskałam — to zbyt przykra historia. Za długo ufałam kłamliwym zapewnieniom, przekonana jak wszystkie inne kobiety, że kiedy mężczyźni mówią o interesie narodowym, to jest to również nasz interes. Koniec końców mój los splótł się z losem Konga. Biedne Kongo, bosonoga wybranka mężczyzn, którzy zabrali jej klejnoty i obiecali Królestwo.

## RZECZY, KTÓRYCH NIE WIEDZIAŁYŚMY

Kilanga, wrzesień 1960

Lea

Po raz drugi lecieliśmy z Leopoldville nad dżunglą i w dół do tego maleńkiego wykarczowanego miejsca, które nazywa się Kilanga. Tym razem w samolocie był tylko ojciec i ja, plus pan Axelroot, dwadzieścia funtów artykułów nieżywnościowych i puszkowane suszone śliwki, których Underdownowie nie mogli zabrać ze sobą, kiedy uciekali z Konga. Lecz to drugie wyboiste lądowanie wzbudziło we mnie inne uczucia niż pierwsze.

Zamiast

podniecenia ogarnął mnie lęk. Na skraju lądowiska nie było żywej duszy, żeby nas powitać — ani mieszkańców wioski, ani mamy z siostrami. Nikt nie bił w tam-tamy ani nie piekł kozy na naszą intencję. Kiedy ojciec i ja przecięliśmy

bezludne lądowisko i zmierzaliśmy w stronę domu, nie mogłam się opędzić od wspomnienia o tym wcześniejszym wieczorze i uczcie powitalnej, z wszystkimi smakami i dźwiękami, które przywoływało. Wtedy uczta wydawała nam się dziwna i mizerna, a teraz, z perspektywy czasu, zrozumiałam, jaką obfitość bezcennych protein poświęcono na naszą cześć. Skandaliczną obfitość, prawdę powiedziawszy. Zaburczało mi w brzuchu. Obiecałam w duchu Panu, że wyrażę prawdziwą wdzięczność za taką ucztę, jeśli jeszcze kiedyś zostanę w ten sposób ugoszczona. Pomyślałam, że niezależnie od tego, co Rachel sądzi o kozim mięsie, przydałaby nam się porządna uczta, bo inaczej co będziemy teraz jedli? Nie da się zająć w życiu zbyt daleko na puszkowanych suszonych śliwkach.

W związku z Niepodległością więcej myślałam o pieniądzach niż kiedykolwiek wcześniej, jeśli nie liczyć szkolnych zadań z arytmetyki typu „mama dała Betty trzy i pół dolara...” Pięćdziesiąt dolarów miesięcznie we frankach belgijskich to wydaje się niewiele, lecz w Kilandze czyniło to z nas największych potentatów finansowych. Teraz mieliśmy dostawać zero dolarów miesięcznie we frankach belgijskich i każdy głupi potrafiłby w sekundę rozwiązać to zadanie arytmetyczne.

W ciągu kilku tygodni od tego, jak ojciec i ja wróciliśmy z pustymi rękami, kobiety połapały się, że nie mamy pieniędzy i przestały przychodzić do naszych drzwi z mięsem i rybami, które złowili ich mężowie. Stało się to oczywiście stopniowo. Z początku były zdezorientowane pogorszeniem się naszej sytuacji materialnej. Tłumaczyłyśmy im nasze położenie najjaśniej, jak umiałyśmy: fyata, nie ma pieniędzy! Była to szczerza prawda. Każdy zaoszczędzony frank poszedł do kieszeni Eebena Axelroota, któremu ojciec musiał po prostu dać w łapę, żeby nas przywiózł z powrotem z Leopoldville. Lecz nasze sąsiadki z Kilangi zdawały się myśleć: Czy to możliwe, żeby biały człowiek

były stały w drzwiach przez całą wieczność i mierzyły nas wzrokiem od góry do dołu, podczas gdy kosze pełne dóbr wszelakich tkwiły im milcząco na głowach. Pewnie uważały nasze bogactwo za niewyczerpane. Nelson tłumaczył cierpliwie, gdy Rachel, Ada i ja patrzyłyśmy mu przez ramię, że teraz jest Niepodległość, w związku z czym nasza rodzina nie otrzymuje już dodatkowych pieniędzy za bycie białymi chrześcijanami. Usłyszawszy tę smutną prawdę, kobiety wylewały z siebie potok współczujących dźwięków. Podciągały niemowlęta wyżej na biodro i mówiły: A bu, no cóż, ayi, zgoda, Niepodległość. Ale dalej nie do końca w to wierzyły. Czy wszędzie szukaliśmy, dopytywały się? Może jednak zostało trochę pieniędzy pod tymi dziwnymi, wysokimi łózkami albo w schowkach sekretarzyka? Chłopcy zaś dalej atakowali nas jak dobroduszni zbójcy, kiedy tylko wychodziłyśmy na zewnątrz — Cadeau, cadeau! — żądając mleka w proszku albo pary spodni, upierając się, że mamy w domu schowaną całą stertę tych rzeczy.

Marriie Mwanzie, która mieszkała obok, jako jedynej było nas żal. Przemieszczając się na rękach, przychodziła dać nam trochę pomarańczy, gwizdząc sobie z Niepodległości. Powiedzieliśmy jej, że nie mamy nic, co moglibyśmy dać jej w zamian, ale ona tylko wymachiwała w powietrzu rękami. A bu, nieważne! Mówiła, że jej chłopcy umieją znajdować pomarańcze, a poza tym ona wciąż ma w domu bdkala mpandi — silnego mężczyznę. Pod koniec tygodnia silny mężczyzna zarzuci swoje wielkie sieci i jeśli połów będzie udany, pozwoli jej, żeby nam przyniosła trochę ryb. Zawsze, kiedy ma się czegoś dużo, trzeba się tym podzielić zfyata, powiedziała. (A przecież Mama Mwanza nie jest nawet chrześcijanką!) Kiedy współczuje ci kobieta, która nie ma nóg i niedawno straciła dwójkę dzieci, to wiadomo, że jest naprawdę niewesoła.

Mama źle to znosiła. Kiedy ojciec i ja odlatywaliśmy do Leopoldville, wciąż jeszcze próbowała robić dobrą minę do złej gry, ale przez ten krótki czas, kiedy nas nie było, zupełnie skapitulowała. Nabrała zwyczaju snucia się po

domu w nocnej koszuli, zdartych brązowych adidasach, bez skarpetek i w nie zapiętej różowej bluzce, spędzała noce i dni tylko w połowie ubrana czy też rozebrana. Całymi godzinami leżała skulona na łóżku w towarzystwie Ruth May. Ruth May nie chciała jeść i mówiła, że nie może chodzić, bo za bardzo się poci. Prawda jest taka, że żadnej z nich już na niczym nie zależało.

Nelson powiedział mi w zaufaniu, że mama i Ruth May mają kibdzu, co znaczy, że ktoś rzucił na nie urok. Twierdził nawet, że wie, kto to zrobił, i mówił, że prędzej czy później kibdzu obejmie wszystkie kobiety w domu. Pomyślałam o kościach kury w kalebasie, którą zostawił pod naszym progiem Tata Kuvudundu kilka tygodni wcześniej, i przeszły mnie ciarki. Wyjaśniłam Nelsonowi, że jego voodoo to kompletny absurd. Nie wierzymy w złego boga, którego dałoby się przekonać, żeby rzucił na kogoś urok.

— Nie? — spytał. — A wasz bóg nie rzucił uroku na Tatę Chobe? — Było to w rozprażone popołudnie, kiedy Nelson i ja rąbaliśmy drewno, żeby je później zanieść do chaty kuchennej. Piec był taki zachłanny, że ledwo nastarczaliśmy z rąbaniem drewna na gotowanie wody do mycia naczyń, już nie mówiąc o przyrządzeniu jedzenia.

— Tatę Chobe? — Ostrożnie podchodziłam do tej rozmowy, ale ciekawiło mnie, do jakiego stopnia przyswoił sobie nauki biblijne. Przez bardzo duże dziury w jego podkoszulku widziałam, jak mięśnie na plecach Nelsona napinają się na chwilę, kiedy unosił maczetę i rozłupywał ciemnopurpurowe serce małego polana. Nelson używał swej maczety do wszystkiego, począwszy od rąbania drewna przez golenie się (miał dopiero trzynaście lat, więc w zasadzie nie miał takiej potrzeby) po czyszczenie pieca. Ostrzył ją i czyścił bardzo pieczołowicie.

Podniósł się, aby złapać oddech. Ostrożnie położył maczetę na ziemi i kręcił w powietrzu ramionami jak wiatrakami, żeby je rozluźnić.



— Wasz bóg rzucił kibdzu na Tatę Chobe. Zesłał na niego kilę i świerzb i zabił wszystkie jego siedem dzieci.

— A, Hiob—powiedziałam. — To nie był urok, Nelson. Bóg poddawał próbie jego wiarę.

— A bu — odparł Nelson, co znaczyło mniej więcej „dobra, niech będzie”. Znow podniósł swoje narzędzie i rozłupał kilka polan z purpurowymi sercami, a potem powiedział: — Ktoś poddaje próbie wiarę twojej matki i twojej małej siostry. Następ nego podda próbie Termita.

Mvula — biały termit, który wychodzi po deszczu — tutejsi nazywają tak Rachel, bo jest taka blada. Ich zdaniem dzieje się tak dlatego, że za dużo siedzi w domu i ogólnie boi się życia. Jak można się domyślić, Rachel nie przepada za termitami i twierdzi, że to słowo ma jakieś inne, wznioślejsze znaczenie. Mnie najczęściej nazywają Łeba, co jest znacznie ładniejszym słowem, które znaczy „figowiec”. Z początku myśleliśmy, że nie potrafią powiedzieć „Lea”, ale okazało się, że nie mieliby z tym najmniejszych problemów, tylko chcą być dla mnie mili i unikają tego słowa, ponieważ w języku kikongo znaczy ono „nic wielkiego”.

Powtórzyłam Nelsonowi, że jakkolwiek by sobie interpretował przypowieść o Hiobie, nasza rodzina nie wierzy w czarowników nganga, amulety, nkisis i gri-gri, które ludzie noszą na szyi, żeby odegnać od siebie złe uroki i tym podobne.

— Przykro mi, Nelson — powiedziałam — ale my po prostu nie czcimy tych bogów. — Aby jeszcze dobitniej przedstawić nasze stanowisko, dodałam: — Baka veh. — To znaczy: „Nie płacimy za to” — tutejsi w ten sposób wyrażają, że w coś nie wierzą.

Nelson delikatnie układał mi drewno na wyciągniętych do przodu ramionach.

— A bu — powiedział z chmurną miną. Nie miałam wyboru, jak patrzeć z bliska na Nelsona i jego lśniąca od potu twarz, kiedy nieporadnie trzymałam drewno w ramionach — nasza praca do tego stopnia nas zbliżała. Widziałam, że jest mu nas szczerze żal. Mlasnął językiem, tak jak robiła to kiedyś Mama Tataba i powiedział:

— Łeba, bogowie, którym nie płacisz, rzucają na ciebie najgorsze przekleństwa.

Ada

Ymeiw ein.

Rzeczy, których nie wiemy, osobno i jako cała rodzina, wypełniłyby dwa kosze, każdy z dużą dziurą w dnie.

Muntu to kongijskie słowo na określenie człowieka. Albo ludzi. Ale znaczy ono coś więcej. Z przyjemnością zawiadamiam, że tutaj w Kongu nie ma szczególnej różnicy między żywymi ludźmi, zmarłymi ludźmi, dziećmi jeszcze nie narodzonymi i bogami — wszyscy są muntu. Tak mówi Nelson. Wszystkie inne rzeczy to kintu: zwierzęta, kamienie, butelki. Jakieś miejsce lub jakaś pora to hantu, a cechy rzeczy to kuntu: na przykład piękny, obrzydliwy czy kulawy. Wszystkie te słowa mają wspólny rdzeń ntu.

— Wszystko, co tu jest, jest ntu — mówi Nelson ze wzruszeniem ramion, jakby to było jasne jak słońce. I byłoby jasne, gdyby „być” znaczyło to samo co „istnieć”. Objaśnia mi różnicę w następujący sposób: zasady ntu śpią, dopóki nie dotknie ich nommo. Nommo to siła, która każe rzeczom żyć jako to, czym są: jako człowiek, drzewo czy zwierzę. Nommo znaczy „słowo”. Królik ma takie życie, jakie ma — nie życie szczura czy mangusty — ponieważ nazywa się

„królik”, nwundla. Dziecko nie jest żywe, twierdzi Nelson, dopóki nie otrzyma imienia. Moja siostra i ja jesteśmy bliźniaczkami jednojajowymi, więc jak to się stało, że moje życie jest tak bardzo różne od jej życia? Teraz już wiem. Bo ja mam na imię Ada, a ona Lea.

Nommo, zapisałam sobie w zeszycie, który otworzyłam na naszym dużym stole. Nommo ommon NoMmo, napisałam, chcąc się nauczyć tego słowa do przodu i na wspak. Teoretycznie uczyłam Nelsona, po jego usilnych namowach, jak napisać list (nie zwracając uwagi na fakt, że nie miałby go jak wysłać). Lubi moje milczące profesorowanie i często się go domaga. Jednak Nelson jako uczeń ma skłonność do brania na siebie roli nauczyciela za najmniejszym poduszczeniem. I wydaje się uważać, że jego nieustanne gadanie poprawia naszą wymianę opinii, ponieważ ja tylko piszę różne rzeczy na papierze.

— NOMMO MVULA TO MOJA SIOSTRA RACHEL? — spytałam.

Pokiwał głową.

A zatem Ruth May jest Nommo Bandu, a Lea jest Nommo Łeba. A skąd bierze się Nommol

Pokazał na swoje usta. Nommo bierze się z ust, tak samo jak para wodna. Pieśń, wiersz, krzyk, modlitwa, imię — to wszystko jest nommo. Okazuje się, że najważniejszym rodzajem nommo jest woda. Woda to słowo, które nasi przodkowie mogą nam dać lub nie, zależnie od tego, jak ich traktujemy. Słowo przodków jest wciągane do wnętrza drzew i ludzi, wyjaśnił Nelson, a to pozwala im wstać i żyć jako muntu.

— DRZEWO TEŻ JEST MUNTU? — napisałam. Szybko narysowałam obok człowieka z kresek i drzewo z kresek, aby uczytelnić moje pytanie. Nasze rozmowy często odbywają się głównie za pomocą obrazów i gestów. — Drzewo jest rodzajem osoby?

— Oczywiście — odparł Nelson. — Wystarczy spojrzeć. Jedno i drugie ma korzenie i głowę.

Nelson był zaskoczony, że nie potrafię zrozumieć takiej prostej rzeczy.

Potem zapytał: — Ty i twoja siostra Łeba, co macie na myśli, kiedy mówicie, że jesteście z tego samego nasienia?

„Bliźniaczki”, napisałam. Nie rozpoznał tego słowa. Narysowałam obok siebie dwie identyczne dziewczynki, co go jeszcze bardziej zdezorientowało, jako że rzeczonymi bliźniaczkami miałyśmy być Lea i ja — piękna i bestia. Potem, ponieważ nikt nas nie widział, a Nelsona najwyraźniej nie da się niczym zawstydić, odrzucając precz pruderię, odegrałam pantomimę rodzenia dziecka, a potem — o zgrozo! — drugiego. Bliźniaki.

Oczy otworzyły mu się szeroko.

— Baza!

Skinęłam głowę, myśląc sobie, że nie on pierwszy jest zbulwersowany tą nowiną o Lei i mnie. Ale musiało w tym być coś więcej, ponieważ odskoczył ode mnie z takim pośpiechem, że przewrócił krzesło.

— Baza? — powtórzył, pokazując na mnie. Delikatnie do tknął mnie w czoło i szarpnął ręką do tyłu, jakby mógł się sparzyć o moją skórę.

Napisałam, przechodząc do defensywy:

— Nigdy nie widziałeś bliźniaczek? Z przekonaniem pokręcił głowę.

— Każda kobieta, która urodzi baza, powinna zanieść je do lasu i zostawić tam. Zabiera je bardzo szybko, od razu. To bardzo, bardzo, bardzo konieczne.

Dlaczego?

— Przodkowie i bogowie — wyjąkał. — Wszyscy bogowie. Jaki bóg nie byłby wściekły na matkę, która by zatrzymała takie dzieci? Myślę, że cała wioska zostałaby zalana albo prawie wszyscy by umarli, gdyby któraś matka zatrzymała swoje bazy.

Rozejrzałam się po pokoju, nie zobaczyłam żadnych oznak nadciągającej katastrofy i wzruszyłam ramionami. Przewróciłam kartkę w zeszycie, w którym miałam go uczyć pisania listów biznesowych i przystąpiłam do wykonywania skomplikowanego rysunku arki Noego. Po chwili Nelson postawił krzesło i usiadł mniej więcej metr ode mnie. Musiał bardzo wyciągać szyję, żeby spojrzeć na mój rysunek.

TO NIE MA NIC WSPÓLNEGO Z BLIŹNIĘTAMI, napisałam na górze. Ale kto wie, może ma, pomyślałam. Wszystkie te pary królików i słoni.

— Co się stało z twoją wioską, kiedy twoja matka nie wyniosła was do lasu?

Zastanowiłam się, co się działo w roku moich urodzin i napisałam: WYGRALIŚMY WOJNĘ. Potem zaczęłam rysować kontur wyjątkowo dystyngowanej żyrafy. Lecz Nelson wciąż wytrzeszczał na mnie oczy, czekając na dowody, że moje urodziny nie ściągnęły na mój dom katastrofy. ŻADNYCH POWODZI. ŻADNYCH EPIDEMII, napisałam. WSZYSTKO IDZIE WSPANIALE W USA, GDZIE MATKI CODZIENNIE ZATRZYMUJĄ SWOJE BAZY.

Nelson patrzył na mnie z takim poirytowanym niedowierzaniem, że zaczęłam wątpić w swoje własne słowa. Czy nie było serii huraganów w ciągu kilku miesięcy po naszych urodzinach? Wysokiej zapadalności na gripę w zimie? Kto to wie. Wzruszyłam ramionami i narysowałam drugą żyrafę z dziwną szyją w kształcie litery Z. Żyrafa benduka.

Nelson nie miał zamiaru dawać za wygraną. Było oczywiste, że moje bliźniactwo stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

— A co mówi Tata Jezus? OGÓLNIEMÓWI ZA DUŻO.

— Co każe zrobić, kiedy kobieta ma... — zawiesił głos, nie chcąc nawet wymawiać tego słowa po angielsku.

Wzruszyłam ramionami, lecz Nelson przyciskał mnie do muru. Nie mogłam uwierzyć, że Biblia Jezusa, ze swą niezwykle obfitym słowem, nie podaje szczegółowych instrukcji dla matek nowo narodzonych bliźniąt. Wreszcie napisałam: JEZUS CHYBA MÓWI, ŻEBY JE ZATRZYMAĆ.

Nelson znów się ożywił.

— A widzisz, to dlatego obie żony Taty Boandy chodzą do kościoła Jezusa! I Mama Lakanga! Wszystkie te kobiety i ich przyjaciele i mężowie! Myślą, że znowu będą miały bliźnięta i Tata Jezus nie każe im zostawić ich w lesie.

Była to intrygująca informacja i zaczęłam go wypytywać o szczegóły. Według obliczeń Nelsona prawie połowa kongregacji mego ojca to byli krewni zmarłych bliźniąt. Interesujący fundament do zbudowania duszpasterstwa: Pierwszy Ewangeliczny Kościół Baptystowski dla Osób o Skłonnościach Bliźniakorodnych. Dowiedziałam się również od Nelsona, że każdej niedzieli gościmy siedmioro trędowatych, plus dwóch mężczyzn, którzy dopuścili się czynów z zasady nie mogących liczyć na przebaczenie miejscowych bogów — to jest niechcący przyczynili się do śmierci członka swego klanu lub dziecka. Zdaje się, że jesteśmy Kościołem Spraw Beznadziejnych, co chyba nie odbiega zbyt daleko od warunków, w których działał Jezus.

Nie powinno to być dla mnie wielkim zaskoczeniem. Anatole próbował nam już wyjaśnić społeczną funkcję naszego kościoła,

podczas tej fatalnej kolacji, która zakończyła się rozbiciem tacy. Wielebny uważa jednak, że odważył kawał porządnej roboty, tłumacząc poganom niuanse Pisma Świętego, toteż nie przychodzi mu do głowy, że jego służba polega w gruncie rzeczy na oczyszczaniu ulic, by tak rzec. Usuwaniu niepożądanych elementów z życia obrzędowego Kilangi. Wielebny nie zauważył, że każda z praktykujących rodzin, których dzieci dotknęło kakakaka, po cichu powróciła do kultu przodków, natomiast kilka pogańskich rodzin, na które również spadła ta zaraza, po cichu przyszło wypróbować chrześcijaństwo. Ten pragmatyczny stosunek do religii, który mnie wydaje się najzupełniej sensowny, całkowicie wymyka się rozumieniu wielebnego. Za każdym razem, gdy jakiś nowy nawrócony przychodzi, kuśtykając, do kościoła w niedzielny poranek, ojciec przechwala się przy kolacji, że „owieczki pchają się do owczarni drzwiami i oknami. Nareszcie zwróciły na mnie uwagę niektóre z tutejszych wielkich szyszek”.

I tak duszpasterzuje trędowatym i pariasom. Z czystej nieświadomości jest bardziej miłosierny w swej praktyce niż w swych intencjach. Z reguły jest jednak na odwrót. Z reguły krzyczy: „Chwała niech będzie Panu!”, a wierzchem dłoni obala cię na ziemię.

Skąd on się wziął na świecie, ten nommo Nathan Price? Naprawdę mnie to zastanawia. Na początku było słowo, wojna, grzeszna ludzka natura. Matka, ojciec, syn, którego nie było, córki, których było za dużo. Bliźniaczki, które sprowadziły na dom ruinę. Na początku było słowo, płowo, pechowo, marmurowo i wdechowo. Ojciec Nasz ma na pieńku ze światem i walczy z nim za pomocą Słowa. Jego karą jest Słowo, a jego porażki są porażkami językowymi — kiedy traci cierpliwość do tłumacza i sam wypuszcza się na te niebezpieczne tereny, w swym bełkotliwie niepoczytalnym kikongo. Teraz rozumiem, że w Kongu to niebezpieczna rzecz popełniać błędy w nommo. Jeśli

przypiszesz rzeczom niewłaściwe nazwy, możesz sprawić, że kura przemówi jak człowiek, a maczeta wstanie i zatańczy.

My, jego córki i żona, również nie jesteśmy niewinne. Występujemy w jego teatrze. Nas, Price'ów, ogólnie uważa się za ludzi

o uczciwych zamiarach, aczkolwiek nieudolnych. Wiem o tym. Nelson nigdy by tego wprost nie powiedział, ale zawsze mi mówi, kiedy go o to pytam, które słowa źle rozumiemy. Resztę potrafię sama sobie dośpiewać. Trzeba być kimś wyjątkowym, żeby zwołać wiernych, stanąć przed nimi i dumnym, czystym głosem, tydzień po tygodniu, błędnie używać słów. Na przykład bandika, zabić kogoś. Jeśli wypluje sieje z siebie za szybko, tak jak to robi wielebny, oznacza ono wtedy „oskubać roślinę z liści” albo „zdeflorować dziewicę”. Jakie to musi być zaskoczenie dla Kongijczyków, kiedy słyszą, że dzielny Dawid, który zamierzał powalić mocarnego Goliata, w istocie podskakiwał i skubał rośliny z liści albo jeszcze gorzej.

Potem jest batiza, obsesja hołubiona przez Ojca Naszego. Batiza wymawiana z odpowiednio ułożonym językiem oznacza „chrzest”. W przeciwnym razie znaczy „przestraszyć”. Nelson spędził część popołudnia na ilustrowaniu mi tego niuansu fonetycznego, kiedy wyskrobywaliśmy ze skrzynek kurze odchody. Nikt jeszcze tego nie wyjaśnił wielebnemu. Są takie obszary wiedzy, których on nie ma ochoty zgłębiać. Może powinien czasem posprzątać kurniki.

Ruth May

Czasami ma się ochotę leżeć i patrzeć na cały świat z boku. Mama i ja tak robimy. To bardzo przyjemne. Jeśli położę na niej głowę, świat widziany z boku rusza się w górę i w dół. Ona robi hhh-hu, hhh-hu. Jest miękka na brzuchu i wyżej. Kiedy ojciec i Lea polecili samolotem, potrzebowałyśmy się na jakiś czas położyć.



Czasami mówię do niej: mamusiu, mamusiu. Tylko tyle. Ojciec nie słyszy, więc mogę tak mówić. Jej prawdziwe nazwisko jest mama i pani Price, ale ja ją w tajemnicy nazywam mamusia mamusia. Odleciał samolotem i powiedziałam: — Mamusiu, mam nadzieję, że on nigdy nie wróci. — Rozplakałyśmy się.

Ale było mi smutno i chciałam, żeby Lea wróciła, bo by mnie

wzięła czasami na barana, kiedy nie wydziera się na mnie, żebym jej dała spokój. Każdy jest czasami miły, a mały Jezus mówi, żeby wszystkich kochać, nawet jeśli nie ma się na to ochoty. Mały Jezus wie, co powiedziałam o ojcu, żeby nigdy nie wrócił, a ojciec jest pastorem, więc Bóg i inni kochają go najbardziej.

Śniło mi się, że wszedłam na wierzchołek drzewa awokado i patrzyłam z góry na nich wszystkich, malutkie dzieci z krzywymi nogami jak u kowboja i wielkimi oczami i na malusieńkie pozawijane dzieci z małymi rączkami i twarzami, które są takie same jasne, dopóki nie zrobią się starsze i zaczną czernieć—musi chyba zająć trochę czasu, zanim Bóg zauważy, że oni są potomkami Chama. I domy w kolorze błota, takiego samego jak ziemia, na której siedzą. Mamusia mówi, że w całej wiosce nie ma jednej rzeczy, której by nie spłukał jeden porządny deszcz. Widziałam też z drzewa mamusię mamusię, górny kawałek. Myślała o zwierzętach.

Czasami, kiedy człowiek się budzi, to nie wie, czy to sen czy naprawdę.

Ada

Wyroki boskie, jak dobrze wiadomo, są niezbadane. Nie ma takiej rzeczy, której Bóg nie potrafiłby od czasu do czasu zrobić. Na przykład zsyła tyle deszczu, że cały ten ludek pije nawzajem swoje ścieki i umiera na kakakaka. Potem zorganizuje suszę, żeby spalić pola ignamu i manioku, więc kto nie umarł

na febrę, skręci się z głodu. Co zdarzy się dalej, zadajesz sobie pytanie. Kolejny wyrok boski, ot co!

Kiedy Niepodległość pozbawiła nas pensji i wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym, wyszło na to, że plan Boży żąda od matki i Ruth May, aby prawie śmiertelnie zachorowały. Gorączkujące, pocętkowane, z obłożonymi językami, zmęczone i ociężałe, dotarły do granicy tego, co normalnie uważa się za żywe ludzkie ciało.

Wielebny nie sprawiał wrażenia, aby się tym przejął. Nie ustawał w swej pracy misyjnej, na całe dni zostawiał dom pod

opieką swych trzech starszych córek, sam zaś odwiedzał niezbawione dusze albo dyskutował z Anatole'em o narzuceniu jego młodemu uczniom kursu biblijnego. Ach, ta Biblia, w której każdego osła posiadającego szczękę oczekuje godzina chwały!\* (Anatole nie zapalił się zbytnio do tego projektu). Często wielebny po prostu wychodził i godzinami spacerował nad rzeką, wypróbując swe kazania na polnych kwiatach — które rozumieją go mniej więcej tak samo dobrze jak jego wierni, lecz są znacznie lepszymi słuchaczami. W sumie stanowisko jedyne emisariusza Pana Boga do Kilangi nakładało na Ojca Naszego ogrom pracy. Jeśli zdręczałyśmy go naszymi zmartwieniami co do matki, odpowiadał sucho, że wkrótce usłyszy wezwanie Boże i zwlecze się z łóżka. W nocy słyszałyśmy dziwne, zmieszane ze łzami klótnie, w których matka mówiła cichym, zniekształconym, spowolnionym głosem, jak płyta gramofonowa puszczone na nieodpowiednich obrotach, i odmalowywała perspektywę wymarcia całej naszej rodziny. Ojciec przerywał jej poirytowanym tonem, że wyroki boskie są niezbadane. Tak jakby była to dla niej nowina.

Niezbadane przechlapane przekłamane naciągane wyroki.

Nasi sąsiedzi dosyć obojętnie zareagowali na naszą degradację, ponieważ byli zajęci swoją własną. Pascal, przyjaciel Lei, był jedyną osobą, która wciąż

nas od czasu do czasu odwiedzała, domagał się, żeby wyszła z domu i poszła z nim do buszu na poszukiwanie przygód. Kiedy my mozoliłyśmy się, zmieniając pościel albo zmywając naczynia, Pascal czekał na podwórzu, rozpraszając nas wykrzykiwanymi amerykańskimi zwrotami, których nauczyła go Lea, w rodzaju: „Kurczę bąbel, wariactwo!” Kiedyś nas to rozśmieszało, ale teraz plułyśmy sobie w brodę, że nauczyłyśmy go bezczelności.

Drogi naszego dzieciństwa z dnia na dzień zbiegły się z drogami historii. Nikt prócz nas samych nie zauważył tego wydarzenia.

Zadanie dostarczania na stół chleba naszego powszedniego

\* Aluzja do fragmentu Księgi Sędziów, w którym Samson „szczękę osłą, która leżała, porwawszy, zabił nią tysiąc mężów”.

najwyraźniej spadło na nas i praca, która się z tym wiązała, wykańczała mnie. Często sama miałam ochotę położyć się do łóżka. Moje siostry znosiły to w podobny sposób. Rachel miała zapadnięte oczy, zmęczoną twarz i czasami czesała włosy tylko raz dziennie. Lea zwolniła tempo od biegu do marszu. Nie rozumiałyśmy wcześniej, czego wymagało od naszej matki stawianie przed nami dzień w dzień solidnych posiłków. Ojciec do tej pory tego nie zrozumiał, skoro uważał, że może powierzyć to zadanie kalece, królowej piękności i chłopczycy, która boi się prac gospodarskich jak kot zimnej wody. Niezła z nas rodzinka!

Czasami Lea w środku nocy siadała na łóżku i chciała rozmawiać. Myślę, że była wystraszona, lecz często brała na tapetę ponizający epizod z Mamą Mwaną, która powiedziała bez ogródek, że ma w domu silnego mężczyznę. Leę dręczyło, że ludzie uważają naszą rodzinę za niekompletną, lecz nie dlatego, że nasza matka znajduje się u progu śmierci, tylko dlatego, że brakuje nam bdkala mpandi — silnego mężczyzny — który by nad nami czuwał.

— Ojciec nie poluje ani nie łowi ryb, bo ma wyższe powołanie — argumentowała Lea ze swego łóżka, tak jakby mnie nie przyszło to do głowy. — Czy one nie widzą, jak on ciężko pracuje w swoim zawodzie?

Gdybym miała ochotę włączyć się do dyskusji, zwróciłabym jej uwagę, że Mamie Mwanzie jego „zawód” przypuszczalnie przypomina zabawę w „Mamo, mogę?”, która polega na wypowiedaniu długich serii nonsensownych słów.

Nie potrzeba było nawet miesiąca, aby nasz dom pogrążył się w zupełnym chaosie. Musiałyśmy znosić narastającą furję ojca, kiedy po powrocie do domu stwierdzał, że przygotowania do kolacji utknęły w stadium nie rozstrzygniętego sporu, czy w mące są robaki albo czy w ogóle jest jakaś mąka. Kiedy jego niezadowolenie przekroczyło punkt krytyczny, wszystkie trzy, pocierając siniaki, zwołałyśmy kobiecy sejmik. Przy wielkim drewnianym stole, przy którym spędziłyśmy wiele nudnych godzin nauki algebry i historii Świętego Cesarstwa Rzymskiego, teraz zasiadłyśmy w celu ustalenia dalszej strategii.

— Po pierwsze musimy dalej gotować wodę, choćby nie wiem, co się działo — oznajmiła Rachel, przewodnicząca zebra niu. — Zapisz to, Ada. Jeśli nie będziemy gotowały wody przez trzydzieści minut, to złapiemy plebiscyty i inne paskudztwa.

Protokółantka odnotowała.

— Po drugie musimy wymyślić, co będziemy jeść.

Na półkach spiżarni w chacie kuchennej wciąż miałyśmy trochę mąki, cukru, mleka w proszku Carnation, herbaty, pięć puszek sardynek i suszone śliwki od Underdownów. Zapiisałam wszystkie te artykuły jeden pod drugim w zeszycie. Ze względu na moje siostry protokołowałam od lewej do prawej. Lea uzupełniła tę listę o owoce mango, guawy, ananasy i awokado, które pojawiały się i znikwały o tajemniczych porach roku (jakby małpowały Pana Boga z Jego

niezbadanymi wyrokami), ale przynajmniej rosły za darmo w naszym ogrodzie. Banany tak obrodziły wokół wioski, że ludzie kradli je sobie nawzajem z drzew w biały dzień. Kiedy dzieci Mamy Mwanzy zerwały kiść w dużym ogrodzie Nguzów, Mama Nguza podniosła z ziemi te, które upuściły, i zaniósła im później. Ośmielone tym widokiem, Lea i ja zerwałyśmy kiść wielkości Ruth May za wychodkiem Eebena Axelroota, kiedy on był w środku. A zatem owoce mogłyśmy mieć, nie uszczuplając naszych skromnych zasobów finansowych. Pomarańcze zawsze kupowałyśmy na marche, ponieważ rosły głęboko w dżungli i trudno je było znaleźć, ale Lea twierdziła, że wie, gdzie szukać. Mianowała się kierowniczką do spraw zbioru owoców, co nas nie zaskoczyło, ponieważ było to zajęcie, które najbardziej oddalało od domu. Zadeklarowała, że będzie również zbierała orzechy palmowe, chociaż według nas smakują zupełnie jak wosk, aczkolwiek dzieci kongijskie najwyraźniej w nich gustują. W każdym razie zapisałam w zeszycie: „Orzechy palmowe”, żeby przedłużyć listę. Celem całego przedsięwzięcia było przekonanie samych siebie, że wilk nie stoi za progiem tylnych drzwi, lecz na razie czeka, tocząc ślinę na granicy ogrodu.

Odпочywając pomiędzy swymi jakże doniosłymi wypowiedziami, Rachel studiowała końcówki swych włosów, czy się nie

rozdwiają. Przypominała zezowatego królika. Na wzmiankę o orzechach palmowych jęknęła:

— Ale dajcie spokój, przecież jeśli będziemy jadły same owoce, to umrzemy albo nawet dostaniemy biegunki.

— No to co jeszcze jest za darmo? — spytała Lea.

— Kury, oczywiście — powiedziała Rachel. — Możemy je zabijać.

Nie możemy zabić wszystkich, wyjaśniła Lea, bo nie będziemy miały jajek na omlety—a omlety należały do tych nielicznych potraw, które

umiałyśmy przyrządzać. Ale jeśli wysadzimy kilka kur, żeby zwiększyć przychówek, to będziemy mogły sobie pozwolić na upieczenie koguta tak z raz na miesiąc. Moje siostry mianowały mnie osobą odpowiedzialną ze wszelkie decyzje drobiarskie, uważały mnie bowiem za najmniej podatną na niekontrolowane impulsy, których mogłybyśmy później żałować. Ta strefa mózgu, która odpowiada za niekontrolowane impulsy, uległa u mnie zniszczeniu przy narodzinach. Kwestia, która z nas weźmie na siebie zarzyniecie nieszczęsnych kogutów, nie została podjęta. Dawniej z wielkim rozmachem robiła to nasza matka. W czasach, kiedy była szczęśliwszą kobietą, twierdziła, że ojciec ożenił się z nią dla jej zręczności w ukręcaniu głowy kogutom. Nasza matka skrywała kiedyś w sobie wiele tajemnic, lecz my nie zwracałyśmy na nią najmniejszej uwagi.

Następnie Lea podniosła trudną kwestię Nelsona: prawie połowa jajek szła na jego wynagrodzenie. Debatowałyśmy, co jest nam bardziej niezbędne: Nelson czy jajka. Jeśli chodzi o gotowanie, to nie miał już zbyt wiele do roboty, ale nosił wodę, rąbał drewno i tłumaczył nam wiele codziennych zagadek Kilangi. Ponieważ noszenie wody i rąbanie drewna nie było moją mocną stroną, nie mogłam opowiedzieć się za życiem bez Nelsona. Moimi siostrami rządziły, jak sądzę, inne lęki. W tajnym głosowaniu jednomyślnie postanowiłyśmy go zatrzymać.

— A ja będę piekła chleb. Mama mnie nauczy — oznajmiła Rachel, jakby to rozwiązywało wszystkie nasze problemy.

Mama dołączyła niezauważenie do naszego zebrania: stanęła

w oknie od frontu i wyglądnęła na zewnątrz. Chrząknęła i wszystkie trzy skierowałyśmy na nią wzrok: Orleanna Price, niegdysiejsza piekarka naszego chleba. Nie wyglądała na osobę, która mogłaby kogokolwiek nauczyć prosto zapinać koszulę, a co dopiero piec chleb. To przykra rzecz, kiedy po kilkunastu

latach słuchania napomnień, że trzeba wkładać koszulę w spódnicę i chodzić jak dama, widzisz własną matkę rozchełstaną. Wyczuwając naszą milczącą dezaprobatę, spojrzała na nas. Jej oczy były czystego niebieskiego koloru bezdeszczowego nieba. Puste.

— Wszystko w porządku, mamusiu — powiedziała Lea. — Możesz wracać do łóżka, jeśli chcesz. — Lea nie nazwała jej mamusią, odkąd wyróżnęły nam się pierwsze zęby trzonowe. Mamusia z domu Orleanna podeszła i pocałowała nas w czubki głowy, a potem wróciła na swoje łoże śmierci.

Lea powiedziała do Rachel:

— Ty mięczaku, nie umiałabyś nawet przesiać mąki!

— Odezwała się geniuszka — odpaliła jej Rachel. — A mogę spytać, z jakiego powodu? — Gryzłam ołówek i oglądałam ten spektakl.

— Bez szczególnego powodu — powiedziała Lea, drapiąc się za uchem w krótką, potarganą fryzurę. — Jestem pewna, że to dla ciebie żaden problem wsadzić rękę do worka mąki z tymi wszystkimi wołkami i robakami.

— W mące nie zawsze są robaki.

— Nie, masz rację. Czasami zjadają je tarantule. Parsknęłam śmiechem. Rachel wstała i odeszła od stołu. Przerwawszy milczenie, aby opowiedzieć się po stronie Lei,

uznałam, że dla równowagi muszę ją teraz skarcić.

— JEŚLI NIE BĘDZIEMY TRZYMAĆ SIĘ RAZEM... — napisałam w zeszycie.

— Wiem, trzymamy się każda osobno. Ale trzeba ściągnąć Rachel z piedestału. Do tej pory nie kiwnęła palcem, a teraz pozuje na wzorową gosposię?

Faktycznie. Rachel w roli gospodyni to byłoby tak, jakby Donna Reed, gwiazda małego ekranu, nagle okazała się twoją

\*"

matką. To musi być fikcja. Zaraz zdejmie fartuch i zamieni się w kogoś, kto ma gdzieś twoje problem

y.

Bied

na, despoty

czna Rachel, próbuje zbudow

ać karierę najstarszej siostry na zaledwi

e szesnast

omiesię

cznej różnicy wieku, chcąc, abyśmy uszano

wały w niej nestorkę

. Jednak Lea i ja nie myślały

śmy tak o niej od drugiej klasy, kiedy prześcig

nęliśmy ją w szkolny

m konkurs

ie ortograf

icznym. Potknęł

a się na śmiesz



ie łatwym słowie „scheda

".

Lea

Po trzech tygodni

ach dołowa

nia nakłonił

am Ruth May do wstania z łóżka. Po prostu powiedz

iałam:

— R

uth May, słoneczk

o, wstawaj. Chodź, powłócz

ymy się trochę. — Z matką nie dało się wiele zrobić, ale przez długi czas  
opiekow

iałam się Ruth May i chyba miałam prawo uważać, że wiem, co jest dla  
niej dobre. Miała potrzebę rozkazy

wania. Nasze zwierzęt

a w większo

ści albo pouciek

ały, albo zostały zjedzone

, jak to było w przypad

ku Matuzal

ema, lecz Kongo wciąż oferował

o szeroki wachlarz stworzeń Bożych dla naszej rozrywki

. Zabrała

m Ruth May na dwór, żeby pobyła trochę na słońcu, ale osuwała się na  
ziemię, gdziekolwiek

wiek ją umieścił

am, zupełnie wyczerpana z energii. Zachow

ywała się jak szmacina

na lalka, którą włożono do pralki.

— J

ak myślisz, gdzie się podział Stuart Malutki

? — spytała

m jej. Użyłam tego imienia, żeby sprawić jej przyjem

ność, praktycz

nie przyzna

wałam w ten sposób, że mangust

a jest jej własność

cią. Nie złapała go ani się nim specjaln

ie nie zajmow

iała, kiedy go ochrzcił

a wziętym z książecz

ki dla dzieci imienie

m nie tego zwierzę

cia, co trzeba, a mianowi

cie myszy. Nie mogłam jednak zaprzecz

yć, że mangust

a wszędzi

e za nią chodziła

.

— U

ciekł

. Nie zależ

y mi.

— P

opatr

z, Ruth May, mró

wkol

wy.

Podc

zas długiej, dziwnej suszy, która zastąpiła porę deszczu

wą z poprzed

niego roku, biały pył pokrył nasze podwórz

e szeroki

mi

płachtami, nakrapianymi pułapkami w kształcie lejków, na dnie których mrówkolwy czekały na jakiegoś biednego owada, który wpadnie w pułapkę i da się pożreć. Nigdy nie widziałyśmy samych mrówkolwów, tylko ich diabelskie konstrukcje. Aby rozbawić Ruth May, powiedziałam jej, że wyglądają jak lwy na sześciu nogach i są takie duże jak jej lewa ręka. Tak naprawdę to nie wiem, jak wyglądają, ale biorąc pod uwagę, jakie w Kongo wszystko jest przerośnięte, ten rozmiar wydawał mi się wiarygodny. Zanim zachorowała, Ruth May kładła się na brzuchu i śpiewała do lejków: „Wstrętny zwierzu, wstrętny zwierzu, wylaż ze swej nory!” Ta monotonna inkantacja, która ciągnęła się czasem przez całe popołudnie, miała je stamtąd wywabić, ale nigdy się to nie udało. Dominującą cechą charakteru Ruth May jest jej nieprzemakalny upór, lecz teraz, kiedy jej to zasugerowałam, tylko przekręciła głowę na bok i położyła ją w pyle.

— Za gorąco mi na śpiewanie. I tak nigdy nie wychodzą. Postanowiłam, że muszęjakoś rozkręcić. Bałam się, że jeśli

nie znajdę w Ruth May żadnej iskry, to wpadnę w panikę albo rozplącę się.

— O, popatrz! — powiedziałam. Znalazłam kolumnę mrówek, które biegły w górę pnia drzewa i wzięłam do ręki dwa okazy. Pechowe stworzenia, padło akurat na nie, choć pracowały, niczym się nie wyróżniając, ramię w ramię ze swymi siostrzyca- mi. Nawet mrówka otrzymała w darze od Boga życie i przez chwilę rozważałam tę kwestię, zanim się pochyliłam i wrzuciłam częściowo rozgniecioną mrówkę do pułapki mrówkolwa. Kiedyś karmili lwy chrześcijanami i teraz Ada wytyka mi czasami, jako bym zostawiła ją w lesie na pożarcie. Lecz Ada jest w nie większym stopniu chrześcijanką niż mrówka.

Przykucnęłyśmy nad dziurą i czekałyśmy. Mrówka szamotała się w miękkiej, piaszczystej pułapce, aż nagle pojawiła się para szczypiec, które ją złapały, wzbijając trochę kurzu i porwały w dół. Po prostu zniknęła.

— Nie wrzucaj już więcej, Lea — powiedziała Ruth May. — Ta mrówka nie była zła.

Zawstydziałam się, wysłuchawszy od mojej siostrzyczki tego pouczenia na temat moralności owadów. Zazwyczaj Ruth May kierowała się w swych poczynaniach bezgranicznym okrucieństwem, a ja rozpaczliwie próbowałam jej pomóc odzyskać dawny humor.

— Nawet złe zwierzęta muszą jeść — zauważyłam. — Każde stworzenie musi jeść, żeby żyć. Nawet lwy.

Podniosłam Ruth May i starłam jej kurz z policzka.

— Usiądź na huśtawce, to cię uczeszę — powiedziałam. Od wielu dni nosiłam grzebień w tylnej kieszeni, żeby dorwać się do fryzury Ruth May. — Kiedy zrobię ci warkocze, pohuśtam cię trochę, chcesz?

Ruth May nie wykazywała żadnych wyraźnych preferencji. Posadziłam ją na huśtawce, którą Nelson pomógł nam powiesić na grubej linie znalezionej nad rzeką. Funkcję siedzenia pełniła stara, prostokątna puszka oleju palmowego. Wszystkie dzieci w wiosce używały naszej huśtawki. Otrzepałam grzebień z kurzu i zaczęłam rozplątywać pozawężlaną masę żółtych włosów, w którą zbiła się jej fryzura. Nie dało się tego tak zrobić, żeby jej nie bolało, ale ani jęknęła, co uznałam za zły znak.

Kątem oka zobaczyłam Anatole'a na poły schowanego w gęstwinie trzciny cukrowej na skraju naszego podwórza. Nie ścinał trzciny, bo jej nie zuje — myślę, że jest trochę próżny na punkcie swoich silnych białych zębów z urodziwą szparą pośrodku. W każdym razie stał tam i patrzył na nas, a ja

zapłoniam się na myśl, że mógł mnie widzieć, jak karmiłam mrówkolwy. To wydawało się takie dziecinne. W świetle dziennym prawie każdy w Kilandze wydawał się dziecinny. Nawet ojciec, kiedy spacerował nad rzeką i mówił do siebie, czy nasza matka, która snuła się po domu półrozebrana. Czesanie włosów Ruth May mogło przynajmniej uchodzić za czynność macierzyńską i praktyczną, więc skoncentrowałam się na tym. Ganiąc się za to w duchu, wyobraziłam sobie, że mam ojca, który lśniącymi rękami wylawia z rzeki ryby i matkę z ciemnymi, ciężkimi piersiami, która tłucze maniok w drewnianej stępie. Potem z przyzwyczajenia zaczęłam recytować psalm pokutny: „Zmiłuj się nade mną, Boże, w ogromie swego miłosierdzia”. Nie byłam jednak pewna, które przykazanie

złamałam swoimi myślami — czcij ojca i matkę swoją, nie pożądaj rodziców bliźniego swego czy może coś bardziej nieokreślonego, związanego z wiernością wobec własnej rasy i klasy. Anatole ruszył w naszą stronę. Pomachałam mu i zawołałam:

— Mbote, Anatole'u

— Mbote, Beene-beene — powiedział. Ma specjalne imiona dla każdej z nas, nie obraźliwejak te, których używają inni ludzie, na przykład Termit i Benduka na Adę, co się tłumaczy „ta, co krzywo chodzi”. Anatole nie chciał nam powiedzieć, co znaczą używane przez niego imiona. Zmierzwił Ruth May włosy, a mnie uścisnął dłoń po kongijsku, trzymając się lewą ręką za prawe przedramię. Ojciec powiedział, że w ten tradycyjny sposób pokazują sobie nawzajem, iż nie ukrywają żadnej broni.

— Jakie wiadomości? — spytałam Anatole'a. Ojciec zawsze tak do niego mówił. Mimo że pierwsza kolacja potoczyła się niepomyślnie, ojciec bardzo polegał na Anatole'u i niecierpliwie, chociaż chyba z pewnym zdenerwowaniem, oczekiwał jego wizyt. Anatole zawsze nas zaskakiwał

znajomością ważnych informacji ze świata zewnętrznego — a w każdym razie spoza Kilangi. Nie byliśmy pewni, skąd te informacje bierze, ale zazwyczaj się potwierdzały.

— Dużo wiadomości — powiedział. — Ale najpierw przyniosłem wam kota w torbie. — Uwielbiałam słuchać, jak Anatole mówi po angielsku. Miał taką wytworną brytyjską wymowę. Brzmiał jednak po kongijsku, kładąc identyczny nacisk na każdą sylabę, jakby żadne słowo nie zasługiwało na szczególne wyróżnienie.

— W worku — powiedziałam. — Mama tak mówi: „Nigdy nie kupuj kota w worku”. Ale worek to chyba to samo co torba.

— W każdym razie to nie jest kot i nie musisz tego kupować. Jeśli zgadniesz, co to jest, będziecie mogli to zjeść na kolację. — Na sznurku przerzuconym przez ramię miał płócienny worek, który mi podał. Zamknęłam oczy i oceniłam ciężar, potrząsając nim z góry na dół. Rzecz była rozmiarów kury, ale za ciężka na ptaka. Podniosłam worek do góry i oglądnęłam zaokrąglone dno. Zobaczyłam niewielkie wybrzuszenia, być może łokcie.

— Unwudla! — zawołałam, podskakując z radości jak dziecko. To był leśny królik. Kiedy Nelson przyrządzał je z fasolą mangvasi i owocami mango, nawet Rachel nie potrafiła odmówić, takie było pyszne.

Dobrze zgadłam: Anatole błysnął swym zniewalającym białym uśmiechem. Już nie potrafię sobie przypomnieć, jaki nam się z początku wydawał z wyglądu, kiedy byliśmy zaszokowane bliznami na jego twarzy. Teraz widziałam tylko Anatole'a mężczyznę, szerokiego w barach, wąskiego w biodrach, w białej koszuli i czarnych spodniach, Anatole'a z uśmiechem zawsze na podorędziu i chodzącego prężnym krokiem. Jego twarz miała wiele interesujących cech oprócz blizn, na przykład oczy w kształcie migdałów i

delikatnie zaostrowany podbródek. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi się podoba.

— Chciałbym móc odpowiedzieć tak, żebyś sobie pomyślała, że twój przyjaciel Anatole jest dobrym myśliwym, ale niestety, przyniósł go dzisiaj rano nowy uczeń, żeby zapłacić za naukę.

Zajrzałam do worka. Mała, włochata głowa była nienaturalnie odchylona do tyłu, bo królik miał przetrącony kark. Złapał się we wnyki, a nie został zastrzelony. Przycisnęłam worek do piersi i spojrzałam na Anatole'a z ukosa.

— Naprawdę byś go zabrał z powrotem, gdybym nie zgadła? Uśmiechnął się.

— Dałbym ci dużo szans na zgadnięcie.

— Czy tak samo pobłażliwie traktujesz swoich chłopców na lekcjach matematyki i francuskiego? W takim razie nigdy się niczego nie nauczą.

— O nie, moja panno! Tłukę ich kijem po ich niegrzecznych głowach i odsyłam do domu skompromitowanych. — Oboje się roześmialiśmy. Wiedziałam, że to nieprawda.

— Proszę, przyjdź do nas dzisiaj na kolację, Anatole'u. Sami nie damy rady temu królikowi. — Wiedziałam jednak, że królik wystarczy tylko na niewielką potrawkę i że będziemy głodne, zmywając naczynia po kolacji — uczucie, do którego próbowałyśmy się przyzwyczaić. Ale w ten sposób ludzie w Kilandze mówią dziękuję. Przynajmniej nauczyłam się trochę dobrych manier.

— Może przyjdę — powiedział.

— Zrobimy potrawkę — obiecałam.

— Fasola mangwansi drogo kosztuje na targu. Z powodu suszy. Wszystkie ogrody wysychają.



— Przypadkiem wiem, kto jej trochę ma: Mama Nguza. Każę dzieciom przynosić wodę ze strumienia i polewa ogród. Nie widziałeś? Wszystko rośnie jej rewelacyjnie.

— Nie, nie widziałem tej rewelacji. Będę się musiał zaprzyjaźnić z Tatą Nguza.

— Mało o nim wiem. Nie rozmawia ze mną. Nikt ze mną nie rozmawia, Anatole'u.

— Biedna Beene.

— Nie mam tu ani jednego przyjaciela oprócz Nelsona i Pascala, dwóch małych chłopców! I ciebie. Wszystkie dziewczęta w moim wieku mają dzieci i są zbyt zajęte, a mężczyźni traktują mnie jak węża, który chce ich ukąsić. — Anatole pokręcił ze śmiechem głową. — Naprawdę, Anatole'u. Wczoraj siedziałam w trawie i patrzyłam, jak Tata Mwanza splata sieci na ryby, a kiedy wstałam i poprosiłam, żeby mi pokazał, jak się to robi, to uciekł i wskoczył do wody! Przysięgam!

— Jesteś bardzo niedobra, Beene. Wiesz o tym, że Tata Mwanza nie może sobie pozwolić, aby go widziano, jak rozmawia z młodą kobietą. To byłby skandal.

— Hmm — odparłam.

Dlaczego skandaliczne jest rozmawianie z każdym mężczyzną w Kilandze wystarczająco dorosłym, aby nie miał w spodniach dziury na pupie, z wyjątkiem Anatole'a? Nie spytałam jednak. Nie chciałam, aby cokolwiek położyło się cieniem na naszej przyjaźni.

— Przypadkiem wiem — powiedziałam trochę zadufanym tonem — że cybeta zadusiła w zeszłą niedzielę wszystkie kury Nguzów, więc Mama

Nguza powinna być skłonna przehandlować trochę fasoli mangwansi za jajka, nie sądzisz?

Anatole obdarzył mnie ogromnym uśmiechem. — Spryciara. Ja również się uśmiechnęłam, ale nie wiedziałam, co dalej

powiedzieć. Czułam się zażenowana i zaczęłam znowu czesać Ruth May włosy.

— Nasza mała cos' dzisiaj nachmurzona — powiedział Anatole.

— Leży w łóżku chora od wielu tygodni. Mama też. Nie zauważyłeś, jak przyszedłeś kiedyś, że stoi na ganku i wpatruje się przed siebie? Ojciec mówi, że żadnej z nich nic nie będzie, ale... — Wzruszyłam ramionami. — Myślisz, że to może być ta śpiąca choroba?

— Raczej nie. To nie jest pora much tse-tse. W tej chwili w Kilandze nie ma prawie nikogo chorego na śpiączkę.

— To dobrze, bo słyszałam, że się na to umiera — powiedziałam, wciąż czesząc Ruth May włosy, czułam się, jakby ktoś mnie zahipnotyzował do tych monottonnych ruchów. Ruth May przez całe tygodnie nie rozplatała warkoczy, spała w nich i pociła się, przez co jej ciemnoblonde włosy przypominały lśniące fale wody. Anatole wpatrywał się w nie, kiedy je rozczesywałam. Podczas tej długiej chwili milczenia zniknął gdzieś jego uśmiech.

— Są wiadomości, Beene, skoro o to pytałaś. Niestety, niezbyt pomyślne. Przyszedłem porozmawiać z waszym ojcem.

— Nie ma go. Ale mogę mu przekazać.

Ciekawe, czy Anatole uzna mnie za wystarczająco godną zaufania, aby powierzyć mi tę misję, pomyślałam. Zauważyłam, że kongijscy mężczyźni nie

traktują nawet swych własnych żon i córek jako rozsądnych i godnych uwagi stworzeń, mimo że z tego, co widziałam, żony i córki wykonywały prawie całą pracę.

Lecz Anatole najwyraźniej uznał, że może ze mną rozmawiać.

— Wiesz, gdzie jest prowincja Katanga?

— Na południu—powiedziałam.—Tam, gdzie są wszystkie kopalnie diamentów. — Podśluchałam rozmowę na ten temat, kiedy pan Axelroot wioził ojca i mnie do Leopoldville i z powrotem. Pan Axelroot często tam bywał.

— Tak, diamenty — powiedział Anatole. — Także kobalt, miedź i cynk. Twój kraj chce wszystkiego, co ma nasz kraj.

Poczułam się niepewnie.

— Zrobiliśmy coś złego?

— Nie ty, Beene.

Nie ja, nie ja! Serce podskoczyło we mnie z radości, chociaż nie wiedziałam dlaczego.

— Ale tak, dzieją się tam szemrane sprawy — powiedział. — Mówi ci coś nazwisko Moise Tshombe?

Być może je słyszałam, ale nie byłam pewna. Zaczęłam kiwać twierdząco głową, ale potem przyznałam się, że nie. W tej właśnie chwili postanowiłam przestać udawać, że wiem więcej, niż wiem. Od tej pory będę sobą, Leą Price, która chce dowiedzieć się wszystkiego, co jest do wiedzenia. Obserwując mojego ojca, doszłam do wniosku, że udając najmądrzejszego człowieka w okolicy, nie można się niczego nauczyć.

— Moise Tshombe jest wodzem plemienia Lunda. W gruncie rzeczy jest przywódcą prowincji Katanga, a od kilku dni przywódcą własnego państwa Katanga. Ogłosił niepodległość od Republiki Konga.

— Co? Ale dlaczego?

— Teraz sam może robić interesy z Belgami i Amerykanami. Mając te wszystkie minerały. Niektórzy z twoich rodaków mocno wspierali go w tej decyzji.

— Dlaczego nie mogą robić interesów z Lumumbą? To on został wybrany. Powinni o tym wiedzieć.

— Wiedzą, ale Lumumba nie ma ochoty powyprzedawać wszystkiego za pół darmo. Jest lojalny wobec swych rodaków. Wierzy w zjednoczone Kongo dla Kongijczyków i wie, że każdy diament z południa może zostać przeznaczony na pensję dla nauczyciela z Leopoldville albo na nakarmienie dzieci w wiosce Warega na północy.

Czułam się zarazem zawstydzona i zdezorientowana.

— Dlaczego przedsiębiorcy mieliby zabierać Kongu diamenty? A właściwie co tam robią Amerykanie? Myślałam, że Kongo należy do Belgii. To znaczy przedtem.

Anatole zmarszczył czoło.

— Kongo należy do Konga i zawsze należało.

— No, wiem o tym, ale...

— Otwórz oczy, Beene. Spójrz na swoich sąsiadów. Czy oni kiedykolwiek należeli do Belgii? — Pokazał między drzewami na dom Mamy Mwanzy.

Powiedziałam coś głupiego i nie wiedziałam, gdzie się podziać. Spojrzałam, tak jak mi kazał: Mama Mwanza z jej powykrzywianymi nogami i małą, szlachetną głową, jedno i drugie zawinięte w jasnożółty perkal. Siedziała na twardo ubitej ziemi, jakby zapuściła w nią korzenie, przed małym ogniskiem, którego płomień lizały wgniecioną puszkę służącą za garnek. Odchyliła się do tyłu na rękach, uniosła twarz ku niebu i zawołała coś rozkazującym tonem, po czym w glinianej, krytej strzechą chacie rozległ się chór mało entuzjastycznych odpowiedzi jej chłopców. Blisko otwartych drzwi dwie starsze córki tłukły maniok w wysokiej drewnianej stępie. Kiedy jedna unosiła tłuczek, druga opuszczała do wąskiego otworu — do góry i w dół, idealnie równy rytm, jak tłoki dwucylindrowego silnika. Często na nie patrzyłam, zafascynowana tym tańcem wyprostowanych pleców i umięśnionych czarnych ramion. Zazdrościłam tym córkom, które pracowały razem tak doskonale ze sobą zsynchronizowane. Tak samo mogło być z Adą i mną, gdyśmy nie pozwoliły się wciągnąć w sidła poczucia winy i niezasłużonych przywilejów. Teraz wydawało się, że cała rodzina jest ze sobą w niezgodzie: matka przeciwko ojcu, Rachel przeciwko im obojgu, Ada przeciwko całemu światu, Ruth May bezsilnie szarpie każdego, kto przechodzi w pobliżu, a ja robię co mogę, żeby pozostać po stronie ojca. Byliśmy tak zaplątani w sieć wzajemnych uraz, że prawie ich nie rozumieliśmy.

— Dwoje jej dzieci zmarło podczas epidemii — powiedziałam.

— Wiem.

Oczywiście, że wiedział. Nasza wioska była mała, Anatole znalazł każde dziecko po imieniu.

— To skandal — powiedziałam nieporadnie. Ograniczył się do skinienia głową.

— Dzieci nie powinny w ogóle umierać.

— Nie powinny, ale gdyby nie umierały, to nie byłyby takie cenne.

— Anatole'u! Powiedziałbyś to samo, gdyby zmarły twoje własne dzieci?

— Oczywiście, że nie. Ale to prawda. Poza tym gdyby wszyscy dożywali późnego wieku, to starość nie byłaby takim skarbem.

— Ale każdy ma chyba prawo chcieć żyć długo.

— Każdy ma prawo chcieć, ale pomyśl, co by było, gdyby wszyscy pradziadkowie wciąż żyli. W wiosce roiłoby się od starych zgredów, którzy kłóciliby się o to, kto ma najbardziej niewdzięcznych synów i kogo najbardziej bolą kości, i wyjadaliby całe jedzenie, zanim dzieci dotarłyby do stołu.

— To mi przypomina festyn parafialny u nas w Georgii — powiedziałam.

Anatole parsknął śmiechem.

Mama Mwanza znów krzyknęła i klasnęła w dłonie, wywabiając z domu niechętного syna, który powłóczył płaskimi stopami z różowymi podszewkami. Potem ja też się roześmiałam, bo ludzie, młodzi czy starzy, są na całym świecie tacy sami. Odetchnęłam trochę, nie czując się już jak strofowany uczeń Anatole'a.

— Widzisz to, Beene? To jest Kongo. Nie minerały i kamienie, które połyskują i są puste w środku, to wszystko, czym handluje się za naszymi plecami. Kongo to my.

— Wiem.

— Jak sądzisz, kto jest jego właścicielem? Nie zaryzykowałam żadnej hipotezy.

— Przykro mi to mówić, ale ci ludzie, którzy zawierają teraz układy w Katandze, przyzwyczajeni są do tego, że dostają, czego chcą.

Końcem grzebienia powoli rozdzieliłam Ruth May włosy nad czołem. Ojciec powiedział kiedyś, że po Niepodległości w slumsach Leopoldville można będzie poprawić warunki życia dzięki pomocy amerykańskiej. Może byłam naiwna, że mu uwierzyłam. Tak samo nędzne dzielnice można było znaleźć w samym środku Ameryki, na obrzeżu Atlanty, gdzie przebiegała granica między czarnymi i białymi.

— Możecie tutaj zrobić to samo, co oni tam? Ogłosić swoje własne państwo? — spytałam.

— Premier Lumumba mówi, że absolutnie nie. Prosił ONZ o przysłanie wojska, żeby przywróciło jedność kraju.

— Będzie wojna?

— Już teraz jest coś w rodzaju wojny. Moise Tshombe zatrudnia Belgów i najemników. Nie sądzę, aby wyjechali bez walki. A Katanga nie jest jedynym miejscem, gdzie rzucają kamieniami. Innego rodzaju wojna toczy się w Matadi, Thysville, Boende, Leopoldville. Ludzie są bardzo źli na Europejczyków. Krzywdzą nawet kobiety i dzieci.

— Za co są tacy wściekli na białych? Anatole westchnął.

— To duże miasta. Tam, gdzie boa i kura leżą razem, mogą być tylko kłopoty. Ludzie za dużo się napatrzyli, ile Europejczycy mają wszystkiego. Wyobrażali sobie, że po Niepodległości życie natychmiast stanie się sprawiedliwe.

— Nie mogą być trochę cierpliwsii?

— A ty byś mogła? Gdybyś miała pusto w żołądku i zobaczyłabyś za szybą cały kosz chleba, dalej czekałabyś cierpliwie, Beene? Czy rzuciłabyś kamieniem?

Chciałam mu powiedzieć, że mam pusto w żołądku.

— Nie wiem — przyznałam. Pomyślałam o domu Under- downów w Leopoldville, z perskimi dywanami, srebrnym serwi sem do herbaty i ciasteczkami czekoladowymi — wyspa pośród morza blaszanych bud i głodu. Może w tej właśnie chwili boso- nodzy chłopcy buszowali po tym domu, plądrowali niemal pustą spiżarnię i podpalali zasłony w kuchni, które wciąż pachniały aromatyzowanym mydłem Underdownów. Nie potrafiłabym powiedzieć, po której stronie jest racja. Rozumiałam, co Anatole miał na myśli, kiedy powiedział o węzach i kurach, które przeby wają zbyt blisko siebie w takim miejscu: można było zobaczyć ślad brzusznych łusek nienawiści i uciec z krzykiem. Nerwowo rzuciłam okiem na nasz własny dom, w którym nie było dywanów ani serwisów do herbaty, ale jakie to miało znaczenie? Czy Pan

Jezus nas obroni? Kiedy zajrzy nam w serca, aby ocenić, ile jesteśmy warci, czy znajdzie w nich miłość do naszych kongijskich bliźnich czy też pogardę?

— No, utrzymanie pokoju jest zadaniem ONZ — powiedziałam. — Kiedy przyjadą?

— Wszyscy chcieliby to wiedzieć. Jeśli nie przyjadą, to premier zagroził, że poprosi o pomoc pana Chruszczowa.

— Chruszczowa — powiedziałam, starając się pokryć zaszokowanie. — Komuniści mieliby pomóc Kongu?

— O, tak, myślę, że by pomogli. — Anatole spojrzał na mnie dziwnie. — Wiesz, co to jest komunista, Beene?



— Wiem, że nie boją się Pana Boga i uważają, że wszyscy powinni mieć takie samo... — Zdałam sobie sprawę, że nie potrafię dokończyć swojego własnego zdania.

— Mniej więcej taki sam dom — dopowiedział za mnie Anatole. — Z grubsza o to chodzi.

— Więc ja chcę, żeby ONZ natychmiast interweniowało i tak załatwiło sprawę, żeby było sprawiedliwie.

Anatole roześmiał się.

— Myślę, że jesteś bardzo niecierpliwą dziewczyną, która chce jak najszybciej wyrosnąć na niecierpliwą kobietę.

Zaczerwieniłam się.

— Nie martw się o pana Chruszczowa. Kiedy Lumumba mówi, że może dostać pomoc od Rosji, to jest... jak to się nazywa? // trompe son monde, jak kura, co stroszy pióra, żeby pokazać wężowi, że jest za duża do połknięcia.

— Blef — powiedziałam zachwycona, że to wiem. — Lumumba blefuje.

— Właśnie, blef. Myślę, że Lumumba przede wszystkim chce pozostać neutralny. Bardziej mu na tym zależy niż na własnym życiu. Nie chce oddawać naszych bogactw, ale przede wszystkim nie chce mieć twojego kraju za wroga.

— Ma trudne zadanie — powiedziałam.

— Myślę, że na całym świecie nie ma człowieka, który miałby trudniejsze zadanie od niego.

— Pan Axelroot nie ma o nim zbyt dobrego zdania — wy znałam. —  
Mówi, że Patrice Lumumba to katastrofa w pożyczonym garniturze.

Anatole pochylił się do mojego ucha.

— Powiedzieć ci coś w tajemnicy? Myślę, że pan Axelroot to katastrofa w swoim własnym śmierdzącym kapeluszu.

Strasznie mnie to rozśmieszyło.

Postaliśmy jeszcze chwilę, patrząc, jak MamaMwanza spiera się dobrodusznie ze swym leniwym synem i kilka razy zamachuje się na niego chochlą. Odskoczył, krzycząc przesadnie. Jego siostry też sztorcowały go ze śmiechem. Zdałam sobie sprawę, że Mama Mwanza ma bardzo ładną twarz, z szeroko osadzonymi oczami, poważnymi ustami i wysokim, zaokrąglonym czołem pod chustką. Jej mąż nie wziął sobie innej żony, nawet po jej strasznym wypadku i utracie dwóch najmłodszych dzieci. Ich rodzina zaznała tyłu nieszczęść, a mimo to tak łatwo przychodził im wspólny śmiech. Zazdrościłam im z pasją bliską zarazem miłości i furii.

— Widziałam Patrice'a Lumumbę — powiedziałam do Anatolem. —  
Wiedziałeś o tym? Ojciec i ja oglądaliśmy jego mowę inauguracyjną w Leopoldville.

— Naprawdę? — Anatole był pod wrażeniem. — No to sama potrafisz wyrobić sobie zdanie. Co sobie pomyślałaś o naszym premierze?

Musiałam się chwilę zastanowić, żeby mu na to odpowiedzieć.

— Nie wszystko rozumiałam, ale mówił w taki sposób, że chciałam wierzyć w każde jego słowo. Nawet te, których nie byłam pewna.

— W takim razie rozumiałaś wystarczająco dobrze.

— Anatole'u, czy Katanga jest daleko stąd? Poglaskał mnie palcem w policzek.

— Nie martw się, Beene. Nikt nie będzie do ciebie strzelał. Idź ugotować królika. Ja wrócę, kiedy poczuję zapach potrawki z unwundła za moim biurkiem w szkole. Sala mbote!

— Wenda mbote! — Chwyciłam się za przedramię i uścisnęłam mu dłoń.

— Dziękuję ci, Anatole'u — zawołałam do jego pleców, gdy odchodził. Dziękowałam mu nie tylko za królika, ale też za to, że mi to wszystko zrelacjonował. Za to, w jaki sposób powiedział: „Nie ty, Beene” i „Zrozumiałaś wystarczająco dobrze”.

Odwrócił się i przez kilka płasających kroków szedł tyłem.

— Nie zapomnij powiedzieć ojcu o secesji Katangi.

— Nie ma mowy, żebym zapomniała.

Wróciłam do warkoczy Ruth May, ale wciąż miałam pod powiekami szerokie ramiona i wąskie biodra Anatole'a, trójkąt białej koszuli, która oddalała się od nas, kiedy zdecydowanym krokiem szedł gruntową drogą z powrotem do wioski. Chciałabym, żeby ludzie w kraju, którzy czytają w gazetach historie o tańczących kanibalach, mogli zobaczyć coś tak zwyczajnego jak czysta biała koszula i dobre oczy Anatole'a albo Mama Mwanza z dziećmi. Jeśli słowo „Kongo” rodzi w ludziach wyłącznie skojarzenia z tym ludożercą o wielkich wargach z rysunku, to myślę się co do tego kraju na całej linii. Ale jak ich przekonać, że błędzą? Odkąd przyjechałyśmy, mama stale nas napominała, żebyśmy pisały do koleżanek z Bethlehem High School, ale żadna z nas jeszcze tego nie zrobiła. Wciąż się zastanawiałyśmy, od czego zacząć. „Dzisiaj rano wstałam...” Nie, inaczej: „Dzisiaj rano odsunęłam moskitierę, która szczelnie

owija nasze łóżka, bo moskity zarażają malarią, chorobą, która płynie we krwi i prawie wszyscy i tak na nią zapadają, ale nikt nie chodzi z nią do lekarza, bo są gorsze rzeczy, takie jak śpiączka, kakakaka albo jak ktoś rzuci na ciebie kibdzu, a poza tym właściwie nie mają tu lekarza ani pieniędzy, żeby za niego zapłacić, więc ludzie liczą na to, że będą mieli szczęście i dożyją starości, bo wtedy będą hołubieni, a na razie ciągną życie dalej, bo mają dzieci, które kochają, i pieśni do śpiewania przy pracy, i..."

Skończyłby mi się papier, zanim bym dotarła do śniadania. Trzeba byłoby wytłumaczyć słowa, a potem same wytłumaczenia.

Ruth May dalej siedziała apatycznie, kiedy ja oddawałam się refleksjom i kończyłam jej splatać warkocze. Wiedziałam, że należało ją wykąpać i umyć jej włosy, zanim je rozczesałam, ale

na myśl o tym, że miałabym wywlekać wielką balię i podgrzewać kilkanaście czajników wody... to więcej niż cały dzień pracy, a teraz miałam na głowie problem znalezienia fasoli mangwansi i obdarcia królika ze skóry. Można już na pewno pożegnać się z dzieciństwem, kiedy jest królik do obdarcia ze skóry i człowiek musi sobie powiedzieć: „Nikt tego za ciebie nie zrobi”. A zatem Ruth May musiała się obejść tego dnia bez kąpieli. Popychałam ją więc tylko przez jakiś czas na huśtawce, tak jak obiecałam, a ona wierzgała trochę nogami. Może sprawiało jej to przyjemność, nie wiem. Mam nadzieję, że tak. Słowa Anatole'a coś we mnie zmieniły. To prawda, że choroba i śmierć sprawiają, że dzieci są bardziej cenne. Wcześniej tak od niechcienia groziłam Ruth May śmiercią, żeby była grzeczniejsza. Teraz stanęłam przed perspektywą, że naprawdę moglibyśmy ją stracić i poczułam, jakbym zamiast serca miała coś miękkiego i uszkodzonego, jak obita brzoskwinia.

Ruth May szybowiała do przodu i do tyłu, a ja patrzyłam na jej cień, który kładł się na białym pyłe pod huśtawką. Za każdym razem, gdy docierała na

szczyt łuku, jej nogi z cienia przekształcały się w cienkie, zakrzywione nogi antylopy, z małymi, zaokrąglonymi kopytami na końcach, zamiast stóp. Obraz mojej siostry z nogami antylopy sparaliżował mnie i przeraził. Wiedziałam, że to sprawka cienia i kąta padania słońca, ale to mimo wszystko zatrważające, kiedy bliska osoba nagle zmienia się w coś zupełnie innego.

Ruth May

Wszystkie te czarne twarze, które patrzą na mnie w czarną noc. Chcą, żebym poszła się z nimi bawić. Ale w nocy nie można powiedzieć tych słów na głos. Mamo, mogę? Nie, nie możesz! Mama mówi nie. Mama jest tutaj i oddycha. Kiedy obie śpimy, słyszę, jak mówi, mówi: nie nie nie nie. Ale jaszczurki uciekają po ścianach do góry z resztą jej słów, więc ich nie słyszę.

Czasami się budzę i... nikogo. Na dworze jest słońce, więc wiem, że jest jasny dzień, ale wszyscy poszli, a ja za bardzo się

pocę i nie mogę o tym nikomu powiedzieć. Innymi razami jest ciemno, a mama i ojciec mówią sobie tajemnice. Mama błaga ojca. Mówi, że w Stanleyville napastowali białe dziewczęta. Wchodzili do ich domów i zabierali wszystko, co chcieli, jedzenie, baterie do radia i w ogóle. Kazali misjonarzom stanąć nago na szczycie dachu bez ubrania, a potem dwóch zastrzelili. Wszyscy o tym mówią i mama usłyszała. Stanleyville to jest tam, gdzie pan doktor założył mi gips na rękę. Czy on też musiał iść na dach szpitala bez ubrania? Nie mogę przestać myśleć o panu doktorze bez ubrania. Jaszczurki uciekają po ścianach do góry i zabierają wszystkie słowa, które chcę powiedzieć. Ale ojciec mówi, że w Biblii pisze: Pokorni posiadą ziemię. Chciał dotknąć mamy ręką, a ona go odepchnęła. „Ale wejrzyj na modlitwę sługi twego, aby były oczy twe otworzone nad tym domem we dnie i w nocy”.

Noc i dzień i noc i dzień. Pan Jezus ogląda nas przez okna, choćby nie wiem co. Widzi przez dach. Widzi, co nam się dzieje w środku głowy, kiedy

myślmy złe rzeczy. Próbowalam nie myśleć o panu doktorze bez ubrania ze wszystkimi innymi na dachu, ale miał żółte włosy na rękach. Rachel wydarła się, potrząsnęła swoimi białymi włosami i odpyskowała ojcu: „Wszyscy mają to gdzieś gdzieś gdzieś! Jaką to robi różnicę, jeśli stąd zwiejemy i wrócimy do domu, gdzie jest bezpiecznie?” Ojciec wrzasnął: „Bogu robi różnicę!” I Rachel walnęła o ziemię, jeszcze zanim usłyszałam hałas o ścianę i huknięcie ręki ojca. „Bóg brzydzi się tchórzem, który ucieka, gdy inni zostają i cierpią”.

Gdzie będziemy bezpieczni? Kiedy mama podnosi do niego oczy, są takie zimne, że w środku nie ma żadnej mamy, i mówi: — Nathanie Price, pokorni posiadają ziemię. Przekonasz się.

Wiem, że pokorni posiadają ziemię i ostatni będą piersi, ale ostatni byli potomkowie Chama. A teraz będą piersi? Nie wiem.

W naszej rodzinie ostatnia jest mama. Przedostatnia jest Ada, bo całą jedną stroną ma chorą, a na samym końcu jest mama, bo w niej jest coś jeszcze chorszego niż u Ady.

Nelson mi powiedział, jak znaleźć bezpieczne miejsce. Kiedyś się obudziłam i on stał koło łóżka.

Może jest na mnie zły, bo próbowałam go zobaczyć gołego, nie wiem. Moje usta nie potrafiły nic powiedzieć. Ale on stał koło mojego łóżka, a mamy przy mnie nie było.

Pochylił się i położył mi rękę na ustach, byliśmy zupełnie sami. Zupełnie sami. Ciii, powiedział i położył mi rękę na ustach. Myślałam, że chce mi zrobić coś złego, ale on był moim przyjacielem. Ciii, powiedział, wziął rękę z moich ust i dał mi prezent. A bu, Bandu. Weź to!

Bandu to moje imię. Nommo Bandu! To znaczy ta najmniejsza na samym dnie. To znaczy też powód wszystkiego. Nelson mi powiedział.

Co to jest, spytałam, ale słowa zostały mi w ustach. Zajrzałam w obie dłonie, gdzie mi to położył, i zobaczyłam małe pudełeczko, takie jak na zapalki. Pudełko po zapalkach. Na wierzchu był obrazek lwa i pomyślałam, że w środku będzie malutki lew do zabawy, jak te okropne zwierzaki, co jedzą mrówki, tylko miłszy. Stuart Lew. Ale nie. Nelson otworzył pudełeczko i wyjął coś, nie wiedziałam, co to jest. Wyglądało jak kawałek kości kury z chrząstką, owinięty sznurkiem i lepki od czegoś czarnego. Co to jest, coś zdechłego? Przestraszyłam się i chciałam się rozplakać.

Nelson powiedział, nie bój się. Powiedział, że to było w czarodziejskim ogniu. To się nazywa nkisi. Powiedział, żebym dotknęła i nie sparzyło mnie. Popatrz, powiedział. Podsunął mi pod same oczy. Z boku była dziurka i kołeczek, który pasował do dziurki, na sznurku. Włóż tam do środka swoją duszę, powiedział, szybko, dmuchnij w tę dziurkę. Wyciągnął kołeczek i dmuchnęłam do dziurki i on szybko powiedział moje imię Nommo Bandu Nommo Bandu Nommo Bandu! I zatkał dziurkę kołeczkiem i powiedział: — Teraz jesteś bezpieczna. Powiedział, że jeśli teraz coś mi się stanie, jeśli zacznę umierać albo coś, ściśnij to mocno w ręce i powiedz banbula! Ruth May zniknie.

Skąd wiesz? Ale Nelson wie wszystko o umarłych ludziach. Jego mama i ojciec i bracia i siostrzyczka wszyscy leżą umarli na dnie rzeki.

Nie chcę zniknąć, powiedziałam.

Ale on na to: — Tylko jak będziesz miała umrzeć. — Powiedział, że w ten sposób nie umrę, tylko zniknę na chwilę, a potem pojawię się w innym miejscu, gdzie będzie bezpiecznie. Zamiast umarła będę bezpieczna. Ale najpierw muszę codziennie myśleć o tym miejscu, żeby moja dusza wiedziała, gdzie uciekać, kiedy przyjdzie czas. „Musisz codziennie myśleć o swoim bezpiecznym miejscu”. Twarz Nelsona była większa od świeczki przy samej mojej twarzy i słyszałam, jak ładnie pachnie. Tym mydłem, którego używa do

mycia się i prania. Wszystkie te zapachy tak głośno dźwięczały mi w uszach. Nelson jest moim przyjacielem, nauczył mnie śpiewać do kur. Bidumuka to czarodziejskie imię kury. Nikt inny tego nie wie, nawet Lea i ojciec.

Nelson powiedział: — Nie zapomnij!

Włożyłam pudełko po zapalkach z obrazkiem lwa na wierzchu i spalonymi kośćmi w środku, włożyłam je pod poduszkę. Nkisi. Czasami się budzę, a ono wciąż tam jest. Jeśli przyjdą i każą mi wyjść gołej na dach, to po prostu zniknę i pojawię się w jakimś całkiem innym miejscu. Ale najpierw muszę pomyśleć, gdzie pójdę. Czuję pudełeczko w ręce. Poduszka jest mokra, a małe pudełeczko jest miękkie, ale wiem, co jest w środku. Tajemnica. Tam jest okno, a za oknem dzień, ludzie w drugim pokoju rozmawiają i nie wiedzą, że mam tajemnicę. Ale Nelson gdzieś poszedł, a jego mama nie żyje; zastanawiam się, dokąd poszedł, i nie pamiętam piosenki, którą śpiewaliśmy kurom.

Lea

Choroba Ruth May nie opuściła jej, ale mama zaczęła zdrowieć. Kiedy widziałam je obie zwinięte na tym samym łóżku, jedna powoli się wynurza, a druga traci grunt, naprowadziło mnie to na znajome, nieprzyjemne myśli o Adzie i mnie w brzuchu naszej matki. Modliłam się tysiące razy do Boga, żeby mi powiedział: Czy to ja zrobiłam Adzie? Jeśli okażę jej teraz więcej dobroci, to czy będzie mi wybaczone, że uczyniłam z niej kalekę?

Ale taki ogromny dług wydaje się tak niemożliwy do spłacenia, że na samą myśl ogarnia mnie zgroza.

Matka wykorzystała swoje własne rezerwy, nie kradnąc życia Ruth May ani nikomu innemu. Można powiedzieć, że czerpała siłę prosto z dusznego powietrza. Czasami widziałam, jak siedzi przez chwilę na skraju łóżka, zanim



wstanie, i oddycha głęboko przez zaciśnięte usta. Miała swoje lepsze i gorsze fazy, ale w końcu raz na zawsze przestała lunatykować. To się stało dosyć nagle, w dniu, w którym Rachel przypaliła omleta. A dokładniej, przypaliła dwa pod rząd — o wiele za mocno rozpaliła w piecu. Żeby uzyskać odpowiednią temperaturę do pieczenia chleba czy zrobienia czegoś tak delikatnego jak omlet, trzeba najpierw porządnie napalić grubymi polanami, a potem gotować, kiedy węgielki powoli dogasają. Rachel nigdy tego nie zrozumiała. Próbowwała jednocześnie rozpalać ogień i gotować, co do niczego nie prowadzi. Nie da się kontrolować ognia, który dopiero co został rozpalony, musi albo się zwiększyć, albo zgasnąć. Nelson mnie tego nauczył.

Ale Nelson poszedł przynieść przed zmrokiem wody, więc Rachel próbowała gotować sama. Tego dnia miała dyżur w kuchni i nie pomyślała wcześniej o tym, że Nelsona nie będzie. Słyszałam, jak wykrzykuje okropne rzeczy w chacie kuchennej. Poszłam zobaczyć, co się dzieje, i dać jej znać, że jesteśmy głodne.

— Guzik mnie obchodzi, że jesteście głodne! — wrzasnęła. — Nie widzisz, że mam tylko dwie ręce?

Widziałam. Używała ich obu naraz, żeby przesunąć poczerniałą patelnię za pomocą drewnianej szpatułki wyrobu Nelsona. Związane w koński ogon włosy jej się rozsypały, a swoją najlepszą bluzkę miała całą usmarowaną sadzą. Wyglądała jak przeciwieństwo Kopciuszka, dziewczyna, która uciekła od balowego życia, żeby zaznać jednego dnia w nieszczęściu pośród popiołów.

— Rozpaliłaś za duży ogień — powiedziałam jej.

— Idź do diabła, Lea, chyba znasz drogę.

— Chcę ci tylko pomóc. Popatrz, nie widzisz, że blacha

rozgrzała się do czerwoności? Kiedy tak się zrobi, musisz poczekać, aż trochę ostygnie. Potem możesz spróbować jeszcze raz. Rachel głośno westchnęła.

— Och, cóż ja bym poczęła bez mojej wybitnie uzwojonej siostry do pomocy.

— Uzdolnionej — poprawiłam ją.

— Zamknij się, do jasnej! Najlepiej by było, gdybyś się na zawsze zamknęła, jak ta twoja cholerna głuchoniema bliźniaczka geniuszka! — Okręciła się na pięcie i cisnęła we mnie szpatułką, która minęła mnie o włos i rąbnęła z hukiem o tylne drzwi domu. Byłam zaszokowana, nie tyle jej językiem, co siłą tego rzutu. Zazwyczaj Rachel rzucała od dołu, co nie stwarzało żadnego zagrożenia.

— Aha, postscriptum, Lea, nie ma już jajek — dodała z satysfakcją. — Tak dla twojej wiadomości.

— Coś musimy zjeść. Zjemy te spalone.

— Świetny pomysł. Wolałabym umrzeć, niż podać coś takiego ojcu. — Zrobiła okropny grymas w stronę patelni i potrząsnęła nią energicznie. — Ta przygoda kulinarna wygląda tak, jakby ją wrzucono do piekła i wyciągnięto z powrotem.

Rachel podniosła na mnie wzrok i położyła sobie lewą dłoń na ustach. Odwróciłam się. W drzwiach stała mama ze szpatułką w ręce.

— Rachel — powiedziała mama — chyba ci to upadło. Zastygłyśmy nieruchomo przed ołtarzem rozżarzonego do

czerwoności pieca. Rachel bez słowa wzięła od matki szpatułkę.

— Rachel, słoneczko, pozwól, że ci coś powiem. Rozumiem, że jesteś nieszczęśliwa, ale obawiam się, że to jest kara za szesnaście lat wybrzydzenia na moje jedzenie. Chcę, żebyś podała to paskudz two ojcui i wszystkim innym, łącznie z tobą. I chcę, żebyś bez słowa zjadła wszystko z talerza. Od jutra zacznę cię uczyć gotować.

Mama dotrzymała obietnicy. Po miesiącu spędzonym w łóżku wstała odmieniona. Po pierwsze chętnie dzieliła się tym, co jej leżało na wątrobie, z Bogiem i ludźmi. Nawet z ojcem. Nie mówiła bezpośrednio do niego. Można było odnieść wrażenie, że mówi wprost do Boga, albo do powietrza, albo do jaszczurek,

które przystawały w połowie drogi po ścianie, i nie robi jej większej różnicy, czy ojciec ją słyszy. Oznajmiła, że zabierze nas stamtąd, kiedy tylko znajdzie na to sposób. Zapytała nawet Eebena Axelroota prosto z mostu, czy nas weźmie. Na razie nie, odpowiedział, ponieważ najprawdopodobniej zostałyby zestrzelony nad Leopoldville, gdyby wioził cały samolot białych kobiet, a nie ma ochoty w ten sposób dostać się na czołówki gazet. Jednak innego dnia przyszedł, uśmiechając się z ukosa, i zwierzył się mamie, że każdy człowiek ma swoją cenę. Sądząc po minie mamy, zamierza tę cenę zapłacić.

Byłam zaszokowana i przerażona, widząc, jak mama buntuje się przeciwko autorytetowi ojca, ale szczerze mówiąc, odczuwałam podobne ciągoty. Po raz pierwszy w życiu wątpiałam w słuszność jego oceny. Kazał nam tutaj zostać, chociaż wszyscy, począwszy od Nelsona, a skończywszy na królu Belgii, mówili, że biali misjonarze powinni wracać do domu. Nasz dalszy pobyt w wiosce zależał wyłącznie od decyzji ojca. A przecież on nie troszczył się o nasze potrzeby, a na dodatek coraz częściej obrzucał nas wyzwiskami. Nie potrafił uchronić mamy i Ruth May przed chorobą. Jeśli to on ma decydować o naszym losie, to czy nie jest jego obowiązkiem opiekować się nami?

Chciałam w niego wierzyć. Było oczywiste, że jego misja duszpasterska nie została jeszcze wykonana. A czy można sobie wyobrazić lepszy moment, powiedział mi rozsądnie ojciec, kiedy wracaliśmy samolotem z Leopoldville, niż radosna atmosfera Niepodległości, kiedy wszystkim Kongijczykom wolno uczyć się od nas i dokonywać własnych wyborów? Ojciec wierzy, że wybiorą nieskończoną miłość Bożą, no i oczywiście nas, bo jesteśmy specjalnymi wysłannikami Boga do Kilangi. Mówi, że jesteśmy odważni i cnotliwi. Odwaga i cnota — dwie rzeczy, które Pan zawsze wynagradza. Ojciec nie wątpi w to ani przez chwilę i widzę, że w jego przypadku to się sprawdza. Przeżył wszystkie swoje dni zgodnie z prawami Chrystusowymi, głosił kazania na spotkaniach odnowy religijnej, kiedy był prawie w moim wieku, i przez cały ten czas ludzie garnęli się do jego słowa i jego

mądrości. Musiał być odważny podczas wojny, bo dostał order Purple Heart\*. W oczach ojca Królestwo Boże to nieskomplikowane miejsce, w którym wysocy, przystojni chłopcy walczą po zawsze zwycięskiej stronie. Przypomina chyba Kildeer w stanie Missisipi, gdzie ojciec się wychowywał i grał w szkole średniej na pozycji rozgrywającego. W tego rodzaju miejscu uważa się nawet za normalne, kiedy ludzie od czasu do czasu mocno poturbują przeciwnika, po sportowemu, nabijają mu kilka siniaków dla dobra ostatecznego wyniku.

Ale gdzie jest miejsce dla dziewcząt w tym Królestwie? Przepisy raczej się do nas nie stosują i nie chronią nas. Odwaga i cnotliwość dziewczyny w ogóle się nie liczą, jeśli nie jest jednocześnie ładna. Spróbuj być najinteligentniejszą! najbardziej chrześcijańską siódmoklasistką w Bethlehem, stan Georgia. Koleżanki i koledzy będą się z ciebie naśmiewali i przezywali kujonką. Albo jeszcze gorzej, jeśli masz na imię Ada.

Przez całe życie starałam się wiernie stąpać po jego śladach, wierząc, że jeśli będę się trzymała wystarczająco blisko niego, to te same jednoznaczne, proste prawa będą rządziły także moim życiem. Że Pan dostrzeże moją dobroć i

napełni mnie światłością. Lecz z każdym mijającym dniem znajduję się coraz dalej od niego. W duszy mego ojca jest miejsce tylko na jego świętą wojnę, w której naszym zadaniem jest chować się, uciekać, słuchać rozkazów i walczyć o wszystkie słuszne sprawy, aleja nie zawsze potrafię zrozumieć rozkazy ani nawet zorientować się, po której jestem stronie. Nie wolno mi nawet nosić karabinu. Jestem dziewczyną. Do nikogo to nie dociera.

Jeśli jego decyzja o naszym pozostaniu w Kongu była niesłuszna, to w czym jeszcze mógł się pomylić? W moim sercu otworzył się przerażający świat wątpliwości i możliwości, tam, gdzie wcześniej była tylko wiara w mojego ojca i miłość do Pana Boga. Bez tej opoki pewności pod stopami Konga stało się straszonym

\* Purple Heart — order w armii amerykańskiej przyznawany wszystkim rannym lub zabitym w walce.

miejscem, w którym idziesz na dno, jeśli nie walczysz ze wszystkimi siłami o utrzymanie się na powierzchni.

Rachel

Byłam w chacie kuchennej i męczyłam się nad gorącym piecem, kiedy wszyscy się zbiegli. Wszystkie rozmamłane małe dzieci z deptającymi im po piętach matkami, wszyscy się darli: Tata Bidibidi! Tata Bidibidi! To .znaczy „pan Ptak”, jeśli wierzyć Lei, która wybiegła do nich. Jeśli pan Ptak — ktokolwiek by to był — miał zaszczyścić nas swoją obecnością, to Lea nie zamierzała tego przegapić. Dzieci mówiły, że przyplłynął w górę rzeki jakąś starą łodzią i teraz wyładowuje na brzeg swoją rodzinę i bety.

Jako nowo mianowany szef kuchni rodziny Price'ów nie miałam czasu na rozrywki. O wioskowych wydarzeniach dowiadywałam się teraz tylko wtedy, gdy rozgrywały się w sąsiedztwie chaty kuchennej.

Tym razem nie musiałam długo czekać, bo wydarzenia przysły prosto pod nasze drzwi! Naszym zdumionym oczom ukazał się na ganku biały mężczyzna, bardzo stary i chudy, w drelichowej koszuli przetartej prawie na wylot i z zawieszonym na szyi drewnianym krzyżykiem na skórzanym rzemyku, tak jak Kongijczycy noszą swe amulety. Miał białąbrodę i skrzące się niebieskie oczy i ogólnie można sobie było pomyśleć, że tak by wyglądał Święty Mikołaj, gdyby nawrócił się na chrześcijaństwo i od ostatniego Bożego Narodzenia nie zjadł porządnego posiłku. Kiedy przyszedłam na ganek, on już witał się z naszą matką i przedstawiał swoją żonę, wysoką Kongijkę, i ich dzieci, które były zróżnicowane wiekowo i kolorystycznie, ale głównie chowały się w długich, kolorowych zawojach pani Ptak. Matka była zdezorientowana, ale ona zawsze jest gościnna nawet wobec zupełnie obcych ludzi, więc zaprosiła ich do środka i kazała mi wycisnąć soku pomarańczowego. A zatem marsz z powrotem do kuchni, niewolnico Rachel!

Kiedy wróciłam z wielkim, ociekającym dzbankiem soku pomarańczowego i padłam na krzesło, żeby odpocząć, najważniejsze rzeczy już mnie ominęły. Nie wiedziałam, co to za jedni, ale matka kłapała do nich, jakby byli starymi znajomymi. Siedzieli na krzesłach w naszym dużym pokoju i pytali o ludzi z wioski, jakby we wszystkim się świetnie orientowali.

— Mama Mwanza, co tam u niej ? Mama Lo dalej robi fryzury i wyciska olej palmowy? Mój Boże, ona ma chyba ze sto dziesięć lat i nigdy nie wyszła za mąż — to daje do myślenia, co? A co z Mamą Tatabą? No i Anatole! Musimy zaraz iść się z nim zobaczyć. — Tego rodzaju rzeczy. Wielebny Mikołaj sprawiał wrażenie dobrotliwego staruszka. Mówił trochę po jankesku, trochę po zagranicznemu, jak jeden z tych sympatycznych irlandzkich policjantów w starych filmach.

Ruth May, która kilka dni wcześniej wstała z łóżka i miała się ku lepszemu, była nim tak zauroczona, że siedziała z głową prawie że opartą o jego

znoszone spodnie. Staruszek położył rękę na głowie Ruth May i bardzo uważnie słuchał wszystkiego, co mówiła matka, nadzwyczaj uprzejmie kiwając głową. Jego żona, która była mniej więcej sto lat młodsza od niego i na swój sposób atrakcyjna, przez większość czasu milczała. Jednak doskonale umiała mówić po angielsku. Pytali, jak się sprawy mają w kościele. Ojciec jak zwykle gdzieś się włóczył i szukał guza, a my nie bardzo wiedziałyśmy, co mamy na to odpowiedzieć.

— No, jest dosyć ciężko — powiedziała matka. — Nathan jest bardzo zatroskany. Nie ulega dla niego wątpliwości, że słowa Chrystusa otoczyłyby ich życie łaską, ale tutejsi ludzie mają zupełnie inne priorytety od tych, do których my jesteśmy przyzwyczajeni.

— Wie pani, to są mimo wszystko ludzie bardzo religijni — powiedział staruszek.

— Co pan przez to rozumie? — spytała matka.

— Cokolwiek robią, mają na względzie wymiar duchowy. Modlą się, kiedy sadzą ignamy i maniok. Modlą się, kiedy zbierają plony. Sądzę nawet, że modlą się, kiedy płodzą dzieci.

Matka sprawiała wrażenie bardzo zainteresowanej, lecz Lea skrzyżowała ramiona i spytała:

— Chodzi panu o modlenie się do ich pogańskich bogów? Wielebny Mikołaj uśmiechnął się do Lei.

— Jak sądzisz, co Bóg myśli o tym małym zakątku swego stworzenia: kwitnących drzewach w lesie, ptakach, ulewnych deszczach, prażącym słońcu — wiesz, o co mi chodzi?

— Oczywiście — powiedziała Lea, jak zawsze najlepsza uczennica.

— I myślisz, że Bogu podobają się te rzeczy?

— Myślę, że jest nimi zachwycony! — odparła. — Myślę, że jest bardziej dumny z Konga niż ze wszystkich innych miejsc, które stworzył.

— Ja też tak sędzę — powiedział. — Myślę, że Kongijczycy mają w swym życiu świat przepelniony łaską Bożą, z domieszką uciążliwości, które potrafią człowieka zabić. Moim zdaniem oni już dawno umieją na swój kakofoniczny sposób głosić chwałę Pana.

Lea oparła się w krzesło, przypuszczalnie zastanawiając się, co by na to powiedział ojciec. Jakbyśmy tego nie wiedziały. Powiedziałby, że Irlandczycy i inni popaprańcy słyną z tego, że są katolickimi papistami i bałwochwalcami. Te historie o kwiatuskach i ptaszkach tylko to potwierdzają.

— Słyszałaś pieśni, jakie oni tu śpiewają?—spytał. — Są pełne czci. To wspaniały sposób na rozpoczęcie nabożeństwa, zaśpiewać kongijski hymn, który ma ściągnąć deszcz na nasiona ignamu. Bardzo łatwo jest od tego przejść do przypowieści o ziarnku gorczycy. Wiele fragmentów Biblii nabiera tutaj pełnego znaczenia, wystarczy tylko zmienić kilka słów. — Roześmiał się. — Są też, oczywiście, całe rozdziały, które trzeba po prostu wyrzucić.

— Ale przecież cała Biblia jest słowem Bożym, prawda? — powiedziała Lea.

— Słowem Bożym, które zostało przekazane przez ekipę romantycznych idealistów żyjących dawno temu w surowej pustynnej kulturze, za pośrednictwem długiego na dwa tysiące lat łańcucha tłumaczy.

Lea wybałuszyła na niego oczy.

— Myślałaś, kochanie, że Bóg sam napisał to wszystko angielszczyzną Króla Jakuba?



— No, chyba nie.

— Pomyśl o tych wszystkich posługach, które były absolutną oczywistością dla Pawła czy Mateusza na tej arabskiej pustyni dawnych czasów, a dla nas są zupełnie niedorzeczne. Na przykład umywanie nóg. Czy naprawdę robili to na chwałę Bożą, czy może po to, żeby nie roznosić piasku po domu?

Lea siedziała z oczami w szparki, po raz pierwszy nie potrafiąc udzielić poprawnej odpowiedzi.

— No i ten wielbłąd. Czy to wielbłąd mógł łatwiej przejść przez ucho igielne niż bogaty człowiek, czy kawałek przędzy? Po hebrajsku są to te same słowa, ale o które im chodziło? Jeśli o wielbłąda, to bogaty może od razu dać sobie spokój, ale jeśli o przędzę, to może mu się uda, jeśli się bardzo postara. — Pochylił się w stronę Lei z rękami na kolanach. — Nie powinienem mieszać ci w głowie takimi rzeczami, kiedy twój ojciec jest w ogrodzie. Ale powiem ci coś w sekrecie. Kiedy chcę się dowiedzieć dosłownie, co Bóg do mnie mówi, wyglądam przez okno na Jego Stworzenie. Ponieważ właśnie to, moja droga, On prze kazuje nam od nowa każdego dnia, bez czeready wątpliwych pośredników.

Lea nie była do końca przekonana.

— Chce pan powiedzieć, że kwiatki, ptaki i tak dalej to jest pańskie Pismo Święte?

— Aha, uważasz mnie za pomyłonego starego poganina. — Zaśmiał się z całego serca, przebierając palcami po krzyżyku na szyi (kolejna oznaka papizmu) i nie wyglądając na skruszony.

— Nie, rozumiem pana — powiedziała matka zamyślonym tonem. Wydawało się, że tak dobrze go rozumie, że miałyby ochotę go adoptować i natychmiast przyjąć pod swój dach całą jego mieszaną rodzinę.

— Musicie mi wybaczyć. Jestem tutaj już tak długo, że pokochałem tych ludzi i ich sposób myślenia.

To raczej oczywiste, pomyślałam, zważywszy na jego sytuację matrymonialną.

— Przecież wy na pewno umieracie z głodu! — powiedziała nagle matka, zrywając się z krzesła. — Zostańcie przynajmniej na kolację. Nathan powinien niedługo wrócić. Naprawdę mieszkanie na tej małej łodzi?

— Tak. To dobra baza do naszej pracy — trochę kolekcjonerstwa, trochę badania przyrody, trochę posługi duszpasterskiej, trochę służby medycznej i dystrybucji chininy. Nasze starsze dzieci większość roku spędzają w Leopoldville, gdzie chodzą do szkoły, ale wybrały się z nami na krótkie wakacje, żeby odwiedzić krewnych. — Spojrzał na swoją żonę, która uśmiechnęła się i wyjaśniła cichym głosem:

— Tata Fowles interesuje się zwłaszcza ptakami. Zaklasyfikował wiele gatunków tym regionie, których Europejczycy wcześniej nie znali.

Tata Fowles? Gdzieja wcześniej słyszałam to nazwisko? Próbowałam sobie przypomnieć, podczas gdy mama i pani Fowels wdały się w bardzo uprzejmą dyskusję na temat ewentualnego pozostania naszych gości na kolacji. Mama najwyraźniej zapomniała, że nie mamy nic, co nadawałoby się do postawienia na stole, i że ci ludzie, nie wiedzą, co ich czeka, jeśli zdecydują się zostać. Tata Fowles — grzebałam w pamięci za tym nazwiskiem. Tymczasem Ada przysunęła krzesło bliżej niego i otworzyła jedną ze starych, zapleśniałych książek o ptakach, które znalazła w tym domu.

— Och, zupełnie zapomniałem o tych książkach! — zawołał radośnie. — Ale na łódce mamy wiele ciekawszych.

Ada spojrzała na niego, jakby miała ochotę pobiec tam i natychmiast przeczytać je wszystkie od tyłu. Pokazywała na obrazki różnych paszkotów i innych szkotów i tak tryskała informacjami, że on przypuszczalnie nie zdawał sobie sprawy, że Ada nie umie mówić.

Ach, pomyślałam nagle: brat Fowles\*! Słynny brat Fowles! Duchowny, który był naszym poprzednikiem na tej misji i został

\* Fowl (ang.) — ptactwo.

wyrzucony za nadmierne pospolitowanie się z krajowcami. No tak! Wszystko zaczęło się układać. Ale było za późno, żebym cokolwiek powiedziała, bo jako służącą ominęły mnie prezentacje. Siedziałam więc bez słowa, podczas gdy Ada pobierała lekcje o ptakach, a Lea przekonywała nieśmiało Fowlesiątką, żeby weszły do środka, usiadły na podłodze z nią i Ruth May i poczytały z nimi komiksy.

Potem nagle w pokoju pociemniało, gdyż w drzwiach stanął ojciec. Wszystkie zastygłyśmy, z wyjątkiem brata Fowlesa, który zerwał się na nogi i wyciągnął do ojca prawą rękę, ściskając się lewą za przedramię — kongijskie powitanie dla wtajemniczonych.

— Bracie Price, nareszcie — powiedział. — Modliłem się za ciebie, a teraz spotkała mnie radość poznania twojej cudownej rodziny. Jestem brat Fowles, twój poprzednik na tej misji. Moja żona Celinę. Nasze dzieci.

Ojciec nie podał mu ręki. Studiował wzrokiem ten duży krzyż — ani chybi katolicki — i przypuszczalnie myślał o tym wszystkim, co słyszeliśmy na temat wybryków brata Fowlesa i o przekleństwach powtarzanych przez papugę. Wreszcie uściśnął mu dłoń, ale chłodno, po amerykańsku.

— Co brata tu z powrotem sprowadza?

— Akurat tedy przepływaliśmy. Pracujemy głównie w dole rzeki koło Kwa, ale rodzice mojej żony mieszkają w Ganda. Pomyśleliśmy, że zobaczymy, jak się wiedzie innym znajomym w Kilandze. Na pewno musimy złożyć uszanowanie Tacie Ndu.

Widać było, że ojciec dostaje gęziej skórki na dźwięk imienia wodza, swego największego wroga. I to jeszcze wymówionego z jankeskim akcentem. Lecz ojciec nie dał po sobie nic poznać, nie przyznał się, że poniósł sromotną klęskę na polu chrystianizacji.

— Wiedzie nam się wspaniale, dziękujemy. A czym brat się teraz zajmuje? — Podkreślił to „teraz”, jakby chciał powiedzieć: dobrze wiemy, że dostałeś zakaz głoszenia Pisma Świętego.

— Pełnię służbę pańską — powiedział brat Fowles. — Właśnie mówiłem twojej żonie, że trochę duszpasterzuję. Studiuję i klasyfikuję faunę. Dużo obserwuję i na dłuższą metę niosę chyba bardzo niewiele zbawienia.

— A, to szkoda — orzekł ojciec. — Zbawienie jest drogą, prawdą i życiem. Albowiem wszelaki, którybykolwiek wzywał imienia Pańskiego, zbawion będzie. Jakoż tedy wzywać będą, w którego nie uwierzyli? Albo jako uwierzą temu, którego nie słyszeli? A jako usłyszą oprócz przepowiadającego?... Napisane jest: „Jako śliczne nogi opowiadających pokój, opowiadających dobra!”

— „Opowiadać dobra” to rzeczywiście bezcenna posługa — powiedział brat Fowles. — List do Rzymian, rozdział 10, wers 15.

No, nieźle. Ten Jankes znał Biblię. Ojciec cofnął się o krok.

— Ja w każdym razie staram się jak mogę — powiedział szybko ojciec, aby zatuszować swoje zaskoczenie. Wziął sobie do serca

błogosławione słowa: „Wierz w Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawion ty i dom twój”.

Brat Fowles z uwagą pokiwał głową.

— Paweł i Syłas do swego strażnika więziennego, kiedy anieli tak troskliwie ich uwolnili przy pomocy trzęsienia ziemi. Dzieje Apostolskie, rozdział szesnasty, prawda? Zawsze trochę mnie bulwersował dalszy werset: „A wzięwszy je onejże godziny w nocy, omył pasy ich”.

— Amerykański przekład może bratu wyjaśni sprawę. Brzmi on: „Tej samej godziny w nocy wzięł ich ze sobą, obmył rany.. .” — Ojciec mówił jak szkolny przemądrzalec, którego ma się ochotę udusić.

— Tak, w istocie — odparł brat Fowles powoli. — Zadaję sobie jednak pytanie: kto to przetłumaczył? Podczas mych lat spędzonych w Kongu słyszałem tyle błędów w tłumaczeniu, czasem zupełnie komicznych. Wybacz mi zatem mój sceptycyzm, bracie Price. Czasami zadaję sobie pytanie: a co, jeśli te pasy nie są jednak ranami, lecz czymś innym? Był strażnikiem więziennym, może nosił koszulę w pasy, jak sędzia sportowy. Czy Paul i Syłas zrobili mu pranie, jako akt pokory? A może znaczenie jest bardziej metaforyczne: Czy Paweł i Syłas uśmie\* Wg: Biblia Tysiąclecia, wyd. cyt.

rzyli wątpliwości tego człowieka? Czy zrozumieli jego mieszane uczucia wobec tej nowej religii, którą mu tak nagle narzucili?

Mała dziewczynka, która siedziała na podłodze obok Ruth May, powiedziała coś w ich języku. Ruth May szepnęła:

— Kaczor Donald i Królowna Śnieżka pobrali się.

Ojciec przestąpił nad dziećmi i usiadł okrakiem na krześle, co uwielbia robić, kiedy szykuje się porządny spór religijny. Opasał ramionami oparcie krzesła i uśmiechnął się do brata Fowlesa ze złośliwą dezaprobatą.

— Moje kondolencje, bracie. Osobiście nigdy nie dręczyły mnie tego rodzaju problemy z interpretacją słowa Bożego.

— To da się zauważyć — powiedział brat Fowles. — Jednak zapewniam cię, bracie, że mnie to wcale nie dręczy. To może być wspaniały sposób na spędzenie popołudnia. Weźmy na przykład twoich Rzymian, rozdział jedenasty. Wróćmy do tego. Przekład amerykański, jeśli wolisz. Napotykamy tam następującą obietnicę: „Jeśli bowiem zacyzn jest święty, to i ciasto; jeżeli korzeń jest święty, to i gałęzie. Jeżeli zaś niektóre zostały odcięte, a na ich miejsce zostałeś wszczepiony ty, który byłeś dziczka oliwną, i razem z innymi gałęziami z tym samym korzeniem złączony na równi z nimi czerpałeś soki oliwne, to nie wynoś się ponad te gałęzie. A jeżeli się wynosisz, pamiętaj, że nie ty podtrzymujesz korzeń, ale korzeń ciebie”.

Ojciec siedział i mrugał, zaplątawszy się w tych wszystkich korzeniach i gałęziach.

Lecz oczy Świętego Mikołaja błyszczały. Pysznie się bawił.

— Bracie Price — powiedział — nie zastanawiasz się nad tym czasami, gdy pożywasz się jedzeniem swych kongijskich braci i cieszysz serce ich pieśniami? Nie przychodzi ci do głowy myśl, że to my jesteśmy przeszczepioną gałęzią, podtrzymywaną przez bujne afrykańskie korzenie?

Ojciec zareplikował:

— Odsyłam cię do wersetu osiemdziesiątego trzeciego, bra cie. „Co prawda — gdy chodzi o Ewangelię — są oni nieprzyja ciółmi Boga ze względu na wasze dobro”.

— Tak, a dalej: „Gdy jednak chodzi o wybranie, są oni — ze względu na praojców — przedmiotem miłości”.

— Nie mów głupstw, bracie Fowles! — zawołał ojciec. — Ten werset odnosi się do dzieci Izraela.

— Być może, ale obraz drzewa oliwnego jest piękny, nie sądzisz?

Ojciec patrzył na niego zmrużonymi oczami, jakby miał ochotę porąbać jedno drzewo na opał.

Brat Fowles był jednak najzupełniej spokojny.

— Mam hopla na punkcie obrazów przyrody, które znajduję w Biblii, bracie Price — powiedział. — Są takie pożyteczne tutaj, wśród tych ludzi obdarzonych taką inteligencją i takim wyczuleniem na otaczający ich świat. Z wielką pokorą traktują swój dług wobec natury. Znasz hymn ściągający deszcz na nasiona ignamu, bracie Price?

— Hymny do ich pogańskich bogów i fałszywych idoli? Obawiam się, że nie miałem czasu na tego rodzaju rozrywki.

— Nie wątpię, że jesteś bardzo zajęty, ale to bardzo ciekawe. Zgodne z tym, co cytowałeś ze swoich Rzymian, rozdział dwunasty. Przypominasz sobie werset trzeci, bracie Price?

Ojciec odpowiedział, obnażywszy zęby:

— „Mocą bowiem łaski, jaka została mi dana, mówię każdemu z was: »Niech nikt nie ma o sobie wyższego mniemania, niż należy «"...

— „Jak bowiem w jednym ciele mamy wiele członków, a nie wszystkie członki spełniają tę samą czynność — podobnie wszyscy razem tworzymy jedno ciało w Chrystusie..."

— „W Chrystusie!" — zawołał ojciec, jakby chciał powiedzieć: miałem rację!

— „... a każdy z osobna jesteśmy nawzajem dla siebie członkami” — cytował dalej brat Fowles. — „Mamy zaś według udzielonej nam łaski różne dary: bądź dar prorocstwa, bądź to urząd diakona, bądź to urząd nauczycielski. Kto zajmuje się rozdawaniem, niech to czyni ze szczodroblewością; kto jest przełożonym, niech działa z gorliwością; kto pełni uczynki miłosierdzia, niech to czyni ochoczo. Miłość niech będzie bez obłudy! W miłości braterskiej nawzajem bądźcie życzliwi!”

— Rozdział dwunasty, wers dziesiąty. Dziękuję ci, bracie. — Ojciec wyraźnie prosił o zawieszenie broni w tej bitwie na biblijne wersety. Założę się, że najchętniej dałby bratu Fowlesowi Werset do przepisania w ramach kary, ale wtedy staruszek na miejscu wyrzuciłby z siebie całe sto linijek, dodając za darmo kilka nadliczbowych obrazów przyrody.

Ojciec nagle sobie przypomniał, że ma coś bardzo ważnego do załatwienia, czego skutek był taki, że nie zostali na kolacji. Załapali, że nie są mile widziani w naszym domu i przypuszczalnie w całej wiosce, w skromnej opinii ojca. A wyglądali na ludzi, którzy woleliby raczej zjeść własne buty niż narażać kogoś na niewygodę. Powiedzieli nam, że planują spędzić popołudnie na odwiedzeniu kilkorga starych znajomych, lecz że przed zapadnięciem nocy muszą wrócić na łódź.

Prawie że musiałyśmy się poprzywiązywać do krzesel, żeby za nimi nie pobiec. Byłyśmy takie ciekawe, co powiedzą Tacie Ndu i innym. Kurza melodia! Przez cały ten czas myślałyśmy mniej więcej, że jesteśmy jedynymi białymi ludźmi, których stopa tu powstała. A tymczasem nasi sąsiedzi cały czas byli z bratem Fowlesem w przyjaźni, o której nie pisnęli ani słowem. Zawsze nam się wydaje, że wiemy o ludziach więcej, niż oni o nas, ale często jest odwrotnie.



Przyszli znowu przed zachodem słońca i zaprosili nas do obejrzenia łodzi, zanim odpłyną, toteż moja matka, moje siostry i ja pomaszerowałyśmy nad rzekę. Brat Fowles chciał dać Adzie trochę książek. Ale na tym nie koniec. Pani Fowles bez przerwy wyciągała jakieś prezenty dla matki: konserwy, mleko w proszku, kawę, cukier, tabletki chininy, owoce w puszkach i tyle innych rzeczy, że naprawdę można było uwierzyć, że przyjechał do nas Święty Mikołaj z małżonką. Przy tym wszystkim ich łódź była dość nędznym pływającym baraczką z dachem z jasnozielonej blachy. Wewnątrz miała jednak wszelkie wygody, książki, krzesła, kuchenkę gazową, wszystko, czego dusza zapagnie. Dzieci biegały po całej łodzi, padały na

krzesła i bawiły się różnymi rzeczami, nie sprawiając wrażenia, że mieszkanie na wodzie uważają za coś dziwnego.

— Wielki Boże, jaka pani dobra! — powtarzała w kółko matka, kiedy Celinę wyjmowała jedną rzecz za drugą i wkładała nam do rąk. — Jakże ja się pani odwdzięczę?

Miałam ochotę podrzucić im gdzieś karteczkę, jak wzięta do niewoli dziewczyna szpieg na filmach: „Pomocy! Wyciągnijcie mnie stąd!” Jednak ta przeładowana łódka już wyglądała, jakby miała pójść na dno pod byle pretekstem. Uznałam, że pozbycie się części konserw poprawi im pływalność.

Matka również zarejestrowała pewne rzeczy. Spytała:

— Jakim sposobem jesteście państwo tak dobrze zaopatrzeni?

— Mamy tak wielu przyjaciół — odparła Celinę. — Misja Metodystyczna daje nam mleko w proszku i witaminy do rozdania wzdłuż rzeki. Konserwy i chininę mamy od SAMZB.

— Jesteśmy strasznie międzywyznaniowi — powiedział ze śmiechem brat Fowles. — Dostaję nawet niewielkie stypendium od National Geographic Society.

— SAMZB? — zainteresowała się matka.

— Służba Amerykańskiej Misji Zagranicznej Baptistów — powiedział. — Mają szpital misyjny nad rzeką Wamba, nie słyszeliście o nim? Ta mała jednostka dokonała cudów w dziedzinach leczenia riszty, uczenia czytania i pisania oraz niesienia ludziom dobroci. Stary król Leopold powinien przewracać się w grobie ze wstydu. Szpital prowadzi najmądrzejszy pastor na świecie, człowiek, który nazywa się Wesley Green, i jego żona Jane.

Brat Fowles dodał po namyśle:

— Bez obrazy dla pani męża, oczywiście.

— Kiedy my jesteśmy baptystami — powiedziała matka urażonym tonem. — I Związek Misyjny odebrał nam pensję tuż przed niepodległością!

Pani Fowles ważyła w sobie odpowiedź, zanim stwierdziła taktownie: — Chrześcijanie są różni, pani Price.

— Jak daleko stąd jest ta misja? Docieracie tam łodzią? —

Matka przyglądała się łodzi, konserwom i być może całej naszej przyszłości.

Jednak brat Fowles i jego żona zaśmiali się z tego, kręcąc głowami, jakby matka spytała ich, czy często pływają na księżyc po zielony ser.

— Tą starą balią nie da się dopłynąć dalej niż pięćdziesiąt mil w dół Kwilu — wyjaśnił. — Potem są bystrzyny. Ale droga z Leopoldville przecina Wambę i dociera nad tę rzekę w Kikwit. Brat Green od czasu do czasu przy pływa swoją łodzią, a potem jedzie ciężarówką, żeby spotkać się z nami w

Kikwit. Albo idziemy na lotnisko w Masi Manimba, żeby odebrać paczki. Dziękować Bogu, jakoś zawsze mamy wszystko, czego naprawdę potrzebujemy.

— Bardzo wiele zawdzięczamy pomocy przyjaciół — dodała Celinę.

— O, tak — zgodził się jej mąż — a to oznacza, że aby dostać jedną informację, trzeba rozumieć języki kituba, lingala, bembe, kunyi, viii, ndingi i te przeklęte mówiące bębny.

Celinę roześmiała się i potwierdziła. Reszta z nas jak zwykle czuła się, delikatnie mówiąc, nie w swoim żywiole. Gdyby Ruth May była w formie, to już dawno wskoczyłaby na łódź i trajkotałaby z tymi dziećmi przypuszczalnie we wszystkich wymienionych przez brata Fowlesa językach plus po francusku i syjamsku. Co skłania do zastanowienia, czy małe dzieci posługują się prawdziwymi słowami, czy może rozumieją się w jakiś naturalny sposób, zanim wmisza się do sprawy wiek dojrzały? Ruth May nie była jednak w formie, więc milczała uwieszona u ręki matki.

— Zażądali, abyśmy wyjechali — powiedziała matka. — Bardzo dobitnie. Uważam, że należało to zrobić, lecz Nathan zdecydował, że zostajemy.

— Po niepodległości ludzie na łeb na szyję uciekali z tego kraju — przyznał brat Fowles. — Ludzie wyjeżdżali z tysiąca powodów: z rozsądku, z nierozsądku, z bojaźliwości. A reszta z nas została z tych samych przyczyn, poza bojaźliwością. Nikt nie może nas o to oskarżyć, prawda, pani Price?

— No... — powiedziała matka niepewnym tonem. Pewnie wstydziła się przyznać, że gdyby to od niej zależało, to zmykały byśmy stąd jak króliki. Ja też, i niechby mówili, że jestem tchó rzem. „Pomóżcie nam, proszę”, próbowałam powiedzieć do pani Fowles samymi oczami. „Wydostańcie nas stąd! Przyślijcie więk szą łódź!”

Wreszcie matka westchnęła i powiedziała:

— Jaka szkoda, że musicie płynąć. — Jestem pewna, że wszystkie moje siostry ją w tym popierały. Czujemy się jak ostatnie stworzenia na ziemi, które używają języka angielskiego i otwieraczy do konserw, i wiedziałyśmy, że kiedy łódka popłynie z terkotem w górę rzeki, uczucie to jeszcze się w nas spotęguje.

— Moglibyście zostać chwilę w Kilandze — zaproponowała Lea, aczkolwiek nie powiedziała, że mogą zatrzymać się u nas. I nie powiedziała: musielibyście wytłumaczyć parę rzeczy ojcu, który uważa was za bandę przemieńców. Nie musiała tego mówić. Wszyscy obecni mieli tego świadomość.

— To bardzo miło z twojej strony — powiedziała Celinę — ale musimy odwiedzić rodzinę mojej matki. W ich wiosce zakładają uprawę soi. Będziemy tędy wracać po porze deszczowej i na pewno do was zajrzemy.

Po porze deszczowej oznaczało między następnym lipcem a Świętej Nigdy. Stałyśmy na brzegu coraz bardziej zrozpaczone, kiedy oni zbierali rzeczy i liczyli swoją gromadkę.

— Nie chcę sprawiać kłopotu — powiedziała matka — ale Ruth May, ta najmniejsza, od ponad miesiąca ma wysokągorączkę. Ostatnio jest lepiej, ale tak bardzo się o nią martwiłam. Czy jest gdzieś lekarz, do którego moglibyśmy łatwo dotrzeć?

Celinę przestąpiła przez burtę łodzi i położyła Ruth May dłoń na czole, a potem pochyliła się i zajrzała jej w oczy.

— To może być malaria albo tyfus. Raczej nie śpiączka. Dam wam coś, co może się przydać.

Kiedy zniknęła we wnętrzu łodzi, brat Fowles zwierzył się matce ściszym głosem:

— Chciałbym, żebyśmy mogli wam więcej pomóc, ale samoloty misji w ogóle nie latają, a drogi są niebezpieczne. Panuje zupełny chaos. Spróbujemy dać znać bratu Greenowi o waszej małej, ale nie wiadomo, czy w tej chwili będzie coś w stanie zrobić. — Spojrzał na Ruth May, która najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że dyskutują o jej losie. — Sądzi pani, że sprawa jest pilna? — spytał zatroskanym tonem.

Matka zagryzła paznokiec, przyglądając się Ruth May.

— Nie mam zielonego pojęcia, bracie Fowles. Jestem gospo dynią domową z Georgii.

W tym momencie pojawiła się Celinę z małą szklaną buteleczką różowych kapsulek.

— Antybiotyki — wyjaśniła. — Mogą pomóc, jeśli to tyfus, cholera albo wiele innych chorób. Na malarię i śpiączkę niestety nie pomogą. W każdym razie będziemy się modlili za waszą Ruth.

— Rozmawialiście z Tatań Ndu? — wtrącił brat Fowles. — Ten człowiek ma zaskakująco duże możliwości.

— Obawiam się, że Nathan i Tata Ndu są ze sobą na noże. Sądzę, że nie chciałby pomóc.

— Może spotkałaby was z jego strony przyjemna niespodzianka — powiedział.

Naprawdę odpływali, a matka podejmowała chyba tylko rozpaczliwe próby przedłużenia rozmowy. Spytała brata Fowlesa, który klarował jakieś liny na pokładzie:

— Byliście w tak dobrych stosunkach z Tatań Ndu? Podniósł wzrok, odrobinę zaskoczony.

— Szanuję go, jeśli o to pani chodzi.

— Ale jako chrześcijanin. Udało się panu dojść z nim do czegoś?

Brat Fowles wstał i podrapał się w głowę, przez co jego siwe włosy stanęły mu dęba. Im dłużej patrzyło się na tego człowieka, jak coś robi, tym wydawał się młodszy. Wreszcie odpowiedział:

— Jako chrześcijanin szanuję jego poglądy. Rządzi swoją wioską sprawiedliwie, zważywszy na wszystkie okoliczności. Nigdy nie mogliśmy się dogadać w kwestii czterech żon...

— Teraz ma ich więcej — wtrąciła Lea.

— Tak? Czyli widzi pani, że nie miałem na niego zbyt wielkiego wpływu w tej dziedzinie — powiedział. — Ale każda z tych żon skorzystała na naukach Jezusa, zapewniam panią. Tata Ndu i ja spędziliśmy wiele popołudni nad tykwą wina palmowego, dyskutując o zaletach dobrego traktowania żony. Przez sześć lat, które tu spędziłem, widziałem, jak zwyczaj bicia żon popada w niełaskę. W rezultacie prawie w każdej kuchni pojawiły się potajemne ołtarzyki na cześć Taty Jezusa.

Lea rzuciła mu cumę i pomogła mu zepchnąć łódź z płytkiego błota. Po prostu weszła po kolana do wody, zupełnie nie zważając na to, że zmoczyła sobie dzinsy. Ada przyciskała do piersi swoje nowe książki na temat ornitopedii motyli, a Ruth May pomachała i zawołała słabym głosem: — Wencła mbote! Wenda mbote!

— Sądzi brat, że zrobił brat wystarczająco dużo? — spytała matka, jakby do niej nie dotarło, że już się pożegnaliśmy i rozmowa została definitywnie zakończona.

Brat Fowles stał na pokładzie i patrzył na matkę takim wzrokiem, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Jesteśmy gałęziami przeszczepionymi na to dobre drzewo, pani Price. Podtrzymuje nas wielki korzeń Afryki. Życzę pani mądrości i miłosierdzia Bożego.

— Dziękuję z całego serca — powiedziała.

Byli już dosyć daleko od brzegu, kiedy nagle przekręcił głowę i zawołał:

— A tak przy okazji, jak się miewa papuga, Matuzalem? Spojrzałyśmy po sobie, nie chcąc wieńczyć wizyty zgrzytliwą

nutą. To Ruth May krzyknęła, wyężając swój mizerny głosik:

— Poszedł do ptasiego nieba, bracie Fowles!

— Ha! Najlepsze miejsce dla tego starego popieprzeńca! — zawołał brat Fowles, co oczywiście głęboko nas zaszokowało.

Tymczasem nad rzeką zebrały się wszystkie dzieci z wioski i skakały w płytkim błocie. Widziałam, że też dostały prezenty: torebki mleka w proszku i tym podobne. Wrzeszczały jednak tak radośnie, że można było sądzić, iż kochają brata Fowlesa nie tylko

za mleko w proszku. Jak dzieci, które zawsze dostają pod choinkę skarpetki, ale wciąż z całego serca wierzą w Świętego Mikołaja\*. Matka jako jedyna nie machała. Stała po kostki w błocie, jakby jej obowiązkiem było patrzeć, jak łódź kurczy się do wielkości punktu na rozmigotanej wodzie i tkwiła w bezruchu jeszcze długo po jej zniknięciu.

Ada

Na targ, na targ, kupić tłustą świnię. Świnię tłustą ku pić! Na targ, na targ! Ale gdzie by nie spojrzeć, żadnych świń. Nie uświadczysz nawet psa, dla którego warto byłoby się fatygować i rozpalać w piecu. Kóz i owiec zero. Pół godziny po wschodzie słońca myszołowy wzlatają nad bezlistne drzewa

ogłoszeniowe, trzepocząc unisono skrzydłami, co przypomina szum starych, czarnych sukienek z satyny. Targ mięsny jest nieczynny na czas suszy, deszcz ciągle nie pada. Ani jednego zwierzęcia trawożernego do zarżnięcia.

Lipiec przyniósł nam tylko zaskakujący pojaw rodziny Fowlesów, wizytę, którą każda z nas z osobna uznała później za sen. Świadomie pomijam ojca, który często wymawia imię brata Fowlesa nadaremno, przekonany ponad wszelką wątpliwość, że wszystkie kłody na jego drodze rzucił ten pomyłony szerzyciel chrześcijańskiego znachorstwa.

Sierpień nie zaowocował żadnymi przyjemnymi snami. Stan Ruth May nagle gwałtownie się pogorszył, z równie niewyjaśnionych przyczyn, jak wcześniej się poprawił. Na przekór wszelkim nadziejom i antybiotekom pani Fowles podawanym zgodnie z zaleceniami, gorączka stale wzrastała. Ruth May wróciła do łóżka z włosami przyklepionymi potem do głowy. Matka modliła się do małego szklanego boga z różowymi kapsułkami w brzuchu.

Druga połowa sierpnia przyniosła nam również szczególny

\* Święty Mikołaj w Ameryce przynosi prezenty pod choinkę.

pięciodniowy tydzień, zapoczątkowany i zakończony dniem targowym, lecz nie obejmujący dnia pańskiego—niedziele otaczały go z dwóch stron jak nawiasy. Tak na marginesie, szansa na wystąpienie tego osobliwego układu wynosi jeden do siedmiu, powinien on zdarzać się przeciętnie siedem razy w roku, rozdzielony okresami tylko trochę dłuższymi niż ten, który musiał przeżyć Noe na swej rzekomej arce.

Czy to rzadkie wydarzenie było czymś szczególnym dla naszych sąsiadów? Czy w ogóle je zauważyli? Nie mam pojęcia. Tak zażyłe były nasze kontakty z bliźnimi w Kilandze. Jednak w naszym domu tydzień ten minął jak dziwne i ponure wakacje, ponieważ w każdy z tych pięciu dni wódz wioski,



Tata Ndu, składał nam wizytę. Udn klat. Posyłał przodem swych synów, którzy krzycząc i wymachując rytualnie wypreparowanymi częściami zwierzęcymi, obwieszczali nadejście jego eminencji.

Za każdym razem przynosił jakiś prezent: w pierwszy dzień świeże mięso antylopy zawinięte w zakrwawiony kawałek płótna (byłyśmy takie wygłodzone, że omdlewałyśmy na widok tej krwi!) Dzień drugi: równo wpleciony kulisty kosz z dobrze dopasowaną pokrywą, pełen fasoli mangwansi. Dzień trzeci: żywa perliczka ze związanymi nóżkami. Dzień czwarty: miękka, garbowana skórka mrównika. Dzień ostatni: mała figurka ciężarnej kobiety rzeźbiona w różowej kości słoniowej. Ojciec Nasz przyjrzał się tej różowej kobiecie, która natchnęła go do podjęcia rozmowy o fałszywych idolach. Lecz aż do piątego dnia — i po nim też, z grubsza biorąc — Ojciec Nasz był zachwycony tymi atencjami ze strony wodza. Wielebny piał jak kogut po całym domu.

— Nasze chrześcijańskie miłosierdzie zwróciło nam się siedmiokroć — orzekł wielebny, dokonując pewnych zaokrągleń i radośnie klepiąc się dłońmi po spodniach w kolorze khaki. — Do diaska! Orleanna, nie mówiłem ci, że Tata Ndu w końcu przejdzie na naszą stronę?

— O, teraz jest już koniec, Nathanie? — spytała matka. Zachowywała milczenie w kwestii Taty Ndu jako naszego gościa. Mięso jedliśmy z wielkim apetytem, lecz bibeloty zarekwirowała

w swoim pokoju, żeby nie były na widoku. Miałyśmy wielką ochotę obejrzeć i potrzymać w ręku te tajemnicze przedmioty, zwłaszcza małą różową madonnę, lecz matka uważała, że nie powinnyśmy się nimi zbytnio interesować. Mimo że brat Fowles poręczył za dobry charakter Taty Ndu, matka podejrzewała, że nie zostały nam one podarowane ot, tak sobie. I okazało się, że miała rację. Minęło sporo czasu, zanim się połąpałyśmy, o co chodzi.

Z początku czułyśmy się po prostu pochlebione i zaskoczone, że Udu Atatu wchodzi do naszego domu, przystaje na chwilę koło ołtarzyka w postaci lusterka Rachel na ścianie i sadowi się w naszym jedynym wygodnym krześle z podłokietnikami. Spoczawszy na tym tronie, obserwował przez pozbawione szkielec okulary nasze domostwo i bił powietrze packą na muchy z ogonów zwierzęcych, symbolem swego dostojenia. Za każdym razem, gdy zdejmował swoje dziwne, spiczaste nakrycie głowy, naszym oczom ukazywał się zwały, silny człowiek. Jego ciemne, kopulaste czoło, nad którym miał spore zakola, akcentowało szeroką twarz, szerokie ramiona i tors, jak również potężnie umięśnione ręce. Podciągnął kolorowy zawój pod same pachy i skrzyżował z przodu ramionajak człowiek dumny ze swej postury. Matka nie była zachwycona, lecz starczyło jej dobrych manier, by zrobić soku pomarańczowego, ulubionego napitku wodza.

Ojciec, który poczytywał sobie za punkt honoru, żeby być w domu podczas wizyt Taty Ndu, przysuwał jedno z pozostałych krzeseł, siadał na nim okrakiem z rękami opasanymi wokół oparcia i mówił o Piśmie Świętym. Tata Ndu próbował skierować rozmowę na problemy wioskowe lub mgliste pogłoski o zamieszkach w Matadi i Stanleyville, które do nas docierały. Przede wszystkim jednak zarzucał ojca pochlebny komentarzami w rodzaju: „Tata Price, macie trop de jolies filles — za dużo ładnych córek” albo mniej przyjemnymi, lecz bliższym prawdzie uwagami w rodzaju: „Bardzo wam potrzeba jedzenia, n'est-ce pas?” Gwoli zaspokojeniajakichś swoich tajemniczych zachcianek rozkazywał jolies filles (a my rozkaz wykonywałyśmy), aby stanęły

przed nim w szeregu według wzrostu. Najwyższa była Rachel, licząca metr sześćdziesiąt wzrostu i dysponująca figurą Miss America, a najmniejsza ja, pięć centymetrów niższa od siostry bliźniaczki na skutek mego kalectwa. (Ruth May, która leżała w łóżku i majaczyła, została zwolniona z tego obowiązku).

Tata Ndu mlaskał językiem i mówił, że jesteśmy wszystkie bardzo chude, na co Rachel zaczęła paradować po pokoju, podawszy do przodu podbrzusze, jak modelka na wybiegu. Miała skłonność do nadmiernego popisywania się podczas tych wizyt, spieszyła z pomocą matce, co pod nieobecność widzów byłoby nie do pomyślenia.

— Tata Ndu — rzuciła matka — nasza najmłodsza gorączkuje. Jesteś tak ważnym człowiekiem, że nie chciałabym, abyś się narażał na zarażenie jakąś straszną chorobą. — Z rzeczy, na które potrafiła się zdobyć, było to najbliższe bezpośredniej prośbie o pomoc.

Tata Ndu stracił zainteresowanie nami na parę tygodni, podczas których chodziliśmy do kościoła, regularnie brałyśmy tabletki przeciwko malarii, zabijałyśmy kolejnąkurę z naszego coraz szczuplejszego stadka i po kolei zakradałyśmy się do pokoju rodziców, żeby rzucić okiem na rzeźbione genitalia kobiece. Kiedy minęły dwie niedziele, Tata Ndu powrócił. Tym razem dary były bardziej osobiste: pagne z pięknie farbowanej tkaniny, rzeźbiona drewniana bransoleta i słoiczek aromatycznej woskowej substancji, której przeznaczenia nie próbowałyśmy się domyślać ani nie zapytałyśmy o nie Taty Ndu. Matka przyjmowała te dary obiema rękami, zgodnie z tutejszym zwyczajem, i odkładała je na bok bez słowa.

Osobą, która zlitowała się nad nami i wywiodła nas z mroków naszej przerażającej ślepoty, był jak zawsze Nelson. Powiedział nam, o co w tym wszystkim chodzi: kukwela. Tata Ndu poszukiwał żony.

— Żony — powtórzyła matka, wybałuszając oczy na Nelsona w chacie kuchennej, dokładnie tak samo, jak kiedyś patrzyła na kobrę, która się tam pojawiła. Zastanawiałam się, czy tym razem też złapie za kij i zdzieli nim Nelsona przez głowę.

— Tak, Mama Price — powiedział znużonym tonem, bez śladu zażenowania. Nelson był przyzwyczajony do naszych przesadnych reakcji na zwyczajne jego zdaniem rzeczy, takie jak kobry w kuchni. Teraz jednak jego głos przybrał szczególnie kategoryczny ton, ponieważ Nelson przemawiał z głową w piecu. Matka uklękła obok niego i przytrzymała ciężki kubek, do którego Nelson wymiatał popiół. Oboje byli zwrócenii plecami do drzwi i nie wiedzieli o mojej obecności.

— Chce za żonę jedną z dziewcząt, chcesz powiedzieć — stwierdziła matka. Wyciągnęła go za fraki z pieca, żeby móc z nim porozmawiać twarzą w twarz. — Mówisz, że Tata Ndu chce poślubić jedną z moich córek.

— Tak.

— Ależ Nelson, on już ma sześć czy siedem żon! Boże przenajświętszy!

— Tak. Tata Ndu jest bardzo bogaty. Usłyszał, że Tata Price nie ma już pieniędzy najedzenie. Widzi, że wasze dzieci są chude i chore, ale wie, że Tata Price nie przyjąłby pomocy od Kongijczyków. Chce się więc z nim dogadać jak mężczyzna z mężczyzną. Może pomóc waszej rodzinie, dając trochę kości słoniowej, pięć czy sześć kóz i może trochę gotówki za zabranie Mvula z tego domu. Tata Ndu jest dobrym wodzem, Mama Price.

— Chce Rachel.

— Tak, Tata Ndu chce kupić Termita, Mama Price. Dostaniecie kozy, a poza tym nie będziecie musieli jej karmić.

— Och, Nelson. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Nelson przysiadł na piętach i z powagą mrugał, patrząc na matkę.

Nieoczekiwanie zaczęła się śmiać. Potem, jeszcze bardziej nieoczekiwanie, Nelson przyłączył się do niej. Szeroko otworzył swoje prawie bezzębne usta i rechotał razem z matką, oboje z rękami na biodrach. Pewnie wyobrażali sobie Rachel, która zawinięta w pagne próbuje tłuc maniok.

Matka wytarła oczy.

— Ale dlaczego on wybrał Rachel, jak sądzisz? — Po głosie poznałam, że nie uśmiecha się, choć przed chwilą rżała ze śmiechu.

>— Mówi, że dziwny kolor Mviila sprawi przyjemność jego pozostałym żonom.

— Co?

— Jej kolor. — Potarł swoje czarne przedramię, a potem uniósł do góry dwa pokryte popiołem palce, jakby chciał pokazać, w jaki sposób doszło do niefortunnego odbarwienia skóry Rachel. — Ona nie ma prawdziwej skóry — wyjaśnił Nelson, jakby coś takiego można było powiedzieć matce, nie raniąc jej uczuć. Potem pochylił się i znów wsadził głowę do pieca, aby wydobyć resztę popiołów. Nie odezwał się, dopóki się na powrót nie wynurzył z głębiny.

— Ludzie mówią, że urodziła się za szybko, jeszcze nie dogotowana. Czy to prawda? — Pytająco spojrział na brzuch matki, która wytrzeszczała na niego ślepią.

— Co to znaczy, że jej kolor sprawi przyjemność jego pozostałym żonom?

Spojrzał na matkę z cierpliwym zdziwieniem, czekając na doprecyzowanie pytania.

— Po prostu nie rozumiem. Z tego, co mówisz, można by odnieść wrażenie, że traktuje ją jak jakiś dodatek do swego stroju.

Nelson milczał przez dłuższy czas, wycierając sobie twarz z popiołu i zachodząc w głowę, o co chodzi w metaforze z dodatkami i strojami. Wszłam do chaty kuchennej, żeby wziąć sobie banana, wiedząc, że prawdopodobnie nie czeka mnie już nic ciekawego do podsłuchania. Moja matka i Nelson dotarli go granic możliwości wzajemnego zrozumienia.

Lea

Stanęliśmy przed następującym problemem: Tata Ndu obraziłby się śmiertelnie, gdyby ojciec odrzucił jego szlachetną ofertę wzięcia Rachel za żonę. A nie chodziło tutaj tylko o Tatę Ndu. Cokolwiek byśmy myślały o tym postawnym człowieku w spiczastym kapeluszu, uosabia on wolę Kilangi. Sądzę, że to dlatego

brat Fowles powiedział, iż powinniśmy go szanować, a przynajmniej go nie lekceważyć, choćby wydawał nam się zupełnie pomyłony. On nie mówi wyłącznie we własnym imieniu. Co kilka tygodni Tata Ndu odbywa spotkania ze swymi wicewódmami, którzy z kolei zwołują zgromadzenia swych rodzin. Jeśli więc Tata Ndu coś powie, możemy być pewni, że zwraca się do nas cała wioska.

Anatole tłumaczył mi tubylczy system rządów. Mówi, że historia z wrzucaniem kamyczków do tykw — największa liczba kamyczków wygrywa — była pomysłem Belgów na sprawiedliwe wybory, lecz miejscowym wydała się dziwna. Kongijczycy (łącznie z samym Anatole'em, jak przyznaje) uznali za dziwne, że jeśli jeden człowiek dostaje pięćdziesiąt głosów, a drugi czterdzieści dziewięć, to ten pierwszy wygrywa, a drugi całkowicie odpada z konkurencji. To oznacza, że prawie połowa ludzi będzie nieszczęśliwa, a zdaniem Anatole'a to poważna sprawa, kiedy połowa wioski jest niezadowolona. Prędzej czy później muszą z tego wyniknąć kłopoty.

W tutejszym systemie wymagane jest sto procent. Potrzeba sporo czasu, aby osiągnąć ten wynik. Rozmawiają, zawierają układy i spierają się, aż wreszcie prawie wszyscy są zgodni, co powinno się zrobić, a wtedy Tata Ndu czuwa nad tym, aby wola wioski została urzeczywistniona. Jeśli dobrze się spisze, po jego śmierci jeden z jego synów zostanie wodzem. A jeśli spisze się źle, to kobiety przegnąją Tatę Ndu z wioski lagami i Kilanga wypróbuje nowego wodza. Tata Ndu jest zatem głosem ludu, a głos ten mówił nam teraz, że bylibyśmy mniejszym obciążeniem dla innych i siebie samych, gdybyśmy się zgodzili, aby uwolnił nas od Rachel w zamian za kilka kóz. Postawiło nas to w cokolwiek trudnej sytuacji.

Rachel wpadła w histerię i po raz pierwszy w życiu nie mogłam jej o to winić. Bardzo się cieszyłam, że nie wybrał mnie. Matka przysięgła Rachel z ręką na sercu, że jej nie sprzedamy, lecz tego rodzaju zapewnienia nie są słowami, których córka oczekuje z ust matki. Sama myśl o małżeństwie z Tatą Ndu zatrzała Rachel cały system nerwowy, toteż mniej więcej co dziesięć

minut odrywała się od swych zajęć, aby wrzasnąć z obrzydzenia. Zażądała w obecności ojca, abys'my natychmiast wracali do domu, ponieważ ona nie ma zamiaru ani dnia dłużej znosić tego upokorzenia. Ojciec przywołał ją do porządku Wersetem, który kończy się na czczeniu ojca i matki, a kiedy skończyła, znowu zadał jej ten sam Werset! Skończył nam się czysty papier, toteż musiała napisać sto wersetów drobnymi literami na odwrotnej stronie starych listów i kopert, które zostały nam z czasów, gdy wciąż jeszcze dostawaliśmy pocztę. Ada i ja zlitowałyśmy się nad nią i w sekrecie pomogłyśmy jej trochę. Nie kazałyśmy jej nawet płacić sobie dziesięciu centów za werset, jak to robiłyśmy w domu. Bo i z czego by nam zapłaciła?

Nie mogłyśmy zabronić wodzowi składania nam wizyt, niezależnie od tego, jakie wzbudzały w nas uczucia. Rachel zaczęła jednak zachowywać się bardzo dziwnie, kiedy nas odwiedzał. Szczerze mówiąc, również kiedy nas nie

odwiedzał, nie była do końca normalna. Wkładała za dużo ubrań naraz, zakrywała się cała, nawet pod dachem ubierała na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, chociaż było gorąco i sucho. Robiła też dziwne rzeczy z włosami. U Rachel jest to oznaka głębokiego rozstroju. W naszym domu wyraźnie dało się odczuć napięcie nerwowe.

Od dnia niepodległości słyszałyśmy historie o brutalnych starciach między czarnymi i białymi. A jednak kiedy wyglądałyśmy przez okno, naszym oczom ukazywały się Mama Nguza i Mama Mwanza gwarzące koło drogi i dwóch małych chłopców, którzy szli obok siebie bokiem i usiłowali się nawzajem obsikać. Wszyscy wciąż biedni jak mysz kościelna, ale z grubsza biorąc, zadowoleni z życia. Niepodległość wyraźnie ominęła naszą wioskę, tak samo jak zaraza tej odległej nocy w Egipcie, oszczędzając tych, którzy mieli na framugach odpowiednie symbole. My jednak nie wiedziałyśmy, jaki jest symbol i z jakiego powodu zostałyśmy oszczędzone. Na początku prawie w ogóle nie wiedziałyśmy, co się dzieje, a teraz nie wiedziałyśmy, w co wierzyć i jak się zachowywać. Panowało niewypowiedziane poczucie zagrożenia, o którym nie mogłyśmy rozmawiać, lecz miałyśmy świadomość, że musimy stale zachowywać czujność. Matka bardzo źle znosiła wybuchy Rachel. Powiedziała jej, żeby się wzięła w garść, bo ona ma pełne ręce roboty przy chorej Ruth May.

Ruth May miała teraz całe plecy pokryte wysypką i była gorąca w dotyku. Matka mniej więcej co godzinę obmywała ją chłodną gąbką. Ruth May spędzała większość nocy skulona w nogach podwójnego żelaznego łóżka rodziców. Matka postanowiła, że przesuniemy łóżko Ruth May do dużego pokoju, żeby miała mogła być z nami w ciągu dnia, dzięki czemu łatwiej byłoby mieć na nią oko. Rachel i ja pomogłyśmy w przeprowadzce łóżka, a Ada zwinęła pościel. Nasze łóżka były zrobione z zespawanych żelaznych rur i ciężkie jak licho. Najpierw musiałyśmy pościągać z ramy moskitierę. Potem na raz-dwa-trzy



odsunęłyśmy łóżko od ściany. To, co na niej odkryłyśmy, wprawiło nas w osłupienie.

— Cóż to jest? — spytała Rachel.

— Guziki? — próbowałam zgadywać, bo były idealnie okrągłe i białe. Pomyślałam o naszych projektach do kuferków małżeńskich. Ten projekt Ruth May trwał już od dłuższego czasu.

— Tabletki przeciwko malarii — powiedziała matka i miała rację. Musiało ich być chyba ze sto, wszystkie częściowo rozpuszczone i przyklejone długimi, krzywymi rzędami za łóżkiem.

Matka przez sporą chwilę stała wpatrzona w ten widok. Potem poszła, by wrócić z nożem kuchennym. Ostrożnie odrywała tabletki od gipsowej ściany do otwartej dłoni. Było ich sześćdziesiąt jeden. Ada policzyła i zapisała wynik. Dokładnie tyle samo, ile tygodni byliśmy w Kongu.

Rachel

Kurza twarz, jestem cała zdenerwowana i nie wiem, co ze sobą zrobić. Kiedy Tata Ndu przychodzi do naszego domu, to o jeny. Nie mogę nawet znieść tego, jak na mnie patrzy. Odwracam wzrok. Czasem robię różne nieeleganckie rzeczy, drapię się albo udaję niedorozwiniętą. Podejrzewam jednak, że byłby szczęśliwym

wy, gdyby mógł uzupełnić swoją kolekcję żon o niedorozwiniętą, może jeszcze nie ma takiego eksponatu. Makabra. Sam fakt, że rodzice wpuszczają go do domu! Nie zaszczytam ojca odpowiedziami, kiedy do mnie mówi. Matki też, jeśli mogę sobie na to pozwolić. Ona myśli teraz tylko o Ruth May: biedna Ruth May to, Ruth May tamto! Kurza twarz, niech będzie, że ona jest chora, ale mnie też nie jest lekko sterczeć przed nim i znosić te idiotyzmy. Moja rodzina myśli o

wszystkim oprócz mojego osobistego bezpieczeństwa. Zaraz po przyjeździe do Georgii złożę papiery o adopcję.

A jakby tego jeszcze było mało, teraz przybył jeszcze mój rycerz w srebrnej zbroi: ten żalony Axelroot. Po prostu pojawił się jednego dnia na podwórzu, dokładnie w chwili, kiedy Tata Ndu wchodził po schodach w swoim kretyńskim kapeluszu i okularach bez szkieł, i zamienili ze sobą kilka słów. Tata Ndu został tylko przez dziesięć minut, a potem wyszedł, kiedy ja przygotowywałam mój numer z niedorozwiniętą córką. Co za pech!

Okazało się jednak, że ojciec i pan Axelroot uknuli plan, jak nie wydać mnie za mąż za Tatę Ndu, a jednocześnie nie urazić całej wioski. Chcą to tak przedstawić, że zostałam już przyrzeczona Eebenowi Axelrootowi! Myślałam, że się przekręcę. Matka mówi, żebym się nie przejmowała, to tylko dla pozorów, ale plan oznacza, że teraz również pan Axelroot przychodzi do nas codziennie, a ja muszę się zachowywać jak jego narzeczona! I oczywiście musimy udawać parę narzeczeńską na ganku, żeby wszyscy widzieli. Siedzieć na ganku i patrzeć, jak schnie trawa — oto jak przedstawia się obecnie moje życie towarzyskie. Nie poddawać się przygnębieniu? O jeny! Zawsze chciałam być królową balu, ale kurza melodia, jakoś zawsze wychodzi nie ten bal co trzeba.

Kiedy po raz pierwszy byliśmy przez dziesięć sekund sami na ganku, to Axelroot trochę za bardzo się podochocił i położył rękę na oparciu mojego krzesła. Trzepnęłam go mocno po ręce jak Elizabeth Taylor w Hot Tin Roof, co go trochę ostudziło, ale potem się roześmiał, słowo daję. No nie! Przypomniałam mu, że te całe zaręczyny są tylko na niby i niech sobie o tym pamięta.

— Panie Axelroot — powiedziałam — zgodzę się na pańską obecność na tym ganku ze mną, ale tylko dla wyższego celu, jakim jest utrzymanie spokoju

w tej wiosce. Ponadto nie byłoby źle, gdyby się pan wykapał raz na parę lat. — Mogę być filantelistką w imię spokoju społecznego, ale są pewne granice tego, co może wytrzymać dobrze wychowana młoda kobieta, jeśli idzie o zapach potu. Ciągle myślałam o Brigitte Bardot pośród tych wszystkich żołnierzy.

Ostatnio Axelroot zachowuje się mniej więcej poprawnie. Mówię do niego po prostu Axelroot. On nazywa mnie Księżniczką, co może jest pewną przesadą z ust takiego prostaka, ale on nie ma chyba złych intencji, kiedy to mówi. Potrafi być całkiem grzeczny, kiedy się wysili. Naprawdę zaczął się kąpać i zostawiać swój okropny kapelusz w domu, Bogu niech będą dzięki. Mama nie znosi go tak jak dawniej i ja chyba też, ale co mam zrobić? Rozmawiam z nim. Skoro już tam siedzimy i udajemy narzeczonych, to trzeba się czymś zająć. A dzięki jego obecności dzieci trzymają się z daleka. Nie lubią Axelroota. Bije je po tyłku. Zgoda, wiem, że nie powinien, ale przynajmniej nie muszę być otoczona zgrają bachorów, które przez cały Boży dzień biegają i szarpią mnie za włosy. Normalnie tak się koło mnie cisną, że czuję się jak Guliwer pośród Liliputów.

Mój tajny plan brzmi, że jeśli uda mi się go odpowiednio ustawić, to może zmieni zdanie i zabierze nas stąd. Matka już zaproponowała mu w sekrecie swoją obrączkę ślubną plus tysiąc dolarów, które rzekomo skądś wytrzaśniemy, kiedy wrócimy do Georgii bez ojca i żadnych środków do życia na widoku. Axelroot powiedział: — Tylko gotówka, moje panie. — Nie udziela kredytu. Ale może się nad nami zlituje.

A zatem czas mija mi na tym, że opowiadam mu historie z kraju: o koleżankach i kolegach z ogólniaka w Bethlehem i co razem robiliśmy. Zaczynam wtedy tęsknić za domem. Ale o jeny, gdyby ci twardziele, którzy nabijali się ze mnie, że jestem córką pastora, zobaczyli mnie teraz, praktycznie zaręczoną ze starszym facetem! Axelroot widział już trochę świata, urodził się w Południowej Afryce i w dzieciństwie mieszkał w różnych krajach,

trochę nawet w Teksasie, z tego, co opowiada. Akcent ma normalny. Zmyśla te wszystkie niestworzone historie, od których włosy mają mi stanąć dęba, o tym, jak był pilotem myśliwca. O tym, jak z zimną krwią zabijał bardzo wpływowych ludzi i zrzucał z powietrza bomby, które potrafią w dziesięć sekund spalić całe pole uprawne. Nie jest chłopcem na posyłki, który wozi samolotem misjonarzy, nic z tych rzeczy! To tylko zasłona dymna, poinformował mnie. Twierdzi, że jest bardzo ważną postacią w Kongu w tym momencie historycznym. Czasami zarzuca mnie tymi wszystkimi nazwiskami, których nie mogę spamiętać: wicedyrektor CIA, szef ekspozytury kongijskiej. Każdy z nich ma jakiś pseudonim: Wielka Szycha to wicedyrektor, a szefa misji nazywa Superdemonem. Jestem pewna, że to tylko zabawa, choć wydaje się, że mężczyzna w jego wieku jest za stary na zabawy w Zorro.

Spytałam go: — Skoro jest pan taką ważną postacią w Kongu, to dlaczego widzimy tylko, jak pan skupuje po zaniżonych cenach różne rzeczy, sprzedaje w mieście i wraca z Leopoldville z mlekiem w proszku i komiksami?

Mówi, że dawniej nie mógł ujawnić swej prawdziwej działalności, ale teraz korzysta z ochrony rządu Stanów Zjednoczonych i może mi parę rzeczy wyjawić, pod warunkiem, że nie puszcę pary z ust. Pff, nawet gdyby to była prawda, to komu miałabym przekablować? Ja, Bogu ducha winna nastolatka w tej dziurze bez telefonu i nie rozmawiająca z rodzicami? Chociaż ojciec chyba nie zauważył, że z nim nie rozmawiam. Za to matka zauważyła. Czasami próbuje grać kumpelkę i zadaje mi mnóstwo intymnych pytań. Bardzo chciałaby się dowiedzieć, kim naprawdę jest Rachel Price.

Ale ja jej nie powiem. Wolę pozostać synonimowa.

Ruth May »

Nocą jaszczurki biegają w górę i dół po ścianach nad łóżkiem i patrzą na mnie. Przytrzymują się palcami. Myszy też. Mówią do

mnie. Powiedziały, że Tata Nydo chce się ożenić z Rachel. Kuferek małżeński Rachel ma już gotowy, więc może to zrobić. Ale Tata Nydo jest Kongijczykiem. Czy oni mogą się z nami żenić? Nie wiem, ale bardzo bym chciała zobaczyć Rachel w białej sukni. Ładnie by wyglądała. Potem powiedziały, że wyjdzie nie za Tatę Nydo, tylko za pana Axelroota, ale on jest wredny. Czasami mi się śni, że Rachel wychodzi za ojca i wtedy nic już nie rozumiem i jest mi smutno. Bo co wtedy zrobiłaby mama?

Jaszczurki robią trochę taki hałas jak ptaki w nocy. W moich snach mogę łapać jaszczurki i zaprzyjaźnić się z nimi. Zostają mi na ręce i nie uciekają. Kiedy się budzę, już ich nie ma i robi mi się smutno. Więc jak nie muszę, to się nie budzę.

Leżałam w ciemnościach, w pokoju mamy, ale teraz jestem tutaj. Jest jasno i wszyscy bez przerwy rozmawiają. Nie mogę powiedzieć tego, co bym chciała. Tęsknię za jaszczurkami w nocy, to bym chciała powiedzieć. Nie przyjdą tutaj, bo jest za jasno i mnie też bołą od tego oczy. Mama kładzie mi na twarzy zimną mokrą szmatę i wtedy oczy mniej mnie bołą, ale ona dziwnie wygląda. Jest strasznie duża, wszyscy inni też.

Obdrzezanie. Tak powiedzieli. Tata Nydo ciągle przychodzi. Czasami jest pomarańczowy, to znaczy ubrany na pomarańczowo. Czarna skóra i pomarańczowe ubranie. Ładnie to wygląda. Powiedział ojcu, że Rachel będzie musiała zostać obdrzezana, to znaczy coś jej tam wytną, żeby nie miała ochoty się zabawiać z cudzymi mężami. Nic nie rozumiem, kiedy mówi po francusku, ale ojciec powiedział o tym w nocy mamie. Obdrzezanie. Powiedział, że robią to tutaj wszystkim dziewczynom. Ojciec powiedział, nie widzisz, ile mamy do zrobienia? Prowadzą te wszystkie dziewczynki jak jagnięta na rzeź. Mama powiedziała, odkąd to ojciec zaczął się troszczyć o los małych dziewczynek. Powiedziała, że jej podstawowym obowiązkiem jest zająć się swoimi własnymi dziewczynkami i jeśli on byłby prawdziwym ojcem, to zrobiłby to samo.

Ojciec powiedział, że robi co może i że pan Axelroot to lepszy interes. Mama dostała ataku wściekłości i rozdarła prześcieradło na dwie części. Nie lubi żadnego z nich, ale muszą przychodzić,

bo Tata Nydo jest wodzem, a pan Axelroot to lepszy interes. Ale wszyscy ciągle dostają ataków wściekłości. Zwłaszcza Rachel.

Mama znalazła tabletki, które przylepiałam do ściany. Same mi wyskakiwały z buzi. Nie mogłam ich powstrzymać. Mają okropny smak i lepiej się przylepiają do ściany, jak się je najpierw włoży do buzi. Mama poodrywała je wszystkie nożem i włożyła do białej filiżanki. Widziałam, gdzie ją dała, na półkę z aspirynami bayeranckimi, które nam się skończyły. Rachel powiedziała: Co z nimi zrobimy? a mama powiedziała: Zażyjemy, oczywiście, Ruth May będzie musiała i cała reszta z nas, kiedy nam się skończą. Ale ja nie chcę, robi mi się od nich niedobrze. Rachel powiedziała, że ona też nie będzie zażywała. Obrzydliła się i powiedziała, że, jakby wziąć po kimś gumę do żucia. Rachel wszystkim się obrzydza. Mama powiedziała: Dobra, jeśli chcesz się rozchorować tak jak Ruth May, to proszę bardzo, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Aha, czyli to się ze mną stało. Sama sobie pościeliłam łóżko i teraz jestem bardzo chora. Mama i ojciec rozmawiają o tym czasem i on mówi: „Dobry Pan Bóg” a ona odpowiada: „Lekarz”. Kłócą się ze sobą z mojego powodu.

Już dwa razy byłam u lekarza w Stanleyville, kiedy złamałam sobie rękę i kiedy naprawiał mi gips, bo mi się pobrudził. Pan doktor rozciął mi go wielkimi nożycami, ale nie bolało. Ale teraz nie możemy tam pojechać, bo w Stanleyville strasznie się biją i każą wszystkim białym chodzić nago. Trochę ludzi zabili. Kiedy poleciliśmy tam pierwszy raz, zobaczyłam wszystkie te małe, brudne diamenty w worku z tyłu samolotu. Panu Axelrootowi się nie podobało, że mu zaglądam w rzeczy. Kiedy czekaliśmy, aż ojciec wróci od fryzjera, pan Axelroot bardzo mocno mną potrząsnął. Powiedział: Jeśli komuś powiesz, że widziałas

diamenty w tych workach, twoja mamusia i tatuś zachorują i umrą. Nie wiedziałam, że to są diamenty, dopóki mi tego nie powiedział. Nie pisnęłam ani słowem i ja zachorowałam zamiast mamusi i tatusia. Pan Axelroot wciąż mieszka w swojej budzie i kiedy tu przychodzi, patrzy na mnie, czy powiedziałam. On potrafi zaglądnąć człowiekowi prosto do duszy jak mały Jezus. Przychodzi do

naszego domu i mówi, że słyszał, co się dzieje, że Tata Nydo chce się ożenić z Rachel. Wszyscy o tym wiedzą. Ojciec mówi, że biali muszą trzymać się razem, więc teraz musimy być przyjaciółmi pana Axelroota. Aleja nie chcę. Kiedy czekaliśmy w samolocie, bardzo mocno mną potrząsnął.

Złamałam sobie rękę, bo podglądałam i mama mi powiedziała, żebym tego nie robiła. Teraz zachorowałam, bo mały Jezus widzi wszystko, co robię, a ja byłam niedobra. Potargałam trochę zdjęć Ady, skłamałam mamie cztery razy i próbowałam zobaczyć Nelsona gołego. I uderzyłam Leę patykiem w nogę i widziałam diamenty pana Axelroota. Zrobiłam strasznie dużo złych rzeczy. Jeśli umrę, to zniknę i wiem, w które miejsce wrócę. Będę tam na drzewie, będę tego samego koloru i w ogóle. Spojrzę na ciebie w dół. Ale ty mnie nie zobaczysz.

Rachel

Siedemnaście lat! W systemie dziesiątkowym mam dziesięć lat plus siedem. Tak przynajmniej sądziłam, dopóki Lea mnie nie poinformowała, że nie mówi się dziesiątkowy tylko dziesiątny. Od razu wiadomo, kiedy Bóg postanowił cię porządnie ukarać, bo wtedy zsyła nie jedną, tylko dwie siostry, które są młodsze od ciebie, ale zdążyły się już nauczyć na pamięć całego słownika. Przynajmniej tyle dobrze, że tylko jedna z nich mówi.

Nie żeby moje urodziny były obchodzone w jakiś uroczysty sposób. To są już drugie, które obchodzę w Kongu i po pierwszych myślałam, że gorszych już być nie może. W zeszłym roku na moje urodziny matka przynajmniej rozplakała

się i pokazała mi pudełko ciasta w proszku Angel Dream, które kupiła w Piggly Wiggly w Bethlehem, żeby ulżyć mi trochę w niedoli, jaką jest dorastanie za granicą. Czułam się rozczarowana, bo nie dostałam żadnych ładnych prezentów: żadnego swetra, ani jednej płyty gramofonowej — był to dla mnie najbardziej ponury dzień w moim życiu.

Szkoda gadać! Nawet mi się nie śniło, że spędzę tutaj jeszcze

jedne urodziny, jeszcze jeden 20 sierpnia w dokładnie tym samym ubraniu i dokładnie tej samej bieliźnie co zeszłego roku, wszystko sprane i spłowiałe, oprócz gorsetu wyszczuplającego, który od razu rzuciłam w kąt, bo po co młoda dziewczyna ma trzymać linię pośród tej paskudnej dżungli? A teraz do tego wszystkiego moje urodziny przeszły praktycznie niezauważone.

— Czy dzisiaj nie jest przypadkiem dwudziesty sierpnia? — spytałam kilka razy głośno, patrząc na zegarek, jakbym miała coś do zrobienia. Ada, która prowadzi swój odwrotny dziennik, jako jedyna jest na bieżąco z datami. I oczywiście ojciec, który ma swój mały kalendarzyk kościelny na zapisywanie terminów wszystkich ważnych spotkań, gdyby się jakieś trafiły. Lea w ogóle się mną nie interesowała, usiadła za biurkiem ojca, żeby popracować nad zadaniami arytmetycznymi. Lea zrobiła się strasznie ważna, odkąd Anatole poprosił ją, żeby mu pomogła w prowadzeniu lekcji. Wielka mi rzecz! To tylko matematyka, najnudniejszy przedmiot na świecie, a zresztą Anatole pozwala jej uczyć tylko najmłodsze dzieci. Nie robiłabym tego, nawet gdyby Anatole płacił mi prawdziwymi amerykańskimi dolarami. Na pewno dostałabym choroby morskiej, patrząc, jak śpiki spływają im tymi małymi bruzdami z nosa do ust.

Spytałam więc Adę trochę głośniej:

— Powiedz, czy dzisiaj nie jest dwudziesty sierpnia? — Kiwnęła głową, że tak, a ja rozejrzałam się zdumiona wokół siebie, bo moja własna



rodzina zastawiała stół do śniadania, przy gotowywała się do lekcji i Bóg wie co jeszcze, jakby to był normalny dzień, nawet nie tak ważny jak każdy czwartek w Bethlehem, kiedy zawsze wystawialiśmy na ulicę worki ze śmieciami.

Mama w końcu sobie jednak przypomniała. Po śniadaniu dała mi swój własny zestaw kolczyków z bransoletką, który zawsze mi się podobał. To tylko rżnięte szkło, ale w bardzo ładnym odcieniu zieleni, który pasuje mi do włosów i oczu. A ponieważ była to pierwsza biżuteria, jaką dostałam od roku, czułam się tak, jakbym dostała diamenty—taka byłam wyposzczona. W każdym razie było mi miło, że zdobyła się na ten drobny gest. Zawinęła

kolczyki i bransoletkę w kawałek płótna i na kartce wyrwanej z zeszytu Ady napisała: „Dla mojej pięknej pierworodnej, już całkiem dorosłej”. Czasami mama naprawdę się stara. Pocałowałam ją i podziękowałam, ale potem musiała wrócić do Ruth May, żeby ją przemyć gąbką, więc na tym się skończyło. Ruth May gorączka podskoczyła do czterdziestu stopni, Adę pajak spawek ugryzł w stopę i musiała ją moczyć w zimnej wodzie, do kurnika wkradła się mangusta i zjadła trochę jajek i to wszystko w moje urodziny! Wszystko wyłącznie po to, żeby odwrócić uwagę ode mnie. Może z wyjątkiem mangusty.

Ada

Tata Jezus jest bangala, obwieszcza wielebny każdej niedzieli na zakończenie kazania. Coraz częściej, nie ufając tłumaczom, próbuje mówić w kikongo. Odrzuca głowę do tyłu i wykrzykuje te słowa w niebo, podczas gdy jego owieczki drapią się z konsternacją w głowę. Bangala znaczy coś cennego i drogiego, ale tak jak on to wymawia, wychodzi, że Jezus jest jadowitym drzewem. Chwalmy Pana, alleluja, przyjaciele moi, bowiem Pan Jezus spuści na was takie swędzenie, że do końca życia zapamiętacie.

Kiedy Ojciec Nasz głosił Biblię jadowitego drzewa, jego córka Ruth May wstała z martwych. Ojciec Nasz nie zwrócił na to wydarzenie szczególnej uwagi. Być może od początku zakładał, że do tego dojdzie i dlatego nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Zaufanie, jakie pokłada w Bogu, jest wyjątkowe. Eżob o! Być może jednak Pan Bóg nie ma świadomości, że nasza matka miała swój udział w tym cudzie, zmuszając Ruth May do połknięcia po raz drugi tych samych pigulek.

Kelugip hcymas. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Tako rzekągreccy filozofowie, a krokodyle czuwają nad prawdziwością ich tez. Ruth May nie jest tą samą Ruth May co przedtem. Yam Htur. Żadna z nas nie jest taka sama: Lehcar, Ael, Ada, Annaelro. Tylko Nathan pozostaje zasadniczo sobą, tym samym

człowiekiem, niezależnie od tego, z której strony patrzeć. Reszta z nas posiada dwie twarze. Kładziemy się do łóżka jako my i niczym biedny doktor Jekyll budzimy się odmienione. Matka, która jeszcze niedawno cierpiała na agorafobię i trzymała nas w domu pod kloszem przez wszystkie te miesiące deszczu, epidemii i niepodległości, teraz zbuntowała się przeciwko swemu opiekunowi: spogląda na nasz dom podejrzliwie i oskarża go, że jest „zapajęczyniony” i „dusi nas gorącem”. Mówi o nim jak o istocie obdarzonej wolą i zamysłem. Codziennie po południu każe nam nakładać najprzewiewniejsze sukienki i uciekać z tego parszywego domu. Maszerujemy leśną ścieżką przez dżunglę, gęsiego, na piknik. Kiedy się rozbiegamy i jej się wydaje, że jej nie widzimy, kołysze się delikatnie na polanie jak drzewo poruszane przez wiatr. Ryzykując, że zarazi się tęgoryjcami dwunastnicy, zdejmuje buty.

A teraz radujmy się w Panu, albowiem Ruth May powstała z martwych, lecz ma pusty wzrok żywego trupa i straciła zainteresowanie tym, żeby być pierwsza czy najlepsza we wszystkim. Nelson się do niej nie zbliża. Jego teoria

brzmi następująco: sowa, którą przez jakiś czas trzymaliśmy w niewoli, nauczyła się rozkładu pomieszczeń w domu, toteż może wrócić przez okno i zjeść duszę Ruth May.

Moje pozostałe siostry, każda na swój sposób, przejawiają dziwne zachowania w stosunku do mężczyzn. Rachel jest histeryczna i zaręczona. Zaręczyny są fikcyjne, lecz nie przeszkadza jej to bawić się całymi godzinami w „Lustereczko, powiedz przecie” w swoich nowych, zielonych kolczykach ze szkła, a potem protestować, tocząc pianę, przeciwko swemu zbliżającemu się małżeństwu.

Co się tyczy Lei, sprawniejszej bliźniaczki, odkryła w sobie zafascynowanie językiem francuskim i kikongo, a zwłaszcza uczeniem się ich od Anatole'a. Rano Lea uczy jego młodszych podopiecznych arytmetyki, a później spędza wiele godzin uwieszona u jego śnieżnobiałego rękawa, odmieniając czasowniki zwrotne, te same, które rok wcześniej uznała za bezużyteczne. Wygląda na to, że czasowniki zwrotne nabierają nowego znaczenia dla niektórych piętnastoletnich dziewcząt. Anatole wtajemnicza ją również w arkana strzelania z łuku. Dał jej w prezencie mały, bardzo funkcjonalny łuk i kołczan strzał z czerwonymi piórami — jak „Nadzieja” w wierszu panny Dickinson i jak całkiem beznadziejnie martwy Matuzalem, nasza była papuga. Anatole własnonożnie (to znaczy swoim własnym nożem) wystrugał dla Lei te dary z gałęzi zielonego hebanu.

Oto mój wiersz-palindrom na ten temat: Pasjo, oj sap.

Tymczasem Nelsonowi przywróciło to dobry humor. Łuk i strzały Lei są dla niego znakiem pozytywnej ewolucji w naszym domu, po tych wszystkich zniechęcających wydarzeniach, takich jak śmierć czy też prawie śmierć Ruth May. Nelson postanowił, że będzie czuwał nad szkoleniem wojskowym Lei. Sporządza tarcze z liści i przypina je do pnia wielkiego mangowca na skraju

naszego podwórza. Tarcze z każdym dniem robią się coraz mniejsze. Pierwsze były wielkości ucha słonia i prawie nie sposób było nie trafić w te trójkątne fartuchy powiewające na wietrze. Lea ekspediowała rozdygotane strzały jedna po drugiej w ząbkowane obrzeże liścia. Systematycznie zawężała jednak pole rażenia i teraz celuje do okrągłego, błyszczącego liścia guawy wielkości palca. Nelson pokazuje jej, jak ma stanąć, zamknąć jedno oko i ugodzić trzepoczącą strzałą w samo serce liścia. Lea jest przerażająco dobrym strzelcem.

Moja siostra bliźniaczka, bogini łowów, i ja jesteśmy teraz mniej podobne do siebie niż kiedykolwiek, poza jedną rzeczą: mieszkańcy wioski na nią też zaczynają patrzeć jak na dziwadło. A przynajmniej jak na istotę w pożałowania godnym stopniu niekobiecą. Ja jestem benduka i to jedno słowo precyzyjnie mnie opisuje: ktoś, kto chodzi krzywo i powoli. Lecz w stosunku do mojej siostry bliźniaczki, która uczy w szkole i morduje pnie drzew, nasi sąsiedzi używają różnych określeń, z których żadne nie jest zbyt czułe. Najczęściej stosowane, bąkała, posiada dosyć szeroki zakres znaczeniowy, w który wchodzi ostra papryka, gruzłowaty rodzaj ziemniaka i męski organ płciowy.

Lea w ogóle się tym nie przejmuje. Twierdzi, że skoro to Anatole dał jej łuk i Anatole poprosił ją, żeby uczyła w szkole, to

w takim razie jest niemożliwe, aby naruszała jakiegokolwiek obyczaje społeczne. Nie dostrzega, że Anatole łamie dla niej reguły i że to będzie miało swoje konsekwencje. Niby niczego nie świadoma Hester Prynne, nosi swoją literę, zielone duże D swego łuku przewieszzone przez ramię. D jak Dramat, D jak Diana bogini łowów albo D jak Do diabła z waszymi obyczajami społecznymi. Nie rozstaje się z łukiem, kiedy idzie na targ, a nawet do kościoła, chociaż w niedziele musi zostawić w domu strzały. Nawet nasza matka, która ostatnio nie jest w najlepszych stosunkach z Panem Jezusem, zabrania jej wchodzić do Jego przybytku z amunicją.

Lea

Twarz Anatole'a z profilu, z okiem w kształcie migdała i wysokim czołem, przypomina faraona lub boga na egipskim obrazie. Jego oczy mają najciemniejszy odcień brązu, jaki można sobie wyobrazić. Nawet białka nie są białe, tylko jasnokremowe. Czasami siedzimy przy stole pod drzewami koło budynku szkoły, kiedy chłopcy skończą lekcje. Ja uczę się francuskiego i próbuję za bardzo mu nie przeszkadzać, kiedy przygotowuje się do zajęć na następny dzień. Anatole rzadko odrywa wzrok od książek i przyznaję, że pod najróżniejszymi pretekstami wybijam go ze skupienia. Jest zbyt wiele rzeczy, które chcę wiedzieć. Na przykład chcę wiedzieć, dlaczego pozwala mi uczyć w szkole. Z powodu niepodległości czy z powodu mnie? Chcę go zapytać, czy wszystkie słyszane przez nas historie są prawdziwe: Matadi, Thysville, Stanleyville. Handlarz konserwami, który zahaczył o Kilangę po drodze do Kikwit, opowiedział nam straszne rzeczy na temat rzezi w Stanleyville. Powiedział, że kongijscy chłopcy w koronach liści na głowach byli nieczuli na belgijskie kule, które przechodziły przez nich na wylot i wbijały się w mur za ich plecami. Powiedział, że widział to na własne oczy. Anatole stał tuż obok, lecz sprawiał wrażenie, że nie słucha tego wszystkiego. Zamiast tego dokładnie obejrzał parę okularów, którą w końcu

kupił od handlarza. Okulary mają dobre soczewki, które wszystko powiększają: kiedy je zakładam, nawet francuskie słowa są duże i łatwe do czytania. Anatole wygląda w nich inteligentniej, ale trochę mniej po egipsku.

Najbardziej chciałabym zadać Anatole'owi jedno pytanie, którego zadać nie mogę: Czy nienawidzi mnie za to, że jestem biała?

Zamiast tego spytałam:

— Dlaczego Nkondo i Gabriel mnie nienawidzą? Anatole rzucił mi zaskoczone spojrzenie znad rogowych oprawek i prawdziwych soczewek swych nowych okularów.

— Nkondo i Gabriel bardziej niż inni? — powiedział, powoli ustawiając ostrość na obecną rozmowę i na mnie. — Po czym poznajesz?

Prychnęłam jak niezadowolony koń.

— Nkondo i Gabriel bardziej niż inni, bo grają na krzesłach jak na bębnach i zagłuszają mnie, kiedy próbuję im wytłumaczyć dzielenie pełne.

— W takim razie to małe chuligany, i tyle.

Oboje wiedzieliśmy, że nie jest to do końca prawda. Bębnienie o krzesła mogło nie nieść sobą żadnego specjalnego przesłania w szkole w Bethlehem, gdzie chłopcy broili, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Jednak rodziny tych chłopców musiały skądś wskrobać dodatkowe jedzenie albo gotówkę, żeby ich synowie mogli chodzić do szkoły i wszyscy o tym pamiętali. Chodzenie do szkoły nie należało do błahych decyzji. Uczniowie Anatole'abyli poważni jak grób. Tylko kiedy próbowałam ich nauczyć matematyki, a Anatole był zajęty pracą ze starszymi uczniami, zaczynali rozrabiać.

— Zgoda, masz rację. Wszyscy mnie nienawidzą— powiedziałam lamentującym tonem. — Pewnie nie jestem dobrą nauczycielką.

— Jesteś znakomitą nauczycielką. Nie w tym rzecz.

— A w czym rzecz?

— Musisz zrozumieć. Po pierwsze, jesteś dziewczyną. Ci chłopcy nie są przyzwyczajeni do okazywania posłuszeństwa kobietom, nawet własnym babciom. Jeśli dzielenie pełne jest rzeczywiście niezbędne do tego, aby młody mężczyzna odniósł

vv życiu sukces, to jak to możliwe, że ładna dziewczyna umie to robić? Oni tak myślą. A po drugie, pamiętaj, że jesteś biała. O co chodzi z tą ładną dziewczyną?

— Biała — powtórzyłam. — Czyli oni uważają, że biali nie umieją opanować dzielenia pełnego?

— W głębi duszy większość z nich uważa, że biali ludzie potrafią zapalić i zgasić słońce albo sprawić, żeby rzeka popłynęła do tyłu. Ale oficjalnie nie. Oni teraz słyszą od swoich ojców, że przysłała niepodległość i biali ludzie nie powinni siedzieć w Kongu i mówić nam, co mamy robić.

— Przypadkiem wiem, że uważają też, że Ameryka i Belgia powinny im dać mnóstwo pieniędzy. Tyle, żeby wszystkim starczyło na radio, samochód i inne rzeczy. Nelson mi to powiedział.

— Tak, jest jeszcze po trzecie. Uważają cię za przedstawicielkę chciwego narodu.

Zamknęłam na ten dzień podręcznik gramatyki francuskiej.

— Anatole'u, to jest zupełnie bez sensu. Oni nie chcą być naszymi przyjaciółmi, nie szanują nas, a w Leopoldville plądrują domy białych, ale chcą, żeby Ameryka dała im pieniądze.

— Co konkretnie wydaje ci się w tym bez sensu?

— Wszystko.

— Zastanów się, Beene — powiedział cierpliwie, jakbym była jednym z jego uczniów, który nie może się uporać z łatwym zadaniem. — Kiedy któryś rybak, powiedzmy Tata Boanda, ma udany połów i wraca do domu z pełną łodzią ryb, to co robi?

— To się nie zdarza zbyt często.

— Ale zdarza się. Co robi?

— Śpiewa na cały głos, wszyscy przychodzą i on rozdaje wszystkie ryby.

— Nawet swoim wrogom?

— No, wychodzi na to, że tak. Wiem, że Tata Boanda nie przepada za Tata Zinsaną, ale najwięcej daje żonom taty Zinsany.

— Otóż to. Według mnie to nie jest bez sensu. Kiedy ktoś ma czegoś dużo więcej, niż potrafi zużyć, to można rozsądnie oczekiwać, że nie zatrzyma wszystkiego dla siebie.

— Ale Tata Boanda musi rozdać ryby, bo by się zepsuły. Gdyby ich nie rozdał, smród ciągnąłby się stąd do Stanleyville.

Anatole uśmiechnął się i pokazał palcem na mój nos.

— Kongijczycy w taki sam sposób myślą o pieniądzach.

— Ale jeśli ktoś stale rozdaje wszystko, co mu zbywa, to nigdy nie będzie bogaty.

— To chyba prawda.

— A każdy chce być bogaty.

— Na pewno?

— Na pewno. Nelson chce zaoszczędzić, żeby sprawić sobie żonę. Ty pewnie też. — Nie wiem dlaczego, ale unikałam jego wzroku, kiedy to mówiłam. — Tata Ndu jest taki bogaty, że ma sześć żon i wszyscy mu zazdroszczą.



— Tata Ndu pełni bardzo trudną funkcję. Potrzebuje mieć dużo żon. Ale nie bądź taka pewna, że wszyscy mu zazdroszczą. Ja na przykład nie chcę jego posady. — Anatole roześmiał się. — Ani jego żon.

— Ale czy nie chciałbyś mieć dużo pieniędzy?

— Beene, przez wiele lat pracowałem dla Belgów na plantacjach kauczukowych w Coquilhatville i widziałem tam bogatych ludzi. Byli zawsze nieszczęśliwi i mieli bardzo mało dzieci.

— Gdyby byli biedni, to przypuszczalnie byłiby jeszcze bardziej nieszczęśliwi — odparłam.

Parsknął śmiechem.

— Może masz rację, ale w każdym razie nie nauczyłem się zazdrościć bogatym.

— Ale trochę pieniędzy trzeba mieć — upierałam się. Zdaję sobie sprawę, że Pan Jezus żył w biedzie, ale to było gdzie indziej i w innych czasach. Surowa kultura pustynna, jak powiedział brat Fowles. — Trzeba mieć tyle, żeby móc zapłacić za jedzenie, lekarzy i tak dalej.

— Zgoda, trochę pieniędzy trzeba mieć. Jeden samochód i radio na każdą wioskę. Twój kraj mógłby nam tyle dać, co?

— Pewnie tak. Nie sądzę, żeby to zrobiło wielką różnicę. W Georgii wszyscy ludzie, których znaliśmy, mieli samochody.

?— Nie opowiadaj bajek, Beene. To niemożliwe.

— To znaczy nie wszyscy, tylko każda rodzina.

— Niemożliwe.

— Kiedy tak właśnie jest! Niektóre rodziny mają nawet dwa!

- Po co tyle samochodów naraz?
- Bo każdy musi codziennie gdzieś pojechać. Do pracy, do sklepu i tak dalej.
- A dlaczego nikt nie chodzi na piechotę?
- Tam jest inaczej, Anatole'u. Wszędzie jest daleko. Ludzie mieszkają w wielkich miastach, jeszcze większych niż Leopoldville.
- Opowiadasz bajki, Beene. Gdyby wszyscy mieszkali w miastach, to by im zabrakło jedzenia.
- O, tym się zajmują na wsi. Uprawiają ogromne pola. Orzeszki ziemne, soję, zboże i tak dalej. Farmerzy to wszystko uprawiają, ładują na wielkie ciężarówki i zawożą do miasta, gdzie ludzie chodzą na zakupy do sklepu.
- Na targ.
- Nie, to w niczym nie przypomina targu. To taki duży budynek, jasno oświetlony i z mnóstwem półek. Jest otwarty codziennie i jedna osoba sprzedaje najróżniejsze rzeczy.
- Jeden farmer ma tyle rzeczy?
- Nie, nie farmer. Właściciel sklepu skupuje wszystko od farmerów i sprzedaje ludziom z miast.
- Czyli nawet nie wiadomo, z którego pola pochodzi żywność? To straszne. Może być zatruta!
- Nie, to bardzo dobrze funkcjonuje.
- Jak to możliwe, że wystarcza żywności, skoro wszyscy mieszkają w mieście?

— Jakoś wystarcza. Tam jest inaczej niż tutaj.

— Co jest takie inne?

— Wszystko — powiedziałam i zamierzałam mówić dalej, lecz mój język tylko lizał tył moich zębów, smakując słowo „wszystko”. Patrzyłam na skraj polany za naszymi plecami, gdzie dżungla odgradzała się od nas wielkim zielonym murem drzew, nawoływań ptaków, oddechów zwierząt, a wszystko to takie

niezmienne jak bicie serca słyszane we śnie. Otaczała nas gęsta, wilgotna, żywa masa drzew i wysokich traw, która ciągnęła się przez całe Kongo, a my byliśmy tylko maleńkimi myszkami, które z drzeniem wędrują ciemnymi ścieżkami pośród tej gęstwiny. Można powiedzieć, że w Kongo to ziemia posiada ludzi, a nie odwrotnie. Jak miałam wytłumaczyć Anatole'owi pola soi, które mężczyźni zasiadający na olbrzymich traktorach, jak królowie na tronach, poskramiają od horyzontu po horyzont? Przypominało to figiel pamięci lub niebiesko-zielony sen: niemożliwe.

— U nas w kraju nie mamy dżungli — powiedziałam.

— W takim razie co macie?

— Wielkie pola, jak uprawy manioku szersze i dłuższe niż Kwilu. Kiedyś pewnie były drzewa, ale ludzie je pościnali.

— I nie odrosły?

— Nasze drzewa nie są takie żywotne jak wasze. Ojciec i ja bardzo długo nie mogliśmy zrozumieć, jak tutaj rosną rośliny. Pamiętasz, jak zaraz po przyjeździe plantowaliśmy kawałek ziemi pod ogród? Teraz nawet nie widać jego granic. Wszystko rosło jak szalone, a potem umarło. Ziemia zamieniła się w martwą, czerwoną bryłę, podobną do zgniłego mięsa. Potem wszystko zarosły

liany. Myśleliśmy, że pokażemy ludziom, jak osiągać takie plony, jakie my mamy w kraju.

Roześmiał się. — Pola manioku szersze i dłuższe niż Kwilu.

— Nie wierzysz mi, ale to prawda! Nie potrafisz sobie tego wyobrazić, bo gdyby tutaj wykarczować dżunglę pod takie wielkie pola, to deszcz zamieniłby wszystko w rzekę błota.

— A potem susza spiekłaby wszystko na kamień.

— Właśnie! A nawet gdyby coś wyrosło, drogi byłyby zmyte, więc nie dałoby się zawieźć zbiorów do miasta.

Mlasnął językiem. — Na pewno uważasz Kongo za bardzo nieprzychylne miejsce.

— Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo Kongo się różni od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. U nas w kraju mamy miasta, samochody i inne rzeczy, bo natura jest zupełnie inaczej zorganizowana.

Słuchał z głową przekrzywioną na bok.

— A mimo to twój ojciec przyjechał tutaj zdecydowany posadzić w Kongu amerykański ogród.

— Mój ojciec uważa, że Kongo jest po prostu zacofane i on może mu pomóc dogonić inne kraje. Co jest idiotyzmem. To tak, jakby próbował założyć koniowi gumowe opony.

Anatole uniósł brwi do góry. Myślę, że nigdy nie widział konia. W Kongu nie ma koni z powodu muchy tse-tse. Próbowałam wymyślić jakieś inne zwierzę pociągowe odpowiednie dla mojej przypowieści, ale Kongo żadnego z nich nie posiada. Nawet krów. To, co chciałam wyrazić, było tak trafne, że nie dało się na to znaleźć odpowiednich słów.

— Kozie — powiedziałam wreszcie. — Jakby chciał założyć koła kozie. Albo kurze, albo żonie. Koncepcje mojego ojca, które mają usprawnić funkcjonowanie świata, tutaj do niczego nie pasują.

— Ayi, Beene. Ta biedna koza twojego ojca jest bardzo nieszczęśliwym zwierzęciem.

I jego żona! — pomyślałam. Lecz kiedy wyobraziłam sobie kozę z wielkimi oponami ugrzęzłymi w błocie, nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. A potem poczułam się głupio. Nigdy nie wiedziałam, czy Anatole mnie szanuje czy też widzi we mnie tylko zabawne dziecko.

— Nie powinnam śmiać się z ojca — powiedziałam.

— Nie — odparł, dotykając palcem ust i wywijając oczy do góry.

— Nie powinnam! To grzech. — Grzech, grzech, miałam już tego wyżej uszu. — Kiedyś modliłam się do Boga, żeby uczynił mnie taką jak on — wyznałam. — Inteligentną, sprawiedliwą i posłuszną Jego woli. Teraz nawet nie wiem, jaka chciałabym być. Chyba wolałabym być bardziej taka jak wszyscy.

Pochylił się do przodu i spojrzał mi w oczy. Jego palec powędrował z jego ust w stronę mojej twarzy i zawisł w powietrzu, niezdecydowany, gdzie należy umieścić błogosławieństwo.

— Beene, gdybyś była bardziej taka jak wszyscy, to nie byłabyś taka beene-beene.

— Może byś mi wreszcie wytłumaczył, co to znaczy beene- -beene. Chyba mam prawo znać swoje własne imię?

Jego ręka opadła na stół.

— Kiedyś ci powiem.

Nawet jeśli nie nauczę się przy Anatole'u francuskich koniugacji, to przynajmniej nauczę się cierpliwości, pomyślałam.

— Mogę cię zapytać o coś innego?

Rozważył tę prośbę, używając lewej ręki jako zakładki książki.

— Tak.

— Dlaczego tłumaczysz kazania mojego ojca? Wiem, co myślisz na temat naszej misji.

— Tak sądzisz?

— Tak sędzę. Kiedy przyszedłeś na kolację, wyjaśniłeś, że Tacie Ndu nie podoba się, że tylu ludzi woli praktyki chrześcijańskie od starych tradycji. Podejrzewam, że ty też tak myślisz, uważasz, że stare obyczaje były lepsze. Nie podoba ci się sposób przeprowadzania wyborów przez Belgów i chyba nawet nie jesteś pewien, czy dziewczęta powinny uczyć w szkole.

— Bécene, nie przyszli do mnie i nie zapytali, Anatole'u Ngemba, jak przeprowadzimy wybory? Powiedzieli tylko: „Kilango, tu są wasze głosy. Możecie je wrzucić do tej kalebasy, albo do tej kalebasy, albo szurnąć nimi wszystkimi do rzeki”. Moim zadaniem było wyjaśnić, że takie są możliwości.

— Ale mimo wszystko. Nie wydajesz mi się bardzo zachwycony tym, co mój ojciec chce tutaj osiągnąć.

— Nie do końca wiem, co on zamierza tutaj osiągnąć. A ty wiesz?

— Chce opowiedzieć historie o Jezusie i miłości Bożej. Zaprowadzić ich wszystkich przed oblicze Pana.

— A gdyby nikt nie tłumaczył jego kazań, to jak by opowiedział te wszystkie historie?

— To dobre pytanie. Pewnie próbowaliby po francusku i w kikongo, ale robi okropne błędy w tych językach. Ludzie by chyba nie zrozumieli, o co mu chodzi.

— Sądzę, że masz rację. Może lubiliby twojego ojca bardziej, gdyby go nie rozumieli, kto wie. Ale kiedy rozumieją jego słowa, mogą sami wyrobić sobie zdanie.

Przyglądałam mu się długo i uważnie.

— Czyli szanujesz mojego ojca.

— Szanuję to, co widziałem. Nic nie pozostaje takie samo, kiedy ktoś nowy przychodzi do twojego domu z darami. Powiedzmy, że przyniósł ci garnek. Ty masz już garnek, do którego jesteś przywiązana, ale ten nowy jest na przykład większy. Będziesz bardzo zadowolona, będziesz się chwaliła nowym garnkiem, a stary oddasz siostrze. Ale nowy garnek może być dziurawy. Wtedy uprzejmie podziękujesz twojemu gościowi, a kiedy sobie pójdzie, postawisz go na podwórzu i będziesz z niego karmiła kury lybimi łuskami.

— Czyli robisz to tylko z uprzejmości. Nie wierzysz w Jezusa Chrystusa.

Młasnął językiem.

— Nie jest takie ważne, w co wierzę. Jestem nauczycielem. Czy wierzę w tabliczkę mnożenia? Czy wierzę w la langue française, z jego nadliczbowymi literami, które doczepiają się do każdego słowa jak leniwe dzieci? To nieistotne. Ludzie potrzebują wiedzieć, na co się decydują. Obserwowałem wielu białych, którzy odwiedzali nasz dom, zawsze przynosząc nam rzeczy, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Nożyce, lekarstwa, silnik do łodzi. Książki. Projekt kopania diamentów albo plantacji kauczuku. Historie

o Jezusie. Niektóre z tych rzeczy wydają się bardziej praktyczne, a inne mniej. Ważne jest, aby potrafić je od siebie odróżniać.

— A gdybyś nie tłumaczył opowieści biblijnych, to ludzie mogliby zostawać chrześcijanami ze złych powodów. Pomyśleliby, że nasz Bóg dał im nożyczki i tabletki przeciwko malarii, więc trzeba pójść za Nim.

Uśmiechnął się do mnie kącikiem ust.

— Naprawdę chcesz wiedzieć, co znaczy beene-beene?

— Tak!

— To znaczy tak prawdziwa, jak może być tylko prawda. Na policzki wyskoczył mi piekący rumieniec, czego się zawsty dziłam i jeszcze bardziej poczerwieniałam. Zastanawiałam się, co powiedzieć, lecz nic nie przychodziło mi do głowy. Skierowałam wzrok na francuskie zdania i odkryłam, że nie potrafię ich przetłumaczyć.

— Anatole — powiedziałam wreszcie — gdybyś miał tylko jedno życzenie, to co byś sobie zażyczył?

Odpowiedział bez wahania:

— Zobaczyć naraz mapę całej ziemi.

— Naprawdę? Nigdy nie widziałeś?

— Nigdy naraz. Nie umiem sobie wyobrazić, czy to będzie trójkąt, koło czy kwadrat.

— Jest okrągła—powiedziałam zaskoczona. Jak to możliwe, że nie wie? Chodził do szkół na plantacjach i służył w domach ludzi, którzy mieli pełne półki książek. Mówił po angielsku lepiej od Rachel. A jednak nie



wiedział, jaki kształt ma świat. — A ściślej mówiąc, kulista. — Pokazałam mu dłońmi. — Naprawdę nigdy nie widziałeś globusa?

— Słyszałem o globusie. Mapa na kuli. Ale nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem, bo nie wiem, jak można nakleić mapę na kulę. Ty widziałaś?

— Anatole' u, ja mam globus. W Ameryce mnóstwo ludzi je ma. Roześmiał się.

— Po co? Żeby móc się zdecydować, gdzie pojechać samochodem?

— Nie żartuję. Są w salach szkolnych, wszędzie. Spędziłam tyle czasu, oglądając globusy, że chyba potrafiłabym zrobić globus.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

— Naprawdę. Przynieś mi ładną, czystą kalebasę, to ci zrobię globus.

— Bardzo bym chciał — powiedział, mówiąc do mnie teraz jak do dorosłego przyjaciela, a nie jak do dziecka. Po raz pierwszy byłam tego pewna.

— Wiesz co, nie powinnam uczyć matematyki, tylko geografii. Mogłabym opowiedzieć twoim chłopcom o oceanach, miastach i cudach tego świata!

Uśmiechnął się smutno.

— Nie uwierzyliby ci, Beene.

Rachel

Dzień po moich urodzinach przyszedł Axelroot i poszliśmy na spacer. Mniej więcej się go spodziewałam. Rozkład jazdy miał z grubsza taki, że w czwartki latał do tych swoich tajemnych miejsc, wracał w poniedziałki i odwiedzał nas we wtorki. Włożyłam więc mój seledynowy kostium wykrojony

w kształcie tulipana, który teraz oficjalnie zamienił się w spłowiałozielony i zgubił dwa guziki. Przez pierwsze pół roku modliłam się o duże lustro, a przez drugie pół roku dziękowałam Panu Bogu, że nie mamy lustra. Ale w sumie co to ma za znaczenie, że mój kostium nie jest najpiękniejszy. To nie była prawdziwa randka, tylko stwarzanie pozorów, że jesteśmy narzeczonymi. Zamierzałam przejść się z nim po wiosce, lecz ani kroku dalej. Obiecałam matce, że nie pójdę z nim do lasu ani w żadne miejsce, gdzie nie moglibyśmy być widziani. Matka mówi, że nie ma do niego za grosz zaufania, i widać po niej, że najchętniej nie miałaby z nim nic do czynienia. On jednak jest bardzo uprzejmy i maniery mu się wygładziły. Kiedy stał w drzwiach i czekał na mnie w swoim służbowym stroju khaki i okularach pilota, wyglądał prawie przystojnie, o ile przymknęło się oko na wyraźne oznaki, że to regularny obrzydliwiec.

Przechadzaliśmy się więc w nieznośnym upale dnia dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Owady bzycały tak głośno, że uszy bolały, a na długich źdźbłach trawy przy drodze siedziały maleńkie czerwone ptaszki i kołysały się na boki. Trawa słoniowa przy drodze rośnie taka wysoka, że końce się spotykają i tworzą cienisty tunel. Czasami można sobie prawie pomyśleć, że Kongo jest pięknym krajem. Prawie. Bo zaraz przebiegnie przez ścieżkę dziesięciocentymetrowy karaluch albo inne paskudztwo. Tak się właśnie stało i Axelroot przyskoczył do tego robala i rozgniółł go nogą. Dźwięk był okropny, coś pomiędzy chrupnięciem a chlupnięciem. Myślę jednak, że był to rycerski gest z jego strony.

— Muszę powiedzieć, że to miło dla odmiany czuć się pod

czyją opieką — powiedziałam. — Jeśli u nas w domu pojawi się wielki karaluch, to ktoś albo go oswoi, albo ugotuje na obiad.

— Ma pani oryginalną rodzinę.

— Jeszcze jak! Bardzo uprzejmie pan to ujął.

— Chciałem zapytać, co się stało z pani siostrą?

— Którą? Mnie się wydaje, że wszystkie trzy upadły na głowę, jak były małe.

Roześmiał się.

— Z tą, która kuleje — powiedział. — Z Adą.

— A, z nią. Hemiplegia. Połowa jej mózgu została mniej więcej zniszczona przed urodzeniem, więc druga połowa musiała przejąć kontrolę nad całością i każe jej robić niektóre rzeczy do tyłu. — Jestem przyzwyczajona do tego, że muszę naukowo wyjaśniać przypadek Ady.

— Rozumiem. Czy pani zdaje sobie sprawę, że ona mnie szpieguje?

— Ona wszystkich szpieguje. Niech pan tego nie bierze do siebie. Wślepiac się w ludzi, nie wydając z siebie żadnego dźwięku — dla niej na tym polega rozmowa.

Minęliśmy dom Mamy Mwanzy i parę innych, przy których siedzieli na wiadrach głównie staruszkowie bez choćby jednego zęba. Swoją obecnością zaszczęcały nas również dzieci, które biegały gołe, jeśli nie liczyć sznura paciorków wokół pasa. Co jest w nas takiego interesującego, ja się zapytuję? Podbiegały do drogi, żeby sprawdzić, jak bardzo mogą się do nas zbliżyć, zanim będą musiały uciec z wrzaskiem. To jest ich ulubiona zabawa. Kobiety wciąż były na polach manioku, ponieważ przedpołudnie jeszcze się nie skończyło.

Axelroot wyjął paczkę Lucky Strikes z kieszeni koszuli i potrząsnął nią w moją stronę. Roześmiałam się i miałam mu przypomnieć, że jestem jeszcze za młoda, ale potem zdałam sobie sprawę, że kurka wodna, mam siedemnaście lat. Mogę palić, jeśli chcę — bo i dlaczego nie? Nawet baptyści palą, kiedy wypada. Wzięłam jednego.

— Dziękuję. Wie pan, wczoraj skończyłam siedemnaście lat

.— powiedziała. Wsunęłam sobie papierosa do ust i stanęłam w cieniu palmowca, żeby mógł mi przypalić.

— Moje gratulacje — powiedział, trochę mamrocząc, bo też miał w ustach papierosa. — Sądziłem, że jest pani starsza.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy to usłyszałam, ale to było nic w porównaniu z tym, co się potem stało. Na samym środku drogi wyjął mi z ust papierosa i włożył do swoich, potem potarł zapałkę o paznokieć kciuka i przypalił je oba naraz, zupełnie jak Humphrey Bogart. Potem, bardzo delikatnie, włożył mi papierosa między wargi. Było prawie tak, jak byśmy się pocałowali. Ciarki przebiegły mi po plecach, ale nie byłam pewna, czy był to dreszcz rozkoszy czy obrzydzenia. Czasami bardzo trudno jest odróżnić. Wzięłam filtr papierosa między dwa palce, jak dziewczyny w reklamach z kolorowych czasopism. Na razie idzie mi nieźle, pomyślałam. Potem zaciągnęłam się, zaokrągliłam usta i wydmuchałam dym. Prawie od razu zakręciło mi się w głowie. Zakrztusiłam się parę razy i Axelroot wybuchnął śmiechem.

— Dawno nie paliłam — powiedziała. — Wie pan, są teraz problemy z zaopatrzeniem.

— Mogę pani załatwić każde amerykańskie papierosy, jakie pani chce. Wystarczy tylko słowo.

— Yyy, wolałabym, żeby pan nie rozmawiał o tym z moimi rodzicami. Oni nie są wielkimi zwolennikami palenia. — Ale potem przyszło mi do głowy, że skąd on miałby wytrzasnąć amerykańskie papierosy w kraju, w którym nie można kupić nawet papieru toaletowego? — Pan zna dużo wysoko postawionych ludzi, prawda?

Roześmiał się.

— Nie ma pani pojęcia, księżniczko.

Grupa młodych mężczyzn była na dachu szkoły i uszczelniała dach liśćmi palmowymi. Ojciec musiał zorganizować tę sesję remontową, pomyślałam, a potem wpadłam w panikę: o boziu, stoję tutaj w jasny dzień i odświeżam sobie oddech Lucky Strikiem. Jednak szybkim rzutem oka upewniłam się, że ojca nigdzie nie widać, dzięki Bogu. Tylko ci chłopcy, którzy naprawiali dach, śpiewając i bełkocząc po kongijsku.

Po co naprawiać teraz dach? Dobre pytanie. W zeszłym roku w okolicy moich urodzin prało żabami każdego popołudnia bez wyjątku, ale tego lata nie uświadczyliśmy jeszcze ani kropli. Tylko owady cykały w suchej, skrzypiącej trawie, a powietrze robiło się coraz cięższe w tych dusznych dniach oczekiwania. Duchota sprawiała, że wszyscy jakby na coś czekali.

W tym momencie minęła nas duża grupa kobiet wracających z pól manioku. Na głowach balansowały im wielkie wiązki olbrzymich brązowych korzeni związanych sznurkiem. Kobiety poruszały się powoli, z wdziękiem stawiając krok za krokiem, chude ciała miały pozawijane w kolorowe pagnes, a głowy trzymały tak prosto i wysoko — może to dziwnie zabrzmieć, ale wyglądały jak modelki. Może po prostu upłynęło już za dużo czasu, odkąd widziałam magazyn z modą. Jednak niektóre z nich są na swój sposób bardzo ładne. Zdaje się, że Axelroot też tak uważał. Zasalutował im do daszka czapki, zapomniawszy, że nie ma jej na głowie. — Mbote a-akento akwa Kilanga. Benzika kooko.

Wszystkie kobiety bez wyjątku spuściły wzrok na ziemię. Wyglądało to bardzo dziwnie.

— Co im pan takiego powiedział? — spytałam, kiedy nas minęły.

— Czołem, moje panie z Kilangi, może byście spróbowały ze mną dla odmiany? Z grubsza biorąc, tak im powiedziałem.

— Nie sprawiały wrażenia skuszonych tą propozycją, prawda?

Roześmiał się.

— Nie chcą mieć kłopotów ze swoimi mężami zazdrośnikami. Właśnie to miałam na myśli, kiedy mówiłam o Axelroocie: nie

wolno ani na chwilę zapominać, jaki z niego obrzydliwiec. Na oczach swojej rzekomej narzeczonej flirtował z całą żeńską populacją Kilangi. A z tymi zazdrosnymi mężami — nie jestem przekonana, czy naprawdę o to chodzi. Z tego, co widzieliśmy, nikt w Kilandze nie lubił Axelroota, ani mężczyźni, ani kobiety. Matka i ojciec wypowiadali się na ten temat. Zwłaszcza kobiety go nie

znosiły. Osobiście widziałam, jak plują mu na buty, kiedy negocjował z nimi przewożenie manioku i bananów do Stanleyville.

— Niewielka strata, niech mi pani wierzy — powiedział. — Wolę akwento akwa w Elisabethville.

— A co jest takiego szczególnego w kobietach z Elisabethville?

Odchylił głowę do tyłu, uśmiechnął się i wydmuchnął dym w stronę ciężkiego nieba. Dzisiaj naprawdę wyglądało, że nareszcie zaczną padać, i czuło się to. Powietrze było jak czyjś gorący oddech na całym ciele, nawet pod ubraniem.

— Doświadczenie — powiedział.

Wiedziałam, że lepiej będzie zmienić kierunek rozmowy. Nonszalancko zaciągnęłam się papierosem, ale niezbyt głęboko.

— Gdzie leży Elisabethville?

— Na południu, w prowincji Katanga. A właściwie powinienem powiedzieć, w nowym państwie Katanga. Wie pani, że Katanga oddzieliła się od Konga?

— Teraz już wiem. To tam pan lata?

— Czasami — powiedział. — Ostatnio częściej niż czasami.

— Naprawdę? Pewnie dostał pan nowe rozkazy od dowództwa.

— Nie ma pani pojęcia — powiedział znowu. Już trochę znudziło mi się wysłuchiwanie, że nie mam pojęcia. Czy on naprawdę uważa mnie za dziecko?

— Nie, nie mam. — Dotarliśmy na skraj wioski, mijając po drodze dom Taty Ndu, koło którego mieliśmy zwrócić na siebie uwagę wodza, żeby widział nas razem, ale zupełnie wypadło nam z głowy. Teraz doszliśmy do miejsca, w którym nie było już chat, a wysoka trawa słoniowa zaczynała się splatać z dżunglą. Obiecałam, że nie wyjdę poza teren wioski, ale przywilejem kobiety jest móc zmieniać zdanie. Axelroot po prostu szedł dalej i nagle przestało mnie obchodzić, co się stanie. Ja też szłam dalej. Może to przez te papierosy: czułam się bardzo odważnie. Nakłonię go, żeby nas stąd wywiózł, myślałam sobie w głębi serca. Poza tym w lesie było chłodniej, i bardzo cicho. Kiedy nastawiło się ucha,

słychać było tylko odgłosy ptaków poprzedzielane ciszą i te dźwięki razem sprawiały wrażenie jeszcze cichszych niż brak jakichkolwiek odgłosów. Cień był bardzo gęsty, prawie czarny, choć mieliśmy środek dnia. Axelroot zatrzymał się i zgasił papierosa o buta. Zabrał mi mojego, chwycił mnie dłonią za podbródek i zaczął mnie całować. O jeny! Mój pierwszy pocałunek, a nie miałam nawet okazji się do niego przygotować. Jednocześnie chciałam i nie

chciałam, żeby to robił. Bardziej jednak chciałam. Smakował tytoniem i solą, cała impreza była bardzo mokra. Wreszcie odepchnęłam go.

— Wystarczy — powiedziałam. — Dobrze pan wie, że jeśli mamy coś zrobić, to tak, żeby ludzie nas widzieli.

— No, no. — Uśmiechał się i przeciągnął dłonią po moim policzku. — Spodziewałem się większej powściągliwości po córce pastora.

— Ja panu pokażę córkę pastora! Idź pan do diabła, Axelroot! — Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam szybko iść w stronę wioski. Dogonił mnie, złapał za ramię i spowolnił do spacerowego kroku.

— Tata Ndu nie powinien widzieć, że kochankowie się pokłócili — powiedział, pochylając ku mnie twarz. Odrzuciłam głowę do tyłu, trącąc włosami o jego natrętną gębę. Wciąż byliśmy w lesie, daleko od domu Taty Ndu czy kogokolwiek innego.

— No już—przekonywał.—Niech się pani do mnie uśmiechnie. Jeden ładny uśmiech, a powiem pani największą tajemnicę w całej Afryce.

— Już panu wierzę — powiedziałam, ale byłam ciekawa. Spojrzałam na niego. — Więc co to za tajemnica? Moja rodzina wraca do domu?

Wybuchnął śmiechem.

— Pani wciąż się uważa za epicentrum kontynentu, księżniczko?

— Niech pan nie gada bzdur. — Pomyślałam, że będę musiała spytać Lei, co to jest epicentrum. Jeśli tak cię nazywa człowiek, z którym jesteś rzekomo zaręczona, to lepiej jest orientować się w temacie.

Zwolniliśmy jeszcze bardziej i wlekliśmy sięterazjak ślimaki. Zaniepokoiło mnie to, ale postanowiłam być cierpliwa, żeby mi powiedział



swoją tajemnicę. Widziałam, że sam ma ochotę, więc go o nic nie pytałam. Znam się trochę na mężczyznach. Wreszcie oznajmił: — Ktoś umrze.

— Co za niespodzianka — odparłam. — Co dziesięć i pół sekundy ktoś tutaj umiera. — Oczywiście zastanawiałam się jednak: Kto? Trochę się wystraszyłam, ale nie spytałam. Dalej szłam obok niego krok za krokiem. Musiałam. Wciąż obejmował mnie ramieniem.

— Ktoś ważny — powiedział.

— Każdy jest ważny — poinformowałam go. — W oczach Pana Jezusa ważna jest każda istota. Nawet wróbelki, które wypadają z gniazda.

Strasznie się na to zachnął.

— Księżniczko, musi się pani jeszcze wiele nauczyć. Za życia na dłuższą metę nikt się nie liczy, ale po śmierci niektórzy ludzie liczą się bardziej od innych.

Miałam dosyć tych zgadywanek.

— Dobra, więc kto?

Przysunął usta tak blisko mojego ucha, że czułam jego wargi na włosach.

— Lumumba — szepnął.

— Patrice Lumumba, prezydent? — spytałam głośno, zaskoczona. — Czy kim on tam jest? Ten, co go wybrali?

— Już po nim — powiedział cichym, nonszalanckim tonem, który zmroził we mnie krew.

— Chce pan powiedzieć, że jest chory czy co?

— Chcę powiedzieć, że wybiła jego godzina. Sprzątną go.

— A pan skąd miałby o tym wiedzieć?

— A ja stąd miałbym o tym wiedzieć — powiedział, przedrzeźniając mnie — że mam tu i tam swoje wejścia. Może mi pani wierzyć, moja droga. Wczoraj Wielka Szycha wysłał Superdemonowi depeszę, w której kazał mu zastąpić nowy rząd kongijski innym przy użyciu siły. Przechwyciłem tę zaszyfrowaną wiadomość na moim radiu. Przed końcem tygodnia przyjdą rozkazy dla mnie, gwarantuję pani.

Aha, czyli wciska mi głodne kawałki, pomyślałam, bo nikt w naszej wiosce nie ma radia. Ale uznałam, że niech sobie gada, skoro go to rajcuje. Powiedział, że Superdemon miał za zadanie posłać tajnych agentów, żeby namówili wojskowych do zbuntowania się przeciwko Lumumbie. Ten cały Superdemon miał rzekomo dostać od Stanów Zjednoczonych milion dolarów na zapłacenie żołnierzom, żeby to zrobili, czyli zbuntowali się przeciwko tej samej osobie, którą właśnie wybrali. Milion dolarów! Kiedy dla nas żałowali nawet nędznych pięćdziesięciu zielonych miesięcznie na utrzymanie. To się nie trzyma kupy. Prawie zrobiło mi się żal Axelroota, który chciał mi zaimponować, żebym znów się z nim całowała, więc wymyślał idiotyczne historie. Może jestem córką pastora, ale parę rzeczy wiem. Na przykład to, że kiedy mężczyzna chce cię pocałować, to zachowuje się tak, jakby za chwilę miał zrobić coś, co zmieni losy całego świata.

Ada

Przecucie —jest tym długim Cieniem — na Trawniku Znakiem — że Słońca zachodzą i nikną — Powiadomieniem zaskoczonej Trawy O tym — że wkrótce Mrok się przytrafi\*

Szkoda mi tej biednej, niemej, zaskoczonej trawy. Ifartyzrp jej ęis. Lubię pannę Emily Dickinson: Doliny miski cne, to geograficzno-kulinarno-etyczne nazwisko, które budzi tyle skojarzeń. Podczas lektury jej tajemnic i

wykwintnych małych okrucieństw jej serca odnoszę wrażenie, że sprawiało jej przyjemność, iż może zaskoczyć w swoim wierszu tę niemą trawę. Zamknięta w swoim ciele, ubrana na czarno, zgarbiona nad sekretnym notat\* Emily Dickinson, 100 wierszy, wyd. cyt., s. 95.

nikiem i odgradzona żaluzjami od szczęśliwych, beztroskich ludzi na zewnątrz, poskrzypuje z cicha swym piórem, okrywając mrokiem wszystkie stworzenia, które powinny już wiedzieć, czego się mogą spodziewać, ale nie wiedzą. Wolą siebie w ciemnościach, tak samo jak ja.

W ciemnościach, kiedy wszystkie koty są jednakowo czarne, poruszam się z nie mniejszym wdziękiem niż inni. Benduka to dziewczyna, która chodzi krzywo i powoli, ale benduka to także imię szybkolotnego ptaka, wróbla z zakrzywionymi skrzydłami, który śmiga łukowato pośród drzew nad rzeką. Mogę pójść za tym ptakiem. Jestem zwinny, eleganckim czarnym kotem, który po zmroku wymyka się z domu jako płynny cień. Noc jest porą, kiedy można widzieć, samemu nie będąc widzianym. Statek mojego wąskiego cienia żegluje po strumieniach światła księżyca, które płyną między wyspami cienia w zagajniku palm daktylowych. Nietoperz przebija noc dzwonowatym głosem niby nożem. To nie perz. Nie, to perz. Perz tonie. Sowy wołają do bikinda, duchów zmarłych. Sowy, głodne jak wszystkie żywe istoty, szukają dusz do zjedzenia.

Podczas długiej agonii dzieci chorych na kakakaka widziałam, jak powietrze zmienia kolor: było niebieskie od bildla, lamentu za zmarłych. Bildla wlewało się nam do domu, nasza matka zatykała sobie uszy i usta. Bi la ye bandu! Bi la ye bandu! Dlaczego dlaczego dlaczego, śpiewały matki, które chwiejnym krokiem szły drogą za małymi, ciasno zawiniętymi zwłokami, matki, które pełzały na kolanach z ustami otwartymi szeroko, jak dziura w moskitierze. Ta dziura ust! Ta wyszczerbiona jama w ich duszach, przez którą wlatują i wylatują krzyczące cierpienia. Matki z zaciśniętymi oczami, ciemnymi

mięśniami policzków zwiniętymi w supełki, głowami kolebiącymi się na boki, kiedy nas mijały. Wszystko to widziałyśmy z naszych okien. Dwa razy widziałam jeszcze więcej. Wielebny zabronił nam oglądania jakichkolwiek obrzędów, o przewodniczenie którym nie został Poproszony, ale dwa razy wymknęłam się w nocy z domu, aby Podpatrzyć pogrzeby. W zagajniku drzew matki rzucały się na

kopczyki ziemi, która przysypała ich dzieci. Czołgały się na rękach i kolanach, próbowały jeść ziemię z grobów. Inne kobiety musiały je odciągać. Sowy bez przerwy huczą, w powietrzu musi być gęsto od umarłych dzieci.

Od tej pory minęło wiele miesięcy i wielebny rozmawiał przez ten czas ze wszystkimi matkami, które straciły dzieci. Niektóre znów są w ciąży. Po długim dniu pracy zdaje relację swej rodzinie: te kobiety nie chcą rozmawiać o umarłych. Nie chcą wymawiać imion swoich dzieci. Próbował im wyjaśnić, że chrzest — bałiza — wszystko by zmienił. Lecz matki mówią mu nie, nie, zawiązały już dziecku na szyi lub przegubie nkisi, amulet od Ngangi Kuvudundu, który broni przed złym. Mówią wielebnemu, że są dobrymi matkami i nie zaniedbały tego środka ochronnego. Po prostu złe kogoś innego było silniejsze. Ojciec Nasz próbuje im wytłumaczyć, że batiza to nie amulet, lecz kontrakt z Jezusem Chrystusem. Gdyby dzieci zostały ochrzczone, byłyby teraz w niebie.

Matki patrzą na niego spod oka. Gdyby moja córka była w niebie, to czy mogłaby dalej pilnować dziecka, kiedy ja pracuję w polu? Czy mogłaby nosić dla mnie wodę? Czy syn przebywający w niebie miałby żony, które by się mną opiekowały na starość?

Ojciec Nasz bierze ich ironiczny i interesowny ton za oznakę, że nie są pogrążone w prawdziwej żałobie. Jego naukowa konkluzja: Kongijczycy nie przywiązują się do swych dzieci tak mocno jak my, Amerykanie. Och, jakimże

wyrafinowanym człowiekiem jest Ojciec Nasz. Pisze na ten temat artykuł, który wysłał uczonej baptyście w kraju.

Zaglądam przez okno do domu Toorlexy Neebe, maślany, meigipz metsej, jedno małe, czarne lewe oko przyklejone do szyby w ciemnościach. Liście bananowca pokrywają brudne szkło niby cienkie jak papier żaluzje, zostawiając długie, wąskie trójkąty, przez które mogę patrzeć. Toorlexa Neebe złapał mnie któregoś popołudnia koło swojego wychodka (nazwał mnie włamywaczem, jakby ten cuchnący przybytek był pałacem, a jego ekskrementy klejnotami) i teraz sądzi, że na dobre mnie wystraszył. Na dobre i na złe. Teraz chodzę tylko nocą, kiedy wszystko jest wyraźniejsze: dobrze oświetlone kształty w środku, jego twarz i radio otoczone jasnymi, diabolicznymi aureolami światła lampy naftowej. Radio jest żywym kłębem kabli, które wypełniają ze skrzynki, wibrującą kongregacją węży. Toorlexa Neebe mówi przez węże i wymawia niewymawialne słowa. Zakodowane imiona. Niektóre rozumiem: Eugor, I-W, W-I Rogue. Forma imienia, która odpowiada jakiejś formie człowieka. Pomiędzy dwoma liśćmi nareszcie zobaczyłam W.I. Rogue'a. Przyleciał o zmierzchu samolotem i został do rana, ukryty w domu Toorlexy. Obaj pili whisky z butelek i wypełnili pokój wielowarstwowym jeziorem dymu papierosowego w płomieniście białym świetle nocy. Wyrecytowali litanie imion na intencję kłębowa węży. Inne imiona mówili sobie nawzajem.

Bez przerwy powtarzają: Patrice Lumumba, już po nim. Głos w radio powiedział to wiele razy. Ale nazwisko, które dwaj mężczyźni mówili do siebie, brzmiało: prezydent. Nie Lumumba. Prezydent: Eisenhower, We Like Ike. Eki Ekil Ew. Król Ameryki chce śmierci wysokiego, chudego mężczyzny z Konga. Za dużo kamyczków wrzuconych do kalebasy pana butelki. Butelkę trzeba rozbić.

Kolana ugięły się przede mną, uderzenie gorącej krwi wyrzuciło mnie na ziemię. Słabość fizyczna nie jest mi czymś obcym, lecz nie to nagle, diaboliczne

omdlenie ciała porażonego straszną niespodzianką. Tym sekretem: uśmiechnięty łysy mężczyzna o twarzy dobrodusznego dziadunia ma jeszcze jedną twarz. Może ona mówić przez węże i nakazać, aby przebywającego gdzieś daleko prezydenta, po tym, jak wszystkie te kamyczki zostały przewiezione w górę rzeki w cennych pirogach, które się nie wywróciły, aby tego prezydenta Lumumbę zabić.

Wśliznęłam się do łóżka i zanotowałam to, co widziałam i słyszałam, a potem zapisałam końcówkę od tyłu. Patrzyłam na słowa z zeszytu, mój poemat jeńca: Owtsredrom ibulyrótk, a 'eki ymibul.

Zanim przyszedł ranek, to przestało być takie szokujące. W świetle dziennym cóż jest w tym zaskakującego? Czym to się różni od Boga-Dziadunia, który posyła afrykańskie dzieci do piekła za to, że urodziły się za daleko od kościoła baptystowskiego? Chciałabym być teraz w szkole niedzielnej i zapytać: Czy Afryka ma prawo do odpowiedzi? Czy te pogańskie dzieci mogą posłać nas do piekła za to, że mieszkamy za daleko od dżungli? Za to, że nie skosztowaliśmy sakramentu orzechów palmowych? Albo czy wysoki, chudy mężczyzna może wstać i oznajmić: Nie lubimy Ike' a? Tak mi przykro, ale Ike' a trzeba chyba zabić zatrutą strzałą. O, gazety miałyby o czym mówić. Jaki człowiek miałby ochotę zabić prezydenta innego kraju? Tylko barbarzyńca. Człowiek z kością we włosach.

Zresztą nie chcę już więcej zobaczyć, tylko wracać do domu, Ada, blada maskarada. Ada, która przysięga nosić maskę i skrobać okropne rymowanki. Ha! Chcę sprawić, żeby cień przebiegł te wszystkie czyste, zaskoczone twarze, które wierzą w dziaduniów prezydentów. Poczynając od Lei.

Ponownie wezwana między liście bananowca, które nie mówią pośród milczącej nocy, słucham. Przyjeżdża Joe z Paryża, mówi radio. Joe z Paryża przyrządził truciznę, która będzie wyglądała jak kongijska choroba, zwykła

afrykańska śmierć dla Lumumby. W.I. Rogue mówi, że mu ją włożą do pasty do zębów. Toorlexa zwija się ze śmiechu, bo tutaj ludzie nie czyszczą sobie zębów szczoteczką, tylko żują trawę muteete. Potem Toorlexa wpada w gniew. Mieszka tu od dziesięciu lat i wie więcej, mówi. To on powinien kierować tym interesem, mówi. A ja się zastanawiam, o jaki interes chodzi?

Przez trójkąty pomiędzy milczącymi liśćmi bananowca widziałam, jak otoczone aureolą płomieni twarze śmieją się z obietnicy wiecznej śmierci. Przeczucie ten długi cień przytrafia się, a my jesteśmy zaskoczona trawą.

Lea

Ta straszna noc jest najgorsza ze wszystkich, jakich zaznałyśmy: nsongonya. Przyszły do nas jak koszmar senny. Łup-łup-łup Nelsona do tylnych drzwi mieszało się z moim snem, przez co już po przebudzeniu następne godziny miały ulotny charakter snu. Zanim się zdążyłam zorientować, gdzie jestem, stwierdziłam, że czyjaś ręka ciągnie mnie w ciemnościach, a po łydkach smaga mnie straszne, ogniste pieczenie. Brodzimy przez bardzo gorącą wodę, pomyślałam, ale to nie mogła być woda, więc próbowałam zapytać o nazwę płonącego płynu, który zalał nasz dom — nie, byliśmy już na zewnątrz — który zalał cały świat?

— Nsongonya — wołali. — Les fourmis! Un corps d'armee!

Mrówki. Szliśmy otoczeni, osaczeni, wzięci w pułapkę, pożerani przez mrówki. Każda powierzchnia była nimi pokryta i wrzała, ścieżka przypominała płynną czarną lawę w świetle księżyca. Ciemne, bulwiaste pnie drzew musowały, wydymały się. Trawa stała się polem ciemnych, sterczących do góry sztyletów, które wyginały się i pękały. Maszerowaliśmy, biegliśmy po mrówkach, nasycając dziwną, milczącą noc ich octowatym zapachem. Prawie nikt się nie odzywał. My biegliśmy co tchu obok naszych sąsiadów. Dorośli nieśli niemowlęta i kozy; dzieci niosły garnki z jedzeniem, psy, młodszych braci

i siostry, całą wieś Kilanga. Pomyślałam o Mamie Mwanzie: czy jej leniwym synom będzie się chciało ją nieść? Stłoczeni na drodze pędziliśmy niajak rwący strumień swym korytem, biegliśmy, aż dotarliśmy nad rzekę, gdzie się zatrzymaliśmy. Wszyscy przestępowali z nogi na nogę, otrzepywali się, niektórzy ludzie jęczeli z bólu, lecz tylko małe dzieci głośno wrzeszczały i zawodziły. Silni mężczyźni w zwolnionym tempie brodzili przez wodę, ciągnąc łodzie, podczas gdy reszta z nas czekała na swoją kolej, by wsiąść do swojej pirogi.

— Beene, gdzie jest twoja rodzina? Podskoczyłam. Osobą obok mnie był Anatole.

— Nie wiem. Nie wiem, gdzie są inni, po prostu biegłam. — Nie byłam jeszcze do końca rozbudzona i teraz uderzyło mnie

z całą siłą, że powinnam była rozejrzeć się za swoją rodziną. Przyszło mi do głowy, żeby martwić się o Mamę Mwanzę, lecz nie o moją kaleką siostrę bliźniaczkę. Z moich ust dobył się jęk:

— O Boże!

— Co się stało?

— Nie wiem, gdzie oni są. O mój Boże. Ada zostanie zjedzona żywcem. Ada i Ruth May.

Jego dłoń dotknęła w ciemnościach mojej.

— Znajdę je. Zostań tutaj, dopóki po ciebie nie wrócę. Powiedział coś cicho do kogoś obok mnie, a potem zniknął.

Wydawało się niemożliwe, żeby stać bez ruchu na ziemi czarnej od mrówek, ale nie było gdzie się podziać. Jak mogłam znowu zostawić Adę? Po raz pierwszy w łonie matki, po raz drugi na pożarcie lwu, a teraz, jak Szymon



Piotr, zapałam się jej po raz trzeci. Rozejrzałam się za nią, za matką i za innymi, ale zobaczyłam tylko matki, które wbiegały do wody z małymi, szlochającymi dziećmi i próbowały splukać lub strząsnąć mrówki z ich ramion, nóg, twarzy. Kilka starszych osób weszło do wody po szyję. Daleko na rzece ujrzałam pół białą, pół czarną twarz łysiejacej Mamy Lałaby, która najwyraźniej zdecydowała, że woli krokodyle od śmierci w paszczach nsongonya. Reszta z nas czekała na płyciźnie, gdzie śliski blask wody okrywała czarna koronka unoszących się mrówek. „Ojczy, odpuść mi wedle miłosierdzia swego. Uczyniłam tyle złego i teraz nie będzie ucieczki dla nikogo z nas”. Olbrzymi księżyc drgał na ciemnym obliczu rzeki Kwilu. Wpatrywałam się w falujące różowe odbicie, przekonana, że to ostatnia rzecz, którą będę miała okazję zobaczyć, zanim moje oczy zostaną wyjedzone z czaszki. Chociaż na to nie zasłużyłam, chciałam pójść do nieba, zabierając ze sobą jakieś wspomnienie kongijskiego piękna.

Rachel

Myślałam, że umarłam i poszłam do piekła, ale stało się coś jeszcze gorszego — żyję i jestem w piekle.

Kiedy wszyscy wybiegli z domu, ja miotałam się w panice i myślałam, co by tu ocalić. Było tak ciemno, że ledwo co widziałam, ale zachowałam przytomność umysłu. Miałam czas na ocalenie tylko jednej cennej rzeczy. Czegoś z kraju. Nie swoich ubrań, na to nie było czasu, i nie Biblii — nic na to nie poradzę, ale w tym momencie Biblia nie wydawała mi się najważniejsza. To musiało być moje lustro. Matka wrzeszczała na całe gardło, żebyśmy uciekały na zewnątrz, ale ja odwróciłam się, przecisnęłam koło niej i weszłam do środka, wiedząc, co chcę zrobić. Chwyciłam za lustro, po prostu złamałam ramkę, którą zrobił Nelson i oderwałam lustro od ściany. Potem pobiegłam ile sił w nogach.

Na drodze kłębiło się istne mrowie ludzi, którzy dotykali mnie, popychali. Noc dziesięciu tysięcy zapachów. Owady oblażyły mnie całą, zjadały mi skórę, zaczynały od kostek i wpełzały mi pod pidżamę, zmierzając Bóg wie gdzie. Ojciec był gdzieś w pobliżu, bo słyszałam, jak wykrzykuje o Mojżeszu, Egipcjanach, rzece spływającej krwią i innych sprawach. Przycisnęłam lusterko do piersi, żeby mi się nie zgubiło albo nie stłukło.

Biegliśmy w stronę rzeki. Z początku nie wiedziałam, po co i gdzie, ale to nie miało znaczenia. I tak trzeba było biec razem z tłumem. Przypomniało mi się coś, o czym kiedyś czytałam: jeśli przypadkiem znajdziesz się w zatłoczonym teatrze i wybuchnie pożar, trzeba rozsunąć łokcie na boki i podnieść stopy do góry. Jak przeżyć 101 katastrof, taki był tytuł tej książki, która radziła, co należy zrobić w różnych niebezpiecznych sytuacjach — spadające windy, katastrofy kolejowe, pożary w teatrze edsetera. I miałam szczęście, że to przeczytałam, bo teraz, gdy znalazłam się w tej ciżbie, dokładnie wiedziałam, co mam robić! Wbiłam łokcie w zebra ludziom, którzy zgniatali mnie z obu stron, i jakby wklinowałam się między nich. Potem uniosłam stopy i podziałało jak zakłęcie. Zamiast dać się zadeptać, unosiłam się jak patyk na rzece, wykorzystując siłę innych.

Lecz gdy tylko dotarliśmy nad rzekę, mój wszechświat zawalił się z hukiem. Tłum znieruchomiał, lecz dalej wszędzie kłębiły się

mrówki. Z chwilą, gdy stanęłam na brzegu, znów mnie całą oblażyły. Nie mogąc tego znieść ani sekundy dłużej, chciałam umrzeć. Miałam je we włosach. Nic w moim sielskim dzieciństwie nie przygotowało mnie na to, że znajdę się w Kongu i pewnej ciemnej nocy mrówki będą mi wyżerały czaszkę. Mogłabym równie dobrze wylądować w kotle ludożerców. Nigdy bym się nie spodziewała, że moje życie tak się potoczy.

Minął jakiś czas, zanim się zorientowałam, że ludzie wsiadają na łodzie i uciekają! Wrzeszczałam, żeby wsadzili mnie na łódź, ale nie zwracali na mnie uwagi. Mogłam sobie płuca wykrzyzczyć, wszyscy mieli to gdzieś. Ojciec był kawałek dalej, próbował nakłonić ludzi, aby modlili się o zbawienie, ale jego też nikt nie słuchał. Potem zobaczyłam Mamę Mwanzę, którą mąż niósł na plecach w stronę łodzi. Minęli mnie jak gdyby nigdy nic! Zaslugiwała na pomoc, biedaczka, ale ja mam bardzo delikatny organizm.

Pobrodziłam za nią i próbowałam wsiąść na łódkę jej rodziny. Wszystkie dzieci Mwanzów wdrapywały się do środka i ponieważ jestem ich sąsiadką, byłam pewna, że mnie nie wyrzucą, lecz nagle poczułam na twarzy czyjąś rękę, która mnie odepchnęła. Chlup, dziękuję bardzo! Wpadłam prosto do błota. Zanim zdałam sobie sprawę, co się stało, moje ukochane lustro wysliznęło mi się z dłoni i rozbiło o burtę łodzi. Szybko je podniosłam, ale kiedy wstałam, odłamki szkła rozsypały się i powbijały w błoto jak noże. Stałam i patrzyłam wstrząśnięta, jak szorując po dnie, łódka odbija od brzegu. Zostawili mnie. Z odłamkami lusterka, które odbijało pokawałkowane światło księżyca. Po prostu mnie zostawili, pośród tego całego pecha i połamanego nieba.

Ruth May

Wszyscy krzyczeli i drżeli się, a ja wierzgałam nogami, żeby zejść na ziemię, ale nie mogłam, bo mama ścisnęła mnie tak mocno, że ręka mnie bolała. Cicho, moje maleństwo! Cicho! Cały czas biegła, więc słowa jakby podskakiwały, kiedy je mówiła.

Kiedyś mi śpiewała: Cichutko, moje maleństwo! Mama kupi ci lustro!

Obiecowała mi kupić tyle rzeczy, co z tego, że pewnie się potłuką i zepsują?

Kiedy dobiegłyśmy tam, gdzie byli wszyscy, przerzuciła mnie sobie przez ramię i weszła bokiem do łodzi, czyjeś ręce mnie przytrzymały, a łódka kolebała się. Usiadłyśmy. Kazała mi zejść na dół. Bolało mnie, mrówki pogryzły nas całe i strasznie mnie piekło. Pan Jezus widział, jak Lea dała mrówkę do zjedzenia mrówkolwowi. Teraz wszystkie jej koleżanki przyszły, żeby nas zjeść.

Wtedy zobaczyłyśmy Adę. Mama wyciągnęła ręce w jej stronę i zaczęła płakać i głośno mówić, takie płaczomówienie, i wtedy ktoś inny mnie od niej wziął. To nie była już mama, więc ja też zaczęłam płakać. Kto mi kupi lustro, które się stłucze, i drozda, który nie będzie chciał śpiewać? Wierzgałam i wierzgałam, ale ten Kongijczyk nie chciał mnie puścić. Słyszałam płaczące dzieci i płaczące kobiety, ale nie mogłam się odwrócić, żeby zobaczyć. Wiedziałam tylko, że oddalam się od mamy.

Nelson mówi, żeby pomyśleć sobie o przyjemnym miejscu, do którego można by pójść, bo wtedy jak przyjdzie czas, żeby umrzeć, to nie umrę, tylko zniknę i pójdę w to miejsce. Powiedział mi, żebym myślała o tym miejscu każdego dnia i nocy, żeby moja dusza знаła drogę. Ale ja nie myślałam. Wiedziałam, gdzie jest bezpiecznie, ale kiedy poczułam się lepiej, zapomniałam, żeby ' myśleć o tym miejscu. Ale kiedy mama biegła ze mną drogą, widziałam, że wszyscy umrą. Cały świat strasznie płakał i krzyczał. Taki hałas. Włożyłam sobie palce do uszu i próbowałam myśleć o tym najbezpieczniejszym miejscu.

Wiem, co to jest: zielony wąż mamba wysoko na drzewie. Nie musisz się ich więcej bać, bo sama jesteś mambą. Leżą tak nieruchomo na gałęzi. Są dokładnie takie same jak drzewo. Można być tuż koło jednego z nich i nie zauważyć. Tam jest tak cicho. Właśnie tam chciałabym pójść, kiedy będę musiała zniknąć. Twoje oczy będą małe i okrągłe, ale znajdziesz się tak wysoko,

że zobaczysz z góry cały świat, mamę i wszystkich. Potomków Chama, Sema i Jafeta wszystkich razem. Wreszcie będziesz najwyżej ze wszystkich.

Ada

Żywa byłam, pókim nie ujrzała zła\*.

Teraz jestem po drugiej stronie tej nocy i mogę o niej opowiedzieć, więc może wciąż żyję, chociaż nie czuję tego żadnych objawów. I może to, co widziałam, to nie było zło, może zobaczyłam, jak wygląda każde serce, z którego strach zedrze maskę uprzejmych pozorów. Czy jest złem spojrzeć na swoje dziecko, a potem wziąć na ręce inne i odwrócić się?

Lewą marsz- ?? do diabła, plewą farsz. ?? dioda obła.

Mamo, potrafię cię przeczytać do przodu i do tyłu.

Kap swe Izy złe wspak.

Już lepiej byłoby, gdybym została pożarta w swoim łóżku, tyle to jest wszystko warte. W jednym momencie żywa, chwilę później porzucona. Wywlekane z łóżek przez coś lub kogoś, do wtóru wrzawy, łomotania i krzyków na zewnątrz, moje siostry zerwały się z wrzaskiem i uciekły. Nie potrafiłam wydać z siebie żadnego dźwięku, bo miałam w gardle pełno mrówek. Wywlekłam się na zewnątrz, na światło księżyca, i zobaczyłam koszmar senny, ciemnoczerwoną, wrzącą ziemię. Nic nie stało nieruchomo, człowiek ni zwierzę, nawet trawa, która wiła się pod mrocznym, żarłocznym cieniem.

Tylko moja matka nie ruszała się. Stała przede mną wrośnięta w ścieżkę, sterczała na chudych nogach w pozbawionej korzeni, pożerającej ziemi. W jej ramionach, poziomo jak naręcze drewniak, Ruth May.

Zawołałam głośno, jeden jedyny raz: pomóż mi.

\* W oryginale przeróbka najbardziej znanego paJindromu, jaki istnieje w języku angielskim: Able was I ere I saw Elba.

— Ojciec... — powiedziała. — Chyba musiał pójść przodem z Rachel. Szkoda, że nie zaczekał, słoneczko, bo by cię poniósł, ale Rachel była... Nie wiem, jak ona sobie poradzi. Lea sobie poradzi, Lea umie zadbać o siebie.

Ona umie, a ty nie umiesz!

Znów się odezwałam: — Proszę cię.

Oglądała mnie przez chwilę, ważąc moje życie. Potem skinęła głową, poprawiła ciężar, który dźwigała w ramionach, i odwróciła się. Próbowałam trzymać się blisko niej, ale nawet niosąc Ruth May, była zwinna i szybka w tłumie. Inne stopy zaczepiały mi o pięty. Nadeptywały, chociaż prawie tego nie czułam, odrętwiała od tych piekących mrówek. Poczulałam jednak, kiedy się przewróciłam. Czyjaś bosa stopa znalazła się na mojej łydce, potem na plecach, zadeptywali mnie. Miażdżące stopy na moich piersiach. Toczyłam się po ziemi, zasłoniwszy głowę rękami. Zdołałam podeprzeć się łokciami i wstałam, chwytając silną lewą ręką za nogi, które ciągnęły mnie do przodu. Mrówki w małżowinach uszu, na języku, na powiekach. Usłyszałam, jak głośno krzyczę — przedziwny dźwięk, jakby wychodził z moich włosów i paznokci. Rozejrzałam się za matką i zobaczyłam ją, daleko z przodu. Szłam dalej, kuśtykając swoim własnym rytmem. Wtulona w nieustanną pieśń mojego ciała: le-wą-marsz-do-dia-bła.

Nie wiedziałam, kto podniósł mnie nad tłum i umieścił w pirodze razem z moją matką. Musiałam szybko się odwrócić, żeby go zobaczyć, zanim się oddalił. To był Anatole. Razem przepłynęłyśmy na drugą stronę rzeki, matka i córka, twarzami do siebie, w najniższym, środkowym punkcie pirogi. Próbowała wziąć mnie za ręce, ale nie potrafiła. Przez całą drogę patrzyłyśmy na siebie, nie mówiąc ani słowa.

Tej nocy wciąż mogłam się zastanawiać, dlaczego mi nie pomogła. Kap swe Izy złe wspak. Teraz w ogóle mnie to nie dziwi. Ta noc odsłoniła mroczny rdzeń mojego istnienia, moment, kiedy skończyło się dorastanie, a zaczął się długi zjazd ku śmierci. Teraz dziwi mnie to, że ja sama uważałam się za wartą ocalenia. Ale tak właśnie było. Wyciągnęłam moją zdrową rękę i wpiłam się pazurami

w życie, ciągnęłam lewą ręką nogi, żeby wyrwać je z ziemi. Desperacko pragnęłam ocalić siebie w rzece ludzi szukających ratunku. Jeśli przypadkiem spojrzeli w dół i zobaczyli, jak się zmagam, to uświadamiali sobie, że nawet kaleka dziewczyna uważa swoje życie za wartościowe. Oto, co oznacza bycie stworzeniem Bożym.

Lea

Nagle zostałam popchnięta od tyłu i wciągnięta przez inne dłonie do łodzi i znaleźliśmy się na wodzie, w drodze do bezpiecznej przystani. Anatole wdrapał się przez burtę w ślad za mną. Z osłupieniem zobaczyłam, że ma przewieszoną przez ramię Ruth May, jak świeżo upolowaną antylopę.

— Nic jej się nie stało?

— Chyba śpi. Dwadzieścia sekund temu wrzeszczała. Twoja matka i Ada popłynęły z Tatą Boandą — powiedział.

— Bogu niech będą dzięki. Adzie nic nie jest?

— Ada jest bezpieczna. Rachel to demon, a twój ojciec wygłasza kazanie na temat armii faraona i plag egipskich. Wszyscy są bezpieczni.

Przykucnęłam, oparłam brodę o kolana, i patrzyłam, jak moje bose stopy powoli zmieniają zabarwienie z mahoniowego na cętkowany, a potem biały, kiedy mrówki rozproszyły się i zaczęły buszować po dnie łodzi. Kiedy byłam już w stanie podnieść głowę do góry, ścisłym głosem spytałam Anatole'a:

— Myślisz, że to palec Boży?

Nie odpowiedział. Ruth May zaskomliła przez sen. Tak długo czekałam na odpowiedź, iż w końcu uznałam, że mnie nie usłyszał. A potem powiedział po prostu: — Nie.

— W takim razie dlaczego?

— Świat nie zawsze wyłuszcza swoje powody. Deszcz nie pada, mrówki nie mają co jeść, coś w tym rodzaju. Nsongonya zawsze się przemieszczają, taka jest ich natura. Czy Bóg im każe,

czy nie. — Słysząc było, że ma pretensje do Boga. Pretensje uzasadnione. Niby we śnie noc pędziła koło mnie zbyt szybko, jak strumień podczas powodzi, i w tym niepowstrzymanym śnie Anatole był jedyną osobą, której na tyle zależało, że mi pomógł. Bogu nie zależało. Próbowałam przebić wzrokiem przywartą do rzeki gęstą ciemność, aby zobaczyć przeciwległy brzeg.

— Bóg nas nienawidzi — powiedziałam.

— Nie wiń Boga za to, co leży w naturze mrówek. Wszyscy musimy jeść. Kongijscy ludzie nie różnią się tak bardzo od kongijskich mrówek.

— Muszą napadać na wioski i zjadać żywcem innych ludzi?

— Kiedy się ich długo depcze, w końcu się zbuntują. Jeśli gryzą, to dlatego, że próbują załatwić sprawy na jedyny znany sobie sposób.

W łódce było pełno ludzi, lecz w ciemnościach nie rozpoznawałam ich zgarbionych pleców. Anatole i ja rozmawialiśmy po angielsku i wydawało się, że jesteśmy sami.

— Co to znaczy? Uważasz, że wolno robić krzywdę innym ludziom?

— Wiesz, jakim jestem człowiekiem. Nie muszę ci tego mówić.



— Ale wierzysz w to, co oni robią białym, nawet jeżeli sam tego nie chcesz robić. Mówisz, że jesteś rewolucjonistą jak Jeune Mou Pro.

Ciemne, silne ramiona kogoś nieznanego pracowały wiosłami, mnie zaś przebiegł zimny dreszcz strachu. Uświadomiłam sobie, że boję się gniewu Anatole'a bardziej niż czegokolwiek innego.

— To nie jest takie proste, jak ci się wydaje — powiedział wreszcie, bez gniewu, ale też niespecjalnie życzliwie. — To nie jest moment na wyjaśnianie historii kongijskich ruchów rewolucyjnych.

— Ada twierdzi, że prezydent Eisenhower wydał rozkazy, aby zabić Lumumbę — wypaliłam nagle. Przez wiele dni trzymałam w ustach tę cuchnącą grudę słów i teraz wyplułam ją na dno naszej zamrówczonej łodzi. — Usłyszała to w radio Axelroota. Mówi, że on jest płatnym zabójcą wynajętym przez Amerykanów.

Czekałam, co Anatole na to powie, lecz nie zareagował. Chłód wypełnił mi żołądek jak woda. To brzmiało zupełnie nieprawdopodobnie, lecz Ada dysponuje mocą dowiadywania się rzeczy, do których ja nie mam dostępu. Pokazała mi rozmowę między Axelrootem i innym mężczyzną, zanotowaną w jej dzienniku. Od tej pory nie miałam jasnego wyobrażenia o bezpieczeństwie. Gdzie jest ten sympatyczny kraj lodów w andrucie, nowych butów Ked i We Like Ike, kraj, którym, jak sądziłam, rządzą znane mi zasady? Gdzie jest miejsce, do którego mogę wrócić jak do domu?

— Czy to prawda, Anatole'u?

Woda przepływała pod nami z zimnym, rytmicznym szumem.

— Mówiłem ci, że to nie czas na rozmowy.

— Nic mnie to nie obchodzi! I tak wszyscy umrzemy, więc będę mówiła, kiedy mi się spodoba.

Nawet jeśli mnie słuchał, to na pewno uważał mnie za uciążliwe dziecko. Ja jednak miałam w sobie tyle strachu, że nie mieścił się we mnie. Chciałam, żeby mnie uspokoił, powiedział, żebym siedziała cicho i że jestem dobrą dziewczyną.

— Chcę być moralna, Anatole'u. Chcę odróżniać dobro od zła, to wszystko. Chcę żyć tak, jak należy, i zostać zbawiona. — Drżałam tak mocno, iż bałam się, że mi kości popękają.

Ani słowa.

Krzyknęłam, żeby mnie usłyszał.

— Nie wierzysz mi? Kiedy idę przez tę ciemną dolinę, Pan powinien być przy mnie, a nie jest! Widzisz go w tej łódce?

Ktoś, o kogo byłam oparta, mężczyzna albo wysoka kobieta, osunął się trochę niżej. Przrzekłam sobie, że nie odezwę się już ani słowem.

Lecz Anatole powiedział nagle:

— Nie oczekuj opieki Boga w miejscach, które nie podlegają jego władzy, bo będziesz wtedy czuła się ukarana. Ostrzegam cię. Kiedy zdarzy się coś złego, będziesz o to winiła siebie samą.

— Co ty mi opowiadasz?

— Nie mów, że nie rozumiesz. Nie próbuj robić z życia zadania matematycznego, którego jesteś ośrodkiem, a obie strony równania zgadzają się ze sobą. Jeśli dobrze postępujesz, może ci się zdarzyć coś złego i na odwrót.

Wiedziałam, co myśli: że moja wiara jest dziecinna, równie niedorzeczna jak opony u konia. Czułam, że oddech Boga na mojej skórze robi się zimny.

— Nie powinniśmy byli tutaj przyjeżdżać — powiedziałam. — Jesteśmy idiotami, którzy mieli szczęście, że przeżyli do tej chwili. Tak uważasz, prawda?

— Nie odpowiem na to.

— Czyli uważasz, że nie powinniśmy byli przyjeżdżać.

— Nie, nie powinniście. Ale jesteście tutaj, więc tak, powinniście tutaj być. Świat nie ogranicza się do słów „tak” i „nie”.

— Tylko ty jeden z nami rozmawiasz, Anatole'u. Nikogo innego nie obchodzimy!

— Tata Boanda wiezie twoją matkę i siostrę w swojej łodzi. Tata Lekulu wiosłuje swoją łodzią z uszami zatkanymi liśćmi, podczas gdy twój ojciec udziela mu lekcji na temat miłości do Boga. Mimo to Tata Lekulu ratuje mu życie. Wiedziałaś, że Mama Mwanza zabiera czasem jajka własnym kurom i podkłada waszym, kiedy tego nie widzicie? Jak możesz mówić, że nikogo nie obchodzicie?

— Mama Mwanza naprawdę tak robi? Skąd wiesz?

Nic nie powiedział. Głupia byłam, że się nie zorientowałam. Nelson znajdował czasami w chacie kuchennej pomarańcze, maniok, a nawet mięso, którego poprzedniego wieczoru tam nie było. Chyba tak bardzo wierzyliśmy w opatrzność Bożą, że po prostu przyjmowaliśmy do wiadomości te nadprzyrodzone interwencje na naszą korzyść.

— Nie powinniście byli tutaj przyjeżdżać, Beene, ale jesteście tutaj i nikt w Kilandze nie chce, żebyście umarli z głodu. Wiedzą, że po białych zostają bardzo uciążliwe duchy.

Wyobraziłam sobie siebie jako ducha: kości i zęby. Rachel byłaby duchem z długimi białymi włosami, Ada duchem milczącym, świdrującym wzrokiem, Ruth May duchem wspinającym

się na drzewa, chwytającym ludzi za rękę. Mój ojciec nie był duchem, lecz odwróconym plecami Bogiem, ze splecionymi na szyi rękami i pełnym furii spojrzeniem utkwionym w chmurach. Bóg odwrócił się plecami i oddalał się.

Zaczęłam cicho płakać i wszystko, co miałam w sobie, wypłynęło mi oczami.

— Anatole'u, Anatole'u — szepnęłam. — Strasznie się boję tego, co się dzieje, a nikt nie chce ze mną rozmawiać. Mam tylko ciebie. — Powtórzyłam jego imię, ponieważ zastępowało mi modlitwę. Imię Anatole'a zakotwiczało mnie w ziemi, w wodzie, w skórze, w której tkwiłam jak woda w słoiku. Byłam duchem w słoiku.

— Kocham cię, Anatole'u.

— Lea! Nigdy tego więcej nie powtarzaj. Nigdy nie powtórzę.

Przybiliśmy do przeciwległego brzegu. Czyjaś uratowana kura podfrunęła na dziób i stąpała dostojnie po nadburciu, jej delikatne korale drżały, gdy iskała się z mrówek. Po raz pierwszy tej nocy pomyślałam o naszych biednych kurach, które siedziały zamknięte w kurniku. Wyobraziłam sobie stertę obranych do czysta białych kości na jajkach.

Dwa dni później, kiedy rebeliancka armia małych żołnierzyków opuściła Kilangę i mogliśmy wrócić do domu, właśnie tak wyglądały nasze kury. Byłam zaskoczona, że ich rozczłonkowane szkielety wyglądają dokładnie tak, jak je sobie przedstawiłam. Widać tego nauczyła mnie noc, w którą Bóg odwrócił się do mnie plecami: sztuki przepowiadania przyszłości kurzych kości.

KSIĘGA IV BEL I WAŻ

Uważasz, że Bel nie jest bogiem żyjącym? Czy nie wiesz, ile zjada i wypija codziennie?

Księga Daniela 14, 6\*

Orleanna Price

Sanderling Island

Ukąszenie muchy, mówią Kongijczycy, może wywołać koniec świata. Jaki prosty może być początek zdarzeń.

Może to było przypadkowe spotkanie. Belg i Amerykanin, powiedzmy, dwaj starzy znajomi popychani tą samą ambicją, aby mieć swój udział w handlu diamentami. Mucha siada z bzykiem. Odganiają ją i wchodzą do wymuskanego biura Belga w Elisabethville. Nie zaniedbują konwencji grzecznościowych, pytają się nawzajem o rodziny i zyski rozmówcy, mówią o tym, jak im się żyje w okresie wielkich przemian, wielkich możliwości. Na mahoniowym stole między nimi leży mapa Konga. Kiedy oni mówią o sile roboczej i kursach walut, ich ambicja, poruszana odrębną wolą, krąży nad mapą i dzieli ją między nich. Po kolei

Ten i dalsze cytaty z Księgi Daniela w tym rozdziale według Biblii Tysiąclecia, wyd. cyt.

pochylają się nad mapą i wykonują inteligentne, zgodne ruchy, rozgrywają rzecz jak partię szachów, dzięki czemu z boku wygląda to tak, jakby dwóch cywilizowanych ludzi tylko bawiło się w kto zabije. Pomiedzy ruchami odchylają głowy do tyłu, obracają w kulistych kieliszkach koniakiem koloru krwi i patrzą, jak ścieka płynnymi żyłkami. Leniwie porządkują mapę. Kim będą królowie, wieże, hetmani szykujący się do zadania ciosu na odległość? Kim będą ofiarne pionki do zmiecenia na bok. Afrykańskie imiona sypią się jak pył suszonych kwiatów zgniatanych od niechcenia między kciukiem i palcem

wskazującym, przyprószaj ą dywan—Ngoma, Mukenge, Mulele, Kasavubu, Lumumba.

Za ufryzowanymi głowami tych panów stoją na baczność mahoniowe deski. Boazeria tego biura oddychała kiedyś wilgotnym powietrzem kongijskiej dżungli, dawała schronienie życiu, czuła na swych gałęziach łuski wężowego brzucha. Teraz deski wstrzymują oddech, przywarte plecami do ściany. Wstrzymują oddech również głowy nosorożców i gepardów, świadectwo sprawności myśliwskiej Belga. Ucięte, są teraz niemymi szpiegami w domu zbudowanym przez cudzoziemców. Za oknem liście palmowe grzechoczą w coraz silniejszym wietrze. Przejeżdża samochód. Płachty rozłożonej gazety wpadają do cuchnącej wody, która płynie rowem. Gazeta leci wzdłuż ulicy i upuszcza kolejne płachty do wody, na której unoszą się jak półprzezroczyste kwadraty koronki. Nikt nie potrafi powiedzieć, czy obwieszcza dobre czy złe wiadomości. Kobieta maszeruje wzdłuż rowu z koszykiem pieczonej kukurydzy na głowie. Kiedy Belg wstaje, żeby zamknąć okno, uderza go w nozdrza zapach tego wszystkiego: burzy, rowu, kobiety z kukurydzą. Belg zamyka okno i wraca do świata, który sam stworzył. Zasłony są z adamaszku. Dywan jest turecki, a zegar na stole niemiecki, stary, lecz wciąż dokładny. Głowy na ścianie obserwują wszystko oczami z importowanego szkła. Bezbłędny czasomierz tyka i w tej niewielkiej przestrzeni między sekundami fantazje stają się rzeczywistością.

Z upływem czasu do gry zostają wciągnięte legiony mężczyzn, z mahoniem i z kości słoniowej: szef kongijskiej ekspozytury CIA, Rada Bezpieczeństwa Narodowego, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. I młody Kongijczyk nazwiskiem Joseph Mobutu, który wszedł na bosaka do redakcji gazety, żeby poskarżyć się na jedzenie, którym karmiono go w wojsku. Belgijski dziennikarz wyczuł u niego inteligencję i nagą pazerność — pożyteczne połączenie w każdej grze. Wziął młodego Mobutu pod swoje skrzydła i nauczył go nawigować po

wysokich sferach, w których obracali się cudzoziemcy. Wieża, która miała przemienić się w króla. A która figura została zbita? Patrice Lumumba, pracownik poczty wybrany na wodza swego narodu. Belgowie i Amerykanie są zgodni, że Lumumba to trudny partner. O wiele za popularny wśród Kongijczyków i mało skłonny do oddania kontroli białym, woli radę i towarzystwo czarnych.

Gracze szybko i w sekrecie postępują do przodu. Każdy szeroki ruch obejmuje rzeki, lasy, kontynenty i oceany, a jedyni świadkowie to zagraniczne szklane oczy i niegdyś potężne rodzime drzewa, które odcięto od korzeni.

Wydedukowałam tę scenę, zrekonstruowałam ją kawałek po kawałku na podstawie tego, co przeczytałam, gdy wszystko zaczynało wychodzić na jaw. Próbowałam sobie wyobrazić tych mężczyzn i ich grę, ponieważ pomaga mi to umieścić moje niefortunne poczynania na szerszym tle, na którym wydają się mniejsze. Jaką banalną czynnością byłam zajęta, kiedy dzielili mapę pod moimi stopami? Kim była kobieta, która przechodziła obok z pieczoną kukurydzą? Może daleką krewną handlarki, z którą kłóciłam się o cenę w dzień targowy? Jak to możliwe, że żadna z nas przez tak długi czas nie wiedziała, w jaki sposób kręci się ten świat?

Piętnaście lat po niepodległości, w 1975 roku, grupa senatorów zwana Komisją Churcha postanowiła przyjrzeć się tajnym operacjom, które przeprowadzono w Kongu. Komisja Churcha znalazła protokoły tajnych zebrań Rady Bezpieczeństwa Narodowego z prezydentem Eisenhowerem. Za zamkniętymi drzwiami ludzie ci uzgodnili, że Patrice Lumumba jest zagrożeniem dla

bezpieczeństwa świata. Ten sam Patrice Lumumba, który codziennie rano mył twarz wodą z wyszczerbionej blaszanej miski, załatwiał się za starannie wybranym krzaczkiem i wychodził zobaczyć twarze swego narodu. Wyobraźmy

sobie, że usłyszał te słowa — zagrożenie dla bezpieczeństwa świata! — wypowiedziane na sali pełnej białych ludzi, którzy w swych wymanikiurowanych dłoniach trzymali kontrolę nad armiami i bombami atomowymi, moc unicestwienia każdej żywej istoty na ziemi. Czy Lumumba ryknąłby jak gepard? A może po prostu zdjąłby okulary, przetarł je chusteczką, pokręcił głową i uśmiechnął się?

Pod koniec sierpnia 1960 roku pan Allen Dulles, szef CIA, wysłał do szefa swojej ekspozytury kongijskiej telegram z sugestią, by przy najbliższej nadarzającej się okazji zastąpił rząd kongijski innym. Szef ekspozytury, pan Lawrence Devlin, został poinstruowany, aby posłużył się wszelkimi dostępnymi środkami, które będzie potrafił zachować w sekrecie. Wchodzi w rachubę zamach stanu, znalazłyby się pieniądze na opłacenie żołnierzy, lecz mniej kosztowny byłby przypuszczalnie zamach na życie Lumumby. Do dyspozycji szefa ekspozytury postawiono grupę sprawnie posługujących się bronią i pozbawionych skrupułów ludzi. Aby zabezpieczyć się na wszystkich możliwych frontach, zatrudniono również naukowca doktora Gottlieba, który miał sporządzić truciznę wywołującą tak straszną chorobę (jak zeznał później miły pan doktor podczas przesłuchań), że nawet gdyby Lumumba przeżył, to byłby zbyt zeszpecony, aby przewodzić narodowi.

Tego samego sierpniowego dnia ja wiedziałam tylko, że ból w moim domu wystarczyłby, aby wypełnić cały świat. Ruth May coraz głębiej pogrążała się w gorączce. Były to siedemnaste urodziny Rachel. Pakowałam kolczyki z zielonego szkła w bibułkę, licząc na to, że udobrucham tym trochę moje najstarsze dziecko i będę mogła w większym spokoju próbować zetrzeć gąbką ogień z czoła najmłodszej córki. A prezydent Eisenhower wysyłał właśnie rozkazy, by zmienić władzę w Kongu. Wyobraź to sobie. Jego domem był cały świat i prezydent podjął decyzję.



Uważał, że dał Lumumbie szansę. Kongo cieszyło się niepodległością przez pięćdziesiąt jeden dni.

Pan Devlin i jego przyjaciele usiedli z ambitnym młodym Mobutu, awansowanym do stopnia pułkownika. W dniu dziesiątego września wyłożyli sumę miliona oenzetowskich dolarów, które miały kupić lojalność, a Departament Stanu sfinalizował plany przewrotu, który miał postawić Mobutu na czele całej armii. Wszystko było doskonale przygotowane. Czternastego września armia przejęła kontrolę nad prowizorycznie niepodległą Republiką Konga, a Lumumba został umieszczony w areszcie domowym w Leopoldville, otoczony przez świeżo zakupionych żołnierzy Mobutu.

Przez te dni, kiedy użerałyśmy się i targowałyśmy, żeby mieć co do garnka włożyć, w chacie kuchennej miałam do towarzystwa zdjęcie prezydenta Eisenhowera. Wycięłam je z czasopisma i przybiłam nad blatem z deski, na którym ugniatałam ciasto na chleb. Zdjęcie tak mocno wrosło w moje życie, że pamiętam każdy szczegół: okulary bez oprawek, krawat w ciapki, szeroki uśmiech, łysa głowa dobrotliwego dziadka, podobna do ciepłej, jasnej żarówki. Wyglądał na takiego życzliwego i godnego zaufania. Znak z kraju, który przypominał mi o naszej misji.

Dwudziestego siódmego listopada, bardzo wczesnie rano, kiedy ja przypuszczalnie paliłam w piecu, żeby przygotować śniadanie, Lumumba uciekł. Pomogła mu w tym potajemnie siatka zwolenników, która rozciągała się na całe Kongo, od Leopold ville po naszą wioskę i dalej. Oczywiście nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Słyszeliśmy tylko mgliste pogłoski, że Lumumba jest w tarapatach. Szczerze mówiąc, bardziej nas interesowały wieści, że na zachód od nas padają ulewne deszcze i być może wkrótce dotrą do naszej sprażonej słońcem wioski. Jak się okazało, deszcz posłużył premierowi za osłonę. Poprzedniej nocy lunąjak z cebra na Leopoldville. Wyobrażam sobie jedwabisty dotyk tego chłodnego powietrza, zapach kongijskiej ziemi

podwijającej palce pod strzechą martwej trawy. W gęstej mgle niespokojny czerwony ognek papierosa strażnika, który siedzi pogrążony w marzeniach, przeklina zimno, ale przypuszczalnie cieszy się z deszczu —

statystyka wskazuje, że jest synem rolnika. W każdym razie siedzi teraz sam przed bramą frontową zamienionego w więzienie domu Lumumby w Leopoldville. Opony samochodu kombi zatrzymują się z piskiem w ciemnościach. Strażnik prostuje się, dotyka munduru, widzi, że w kombi jest pełno kobiet. Zatrudniane w domach białych kobiety wracają z nocnej zmiany do bidonvilles na obrzeżach miasta. Chłopak przyjmuje zniecierpliwioną postawę: jest zbyt zajęty sprawami wagi państwowej, aby zawracać sobie głowę gromadką dziewcząt i szoferem. Daje znak palcami, aby samochód jechał dalej.

Za przednim siedzeniem, przyciśnięty do odzianych w białe pończochy kolan dziewcząt, kuli się okryty kocem premier.

Peugeot i fiat czekają w dalszej części ulicy, żeby ruszyć w ślad za kombi. Wszystkie trzy samochody kierują się na wschód, poza miasto. Kiedy prom przewozi je na drugą stronę rzeki Kwango, premier wychodzi z przedniego siedzenia, rozprostowuje kości swego długiego, wąskiego ciała, po czym dosiada się do swej żony Pauline i swego synka Rolanda w samochodzie należącym do ambasady gwinejskiej. Samochód, bez asysty dwóch pozostałych, jedzie dalej na wschód, w kierunku Stanleyville, gdzie tłum ludzi lojalnych wobec swego wodza czeka na to, aby go pozdrowić. Wierzą z całego serca, że na nowo urzeczywistni ich marzenia o wolnym Kongu.

Drogi są jednak fatalne. To samo cudowne błoto, które stanowi ocalenie dla manioku, dla samochodu oznacza klęskę. Jadą metr za metrem przez całą noc, aż do świtu, kiedy zatrzymuje ich przebita opona. Lumumba, który wygląda zaskakująco schludnie, przechadza się po przypląszczonej trawie koło rowu, podczas gdy kierowca zmienia oponę. Przy okazji jednak czarna, mokra

droga przeradza się w trzęsawisko i kiedy kierowca zapala silnik, samochód nie chce ruszyć z miejsca. Lumumba klęka w błocie i przystawia się rękami do tylnego zderzaka. Na nic: ugrzęźli na amen. Będą musieli poczekać na pomoc. Wciąż podekscytowani wolnością, nie tracą wiary. Dwóch spośród byłych członków gabinetu Lumumby podąża w ślad za nimi z Leopoldville innym samochodem.

Pech nie opuszcza go jednak. Ci dwaj ludzie dotarli nad rzekę Kwango i gestykują bezradnie do zdziwionego rybaka. Chcą, żeby obudził przewoźnika. Prom stoi na płytkiej wodzie koło przeciwległego brzegu, gdzie w nocy wysadził grupę Lumumby. Obaj zbiegli dygnitarze należą do plemienia Batetela i nauczyli się francuskiego w szkołach misyjnych, lecz nie mają pojęcia, jak się porozumieć z członkami plemienia Kwango, którzy łowią ryby w rzekach na wschód od Leopoldville. Do tej pory nie powodowało to żadnych niedogodności. Przed niepodległością prawie nikt się nie interesował ideą geograficznie zjednoczonego Konga. Lecz teraz, rano dnia 28 listopada, sprawa nabiera pierwszorzędного znaczenia. Rzeka nie jest zbyt szeroka. Widzą prom bardzo wyraźnie i pokazują na niego. Lecz rybak tylko wytrzeszcza oczy na miejskie garnitury tych ludzi, na ich czyste ręce i na ich usta, które z emfazą wymawiają niezrozumiałe sylaby. Widzi, że są zdesperowani. Proponuje im ryby.

Tak się sprawy mają.

Lumumba i towarzyszący mu ludzie czekali prawie cały dzień, aż wreszcie znalazł ich komisarz regionalny, który ich zawiózł do Bulungu. Tam zatrzymali się, ponieważ żona i syn Lumumby byli głodni i musieli coś zjeść. Kiedy premier czekał w cieniu drzewa i strzepywał ze spodni zaschnięte błoto, jeden z mieszkańców wioski rozpoznał go i ściągnął podniecony tłum ludzi. Premier wygłosił zaimprovizowane przemówienie na temat nieugaszalnego afrykańskiego pragnienia wolności. W tłumie słuchaczy znalazł się pilot-

najemnik z Południowej Afryki, który posiadał radio. Szef ekspozytury CIA wkrótce się dowiedział, że Lumumba przebywa na wolności. Nad całym Kongiem niewidzialne fale radiowe przesyłały zaszyfrowane wiadomości: „Królik uciekł”.

Armia schwytała Lumumbę mniej niż pięćdziesiąt mil od naszej wioski. Ludzie wylęgali na drogi i walili kijami i fetyszami w maski samochodów konwoju wojskowego, który go zabierał. Informacja o tym wydarzeniu została szybko upowszechniona za pomocą bębnow, na całą naszą prowincję i dalej, niektórzy z naszych sąsiadów rzucili się nawet biegiem, żeby pomóc swemu

schwytanemu przywódcy. Lecz pośród tych wszystkich grzmotów, wszystkich tych wiadomości, które huczały nam w uszach, nie usłyszeliśmy ani słowa. Lumumba został zabrany do więzienia w Thysville, potem przewieziony samolotem do prowincji Katanga i wreszcie pobity tak makabrycznie, że nie mogli oddać ciała wdowie po nim, nie narażając się na międzynarodową kompromitację.

Pauline i jej dzieci pogrzyżyły się w żałobie, ale niemożność wyprawienia odpowiedniego pogrzebu jest w Kongu czymś strasznym. Ciało nie oplakane nie może zaznać spoczynku. W nocy lata dokoła wioski. Pauline kładła się do łóżka w te noce, błagając męża, aby nie szarpał dziobem żyjących. Tak przynajmniej sądzę. Sądzę, że prosiła go, aby nie wykradał dusz tym, którzy mieli zająć jego miejsce. Na przekór jej modlitwom Kongo zostało przekazane w ręce bezdusznych, pustych w środku ludzi.

Piętnaście lat po tych wydarzeniach siedziałam w Atlancie przy radioodbiorniku, słuchając senatora Churcha i komisji specjalnej, która prowadziła śledztwo w sprawie Konga. Gdzie ja wtedy byłam? W jakimś zupełnie innym miejscu? Jestem pewna, że z sierpniowego zamachu stanu nic nie zrozumieliśmy. Z okresu pięciu miesięcy po uwięzieniu, ucieczce i

ponownym schwytniu Lumumby przypominam sobie — co? Trudności z myciem się i gotowaniem podczas suszy. Upokarzające wydarzenie w kościele i narastające spory w wiosce. Oczywiście chorobę Ruth May. I szokującą awanturę z Leą, która chciała iść na polowanie z mężczyznami. Każdego dnia byłam tak zajęta, że takie pojęcia jak miesiąc czy rok były dla mnie abstrakcją. Historia była bardzo odległa od mych myśli. Teraz już nie jest. Teraz już wiem, że choćby codzienne życie nakładało na nas ciężkie brzemie, poczucie, że losy możliwych tego świata nas nie dotyczą, jest iluzją. W ten straszny styczniowy dzień 1961 roku Lumumba zapłacił za to życiem, ja też, choć nie swoim. Na skrzydłach sowy pokonane Kongo przylatywało, aby prześladować nawet naszą małą rodzinę, heroldów dobrej woli dryfujących na morzu źle zrozumianych intencji.

To zabrzmiało dziwnie, ale kiedy to wszystko nastąpiło, miałam wrażenie, jakbym na to czekała przez całe moje zamężne życie. Czekałam, aż opadnie ten topór, abym mogła odejść bez przebaczenia w sercu. Może zatem tragedia zaczęła się w dniu mojego ślubu. A nawet wcześniej, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Nathana w namiocie, podczas spotkania odnowy religijnej. Przypadkowe spotkanie obcych wywołuje koniec świata. Kto potrafi powiedzieć, od czego on się zaczyna? Spędziłam już tyle lat, wracając tą błotnistą drogą, gdybym tylko nie spuściła z oczu mych dzieci tego ranka. Gdybym nie pozwoliła Nathanowi zabrać nas do Kilangi. Gdyby baptyści nie wzięli na siebie zadania nawrócenia Kongijczyków. Co by było, gdyby Amerykanie, a przed nimi Belgowie, nie zakosztowali w Afryce smaku krwi i pieniędzy? Gdyby świat białych ludzi trzymał ręce z daleka od Konga?

To piękne i całkowicie bezużyteczne zajęcie, próbować wytyczyć swój los. Ta ścieżka prowadzi aż do czasów przed naszym urodzeniem i do tej głębokiej studni łatwo jest wrzucać przekleństwa niby kamienie na głowy naszych przodków. Jednak przeklinamy w ten sposób sami siebie i to, co nas

uczyniło takimi, jakimi jesteśmy. Gdybym nie wyszła za kaznodzieję Nathana Price'a, moje dzieci, te, a nie inne, nigdy nie przyszłyby na świat. Szłam doliną swego losu, to wszystko, i nauczyłam się kochać to, co mogłam stracić.

Możesz przeklinać zmarłych lub modlić się do nich, lecz nie oczekuj, że cokolwiek dla ciebie zrobią. Są zbyt zajęci obserwowaniem nas, czekają z zapartym tchem, co też następnego zbroimy.

## CO STRACIŁYŚMY

Kilanga, 17 stycznia 1961

Lea

Nie można po prostu pokazać palcem na największe nieszczęście i zapytać, dlaczego się wydarzyło. Cały ten okres był straszny, począwszy od suszy, która pozostawiła tak wielu ludzi bez jedzenia, a potem noc mrówek i wreszcie teraz, najgorsza tragedia ze wszystkich. Jak mówi Anatole, jeśli ktoś patrzy wystarczająco uważnie, to zawsze znajdzie powody, ale idiotyzmem jest uważać, że to, co się stało, jest karą za grzechy. Widzę to bardzo wyraźnie, kiedy patrzę na swoich rodziców. Bóg nie chce nas karać. On daje nam tylko czas i środki, a my sami wymierzamy sobie karę.

Kiedy patrzę na miesiące, które doprowadziły do tego dnia, to odnoszę wrażenie, że wszystko zaczęło się walić w październiku, od momentu głosowania w kościele. Należało zachować się z klasą i natychmiast pryskać z Konga. Jak ojciec mógł nie zdawać sobie sprawy ze swojego błędu? Wierni w jego własnym kościele przerwali mu kazanie, aby przeprowadzić głosowanie, czy akceptują Jezusa Chrystusa jako osobistego zbawiciela Kilangi.

Tego dnia było tak gorąco, że języki nam zasypiały, smakując kurz, i budziły się odrętwiałe. Z naszych ulubionych kąpielisk w strumieniu, które powinny tej porze roku pienieć się wartką brązową wodą, zostały tylko suche

łożyska białych kamieni. Kobiety musiały brać wodę do picia prosto z rzeki, mlaskając językami i opowiadając historie o kobietach, które wpadły w paszczę krokodylom w innych bezdeszczowych latach, bez porównania mniej suchych niż ten rok. Pola manioku były płaskie, martwe, drzewa owocowe nagie. Wszędzie opadały żółte liście, jakby nadchodził koniec świata i należało mu rozścielić pod nogami chrzęszczący dywan. Wielkie stare puchowce i baobaby, które ocieniały naszą wioskę, cierpiały i jęczały wszystkimi gałęzmi. Przypominały bardziej starych ludzi niż rośliny.

Dotarły do nas pogłoski o deszczu w dolinach rzek na zachód od nas i opowieści te wzniciły najgłębsze pragnienie, jakie można sobie wyobrazić — pragnienie umierających plonów i zwierząt. Martwa trawa na odległych wzgórzach miała kolor żółtawoczerwony, nie pomarańczowy, lecz bardziej suchy, pomarańczowobiały, jak rozedrgane od słońca powietrze. Małpy zbierały się o zmroku na wysokich, nagich gałęziach i jojechały

między sobą, badając wzrokiem niebo. Wszystkie żywe istoty, które mogły opuścić swój dom, łącznie z niektórymi naszymi sąsiadami, wędrowały na zachód, w kierunku, z którego co noc słyszałyśmy bębny. Tata Kuvudundu odprawiał swe wróżby z kości i prawie każda dziewczyna w wiosce tańczyła z kurą przyciśniętą do głowy, żeby sprowadzić deszcz. Ludzie robili, co mogli. Frekwencja w kościele najpierw wzrosła, a potem spadła. Na początku Jezus wyglądał na Boga, który może pomóc, ale to się nie potwierdziło.

Tego niedzielnego ranka w pierwszym rzędzie ławek usiadł sam Tata Ndu. Tata Ndu rzadko przestępował (metaforyczne) progi naszego kościoła, więc był to jakiś znak, choć trudno było powiedzieć, czy dobry, czy zły. Wódz nie sprawiał wrażenia zbytnio zainteresowanego kazaniem, podobnie jak wszyscy pozostali, ponieważ nie dotyczyło ono deszczu. Miesiąc wcześniej, kiedy wydawało się, że zaraz nadejdą burze z piorunami, ojciec poradził wiernym, aby pokajali się za swe grzechy, a Bóg wynagrodzi ich za to

deszczem. Lecz mimo tej całej pokuty deszcz nie spadł i teraz ojciec powiedział nam, że nie zamierza brać udziału w tych zabobonach. Tego przedpołudnia głosił kazanie o Belu w świątyni, na podstawie fragmentu apokryfów. Ojciec często posługiwał się apokryfami, chociaż ściągało to na niego lekceważenie ze strony innych kaznodziejów. Twierdzą oni, że księgi te są dziełem ludzi żerujących na ludzkim strachu, którzy doczepili je do Starego Testamentu, aby móc nimi terroryzować ludzi. Ojciec zawsze jednak powtarza, że jeśli Pan nie może cię ściągnąć ze złej drogi żadnym innym sposobem, to ma prawo wygnąć z ciebie demona, napędzając ci stracha.

Historia o Belu i wężu nie była aż taka przerażająca, ponieważ dotyczyła głównie przytomności umysłu Daniela. Tym razem Daniel chciał udowodnić Babilończykom, że oddają cześć fałszywym idolom, ale nawet ja nie mogłam się skupić na słowach ojca. Ostatnio rzadko mnie poruszał entuzjazm ojca, a Bóg nigdy.

— Babilończycy mieli bożka, którego zwali Bel — oznajmił głosem, który był przejrzysty w odróżnieniu od parnego powietrza. Ludzie wachlowali się.

— Składali mu co dzień dwanaście miar najczystszej mąki, czterdzieści owiec i sześć stągwi wina.

Anatole przetłumaczył to, zastępując mąkę/u/u, owce kozami, a wino winem palmowym. Kilka osób zaczęło się szybciej wachlować na myśl o tej ilości jedzenia dla tylko jednego głodnego boga. Większość podrzemy wała jednak.

— Czczył go też król i udawał się codziennie, by mu oddawać po kłón. Daniel zaś czczył swojego Boga. Powiedział do niego król: „Dlaczego nie oddajesz pokłonu Belowi?” On zaś odrzekł: „Bo nie oddaję czci bożkom uczynionym rękami, lecz Bogu żyjącemu, który stworzył niebo i ziemię oraz



sprawuje władzę nad wszystkimi istotami". Powiedział mu więc król: — Tu ojciec intymnie ściszył głos: — „Uważasz, że Bel nie jest bogiem żyjącym? Czy nie wiesz, ile zjada i wypija codziennie?" Daniel odpowiedział z uśmiechem: „Nie ludź się, królu! Jest on w środku z gliny, a na wierzchu z miedzi".

Ojciec przerwał i zaczekał, aż Anatole nadgoni z tłumaczeniem.

Osobiście lubię opowieść o Belu i świątyni, to dobra historia, lecz przy wszystkich tych opóźnieniach związanych z tłumaczeniem toczyła się zbyt wolno, aby wzbudzić w ludziach zainteresowanie. Jest to w gruncie rzeczy historia detektywistyczna. W każdym razie na miejscu ojca tak bym ją opowiedziała: Daniel dobrze wiedział, że arcykapłani króla zakradają się nocą do świątyni i zabierają całe to jedzenie. Daniel zastawił więc pułapkę. Kiedy wszyscy złożyli w świątyni swoje dary ofiarne, wszedł tam i rozsypał na podłodze popiół. Tej nocy kapłani jak zwykle zakradli się przez ukryte schody pod ołtarzem. Nie zauważyli jednak popiołów, toteż zostawili na podłodze świątyni ślady stóp. Co wieczór organizowali sobie niezłą balangę, na koszt swego kumpla Bela. Jednak dzięki popiołom Daniel złapał ich na gorącym uczynku.

Ojciec zamierzał podjąć swoją opowieść, kiedy nagle Tata Ndu wstał, przerywając mu w pół słowa. Wszystkie wytrzeszczyłyśmy oczy. Tata Ndu uniósł dłoń do góry i oznajmił basowym głosem człowieka pokaźnej postury, akcentując każdą sylabę z osobna:

— Czas, abyśmy zrobili wybory.

— Jak to? — powiedziałam głośno.

Ojciec, który jest przyzwyczajony, że wie o wszystkim zawczasu, wykazał się szybkim refleksem. Odpowiedział cierpliwie:

— To dobrze. Wybory to dobra rzecz, cywilizowana. W Ame ryce mamy wybory co cztery lata, aby zdecydować, kto ma rzą dzić. — Zaczekał chwilę, aż Anatole to przetłumaczy. Może ojciec chciał rzucić aluzję, że mieszkańcy wioski powinni rozważyć, czy Tata Ndu jest tym przywództwem, o które im chodzi.

Tata Ndu odparł z równą cierpliwością:

— A yi bandu, jeśli ci to nie przeszkadza, Tata Price, zrobimy nasze wybory teraz. Ici, maintenant. — Posługiwał się starannie dobraną mieszanką językową, którą rozumieli wszyscy obecni. To jakiś żart, pomyślałam. Normalnie Tata Ndu miał nie lepsze zdanie o naszym modelu wyborów niż Anatole.

— Z całym szacunkiem — powiedział ojciec — to nie jest czas ani miejsce na tego rodzaju rzeczy. Może na razie usiądziesz, Tata Ndu, i ogłosisz swoje plany, kiedy ja skończę kazanie. Kościół nie jest miejscem na wybieranie ludzi na urzędy publiczne.

— Kościół jest najwłaściwszym miejscem — odparł Tata Ndu. — Ici, maintenant, przegłosujemy kandydaturę Jezusa Chrystusa na urząd osobistego Boga wioski Kilanga.

Ojciec znieruchomiał na kilka sekund.

Tata Ndu patrzył na niego kpiącym wzrokiem.

— Wybacz, ale czyja cię sparaliżowałem? Ojciec nareszcie odzyskał głos.

— Nie, wszystko w porządku.

— A bu, zaczniemy. Beto tutakawe kusala. — W kościele nagle zrobił się wielobarwny rozgardiasz, kiedy kobiety w jas nych pagnes przystąpiły do

działania. Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. To wszystko było ukartowane. Kobiety wy sypały kamyczki z kalebas na fałdy zawojów i chodziły między ławkami, wkładając po jednym kamyku do każdej wyciągniętej ręki. Czyli tym razem w głosowaniu miały wziąć udział także kobiety i dzieci. Tata Mwanza podszedł do ołtarza, aby ustawić przed nim kalebasy wyborcze. Do jednej miano wrzucać głosy za Jezusem, do drugiej przeciwko. Oznaczono je odpowiednio krzyżem i butelką nsamba, młodego wina palmowego. Chyba każdy rozumie, że to była nierówna walka.

Ojciec próbował zakłócić procedurę wyborczą, tłumacząc głośno, że urząd Jezusa nie podlega wyborom powszechnym. Ludzie byli jednak podnieceni, jako że zostali niedawno zaznajomieni z systemem demokratycznym. Mieszkańcy Kilangi byli gotowi przystąpić do głosowania. Podchodzili do ołtarza gęsiego, jakby to był sąd ostateczny. Ojciec wyszedł im na spotkanie, jakby również sędził, że przyszedł czas końcowych rozrachunków. Lecz sznur ludzi rozdzielił się wokół niego jak woda wokół głazu w strumieniu i każdy poszedł wrzucić swój głos. Ojciec wycofał się za swoją kazalnicę ze zdrutowanych razem liści palmowych i uniósł go góry dłoń, zamierzając zapewne udzielić wiernym błogosławieństwa. Lecz zanim zdążył wtrącić choć słowo, głosowanie już się odbyło. Zastępcy Taty Ndu, wicewodzowie, natychmiast przystąpili do liczenia kamieni. Ułożyli je na ziemi w grupkach po pięć, w dwóch równoległych rzędkach, żeby wszyscy mogli zobaczyć rezultat.

— Cest juste — powiedział Tata Ndu, kiedy liczyli. — Wszyscy widzimy na własne oczy, że to sprawiedliwe.

Ojciec był czerwony na twarzy.

— To bluźnierstwo! — Rozłożył ręce szeroko, jakby chciał wypędzić demony, które tylko on widział, i ryknął: — Tu nie ma nic sprawiedliwego!

Tata Ndu odwrócił się do ojca i przemówił do niego zaskakująco poprawną angielszczyzną, z francuskim „r”, kładąc każdą sylabę jak kamyczek na dłoni.

— Tata Price, biali ludzie przynieśli nam dużo programów, które mają poprawić nasze myślenie — powiedział. — Program Jezusa i program wyborów. Mówisz, że to są dobre rzeczy. Nie możesz teraz twierdzić, że nie są dobre.

W kościele rozległ się chór okrzyków, w większości popierających Tatę Ndu. Niemal jednocześnie dwóch mężczyzn wrzasnęło:

— Ku nianga, ngete uyele kutala!

Anatole, który usiadł wcześniej na krześle niedaleko kazalnicy, pochylił się i powiedział cicho do ojca:

— Mówią, że pokryłeś dach strzechą i teraz nie możesz uciekać z domu, kiedy pada.

Ojciec puścił mimo uszu tę przypowieść.

— Spraw ducha nie rozstrzyga się na targowisku!—krzyknął surowym tonem. Anatole przetłumaczył.

— A bu, kwe? W takim razie gdzie? — spytał Tata Nguza, podniósłszy się z hardą miną. Powiedział, że jego zdaniem biały mężczyzna, który nigdy w życiu nie zabił nawet buszboka dla swojej rodziny, nie jest kompetentny decydować, który bóg powinien ochraniać naszą wioskę.

Kiedy Anatole to przetłumaczył, ojciec sprawiał wrażenie skonsternowanego. U nas w kraju trudno dostrzec związek między tymi dwiema sprawami.

Ojciec mówił powoli, jak do niedorozwiniętego:

— Wybory są dobre i chrześcijaństwo jest dobre. Jedno i drugie jest dobre. — Dobrze wiedziałyśmy, jak niebezpiecznie rokuje ten niezwykle spokojny ton i twarz stopniowo nabiegająca purpurą. — Masz rację. W Ameryce szanujemy obie te tradycje. Jednak mamy dla nich osobne domy.

— Tak sobie wymyśliliście w Ameryce — powiedział Tata Ndu. — Nie mówię, że to niemądre. Lecz my w Kilandze używamy jednego domu do wielu rzeczy.

Ojciec eksplodował.

— Człowieku, ty nic nie rozumiesz! Stosujesz logikę dziecka i okazujesz niewiedzę dziecka. — Huknął pięścią o kazalnicę, skutkiem czego wszystkie wyschnięte liście palmowe rozsypały się na boki. Ojciec z gniewem odtrącił je nogą na bok i podszedł do taty Ndu, lecz zatrzymał się w pewnej odległości od celu. Tata Ndu jest znacznie masywniejszy od mojego ojca, ma bardzo grube ramiona i w tym momencie wydawał się jeszcze potężniejszy niż zwykle.

Ojciec wymierzył w niego palcem jak z pistoletu, a potem powiódł nim oskarżycielsko po wszystkich wiernych.

— Nie nauczyliście się kierować swym żalosnym krajem! Wasze dzieci umierają na sto różnych chorób! Nie macie nawet

nocników, żeby do nich sikać! I wy myślicie, że możecie przyjąć lub odrzucić miłosierdzie naszego Pana Jezusa Chrystusa!

Gdyby ktoś stał w zasięgu ciosu pięścią, mój ojciec dałby świadectwo bardzo niechrześcijańskiej postawy. Trudno było uwierzyć, że ja kiedykolwiek chciałam być blisko niego. Jeśli zostały jeszcze we mnie jakieś słowa modlitwy, to takie, żeby ten czerwony na twarzy, trzęsący się z wściekłości człowiek już nigdy mnie nie dotknął.

Tata Ndu, bardzo spokojny, nie sprawiał wrażenia zaskoczonego tym, co się stało.

— A, Tata Price — powiedział swym poważnym, świszczą cym głosem. — Uważasz nas za tnwana, swoje dzieci, które o niczym nie miały pojęcia, zanim ty się zjawileś. Tata Price, jestem starym człowiekiem, który uczył się od innych starych ludzi. Mógłbym podać ci imię wielkiego wodza, który uczył mego ojca, i wszystkich wcześniejszych wodzów, ale najpierw ty mu siałabyś nauczyć się cierpliwości, żeby usiąść i posłuchać. Jest ich stu dwudziestu dwóch. Od czasów naszego mankulu ustalali śmy nasze prawa bez pomocy białego człowieka.

Odwrócił się do wiernych z kaznodziejską miną. Tym razem nikt nie przysypiał.

— Mieliśmy zwyczaj dzielić się ogniem, dopóki nie zgaśł, ayil Rozmawiać, aż wszyscy będą zadowoleni. Teraz Beelezi mówią nam, że głos młodego, nieodpowiedzialnego człowieka liczy się tak samo jak głos członka starszozny.

W rozedrganym upale Tata Ndu przerwał, aby zdjąć nakrycie głowy, poobracać nim ostrożnie w dłoniach, a potem założyć nad wysokim sklepieniem swego czoła. Wszyscy czekali z zapartym tchem na jego dalsze słowa.

— Biali ludzie mówią nam: Głosujcie, bantu. Mówią nam: Nie musicie wszyscy się zgadzać, ce n'est pas necessaire! Jeśli dwóch ludzi głosuje na tak, a jeden na nie, to sprawa rozstrzyg nięta. A bu, nawet dziecko widzi, czym to się skończy. Garnek w ognisku musi stać na trzech kamieniach. Zabierz jeden, zostaw dwa i co się stanie? Garnek wywróci się do ogniska.

Wszyscy zrozumieliśmy przypowieść Taty Ndu. Jego okulary i wysoka konstrukcja na głowie nie wydawały się śmieszne. Wyglądały jak strój wodza.

— Ale takie jest prawo białego człowieka, n'est-ce pas? — spytał. —  
Dwa kamienie wystarczą. // nous faut seulement la majorite.

Rzeczywiście, w to wierzyliśmy: w rządy większości. Nie dało się zaprzeczyć. Spojrzałam na swoją dłoń, wciąż zaciśniętą na kamyczku. Nie głosowałam, tak samo jak moja matka. Jak mogłybyśmy to zrobić, na oczach ojca? Jedyłą z nas, której starczyło odwagi, była Ruth May, która podeszła do kalebas wyborczych i zagłosowała na Jezusa z takim wigorem, że kamyczek uderzył w krzyż i odbił się. Sądzę jednak, że każda z nas dokonała wyboru, takiego czy innego.

Tata Ndu odwrócił się do ojca i powiedział do niego niemal życzliwym tonem:

— Jezus jest białym człowiekiem, więc zrozumie prawo la majorite, Tata Price. Wenda mbote.

Jezus Chrystus przegrał, jedenaście do pięćdziesięciu sześciu.

Rachel

Może nie powinnam tego mówić, ale taka jest prawda: przyczyną wszystkich naszych kłopotów jest Lea. To się zaczęło w czasach, kiedy ona i ojciec wywołali w naszym domu trzecią wojnę światową. Kompletny obłąd. Lea wierzgała i odpyskowywała ojcu prosto w twarz, a potem, o jeny. Reszta z nas pochylała się i biegła do schronu, tak jak trzeba zrobić, kiedy zrzucą bombę atomową. Lea zawsze miała ekstremistyczny szacunek do ojca, ale po tej chryi w kościele, kiedy ojciec odpadł w wyborach, wzięła i przestała być dla niego uprzejma.

Zaczęło się od tego, że oznajmiła, że idzie na polowanie ze swoim małym łukiem i strzałami. Moja siostrzyczka, Pan jest moim pasterzem i te sprawy, teraz uważa się za Robin Hooda.

Dziwię się, że nie próbowała zestrzelić mi jabłka z głowy, to znaczy gdybyśmy miały jabłko. Nie ma nic, co by można do gęby włożyć. Mrówki zjadły wszystko, co ludzie mieli odłożone, czyli tyle, co kot napłakał, bo podczas suszy nic nie rośnie. Codziennie rano chmurzy się i przez godzinę jest parno, ale potem słońce praży jak wariat i wszystko wysusza. Dzień targowy wygląda tak, jakby się wyszło ze schronu po bombardowaniu nuklearnym: żywej duszy, oprócz paru starych facetów z częściami samochodowymi, nożami i garnkami, które mają nadzieję przehandlować za coś do jedzenia. Życzę szczęścia, staruszkule! My wciąż wegetujemy na tym, co nam dała pani Fowles ze swej łodzi, plus mamy trochę jajek, bo dzięki Bogu Mama Mwanza przyniosła nam dwie swoje kury nioski, kiedy mrówki zjadły nasze. Pozwala swoim kurom latać po całej wsi, więc uciekły przed nieuchronną śmiercią, wyfruwając na drzewa. Uważam, że Axelroot też mógłby skołować dla nas coś do zjedzenia, gdyby się postarał, ale od paru miesięcy rzadko nas zaszczycą swoim towarzystwem, rzekomo dlatego, że ma jakąś ściśle tajną misję. Można oszaleć. Powiedział, że przywiezie mi papierosy i czekoladę Hersheya, kiedy wróci i bardzo mnie to nakręciło, ale teraz, o jeny, byłabym przeschęśliwa, gdybym dostała paczkę Wonder Bread.

A potem Tata Ndu ni z gruchy, ni z pietruchy oświadczył, że cała wioska ma iść na wielkie polowanie i że to nas uratuje. Wszyscy razem! Wchodzi w to wiele rzeczy. Nelson wyjaśnił nam, na czym polega plan: zrobią pożar wokół wzgórza za wioską. Wzgórze jest porośnięte głównie suchymi chaszczami, a nie dżunglą, więc w minutę pójdzie z dymem. Kobiety mają machać liśćmi palmowymi i zaganiać płomienie w stronę wzgórza, aż wszystkie zwierzęta złapane w środku w pułapkę nie wytrzymają nerwowo i zaczną przeskakiwać przez ogień. To będzie sygnał, żeby mężczyźni zaczęli do nich strzelać. Dzieci i starcy otrzymają zaszczytne zadanie posprzątania po myśliwych, to znaczy będą szły na końcu i zbierały wszystkie stworzenia boże, które upieką się na chrupko.



Nelson mówi, że wszyscy mieszkańcy wioski mają się obowiązkowo wstawić na polowanie.

Co mi tam, mogę iść po spalonym polu i usmarować się sadzą od stóp do głów. Już dawno przestało mi zależeć na tym, żeby uchodzić za damę. Ale Lea ma pomysł, że pójdzie przodem z mężczyznami i będzie szła do gadziny ze swojego łuku. Jej nowy najlepszy przyjaciel, Anatole, wyraźnie ją w tym popiera. Kiedy było na ten temat zebranie, to ciągle powtarzał, jak ona celnie strzela i że skoro umieramy z głodu, to co komu robi za różnicę, kto strzeli do antylopy, byle ją ubił? Nelson był tego samego zdania, powiedział, że przyda się każda strzała, która poleci prosto do celu, nawet jeżeli z łuku dziewczyny. Sra-ta-ta-ta. Nelson jest po prostu dumny z tego, że to on nauczył ją strzelać. A z I<sup>ei</sup> jest szpanerka.

Tata Ndu i inni starsi mężczyźni byli przeciwko, podczas zebrania. Zwłaszcza Tata Kuvudundu. Siedział z zaciśniętymi ustami, kiedy przychodziła na niego kolej zabrania głosu. Potem wstawał w swoim białym zawijanym szlafroku i opowiadał całe historie o strasznych rzeczach, które się stały w dawnych czasach: zatruta woda wychodziła z ziemi, słonie dostawały hamaku i tak dalej, kiedy ludzie go nie słuchali i chcieli robić rzeczy inaczej niż normalnie. Wtedy wszyscy mówili: „Aha, pamiętam”. Ci starszankowie dużo kiwali głowami, siedzieli wyprostowani z łokciami przyciśniętymi do boków, ręce mieli złożone na kolanach, a stopy płasko na ziemi, palce trochę do wewnątrz. Młodszy mężczyźni siedzieli odchyleni do tyłu na stołkach z szeroko rozsuniętymi kolanami, zajmowali mnóstwo miejsca i nie obcinając się, wykrzykiwali wszystko, co mieli na wątrobie. Mówili głównie tymi swoimi francuskimi i innymi narzeczaniami, ale Ada zapisywała wszystko po angielsku w zeszycie, który tak trzymała, że mogłam przeczytać. Przynajmniej raz się do czegoś przydała.

Oczywiście ojciec miał swoją własną pieczęć do upieczenia. Kiedy po raz pierwszy i ostatni udzielono mu głosu, próbował zamienić całe polowanie w takie jakby unowocześnione spotkanie modlitewne ze strzelaniem do zwierzyny na końcu. Nikt go nie słuchał, bo wszyscy byli nakręceny tematem dziewczyny, która chciała polować razem z mężczyznami. Jestem pewna, że ojciec miał pretensje, że jego rodzona córka odwraca uwagę od

jego szczytnych pomysłów. Ojciec miał szczęście, że nie urodzili mu się żadni synowie. Może byłby zmuszony ich szanować.

Pod koniec mówili już tylko Tata Ndu, Tata Kuvudundu i Anatole. Tata Ndu zawinięty w swój pomarańczowo-biały pasiak, z miną „Nie zapominajcie, kto tu jest wodzem”, a Tata Kuvudundu jest oczywiście znachorem voodoo i o tym raczej też nikt nie zapomina, zwłaszcza że facet ma sześć palców u nogi i zezuje, jak mówi, żeby napędzić ludziom stracha. Ale Anatole jest w końcu nauczycielem i wielu tych chłopaków, którzy teraz, w dojrzałym wieku dziesiętnastu i więcej lat, mają żony i dzieci, kiedyś uczyli się od niego abecadła. Dalej nazywają go Monsieur Anatole, zamiast normalnego „Tata”, bo był ich profesorem. Zrobił się więc z tego spór młodych ze starymi i Anatole zdołał przekonać wielu młodych. A w naszej wiosce ludzie umierają pod każdym możliwym pretekstem, więc nie ma za dużo starych.

Lea musiała przez cały wieczór siedzieć na przedzie izby i nie odzywać się ani słowem. Cały czas patrzyła na Anatole'a, ale po jakimś czasie nie widać już było na pewno, czy on jest po jej stronie. Przestał mówić o tym, jak ona dobrze strzela, tylko wziął na tapetę temat, czy szczura należy zabić dla jego skóry czy za to, że jest szczurem. Okazało się, że nie ma między nimi zgody, co to znaczy być szczurem. Tata Ndu powiedział, że jeśli coś biega w szczurzej skórze, to jest szczurem. Potem wszyscy zaczęli zlorzeczyc na temat cudzoziemców, zamachu wojskowego i wsadzenia kogoś do więzienia, co może

nie jest tematem o wiele ciekawszym, ale na pewno przyjemniejszym niż szczury.

Na koniec zrobiła się kolejna kątfrontacja: będziemy o tym gadać do rana czy zagłosujemy? Anatole był bardzo przeciwny głosowaniu. Powiedział, że to jest sprawa, w której trzeba dojść do porozumienia, bo nawet jeśli Kilanga przegoni od siebie jedną białą rodzinę, to na świecie jest milion białych i jeśli ktoś nie nauczy się odróżniać dobrych szczurów od złych, to wkrótce będzie miał pod swoim dachem jedne i drugie. Poza tym nie zdziwcie się, powiedział, jeśli waszej własnej córce czy żonie zachce się strzelać z łuku za waszymi plecami. Wszyscy się

zaśmiali, ale ja nie widziałam, co w tym jest śmiesznego. Czy on nazywa nas szczurami, pomyślałam?

Tata Ndu miał już tego wszystkiego wyżej uszu. Podeszedł do Lei i postawił przed nią dwie duże kalebasy do głosowania z gliny. Ludzie się wściekli, kiedy to zrobił. Widać było, że są tego samego zdania co Anatole, że trzeba jeszcze przedyskutować sprawę. Ale nie, czas na debatę minął. Lea siedziała z miną kurczaka, którego zaraz wrzucą go garnka z rosółem. Ale dlaczego miałabym jej współczuć? Sama się prosiła! Z jej kombinacjami, które miały zwrócić na nią uwagę. Niektórzy mężczyźni wciąż sprawiali wrażenie ubawionych, więc może myśleli, że Lea postrzeli się w nogę albo coś takiego. Ale kiedy przyszło do wrzucania głosów, pięćdziesiąt jeden kamiaków znalazło się w kalebasie, koło której leżał łuk Lei, a czterdzieści pięć w drugiej, przy której położyli garnek do gotowania.

Słowo daję, że Tata Kuvudundu nie miał w tym momencie zbyt szczęśliwej miny. Wstał i wrzasnął, że wywróciliśmy naturalny porządek rzeczy i kurza melodia, pożałujemy tego. Cały czas znacząco patrzył na Anatole'a, ale był też chyba zły na Tatę Ndu za pomysł z głosowaniem, który odbił się

rychłozetem. Tata Ndu mało się odzywał, tylko tak strasznie marszczył swoje wielkie, łyse czoło, że wyglądało jak ugniecione ciasto na chleb. Skrzyżował na piersiach umięśnione ramiona i chociaż miał minimum pięćdziesiąt lat, wyglądał na gościa, który potrafiłby rozkwasić gębę każdemu z obecnych.

— Zwierzęta słuchają nas dziś wieczór! — wydarł się Tata Kuvudundu i zaczął jakby śpiewać z zamkniętymi oczami. Potem przestał. Zapadła kompletna cisza i rozejrzał się bardzo powoli po izbie. — Lamparty będą chodziły na dwóch nogach jak ludzie naszymi ścieżkami. Węże wyjdą z ziemi i przypełzną do naszych domów, zamiast ukrywać się w swoich. Bwe? Wy to sprawiliście. Wy uznaliście, że nasze stare zwyczaje są niedobre. Nie wińcie zwierząt, to była wasza decyzja. Chcecie zmienić wszystko, a teraz, kuleka! Spodziewacie się, że zaznacie snu?

Nikt nie odezwał się ani słowem, wszyscy tylko patrzyli

wystraszeni. Tata Ndu siedział z głową odchyloną do tyłu i oczy miał jak szparki.

— Nikt nie zaśnie! — wrzasnął nagle Tata Kuvudundu, kica jąc do góry i wymachując w powietrzu rękami.

Wszyscy podskoczyli, tylko Lea ani drgnęła. Jak już mówiłam, ona zawsze szpanuje. Nawet nie mrugnęła okiem. Potem wszyscy wstaliśmy i ona wyszła za nami. Po drodze do domu nie powiedzieliśmy do siebie ani me, ani be, ani kukuryku. Przed drzwiami ojciec zatrzymał się i zablokował drogę. O jeny. Będziemy musiały stać na ganku i wysłuchać, jaki morał płynie z tej historii.

— Kto jest panem tego domu? — spytał.

Stała ze spuszczoną głową i nie odezwała się. Wreszcie powiedziała, głosem cichutkim jak mrówka: — Ty.

— Przepraszam, ale nie dosłyszałem...

— Ty! — wrzasnęła na niego.

Matka i ja podskoczyliśmy, lecz ojciec odpowiedział normalnym głosem.

— To, co się zdarzyło tego wieczoru, może mieć swoje konsekwencje dla wioski, lecz nie dla ciebie. Bóg nakazał, abyś czciła ojca swego i podporządkowała się panującym w tym domu regułom.

Lea nawet się nie poruszyła. Głowę wciąż miała pochyloną, ale oczy wlepiła w niego ze rany.

— Czyli — powiedziała spokojnie — zgadasz się z Tatą Ndu i znachorem.

Ojciec przełknął ślinę.

— Oni zgadzają się ze mną. To idiotyzm, żebyś miała poło wać z mężczyznami. Zabraniam ci.

Lea zarzuciła sobie łuk na ramię.

— Idę z mężczyznami i cześć. — Odmaszerowała z ganku i poszła prosto w ciemną noc, gdzie zwierzęta rzekomo nie spały i chodziły jak ludzie. Matka i ja stałyśmy z opadniętymi do kolan szczękami, zeszywniałe jak paralityczki.

Ojciec wpadł w szal. Zawsze się zastanawialiśmy, co by było, gdybyśmy mu się kiedyś postawiły. Teraz miałyśmy się przekonać. Pogonił za nią, wyciągając ze spodni swój szeroki skórzany pasek. Zanim dotarł na koniec podwórza, jej już nie było. Dała dyla w wysoką trawę i sterowała w stronę dżungli, gdzie było oczywiste, że ojciec jej nigdy nie znajdzie. Lea umie się wspinać na drzewa jak szympanśica, nawet kiedy nikt jej nie ściga.

Zamiast wrócić, ojciec zachowywał się tak, jakby miał zamiar pójść i naprać drzewom, i kurza melodia, naprawdę tak zrobił! Słyszałyśmy go przez godzinę. Wyglądałyśmy przez okno i zobaczyłyśmy, że wykarczował całą polankę trzciny cukrowej, smagając ją paskiem. Zaczęłyśmy się bać, co może zrobić, kiedy w końcu wróci, bo naprawę nie dało się przewidzieć. Naszych drzwi nie można było zamknąć na klucz, ale matka weszła z nami do naszego pokoju i pomogła nam poprzestawiać łóżka, żeby zablokować drzwi. Poszłyśmy wcześniej spać, z pokrywkami, nożami i innymi rzeczami z kuchni do obrony, bo nic innego nie przyszło nam do głowy. To było jak zbrojenia tych dawnych rycerzy. Ruth May położyła sobie na głowie aluminiową patelnię i wsunęła dwa komiksy za siedzenie džinsów, na wypadek, gdyby ojciec chciał jej złoić skórę. Mama spała w łóżku Lei. A raczej leżała, bo żadna z nas nie zmrużyła oka. Lea przed świtem podeszła do okna i szeptała coś z matką przez chwilę, ale ona chyba też nie spała tej nocy.

Pół wioski miało to samo co my, chociaż pewnie z innych powodów. Po tym, jak Tata Kuvudundu ciskał się podczas zebrania i rzucił urok, nikt nie mógł spać. Nelson twierdził, że był to jedyny temat rozmów. Ludzie mówili, że zwierzęta na nich patrzą. Pozabijali ostatnie, jakie jeszcze mieli — kozy, kury, psy. Wszędzie unosił się zapach krwi. Kładli głowy zwierząt przed domami w kalebasach, żeby odstraszyć kibaazu, jak mówili.

Czemu byli tacy durni i głosowali na Leę, spytałam Nelsona, skoro wiedzieli, że Tata Kuvudundu wyjdzie z siebie? Nelson powiedział, że niektórzy z tych, co głosowali za nią, byli źli na Tatę Ndu, a niektórzy byli źli na ojca. Skutek był taki, że niechący naważyli sobie piwa i musieli je teraz wypić. Lea się w tym wszystkim w ogóle nie liczy, powiedział Nelson. Ja mu na to, że na tym właśnie polega demokracja.

Dziwna rzecz, ale następnego ranka nasz dom był oazą spokoju. Ojciec zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Ramiona miał całe pocięte i

poparzone jadowitym drzewem od tego rzucania się po krzakach, ale najzwyczajniej w świecie wypił bez słowa herbatę, a potem okleił sobie ramiona plastrami i poszedł na ganek czytać Biblię. Pomyślałyśmy: Czyżby szukał najdłuższego Wersetu na temat zuchwałości do zadania Lei? Albo chce sprawdzić, jak Jezus zapatruje się na pastorów, którzy mordują własne córki? A może uznał, że nie wygra w tej walce i będzie udawał, że nic się nie stało, a Lea nie zasługuje na jego uwagę? Z ojcem życie jest jedną długą serią niespodzianek.

Lea miała przynajmniej tyle rozumu, aby trzymać się z daleka od domu. Była w szkole z Anatole'em albo urządziła sobie z Nelsonem zawody, kto trafi w owada na drzewie. Były to rzeczy, które normalnie robiła, ale w domu atmosfera była dosyć napięta. Ruth May nasikała w majtki, bo ojciec zakaszłał na ganku. Pytanie za dziesięć dolarów: kto musiał ją przewinąć? Oczywiście ja. Nie byłam wdzięczna Lei za to wszystko, co musiałyśmy przez nią znieść.

Następnego dnia miało być polowanie, a wieczorem Lea wciąż trzymała się z daleka. Lecz jej kumpel Anatole znalazł przed swoją chatą zły znak. Tak nam powiedział Nelson. Matka posłała go do szkoły, żeby zaniósł Lei gotowanych jajek na kolację. Chwilę później przybiegł i powiedział, że Anatole wygląda, jakby zobaczył ducha. Nelson nie chciał nam powiedzieć, co to był za zły znak, tylko że chodziło o kibaazu, zły urok rzucony na Anatole'a. Podejrzewałyśmy, że może to sobie wszystko zmyślił. Nelson czasem przesadza z różnymi rzeczami.

Nic z tego. Następnego dnia z samego rana Anatole znalazł zielonego węża mamba zwiniętego koło swojej pryczy i to cud boski, że nie został ukąszony w nogę i nie umarł na miejscu. Cud albo fart, jedno z dwojga. Powiedzieli, że zazwyczaj wstaje z łóżka przed świtem, żeby pójść na poranną przechadzkę i byłby na niego nadepnął, ale tego ranka z jakiegoś powodu obudził się za wcześnie i postanowił zapalić lampę i poczytać chwilę w łóżku,

zanim wstanie, i wtedy zobaczył węża. Pomyślał, że ktoś wrzucił mu do domu kawałek sznurka jako jeszcze jeden zły znak, ale wtedy sznurek się poruszył! To już nie zły omam, tylko zło wcielone. Ta historia rozniosła się po wiosce szybciej, niż gdybyśmy mieli telefony. Ludzie krzatali się, bo nadszedł wielki dzień i musieli się przygotować, ale to dało im sporo do myślenia i nie potraktowali tego lekko. Nieważne, czy byli wyznawcami Boga wszechmogącego czy tych stworów, na które można się nadziać nocą, w każdym razie modlili się i dziękowali swojej szczęśliwej gwiazdzie, że padło na Anatole'a, a nie na nich.

Ada

Beto nki tutasala znaczy: Co my robimy? Robimy co my? Ala s atu ti knot eb. W nocy przed polowaniem sen się w ogóle nie zjawił. Susza suszy uszy Morfeuszy. Sądziliśmy, że patrzymy uważnie, lecz nie widzieliśmy tego, co mieliśmy przed oczami. Lamparty chodziły ścieżkami na tylnych łapach, a węże wypęły ze swoich nor. Serpentyna na podłodze nie była pierwszą literą słowa „sen”.

Bantu znaczy ludzie; liczba pojedyncza to muntu. Muntu nie znaczy jednak dokładnie tego samego co „osoba”, ponieważ określa kogoś żywego, martwego albo jeszcze nie narodzonego. Muntu trwa niezmiennie w tych wszystkich stanach bycia. Bantu mówią o „ja” jako o widzeniu zamieszkałym we wnętrzu, wyglądającym przez oczodoły ciała, czekającym, co się dalej zdarzy. Posługując się ciałem jak maską, muntu patrzy i czeka bez lęku, ponieważ ono samo nie umiera. Przejście od ducha do ciała i z powrotem do ducha to tylko nieistotne perypetie. Jest to przejażdżka napędzana przez nommo, siłę imienia nazywającego muntu. Nommo pada deszczem z chmury, unosi się parą wodną z ludzkich ust: jako pieśń, krzyk, modlitwa. Tam-tam daje nommo w Kongu, gdzie bębny mają swój język. Taniec daje nommo tam, gdzie ciała nie są odrębne od zamieszkującej je woli. W tym



innym zamierzczłym miejscu, Ameryce, byłam nieudanyim połączeniem zbyt słabego ciała i zbyt silnej woli, lecz w Kongu jestem doskonałym zespoleniem tych dwóch rzeczy: jestem Ada.

W nocy przed polowaniem, kiedy nikt nie spał, każde muntu tańczyło i śpiewało: tam-tamy, usta, ciała. Śpiewając, nazywali zwierzęta, które rano miały się stać naszą ucztą i wybawieniem. Nazywali rzeczy, których się bali: Wąż. Głód. Lamparty, które chodzą ścieżkami na dwóch nogach, j ak ludzie. Te właśnie nommo wyśpiewywali, te ciała, które żyły, tańczyły i łączyły się z innymi śliskimi, czarnymi ciałami, biły w bębny, chcąc wygrać na nich nadzieję, szansę na utrzymanie się przy życiu. Lecz muntu nie dbało o to, czy ciała będą następnego dnia żywe czy martwe. Muntu wyglądało przez oczodoły, patrzyło uważnie, co się dalej stanie.

Przed świtaniem wszyscy zebraliśmy się na skraju wioski, nie nad rzeką, gdzie zgromadziłby nas Ojciec Nasz, lecz od strony wzgórze, gdzie znajdowało się nasze wybawienie. Przemaszerowaliśmy przez pole trawy słoniowej, szliśmy po wznoszącym się zboczcu. Trawa była wysoka jak żywi ludzie i jeszcze wyższa, ale sucha i biała jak włosy umarłej kobiety. Mężczyźni za pomocą kijów kładli źdźbła na ziemi. Bili w jednym rytmie, jakby przypłaszczanie trawy do ziemi było tańcem, pochrząkiwali z cicha długim, basowym rytmem, który biegł do nas od czoła kolumny. Przed nami byli mężczyźni z łukami i strzałami, mężczyźni z włóczniami, kilku nawet ze strzelbami. Ich monotonna pieśń była jedynym dźwiękiem w chłodnym porannym oparze. Za mężczyznami szły dzieci i kobiety, niosąc największe kosze, jakie potrafiły opasać ich ramiona. Ja zawiesiłam sobie kosz na ramieniu, ponieważ moje ramiona kiepsko opasują. Za nami szły najstarsze kobiety, które niosły dymiące pochodnie, maczugi z zielonego hebanu owinięte szmatami nasączonymi olejem palmowym. Słońce wisiało nisko nad rzeką, jakby nie miało ochoty wstępować w ten dziwny dzień.

Potem uniosło się czerwono na nabiegle purpurą niebo, podobne do podsiniaczonego oka.

Na sygnał dany przez Tatę Ndu nasza pojedyncza procesja rozdzieliła się na dwa łuki, które objęły wzgórze z obu stron.

Tr

Uroczys

ta kość życzeni

owa\* desperac

kich, głodnyc

h ludzi — tak zapewne jawiliśm

y się zmarły

m i nie narodzi

nym muntu, którzy obserwo

wali nas z góry. W ciągu pół godziny łuki spotkały się ze sobą, my, głodni kościan

ożyczeni

owi ludzie z Kilangi, zamknęliśmy krąg wokół wzgórza

. Zawibro

wał okrzyk. Zażegac

zki ognia opuściły swe pochodn

ie. Młodsze kobiety rozposta

rły swe pagnes i pobiegły do przodu, rozdmuc  
hując płomien  
ie jak ćmy tańczące przed świecą.  
Nasz krąg był tak duży, że okrzyki, które słyszeliś  
my z drugiej strony, zdawały się dochodz  
ić z innego kraju. Wkrótce wszystk  
ie dźwięki pochłon  
ął ogień. Nie ryczał, lecz chrząkał  
, trzaskał, pohuki  
wał, wysysaj  
ąc nam z gardeł powietr  
ze, a wraz z nim mowę. Płomień podniósł się i lizał trawę, wszyscy  
ruszyliś  
my do przodu, ścigając linię jasności, która rozciąga  
ła się przed nami. Ścigając płomien  
ie, które przelaty  
wały żarłoczn  
ie nad zaskocz  
oną trawą i nie zostawia  
ły po sobie ani źdźbła życia. Nie zostawia  
ły po sobie nic prócz gorącej, czarnej, nagiej ziemi i delikatn

ych włókien popiołu, które drgały i kruszyły się deptane bosymi stopami.

Teraz mężczy

źni pospiesz

yli do przodu, z napięty

mi łukami, czekali niecierp

liwie, aż krąg zapadni

e się do środka. Coraz mniejsz

y, krąg malał, z całym byłym życiem rozległe

j trawiast

ej równiny złapany

m w środku w pułapkę. Zwierzę

ta także wciągni

ęte w ten taniec, myszy i ludzie. Mężczy

źni parli do przodu i podskak

iwali, podobni do ciemnych

h marione

tek na patykach przed ścianą ognia. Starzy ludzie i dzieci ciągnęły powoli z tyłu. Byliśmy jak dziwne, zniszczo

ne drzewca sztandar

ów, zgięte w pół, z łopoczą

cymi jasnymi ubraniami

mi. Powolni padlinożercy. Przecina

liśmy syczące czarne pole, zbierają

c zwęglon

e owady. Najwięc

ej było chrupki

ch gąsienic nguka, ulubion

ych przekąs

ek uczniów Anatole'

a, które przypo

minały małe gałązki i nie rozpozn

awałam ich, dopóki nie wyczulił

am oka na ich

\* Wishbone, rozwidlon

a kość (funicula) przed mostkiem u ptaków, nazywana życzeniow

ą od zwyczaju ciągnięcia jej za rozwidlon

e końce przez dwie osoby: tej, która urwie dłuższy koniec, spełni się  
pomyślan

e w duchu życzenie.

swoistą szarą krzywiznę. Zbieraliśmy ich całe kosze, aż wypełniły oczy  
mojej duszy tak bez reszty, że wiedziałam, iż będę je widywała we śnie.  
Łatwiejsze do znalezienia były dikonko, jadalne szarańcze i świerszcze z  
pulchnymi półprzezroczystymi brzuchami, które przypominały balony

wypełnione w połowie wodą. Gąsienice kładłam sobie jedną po drugiej na języku, ich zwęglony, chrupki, najeżony smak był rozkosznym, chwilowym balsamem dla ciała stęsknionego za proteinami. Głód ciała jest czymś zupełnie innym od płytkiego, codziennego głodu żołądka. Ci, co zaznali tego rodzaju głodu, nie mogą już nigdy bez zastrzeżeń kochać tych, co go nie zaznali.

Ogień przesuwiał się szybciej niż my, młode i stare pasterki martwych owadów. Czasami prostowałam się, żeby krew mogła spłynąć mi z głowy do zdrętwiałych płatów mięśni na biodrach. Matka mocno trzymała za rękę Ruth May, swoje wybrane dziecko, ale trzymała się również blisko mnie. Od tej strasznej nocy mrówek otaczała mnie nieporadnymi kręgami swych wyrzutów sumienia, lecz nigdy o tym nie mówiła, nosiła swe poczucie winy jak nabrzmiałe piersi karmiącej matki. Jak na razie nie skorzystałam z oferty i nie ulżyłam jej, lecz trzymałam się w jej pobliżu. Nie miałam wyboru, ponieważ ona, Ruth May i ja zostałyśmy relegowane do tej samej kasty, innej niż Lea Łowczyni. Już z własnego wyboru trzymałyśmy się z daleka od Rachel i ojca. Ich hałaśliwa obecność, każda innego rodzaju, budziła w nas zażenowanie na tym polu poważnej, milczącej pracy. Czasami ocieniałam oczy dłonią i szukałam Lei, lecz jej nie widziałam. Zobaczyłam za to, jak Ruth May z zamysloną miną następuje na gąsienicę. Brudna i przygnębiona, wyglądała jak mała, niedożywiona krewna mojej dawnej siostry. Jej zagubione spojrzenie to musiało być muntu Ruth May, przykute do tego przez krótki czas bojowego dziecka w przed-życiu, życiu i po-życiu, wyglądające przez jej gałki oczne.

Ogień czasami odsądzał nas, czasami spowalniał, jakby był zmęczony tak samo jak my wszyscy. Gorąco było nie do opisanego. Wyobrażałam sobie smak wody.

Kiedy pierścień ognia zamykał się coraz ciasniej, nagle zobaczyliśmy drugą stronę, zaciskającą się czerwono-pomarańczowe języki i czarny popiół. Wewnątrz majaczyły ruchome kształty zwierząt: antylopy, buszboki,

szerokogłowe guźce, za którymi biegły małe. Stado pawianów goniło zygzakami, z ogonami w łuk, jeszcze nie rozumiały, że znalazły się w pułapce. Tysiące owadów ubijały powietrze na papko watą zupełnej paniki. Ptaki waliły w mur ognia i zapalały się jak koktajle Mołotowa. Kiedy wydawało się, że nie ma już powietrza, nie mają nadziei, zwierzęta zaczęły przebiegać przez ogień na otwartą przestrzeń, gdzie czekały na nie włócznie i strzały. Antylopy nie skakały z wdziękiem, jak to sobie wyobrażałam. Galopowały jak wystraszone konie po wewnętrznej okręgu, a potem nagłym szarpnięciem przedostawały się na zewnątrz, jakby przez przypadek albo na oślep. Widząc swe towarzyski z przestrelonymi z łuku szyjami, w panice zarywały kopytami w ziemię, czasami wracały w płomienie, lecz najczęściej cwałowały przed siebie, prosto na ludzi i w objęcia śmierci. Mała cętkowana antylopa upadła bardzo blisko mnie i podarowała mi dziwny, jedyny w swoim rodzaju prezent ze swojej śmierci. Patrzyłam, jak jej boki unoszą się powoli, a potem znajdują spoczynek, jakby zdyszana antylopa nareszcie złapała oddech. Ciemna krew pociekła z jej delikatnych czarnych warg na zwęgloną ziemię.

Padnięciu każdego zwierza wtórowało wznoszenie się okrzyku ludzkiej radości. Nasza głodna kość życzeniowa pękła i opłynęła. Kobiety przyklękały z nożami, aby powykrawać mięso, czasem jeszcze zanim kopyta przestały bić z przerażeniem o ziemię. Spośród dużych zwierząt, które przebiegły przez ogień — buszbok, guziec, antylopa — tylko nielicznym udało się uciec. Inne zostały w kręgu ognia i spaliły się: małe, opierzone płomieniami ptaki, skwierczące owady i kilka pawianie, które wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zdołały donosić ciężę przez całą suszę. Ze swymi najdroższymi maleństwami, które wisały im uczone brzuchów, biegły drobnym kroczeniem za grzywiastymi samcami i próbowały ocalić skórę, lecz po dotarciu do zasłony

ognia, przez którą przebiły się samce, przystawały i kucaly, świadome, że nie mają wyboru, jak tylko spłonąć razem z dziećmi.

Zasłona gorąca oddzielała wolę przeżycia od samego przeżycia. Miałam ochotę paść z drżeniem na ziemię, lecz zamiast tego stałam i patrzyłam, patrzyłam, jak dzieci Kilangi krzyczą i tańczą za każdym razem, gdy znajdują nadpalone, stopione ze sobą kanciaste zwłoki pawianicy i jej małych. Dzięki tym śmierciom uradowane dzieci Kilangi miały przeżyć kolejny sezon. Bantu, którzy patrzyli z góry, widzieli czarny festiwal życia i śmierci, nieodróżnialnych od siebie na tle spalonej na czarno ziemi.

Na skutek wydarzeń tego dnia moja siostra Rachel przeobraziła się (na jakiś czas) w wegetariankę, Ruth May w furażera, Lea w myśliwego, ja zaś w coś innego. W dniu polowania odkryłam w śliskim rdzeniu mych kości następującą rzecz: wszystkie zwierzęta zabijają, żeby żyć, a my jesteśmy zwierzętami. Lew zabija pawiana; pawian zabija tłuste pasikoniki. Słoń rozszarpuje żywe drzewa, wrywając ich cenne korzenie z ziemi, którą kochają. Cień głodnej antylopy przytrafia się zaskoczonych trawie. A my, nawet gdybyśmy nie mieli mięsa czy choćby trawy do jedzenia, gotując wodę, zabijamy niewidzialne stworzenia, które chciałyby nas w tym uprzedzić. I łykamy tabletki chininy. Śmierć czegoś żywego jest ceną za nasze przeżycie, którą raz po raz płacimy. Nie mamy wyboru. Każde życie na ziemi rodzi się z tą uroczystą obietnicą, której jako jedynej musi dotrzymać.

Lea

Zabiłam pierwszą w życiu zwierzynę, piękne płowe stworzenie z zakrzywionymi rogami i ukośnymi czarnymi prążkami na bokach: młodego samca impala. Ogień zupełnie go dezorientował, był zbyt młody, aby posiadać jakąś skuteczną strategię na niebezpieczne sytuacje, ale wystarczająco dorosły, aby odstawić fanfaronadę. Biegał wte i wewte, prychał jak podwórkowy chuligan, aż w końcu był jednym z ostatnich przedstawicieli swego



gatunku, którzy pozostali wewnątrz kręgu. Wiedziałam, że zaraz przeskoczy przez ogień, tak rozpaczliwie rył kopytami ziemię, a jego rodzina już uciekła. Przykucnęłam koło Nelsona i patrzyłam. Nelson ubił dwa buszboki, jednego po drugim, i dał mi znak, że idzie odzyskać strzały. Impalę zostawił mnie. Śledziłam zwierzę wzrokiem, tak jak nauczył mnie Nelson, ono zaś szukało drogi swej nadziei. Nagle zobaczyłam dokładnie, w którym miejscu przebije się przez ogień. Wypadnie prosto na mnie i skręci ku mojej prawej, gdzie zniknęła jego matka. Nawet podwórkowy chuligan w chwili czarnej rozpaczki potrzebuje matki. Wstrzymałam oddech, żeby ramiona mi nie drżały. Byłam przesycona głodem i pragnieniem, wyzuta z sił, i miałam dym w oczach. Modliłam się do Jezusa, żeby mi pomógł, a potem do wszystkich innych bogów, którzy mieli ochotę mnie wysłuchać. Pomóż mi trzymać lewe ramię prosto, prawe ramię odciążone, a strzałę na cięciwie, gotową zerwać się śpiewnie do lotu. Raz, impala podszedł i zrobił unik... dwa, zbliżył się... trzy, zgubił rytm kroku, przystanął... cztery!

Odkoczył w bok, przez pół sekundy wszystkie cztery nogi miał złączone w powietrzu, a potem pobiegł dalej. Dopiero kiedy zobaczyłam tryśnięcie brązowej krwi, zrozumiałam, że go trafiłam. Serce podskoczyło we mnie i wybuchło mi w uszach. Zabiłam zwierzę większe ode mnie! Krzyknęłam, jakbym sama została ugodzona strzałą. Zanim zdałam sobie sprawę, że nogi mnie niosą, ścigałam impalę drogą jego nadziei — prowadzącą do lasu, który widział na końcu długiej, zwęglonej doliny, w którym spodziewał się znaleźć swoją matkę i bezpieczeństwo. Skurczył się jednak, zwolnił i upadł. Stałam nad nim zdyszana. Zajęło mi trochę czasu, zanim zrozumiałam to, co zobaczyłam: dwie strzały w jego boku. Żadna z nich nie miała czerwonej brzechwy. A najstarszy syn Taty Ndu, Gbenye, krzychał do mnie, żebym się stamtąd zabierała:

— A baki! — Co znaczyło, że jestem złodziejem.

Lecz potem znalazł się przy mnie Nelson, wymachujący moją strzałą.

— Ta strzała zabiła impalę! — krzyknął do Gbenye. — Przeszła przez szyję. Spójrz na swoje. Dwa małe ukłucia w bok. Nawet ich nie poczuł.

Gbenye zagryzł wargę.

— Jak strzała kobiety mogłaby zabić rocznego impalę?

— Robiąc mu dziurę w szyi, Gbenye. Twoje strzały goniły za ogonem jak pies za suką. Jak ty mierzysz, nkentol

Gbenye uniósł pięść do góry i byłam pewna, że zabije Nelsona za tę zniewagę. Zamiast tego wycelował we mnie brutalnie palcem i potrząsnął nim, jakby go otrzepywał z krwi lub śliny. Rozkazał mi, żebym obdarła impalę ze skóry i przyniosła mięso do wioski. Potem odwrócił się i odszedł.

Nelson wyjął nóż i uklęknął, żeby mi pomóc w nużącej pracy przecinania ścięgien i zdzierania skóry. Miałam mieszane uczucia, zarazem wdzięczności i głębokiego przygnębienia.

Nelson wyszydził celność Gbenye, nazywając go nkento. Kobietą.

Rachel

Jeśli sądzicie, że potraficie sobie wyobrazić, jakie to było straszne, to się mylicie. Jak jagnięta na rzeź. Nas, zwierząt, nawet nie wiem, kogo mi bardziej żal. To był najokropniejszy dzień w moim życiu. Stałam na tym wypalonym polu ze smakiem popiołu w ustach, z popiołem w oczach, we włosach i na ubraniu, wszystko brudne i poplamione. Stałam i modliłam się do Pana Jezusa, żeby — jeśli mnie słyszy — zabrał mnie do domu, do Georgii, gdzie mogłabym usiąść w White Castle i zamówić hamburgera, nie musząc patrzeć, jak wywija oczami do góry i krew tryska z niego jak gejzer.

Och, im ten widok sprawił wielką radochę. Nie słyszałam takiego skandowania od ostatniego meczu baseballowego. Wszyscy skakali z radości. Ja z początku też, bo pomyślałam sobie, hurra, nareszcie będzie można zjeść coś porządnego. Jeszcze

T

jeden omlet, a chyba zaczęłab

ym gdakać jak kura. Ale pod koniec dnia wszyscy byli usmaro

wani krwią jak makabr

yczne wesole wampir

y i niedobr

ze mi się robiło na myśl, że jestem jednym z nich. Wszyst

ko się zmienił

o. Mieszk

ańcy wioski na moich oczach przeobr

azili się w barbarz

yńców, z szeroko rozdzia

wionymi wygłod

niałymi gębami. Moja siostra Lea uklękła i z zapalem obdarła ze skóry  
biedną antylop

kę, zaczęła od rozpruci

a jej brzucha i odrywał

a skórę od pleców ze straszli

wym dźwięki  
em, który przypo  
minal rozdzier  
anie płótna. Zabrała się do tego razem z Nelsone  
m, używali noża, a nawet zębów. Oboje byli tacy usmoleni popiołe  
m, że wygląda  
li jak kocioł i garnek, jedno czarniej  
sze od drugieg  
o. Kiedy oporząd  
zili zwierzę, leżało zwiotcz  
ałe na ziemi, sinoczer  
wone i błyszczą  
ce, powlecz  
one śliską białą błoną. Wygląd  
ało jak nasz stary pies myśliws  
ki Babę, tyle że składało się z chrząst  
ek i krwi. Jego odsłoni  
ęte martwe oczy błagały o litość. Pochylił  
am się i zwymio  
towałam na tenisów  
ki. O boziu. Nie mogła

m się powstrz

ymać.

Rusz

yłam po spalony

m zboczu wzgórz

a i poszłam prosto do domu, nawet nie dając znać matce. W końcu mam siedemn

aście lat, nie jestem już dzieckie

m i tylko ja mogę zdecydo

wać o swoim losie. Reszta z nich szła na ten idiotyc

zny rynek, na pewno z zamiare

m po wydzier

ania się i powrzes

zczenia, aby uczcić przychylność

ć losu i podziel

ić martwy łup.

Dzię

kuję, postoję. Zamknę

łam się na cztery spusty w chacie kuchenn

ej, zdarłam z siebie to odrażają

ce ubranie i wrzuciła

m do pieca. Zagrzała  
m duży kocioł wody, nalałam do galwani  
zowanej wanny i siedziała  
m w niej jak ziemnia  
k we wrzątku, samiutk  
a na świecie i zapłaka  
na. Matczy  
ne zdjęcie prezyde  
nta Eisenho  
wera patrzyło na mnie ze ściany, toteż ze wstydu zasłonił  
am sobie ramiona  
mi nagie piersi i jeszcze bardziej się rozplaka  
łam. Czułam, że moja czerwon  
a skóra zaraz mi zejdzie i będę wygląda  
ła jak ta biedna antylop  
a. Nie byliby w stanie mnie odróżni  
ć od innych obdarty  
ch ze skóry trupów, które ściągnęł  
i tego dnia do wioski. Bardzo dobrze, mogę umrzeć z resztą tych biednyc  
h zwierza  
ków. Kto by się tym przejął? Siedział

am w trochę chłodniejszej już wodzie i patrzyłam na prezydenta. Jego okrągła biała głowa była taka przyjazna i dobra, że płakałam jak dziecko, bo chciałam, żeby był moim ojcem zamiast moich rodziców. Chciałam żyć bezpiecznie pod opieką kogoś, kto nosi normalne ubranie, kupuje mięso w sklepie jak Pan Bóg przykazał i troszczy się o innych.

Poprzysięgam, że jeżeli przeżyję tę giechenę, to nie tknę żadnego z tych zwierząt, które wzięli w pułapkę i zabili na wzgórzu jak niewinne dzieci. Tak, te oszalałe ze strachu pawiany, guźce i antylopy były jak małe dzieci. A ludzie nie różnili się od zwierząt: Lea i wszyscy ci mężczyźni oblizujący wargi, bo poczuli już w dymie smak pieczonego mięsa. I biedna Ruth May, podnosiła spalone gąsienice i wkładała je sobie prosto do ust, bo rodzice nie potrafią jej nakarmić. W tym prażącym słońcu wszyscy byli jak głupie zwierzęta, z piętrem popiołu na czole. Tak, głupie zwierzęta, które walczą o życie.

Lea

To powinien być wspaniały dzień dla naszej wioski, a tymczasem nastąpiła zupełna katastrofa. Za pięćdziesiąt lat, o ile pożyję tak długo, będę wspominała to popołudnie i następny poranek. Jestem pewna, że nawet wtedy moja ocena będzie identyczna jak teraz: był to najstraszniejszy dzień w naszym życiu.

Po zakończeniu polowania miała odbyć się feta, ale zanim starsi zdążyli zaciągnąć swoje bębny pod puchowiec i dać sygnał do tańców, powstała kotłowanina, w której wszyscy krzyczeli i bili się ze sobą. Mężczyźni znani nam jako dobroduszni ojcowie, którym obce jest skąpstwo, nagle przerodzili się w obcych ludzi z zaciśniętymi pięściami i szeroko otwartymi oczami, którzy obrzucali się nawzajem wyzwiskami. Ruth May wybuchła płaczem i schowała się w spódnicy matki. Myślę, że nigdy nie zrozumiała, co się stało. Nigdy.

Wiem, że miałam w tym swój udział. Przyznaję to. Ale tyle

rzeczy potoczyło się źle, zanim ja się w to włączyłam. Od kiedy postawiliśmy stopę w Kilandze, wszystko szło źle, chociaż tego nie widzieliśmy. Nawet wspaniała niepodległość nie wszystkim przyniosła korzyść, wbrew temu, co przyrzekali tego dnia nad rzeką, kiedy Lumumba i Belgowie szafowali rozmaitymi obietnicami, a biały Król czał się gdzieś w przebraniu. Ta gra miała mieć swoich zwycięzców i przegranych. Teraz są wojny na południu, zabójstwa na północy, pogłoski, że cudzoziemcy przejęli kontrolę nad wojskiem i chcą zamordować Lumumbę. W dniu polowania wojna zbliżała się już do nas z rykiem, wojna białych przeciwko czarnym. Porwani przez falę chciwości, nie potrafiliśmy się zatrzymać.

Mój spór z Gbenye o impalę, którą naprawdę zabiłam ja, dał pretekst do przekrzykiwanki między ludźmi, którzy głosowali za mną, i tymi, którzy głosowali przeciwko mnie. Niektórzy zmieniali drużynę, na ogół przechodząc do obozu moich przeciwników z powodu przestróg Taty Kuvudundu. Straszne rzeczy, które przepowiedział, już zaczęły się sprawdzać. Oczy patrzyły na nas z drzew, kiedy ciągnęliśmy nasze brzemie mięsa do wioski, zrzucaliśmy na stertę i stawaliśmy dokoła wygłodniałym pierścieniem. Gbenye ruszył się pierwszy, wziął moją antylopę ze stosu i podniósł dumnie do góry. Tata Ndu zabrał mu ją, podniósł maczetę i jednym silnym zamachem odciął zadnią nogę, którą podniósł i rzucił w moją stronę. Mięso łupnęło o ziemię tuż przede mną, opryskując mi skarpetki krwią. Przy zupełnym braku jakichkolwiek ludzkich dźwięków ryczały mi w uszach cykady usadowione na drzewie nad nami.

Wiedziałam, co powinnam zrobić: podnieść mięso obiema rękami i dać Mamie Mwanzie. Nadstawić drugi policzek. Jednak grzech pychy trzymał mnie w mocnym uścisku. Wzięłam krwawiącą nogę i rzuciłam ją w Gbenye, trafiając go w plecy, kiedy przechwalał się przed przyjaciółmi. Zatoczył się do przodu i jeden z jego przyjaciół parsknął śmiechem.



Tata Ndu zgromił mnie straszliwym wzrokiem, zmarszczywszy swe krzaczaste brwi.

— Tata Price nie przyjął mięsa przeznaczonego dla jego rodziny — oznajmił w kikongo. — A bu mpya. Kto następny?

Po kolei wbijał w każdego milczący wzrok.

— Anatole! — zawyrokował wreszcie. — Anatole bdana bansisila dii d-aana\ — Anatole sierota bezpotomny! — Najwięk sza zniewaga, jaką można obrzucić Kongijczyka. — Dla ciebie to będzie aż za dużo—orzekł Tata Ndu, pokazuj ąc na tę samą chudą nogę, która leżała w pyłe. Zaledwie kilka godzin wcześniej to była silna tylnia noga młodego samca antylopy. Teraz leżała goła u naszych stóp, powleczone brudem. Przypominała bardziej prze kleństwo niż dar.

Anatole odpowiedział swoim uprzejmym głosem nauczyciela szkolnego.

— Excusez-moi, Tata Ndu, mais non. Ca, c'est de compte a demi de la familie Price. La grandę betę la, c'est la mienne. — Obiema rękami, sam, Anatole bezpotomny sierota zaczął odciągać jednego z dużych buszbokow, którego zabił na wzgórzu. Tata Ndu nie miał prawa znieważać Anatole' a, który tak naprawdę nie stanął po mojej stronie, tylko chciał nakłonić ludzi, aby myśleli sami za siebie. Teraz ogarnęło mnie przerażenie, że zabronią mu utrzymy wać jakiegokolwiek stosunki z naszą rodziną.

Tata Boanda podszedł do Anatole'a, żeby mu pomóc, jak zobaczyłam z ulgą. Ale potem Tata Boanda gwałtownie odskoczył i zaczął krzyczeć, zrozumiałam, że rości sobie prawo do zabitego zwierza. Starsza Mama Boanda podbiegła z krzykiem i uderzyła Anatole'a w twarz. Puścił buszboka i zatoczył się do tyłu. Podbiegłam, żeby go podtrzymać, ale już wcześniej zrobił to za mnie jednoręki Tata Kili, który strasznie się spieszył, żeby odebrać swój własny ulów. Za nim szły dwie Mamy Kili, aby potwierdzić jego prawo do ubitego zwierza i

podnieść go do góry. Tata Ndu znów przemówił, ale zagłuszyła go fala naszych sąsiadów, która przetoczyła się do przodu, rozstępując się i zamykając wokół niego.

I oto normalne, szczęśliwe wydarzenie dzielenia jedzenia po polowaniu przerodziło się wojnę zniewag, wściekłości i pustych

żołądków. Mięsa wystarczyłoby z naddatkiem dla wszystkich, lecz kiedy utworzyliśmy krąg, aby otrzymać każdy swoją część pokarmu, tłuste boki wspaniałych zwierząt, które osaczyliśmy wcześniej na wzgórzu, skurczyły się, sparciały, została tylko chrestna, wygłodzona suszą padlina. Obfitość rozplynęła się na naszych oczach. Tam, gdzie przed chwilą był nadmiar pokarmu, teraz zobaczyliśmy, że jest go nie dosyć. Nawet małe dzieci były swych kolegów i kradły sobie gaśienice z koszyków. Synowie krzyczeli na ojców. Kobiety proklamowały wybory i głosowały przeciwko swoim mężom. Głosy starców, które ledwo wznosiły się ponad szept, ponieważ byli oni przyzwyczajeni, że wszyscy słuchają ich z uwagą, utonęły w zgiełku. Tata Kuvudundu miał wściekłą minę i był cały potargany, swoją niegdyś białą tunikę miał czarną od sadzy. Uniósł ręce do góry i powtórzył swoje proroctwo, że zwierzęta i cała natura zbuntują się przeciwko nam. Próbowaliśmy nie zwracać uwagi na jego dziwne słowa, ale wszyscy je usłyszeliśmy. Wszyscy schroniliśmy się w zakamarkach naszych serc, wiedząc, że ma rację. Martwe zwierzęta w naszych rękach zdawały się nas przeklinać i wykpiwać za to, że je zabiliśmy. Na koniec wszyscy powlekliśmy się do domów z naszym mięsem i poczuciem, że to my jesteśmy zwierzyną, na którą polują. Najstarszy obrzęd, jaki istnieje, dzielenie się obfitością, w naszych rękach przerodził się w katastrofę.

Rachel

O zmierzchu moje siostry i rodzice przyszli do domu, a wcześniej świat powariował. Nic nie poszło tak, jak się spodziewałam.

Wyszłam z wanny, włożyłam czyste ubranie, wysuszyłam ręcznikiem włosy i siedziałam spokojnie w pokoju od frontu, gotowa oznajmić rodzinie, że przeszłam na wegetarianizm. Doskonale rozumiałam, co to oznacza: od teraz będę musiała żywić się bananami i dostanę anemii. Wiedziałam, jaką perspektywę rozstrzyga przede mną matka: skończę z krzywymi nogami i słabymi kośćmi, jak biedne kongijskie dzieci. Mam to w nosie, nawet gdyby miały mi wypaść włosy. Jako siedemnastolatka mam swoje prawa, a poza tym wymyśliłam tajny plan. Kiedy wróci Eben Axelroot, wykorzystam swoje kobiece wdzięki. Nieważne, czego to będzie wymagało, przekonam go, żeby mnie stąd zabrał swoim samolotem. „Mój narzeczony pan Axelroot i ja planujemy powrót do Ameryki — powiem im — wolnego kraju, w którym można dostać wszystko, co się chce do jedzenia”.

Rozmowa potoczyła się jednak zupełnie inaczej. Kiedy wróciły, wszystkie były w hysterii z powodu wielkiej awantury w wiosce

0 to, kto komu ukradł to paskudne mięso. Kiedy o tym rozmawiały, matka rozpalila w piecu, włożyła nogę antylopy, żeby się upiekła, i utłukła trochę fig rajskich. Tak pysznie pachniało. Aż słychać było, jakie mięso jest soczyste i chrupiące i muszę się przyznać, że kiedy przyszła pora kolacji, zjadłam kilka małych kęsów, ale tylko dlatego, że byłam po prostu słaba z głodu.

1 zaczęłam się martwić, że wypadną mi włosy. Ale gdyby w promilistym mil był jakiś sklep spożywczy, to poszłabym tam na piechotę poszukać jakiegoś jedzenia, które pięć minut wcześniej nie biegało po łące.

Przy kolacji dalej panował zgiełk, Lea powtarzała raz po raz, jak to własnoręcznie ustrzeliła całą antylopę i że to niesprawiedliwe, że nasza rodzina

jej nie dostała. Ojciec poinformował ją, że Bóg nie okazuje miłosierdzia nieposłusznym wobec starszych od siebie oraz że on, wielbny Price, umywa ręce od jej edukacji moralnej. Powiedział to najzwyczajszym tonem, jakby mówił o tym, że pies znowu rozgrzebał śmieci. Zawyrokował, że Lea nie jest godnym narzędziem woli Bożej i dlatego on nie będzie się już więcej zniżał do karania jej, kiedy będzie tego potrzebowała.

Lea odpowiedziała mu spokojnym głosem, jakby ona również zadawała sobie pytanie, kto rozgrzebał śmieci, bo na pewno nie ona. Powiedziała:

— A więc taki jest twój pogląd, ojczy? To bardzo ciekawe, że tak uważasz. — I tym podobne teksty. Strasznie odważna się zrobiła, bo wiedziała, że nie zostanie ukarana! Farciara. Ruth

May, Ada i ja nie mieszałyśmy się do tych przekomarzań, jako że wciąż byłyśmy godne tego, aby ojciec przetrzepał nam skórę. Aczkolwiek przydałoby się, żeby ktoś zwrócił uwagę ojcu, że nareszcie ktoś przyniósł do domu trochę żarła. Ktoś mógłby powiedzieć, że to Lea nosi spodnie w naszej rodzinie, co zresztą jest prawdą. Matka wzięła stronę Lei, nie mówiąc tego na głos, lecz dała to do zrozumienia, dzwoniąc głośno talerzami.

A potem nagle, w ciągu jednej sekundy, wszyscy przerzucili uwagę na Nelsona, który wbiegł do domu, trzęsąc portkami. Chodziło o węża. Nadział się na zły znak koło naszego kurnika. Dla mnie to nie była żadna niespodzianka, bo przez ostatnie kilka dni ludzie wszędzie znajdowali węże. Na przykład w domu, w dobrze zamkniętym koszyku z fasolą. W miejscach, gdzie nikt by nie pomyślał, że mógłby znaleźć węża. Wszyscy strasznie się bali, powiedział Nelson, słowo „Strach” chodziło po wiosce na dwóch łapach. Kiedy zobaczył zły znak, zaczął śpiewać strachli-wie jak kanarek, bo on nocuje w kurniku. Był przekonany, że nie ma dla niego ratunku, i nie było z nim dyskusji. Mama próbowała, ale on nie słuchał. Powiedział, że szykował się do pójścia do łóżka,

kiedy usłyszał jakiś dźwięk i wyszedł na dwór, żeby zobaczyć, co to takiego. Ledwo postawił nogę na zewnątrz, kiedy dwa cienie w kształcie litery X zablokowały mu drogę. Ostatnio zaczął zamykać drzwi kurnika sznurkiem, kiedy kładł się spać, ale teraz było widać, że nawet najmocniejszy sznurek nie wytrzyma. Nelson nie zamierzał spać w kurniku za wszystko złoto świata.

Każde dwa wydłużone proste przedmioty mogą utworzyć cień w kształcie litery X, powiedziała mu mama, co jest prawdą, zwłaszcza jeśli ktoś ma bujną wyobraźnię. Pewnie jakiś żartowniś próbuje go nastraszyć i wartałoby go kopnąć w pewną część ciała. Ale Nelson powiedział, że to nie były zwyczajne cienie. Powiedział, że to były sny węży.

Ojciec oznajmił, że niestety takie rzeczy się dzieją, kiedy ktoś wierzy w fałszywe idole, i on umywa ręce od całej sprawy. Tego wieczoru strasznie się naumywał rąk. Mama niekoniecznie się

z nim zgadzała, ale widziałam, że nie ma zamiaru zbliżać się do kurnika, żeby to zwerykować. Ojciec zacytował werset biblijny, że nie ma się czego lękać prócz lęku samego\*. Powiedział matce, że jeśli pozwoli Nelsonowi spać tej nocy w naszym domu, to będzie to woda na młyn bałwochwalców, a jeśli ona się do nich zalicza, to może zabrać dzieci i iść sobie do nich. Potem zwrócił się do nas i powiedział, że już czas, abyśmy poszły do łóżka i nie zaprzętały sobie więcej głowy tymi śmiechu wartymi kongijskimi zabobonami.

Lecz Nelson wyszedł z domu taki roztrzęsiony, że nie widziałyśmy w tym nic śmiesznego. Nawet Anatole nam mówił, żebyśmy zachowały szczególną ostrożność, a muszę przyznać, że Anatole jest człowiekiem trzeźwo myślącym. Zaczęłyśmy przygotowywać się do pójścia spać, ale słyszałyśmy tylko skuczenie Nelsona, żeby go wpuścić do środka, i robiłyśmy w portki ze strachu. Nawet Lea. Nie wierzyłyśmy w duchy voodoo i przekonywałyśmy się o tym nawzajem, aż byłyśmy sine na twarzach, ale to nie zmieniało faktu, że coś

ciemnego obserwowało nas z lasu i zwijało się w nocy pod łózkami i jakby się tego nie nazwało — strach, sny węży czy bałwochwalstwo — coś to jest. I nie obchodzi go, jakie modlitwy odmawiamy przed snem i czy się przyznajemy, że w to wierzymy. Czy to coś wierzy w nas, oto jest pytanie.

Leżałyśmy w łózkach i słuchałyśmy skamlących, przeciągłych błagań Nelsona. Jaszczurki z przyssawkami zamiast palców biegały ukośnie po ścianach. Księżyc rzucał cienie na nasze moskitiery. Nelson w kółko zawodził Bakala mputu Nelson, bakala mputu, jak zdychający z głodu pies, który skuczy już od tak dawna, że nie umie przestać. Nagle usłyszałyśmy skrzypnięcie łóżka ojca, a potem głos samego ojca w oknie, jak krzyczał na Nelsona, żeby się uciszył. Lea schowała głowę pod poduszkę. Zrobiło mi się niedobrze. Im też. Zawziętość ojca i milczące przerażenie matki zatruwały nam dusze.

\* W istocie jest to powiedzenie autorstwa Franklina Delano Roosevelta.

— Tak nie można — powiedziała wreszcie Lea. — Idę mu pomóc. Która odważy się pójść ze mną?

Na myśl, że miałabym wyjść na zewnątrz, dostałam gęsiej skórki. Ale nie zamierzałam zostawać w środku z cieniami i jaszczurkami, gdyby one wszystkie poszły. Myślę, że nasz dom napędzał mi największego stracha. Dom był najgorszy, bo przebywała w nim nasza rodzina. Już dawno przestałam się czuć bezpiecznie pod skrzydłami moich rodziców. Może kiedy przyjechałyśmy do Konga, to jeszcze czułam się bezpiecznie, bo wtedy wszystkie byłyśmy właściwie dziećmi, ale teraz wszystko się zmieniło. Bycie Amerykaninem nic nie daje, nikt nam nie daje taryfy ulgowej. Teraz byliśmy wszyscy w tym samym kotle, nieważne, czarni czy biali. A my z pewnością nie byłyśmy już dziećmi. Lea mówi, że w Kongu są tylko dwie grupy wiekowe: niemowlęta, które trzeba nosić, i ludzie, którzy potrafią ustać na własnych nogach i którzy

muszą sami zadbać o siebie. Żadnej frazy pośredniej. Nie ma czegoś takiego jak dzieciństwo. Czasami mi się wydaje, że ona ma rację.

Po chwili znów powiedziała:

— Idę pomóc Nelsonowi, a ojciec niech idzie do diabła. Chociaż nie powiedziałyśmy tego na głos, wszystkie byłyśmy

zgodne, że tam właśnie ojciec powinien się udać.

Ku mojemu zdziwieniu Ada usiadła i zaczęła wkładać dzinsy. To był jej sposób na powiedzenie: „Wchodzę w to”. Zaczęłam więc szukać na podłodze moich adidasów. Lea włożyła Ruth May koszulę przez głowę i nasunęła jej na stopy tenisówki. Cichutko jak myszki wyśliznęłyśmy się z domu przez okno.

Postanowiłyśmy zastawić pułapkę, jak Daniel w świątyni. To był pomysł Lei. Nelson wymiół z pieca na patelnię trochę zimnego popiołu i razem rozsypałyśmy go na klepisku koło kurnika. W środku też. Pracowaliśmy przy świeczce. Nelson stał na czatach, żeby nikt nas nie zobaczył. Ale Ruth May była nieostrożna i my pozostałe też, przez co zostawiłyśmy trochę własnych śladów. Potem dwie kury obudziły się od naszych świateł, bo przyszły od Mamy Mwanzy i jeszcze się nie przestawiły na inny sposób życia w naszym kurniku. Zaczęły biegać w koło i wszędzie

nazostawiały śladów łapek. Musiałyśmy wszystko pozamiatać i zacząć od nowa. Za drugim razem byłyśmy dużo bardziej ostrożniejsze. Kazałyśmy Ruth May nie ruszać się z miejsca i wsadziłyśmy kury z powrotem do kosza do wylęgania jaj. Patrzyły na nas z góry swoimi głupimi oczkami i trzepały dyskretnie piórami, żeby się uspokoić.

Kiedy skończyłyśmy, kazałyśmy Nelsonowi obiecać, że ukryje się na noc u Anatole'a i wróci przed świtem. Lea odprowadziła go do połowy drogi, bo się bał, i wróciła sama. Wszystkie poszłyśmy na palcach do łóżek, zostawiając

popiół gładziutki jak świeżo spadły śnieg. Jeśli ktoś lub coś postawiłoby stopę w naszym kurniku — o ile miałyby stopy — to złapałybyśmy winowajcę na gorącym uczynku.

Ada

Istnieje siedem sposobów dotykania przez stopę ziemi, a każdy ma swój ą szczególną energię. Czy on wiedział, w j aki sposób nas to w końcu dosięgnie? Czy powinnam była wiedzieć? Obserwowałam go bowiem od dłuższego czasu. Patrzyłam, jak tańczy, ze stopą na ziemi, patrzyłam, jak rzuca kości. Na polanie za domem, tam knuł swoje sztuczki. Uciął maczetą głowy dwóm żywym pieskom i przycisnął ich nosy do ziemi, recytując przysięgi. Przeciwno niemu, cichutko, odblokowałam swój głos i śpiewałam w lesie. Śpiewałam przeciwno niemu moje najdoskonalsze dwukierunkowe hymny, ponieważ nie posiadam innych mocy.

Ada, rak sam „akysz” syka. —Maskarada!

Jadu tu daj!

Jadu tu daj! Ada, pan mi z zimna pada!

Darł i bił rad.

Darł i bił rad. Ada blada nici nadal bada.

Ma dar Adam. Ma dar Adam\*.

Następnego dnia po rozsypaniu popiołów obudziliśmy się przed wschodem słońca. Zadając sobie pytanie, co się złapało w naszą pułapkę, leżaliśmy bez ruchu z szeroko otwartymi oczami, aż w oknie pojawiła się twarz Nelsona. Potem, kiedy nasi rodzice wciąż spali, na palcach wyszliśmy z domu. Nelson czekał na nas z tyką dwa razy wyższą od siebie. Mając za towarzystwo tylko nasz strach, weszliśmy do kurnika.



Dziwna rzecz, ale strach i podniecenie wywierają dokładnie ten sam skutek na ciało, tylko słowa inaczej się kojarzą. Przemykając obok sypialni rodziców i wychodząc drzwiami, nasze ciała reagowały jak podczas Bożego Narodzenia albo we wszystkie poranki wielkanocne świata, kiedy Chrystus powstał z martwych, a nasza matka schowała całe plemię cukrowych króliczków w zaskoczonych trawie ogrodu pastorówki w Bethlehem, Georgia. Ruth May i jej zdumione oczy, ręka na buzi, ja zmuszam się, by zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć i nie zapomnieć, bo te oczy przejrzą wszystko na wskroś, nawet moje sny. Ruth May z oczami wielkanocnego poranka.

Zgodnie z przekonaniem Nelsona to tam było, w kurniku. Zatrzymał nas w drzwiach i zastygłyśmy za barierką jego wyciągniętego ramienia, po czym same też to zobaczyłyśmy, w koszu wylęgowym, ciasno owinięte wokół naszych drogocennych kur i wszystkich ich jajek. Dwie nieszczęsne matki z potarganymi piórami, bez śladu oddechu, skazane na przyszłość, która urodziła się martwa. Kosz, jajka i kury tworzyły jeden pakunek, zawinięte w cienką wstążkę jaskrawozielonego koloru. Był taki piękny, tak delikatnie wpleciony między kurami i jajkami, że z początku nie zrozumiwałyśmy tego, co miałyśmy przed oczami. Kosz, kokosz, dar. Nelson podniósł swoją długą tykę i uderzył nią mocno o ścianę nad koszem, obsypując ciemne, milczące kury pyłem.

\* Wg: Józef Godzić, Echozdania czyli palindromy, wyd. cyt.

Zielony pęd nagle się przemieścił, na całej długości, do góry, w dół, w bok. Znieruchomiał, a potem podpełzł kilka centymetrów do przodu. Pokazała się mała płaska głowa, a potem przekręciła w naszą stronę. Bardzo powoli rozchyliła się szeroko, ukazując jasnyniebieskie wnętrze paszczy, dwa nagie kły. Język, delikatnie liżący powietrze.

Nagle wąż rzucił się na tykę, uderzył dwa razy, a potem sfrunął z kosza, przemknął koło nas i wypadł na jasny poranek.

Nie śmiać oddychać, wpatrywałyśmy się w miejsce, gdzie był gad, aż wreszcie nasze oczy zrozumiały i mogłyśmy wszystkie poświadczyć temu, co się wydarzyło. Zielona mamba, mistrzyni kamuflażu, zwinności, agresywności i szybkości. L'ingeniosite diabolique de la nature a atteint avec ce serpent le plus haut degre de perfection, twierdzą eksperci w bibliotecznej książce o węzach: „W tym wężu diaboliczny geniusz natury osiągnął najwyższy stopień doskonałości”. To, co się wydarzyło na naszych oczach, to był kosz śmierci, który eksplodował. Podarunek przeznaczony dla Nelsona. Potem trzy z nas odetchnęły. Spuściłyśmy wzrok na białą od popiołu podłogę.

Czyjaś stopa poznała tę podłogę na wszystkie siedem tanecznych sposobów. Jej odciski rozchodziły się promieniście gęstymi kołami. A lza popa zła. Nie były to ślady lamparta chodzącego na dwóch łapach, z zuchwałości zbuntowanego przeciwko ludziom. Nie był to ślizg brzucha rozgniewanych węży, które z własnej woli opuściły swój ochronny teren, aby nas ukarać. Były to ślady człowieka, konkretnego człowieka, który przyniósł węża w koszu albo przetransportował go w rękach ogłuszonego lub zaszarowanego jak podarunek. Ślady tancerza w sześcioma palcami u lewej stopy.

Lea

Pamiętam tylko, że usłyszałam jednocześnie przełknięcie śliny, łkanie i krzyk, przedziwny krzyk, taki, jaki wydaje z siebie

dziecko, kiedy bierze pierwszy oddech. Nie wiedziałyśmy, skąd przyszedł, ale dziwna rzecz, wszystkie spojrzaliśmy na wierzchołki drzew. Nerwowy wiatr poruszał gałęzmi, lecz nic poza tym. Z nieba padała tylko cisza.

Dziwne, że pamiętam akurat to: że wszystkie spojrzaliśmy do góry. Żadna z nas nie popatrzyła na Ruth May. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy Ruth May była w tej chwili z nami. Było tak, jakby na ten moment zniknęła, a jej głos został rzucony w drzewa. Potem wróciła do nas, lecz została z niej tylko

straszna cisza. Bezgłośnie pusta skóra mojej siostrzyczki siedziała w milczeniu na ziemi opasana ramionami.

— Ruth May, słoneczko, już po wszystkim — powiedziałam. — Zły wąż sobie poszedł. — Ukłękłam przy niej i delikatnie chwyciłam ją za ramię. — Nie bój się. Już sobie poszedł.

Nelson też ukłęknął, przysunął twarz blisko jej twarzy. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, pewnie żeby ją uspokoić, bo uwielbiał Ruth May. Wiem o tym. Widziałam, jak jej śpiewa i jak się nią opiekuje. Ale to straszne milczenie opanowało również Nelsona i z jego ust nie chciały wyjść żadne słowa. Oczy mu się powiększyły, kiedy wszystkie patrzyłyśmy, jak jej twarz zaciąga się siną maską od włosów po opuchnięte wargi. Oczu nie było. To znaczy nie patrzył przez nie nikt, kogo znałyśmy.

— Ruth May, co się stało? Ale co?! Co zobaczyłaś? — W panice potrząsnęłam nią mocno i chyba wykrzyczałam te słowa. Nie mogę cofnąć tego, co zrobiłam: potrząsnęłam nią za mocno i krzyknęłam na nią. Może to była ostatnia rzecz, jaką zapamiętała o swojej siostrze Lei.

Nelson odepchnął mnie. Nagle wrócił do życia i mówił tak szybko w kikongo, że nic nie rozumiałam. Zdarł z niej bluzkę, po prostu potargał, i przybliżył twarz do jej klatki piersiowej. Potem cofnął się ze zgrozą. Pamiętam, że kiedy stałyśmy i patrzyłyśmy zrozpaczone, pomyślałam, że muszę zapamiętać, gdzie spadły guziki, żeby móc je później poprzeszywać. Guziki są tutaj takim rarytasem. Myślałam o takich dziwnych rzeczach, takich idiotycznych. Ponieważ nie mogłam patrzeć na to, co miałam przed oczami.

— Midiki! — wrzasnęła na mnie. Czekałam, aż to słowo przebijie pancierz mojego durnego, tępego mózgu i zacznie coś znaczyć. — Mleko — krzyczał — przynieś mleka. Kozy, psa, byle czego, żeby wyciągnąć jad. Sprowadź Mameę

Tatabę, ona będzie wiedziała, co robić, uratowała kiedyś syna, co go ukąsiła zielona mamba. Kakakaka, idź!

Stwierdziłam jednak, że nie mogę się ruszyć. Było mi gorąco, brakowało mi tchu i czułam się użądłona, jak antylopa trafiona strzałą. Potrafiłam tylko patrzeć na gołe lewe ramię Ruth May, na którym perliły się dwie czerwone ranki po ukłuciach. Dwa punkciki o parę centymetrów od siebie, małe schludne jak kropki na końcu zdania, którego żadna z nas nie umiała odczytać. Zdania, które zaczynałoby się tuż nad jej sercem.

Ada

Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć — Ona sama mnie podwiozła — uprzejma\* —

Nie było mnie przy narodzinach Ruth May, ale zobaczyłam je teraz, ponieważ każdy etap został odegrany od tyłu na zakończenie jej życia. Nawias się zamknął, na końcu palindromu, którym była Ruth May. Jej ostatnie zachłyśnięcie się powietrzem równie chciwe jak pierwszy oddech dziecka. Ten ostatni skowyczący krzyk, dokładnie taki sam jak pierwszy, a potem stanowcze, nieubłagane wycofanie się z tego świata. Po skowycie szerokookie milczenie bez tchu. Jej sina twarz marszczyła się pod osaczającym jąciśnieniem, bliskością tego czegoś-innego-niż-życie, które napiera na obrzeża istnienia. Oczy mocno zamknięte, opuchnięte usta zaciśnięte. Kręgosłup się wykrzywił, a ręce i nogi skurczyły do środka, aż wydawała się nieprawdopodobnie mała. Kiedy my patrzyłyśmy, nie rozumiejąc, ona oddaliła się tam,

\* Emily Dickinson, 100 wierszy, wyd. cyt., s. 86.

gdzie żadna z nas nie miała ochoty za nią pójść. Ruth May przecisnęła się wąskim przejściem między tą krótką tkaniną światła a resztą tego, co przypada

nam w udziale: długim czekaniem. Teraz będzie czekała przez resztę czasu. To potrwa tyle samo, co czas, który upłynął, zanim się urodziła.

Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć, ona sama mnie podwiozła, a przynajmniej przystanęła, aby zadać cios z ukosa swymi błękitnymi jak niebo ustami. Błyskawica nie może uderzyć dwa razy, nauczyłyśmy się naszej lekcji z nienawistną prędkością światła. Ukąszenie tnie światło tnie Ruth błękitne przecucie i jakże cenni jesteśmy dla siebie samych, kiedy przyjdzie, ten długi, długi cień na trawie.

Rachel

Jest taki dziwny moment, po tym, jak stanie się coś strasznego, kiedy już wiesz, że to prawda, ale nikomu jeszcze nie powiedziałaś. To właśnie zapamiętałam najwyraźniej ze wszystkiego. Było tak cicho, a ja pomyślałam: Teraz będziemy musiały wejść do domu i powiedzieć matce. Że Ruth May, o mój Boże, Ruth May nie żyje. Musiałyśmy powiedzieć naszym rodzicom, a oni wciąż byli w łóżkach i spali.

Z początku nie płakałam, ale potem, nie wiem dlaczego, załamalam się, kiedy pomyślałam o matce, która spała w łóżku. Jej ciemne włosy rozrzucone na poduszce, jej twarz spokojna i pełna słodyczy. Jej ciało, które nosiło Ruth May i wydało ją na świat jako ostatnią. Matka śpi w nocnej koszuli, wciąż sądząc, że ma cztery żywe córki. A teraz krok za krokiem podejmiemy do tylnych drzwi, wejdziemy do domu, staniemy koło łóżka rodziców, obudzimy matkę, powiemy słowa „Ruth May”, powiemy słowa „nie żyje”. Powiemy jej: „Mamo, zbudź się!”

Cały świat się zmieni i nic już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Dla mojej rodziny. Wszyscy inni ludzie na całym świecie będą dalej robili swoje, lecz dla nas już nigdy nic nie będzie normalnie.

Nie mogłam się ruszyć. Żadna z nas nie mogła. Patrzyłyśmy na siebie, bo wiedziałyśmy, że któraś powinna iść do rodziców, ale sądzę, że wszystkie miałyśmy tę dziwną myśl, że jeśli będziemy tak bez końca stały nieruchomo, to nasza rodzina zostanie taka, jaka była. Nie chciałyśmy zbudzić się z tego koszmaru i stwierdzić, że jest to czyjeś prawdziwe życie i że tym kimś po raz pierwszy nie jest jakiś mieszkający w nędznej chacie biedak, o którym można zapomnieć. To było nasze życie, jedyne, najakie mogłyśmy liczyć. Jedyna Ruth May.

Do tego momentu zawsze sądziłam, że mogę wrócić do domu i udawać, że Kongo nigdy się nie zdarzyło. Nędza, polowanie, mrówki, wszystkie nieprzyjemne rzeczy, które widziałyśmy i musiałyśmy znosić — to były tylko historie, które zamierzałam opowiadać ludziom ze śmiechem, kiedy Afryka będzie dla mnie krajem tak samo dalekim i wyimaginowanym, jak ludzie w podręcznikach do historii. Tragedie, które dotknęły Afrykanów, nie były moje. Byłyśmy inne, nie tylko jako białe i zaszczepione dziewczęta, ale po prostu dlatego, że należałyśmy do nieskończonej fortunniejszej kategorii ludzi. Wrócę do Bethlehem w stanie Georgia i będę dokładnie taką samą Rachel jak przedtem. Wyrosnę na wolną od trosk amerykańską żonę, będę miała ładnie urządzonego dom, rozsądny tryb życia i trzy dorosłe siostry, które będą podzielały moje ideały i od czasu do czasu rozmawiały ze mną przez telefon. Tak sądziłam. Nigdy nie planowałam zostać kimś innym. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zostanę dziewczyną, o której ludzie będą szeptali, odwróciwszy głowy, że spotkała ją taka tragiczna strata.

Myślę, że Lea i Ada sądziły tak samo, każda na swój sposób, i dlatego żadna z nas się nie poruszyła. Myślałyśmy, że możemy zatrzymać czas jeszcze na chwilę, a potem jeszcze jedną. Że jeśli żadna z nas tego nie powie, to będziemy mogły cofnąć klątwę, która miała stać się naszą historią.

Lea

Matka nie lamentowała i nie rwała włosów z głowy. Zachowywała się tak, jakby ktoś inny już jej powiedział, zanim my do niej przyszlśmy.

W milczeniu ubrała się, zawiązała włosy z tyłu głowy i przystąpiła do różnych zajęć, zaczynając od zerwania moskitier z naszych łózek. Bałyśmy się zapytać, co robi. Nie wiedziałyśmy, czy chciała, żebyśmy za karę dostały malarii, czy po prostu straciła rozum. Stałyśmy więc i przyglądałyśmy się z boku. Ojciec też tylko patrzył. Po raz pierwszy zabrakło mu słów, które posłużyłyby budowaniu naszych charakterów i umoralnieniu naszych serc, nie miał na podorędziu przypowieści, która zamieniłaby śmierć Ruth May od ukąszenia węża w naukę o chwale Bożej. Ojciec, który zawsze brał wszystko, co się zdarzyło w swoje silne ręce i kształtował wedle swej woli, teraz wyraźnie nie potrafił zrozumieć tego, co się stało.

— Nie była jeszcze ochrzczona — powiedział.

Podniosłam wzrok na te słowa, zaskoczona tą zupełnie niestosowną uwagą. Czy naprawdę to było dla niego w tym momencie najważniejsze — status duszy Ruth May? Matka zignorowała go, lecz ja uważnie obejrzałam jego twarz w jasnym świetle poranka. Jego niebieskie oczy, zezujące w lewo i osłabione przez wojnę, wydawały się puste. Jego duże, czerwone uszy wzbudziły we mnie odrazę. Mój ojciec był prostakiem i człowiekiem brzydkim.

To prawda, że nie była ochrzczona. Gdyby którakolwiek z nas przywiązywała do tego wagę, to mogłybyśmy zrobić z tego ojcu zarzut. Twierdził, że Ruth May jest jeszcze za młoda, aby wziąć na siebie wielką odpowiedzialność, jakim jest przyjęcie do serca Chrystusa, ale sądzę, że tak naprawdę to czekał z tym, aby mieć lepszy spektakl. Zamierzał ochrzcić swoją własną córkę razem z dziećmi Kilangi, w ten wielki dzień nad rzeką, kiedy nareszcie zrealizuje się jego marzenie. To by nadało ceremonii pozorów autentyczności.

Teraz sprawiał wrażenie człowieka ograniczonego, który nie

ma żadnych marzeń. Nie mogłam patrzeć, jak tak stoi w drzwiach, jego ciało majaczyło w futrynie, mając do towarzystwa tylko jego bezużyteczne ręce. I jedyną rzeczą, którą potrafił powiedzieć do swojej żony, było:

— To niemożliwe.

Niemożliwe, ale się zdarzyło i z wszystkich nas tylko matka chyba zdawała sobie z tego sprawę. W ciemnej chustce na głowie i z podwiniętymi rękawami poplamionej białej bluzki wykonywała swoją pracę z taką determinacją, jak słońce albo księżyc, ciało niebieskie wędrujące przez dom po swojej orbicie. Jej zajęcia stale ją od nas oddalały — od jej osłupiałych cieni, męża i pozostałych przy życiu córek. Sprawnie i stanowczo zabierała z jednego pokoju wszystko, czego miała potrzebować w drugim, zanim się do niego przeniosła, tak jak kiedyś robiła, kiedy wszystkie byłyśmy znacznie młodsze i bardziej jej potrzebowałyśmy.

Poszła do chaty kuchennej, zapaliła w piecu, zagrzała wody w garnku, przyniosła go do domu i postawiła na dużym stole jadalnym, na którym Nelson położył ciało na prześcieradle. Matka umyła Ruth May ręczniczką jak niemowlę. Stałam oparta plecami o ścianę, przypominając sobie zbyt wiele rzeczy z innych czasów, i patrzyłam, jak starannie myje Ruth May pod brodą i w zagłębieniach stawów kolanowych i łokciowych. W naszym domu w Bethlehem często stałam przed otwartymi drzwiami łazienki, przez które widziałam je obie w lustrze. Matka miękko wyśpiewywała pytania i wcałowywała odpowiedzi w maleńkie, wyciągnięte do niej rączki. Ada i ja miałyśmy wtedy dziewięć lat, za dużo, żeby być zazdrosne o niemowlę, ale nie mogłam się powstrzymać od zadania sobie pytania, czy ona aż tak mnie kochała. Jako bliźniaczki mogła kochać każdą z nas tylko połowicznie. Poza tym to Ada była tą, która bardziej jej potrzebowała.



Z zarośli za oknem zaśpiewał miodownik. Wydawało się niemożliwe, aby na zewnątrz toczył się normalny, pogodny dzień. Matka rozłożyła małą, miękką rączkę na swojej dłoni i po kolei myła palce. Podniosła główkę i przemyła ją, uważając, żeby do oczu Ruth May nie dostały się mydliny. Kiedy suszyła ręcznikiem

wiotkie blond włosy, pochyliła się bardzo blisko i wdychała zapach skóry na głowie mojej siostry. Czułam się niewidzialna. Siła pragnienia mojej matki, aby dokonać tego rytuału prywatnie, zmusiła mnie do zniknięcia. Nie mogłam jednak opuścić pokoju. Kiedy wytarła swoje maleństwo i zawinęła w ręcznik, nuciła przez chwilę z cicha, rozczesując wilgotne włosy. Potem zaczęła ciąć naszą moskitierę na długie pasy i zszywać je razem. Nareszcie zrozumialiśmy. Przygotowywała całun.

— Lea, pomóż mi wynieść ten stół na zewnątrz—powiedziała, kiedy skończyła. Odezwała się po raz pierwszy od dobrych kilku godzin, więc zerwałam się, żeby jej pomóc. Przeniosła Ruth May na swoje łóżko, a potem postawiłyśmy duży, ciężki stół na środku podwórza. Musiałyśmy go obrócić o dziewięćdziesiąt stopni, żeby zmieścił się w drzwiach. Kiedy go postawiłyśmy, nogi wbiły się w ziemię, dzięki czemu się nie chwiały, inaczej niż w domu. Matka weszła do środka, by wrócić po chwili z owiniętym w całun ciałem w ramionach. Delikatnie położyła Ruth May na stole, po czym przez długi czas układała ramiona i nogi na ażurowym płótnie. Cień mangowca ciągnął się przez całe podwórze, co mi uświadomiło, że musi już być popołudnie — zaskoczyło mnie to. Spojrzałam na kilka znajomych rzeczy, po kolei: pasiaste zielone mango na trawie, moja dłoń, nasz stół kuchenny. Wydawało mi się, jakbym nigdy wcześniej nie widziała tych przedmiotów. Spojrzałam na stół i zmusiłam swój umysł, aby przyjął do wiadomości słowa: „To jest moja zmarła siostra”. Lecz Ruth May była zawinięta w tyle muślinowych warstw moskitiery, że z trudem dostrzegałam w środku kontury martwego dziecka. Wyglądała raczej jak

puchata chmura, która uleci przez drzewa do góry, kiedy matka nareszcie wypuści ją z rąk.

Nelson splatał z liści palmowych i kwiatów łuk pogrzebowy, aby go postawić nad stołem. Przypominało to ołtarz. Pomyślałam, że może powinnam mu pomóc, ale nie wiedziałam, w jaki sposób. Przyszło już kilka kobiet z wioski. Pierwsza przybyła Mama Mwanza, razem z córkami. Potem, małymi grupkami, zjawily się inne. Na skraju naszego podwórza padały na kolana i w ten sposób

zblizaly się do stołu. Wszystkie z nich straciły kiedyś dzieci — przyszło mi do głowy, kiedy patrzyłam na nie zaszokowana. Nasze cierpienie nie było większe niż kiedyś ich, nie było bardziej realne czy tragiczne. Niczym się nie różniło. Wszystkie przez jakiś czas klęczały wokół stołu i wiedziałam, że powinnam do nich dołączyć, ale z niezrozumiałych dla mnie przyczyn bałam się podejść do stołu. Zostałam na końcu grupki kobiet.

Nagle jedna z nich zawyla tak rozdzierająco, iż myślałam, że pęknie mi czaszka. Wszystkie pozostałe natychmiast podjęły tę rozedrganą, piskliwą bildla. Czułam, jak krew przepływa mi przez wszystkie wąskie części ciała: nadgarstki, gardło, tył kolan. Ada stała obok mnie zbielała na twarzy i patrzyła mi w oczy, jakbyśmy tonęły. Słyszałyśmy tę dziwną pieśń żalobną wielokrotnie, podczas ulewnych deszczów, kiedy tak dużo dzieci zachorowało. Z początku parę razy dałyśmy się oszukać, podbiegłyśmy do okna, żeby sprawdzić, cóż to za piękne egzotyczne ptaki wydają z siebie takie tajemnicze wołania. Teraz oczywiście nie myślałyśmy o ptakach. Wibrowanie języków naszych sąsiadek było jak noże, które odkrawały nam mięso od kości i kazały nam upaść na ziemię razem z naszym wstydem, miłością i gniewem. Wszystkie ściały nas nóż naszej własnej nadziei, bo jest jedna rzecz, której każdy najgoręcej pragnie: aby najmłodszy przeżył najstarszych.

W naszej rodzinie ostatnia była pierwszą. Chciałabym wierzyć, że dostała to, czego chciała. Wbiłam kolana w ziemię, wstrząsana szlocham otworzyłam usta, żeby głośno krzyknąć. Skrzyżowałam ręce na piersiach i trzymałam się swoich własnych ramion, myśląc o ostrych, kościstych łopatkach Ruth May pod jej białą koszulką. Myśląc o mrówkolwach i o „Mamo, mogę?” Przypominając sobie dziwny, przeistoczony cień, kiedy po raz ostatni huśtałam ją na huśtawce. Nasze głosy wzbily się przez korony drzew do nieba, ale nie zabrały ze sobą Ruth May.

Kiedy zawroźnienie wreszcie ustało, spowila nas cisza i cykanie świerszczy. Powietrze było gęste i ciężkie od wilgoci. Przypominało mokry wełniany koc, którego nie można z siebie zrzucić.

Matka zaczęła wystawiać wszystkie meble na podwórze. Najpierw krzesła. Potem nasze łóżka i ojcowe biurko z żaluzjowym zamknięciem. Ciągnęła te ciężkie graty sama, chociaż wiem na pewno, że dwa miesiące wcześniej nie byłyby w stanie ruszyć ich z miejsca. Ja dalej patrzyłam biernie, kiedy pojawiała się z naszymi ubraniami i książkami. Potem z garnkami. Kładła to wszystko na krzesłach i na biurku. Kobiety spoglądały z uwagą, tak samo jak moje siostry i ja, ale żadna się nie ruszyła. Kiedy matka już wszystko wyniosła, stanęła i patrzyła na nas wyczekująco. Wreszcie wzięła brytfannę, którą przywieźliśmy z kraju, i wcisnęła ją do rąk Mamie Mwanzie. Nasze bluzki i sukienki zaproponowała dzieciom Mamy Mwanzy. Wzięły je w obie ręce, podziękowały i poszły sobie. Mama Mwanza niosła brytfannę na głowie, bo potrzebowała rąk do chodzenia, i uroczyście oddaliła się na czele swej rodziny od naszego pogrzebu. Pozostałe kobiety zaczęły nieśmiało dotykać naszych rzeczy. Początkowe wahanie ustąpiło podnieconemu trajkotaniu, kiedy zaczęły grzebać w stertach naszych rzeczy, bez żenady przymierzały dzieciom na długość nasze ubrania, oglądały takie dziwolągi jak szczotka do włosów i

obcinaczki do paznokci, stukały kłykciami w emaliowane garnki, żeby sprawdzić, ile są warte. W końcu zabrały to, co im było potrzebne, i poszły.

Lecz dzieci wkrótce wróciły, nie potrafiąc sobie odpuścić takiego widowiska. Dokładnie tak samo jak po naszym przyjeździe tutaj, materializowały się jedno po drugim z wilgotnego powietrza i bambusowych chaszczki, aż wreszcie utworzyły milczący, zapatrzone krąg na obrzeżu naszego podwórza. Podejrzewam, że były równie zaskoczone jak my, iż któryś z członków naszej rodziny był zdolny do tego, aby umrzeć. Stopniowo przysuwały się bliżej, zacisnęły pierścień wokół stołu i przez długi czas stały, wpatrując się w Ruth May.

Matka już wcześniej wróciła do domu, skąd dochodziły nas odgłosy jej dziwnej, niestrudzonej krzątania. Ojca nigdzie nie było widać. Moje siostry i ja zostałyśmy na zewnątrz, ponieważ miałyśmy wrażenie, że dzieci zagarnęły nas do swojego kręgu.

Z przyzwyczajenia uklękłyśmy na ziemi i odmówiłyśmy modlitwy klepane bezmyślnie w dzieciństwie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie” i „Chociażbym chodziła ciemną doliną, zła się nie ulękne”. Nie miałam ani cienia poczucia, że jakkolwiek pasterz prowadzi mnie przez tę straszną dolinę, lecz znajome słowa wypełniały mi usta jak wata, a świadomość, że po jednym zdaniu przyjdzie następne, sprawiła mi pewną ulgę. W ten sposób wiedziałam przynajmniej, co mam robić.

Kiedy tylko przerywałam modlitwę, cykanie świerszczy straszliwie pęczniało mi w uszach, więc nie przestawałam. Czasem modliła się ze mną Rachel, czasem kongijskie dzieci podchwytywały te słowa, które znały. Zmówiłam Psalm XXIII, Psalm CXXI, C, CXXXVII, XIX i LXVI, rozdział 21. Objawienia, 1. Księgi Rodzaju, 22. Łukasza, Pierwszy List do Koryntian i wreszcie Jana 3,16: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego

jednorodzonego dał, aby wszelki, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny".

Wreszcie przerwałam. Był już prawie wieczór, a mnie nie przychodziły już do głowy żadne modlitwy. Wyczerpałam cały repertuar. Nastawiłam ucha na świat wokół mnie, lecz wszystkie inne dźwięki zupełnie zgasły. Nie śpiewał ani jeden ptak. Ogarnęła mnie trwoga. Powietrze wydawało się ciężkie i groźne, lecz ja nie mogłam się już dalej modlić, nie mogłam też wstać ani zrobić czegokolwiek innego. Zwłaszcza zaś nie mogłam się przemóc, aby wrócić do ogołoczonego domu, w którym była matka. Za nic w świecie. To wydawało się niemożliwe. Zostałam więc tam, gdzie byłam, klęczaliśmy razem z moimi siostrami, pochyliwszy głowy w trzaskającym powietrzu.

Niebo jęknęło i pękło, nagle zimne igły deszczu zaczęły nas kłuć w ręce i karki. Zerwała się burza z piorunami, deszcz lunął nam na głowy z zawziętością dorównującą sile pragnienia upraw i zwierząt. Smagał ostro, w odpowiedzi na całe miesiące modłów. Niektóre dzieci pobiegły zerwać liście trawy słoniowej, żeby zrobić z nich parasole, lecz większość z nas została na miejscu i chłonęła deszcz. Błyskawica zaśpiewała i zasyczała wokół naszych ramion i zadudnił grzmot.

Ojciec wyszedł z domu, wyciągnął ręce przed siebie i patrzył na niebo. Wydawało nam się, że upłynęło sporo czasu, zanim uwierzył w deszcz.

— I rzekł Jezus do prostych ludzi przy studni — powiedział nareszcie, swym dawnym tubalnym głosem, który nie zostawiał miejsca na choćby cień wątpliwości. Musiał krzyczeć, aby być słyszany pośród szumu wody. — I powiedział im Pan: Każdy, który pije z tej wody, zasię będzie pragnął; lecz ktoby pił z wody, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki. Ale woda, którą ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody, wyskakującej ku żywo towi wiecznemu.

Dzieci nie zwracały szczególnej uwagi na mojego ojca ani na jego wodę wyskakującą ku żywotowi wiecznemu. Były zafascynowane deszczem. Podsuwały twarze i ramiona zimnej wodzie, jakby ich skóra była polem manioku potrzebującym nawodnienia.

— Kto jest spragniony — krzyknął mój ojciec — niech przyjdzie i pije! Kto we mnie wierzy, strumienie wody żywej popłyną z serca jego!

Podszedł do wysokiego chłopca blisko mnie, przyrodniego brata Pascala. Rozmawiałam z nim wcześniej dwa razy i wiedziałam, że ma na imię Lucien, ale jestem pewna, że ojciec tego nie wiedział. Mimo to wyciągnął swą dużą, białą dłoń i rozpostarł palce nad głową chłopca. Lucien spojrzał ojcu w oczy, jakby się spodziewał, że go uderzy, lecz nie zrobił uniku.

— Głos wołającego na puszczy: Gotujcie drogę Pańską, pro ste czyńcie ścieżki jego — zawołał ojciec. — Ja chrzczę was wodą, lecz jest między wami ten, kogo jeszcze nie znacie. To Baranek Boży, który gładzi grzechy świata.

Ojciec opuścił dłoń i delikatnie zacisnął palce na czubku głowy Luciena.

— Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Idź ku światłości.

Lucien nie poruszył się. Ojciec zabrał rękę i czekał, jak podejrzewam, aż cud chrztu zacznie przynosić efekty. Potem zwrócił się do Bwangi, malutkiej siostrzyczki Luciena, która z całej siły

trzymała go za rękę. Ich matka zmarła podczas epidemii, więc druga żona ich ojca — matka Pascala — zabrała ich oboje do swego domu. Przez cały ten czas tragedii i zbawienia Bwanga pozostała najwierniejszą towarzyszką zabaw Ruth May. Nawet o tym mój ojciec na pewno nie wiedział. Ogarnęła mnie niewypowiedziana rozpacz. On nic nie wiedział o tych dzieciach. Pod kopułą

jego dłoni łysa główka Bwangi wyglądała jak przejrzałe awokado, które on zamierzał wyrzucić. Stała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — powtórzył i wyswobodził ją.

— Ma-mo-mo-gem? — spytała Bwanga.

Kilkoro innych dzieci pamiętało tę zabawę i zawtórowało jej:

— Ma-mo-mo-gem? — Ich wzrok przeniósł się z ojca na Ruth May, spoczywającą w przemoczonym obłoku moskitiery na stole. Wszystkie podjęły refren i raz po raz powtarzały swe zapytanie: „Ma-mo-mo-gem?” I choć wiedziały, że pozwolenie nie zostanie udzielone, przez bardzo długi czas śpiewały swoją czułą, wytrwałą suplikę w ulewnym deszczu. Woda osiadała im kroplami na rzęsach i spływała cienkimi strużkami po ich twarzach. Nędzne łachmany, wmuszone im przez cudzoziemców, przyłgnęły do ich chudych klatek piersiowych i nóg jak druga skóra, nareszcie gotowa zaakceptować kształt ich ciał. Pył pod naszymi stopami nabrał koloru krwi, niebo zaś zrobiło się prawie czarne, podczas gdy ojciec obchodził cały wianuszek dzieci i chrzczył je wszystkie po kolei, zapraszając żywych potomków Kilangi, by pomaszerowali ku światłości.

## KSIĘGA V EXODUS

Wynieście stąd kości moje z sobą. I... położyli się obozem... na ostatnich granicach pustyni...

Nigdy nie odchodził słup obłoku we dzień, a słup ognisty w nocy przed ludem.

Exodus 13, 19-21

Orleanna Price

Sanderling Island, Georgia

Dopóki pozostawałam w ruchu, mój smutek ciągnął się z tyłu za mną jak długie włosy pływaka w wodzie. Czułam jego ciężar, lecz nie dotyk. Dopiero kiedy się zatrzymywałam, jego śliskie, ciemne włókna opłynęły mi twarz, łapały za ramiona i szyję, aż zaczęłam tonąć. Dlatego nie zatrzymywałam się.

Substancjalność smutku nie jest wyimaginowana. Smutek jest realny jak sznur albo brak powietrza, i tak jak one potrafi zabić. Moje ciało rozumiało, że nie istnieje dla mnie bezpieczne miejsce.

Ciało matki pamięta jej dzieci — fałdy delikatnej skóry, miękką, pomarszczoną główkę przy swoim nosie. Każde dziecko ma swoje własne prośby do ciała i duszy. Wszakże dopiero ostatnie bierze matkę w posiadanie. Nie ośmieliłabym się powiedzieć, że

pozostałe kochałam mniej, ale pierwsze trzy były małe w tym samym czasie i macierzyństwo zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Rachel dopiero zaczynała chodzić, kiedy urodziły się bliźniaczki. Słabo pamiętam to, co było później, całe lata codziennych zmaganiań pośród łapczywych rąk i głodnych ust, aż do momentu, gdy mogłam zwalić się do łóżka na kilka krótkich godzin i śnić, że jestem pożerana żywcem małymi kęsami. Liczyłam do stu, kołysząc je w ramionach, zaklinając w sobie cierpliwość, by odłożyć jedno i podnieść drugie. Jedne usta zamknięte na łyżce oznaczały dwoje innych pustych i płaczących, toteż spieszyłam od jednych do drugich jak ptasia mama, kpiąca sobie z natury zbyt liczny wylęgiem. Dopiero kiedy wszystkie trzy potrafiły samodzielnie ustać na nogach, uwierzyłam, że sobie poradzę. Razem były moją pierwszą progeniturą. Brałam głęboki oddech po każdym kroku, który oddalał je ode mnie. Tak to jest z pierworodnymi, niezależnie od tego, jaką jesteś matką — bogatą, biedną, wycieńczoną i zmaltratowaną czy szczęśliwą i zadowoloną. Pierwsze dziecko to także twój własny pierwszy krok do przodu i jakże



kibicujesz tym małym stopkom, kiedy ruszają w nieznane. W każdym zakamarku skóry tropisz oznaki talentu i piejesz o nich światu.

Lecz ostatnie: dziecko, które wlecze za sobą swój zapach jak flagę kapitulacji, ponieważ po nim nie będzie już dalszych — o, to jest inna miłość. To dziecko trzymasz w ramionach przez godzinę po zaśnięciu. Jeśli odłożyłabyś ją do kojca, mogłaby zbudzić się odmieniona i odlecieć. Więc nie odkładasz jej, tylko kołyszysz przy oknie, spijając światło z jej skóry, wciągając do płuc wydechane przez nią sny. Twoje serce śmieje się do półksiężyców rżęs nad jej policzkami. Ona jest tą, której nie możesz odłożyć do kojca.

„Moje dziecko, moja krwi, moja szczerą prawdą: proś mnie, abym ciebie nie zostawiła, albowiem gdzie ty pójdziesz, tam i ja pójdę. Gdzie ja zamieszkać, tam zamieszkamy razem. Gdzie ja umrę, ty nareszcie zostaniesz pochowana”.

Siłą raczej instynktu niż woli pozostałam przy życiu. Próbowałam uciec od żałoby. To nie duch, lecz ciało przenosiło mnie z jednego miejsca w drugie. Patrzyłam na swoje ręce, słuchałam,

jak moje usta wydają rozkazy. Unikałam kątów i bezruchu. Kiedy musiałam się zatrzymać, aby zaczerpnąć tchu, robiłam to na otwartej przestrzeni, na środku pokoju lub na podwórzu. Drzewa ryczały i tańczyły, jakby płonęły w ulewnym deszczu, mówiąc mi, bym nie ustawała, nie ustawała. Kiedy wyniosłyśmy stół na zewnątrz, z leżącym na nim moim maleństwem, jedyną rzeczą, jaka miała dla mnie sens, było wyniesienie wszystkiego innego. Taki obłądny nadmiar rzeczy, które posiadaliśmy na użytek jednej rodziny — jakie to wszystko wydawało się teraz niepotrzebne. Wynosiłam naręcza tkaniny, drewna i metalu poskładanych na różne tajemnicze sposoby i zdumiewałam się, że posiadanie tych rzeczy kiedykolwiek sprawiało mi przyjemność. Potrzebowałam prawdy i światłości, potrzebowałam zapamiętać śmiech mojego

maleństwa. Te rzeczy zagracały mi drogę. Co za ulga, umieścić je w rękach kobiet, które mogły zabrać ode mnie moje brzemię. Ich przedsiębiorcza potrzeba ulżyła mi: moje sukienki będą zasłonami, a zasłony sukienkami; moja ścierka do naczyń dziecięcą pieluchą. Puste puszki po jedzeniu zostaną przekute na lampy oliwne, zabawki, może lemieszki pługów — kto wie? Moje domostwo przewędruje przez wielki układ pokarmowy Kilangi i przerodzi się w niewidzialne widoki. To był cud oglądać mój własny prosty ruch wzmocniony. Kiedy to wszystko rozdałam, drzewa wysunęły języki ognia i płonęły z aprobatą.

Ruch stał się moim jedynym celem. Nie zostało nic, co mogłabym przemieścić, oprócz mnie samej, maszerowałam na koniec wioski i nie przestawałam iść, a za mną ciągnęła cała czereda dzieci. Nie ma nic innego do zrobienia, jak pożegnać się, Sala mbote! Szłam pieszo, ponieważ miałam jeszcze nogi, które mnie niosły.

Takiebyło najzwyczajniej w świecie źródło naszego exodusu: musiałam trwać w ruchu. Moim celem nie było odejście od męża. Każdy widzi, że powinnam to była zrobić już o wiele wcześniej, ale nigdy nie wiedziałam jak. Wydaje się, że nie jest rzeczą takich kobiet jak ja, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za początek i koniec. Za oświadczyzny, zdobycie szczytu górskiego, pierwszy wystrzał z pistoletu ani za krok ostatni — traktat z Appotomattox\*, nóż w serce. Niech mężczyźni piszą te historie. Ja nie potrafię. Ja znam tylko teren pośredni, na którym rozgrywa się nasze życie. Gwiżdżemy, kiedy płonie Rzym, albo szorujemy podłogę, zależy. Nie śmiemy sądzić, że jest coś haniebnego w losie kobiety, która dalej ciągnie swój wózek. Jak myślisz, co robiła Mama Mwanza w dniu, w którym komisja mężczyzn postanowiła zamordować raczkujące Kongo? Czy dzień później było inaczej? Oczywiście, że nie. Należy ją zatem uznać za głupca czy kręgosłup historii? Kiedy runie jakiś rząd, zgnięta tych, którzy mieszkają pod jego dachem. Tacy ludzie jak Mama

Mwanza w ogóle nie wiedzieli o istnieniu tego domu. „Niepodległość” to skomplikowane słowo w obcym języku. Aby stawić opór okupantowi, czy jesteś narodem, czy kobietą, musisz rozumieć język wroga. Podbój, wyzwolenie, demokracja i rozwód to słowa pozbawione większego sensu, kiedy dzieci są głodne, pranie nie powieszzone i zanosi się na deszcz.

Może wciąż nie potrafisz zrozumieć, dlaczego zostałam tak długo. Już prawie skończyłam moją wersję tej historii, lecz wciąż czuję na sobie pytające spojrzenie twoich małych, okrągłych oczu. Ciekawe, jak nazwiesz mój grzech: Współudział? Lojalność? Oglupienie? Jak je od siebie odróżnisz? Czy mój grzech polegał na braku dzielności czy też kompetencji? Wiedziałam, że Rzym płonie, lecz miałam akurat dosyć wody, żeby wyszorować podłogę, więc wyszorowałam podłogę. Moje talenty są inne od talentów tych kobiet, które zrywają z mężami i odchodzą od nich — a pozytywne cechy mojego charakteru przypuszczalnie nierozpoznawalne. Spójrz jednak na stare kobiety i weź pod uwagę, że jesteśmy w innym kraju. Wychodziłyśmy za mąż z prostymi oczekiwaniami: żeby nigdy nie zabrakło jedzenia i żeby mieć dzieci, które nas przeżyją. Moje życie polegało na tym, żeby rosnać tam, gdzie mnie posadzono, i spłacić długi, którymi obciążyło mnie życie. Poczucie więzi i radość przychodziły nieoczekiwanie, najczęściej podczas krótkich, eksplodujących chwil, kiedy nie byłam z moim mężem i dziećmi. Pocałunek cielistego wscho\* Traktat z Appotomottox — traktat kończący wojnę secesyjną.

du słońca, kiedy wieszałam pranie, westchnienie szafirowych ptaków dobywające się z trawy. Okapi nad wodą. Nie przyszło mi do głowy, żeby odejść od Nathana dlatego, że nie czułam się szczęśliwa, tak samo jak Tata Mwanza nie zostawiłby swej kalekiej żony, chociaż sprawniejsza fizycznie kobieta mogłaby zebrać więcej manioku i zachować przy życiu więcej dzieci. Nathan był czymś, co nam się przydarzyło, na swój sposób równie katastrofalnym, jak płonący dach, który spadł na Mwanzów. Choć nasz los był

naznaczony piekłem i siarką, musiałyśmy dalej zmierzać swoją drogą. I właśnie dzięki piekłu i siarce mogłam trwać w ruchu. To ja byłam w ruchu, a on stał w miejscu.

Lecz ludzie jego pokroju zawsze na końcu przegrywają. Dawno o tym wiedziałam, a teraz wiem też, dlaczego tak się dzieje. Czy okupują żonę, czy naród, zawsze popełniają ten sam błąd: stoją w miejscu, a stawka gry ucieka spod nich. „A po niemałym czasie umarł król Egipski — mówi Exodus — a wzdychając synowie Izraela do robót wołali”. Łańcuchy dzwonią, rzeki toczą swe wody, zwierzęta wierzgają i stają dęba, lasy wdychają powietrze i rozdymają się, dzieci z otwartymi ustami garną się na świat z łona matki, nowe sadzonki wyciągają szyje ku światłu. Nawet język nie stoi w miejscu. Każde terytorium można osiąść tylko na chwilę. Oni stawiają wszystko na tę chwilę, pozują do zdjęcia, zatykając flagę, odlewają się w brązie. Przeprawa Washingtona przez Delaware. Wzięcie Okinawy. Myślą tylko o tym, żeby chwycić tę chwilę.

Ale nie potrafią tego zrobić. Jeszcze zanim drzewce flagi zaczną się odłupywać, ziemia ponizej schyla się i pełźnie do swojego nowego przeznaczenia. Może mieć na plecach ślady buciorów, ale stają się one jej własnością. Co Okinawa pamięta ze swej porażki? Kiedy zabroniono jej produkować maszyny wojenne, Japonia zaczęła produkować samochody i podbiła świat. Wszystko jest w ruchu. Wielka Delaware toczy swe wody, podczas gdy z pana Washingtona nie został już nawet materiał na dobry kompost. Rzeka Kongo, która ma inny temperament, od razu utopiła większość swoich zdobywców. W Kongu poszlachtowana dżungla szybko staje się kwietną łąką, a blizny stają się

ozdobami jakiejś twarzy. Nazwij to uciskiem, współudziałem, ogłupieniem, nazwij to, jak chcesz, to nie ma znaczenia. Afryka połknęła muzykę zdobywcy i zaintonowała nową pieśń, swoją własną.

Jeśli jesteś oczami na drzewach, które obserwują nas, gdy odchodzimy z Kilangi, w jaki sposób wydasz osąd? Bóg mi świadkiem, że po trzydziestu latach wciąż pragnę twojego przebaczenia, ale kim ty jesteś? Małym kopczykiem nagrobnym pośrodku ogrodu Nathana, gdzie już dawno rozpleniły się kłacza i kwiaty, aby nakarmić owady i dzieci? Wciąż jesteś moim ciałem i krwią, moim ostatnim maleństwem, czy jesteś już ciałem Afryki? Jak mam to odróżnić, kiedy dwie rzeki spłynęły się ze sobą? Spróbuj sobie wyobrazić, że to się nigdy nie stało, wyobraź sobie naszą rodzinę bez Afryki albo Afrykę bez naszej rodziny. Spójrz na swoje siostry. Wszystkie trzy bez wyjątku znalazły trzy różne sposoby na to, jak żyć dalej z naszą historią. Niektórzy to potrafią. Wielu innym nigdy się nie udaje. Ale która z nas jest bez grzechu? Nie potrafię zdecydować, w kogo rzucić kamieniem, więc dalej lamentuję nad swoją stratą, próbuję nosić ślady buciorów na plecach z taką samą gracją, z jaką Kongo nosi swoje.

Moje małe zwierzątko, moje oczy, moje ulubione skradzione jajko. Posłuchaj. Życ to znaczy być naznaczonym. Życ to zmieniać się, nabywać słowa jakiejś historii i jest to jedyne świętowanie, jakie my, śmiertelni, naprawdę znamy. Szczerze powiedziawszy, w całkowitym bezruchu zawsze znajdowałam tylko smutek.

## CO ZABRAŁYŚMY ZE SOBĄ

Lea Price

Bulungu, koniec pory deszczowej 1961

Zabrałyśmy tylko to, co mogłyśmy nieść na plecach. Matka ani razu nie odwróciła się, żeby spojrzeć przez ramię. Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby nie córki Mamy Mwanzy,

które pobiegły za nami z pomarańczami i gąsiorem wody. Wiedziały, że zachce nam się pić, mimo że deszcz przyklejał nam koszule do pleców i wydawało się niemożliwe, abyśmy jeszcze kiedykolwiek miały odczuwać pragnienie. Albo nigdy nie doświadczyłyśmy takiego deszczu, albo zapomniałyśmy. W kilka godzin po tym, jak zerwała się burza, sucha droga przez naszą wioskę zamieniła się w kipiący strumień błota, krwistoczerwony i pulsujący jak arteria. Nie dało się nią iść, a na jej trawiastych poboczach ledwo mogłyśmy zmieścić stopy. Dzień wcześniej oddałybyśmy swoje zęby w zamian za porządy deszcz, a teraz zgrzytałyśmy nimi sfrustrowane tym potopem. Wydawało się, że gdybyśmy miały łódkę, to byśmy nią dopłynęły po falach błota aż do Leopoldville. Takie jest Kongo: jak nie głód, to powódź. Od tego czasu nie przestało padać.

Późnym popołudniem, kiedy wlokłyśmy się przed siebie, zobaczyłyśmy z przodu jasny bukiet koloru, lśniący niewyraźnie w deszczu. W końcu rozpoznałam różową gwiazdę na zadzie Mamy Boandy. Ona, Mama Lo i kilka innych kobiet kuliło się koło drogi pod liśćmi trawy słoniowej, przeczekując okres szczególnie zawziętej ulewy. Dały nam znak, abyśmy skorzystały z ich schronienia, i dołączyłyśmy do nich, ogłupiałe od deszczu. Trudno uwierzyć, że jakakolwiek woda na świecie może być tak jednoznaczna. Wyciągnęłam dłoń i patrzyłam, jak znika na końcu mego ramienia. Hałas nad naszymi głowami był rykiem, który wepchnął nas wszystkie razem do niewielkiego schronienia z liści. Pionowe kłacza włosów Mamy Boandy ociekały na końcach, jak maleńki ogród węży do spryskiwania.

Kiedy deszcz zelżał do stadium zwykłego oberwania chmury, ruszyłyśmy razem w drogę. Kobiety niosły na głowach zawinięte w liście pakunki manioku i innych rzeczy, mówiły, że to jedzenie dla ich mężów w Bulungu. Odbywało się tam duże zgromadzenie polityczne. Mama Lo miała też olej palmowy do sprzedania w Bulungu. Gawędząc ze mną, dźwigała na głowie ogromną,

prostokątną puszkę oleju i sprawiała wrażenie, że jest jej z tym bardzo wygodnie, więc spróbowałam położyć sobie na głowie

plastikowy gąsior. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziłam, że będzie tam leżał, pod warunkiem że przytrzymam go jedną ręką. Przez cały ten czas spędzony w Kongu z podziwem patrzyłam na to, co noszą na głowach tutejsze panie, ale sama nigdy nie spróbowałam. Co za objawienie, że mogę nieść swój tobolek jak każda tutejsza kobieta! Po pierwszych kilku kilometrach przestałam czuć na głowie jakikolwiek ciężar.

Kiedy nie miałyśmy wokół nas mężczyzn, wszystkim nam było dziwnie lekko na sercu. To było na swój sposób zaraźliwe. Śmiałyśmy się, kiedy któraś z nas niezbyt po kobiecemu zapadła się w błoto. Od czasu do czasu kobiety śpiewały razem, a raczej skandowały krótkie pytania i odpowiedzi. Dołączałam do nich, kiedy tylko rozpoznałam jakąś melodię. Misja ojca zakończyła się sukcesem przynajmniej pod jednym względem: Kongijczycy kochali naszą muzykę. Dokonywali cudów z Soldiers of the Cross w swoim własnym języku. Nawet najsmętniejsze chrześcijańskie lamentacje — „Nikt nie zaznał prób, które ja przeszedłem” — brzmiały rażno i wesoło w ustach tych maszerujących żwawym krokiem kobiet: Nani oze mipasi zazo! Nani oze mipasi! Doświadczyłyśmy niewypowiedzianie ciężkich prób, ale w tej chwili, kiedy maszerowałyśmy z deszczem ściekającym nam po włosach, czułyśmy się, jakbyśmy razem wyruszały ku wielkiej przygodzie. Nasz smutek jako rodziny Price'ów wydawał się należeć do innej epoki, o której nie musiałyśmy więcej myśleć. Tylko raz zdałam sobie sprawę, że rozglądam się za Ruth May, z myślą, czy nie jest jej za zimno i czy nie powinnam jej oddać mojej dodatkowej koszuli. Wtedy pomyślałam ze zdziwieniem: Przecież Ruth May nie ma już z nami! To wydawało się proste. Szłyśmy tą drogą i nie było jej z nami.

Mój umysł wędrował we wszystkich kierunkach, by wreszcie zatrzymać się na Anatole'u. Ciężyły mi pewne myśli, z których bardzo potrzebowałam mu

się zwierzyć. Na przykład, że wewnątrz paszczy zielonej mamby ma kolor czystego nieba. I że rozsypałyśmy na ziemi popiół tak jak Daniel i schwytałyśmy sześciopalczaste ślady stóp, o czym nikomu nie wspomniałam. Być może

Anatole nie był w Kilandze bardziej bezpieczny niż my. Ale może nikt nie był bezpieczny, kiedy tyle rzeczy zostało wywróconych do góry nogami. Jaki był cel tego spotkania politycznego w Bulungu? Kim był ten tajemniczy człowiek, którego Ada widziała w chacie Axelroota, śmiejący się razem z nim z rozkazów prezydenta Eisenhowera? Czy naprawdę chcieli zabić Lumumbę? Idąc przez las, słyszałyśmy odgłosy strzałów z broni palnej, ale żadna z kobiet tego nie komentowała, więc my też milczałyśmy.

Droga biegła do góry wzdłuż rzeki Kwilu. Przez cały ten rok spędzony w Kilandze wyobrażałam sobie, że cywilizacja znajduje się w dół rzeki, ponieważ w tym kierunku płynęły łodzie do Banningville. Lecz kiedy matka przygotowywała się do opuszczenia wioski, spytała sąsiadki o najlepszą drogę do Leopoldville i wszystkie zgodnie stwierdziły, że najlepiej będzie pójść w górę rzeki. Powiedziały, że w dwa dni dotrzemy do Bulungu. Tam ścieżka łączyła się z większą drogą, która prowadziła na zachód w stronę stolicy. Jeżdżą po niej ciężarówki, powiedziały kobiety. Może ktoś nas zabierze. Czy one kiedyś wybrały się tą drogą do Leopoldville, indagowała matka. Spojrzały po sobie zaskoczone tym dziwnym pytaniem. Nie, nie miały powodu korzystać z tej drogi, ale były pewne, że będziemy miały przyjemną podróż.

Tymczasem miałyśmy buty pełne błota, a sukienki zamieniły się w brudne, przemoczone szmaty, co trudno nazwać przyjemną rzeczą. Moskity, które przez całą długą suszę leżały pogrążane w letargu, teraz wylęgły się i wzleciały z dna lasu obłokami tak gęstymi, że zatykały nam usta i nosy. Nauczyłam się wciągać wargi do środka i oddychać powoli przez zęby, żeby się nie udławić moskitami. Kiedy pokryły nam ręce i twarze czerwonymi plamami,



wlatywały nam do rękawów i kłuły nas pod pachami. Drapałyśmy się do żywego mięsa. Kolejne chmary moskitów wzbijały się przed nami jak słupy dymu, ciągle je widziałyśmy i lękałyśmy się ich. Lecz idąc krok za krokiem, pokonałyśmy w ciągu jednego dnia większą odległość, niż kiedykolwiek nam się zdarzyło.

Jakiś czas po zmroku dotarłyśmy do małej wioski Kiala.

Mama Boanda zaprosiła nas do domu, w którym jej rodzice mieszkali z dwiema niezamężnymi córkami, wyglądającymi na dwadzieścia lat starsze od Mamy Boandy. Nie udało nam się dowiedzieć, czy one naprawdę są jej siostrami czy może ciotkami albo jeszcze kimś innym. Ale jakiebyśmy były szczęśliwe, że nareszcie schroniłyśmy się przed deszczem! Szczęśliwsze niż krowy ocalone przed pójściem na rzeź. Kucnęłyśmy wokół wielkiego rodzinnego kotła i jadłyśmy palcami fufu i zieleninę nsaki. Sędziwi rodzice Mamy Boandy wyglądali identycznie, oboje małeńcy, łysi i kompletnie bezzębni. Tata z obojętną miną wyglądał na zewnątrz, lecz mama słuchała uważnie i kiwała z zaangażowaniem głową, kiedy Mama Boanda snuła jakąś bardzo długą opowieść. Zdałyśmy sobie sprawę, że to o nas, ponieważ wiele razy usłyszałyśmy słowo nyoka — wąż — jak również słowo „Jezus”. Kiedy opowieść dobiegła końca, staruszka długo przyglądała się mojej matce, rozwijając i zawijając swoje spłowiało niebieskie pagne wokół płaskiej klatki piersiowej. W końcu westchnęła i wyszła na deszcz, by wrócić po chwili z jajkiem na twardo. Wręczyła je mojej matce i pokazała nam, abyśmy je zjadły. Matka obrałajajko ze skorupki, a potem podzieliłyśmy je i wkładałyśmy sobie do ust, podczas gdy reszta towarzystwa patrzyła na nas uważnie, jakby się spodziewali natychmiastowych rezultatów. Nie mam pojęcia, czy to bezcenne jajko miało posłużyć jako specjalny lek na smutek czy też pani domu uważała, że potrzebujemy zastrzyku protein przed oczekującą nas okropną podróżą.

Wszystkie trzęsłyśmy się z wyczerpania. Deszcze i błoto mnożyły pokonaną odległość przez dziesięć. Chorą stroną Ady zawładnęły konwulsyjne drgawki, a Rachel zdawała się być w transie. Staruszka zmartwionym głosem powiedziała do córki, że goście mogą umrzeć w jej domu, a uważano, że to przynosi pecha. Nie wyrzuciła nas jednak, za co byliśmy wdzięczne. Powolnymi, wyćwiczonymi ruchami swych kościstych ramion wzięła trochę patyków ze sterty koło wejścia i rozpałała w chacie ognisko, aby nas rozgrzać. W dymie trudno było oddychać, ale moskity przestały nam dokuczać. Zawinęłyśmy się w dodatkowe

pagnes, które dostałyśmy jako koce, i położyłyśmy się na podłodze, aby spać pośród obcych.

Noc była czarna jak smoła. Słuchałam dudnienia deszczu o strzechę i cichego kapania w przeciekających miejscach — dopiero wtedy pomyślałam o ojcu. „Mówią, że pokryłeś dach strzechą i teraz nie wolno ci uciekać z domu, kiedy pada”. Ojca już z nami nie było. Ojca i Ruth May. Dusza mnie bolała jak złamana kość, kiedy próbowałam stanąć w nowym miejscu, w którym się znalazłam. Wiedziałam, że już nigdy nie zobaczę mojej siostrzyczki. Nie zastanawiałam się jednak jeszcze nad utratą ojca. Przez całe życie stąpałam po jego śladach, a teraz bez ostrzeżenia moje ciało ustawiło się za matką. Za kobietą, której biodro i szczeka świeciły matowym blaskiem soli, kiedy klęczała przy ogniu razem z innymi kobietami; za kobietą z jasnymi oczami utkwionymi w dalekim miejscu, do którego on nie mógł za nami podążyć. Ojciec nie opuściłby swego posterunku, aby pobiec za nami, to jedno było pewne. Nie potrafili by zrobić niczego, co Bóg mógłby poczytać za tchórzostwo. A żaden Bóg, w żadnym sercu na ziemi, czujniej nie wypatrywał oznak ludzkiej słabości.

Spośród grzmistego deszczu dobiegły mnie słowa wypowiedziane pogodnym, szczególnym głosem Anatole'a: „Nie wolno ci uciekać z domu, kiedy pada”. Anatole przetłumaczył wściekłość wioski na jedno ciche zdanie,

które mogłoby przyszpilić do ziemi człowieka silnego charakteru. To dziwne, że moja matka i ojciec stwardnieli zupełnie inaczej, kiedy zamienili się w kamień.

Wyobraziłam go sobie, jak stoi na naszym podwórzu, zastygły w ulewnym deszczu, chrzci bezkresny krąg dzieci, które wymykały się i wracały z nowymi twarzami, domagającymi się jego błogosławieństwa. Nie doceniałam wcześniej ogromu zadania, jakie wziął na siebie mój ojciec. Ogromu i niezmiernej absurdalności. Zasypiałam i budziłam się przygnieciona dziwnym snem o ogromnym ciężarze, który musiałam przesunąć, aby się spod niego wyswobodzić. Góra jajek na twardo, które zamieniały się w dzieci, kiedy dotykały ich moje ręce, ciemnookie dzieci, których twarze błagały mnie o garść mleka w proszku, o moje

ubranie, o wszystko, co miałam. Aleja nie zabrałam ze sobą nic, co mogłabym wam dać, powiedziałam im i serce pociągnęło mnie w dół jak ołowiany ciężarek, bo prawdziwe czy nieprawdziwe, słowa te były straszne i niemoralne. Za każdym razem, gdy się trochę ocknęłam, po chwili znów tonęłam w malarycznym, wilgotnym zapachu i sinej beznadziei tego straszego snu. Wreszcie strząsnęłam go z siebie i leżałam bezsennie, przyciskając do ramion cienką bawełnianą tkaninę, która woniała potem i dymem. Mając za towarzystwo śmiertelne zmęczenie, słuchałam łomoczącego o dach deszczu. Nie będę już chodziła po niczych śladach. Jak mogłabym pójść stąd za moją matką i uciec od tego, co zrobiliśmy? Ale po tym, co zrobiliśmy, jak mogłam zostać?

Nie dotarliśmy do Bulungu na drugi dzień, a trzeciego dnia zmogła nas gorączka. Nasze ciała wreszcie uległy zmasowanej napaści moskitów. Przez wszystkie te miesiące wyobrażałam sobie malarię jako podstępnego, tajemnego wroga, ale teraz, kiedy mnie dosięgła, była czymś najzupełniej rzeczywistym. Czułam, że trucizna krąży mi w krwioobiegu jak gęsty, zakażony miód. Wyobrażałam sobie, że jest żółty. Z początku byłam przerażona, dygotałam z zimna, a moje spanikowane serce wydawało się tonąć, gdy trucizna podchodziła

coraz wyżej w klatce piersiowej. Lecz nawet gdybym umiała przyporządkować mej trwodze słowa, nie było nikogo, kto by ich wysłuchał. Deszcz nad naszymi głowami kasował wszelkie inne dźwięki. Szliśmy bez ustanku, aż do wyczerpania i dużo, dużo dalej. W końcu dotarłam do dziwnego, ospałego spokoju. Wyobrażałam sobie, jak miodowego koloru pasożyty świętują w moich zabarwionych na złoto organach, kiedy na przemian marzłam i płonęłam. Kiedy odkryłam, że moja twarz jest gorąca jak piec, uszczęśliwiona rozgrzałam o nią swoje zlodowaciałe ręce. Deszcz zamieniał się w lód, kiedy smagał moje ramiona. Drzewa zaczęły płonąć różowawą aurą, która koła moje oczy. Zgubiłam w błocie jeden but, ale było mi wszystko jedno. Potem zgubiłam drugi. Moje nogi zaczęły się pode mną dziwnie wyginać. W którymś momencie położyłam się

w nieodparcie kuszącym dołku pod drzewem, po czym namawiałam matkę i siostry, żeby poszły dalej beze mnie.

Nie przypominam sobie momentu przybycia do Bulungu. Podobno przynieśli mnie na palecie jacyś mężczyźni, którzy spotkali nas, wychodząc z dżungli, gdzie mieli obóz, w którym produkowali węgiel drzewny podczas pory suchej. Zawdzięczam im życie i żałuję, że nie pamiętam żadnej twarzy, głosu ani nawet rytmu ich stóp, kiedy mnie nieśli. Martwię się, że może zachowałam się wobec nich nieprzyzwoicie, że może wykrzykiwałam zniewagi, tak jak czasami robiła to Ruth May, kiedy majaczyła w gorączce. Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

Bulungu wrzało podnieceniem, które stopniowo do mnie dotarło, sądziłam, że wynika ono z naszego przybycia. Nie przyszło mi do głowy, że jest to mało prawdopodobny powód do świętowania, ponieważ otaczało mnie tyle innych, zupełnie nieprawdopodobnych rzeczy: na przykład mężczyźni bijący w bębny i tańczący z koronami liści palmowych na głowach. Kobiety z głowami ozdobionymi opalizującymi piórami, które spływały im na plecy. Samolot

Eebena Axelroota z aureolami płomienia wokół skrzydeł, kiedy zładował na polu falującej różowej trawy. Później, w ciemnym schronie czyjegoś domu, w którym się zatrzymałyśmy, zobaczyłam Axelroota dziwnie przeobrażonego. Przez przylizane włosy przeświecały rogi diabła z konserw Underwooda, kiedy siedział przy oknie naprzeciwko mojej matki. Żywy ogon pełzał jak dyskretny aksamitny wąż po szczelkach oparcia jego krzesła. Nie mogłam oderwać oczu od tych złowieszczych, podnieconych ruchów. Trzymał ogon w lewej ręce, próbując go uspokoić, kiedy rozmawiali. Na temat Rachel. Profil matki w oknie zamienił się w kryształ soli i odbijał światło.

Inni ludzie przychodzili i odchodzili przez ciemność, w której leżałam pod strzechą, schowana w jaskini moich snów i deszczu. Czasami rozpoznawałam przy łóżku dziadka Whartona, który cierpliwie czekał na mój ruch. Zawstydzona zdałam sobie sprawę, że gramy w warcaby, a ja nie podnoszę ręki. Dziadek powiedział mi bez ogródek, że oboje umarliśmy.

Ojciec przyszedł tylko raz, z niebieskimi płomieniami falującymi na brwiach i języku: „Wiele nieszczęść spada na sprawiedliwego; lecz ze wszystkich Pan go wybawia”. Z ust wybiegała mu cienka niebieska linia słów. Patrzyłam zahipnotyzowana. Tam, gdzie dotykały strzechy dachu, przeradzały się w kolumnę mrówek. Rano, o zmierzchu i znów rano patrzyłam, jak wędrują w stronę dziury w najwyższym punkcie powały, wynosząc na światło swe małe brzemiona.

Nic mnie tutaj nie zaskakiwało, a najmniej obecność Anatolem Ngemby. Zjawił się pewnego ranka, a potem był codziennie, przytykał mi do ust kubek gorzkiej herbaty i powtarzał moje imię: „Beene-beene”. Najprawdziwsza prawda. Przez całe szesnaście lat mojego życia rzadko myślałam, że zasługuję na coś więcej niż roztargnione, zrzędlive mruknięcie Boga. Ale teraz, w mojej jaskini wszystkich nieprawdopodobnych rzeczy, unoszę się w ciepłej kąpieli przebaczenia i nie widzę sensu w stawianiu oporu. Brak mi energii, żeby

pracować nad swoim charakterem. Jeśli Anatole potrafi zawinąć moje grzechoczące grzechy w koc i nazwać mnie samą dobrocią, to cóż, po prostu mu uwierzę.

To jest wszystko, co potrafię powiedzieć, jeśli chodzi o nasze zaskakujące narzeczeństwo. Kiedy budzę się z mego wielomiesięcznego snu, stwierdzam, że droga mojego życia znacznie się zawężyła i czuję, jak pędzę jej korytem niby powódź gęstego czerwonego błota. Sądzę, że jestem bardzo szczęśliwa.

Nie potrafię powiedzieć, ile tygodni tu przebywałyśmy, zanim matka wyjechała, ani też ile czasu upłynęło od tej pory. Miałam szczęście znaleźć dach nad głową. Ta chata należy do ucznia Anatole'a, którego ojciec mieszkał tutaj, lecz zmarł. Anatole opuścił Kilangę wkrótce po nas, a teraz spędza dużo czasu w okolicznych wioskach, rozmawia z ludźmi i organizuje coś wielkiego. Ma w Bulungu mnóstwo znajomych i mogę tu zostać, jak długo będzie to konieczne. Jednak matka nie mogła. Matka nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu.

Dzień, w którym wyjechała, wyróżnia się w mojej pamięci

jako mokry, rozsloneczniony poranek. Deszcze zelżały i Anatole uznał, że jestem już wystarczająco zdrowa, aby opuścić na kilka godzin mój namiot z moskitiery. Mieliśmy odprowadzić matkę aż nad Kwenge. Rachel odleciała już ze swym diabolicznym wybawcą, a ja byłam uziemiona w Bulungu, ponieważ moje ciało wciąż było tak przesiąknięte trucizną, że nie wytrzymałabym zbyt wielu ugryzień moskitów. Lecz matka i Ada wyjeżdżały. Commercant przyjechał ciężarówką z Leopoldville, co w porze deszczowej było cudem nie do pogardzenia. Zamierzał wrócić do miasta z ładunkiem bananów i odpędzał kijem kongijskie kobiety, które próbowały wspiąć się do jego ciężko obciążonej ciężarówki. Ale być może, uznał commercant, oglądając matkę od stóp do głów, a jednocześnie unikając jej zastygłego niebieskiego spojrzenia, być może znalazłoby się miejsce dla białej kobiety. W wielkiej zielonej górze

bananów zrobił niszę wystarczająco dużą dla matki i jednej z jej córek. Sądziłam, że kalectwo Ady i rozpacz matki wzbudziły w nim współczucie. Dopiero później się dowiedziałam, że krążyły pogłoski, iż można dostać olbrzymią nagrodę za bezpieczne dostarczenie białej kobiety do ambasady w Leopoldville.

Ciężarówka była pomarańczowa. Dobrze to pamiętam. Anatole i ja pojechaliśmy aż nad rzekę, żeby się z nimi pożegnać. Usłyszałam, jak Anatole składa matce obietnice na mój temat: postawi mnie na nogi i wyśle mnie do Ameryki, kiedy będę gotowa wrócić do domu. Wydawało mi się, że mówi o kimś innym, tak samo jak człowiek z rogami odleciał z kimś innym niż Rachel. Gdy wszyscy chwialiśmy się niebezpiecznie na górze bananów, ja tylko siedziałam ze wzrokiem utkwionym w matce i Adzie, próbując zakarbować sobie w pamięci to, co pozostało z naszej rodziny.

Zaraz po naszym przybyciu nad błotnisty brzeg Kwenge pojawił się problem. Stary płaskodenny prom dzień wcześniej kursował, twierdził *commercant*, lecz teraz kołysał się letargicznie przy drugim brzegu, mimo gorączkowego trąbienia i gestykulowania kierowcy. Pojawiło się dwóch rybaków z pirogą i powiadomili nas, że w promie wyczerpał się akumulator. Twierdzili, że to normalne i najzupełniej do przeskoczenia. Spod maski ciężarówki został wyjęty akumulator, który rybacy mieli przewieźć na drugą stronę rzeki — nie za darmo, oczywiście. *Commercant* zapłacił, burcząc pod nosem przekleństwa, które wydawały się zbyt mocne jak na tak wczesną godzinę, bo przecież był to dopiero pierwszy powód do irytacji podczas bardzo długiej podróży. (Albo trzeci, jeśli liczyć moją matkę i Adę jako pierwsze dwa). Wyjaśniono nam, że przewoźnik posłuży się naszym akumulatorem do zapalenia silnika promu i przyplynie po nas. Potem na pych wtoczmy ciężarówkę na prom i po drugiej stronie jej rozłąka z akumulatorem dobiegnie końca.

Natychmiast jednak pojawił się kolejny problem. Olbrzymi akumulator ciężarówki to był stary model, za duży, żeby zmieścić się w pirodze. Po długiej dyskusji rybacy znaleźli rozwiązanie: w poprzek pirogi położyli dwie szerokie deski, akumulator spoczął po jednej stronie, a po drugiej trzeba było umieścić coś dla przeciwwagi. Ponieważ w pobliżu nie było żadnych dużych kamieni, rybacy spojrzeli na Adę i mnie. Uznali, że obie nadałybyśmy się na balast, lecz obawiali się, że kaleka Ada mogłaby wpaść do wody, a wtedy przepadłby także bezcenny akumulator. Matka, patrząc prosto przed siebie, zgodziła się, że ja jestem silniejsza. Nikt nie wspomniał o tym, że mam zawroty głowy od malarycznej gorączki, a mnie nie przyszło do głowy, żeby się tym wymawiać. Anatole nie odzywał się, z szacunku dla mojej rodziny. Straciliśmy już tak wiele, więc kto miał nam mówić, na jakie ryzyko wolno nam narażać to, co pozostało?

Wsiadłam na tę pirogę. Po specyficznym smrodzie i osiadłych na brzegach gałęziach naniesionych przez wodę poznałam, że rzeka zaczyna opadać po porze deszczowej. Zdumiało mnie, że wiem tak wiele o kongijskich rzekach. Pomyślałam o ostrzeżeniach, jakie wygłaszała do nas w dzieciństwie matka za każdym razem, gdy wsiadałyśmy na łódkę: jeśli się wywróci, trzymajcie się ze wszystkich sił! Lecz kongijskie pirogi są zrobione z tak ciężkiego drewna, że po wywrotce idą na dno jak kamień. Wszystkie te myśli przechodziły mi przez głowę, kiedy rybacy wiosłowali przez szybki, kipiący nurt Kwenge. Trzymałam się nieheblowanej deski zawieszona nad wodą daleko od burty, oddając cały swój ciężar na służbę przeciwwagi. Nie pamiętam, żebym wypuściła powietrze z płuc, zanim dotarliśmy bezpiecznie na drugi brzeg.

Być może to sobie tylko wyimaginałam. Cały ten epizod wydaje się nieprawdopodobny. Wspomniałam o tym później i Anatole śmiał się z tego, co nazwał moją zrekonstruowaną historią. Twierdzi, że płynęłam w środku pirogi, na swoją własną prośbę, ponieważ ciężar akumulatora, który miał nieregularny



kształt, niebezpiecznie przechylał łódź. A jednak wydarzenie to powraca do mnie w snach dokładnie tak, jak je opisałam, z tą samą sekwencją widoków i zapachów, gdy balansowałam na końcu deski. Trudno mi uwierzyć, że to się odbyło inaczej. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że umysł wciąż miałam pomieszany. Bardzo mgliście przypominam sobie machanie ręką na pożegnanie mojej matce i siostrze, które w chmurze spalin i moskitów rozpoczynały swój powolny i definitywny exodus z Konga. Żałuję, że nie mogę sobie przypomnieć ich twarzy, zwłaszcza Ady. Czy zdawała sobie sprawę, że przyczyniłam się do jej ocalenia? Czy też był to po prostu ten sam przydział losu, który doprowadził nas w miejsce, gdzie nasza droga miała się ostatecznie rozdzielić na dwie?

Zrekompensowałam to sobie, zapamiętując z następnych dni wszystko, co wiązało się z Anatole'em. Zielony smak wywarów, które gotował, aby mnie wyleczyć. Temperatura jego dłoni na moim policzku. Dziergane wzory światła przeciskającego się przez strzechę, kiedy mrok wnikał w ciemność, w której spaliśmy, ja pod jedną ścianą, on pod drugą. Łączyło nas sieroctwo. Bardzo mocno je odczuwałam, jak głęboki głód protein, i rozpaczałam z powodu połaci klepiska, która dzieliła mnie od Anatole'a. Centymetr po centymetrze wypraszałam od niego coraz większą bliskość, uczepiałam się jego rąk, kiedy przynosił mi kubek. Gorycz chininy i słodycz pocałunku to dwa smaki, które stopiły się ze sobą nierozzerwalnie na moim podniebieniu. Nigdy wcześniej nie kochałam mężczyzny fizycznie, a przeczytałam wystarczająco dużo Jane Eyre i Brendy Starr, żeby wiedzieć, iż każda pierwsza miłość to potężne uczucie. Ale kiedy zaznałam swojej, byłam odurzona egzotycznym delirium malarii, więc moja miłość jest wszechmocna. Jak mogłabym teraz kochać kogokolwiek innego niż Anatole? Kto inny potrafiłby sprawić, by głaskana przez niego skóra na przedramieniu rozjarzyła się kolorami zorzy polarnej? Albo kłuć mi mózg niebieskimi sopelkami lodu, gdy patrzył mi w oczy? Co innego prócz gorączki potrafiłoby przekształcić ducha mojego ojca wołającego: „Jezebel!” w

serpentyne sinego dymu sącząca się przez małą, jasną dziurę w dachu? Anatole wypędził z mojej krwi miodowy ból malarii i poczucia winy. Przy Anatole'u rozpadłam się i posklejałam z powrotem, dzięki niemu choroba wypłuła mnie w życie, a nie w śmierć.

Miłość zmienia wszystko. Nigdy nie podejrzewałam, że tak będzie. Miłość odwzajemniona, muszę dodać, bo kochałam mojego ojca do szaleństwa przez całe życie, ale nic to nie zmieniło. Ale teraz, wszędzie wokół mnie, płomieniste wianowłostki zbudziły się ze swego długiego, suchego snu i wzniosły mury szkarłatnego kwiecica. Anatole porusza się w nakrapianym cieniu na obrzeżach mojego widzenia, okryty jedwabistym futrem pantery. Umieram z ochoty, żeby poczuć to futro na swojej szyi. Pragnę tego z niecierpliwością drapieżnika, zapominając o czasie, wyjąc do milczenia sów. Kiedy nie ma go przez jedną lub dwie noce, moje pragnienie jest nie do ugaszenia. Kiedy wraca, wypijam każdy pocałunek do ostatniej kropli, a mimo to usta mnie bolają jak suchajaskinia.

Anatole nie wziął mnie sobie: ja go wybrałam. Kiedyś, dawno temu, zabronił mi mówić na głos, że go kocham, więc wymyślę swoje własne sposoby, aby mu powiedzieć, czego pragnę i co mogę dać. Ściskam jego ręce i nie puszczam. A on zostaje, uprawiając mnie jak odziedziczony kawałek ziemi, w którym zawiera się jego przyszłość.

Teraz śpimy razem pod tą samą moskitierą, platonicznie. Przyznam się bez bicia, że chcę więcej, lecz Anatole śmieje się

i wkręca mi pięść we włosy, spycha mnie żartobliwie z łóżka. Mówi mi, żebym poszła po swój łuk i zapolowała na buszboka, jeśli chcę coś zabić. Chodzi o to, że słowo bndnika, „zabić strzałą”, ma też drugie znaczenie. Powiedział, że to nie jest czas, abym została jego żoną, w takim sensie, w jakim rozumieją to Kongijczycy. Powiedział, że wciąż jestem w żałobie, wciąż jestem

chora, wciąż częściowo mieszkam w innym miejscu. Ana-tole jest cierpliwym rolnikiem. Przypomina mi, że nasz związek nie jest wcale taki niezwykły: zna wielu mężczyzn, którzy brali sobie za żony dziesięciolatki. Jako szesnastolatka jestem doświadczoną kobietą wedle kryteriów niektórych kultur, a wedle wszelkich kryteriów jestem bardzo oddana. Gorączka w moich kościach przygasła i w powietrzu nie tańczą już płomienie, lecz Anatole wciąż przychodzi do mnie nocą w skórze pantery.

Jestem już na tyle zdrowa, żeby podróżować, i to już od jakiegoś czasu, ale łatwo mi było zostać w Bulungu u znajomych Anatole'a, trudno natomiast zdecydować, co robić dalej. Wreszcie, tego wieczoru, musiał mnie o to zapytać. Wziął mnie za rękę, kiedy szliśmy nad rzekę, co mnie zaskoczyło, bo na ogół jest powściągliwy w publicznym okazywaniu uczuć. Z drugiej strony sytuacja nie była zbyt publiczna — mogli nas widzieć tylko rybacy, którzy naprawiali sieci na drugim brzegu. Staliśmy, patrząc na nich, słońce zaś malowało na rzece szerokie pasy w kolorze różowym i pomarańczowym. Wyspy wodnych hiacyntów płynęły z ospałym nurtem. Myślałam o tym, że nigdy nie czułam się szczęśliwsza i przez całe życie nie zaznałam tyle piękna. I właśnie wtedy powiedział:

— Beene, jesteś zdrowa. Możesz jechać. Obiecałem twojej matce, że dotrzesz bezpiecznie do domu.

Serce we mnie stanęło.

— Gdzie jej zdaniem jest mój dom?

— Tam, gdzie jesteś najszczęśliwsza.

— A gdzie ty chcesz, żebym poszła?

— Tam, gdzie będziesz szczęśliwa — powtórzył, więc powiedziałam mu, gdzie jest to miejsce. To było banalnie proste.

Zastanawiałam się nad tym długo i usilnie, i uznałam, że jeśli zniesie mnie taką, jaka jestem, to zrezygnuję z oczekujących mnie w Ameryce wygód, aby zostać tutaj.

Były to nietypowe oświadczenia, wedle kryteriów każdej kultury. Staliśmy nad brzegiem rzeki Kwenge i wyliczaliśmy rzeczy, których musieliśmy się wyrzec. To ważna informacja. W zamian za to, bez czego ja decydowałam się obywać, on tracił znacznie więcej: na przykład możliwość posiadania wielu żon. A to dopiero początek. Sądzę, że znajomi Anatole'a wciąż powątpiewają w jego poczytalność. Sam fakt, że jestem biała, automatycznie odgradza go od wielu możliwości, a może nawet szans na przeżycie w Kongu. Anatole nie miał jednak wyboru. Mam w sobie wystarczająco dużo ze swego ojca, aby postawić na swoim.

Rachel Price Axelroot

Johannesburg, Południowa Afryka, 1962

Want so liefhet God die wereld gehad, dat Hy sy eniggebore Seun gegee het, sodat elkeen in Horn glo, nie verlore mag gaan nie, maar die ewige lewe kan he.

Co wy na to? Ha! To jest Jan 3, 16 w afrikaans. Przez cały ostatni rok chodziłam w moich białych rękawiczkach i kapeluszu do pierwszego kościoła episkopalnego w Johannesburgu i recytowałam te słowa razem z innymi. Ostatnio jedna z moich bliskich przyjaciółek, która pochodzi z Paryża, wzięła mnie pod swoje skrzydła, więc mogę też chodzić z nią na mszę katolicką i recytować: Car Dieu a tant aime le monde qu'il donnę son Fils unięue... Innymi słowy, po francusku. Mówię teraz płynnie trzema językami. Nie utrzymuję zbyt bliskich kontaktów z moimi siostrami, ale podejrzewam, że mimo ich wybitnych uzdolnień raczej nie przebiją tego, że potrafię wyrecytować Jana 3, 16 w trzech różnych językach.

To mi chyba nie gwarantuje miejsca w pierwszym rzędzie w niebie, ale zważywszy na to, co musiałam znosić ze strony

Eebena Axelroota przez ostatni rok, tak na przystawkę, to chyba przynajmniej wpuszczą mnie na salę. To jego gapienie się na inne kobiety, kiedy ja jestem wciąż taka młoda i atrakcyjna, i do tego nerwy mam w strzępach po tym, co przeszłam. Już nie mówiąc o tym, że zostawia mnie samą, kiedy wyjeżdża robić fortunę na jakichś poronionych kombinacjach, z których żadna nie wypaliła. Jeśli dalej z nim jestem, to tylko z wdzięczności. Oddanie mu najlepszych lat mojego życia to chyba uczciwa cena za to, że wywiózł mnie z tej piekielnej nory. Tak, szczerze mówiąc, to uratował mi życie. Obiecałam mu, że będę wszem wobec zeznawała, co następuje: Uratował mnie od niechybnej śmierci. I tak pisałam w całych stosach formularzy, które wypełniałam, żeby dostać pieniądze z ambasady amerykańskiej. Mieli fundusz awaryjny dla obywateli amerykańskich, którzy musieli uciekać z Konga podczas kryzysu komunistycznego z Lumumbą i całego tego zamieszania. Axelroot dostał nawet medal za bohaterską postawę, z którego jest bardzo dumny i trzyma go w specjalnym pudełku w sypialni. Z tego powodu nie mogliśmy się od razu formalnie pobrać. Wy tłumaczył mi, że to by źle wyglądało, gdyby zainkasował pieniądze za uratowanie swojej własnej żony. Takie rzeczy robi się bezinteresownie, a nie za pieniądze czy medal zasługi.

I ja, idiotka, uwierzyłam mu. Okazuje się, że Axelroot zasługuje na setki medali jako absolutny mistrz świata w wykręcaniu się od sakramentu małżeństwa. A uczyła mamusia, nie oddaj mu się, bo się z tobą nie ożeni.

Wtedy jednak oczywiście o tym nie myślałam. Wyobraźcie sobie, co wtedy mogła czuć delikatna młoda dziewczyna. Dygotałam na deszczu, otoczona ze wszystkich stron przez chaty z rozmiękłej ziemi, drogi z rozmiękłej ziemi, wszystko z rozmiękłej ziemi. Ludzie kucali w błocie, próbując ugotować coś na ognisku w ulewnym deszczu. Psy wariowały i biegały po błocie.

Przeszliśmy prawie połowę Konga na piechotę. To była moja droga krzyżowa, jakby to ujął nasz kochany tata, tyle że ja sobie jej bynajmniej nie wybrałam. Przyjęłam chrzest błota. Kładłam

się w nocy na brudnych klepiskach i modliłam się do Boga, żebym się nie obudziła ukąszona na śmierć przez węża, jak to się właśnie tragicznie przydarzyło mojej siostrze i dobrze wiedziałam, że w każdej chwili to samo może spotkać mnie. Słowa nie potrafią oddać mojego stanu psychicznego. Kiedy wreszcie dotarliśmy do tej wioski i pan Axelroot stał w swoich goglach oparty o samolot, cały uśmiechnięty w swoim szerokim w ramionach mundurze khaki, miałam do powiedzenia tylko jedną rzecz: „Wystarczy. Niech mnie pan stąd zabierze!” Było mi wszystko jedno, jakie podpisuję formularze. Podpisałabym pakt z samym diabłem. Słowo daję.

I tak się to odbyło, jednego dnia stałam po rozwarstwione koniuszki włosów w błocie, a drugiego przechadzałam się po szerokich, rozświetlonych ulicach Johannesburga, pośród domów z pięknymi zielonymi trawnikami, basenami i gazonami pięknych kwiatów za cudownymi murkami z elektrycznymi bramami. Mieli nawet samochody! Telefony! Gdzie nie spojrzeć, biali ludzie.

W tym czasie Axelroot właśnie osiedlał się w Johannesburgu. Dostał posesję w wydziale bezpieczeństwa kopalni złota, blisko przedmieść północnych, gdzie, jak obiecywał, wkrótce mieliśmy zacząć żyć na wysokiej stopie. Upłynął rok i na jego obietnicach widać już oznaki starzenia się. Już nie mówiąc o meblach, których każda deszczułka należała kiedyś do kogo innego.

Zaraz po przyjeździe do Johannesburga przez krótki czas mieszkałam u przemiłego amerykańskiego małżeństwa Templetonów. Pani Templeton miała osobne afrykańskie służące do gotowania, sprzątania i prania. Przez dziesięć dni umyłam włosy chyba z pięćdziesiąt razy i za każdym razem używałam świeżego

ręcznika! Myślałam, że umarłam i poszłam do nieba. Znów być z ludźmi, którzy mówili normalnie po angielsku i rozumieli zasadę działania ubikacji ze spluczką.

Dom Eebena i mój jest oczywiście dużo mniej luksusowy, ale mieszka nam się znośnie, a ja dbam o to, żeby było widać „kobiecą rękę”. Axelroot nieźle sobie radził jako pilot w Kongu, przewoził

towary szybko psujące się do miast do sprzedaży detalicznej, a poza tym działał w handlu diamentami. Pracował też dla rządu, dostawał różne tajne zlecenia, ale niewiele o tym mówi, odkąd żyjemy razem. Teraz, kiedy jesteśmy ze sobą blisko, kiedy tylko przyjdzie nam ochota, co nawiasem mówiąc, nie jest chyba takim ciężkim grzechem, kiedy na lewo i prawo ludzie się okradają, zabijają i tak dalej, w każdym razie teraz pan Axelroot nie musi się popisywać przed księżniczką swoimi wielkimi tajemnicami, żeby wydębić od niej całusa. Obecnie jego tajemnicą numer jeden jest: Napiłbym się jeszcze piwa! Chyba czujecie sprawę.

Ja jednak od początku postanowiłam, że wycisnę, co się tylko da z mojej sytuacji tutaj, w moim nowym domu w Johannesburgu. Zaczęłam się przedstawiać jako Rachel Axelroot i nikt nie musiał wiedzieć, że to pic na wodę. Zawsze uważałam na to, żeby chodzić do kościoła z ludźmi z najlepszych kręgów, i jesteśmy zapraszani na ich przyjęcia. Bardzo tego pilnuję. Nauczyłam się nawet grać w brydża! Moje tutejsze znajome z „Joburga” nauczyły mnie, jak wydawać przyjęcia, nie spuszczać oka ze służby i ogólnie jak bez większych zgrzytów zmienić stan cywilny z małżonki na cudzołżnicę. Znajome plus prenumerata „Ladies' Home Journal”. Amerykańskie czasopisma docierają do nas z takim opóźnieniem, że zawsze jesteśmy parę miesięcy do tyłu z modą. Zaczęłyśmy malować paznokcie na karmazynowo, kiedy wszystkie rozsądne kobiety przeszły już na różowy, ale co mi tam, przynajmniej wszystkie jesteśmy zacofane. A poza tym dziewczyny, z którymi się zadaję, posiadają taki rodzaj

wyrafinowania, którego nie można się nauczyć z prasy kobiecej. Zwłaszcza Robine, która jest katoliczką z Paryża i nigdy nie zjadłaby deseru tym samym widelcem, którego używała do drugiego dania. Jest żoną attache ambasadora, więc trochę się zna na dobrych manierach! Zawsze, kiedy nas zapraszają na kolację do lepszych domów, naśladuję we wszystkim Robine, bo wiem, że wtedy nie popełnię żadnej gafy.

My, dziewczyny, trzymamy się razem, i dzięki Bogu, bo mężczyźni ciągle wyjeżdżają w interesach. Jak już wspomniałam.

w przypadku Axelroota chodzi głównie o interes, na który ja powinnam mieć monopol... Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie ratował jakąś uciśnioną niewiastę, obiecując jej małżeństwo, kiedy już zainkasuje nagrodę! To byłoby w jego stylu, zjawić się z kilkoma dodatkowymi żonami i powiedzieć, że przecież tutaj są takie zwyczaje, a kiedy wejdiesz między wrony... Może jest już w Afryce tak długo, że zapomniał, że my chrześcijanie mamy swój system małżeństwa, który nazywa się monotonia.

Mimo wszystko jestem z nim dalej. Kiedy wstaję codziennie rano z łóżka, przynajmniej jestem wciąż żywa, a nie martwa jak Ruth May. Co znaczy, że słusznie postąpiłam. Czasami trzeba najpierw ocalić skórę, a dopiero później zastanawiać się nad dalszym ciągiem. Jak pisało w tej książce: Wystaw łokcie na boki, podnieś nogi i płyn z tłumem! Ostatnia rzecz, której chcesz, to zostać zdeptaną na śmierć.

Trudno jest mi sobie nawet przypomnieć, czego się spodziewałam w tym dniu, w którym wywiózł mnie z Konga swoim samolotem. Nie potrafiłam normalnie myśleć, taka byłam podniecona, że mnie zabiera z tej koszmarnej dziury zalanej błotem. Jestem pewna, że pożegnałam się z matką, ale nie pamiętam, żebym się w ogóle zastanawiała, kiedy je wszystkie zobaczę, jeśli w ogóle. Musiałam być kompletnie oszołomiona.



To zabawne, ale jedną rzecz pamiętam bardzo dokładnie. Samolot Eebena był już kilkaset metrów nad ziemią, wysoko nad chmurami, kiedy nagle przypomniałam sobie o moim kuferku małżeńskim! Wszystkie te piękne rzeczy, które zrobiłam — ręczniki z monogramami, obrus i serwetki do kompletu — to się nie wydawało w porządku, żeby wychodzić bez tego za mąż. Mimo całego mojego rozkojarzenia kazałam mu obiecać, że wróci kiedyś do Kilangi i zabierze te rzeczy z naszego domu. Oczywiście nie wrócił. Teraz zdaję sobie sprawę, jaka byłam naiwna, myśląc, że to zrobi.

Ada Price

Uniwersytet Emory, Atlanta, 1962

Powiedz całą prawdą, lecz powiedz ja\_ ze skrzywieniem, mówi moja przyjaciółka Emily Dickinson. Zresztą czy mam wybór? Jestem małym pokurczem, z obsesją na punkcie równowagi.

Postanowiłam mówić, więc mam szansę opowiedzieć. Mówienie stało się dla mnie kwestią życia i śmierci, ponieważ matka najwyraźniej straciła mowę i nie było już nikogo, kto by zaświadczył o moim miejscu na ziemi. Znów chygotałam na skraju przepaści, nad którą się znalazłam, kiedy szłam do pierwszej klasy, wybitnie uzdolniona czy klasa specjalna z ciągnącymi się za uszy Crawleyami? Nie chodzi mi o to, że towarzystwo kretyńców by mi przeszkadzało, ale musiałam uciec z Bethlehem, gdzie ściany są zbudowane z oczu ustawionych rzędami jedne na drugich jak cegły i każdy powiew powietrza tchnie kwaśnym zapachem czyichś plotek. Kiedy przyjechałyśmy do miasteczka, zgotowano nam przyjęcie godne bohaterki: miasto z utęsknieniem czekało na jakieś świeże ofiary do obgadania. A zatem hip, hip, hurra, witamy nieszczęsnych Price'ów! Tę zaskakującą Orleanę i Adę, wydziedziczone, pomyłone i bezdomne (bo nie mogłyśmy już dłużej mieszkać w pastorówce bez

pastora), skażone najmroczniejszą Afryką, przypuszczalnie poganki, które po kryjomu wróciły do miasta bez swego mężczyzny, jak para wściekłych psów.

Uznano nas za chore psychicznie. Matka dobrze przyjęła tę diagnozę. Zabrała nasze meble z przechowania do chaty z dykty na porośniętych sosnami obrzeżach miasta, wynajętej za pieniądze z niewielkiego spadku, jaki zostawił nam dziadek Wharton. Nie podłączyła tam telefonu. Zamiast tego chwyciła za motykę i przekopała każdy centymetr naszej piaszczystej dwuakrowej działki pod uprawę: orzeszków ziemnych, słodkich ziemniaków i kilkudziesięciu gatunków kwiatów. To też jest jakaś metoda na uporanie się z tragedią. Sąsiad mieszkający przy tej samej drodze bliżej miasta miał wredną gęś i wieprze, matka codziennie dźwigała gnój spod tych wieprzy w dwóch wiadrach na nosilkach,

jak porządna Afrykanka. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby postawiła sobie na głowie trzecie wiadro. W połowie lata nic nie było widać przez okno, bo zasłaniały je naparstnice i bławatki. Matka powiedziała, że zamierza postawić przy drodze stoisko z desek i sprzedawać bukiety po trzy pięćdziesiąt sztuka. Zastanawiałam się, co na to powie Bethlehem. Żona pastora została bosonogą przydrożną przekupką.

Z równym zapalem, z jakim matka studiowała katalogi nasion, ja przeglądałam katalog Uniwersytetu Emory, aby sprawdzić, jakie rysują się przede mną możliwości. Potem pojechałam Greyhoundem do Atlanty i pokuśtykałam do biura zapisów. Pozwolono mi odbyć rozmowę z niejakim doktorem Holdenem Remile'em, którego praca polegała na tym, aby zniechęcać takich ludzi jak ja do żądania rozmów z takimi ludźmi jak on. Jego biurko było olbrzymie.

Otworzyłam usta i czekałam, aż wyjdzie z nich zaplanowane przeze mnie zdanie.

— Muszę studiować u was w college'u, proszę pana. A kiedy skończę, muszę studiować medycynę na waszym uniwersytecie.

Doktor Remile był zbulwersowany, nie potrafię powiedzieć, czy moim kalectwem, czy bezczelnością, ale chyba nie tak bardzo zbulwersowany, jak ja brzmieniem mojego własnego głosu. Spytał, czy mam pieniądze, czy mam wysoką średnią na świadectwach ze szkoły średniej, czy uczyłam się w ogólniaku chemii i zaawansowanej algebry. Na wszystko miałam tylko jedną odpowiedź:

— Nie, proszę pana. — Wspomniałam jednak, że przeczytałam całkiem sporo książek.

— Czy pani wie, co to jest rachunek różniczkowo-całkowy? — spytał tonem osoby, która chowa w którejś ręce niebezpieczne narzędzie. Ponieważ wyrastałam w bezpośredniej bliskości rąk wielbnego Price'a, nie sposób mnie tą metodą wystraszyć.

— Tak, proszę pana — powiedziałam. — To jest rachunek zmian.

Zadzwoił telefon. Kiedy czekałam, aż dr Remile skończy

rozmawiać, policzyłam sumę i iloczyn liczb na dużych, ponumerowanych segregatorach, które stały u niego na półce nie w kolejności, sporządziłam wzór na ich właściwe ustawienie, które zapisałam na kartce papieru. Zwróciłam również uwagę, że nazwisko doktora czytane wspak tworzy francuskie słowo, które oznacza „znosić ubranie”, o czym również mu powiedziałam, bez obrazy, bo ubranie miał całkiem nowe.

Doktor Remile nagle zawyrokował, że jako córce kombatanta przysługuje mi stypendium rządowe. Zapisał mnie na egzaminy wstępne, na które miesiąc później znowu przyjechałam do Atlanty. Odpowiedziałam na wszystkie pytania z matematyki, opuściłam natomiast cztery ze słownictwa, które polegały na

wybraniu z grupy słów jednego nie pasującego. Zawsze miałam problemy z tego typu zadaniami. W moim widzeniu świata wszystko prawie wszędzie pasuje.

Powiedziałam prawdę: musiałam studiować na tym uniwersytecie. Musiałam uciec od Bethlehem, od mojej skóry, od mojej czaszki i upiora mojej rodziny. Nie dlatego, że wstydziłam się za matkę —jak ja, wiejski głupek, mogłabym się za nią wstydzić? Właściwie lubiłam towarzystwo jej obłąkania i na pewno je rozumiałam. Lecz matka chciała mnie pożreć jak jedzenie. Potrzebowałam mieć swój własny pokój. Potrzebowałam mieć książki i po raz pierwszy w życiu potrzebowałam wychowawców szkolnych, którzy by mi mówili każdego dnia, o czym mam myśleć.

W chemii organicznej, zoologii bezkręgowców i natchnionej symetrii genetyki Mendla znalazłam religię, która niesie ludziom pożytek. Recytuję tablicę okresową pierwiastków jak modlitwę, do egzaminów przystępuję jak do komunii świętej, a zaliczenie semestru było dla mnie jak sakrament. Mój umysł porasta las faktów. Między drzewami ciągną się rozległe polany rozpaczy. Staram się omijać, nie wychodzić z lasu.

Ponieważ nie mogę do niej zadzwonić, w weekendy jadę autobusem do Bethlehem. Pijemy herbatę i ona pokazuje mi swoje kwiaty. Najdziwniejsze jest w tym wszystkim to, że za

czasów ojca nigdy nie uprawiała ogrodu. To była jego domena, instruował nas wszystkie, że należy sadzić tylko pożyteczne rośliny, na chwałę Boga i tak dalej. Przez całe moje dzieciństwo nie mieliśmy w ogrodzie ani jednego kwiatka. Nawet mlecza. Teraz chatynka matki składa się z wierzchołka dachu tonącego w morzu różowego, niebieskiego i pomarańczowego koloru. Idąc ścieżką, trzeba się pochylić pod bujnym łukiem onętków, a potem odepchnąć na bok malwy, żeby dotrzeć do drzwi frontowych. Okazuje się, że matka ma

niezwykły talent do kwiatów. Była istnym ogrodem botanicznym, który czekał na urzeczywistnienie się.

Kiedy ją odwiedzam, niewiele mówimy i cisza sprawia nam obu ulgę. Zostało nas teraz tylko dwie, a ja jestem jej winna życie. Ona nie jest mi nic winna. A jednak zostawiłam ją i teraz jest smutna. Coś, do czego nie przywykłam. Zawsze to ja byłam tą, która poświęcała życie, zdrowie i połowę mózgu, żeby ocalić drugą połowę. Moim zwyczajem jest kuśtykać dumnie przez świat, który zaciągnął u mnie niespłacalne długi. Od dawna znajdowałam oparcie w rozkoszach męczeństwa.

Teraz ja zaciągnęłam długi, których nie mogę spłacić. Matka chwyciła mnie mocno i przeciągnęła na drugą stronę. Postanowiła, że wyrwie mnie z Afryki, nawet gdyby to miał być ostatni uczynek jej życia. I omal się nim nie okazał. Odbyło się to w następujący sposób: commercant, którego ciężarówka zjawiała się w Bulungu jak zardzewiały anioł, obiecał zawieźć nas do Leopoldville na swoich bananach, ale wkrótce zmienił zdanie i wyrzucił nas, żeby mieć miejsce na więcej bananów. Po rozmowie z jakimiś żołnierzami przy drodze nabrał przekonania, że za owoce można teraz uzyskać w mieście wyższe ceny niż za białe kobiety. A więc baby z wozu.

Szłyśmy przez dwa dni o pustych żołądkach. W nocy kładłyśmy się skulone na skraju lasu i przykrywałyśmy się liśćmi palmowymi, żeby nas żołnierze nie zauważyli. Pod wieczór drugiego dnia stanęła koło nas ciężarówka wojskowa i zostałyśmy nagle wrzucone do tyłu, gdzie wylądowałyśmy na kolanach hełmach karabinach. Żołnierze na pewno mieli wobec nas złe zamiary; skamieniałam w obliczu tej perspektywy. Lecz oczy matki, które przypominały mleczne szkło, budziły w nich strach. Byli przekonani, że opętał ją jakiś zły duch, który przejdzie na nich, jeśli jej dotkna, albo mnie. Zwłaszcza mnie. Trzymali się więc na dystans od nas obu. Telepałyśmy się w milczeniu z tyłu ciężarówki, która przejechała przez kilkadziesiąt wojskowych kontroli, a potem

zdeponowano nas przed ambasadą belgijską, do której nas wpuszczono, zanim nie zostanie ustalone, co należy z nami zrobić. Spędziłyśmy dziewiętnaście dni w lazarecie, łykając najprzeróżniejsze specjalistyczne trucizny, ponieważ miałyśmy pasożyty w jelitach, grzyba na stopach i przedramionach oraz ponadnormatywną dozę malarii.

Potem, samolotem ewakuacyjnym pełnym pracowników ONZ i chorych białych ludzi, przetransportowano nas przez długą, buczącą ciemność, w której spałyśmy snem umarłych. Kiedy buczenie ustało, usiadłyśmy i mrugałyśmy oczami jak trupy, które nagle wyrwano ze snu. W okrągłych oknach było światło. Brzuch samolotu otworzył się z jękiem i zostałyśmy wydalone jak płód na łagodne wiosenne powietrze w Fort Benning, Georgia.

Wstrząsu powrotu nie da się opisać. Pamiętam, że całą wieczność stałam i patrzyłam na równiutką żółtą linię farby na równiutkim betonowym krawężniku. Żółta żółta linia linia. Pomyślałam, ile w to wszystko włożono — ludzki wysiłek, farba, gruszka z betonem, formy do odlewania krawężnika — aby osiągnąć taki efekt. Po co? Nie bardzo potrafiłam znaleźć na to odpowiedź. Żeby żaden samochód tam nie zaparkował? Czy w Ameryce jest tyle samochodów, że trzeba je podzielić na mniej sca samochodowe i bezsamochodowe? Czy zawsze tak było, czy też rozmnożyły się pod naszą nieobecność, razem z telefonami, nowymi rodzajami butów, radiami na tranzystorach i pomidorami w celofanie?

Potem przez chwilę wpatrywałam się w sygnalizację świetlną, zawieszoną na skomplikowanym systemie drutów nad skrzyżowaniem. W mózgu mi huczało od kolorów i zsynchronizowanego ruchu metalu. Z otwartego budynku za moimi plecami szedł podmuch powietrza o neutralnym zapachu i ostrego świstu lamp

fluorescencyjnych. Chociaż byłam na zewnątrz, czułam się klaustrofobicznie. Na skraju jezdni leżało wyrzucone czasopismo, niemożliwie czyste i nieskalane. Lekki wiaterek delikatnie przewracał dla mnie strony, po kolei: oto starannie ufryzowana biała matka siedzi obok wielkiej białej pralko-suszarki, pulchnego białego dziecka i wielkiej sterty kolorowych czystych ubrań, w które można by odziać, jak mi się wydawało, całą wioskę; oto mężczyzna i kobieta trzymają między sobą flagę konfederacką na trawniku tak płaskim i gładko przystrzyżonym, że cienie tych ludzi ciągnęły się za nimi na długość zwalonego drzewa; oto blondynka w czarnej sukience, z perłami na szyi i czerwonymi paznokciami, pochyla się nad białym obrusem w stronę kieliszka wina; oto dziewczynka w nie znanych mi rodzajach ubranek tuli do serca lalkę tak czystą i zadbaną, że wydawała się do niej nie należeć; oto kobieta w płaszczu i kapeluszu. Ściska w ręce pęk dzierganych skarpet. Świat wydawał się jednocześnie zatłoczony i pusty, pozbawiony zapachów i niezwykle jasny. Dalej wpatrywałam się w sygnalizację, samochody stały na czerwonym świetle. Nagle wyskoczyła zielona strzałka w lewo i rząd samochodów pojechał w lewo jak potulne zwierzęta. Parsknęłam śmiechem. Matka tymczasem poszła dalej. Zmierzała jak w transie w stronę budki telefonicznej. Dogoniłam ją, trochę zażenowana, ponieważ stanęła na samym przedzie długiej kolejki młodych żołnierzy, którzy chcieli zadzwonić do domów. Zażądała, żeby ktoś dał jej monety potrzebne do zadzwonienia do Missisipi, i dwóch żołnierzy zrobiło to z takim pośpiechem, jakby matka była ich dowódcą. Amerykańskie monety, nowe dla mnie, mało ważyły w moich rękach. Podałam je matce, a ona wykręciła do jakichś kuzynów, którzy obiecali natychmiast po nas przyjechać, mimo że matka nie kontaktowała się z nimi od prawie dziesięciu lat. Wciąż znała na pamięć numer do nich.

„Powiedz całą prawdę, lecz powiedz ją ze skrzywieniem." Czy została jeszcze jakaś tajemnica do ujawnienia na temat naszej rodziny? Być może będę musiała znowu zapaść w niemotę, zanim

nabiorę pewności, co naprawdę wiem. Sądziłam, że mam to już dawno ustalone. Mój hymn do Boga: Zboże rogi! Nabity mu! Mój hymn do miłości: Pasjo, oj sap! O, znałam to wszystko wskroś i wspak. Odkryłam równowagę sił podczas tej długiej kongijskiej nocy, kiedy przysły żarłoczne mrówki: walenie do drzwi, mroczna krzątanina i płonące stopy, a na samym końcu Ada wlokąca swe ciało do wtóru nieustannego refrenu śpiewanego przez jej ciało: Lewą marsz... do diabła! Na zewnątrz, na światło księżyca, gdzie ziemia wrzała i gdzie matka stała jak mocno wrosnięte korzeniami drzewo pośród burzy. Matka wpatrzona we mnie, z Ruth May w ramionach, ważyła nas na przeciwległych szalach. Słodka pełnosprawna dziecinka ze złotymi loczkami i parą idealnie symetrycznych, silnych nóg czy mroczna, niema nastolatka wlokąca za sobą połowę upartego, nieskoordynowanego ciała. Która? Po zaledwie sekundzie wahania postanowiła uratować doskonałość, a zostawić kalectwo. Każdy musi wybierać.

Żywa byłam, pókim nie ujrzała zła, napisałam w swoim dzienniku. W jednej chwili żywa, w następnej umarła, ponieważ tak mój podzielony mózg prorokował świat. W Adzie było miejsce tylko na czystą miłość i czystą nienawiść. Takie życie jest przyjemne i głęboko nieskomplikowane. Od tego czasu moje życie stało się znacznie trudniejsze. Ponieważ później ona wybrała mnie. Mogła zabrać z Afryki tylko jedno żywe dziecko i ja byłam tym dzieckiem. Czy wybrałaby Ruth May, gdyby miała taką możliwość? Czy byłam dla niej nagrodą pocieszenia? Czy patrząc na mnie, rozpacza za utraconym maleństwem? Czy żyję tylko dlatego, że Ruth May umarła? Jaką prawdę mogę z przekonaniem wygłosić?



Ostatnio przegrzebałam historię Ojca Naszego. W starym kufrze pełnym jego rzeczy. Musiałam znaleźć jego zaświadczenie o demobilizacji, żeby uzyskać obniżkę chesnego. Znalazłam więcej, niż szukałam. Wbrew temu, co nam zawsze mówiono, medal przyznano mu nie za bohaterską postawę, lecz po prostu za to, że został ranny i przeżył. Za to, że uciekł z dżungli, w której wszyscy inni znaleźli śmierć. Nic więcej. Formalnie biorąc, zdemobilizowano go na honorowych warunkach, lecz nieoficjalnie łączył się z tym stygmat tchórzostwa, winy i hańby. Wielebny Price, jedyny, który przeżył z całej kompani zabitych, od tej pory maszerujących razem z nim przez całą jego drogę życiową. Nic dziwnego, że nie mógł po raz drugi uciec z dżungli. Matka opowiedziała mi część tej historii, lecz zdałam sobie sprawę, że znam ciąg dalszy. Los skazał Ojca Naszego, aby zapłacił za te życia resztą swojego, które spędził, rozpaczliwie pozując przed Bogiem, nie umarzającym żadnych długów. Ten Bóg mnie martwi. Ostatnio mnie obserwuje. We śnie nawiedza mnie Ruth May i wiele innych dzieci pochowanych blisko niej. Wołają: „Marno, mogę?”, a matki pełzają na czworakach i próbują jeść ziemię ze świeżych grobów swych maleństw. Sowy wciąż hukają i powietrze jest gęste od duchów. Oto, co wyniosłam z Konga na moich kalekich plecach. Podczas naszego siedemnastomiesięcznego pobytu w Kilandze zmarło trzydzieścioro jeden dzieci, w tym Ruth May. Dlaczego nie Ada? Nie znam odpowiedzi, która by mnie rozgrzeszała.

Przyczyny, dla których matka mnie uratowała, są chyba równie skomplikowane jak sam los. Przede wszystkim miała ograniczony wybór. Raz mnie zdradziła, raz uratowała. Los uczynił to samo z Ruth May, tylko w odwrotnej kolejności. Każda zdrada zawiera w sobie idealny moment, rzuconą monetę, orzeł i reszka, z wybitym po drugiej stronie ocaleniem. Zdrada jest moim starym znajomym, boginią o dwóch twarzach, która patrzy do przodu i do tyłu, szczerze powątpiewając w pomyślność losu. Zawsze uważałam, że zostanę

z tego powodu trzeźwym naukowcem. Jak się wszakże okazuje, zdrada może również zrodzić pokutników, cwanych drobnych politykierów i mary. Wydaje się, że nasza rodzina wyprodukowała po jednym egzemplarzu z każdej z tych kategorii.

Wynieść na plecach, zaprowadzić do ołtarza, wywieźć promem, zakopać do ziemi: na te cztery sposoby odbył się nasz exodus. Chociaż prawdę powiedziawszy żadna z nas nie przeprawiła się bezpiecznie na drugą stronę, oczywiście z wyjątkiem Ruth May. Musimy poczekać na wiadomości od niej.

Płynęłam promem. Aż do tego ranka, kiedy wszystkie pojechałyśmy na brzeg rzeki, sądziłam, że matka zabierze Leę, a nie mnie. Leę, która mimo malarycznej gorączki wsiadła do pirogi, żeby posłużyć jako przeciwwaga dla akumulatora. Jak zwykle przyćmiła mnie swoim heroizmem. Lecz kiedy patrzyłyśmy, jak piroga przecina Kwenge, matka tak mocno chwyciła mnie za rękę, że zrozumiałam, iż zostałam wybrana. Że wyciągnie mnie z Afryki, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobi w swoim życiu jako matka. I chyba była.

Lea Price

Mission Notre Danie de Douleurs, 1964

La demineuse, tak nazywają mnie tutaj zakonnice. Saperka. Nie dlatego, że mój habit włóczy się po ziemi. Noszę pod niego spodnie i często wsadzam go sobie za pasek, aby móc szybciej się poruszać albo wspiąć się na drzewo z łukiem i ustrzelić trochę mięsa, które, jak sądzę, z wdzięcznością przyjmują. Widzę jednak w ich oczach, że ich zdaniem mam za dużo wigoru jak na obecne okoliczności. Nawet sour Therese, która jest dla mnie kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciółki tu w Wielkim Milczeniu, naznaczyła mnie jako czarną owcę pośród tego śnieżnobiałego stada, żądając, abym nosiła wyłącznie

brązowy kolor. Kieruje szpitalną pralnią i twierdzi, że jestem beznadziejnym przypadkiem, jeśli chodzi o biały kolor.

— Liselin! — sztorcuje mnie, podnosząc do góry mój szkaplerz poplamiony krwią jakiegoś stworzenia, jakiegoś kota, którego obdarłam ze skóry.

— Przypadłość kobieca? — sugeruję, ona zaś krzywi się czerwona na twarzy i oznajmia, że jestem de trop. Ja jednak rozglądam się wokół siebie i zadaję sobie pytanie, czy w obecnych okolicznościach można mieć za dużo wigoru.

Liselin to ja: Soeur Liselin, nieszczęśnica, którą przeszmyglowano pod osłonąciemności, udzielono azylu na nieokreślony czas uwięzienia jej narzeczonego, zawinięto w zbyt wiele warstw

plótna i poślubiono Bogu, aby ukryć jej panięskie nazwisko. Mam nadzieję, że On mnie rozumie, kiedy modlę się, aby nasze małżeństwo nie trwało wiecznie. Siostry wydają się zapominać, że nie jestem jedną z nich, chociaż wiedzą, jak się tu dostałam. Therese każe mi opowiadać ze szczegółami o moich przygodach i otwiera szeroko swoje szare oczy. Tę zaledwie dwudziestoletnią dziewczynę, która tysiące mil od łąk Francji pierze opatrunki trędotowych i kobiet po strasznych poronieniach, elektryzuje opowieść o mojej wiszącej na włosku ucieczce. A może fakt, że uczyniłam to razem z Anatole'em. Kiedy jesteśmy same w parnej i dusznej pralni, pyta mnie, po czym poznaję, że jestem zakochana.

— Na pewno jestem zakochana. Co innego może człowiekowi na tyle odebrać rozum, żeby narażał setki ludzi na niebezpieczeństwo?

To prawda, tak właśnie było. Kiedy wreszcie przebudziłam się w Bulungu ze stanu odurzonego letargu, zobaczyłam, jakim byłam ciężarem, nie tylko ze

względu nafufu z sosem rybnym, które jadłam dzień po dniu, ale również jako cudzoziemka w oku cyklonu. Armia Mobutu zdążyła zasłynać z bezwzględności i nieprzewidywalności. Bulungu mogło zostać oskarżone o cokolwiek za przechowywanie mnie. Bulungu mogło zostać spalone bez podania jakiegokolwiek powodu. Wszyscy szybko się uczyli, najlepsza strategia polegała na tym, żeby pozostać niewidzialnym. Jednak o mojej obecności wiedzano w całej okolicy: byłam jaskrawą flagą łopoczącą na wysokim maszcie przez wszystkie te miesiące choroby i nieświadomości, zwykła zakochana dziewczyna, centrum mego własnego wszechświata. Wreszcie usiadłam i zobaczyłam, że słońce wciąż podnosi się na wschodzie, ale wszystko inne się zmieniło. Błagałam Anatole'a, aby posłał mnie gdzieś, gdzie nie byłabym zagrożeniem dla innych, lecz on nie chciał, abym podróżowała sama. Mówił, że nie mam się czego wstydzić. On sam nadstawiał swoją prolumumbowską głowę, aby pozostać blisko mnie, lecz powiedział, że teraz wielu ludzi naraża życie dla tego, co kochają lub po prostu znają. Wkrótce stąd wyjedziemy, obiecał, i to wyjedziemy razem.

Przyjaciele przygotowali dla nas plany, między innymi ludzie z Kilangi, których nigdy bym nie podejrzewała o to, że zechcą się tak narażać dla Anatole'a. Na przykład Tata Boanda. W jasnoczerwonych spodniach i całym rynsztunku przyszedł któregoś wieczoru piechotą, niosąc na głowie walizkę. Miał dla nas pieniądze, które, jak twierdził, należały się mojemu ojcu, ale to wątpliwe. Walizka była nasza, a w niej sukienka, zeszyt do kolorowania Ruth May, obrusy z kufereków małżeńskich, mój łuk i strzały. Ktoś w Kilandze ocalił dla nas te cenne rzeczy. Inna możliwość to, że kobiety, które przeszukały nasz dom, nie chciały tych przedmiotów, chociaż łuk na pewno komuś by się w wiosce przydał. I wreszcie trzecia hipoteza: zdeprymowane faktem, że Jezus nie zdołał nas ochronić, postanowiły nie tykać tego wszystkiego.

Wiadomości na temat ojca nie były pomyślne. Mieszkał sam. Nie pomyślałam o tym wcześniej — kto mu będzie gotował? Nigdy nie wyobrażałam sobie ojca bez kobiet, które by się o niego troszczyły. Teraz nosił ponoć brodę, włosy miał skudlone i toczył rozpaczliwe zmagania z niedożywieniem i pasożytami. Nasz dom spłonął, za co winę ponosił duch matki lub psotność wioskowych dzieci, chociaż Tata Boanda dopuszczał też możliwość, że sprawcą pożaru był sam ojciec, który próbował upiec mięso nad lampą naftową. Ojciec przeniósł się do chaty w lesie, którą nazywał Nowym Kościołem Życia Wiecznego, Jezus Jest Bangala. Choć brzmi to obiecująco, nie znalazł zbyt wielu amatorów. Ludzie chcieli się najpierw przekonać, jak dobrze Jezus będzie chronił Tatę Price'a, który musiał sobie teraz radzić bez pomocy przywożonej z zewnątrz samolotem, a nawet bez kobiet. Na razie nie wyglądało na to, aby cieszył się szczególnymi względami Jezusa. Poza tym jego kościół był zbyt blisko cmentarza.

Tata Boanda powiedział mi z autentyczną życzliwością, że Ruth May jest w Kilandze oplakiwana. Tata Ndu zagroził Tacie Kuvudundu wygnaniem za podrzucenie węża do naszego kurnika. Wiedziano, że to on zrobił, ponieważ Nelson pokazał ślady stóp wielu świadkom. Na Kilangę spadły najróżniejsze kłopoty. Prolumumbiści spośród uczniów Anatole'a wdawali się z zbrojne

potyczki z pozostałościami armii narodowej, obecnie armii Mobutu, trochę dalej na południe nad rzeką. Ostrzegano nas, że podróż w którymkolwiek kierunku będzie trudna.

Trudna to i tak za mało powiedziane. Nawet kiedy deszcze ustały, ledwo dało się dojść pieszo nad Kwenge. Stamtąd planowaliśmy dostać się promem do Stanleyville, gdzie Lumumba wciąż cieszy się ogromnym poparciem. Anatole miał tam wiele rzeczy do zrobienia, a poza tym sądził, że będziemy tam bezpieczni. Pieniądze przyniesione przez Tatę Boandę po prostu spadły nam z nieba. Była tego niewielka suma, ale w twardej belgijskiej walucie. Pieniądze

kongijskie z dnia na dzień stały się bezużyteczne. Za milion różowych kongijskich banknotów nie opłacilibyśmy przewozu promem.

Wszystko działało się według tego samego schematu: ziemia przesuwała się podczas naszego snu i codziennie rano stawały nam przed oczyma kolejne straszne niespodzianki. W Stanleyville szybko sobie uświadomiłam, że jestem ciężarem, jeszcze bardziej niż w Bulungu. Widok białej skóry budził w ludziach wściekłość, a mnie starczało rozsądku, żeby rozumieć jej przyczyny. Stracili swego bohatera w przetargach pomiędzy cudzoziemcami a Mobutu. Anatole zawijał mnie w batikowe pagnes, abym mogła udawać kongijską matronę, a jednocześnie próbował mnie ocalić przed wpadnięciem pod samochód. Prawie że mdlałam w tym młynie, jakim było Stanleyville — ludzie, samochody, zwierzęta na ulicy, surowe spojrzenie okien wysokich betonowych budynków. Nie wychyliłam nosa poza dżunglę od czasu podróży z ojcem do Leopoldville, nie potrafiłam powiedzieć, czy to było rok, czy sto lat temu.

Anatole natychmiast podjął starania o wyjazd z miasta. Z tyłu ciężarówki znajomego, przykryci liśćmi manioku, opuściliśmy Stanleyville późnym wieczorem i przekroczyliśmy granicę z Republiką Środkowoafrykańską koło Bangassou. Dostarczono mnie do tej misji głęboko w dżungli, gdzie otoczona troskliwą neutralnością zakonnicy, złachmaniona nowicjuszka Soeur Liselin może spędzić kilka miesięcy incognito. Nie zadając żadnych

pytań, matka przełożona zaprosiła Anatole'a i mnie, abyśmy spędzili naszą ostatnią noc razem w małej, ascetycznie urządzonej celi. Moja wdzięczność wobec niej pozwoliła mi pokonać sporą odległość na trudnej drodze.

Therese pochyla się ku mnie i wbija we mnie wzrok, jej brwi przybierają kształt akcentów nad literkami w jej imieniu.

— Liselin, co ty sobie masz do zarzucenia? Czy on cię wszędzie dotykał?

Spodziewaliśmy się, że będziemy rozdzieleni przez sześć do ośmiu tygodni, przez ten czas Anatole miał pracować z lumumbistami nad ponownym wcieleniem w życie planu ich obalonego przywódcy, którego celem było zapewnienie krajowi pokoju i dostatku. Byliśmy do tego stopnia naiwni. Anatole został zatrzymany przez policję Mobutu, zanim zdążył dotrzeć do Stanleyville. Mojego ukochanego przesłuchano do wtóru muzyki złamanego żebra, zabrano do Leopoldville i uwięziono na zaszczurzonym dziedzińcu niegdyś luksusowej ambasady. Przedłużona rozłąka jak na razie korzystnie wpłynęła na moją miłość do Anatole'a, znajomość gramatyki francuskiej i zdolność do życia w niepewności. Nareszcie, zwierzyłam się Therese, rozumiem subjonctif.

Drzę na myśl, co powiedziałby ojciec, gdyby zobaczył mnie zamelinowaną pośród stada papistek. Spędzam dni na tyle produktywnie, na ile potrafię: staram się utrzymać higienę, poprawić celność i trzymać usta zasznurowane od jutrzni do śniadania. Próbuję się nauczyć sztuczki, która nosi nazwę cierpliwość. Co kilka tygodni dostaję list z Leopoldville, który ratuje mnie przed pograżeniem się w rozpacz. Serce mi wali jak szalone, kiedy widzę długą niebieską kopertę w ręku którejś z sióstr, doręczaną mi ukradkiem, jakby on sam był w środku. Ach, to od niego, wciąż słodko-gorzkiego, mądrego, a przede wszystkim żywego. Piszczę z radości, nie mogę się powstrzymać, i wybiegam na dziedziniec, aby posmakować go bez świadków, jak kot ze skradzionym kurczakiem. Pochylam twarz ku chłodnej ścianie i całuję jej stare kamienie, oddając cześć mej niewoli, gdyż tylko dzięki mojemu byciu tutaj, a jego w więzieniu, mamy szansę znów zejść się ze

sobą. Wiem, że on nie znosi być nieużyteczny, siedzieć beczynn timer, kiedy wojna nam ucieka. Wiem jednak, że gdyby Anatole był teraz na wolności, to dałby się zabić. Jeśli niewola wywiera szkodliwy wpływ na jego psychikę, to mam przynajmniej nadzieję, że jego ciało dotrze do mnie nienaruszone, a resztą zajmę się później.

Zakonnice wyszpiewowały mnie tam i powiedziały mi, że wstrząsnę w posadach ich instytucją. Są przyzwyczajone do ognia karabinów i trądu, lecz nie do prawdziwej miłości.

Jest oczywiste, że zostanę tutaj przez jakiś czas, toteż matka Marie-Pierre wyznaczyła mnie do pracy w klinice. Jeśli nie potrafię do końca uchwycić sensu ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, to mogę się przynajmniej czegoś nauczyć o środkach czerwiopędnych, porodach pośladowych, ranach od strzał, gangrenie i słońiowaciźnie. Prawie wszyscy pacjenci są młodsi ode mnie. Profilaktyków, które nie pozwalają osiągnąć starości, jest tutaj pod dostatkiem. Nasze zaopatrzenie przychodzi od francuskiej katolickiej Secours, a czasami po prostu znikąd. Któregoś razu posłaniec na rowerze przytelepał się ścieżką przez dżunglę z dwunastoma fiolkami antytoksyny przeciw jadowi żmii, każda była osobno zapakowana do puzderka na biżuterię — zdumiewający skarb, którego dziejów nigdy byśmy nie potrafiły odgadnąć. Chłopak powiedział, że dar pochodzi od lekarza ze Stanleyville, którego ewakuowano. Pomyślałam o belgijskim lekarzu, który zakładał gips Ruth May i postanowiłam uwierzyć, że Ruth May też w jakiś sposób miała swój udział w tym podarunku. Zakonnice zwyczajnie podziękowały Bogu i przystąpiły do ratowania życia dwunastu ludziom ukąszonym przez węże. Więcej, niż my straciliśmy.

Dzięki rozmawianiu z pacjentami zaczęłam w miarę biegle posługiwać się językiem lingala, używanym w całym północnym Kongu, w Leopoldville i wzdłuż większości spławnych rzek. Jeżeli Anatole kiedykolwiek po mnie wróci, będę przygotowana do zamieszkania niemal wszędzie. Ale potem mija miesiąc bez listu i nabieram pewności, że dał się pokonać śmierci albo odnalazł swe wzniosłe ideały i poczucie, że trzeba trzymać się z dala

od mocno zabłąkanej białej dziewczyny, że odszedł na zawsze. Że jest dla mnie równie stracony jak moja siostrzyczka, o mój Boże, Ruth May. I Ada, Rachel, matka i ojciec, wszyscy odeszli. Jaki jest sens mojego bycia tutaj, bez



nazwiska i paszportu, powtarzająca jak papuga „Jak się czujesz?” w lingala? Próbuję uzyskać jakieś wyjaśnienie od Boga, ale żadne nie nadchodzi. Wieczorami siedzimy w refektarzu z rękami na kolanach wpatrzone w radio, naszego małego, surowego pana. Słyszemy jedną straszną wiadomość za drugą, nie mogąc nic zadziałać. Wolne Kongo, które było tak blisko, teraz upada. Cóż mogę zrobić innego, jak tylko rzucić różańcem o ścianę celi i ślubować przemoc? Zakonnice są takie cierpliwe. Spędziły tutaj dziesiątki lat na przedłużaniu krótkiego życia niedożywionych, zupełnie się oswoiły z tragedią, która nas otacza. Lecz na widok ich oczu, które ani mrugną, ujęte w ramy wykrochmalony eh barbetów, chce mi się krzyknąć: „To się nie dzieje z woli Bożej!” Jak ktokolwiek, nawet Bóg mający na głowie tyle innych trosk, mógłby pozwolić na coś takiego?

— Ce nest pas a nous — mówi Therese, nie nam kwestionować. Równie przekonujące, jak okrzyki Matuzalema: „Siostró, Bóg jest wielki! Zamknij drzwi!”

— Już to słyszałam — powiedziałam jej. — Jestem pewna, że Kongijczycy słyszeli to codziennie przez sto lat, odkąd musieli znosić obecność Belgów. Teraz, kiedy zyskali szansę, aby powalczyć o swoje, my siedzimy i patrzymy, jak ta szansa rodzi się martwa. Tak samo jak to dziecko, które dziś rano wyszło sine z tej kobiety chorej na tężec.

— To okropne porównanie.

— Ale prawdziwe!

Wzdycha i powtarza to, co już mi wcześniej powiedziała. Siostry nie biorą udziału w wojnie, lecz muszą spróbować zachować w sercu miłosierdzie nawet dla wroga.

— Ale kim jest ten wróg? Powiedz mi przynajmniej tyle, Therese. Której strony starasz się nie nienawidzić, białych czy Afryki?

Rozkłada prześcieradło szeroko i bierze środek w zęby, żeby złożyć je na pół. A także żeby nie musiała nic mówić.

— Walczyłabym po stronie Simbów, gdyby mi pozwolili — przyznałam się jej kiedyś.

Therese patrzy na mnie czasem spod oka takim dziwnym wzrokiem, że zadaję sobie pytanie, czy nie złożyła ślubów zbyt pochopnie. Pociąga ją saperstwo.

— Celnie strzelasz i masz mocne nerwy — powiedziała mi zza składanego prześcieradła. — Przyłącz się do nich.

— Myślisz, że żartuję.

Przerwała pracę i spojrzała na mnie poważnym wzrokiem.

— Non, ce n 'est pas wie blague. Ale twoje miejsce nie jest u boku walczących Simbów, nawet gdybyś była mężczyzną. Jesteś biała. To ich wojna i co się stanie, to się stanie.

— Ta wojna nie jest tylko ich, tak samo jak nie dzieje się z woli Bożej. To jest sprawka tych przeklętych Belgów i Amerykanów.

— Matka przełożona wymyłaby ci usta detergentem.

— Matka przełożona ma pilniejsze zadania dla swojego detergentu. — Którego przydałoby się jej kilka razy więcej, pomyślałam. W odosobnieniu mojej małej celi przeklęłam wielu mężczyzn, w tym prezydenta Eisenhowera, króla Leopolda i mojego ojca. Przeklinam ich za wtrącenie mnie w wir wojny, w której biała skóra znajduje się po niesłusznej stronie, koniec kropka.

— Jeżeli Bóg rzeczywiście ma swój udział w tych sprawach — poinformowałam Therese—to kpi sobie z nadziei na braterską miłość. Sprawia, że kolor skóry zawsze będzie miał znaczenie. — Nie mając już sobie nic więcej do powiedzenia — ona, pobożna wiejska dziewczyna i ja, saperka — składałyśmy pościel i nasze habity w różnych kolorach.

Simbowie zastrzeliliby mnie, gdyby mnie tylko zobaczyli, to prawda. Są armią czystej rozpacz i nienawiści. Młodzi chłopcy ze Stanleyville i starcy z wiosek, każdy, kto miał pod ręką karabin lub maczetę, zeszli się razem. Zawiązują sobie nkisis z liści wokół nadgarstków i oznajmniają, że są niewrażliwi na kule, odporni na śmierć. Co jest prawdą, mówi Anatole, „bo jak można zabić coś,

co już nie żyje?" Słyszałyśmy, jak ostrzyli sobie zęby i szturmowali swych najeźdźców w północno-wschodnim Kongu, żywiąc się wyłącznie nienawiścią. Trzydziestu białych zabitych w Stanley, w tym dwóch Amerykanów — słyszałyśmy to na krótkich falach i wiedziałyśmy, co to oznacza. Zanim zapadnie zmrok, ONZ ogłosi swoją odpowiedź, atak z powietrza i lądu. Połączone Siły, tak nazywają tę napastniczą armię: USA, Belgia i najemnicy, pozostałość z Zatoki Świń. Przez następne tygodnie słyszałyśmy jeszcze sto razy o białych zabitych przez Simbów w Stanleyville. W trzech językach — w Radio France, BBC i audycjach nadawanych przez Mobutu w lingala z Leopoldville — wiadomości były zawsze takie same. Tych trzydziestu białych ludzi, pokój ich duszom, opłaciło swym życiem całą inwazję przeciwko zwolennikom niepodległości. Ilu Kongijczyków zabili Belgowie katorżniczą pracą i głodem, kulami specjalnej policji i teraz żołnierzy ONZ, tego nigdy się nie dowiemy. Nikt ich nie policzy. Albo policzy za nic, jeśli to możliwe.

W noc, kiedy przyleciały helikoptery, wibracje powytrząsały nas z łóżek. Myślałam, że stary kamienny konwent się wali. Wybiegłyśmy na zewnątrz,

podmuch śmigła uderzał w nas spod drzew, ubijał nasze białe koszule nocne na pianę. Siostry okazały swoją konsternację, przeżegnały się i wróciły do łóżek. Ja nie mogłam. Siedziałam na ziemi, opasałam kolana ramionami i rozplakałam się, chyba po raz pierwszy, odkąd zaczął się czas. Szlochałam z otwartymi ustami, wylewając łzy nad Ruth May, bezużytecznym ugorem naszych pomysłów i wszystkim, co się teraz stanie, nad wszystkimi, którzy już umarli lub dopiero umrą, znanymi mi i nie znanymi, nad każdym pozbawionym nadziei kongijskim dzieckiem. Czułam, że rozsypuję się — że rano mogą po mnie zostać tylko kości rozpuszczone w kwaśnej glebie ogródka warzywnego sióstr. Sterta kości, nic więcej: przyszłość, którą kiedyś przepowiedziałam.

Aby wziąć się w garść, próbowałam płakać nad czymś znośniej szym. Wybrałam Anatole'a. Uklękłam przed naszą odrapaną figurką Marii Panny i próbowałam się modlić za mego przyszłego

męża. O szansę. O szczęście i miłość, o możliwość posiadania dzieci, skoro nie można wprost modlić się o seks. Stwierdziłam, że ledwo pamiętam twarz Anatole'a i w ogóle nie potrafię sobie wyobrazić Boga. Wyglądał tak samo jak mój ojciec. Potem próbowałam wyobrazić sobie Jezusa w ciele brata Fowlesa. Tata Bidibidi, z jego dobrą, ładną żoną i ich mało bezpieczną łodzią, rozdają dzieciom nad rzeką mleko w proszku, chininę i miłość. Skupić się na Stworzeniu, brzmiała jego rada. Niestety, palmy na naszym podwórzu były poszarpane i spłaszczzone od podmuchów śmigieł helikopterów i wyglądały na zbyt zgnębione przez wojnę, aby wysłuchać moich modlitw. Skierowałam więc uwagę na mocne mury klasztoru i modliłam się wprost do czarnych kamieni. Błagałam je: „Proszę, żeby były takie mocne mury wokół Anatole'a. Proszę, niech podpierają dach, który nie pozwoli, aby spadło na Anatole'a to straszne niebo”. Modliłam się do starych, czarnych afrykańskich kamieni wykopanych ze starej, czarnej ziemi, która zawsze tu była. Jedna solidna rzecz, w którą można wierzyć.

Rachel Axelroot

Johannesburg, 1964

Gdybym wiedziała, co to jest małżeństwo, to, kurtka na wacie, chyba bym związała razem wszystkie hafty z mojego kuferka i powiesiła się na drzewie!

Samo to, że mieszkam w Południowej Afryce, nie przeszkadza mi. Prawie nie czuję się tutaj jak w obcym kraju. Można dostać w sklepach absolutnie wszystko, czego potrzeba: szampon Breck Special Formulated, mleczko na nadkwasotę Phillipsa, zupę pomidorową Campbella, naprawdę wszystko! Krajobrazy są piękne, zwłaszcza jak się jedzie pociągiem na plażę. Moje koleżanki i ja uwielbiamy zapakować do koszyka szampana i herbatniki Toblera (które są ciasteczkami, a nie słonymi krakersami jak w Ameryce — wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy kupiłam parę opakowań, żeby je podać do sosu spod mięsa!), a potem pojechać gdzieś za miasto i popatrzeć na falujące zielone wzgórza. Oczywiście trzeba odwracać głowę, kiedy pociąg przejeżdża przez dzielnice murzyńskie, ponieważ tam ludzie nie mają żadnego wyobrażenia, co to jest ładny krajobraz. Budują swoje domy z kawałka zardzewiałej blachy albo boku drewnianej skrzynki — i to stroną z napisami na zewnątrz, żeby każdy mógł sobie przeczytać! Ale trzeba zrozumieć, że oni tutaj mają inną etykę niż my. To należy do tutejszego obyczaju: wyrozumiałość dla różnic.

Poza tym ten kraj jest dosyć podobny do tego, co widzi się wszędzie. Nawet pogoda jest bardzo typowa. Zawsze uważałam, że ludzie z innych krajów po prostu nie mają pojęcia, że Afryka może być taka normalna. Trochę mnie wkurza tylko jedna rzecz, że ponieważ równik jest nad nami, to pory roku są odwrócone. Ale czy ja narzekam? Kurza melodia, nie, po prostu ubieram choinkę w środku lata, śpiewam Jingle Bells, piję martini na patio i nie myślę o tym więcej. Łatwo się do wszystkiego przystosowuję. Nie przeszkadza mi nawet, że muszę mówić do służącej w afrikaans, który jest praktycznie taki sam

jak angielski, kiedy się już człowiek w tym połapie. Zwłaszcza że wydają w nim tylko polecenia, które są mniej więcej takie same w każdym języku. A jeśli usłyszysz się w radio „nuus”, to każdy głupi by się domyślił, że chodzi o „news”. Więc po prostu wstaję i przełączam na angielską stację!

Ogólnie biorąc, mam dobre życie. Zostawiłam przeszłość za sobą i nawet o niej nie myślę. Czy mam rodzinę? Czasami muszę się nad tym chwilę zastanowić. Czy mam matkę, ojca i siostry? Czyja w ogóle skądś pochodzę? Bo wydaje mi się, że nie. Wydaje mi się, że jestem tutaj i zawsze byłam. Mam maleńkie zdjęcie moich sióstr i mnie wycięte w kształcie serca, które akurat miałam w złotym medalionie na szyi, kiedy wylatywałam z tego nieszczęsnego Konga. Czasami je wyjmuję i patrzę na te maleńkie smutne białe twarze, próbując znaleźć na zdjęciu siebie. To jedyny moment, kiedy myślę o tym, że Ruth May nie żyje. Co, jak wcześniej powiedziałam, stało się z winy Lei, ale tak naprawdę

to była głównie wina ojca, bo reszta z nas musiała robić wszystko, co nam kazał. Gdyby to ode mnie zależało, to moja noga nigdy by nie powstała w tym kłębiącym się od węży miejscu. Siedziałabym w domu i pozwoliłabym innym bawić się w misjonarzy, jeśli mają ochotę — daj Boże zdrowie! Ale zdjęcie jest tak małe, że muszę je sobie przysuwać prawie pod sam nos, żeby rozpoznać, kto jest kto. Oczy mnie od tego boją, więc przez większość czasu leży w szufladzie.

Jak już powiedziałam, ogólnie biorąc, jestem zadowolona z mojej obecnej sytuacji. Moje nieszczęścia biorą się z czego innego: z mojego małżeństwa. Nie istnieje wystarczająco ostre słowo na określenie Eebena Axelroota. Który, spieszę dodać, wciąż nie stanął ze mną na ślubnym kobiercu. Traktuje mnie jak swoją niewolnicę-kochankę-posługaczkę, z którą wytarza się w sianie, kiedy przyjdzie mu ochota, a potem znika Bóg wie gdzie na całe miesiące, zostawia mnie samą w najlepszym okresie mojego życia. Ale kiedy grożę, że od niego odejdę, nazywa mnie swoim małym bogatym biedactwem (gdybyśmy

rzeczywiście byli bogaci, to byłaby zupełnie inna historia) i mówi, że nie mogę od niego odejść, bo żadnego ze znanych nam mężczyzn nie byłoby stać na to, żeby mnie utrzymać! To jest zupełnie niesprawiedliwe. Wszyscy nasi znajomi mają ładniejsze domy od nas. Eeben dostał dużo pieniędzy za swoją służbę w Kongu, na zagospodarowanie, można powiedzieć, ale czy ja je widziałam na oczy? Nie, proszę ja kogo, a patrzyłam pod materacem, bo to jest tego typu człowiek. Faktycznie trzyma tam pistolet. Mówi, że zainwestował pieniądze. Twierdzi, że znów się zaangażował w wydobycie diamentów w Kongu i ma wielu zagranicznych partnerów, ale dalej trzeba mu codziennie przypominać, żeby wziął kąpiel. Więc nawet jeśli ma zagranicznych partnerów, to nie są to raczej ludzie z dobrego towarzystwa. Powiedziałam mu to, a on podniósł na chwilę głowę znad butelki piwa, żeby sobie ze mnie zaszydzić. Powiedział: „Kochanie, twoja sprawność intelektualna jest nie z tego świata”. Chodziło mu o próżnię przestrzeni kosmicznej, ha ha. Jego ulubiony dowcip. Powiedział, że mój

mózg jest jak czysta tabliczka, mógłby mi powiedzieć wszystkie tajemnice państwowe, które zna, a potem bez żadnych obaw zaprowadzić mnie prosto do Amnezja International. Powiedział, że rząd powinien mnie wynająć, żebym pracowała dla drugiej strony. To nie są przekomarzanki zakochanych. On mówi te rzeczy i śmieje mi się prosto w twarz! Wylałam tyle łez, że bałam się, że sobie cerę zrujnuję.

Ale to już skończone. Czekam cierpliwie i trzymam oczy szeroko otwarte, a kiedy go nie ma, używam sobie na nim ile wlezie do lustra, tak jak kiedyś robiłam z ojcem. Czekaj, jeszcze się przekonasz, czyj mózg jest czystą tabliczką, mówię mu.

Niedługo Rachel Price będzie miała swój dzień. Mam w rękawie asa, o którym nie pisałam ani słowem absolutnie nikomu, mimo że jest to najszczęśliwsza prawda: omotałam ambasadora.

Faktycznie Daniel jest pierwszym attache, ale wszyscy Francuzi to są ludzie z o wiele większą klasą, niezależnie od stanowiska. Jak już powiedziałam, spotykamy się z samą śmietanką towarzyską u Templetonów, którzy organizują boskie przyjęcianaspodzianki. „Przyjdźcie na kieliszeczek i baa", czyli na grilla, zawsze tak mówimy w Johannesburgu. Na tych przyjęciach panują supermiędzynarodowe klimaty: szkocka whisky, amerykańskie longplaye i plotki z ambasad. Po tej historii z premierem, któremu strzelili w głowę, podjęto energiczne kroki przeciwko Murzynom, co było absolutnie konieczne, ale doprowadziło do nieporozumień w wielu zagranicznych ambasadach. Zwłaszcza państwo francuskie zaczęło się strasznie nadymać i grozić, że wycofa wszystkich swoich przedstawicieli z Afryki. Od tygodni jest mowa o tym, że Daniela przeniosą do Brazzaville. Ta jego Francuzeczka żona, Robine, w życiu się na to nie zgodzi, to jasne jak słońce. Słynie z tego, że pod najdrobniejszym pretekstem zwalnia swoje służące, a wszystko, co się znajduje poza cywilizowanym światem Johannesburga, to dla niej najczarniejsza Afryka. Ona i Daniel byli na granicy zerwania ze sobą, jeszcze zanim się o tym dowiedzieli. Więc dostrzegłam szansę dla siebie, można powiedzieć.

— Ona sama nie wie, jaka z niej szczęściara — szepnęłam mu do ucha. — Zdradzę ci pewną tajemnicę. Gdyby to o mnie chodziło, pojechałabym z tobą, zanim baran zdążyłby dwa razy machnąć ogonem. — To było dwa tygodnie temu w sobotę, u Templetonów, gdzie tańczyliśmy nad basenem do piosenki zespołu Four Seasons Big Girls Don 't Cry. Zapamiętałam, że to była ta piosenka, bo tego samego ranka dowiedziałam się o kolejnej flaminie Axelroota, ale jestem już dużą dziewczyną, więc upięłam włosy, poszłam do centrum i kupiłam sobie nowy dwuczęściowy kostium kąpielowy w jaskrawym czerwonym kolorze. Żeby zabezpieczyć sobie tyły, jak ja to nazywam. Jak piszą w gazetach: „Nie wkładaj na siebie nic prócz uśmiechu i kostiumu kąpielowego Jantzena!" Dokładnie tak było dwa tygodnie temu na przyjęciu u Templetonów.



— Po tym, co przeszłam w Kongu — zagruchałam do Daniela — żyłabym w Brazaville z uśmiechem na ustach.

I zgadnijcie, co: właśnie to mnie czeka! Mogę właściwie zacząć pakować walizki i wziąć miarę na sukienkę u Diora. Z tym, co wiem o tym człowieku, mogę sobie go owinąć wokół małego palca. A to, co on ze mną wyprawiał... Mężczyzna nie jest zdolny do takich rzeczy, jeśli nie kierują nim pewne uczucia. Mogę powiedzieć z całą pewnością, że wkrótce będę panią wiceambasadorową DuPree. A Eeben Axelroot zostanie na lodzie bez nikogo, kto pozbierałby po nim skarpetki, nie licząc pokojówki. A Daniel, mój najdroższy, nigdy się nawet nie dowie, o co w tym wszystkim poszło.

Lea Price Ngemba

Bikoki Station, 17 stycznia 1965

Bywa tu zimno, w porannej mgle podczas pory suchej. A może to tylko mnie jest zimno. Może krew mi się rozrzedziła, ojciec oskarżał nas o tę przypadłość, kiedy narzekałyśmy na chłodne zimy w Georgii. Tutaj z pewnością nie ma zimy: równik przebiega mniej

więcej przez nasze łóżko. Anatole mówi mi, że przechodzę z półkuli północnej na południową za każdym razem, gdy idę rozpalić ogień w chacie kuchennej, więc powinnam uważać się za obieżyświata, chociaż w tych dniach opuszczenie stacji jest prawie niemożliwe.

Smutna i bezlitosna prawda jest taka, że ten dzień mrozi mnie do szpiku kości. Próbuję nie zwracać uwagi na miesiąc i datę, ale kwitnące poinsecje obwieszczają mi, że ten dzień zbliża się nieubłaganie i 17 stycznia zbudzę się zbyt wcześnie, z bólem w piersiach. Dlaczego musiałam powiedzieć: „Która odważy się pójść ze mną?” Znałam ją przecież i wiedziałam, że nigdy nie mogła znieść, kiedy ktoś nazywał ją tchórzem, zwłaszcza kiedy to była jej siostra.

Jest to ponura rocznica u nas w domu. Zabiłam węża tego ranka, poszlachtowałam go maczetą na trzy kawałki i rzuciłam je wszystkie na drzewa. Był to duży czarny gad, który czaił się koło naszych tylnych drzwi od końca pory deszczowej. Anatole wyszedł na zewnątrz i mlasnął językiem na widok moich dokonań.

— Wąż nie robił nic złego, Beene.

— Przepraszam, ale zbudziłam się tego ranka z pragnieniem zemsty, oko za oko.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że wąż wszedł mi w drogę w pechowy dla siebie dzień.

— Zjadał mnóstwo szczurów. Teraz znajdziesz je w naszym manioku.

— Czarne czy białe? Nie jestem pewna, czy wiem, o które chodzi.

Przyglądał mi się przez dłuższy czas, próbując mnie rozgryźć. Wreszcie zapytał:

— Dlaczego uważasz, że twój smutek jest taki wyjątkowy? W Kilandze codziennie umierały dzieci. Do tej pory umierają.

— Och, jak mogłam o tym zapomnieć, Anatole'u. Była tylko jednym z miliona ludzi, którzy w ten dzień odeszli z tego świata, łącznie z wielkim premierem Patrice'em Lumumbą. Jestem przekonana, że w dłuższej perspektywie Ruth May w ogóle nie miała znaczenia.

Podszedł do mnie i pogłaskał mnie po włosach, które trochę się skosmaciły. Kiedy pamiętam o tym, żeby być dobrą kongijską żoną, zawiązuje je w turban. Anatole troskliwie wytarł mi oczy swoją koszulą.

— Myślisz, że ja zapomniałem o Małej Siostrze? Miała serce mangusty. Odważne i sprytne. Była wodzem wszystkich dzieci w Kilandze, łącznie z jej starszymi siostrami.

— Nie mów mi o niej. Idź do pracy. Wenda mbote.

Odepchnęłam jego rękę i spojrzałam na niego twardym wzrokiem. Nie wspominaj o niej, a wtedy ja nie będę mówiła o twoim Lumumbie pokrajanym na kawałki maczetami jak ten biedny wąż i wrzuconym do opuszczonego domu w Elisabethville, z błogosławieństwem mojej odrażającej ojczyzny. Poszłam do kuchni, gdzie usłyszałam, że szczury zabrały się za maniok, wynagradzając mnie za moją złośliwość.

Jest to dzień, przez który Anatole i ja po prostu musimy jakoś przebrnąć. Słyszałam opinie, że żal za zmarłymi zbliża ludzi do siebie, ale moja i jego żałoba tak bardzo się od siebie różnią. Moja jest biała i amerykańska. Ja uczepiłam się Ruth May, on zaś i reszta Konga potajemnie świętują narodowy dzień żałoby na cześć utraconej niepodległości. Przypominam sobie, jak wiele lat temu Rachel zalewała się szczerymi łzami z powodu dziury wypalanej w zielonej sukience, podczas gdy tuż za naszymi drzwiami nagusieńkie dzieci wędły na skutek dziur, które wypalały im ich puste żołądki, i poważnie się zastanawiałam, czy Rachel ma serce większe od naparstka. Podejrzewam, że on w ten sam sposób patrzy na mnie dzisiaj. Każdego innego dnia mogę się modlić, jak moje dawne znajome benedyktyнки, o to, by moja wola zatraciła się w służbie na rzecz większego celu. Lecz 17 stycznia w moim egoistycznym sercu jest miejsce tylko dla Ruth May.

Przez szczelinę między deskami patrzyłam, jak mój mąż bierze swój duży worek z książkami i poważnym, sprężystym krokiem kieruje się w stronę szkoły. Anatole, moja pierwsz

a modlitwa do Stworze

nia, która została wysłuch  
ana. Oboje zostaliś  
my ocaleni, przynaj  
mniej fizyczni  
e, przez kamienn  
e ściany naszych różnych więzie  
ń, a nasze dusze uległy przeisto  
czeniom  
, których charakte  
r próbuje  
my zrozumie  
ć. Straciła  
m wszystkie  
e słowa modlitw mojego dzieciń  
stwa, toteż w mojej głowie rozbrzm  
iewa wielka cisza. Anatole zaś znalazł nowe słowa, które nadająks  
ztałt jego wierze.  
Jego sytuacja była równie dziwacz  
na jak moja i miał dużo szczęści  
a — w tej kwestii się zgadzam  
y. Większo

ść dysyden  
tów rozstrzel  
ano albo trzyman  
o w takich warunka  
ch, że marzyli o tym, aby ich rozstrzel  
ano. Lecz w 1961 roku Mobutu dopiero się organizo  
wał i zdarzały mu się jeszcze osobliw  
e niedopat  
rzenia. Anatole spędzał czas na graniu w warcaby kapsłami  
i od butelek z na tyle liberalny  
mi strażnik  
ami, że pozwala  
li mu czytać i pisać wszystk  
o, co chciał, pod warunki  
em, że nie próbowa  
ł uciekać. Lubili Anatole'  
a i tłumacz  
yli się, że muszą utrzyma  
ć rodziny za garstkę monet lub ryżu, którą dostawał  
i każdego ranka, gdy poruczni  
cy Mobutu przycho

dzili policzyć więźnió  
w. Po tej kontroli miał możliwo  
ść zorganiz  
owania lekcji pod liszajow  
atym mangow  
cem na dziedziń  
cu, uczył czytania i pisania każdego strażnik  
a lub współwi  
ężnia, który danego dnia miał ochotę zadbać o swój rozwój intelektu  
alny. Strażnic  
y pomagał  
i Anatolowi sprowad  
zać książki i zadawali sobie sporo trudu, aby wysłać jego listy do różnych  
krajów. Tuż pod nosem Mobutu odkrył dzieła wielkieg  
o afrykańs  
kiego nacjonal  
isty Kwame Nkruma  
ha i poezję młodego lekarza angolski  
ego Agostin  
ho Neto, z którym nawiązał korespo

ndencję. Neto jest mniej więcej w wieku Anatole<sup>^</sup> i również kształcił się w szkole misyjnej

. Studiow

ał za granicą medycy

nę i wrócił, aby założyć klinikę, w której jego rodacy mogliby mieć opiekę medycz

ną na przyzwo

itym poziomie, ale nie udało się. Którego

ś dnia banda białych policjant

ów wywlokł

a go z kliniki, prawie na śmierć pobiła i zawiozła do więzieni

a. Tłumy ludzi, którzy przyszli zażądać jego uwolnie

nia, zostały ścięte jak drzewa ogniem karabinó

w maszyno

wych. Nie

dość na tym: armia portugalska zaczęła palić wioski, aby położyć kres popularności Neto. Jednak z chwilą, gdy wyszedł z więzienia, zaczął przyciągać całe chmury ludzi do partii opozycyjnej w Angoli. Jego przykład dodał otuchy Anatole'owi, który ciągle mówi o Neto i ma nadzieję, że kiedyś, gdzieś go spotka. Nie potrafię sobie tego wyobrazić, skoro nawet dalsza korespondencja jest niebezpieczna.

Oczywiście najbardziej regularnie Anatole pisał listy z więzienia do pewnej zakonnicy w Bangassou, co niezmiernie bawiło jego współwięźniów. Sa

planche de salut! — kpili sobie: jego deska ratunku. Anatole wciąż czasami nazywa mnie swoją deską ratunku. Ale kiedy ubiegłej jesieni zeszliśmy się razem, miałam już za mało zaufania do Boga i byłam zbyt wściekła na wszystkich innych, aby móc zaoferować jakikolwiek ratunek. Oczywiście miałam też na tyle dosyć ubóstwa-czystości-posłuszeństwa, że z chęcią zamieniłam to na bycie żoną Anatole'a. Jeep służb medycznych przewiózł mnie przebraną za nieboszczyka aż do Bikoki, starej plantacji kauczuku koło Coquilhatville. Mój ukochany, którego zwolniono po trzech latach, nigdy nie przedstawiwszy mu żadnych formalnych zarzutów, czekał tam, aby wskrzesić zmarłą.

Wybraliśmy Bikoki, bo spodziewaliśmy się tam znaleźć znajomych Anatole'a, dawnych przyjaciół i pracodawców z branży kauczukowej, lecz większość z nich nie żyje lub opuściła kraj. Z zaskoczeniem odnaleźliśmy jednak ciotkę Elisabet, młodszą siostrę jego matki. Przyjechała tutaj, w nadziei, że go spotka, kilkanaście lat wcześniej. Anatole'a już dawno tam nie było, lecz Elisabet podjęła pracę na stacji misyjnej, urodziła dziecko i została tam na dobre. Posiadanie bliskiej krewnej i żony to wielka zmiana dla Anatole'a, który przeżył tyle lat zupełnie osierocony.

Misja jest teraz wymarłym miastem, a stacja rolnicza też prawie opuszczona. Simbowie wykurzyli stąd Europejczyków, nie postawiwszy tu nawet stopy. Po budynkach plantacji zostały głównie gruzy. (Wyobrażam sobie, jak upiory obciętych rąk tych wszystkich zbieraczy kauczuku rozkradają budynki). Została tylko biblioteka, w której Anatole, jako młody służący, uczył się czytać i pisać po angielsku. Na moją prośbę wioskowy wódz udzielił nam ślubu właśnie w tym budynku. Ceremonia nie była ani chrześcijańska, ani bantu. Poprosiłam Boga o błogosławieństwo, niosąc czerwone bugenwille na cześć mojej matki. Ciocia Elisabet zarzuciła nam na ramiona tradycyjną szatę ślubną



zwaną nzole, piękne podwójne pagne, które symbolizuje zespolenie dwojga ludzi w małżeństwie. Służy również jako kapa na łóżko.

Odkąd dom przestał pełnić funkcję siedziby plantatora, jego pomieszczenia były wykorzystywane jako bunkier wojskowy, klinika położnicza i kozia obora. Teraz planowano urządzić tam szkołę. Szef departamentu w Coquilhatville podziwiał Anatole'a, więc przymknął oko na jego więzienną przeszłość i zatrudnił go jako dyrektora regionalnej ecole secondaire. Staraliśmy się również utrzymać przy życiu program szkolenia rolniczego dla byłych pracowników plantacji kauczukowych, aby mogli uprawiać żywność na własne potrzeby. Dodatkowo ja pracuję na ochotnika w klinice, do której raz w tygodniu przyjeżdża z Coquilhatville gwinejski doktor, aby zaszczepić i przebadać małe dzieci. Na przekór temu wszystkiemu, przez co przeszliśmy, Anatole i ja stanęliśmy ubiegłej jesieni obok siebie i wymówiliśmy na głos słowo „Niepodległość”. Powiedzieliśmy je z oczami wzniesionymi ku niebu, jakby to był jakiś baśniowy ptak, którego chcieliśmy przywołać z przestworzy.

Potrzeba było bardzo wiele, aby ostudzić nasze nadzieje. Wszystko jednak odbyło się tak szybko, jak sztuczka magika: zagraniczne ręce poruszały się za zasłoną i jeden biały król został zastąpiony innym. Tylko jego widoczna twarz jest czarna. Amerykańscy doradcy Mobutu zrobili tu nawet wybory, ale potem wściekli się, kiedy wygrała nie ta osoba, co trzeba — Antoine Gizenga, porucznik Lumumby. Obalili więc rząd z pomocą wojska i obsadzili ludźmi Mobutu.

— Jeżeli Amerykanie pragną nauczyć nas demokracji, to posługują się bardzo osobliwymi metodami — zwrócił uwagę Anatole.

— Ośłupiającymi — zgodziłam się z nim.

Mówi, że mam różne osobowości: że w lingala jestem słodka i macierzyńska, po angielsku zaś sarkastyczna.

— To jeszcze nic — odparłam — po francusku jestem saperką. Która osobowość najbardziej cię irytuje?

Pocałował mnie w czoło. — Najbardziej Kocham moją Beene. — Jego prawdę absolutną. Naprawdę tym jestem? Kiedy sąsiedzi albo uczniowie pytają mnie o narodowość, mówię, że pochodzę z kraju, który już nie istnieje. Potrafią w to uwierzyć.

W zeszłym miesiącu nasze rządowe pensje zmalowały z prawie zera do zera. Mówimy naszym współpracownikom, że brak funduszy nie powinien ostudzać w nas nadziei. Wiemy, że kto krytykuje Mobutu, nawet prywatnie, ryzykuje tym, że rozłupią mu czaszkę jak orzech, co dosyć skutecznie studzi wszelkie nadzieje. Żywimy się tym, co wpadnie nam w rękę, a kiedy ktoś proponuje nam wiadomości o przyjaciółkach, najpierw bierzemy głęboki wdech. Mój stary przyjaciel Pascal i dwóch innych byłych uczniów Anatole'a zostało zamordowanych przez wojsko na drodze na południe stąd. Pascal miał w plecaku kilogram trzciny cukrowej i zdefektowany pistolet z czasów drugiej wojny światowej. Usłyszeliśmy o tym w Boże Narodzenie, kiedy odwiedzili nas Fyntan i Celinę Fowlesowie. Mieszkają teraz w Kikongo, w misji szpitalnej nad rzeką Wamba, o której nam powiedzieli. Ucieszyłam się ich widokiem, ale każde spotkanie przynosi straszne wiadomości, więc okropnie się spłakałam, kiedy pojechali. Prawie zapomniałam o Pascalu, z jego szeroko osadzonymi oczami i beczelnym uśmiechem, a teraz wkrada mi się do snów, otwierając okna szybciej, niż ja potrafię je zamknąć. Jaki zuchwały rys zwrócił na niego uwagę oficera armii na drodze? A jeśli napiętnowałam go jakimś angielskim słowem, którego go nauczyłam, z taką samą bezmyślnością, z jaką skazałyśmy na śmierć naszą papugę?

W takim oto obłądnym lęku przychodzi nam żyć. Nasi sąsiedzi w równym stopniu boją się żołnierzy Mobutu co opozycji, Simbów, których zła sława napełnia trwogą północne Kongo.

Gniew Simbów wobec wszystki  
ch cudzozi  
emców jest zrozumi  
ały, lecz ich działani  
a w coraz mniejsz  
ym stopniu dają się pojąć. Słyszym  
y na falach krótkich o popelnia  
nych przez nich okrucieństwa  
ch, a potem relacjon  
owane są one w wyolbrz  
ymionej postaci w oficjaln  
ym radiu Mobutu i trudno nam ocenić, która wersja jest prawdzi  
wa. Przez większo  
ść czasu myślę o jedzeniu i zajmuję umysł patrzeni  
em na dzieci. Właściw  
ie nie boję się Simbów  
, chociaż jestem biała. Anatole jest bardzo szanowa  
ny. Mój związek z nim ocali mnie lub nie. Niezbad  
ane są wyroki sprawie  
dliwości

.

Ojcie

c dalej ciągnie swe udęczo

ne dzieło, czyli kościół Jezus Jest Bangala. To była inna straszna nowina  
przekaza

na przez Fowlesó

w: ojciec pieszo lub autostop

em przybył do misji w Kikongo cały spaniko

wany i skowycz

ał, że jego trzewia płoną od jadu. Twierdz

ił, że połknął żywego węża. Misyjny lekarz dał mu chininę i środki  
przeciw

czewio

we, które może są postrach

em czerwió

w, ale na zielonej mambie nie robią chyba większe

go wrażeńi

a. Biedny ojciec. Teraz on również wyjecha

ł z Kilangi i zniknął w lesie, jak się zdaje, albo rozpuści

ł go deszcz. Czasami w nocy myślę o tym, że może on nie żyje, a ja o tym  
jeszcze nie słyszała

m. Trudno jest żyć w niepewn

ości, więc zamiast spać, leżę i snuję plany odszuka  
nia go. Lecz za dnia taran gniewu odpycha mnie w przeciw  
nym kierunku  
, drąc się na mnie, że muszę zostawić ojca za sobą. Nie mogłaby  
m wypuścić  
ć się sama na poszuki  
wania, a nawet z czyjąś pomocą to nie byłoby warte ryzyka. Zdaję sobie  
sprawę, że on jest teraz dla mnie niebezpie  
eczny.  
Jest niebezpie  
eczny dla wielu ludzi i chyba zawsze był. Fyntan i Celinę z pewnością  
cią się zaniepo  
koili, kiedy odwiedz  
ili nas w Kilandze, gdzie spaliłem  
y w tym samym domu co oni, poważnie  
liśmy ich dawnyc  
h przyjaci  
ół, a nawet oddalił  
my ich papugę na pastwę natury. A lekarz misyjny w Kikong  
o musiał być pod wielkim wrażeni  
em na widok mego ojca: kaznodz

ieja z rozwich

rzonym włosem i wężem w brzuchu. Lekarz ten pozostał na posterun

ku ze swoją rodziną, mimo niebezpi

eczeńst

wa — pochodz

ili gdzieś z Południ

a, z Georgii lub Kentuck

y, twierdzi

ł Fyntan. Bardzo

bym chciała ich odwiedzić i porozmawiać z nimi w mojej ojczystej mowie, którą znałam, zanim na języku wyrosły mi ciernie.

To jedyny moment, kiedy tęsknię za krajem: kiedy Ameryka staje na moim progu w przebraniu misjonarza. Są inni, którzy tak jak ja nie wrócili. Wydają się jednak przekonani, że ich pobyt tutaj jest słuszny, tak zakorzenieni w swej wierze — na przykład Fyntan Fowles i obcy ludzie, którzy zagląдают do nas od czasu do czasu, aby spytać, czy pomogłabym przekazać wiadomość albo przechowała pudełko lekarstw, zanim znajdzie się łódź, która by je zabrała w górę rzeki. Z radością wyczarowuję coś do zjedzenia i robię im posłanie na podłodze, aby usłyszeć ich przepelnione dobrocią historie. Są tak inni od ojca. Kiedy dźwigam pustkę życia pozbawionego jego Boga, jest dla mnie pokrzepieniem znać tych łagodnych ludzi, którzy organizują szpitale pod dachami ze słomy, zginają plecy obok wioskowych kobiet, aby sadzić soję albo podłączają generatory prądu, aby szkoła miała oświetlenie. Nie bojąc się Mobutu i najprzeróżniejszych pasożytów, zostali w różnych zapadłych dziurach, w których Underdownowie i ludzie ich pokroju porzucili dzieci na pastwę

śmierci, kiedy uciekli z kraju. Brat Fowles powiedział nam dawno temu: chrześcijanie są różni.

Jednak goście nieczęsto się trafiają i większość dni do złudzenia przypomina wszystkie inne. To chyba dziwne, żeby skarżyć się na nudę. Gdybym spróbowała w dzieciństwie wyobrazić sobie moje obecne życie w dżungli, uznałabym to na pewno za niesamowitą przygodę. Teraz jednak paraliżuje mnie nuda trudnego życia. Wieczorem walimy się skonani do łóżek. Spędzam dzień, chodząc pomiędzy polami soi, chatą kuchenną, targiem, kliniką i zajęciami z higieny żywienia, które prowadzę w szkole rolniczej, zastanawiając się codziennie, czy dałam z siebie więcej informacji, niż sobie przyswoiłam. Niestety, nie mam takich wątpliwości w kwestii spożytych i spalonych kalorii. Mamy maniok i ignam, żeby zapchać sobie brzuchy, ale proteiny są czymś rzadszym od diamentów. Próbuję wytargować jajko lub trochę fasoli, kurczaka czy świeże ryby rzeczne albo jadę autostopem na targ w Coquilhatville, aby pooglądać sobie takie skarby jak szynka konserwowa, która kosztuje krocie. Czasami udaje mi się jednak wysupłać odpowiednią sumę. Mimo to Anatole stracił tej zimy na wadze, jateż, nawet więcej niż on, osiem kilogramów, w takim tempie, że trochę się boję. Prawdopodobnie znów mam owsiki. Jestem prawie pewna, że podczas świąt Bożego Narodzenia byłam w ciąży, ale teraz jestem pewna czegoś' przeciwnego, co częściowo tłumaczy spadek wagi, ale łatwiej jest nie wspominać o tym Anatole'owi.

Tracę moją rodzinę, kawałek po kawałku. Ojciec jest stracony, gdziekolwiek przebywa. Rachel gardziłabym bardziej, gdybym tylko wiedziała, w którą stronę skierować swoją wściekłość, przypuszczalnie w stronę Afryki Południowej, gdzie zapewne została przyjęta z otwartymi ramionami, ze względu na jej ekstremalnie białą skórę i męża najemnika. Nie dysponuję skutecznym kanałem przesyłania listów matce i Adzie. Minister poczty, krewny żony Mobutu, rok temu przestał wypłacać pensje wszystkim pracownikom

poczty, żeby móc wykorzystać te pieniądze na zbudowanie sobie pałacu w Thysville. Żeby wysłać list za granicę, trzeba teraz zapłacić ogromną łapówkę albo mieć znajomości, a listy przychodzące rosna w stertę gdzieś w Leopoldville, gdzie obwąchuje się je na wypadek, gdyby zawierały pieniądze lub kosztowności.

Jeżeli ludzie są zaszokowani, kiedy tracą coś z niewytłumaczalnego powodu — pocztę, pensję, przyjaciela wracającego drogą do domu — to nie wspominają o tym. Czy ludzie znają tutaj coś innego prócz pokornego znoszenia krzywd? Wystarczy jedno spojrzenie na kosztowne, uszyte za granicą mundury policji Mobutu, aby wiedzieć, że lepiej jest zachować swe myśli dla siebie. Wiedzą, kto stoi za Mobutu, wiedzą, że w jakimś miejscu równie odległym jak niebo, gdzie ustala się reguły gry, białe i czarne życia są wyceniane w różnych walutach. Kiedy w Stanleyville zabito trzydziestu cudzoziemców, każdy z nich był w jakiś sposób związany z twardą walutą, z paritetem złota, jak frank belgijski. Lecz życie Kongijczyka jest jak bezwartościowy kongijski banknot, którego cała garść czy wiadro może nie wystarczyć na jednego banana. Zaczyna mi świtać, iż żyję pośród mężczyzn i kobiet, którzy po prostu zawsze mieli świadomość, że całe ich istnienie dla większości białych ludzi przedstawia mniejszą wartość niż banan. Widzę to w ich oczach, kiedy podnoszą na mnie wzrok.

Styczeń to ciężki, suchy miesiąc, a ja czuję się chyba samotna. Brakuje mi ludzi mojego gatunku, kimkolwiek by oni byli. Czasami wyobrażam sobie, że wyjeżdżam, lecę do kraju, żeby nareszcie zobaczyć się z matką i Adą, ale logistyka pieniędzy, podróżowania i paszportu jest zbyt pracochłonna, żeby się w ogóle nad tym zastanawiać. W moim marzeniu docieram tylko do bramy frontowej i odwracam głowę, żeby spojrzeć na Anatole'a, który mówi: — Nie ty, Beene.



Dziś wieczór przyjdzie do domu zatroskany i zmęczony. Nie widać sposobu na to, aby przy braku funduszy dalej prowadzić école secondaire przez następny semestr, a rodzice niepokoją się, że pobieranie wykształcenia naraża ich dzieci na jeszcze większe ryzyko. Smutna prawda jest taka, że mają rację. On jednak nie będzie o tym rozmawiał. Zakradnie się do chaty kuchennej i obejmie mnie od tyłu ramionami, a ja jednocześnie krzyknę i zaśmieję się. Potrze pięścią o moje włosy i zawoła:

— Żono, masz minę dłuższą niż krokodyl!

Ja mu odpowiem, że jestem też równie brzydka jak krokodyl i skórę mam tak samo łuskowatą. Mówię takie rzeczy, żeby go sprowokować. W styczniu jestem trudna. Zdaję sobie z tego sprawę. Potrzebuję od niego usłyszeć, że jestem użyteczna i dobra, że nie popełnił szaleństwa, kiedy się ze mną ożenił, że moja biała skóra nie budzi powszechnego zgorszenia. Że nie miałam swojego udziału we wszystkich błędach, które doprowadziły nas do tego dnia, 17 stycznia, ze wszystkimi grzechami i smutkami, które musimy dźwigać.

Przypomniał mi kiedyś, że pierwsza zielona mamba była przeznaczona dla niego. Wzbudził gniew Taty Kuvudundu, ponieważ sprowokował dyskusję o nas, o białych ludziach w ogóle.

Zarzuca sobie, że źle ocenił sytuację polityczną w wiosce. Chyba wszyscy mamy tego węża w brzuchu, ale Anatole nie może mnie uwolnić od mojego. Skoro nie potrafię na razie opłakiwać miliona osób, które odeszły z tego świata w ciągu jednego dnia, to na początek zadowolę się opłakiwaniem jednej. Nie pozostało mi zbyt wiele z przekonań mojego dzieciństwa, które mogłabym cenić lub do których miałabym zaufanie, ale wciąż wiem, co to jest sprawiedliwość. Dopóki niosę Ruth May na barana przez moje dni, słysząc w uszach jej głos, dopóty ona jest ze mną.

Ada Price

Szpital Emory, Atlanta, Boże Narodzenie, 1968

## TRACĘ MOJE SKRZYWIENIE.

Na wydziale medycyny zaprzyjaźniłam się z młodym neurologiem, która uważa, że moje życie jest jednym wielkim kłamstwem. Jego zdaniem uszkodzenie mózgu w tak wczesnym stadium nie powinno pozostawić trwałych śladów na sprawności motorycznej mojego ciała. Twierdzi, że w nie uszkodzonych fragmentach mojej kory mózgowej powinna była nastąpić całkowita kompensacja i to, że ciągnę za sobą prawą stronę ciała, wynika tylko z kurczowego trzymania się wyuczonego w dzieciństwie nawyku. Wykiłam go oczywiście. Nie byłam gotowa zaakceptować faktu, że całe moje poczucie tożsamości opierało się na nieporozumieniu między moim ciałem a moim mózgiem.

Neurolog miał jednak dar przekonywania, był zniewalająco przystojny i uzyskał grant badawczy, którego zazdrościli mu wszyscy koledzy. Głównie w celu udowodnienia mu, że nie ma racji, poddałam swoje ciało zaprojektowanemu przez niego programowi doświadczalnemu. Przez sześć miesięcy nie pozwalał mi w ogóle chodzić, aby moje obwody nerwowe oczyściły się z tak zwanych złych nawyków. Zamiast chodzić, musiałam się czołgać. Z pomocą znajomych na nowo urządziłam moje małe mieszkanie pod kątem potrzeb dorosłego niemowlęcia i każdego

ranka pełzałam od materaca do ekspresu do kawy i płyty kuchennej, które stały na podłodze kuchni. Korzystałam tylko z dolnych półek lodówki. Aby nie narażać na szwank swojej godności, do pracy jeździłam na wózku inwalidzkim. Odbywałam wtedy staż na pediatrii, co się szczęśliwie złożyło, ponieważ dzieci raczej nie mają zwyczaju obarczać niepełnosprawnych winą za swoje kalectwa, w przeciwieństwie do dorosłych. Dorośli słuchają cię jednym uchem, bo w drugim rozbrzmiewa im biblijny apel: „Lekarzu, ulecz sam siebie!”

Stwierdziłam jednak, że dzieci są jednomyślnie zachwycone widokiem lekarza na kółkach.

W domu, kiedy przystępowałam do uczenia się na pamięć usterek mojego dywanu, moje ciało uczyło się koordynacji ruchowej. Pewnego dnia poczułam szarpnięcie jakby gumowej taśmy, które podciągnęło pode mnie prawą nogę, kiedy moje lewe ramię wysunęło się do przodu. Tydzień później stwierdziłam, że potrafię bez trudu utrzymać się na rękach i palcach nóg, wypchnąć zadek do góry i opaść na siedzenie. Nie było nikogo, kto by mnie zobaczył i pochwalił, kiedy spontanicznie przyklasnęłam temu cudownemu osiągnięciu. Po kilku tygodniach miałam wystarczająco dużo siły w obu ramionach, aby podciągnąć się uchwycona mebli i stanąć w pozycji wyprostowanej. Teraz tuptom po linii prostej małymi, ostrożnymi kroczkami. Przeszłam po kolei wszystkie etapy. Nie uczyłam się tego od nowa, lecz po raz pierwszy, bo jak twierdzi matka, jako niemowlę wzgardziłam tą całą ekwilibrystyką. Mówi, że przez trzy lata leżałam na plecach i płakałam, żeby Lea została blisko mnie i bawiła się ze mną, aż wreszcie któregoś dnia bez zapowiedzi stoczyłam się z łóżka i pokuśtykałam za nią. Matka twierdzi, że nigdy niczego nie ćwiczyłam, lecz cały czas obserwowałam Leę, pozwalając jej, aby popełniała błędy za obie z nas, do momentu, gdy sama umiałam zrobić to samo z wystarczającą precyzją. Matka jest dla mnie dobra, prawdopodobnie dlatego, że zostałam bliżej niej niż moje siostry. Nie zgadzam się z nią jednak. Popelniłam mnóstwo błędów. Tyle że wewnątrz.

Zajęło mi tyle czasu, aby uwierzyć, że jestem wybawiona. Nie

od kalectwa. Wciąż jestem do pewnego stopnia kaleka i zawsze zbyt powolna. Uwierzyłam jednak, że jestem ocalona od porzucenia, na które sobie zasłużyłam. Faktycznie stało się to dopiero dzisiaj wieczór.

Lea jest teraz w Atlancie i w tym tkwi część problemu, chociaż nie cała. Lea, Anatole, ich synek Pascal i kolejne dziecko w drodze. Lea studiuje agronomię i wszyscy dzielnie próbują zakorzenić się w amerykańskiej glebie. Widzę, że długo nie wytrzymają. Kiedy idę z nimi do spożywczego, są zagubieni, przestraszeni i w duchu chyba trochę pogardliwi. Nie dziwię się im. Pamiętam, jak to było na początku: te oszałamiające, rozświetlone hale, z całymi półkami lakieru do włosów, wybielającej pasty do zębów i zasyпки do stóp. Tak jakby wszystkim nagle zaczęła rządzić nasza Rachel.

— Co to jest, ciociu? A to? — pyta mnie Pascal z wybałuszonymi oczami, pokazując na różowy słoik kremu depilującego, puszkę sprayu do napachniania dywanów, sterty pojemników z pokrywkami, tych samych rozmiarów co słoiki, które codziennie wyrzucamy.

— To są rzeczy, których ludzie tak naprawdę nie potrzebują.

— Ale, ciociu, jak może być tyle różnych rodzajów rzeczy, których ludzie nie potrzebują?

Nie znajduję żadnej rozsądnej odpowiedzi. Dlaczego niektórzy z nas muszą się głowić, jaki wybrać gatunek pasty do zębów, podczas gdy inni muszą wybierać między wilgotną ziemią a sproszkowaną kością, kiedy potrzebują zgasić ogień płonący w pustym żołądku? W Stanach Zjednoczonych nie ma nic, co potrafiłabym naprawdę wytłumaczyć temu dziecku z innego świata. Zostawiamy to Anatole'owi, ponieważ on potrafi zobaczyć to wszystko wyraźnie w jednej chwili. Śmieje się głośno z prawie nagich kobiet na olbrzymich tablicach reklamowych i zawiera przyjaźnie z lumpami, którzy zamieszkują rogi ulic w Atlancie, zadaje im szczegółowe pytania na temat tego, gdzie śpią i w jaki sposób znajdują pożywienie. Otrzymuje ciekawe odpowiedzi. Zaskakująco duża liczba gołębi, które nocują w podcieniach biblioteki

publicznej w Atlancie, kończy żywot, piekąc się na ognisku w Grand Park.

Znajduję u Anatole'a niezwykle pokrewieństwo dusz. Oboje jesteśmy chyba naznaczeni. Dziwolągi, które nauczyły się przyjmować świat takim, jaki się wydaje. Jego napiętnowało wczesne sieroctwo, wygnanie, żarliwie sceptyczny umysł, samotność. Zauważyłam, że on też czyta różne rzeczy wspaniałe: na przykład, co naprawdę sprzedają tablice reklamowe. Również skąd się bierze bieda i gdzie znika. Nie będę pożądała męża mej siostry, ale na swój sposób poznam go lepiej od niej. Anatole i ja zamieszkujemy tę samą atmosferę samotności. Różnimy się tym, że on oddałby dla Lei prawą rękę i nogę, a ja już to zrobiłam.

Czy razem z moim kalectwem stracę również siebie samą?

Jak mogę rozsądnie przeżyć śmierć Ruth May i wszystkich tych dzieci? Czy wybawienie będzie moją śmiercią?

Tutaj w szpitalu mam za dużo czasu na takie pytania. Przychodzi mi do głowy, że posiadam dostęp do szerokiej gamy środków odurzających. Sen jest czymś absolutnym. Bóg nas nie widzi, kiedy śpimy, twierdziła Ruth May. Susza suszy uszy Morfeuszy!

Anatole i Lea często odwiedzają matkę. W zeszłym roku matka porzuciła swą botaniczną pustelnię w Bethlehem i przeprowadziła się do Atlanty, ponieważ znalazła coś w rodzaju nowej religii. Bierze udział w manifestacjach ruchu praw obywatelskich. Pracuje za pieniądze w biurze, ale żyje tylko dla tych manifestacji. Jest w tym bardzo dobra i zaszczepiona przeciwko niebezpieczeństwu. Któregoś wieczoru przyszła do mojego mieszkania, przemaszerowawszy kilometr w oparach gazu łzawiącego, chciała, żebym sprawdziła, czy nie ma uszkodzonej rogówki. Oczy nawet jej się nie

zaczerwieniły. Myślę, że kule przeleciałyby przez nią na wskroś, a ona by tego nawet nie zauważyła.

Przychodzi mi do głowy, że może ja też potrzebuję religii. Aczkolwiek matka dalej cierpi mimo posiadania swojej. Sądzę, że kiedy jest sama, niemal bezustannie rozmawia z Ruth May i błagają o przebaczenie.

Lea też ma swoją religię: jest nią właśnie cierpienie.

Rachel, która żadnej religii nie wyznaje, jest z nas wyraźnie najszczęśliwsza. Chociaż można by argumentować, że ona sama dla siebie jest bóstwem.

Muszę z przykrością powiedzieć, że nie widuję się z Leą i Anatole'em tak często, jak bym chciała. Ilość zajęć na medycynie jest nieludzka, więc wszyscy chętnie mnie rozgrzeszają. Poza tym mieszkam w innej części kampusu niż ta, w której znajdują się kwatery dla par małżeńskich. Oni tam płodzą dzieci, a my tutaj jedynie ratujemy im życie.

Był to dla mnie trudny miesiąc: staż na intensywnej terapii oddziału położniczego. W zeszłym tygodniu zmarły nam dwa niemowlaki. A przez minioną dobę, w Wigilię, kiedy wskazówka godzinowa wykonała dwa pełne obroty, czuwałam przy trzech maleńkich stworzeniach, których płuca walczyły bezsilnie jak płaskie, bezużyteczne skrzydła za wcześnie przepoczwarczonych motyli. Trojaczki. Pomyślałam o pogładzie Nelsona na to, co należy zrobić z bliźniakami i o strasznych konsekwencjach zlekceważenia tej tradycji. Tutaj mieliśmy do czynienia z jeszcze większą, bo potrójną katastrofą, która spadła na dom tych biednych rodziców. Rozmawiałam z ojcem, mniej więcej szesnastoletnim chłopakiem, który dał wyraźnie do zrozumienia — posługując się trybem warunkowym, kiedy mówił o opiece rodzicielskiej potrzebnej tym uszkodzonym dzieciom — że raczej się z tego wypisze. Więc plaga spadnie na porzuconą matkę. Kiedy maszyny buczały z cicha w naszym szpitalu, a buty na

białych podeszwach szurały po korytarzach, na tę nieletnią matkę spadła z hukiem katastrofa. To jest jej prezent bożonarodzeniowy. Już nigdy jej życie nie będzie wolne od znoju i rozczarowania swymi trzema ślepyimi myszkami. Może obetnie im ogonki nożem rzeźnickim, ta żona bez męża, której koleżanki wciąż obnoszą się ze swą niedorosłością.

Kto miałby prawo rzucić kamieniem, gdyby pobiegła do lasu z rozwianym włosiem i pępowinami, aby uklęknąć i zostawić tę trójkę każde pod inną sosną? Kto będzie twierdził, że moje kroplówki i inkubatory to mądrzejszy plan?

Kto miałby prawo winić moją matkę, gdyby postanowiła mnie w ten sposób porzucić?

Po północy zasnęłam na łóżku polowym w sali dla stażystów, lecz dręczyły mnie sny. Podłączone do kroplówek, uszkodzone dzieci wszystkich kolorów skóry tańczyły mi na głowie, ramionach i dłoniach. Życ czy umrzeć, żyć czy umrzeć, mówiły chóralnie. Mamo, możemy?

Afryka wyrwała spode mnie fundamenty, mój adokodeks moralny. Wcześniej byłam taka pewna siebie, taka zarozumiała, poruszając się przez świat, który chciał mnie wrzucić do jaskini szarpiących się za uszy Crawleyów. Ada upoważniona do gardzenia wszystkimi z tytułu swej wyjątkowości. Teraz muszę przyznać rację tym, którzy uważają, że być może powinnam była zostać porzucona w dżungli po urodzeniu: coś jest na rzeczy. Na swych kalekich plecach wyniosłam z Konga pełną pasji niepewność co do wartości życia. A teraz mam zostać lekarzem. Bardzo rozsądne.

Męczyłam się w półśnie i nagle, w trakcie mojej gorączkowej, wykradzonej drzemki, poczułam, że jestem zupełnie rozbudzona. Przejęta trwogą, drżąca. Leżałam na boku z otwartymi oczami. Czułam, że mam zimne

ręce. Bałam się. Coś nowego i straszego, czego nie mogę znieść. Uczucie strachu.

To wszystko — to mój list do Świata, Co nigdy nie pisał do mnie — Proste Nowiny — wysławiane Łagodnie i dostojnie — Natura składa w inne Dłonie — Dla mnie niedostrzegalne — Przez miłość dla Niej — współziomkowie — Sądźcie mnie — wyrozumiale\*.

Wbrew sobie kocham trochę świat i mogę go utracić.

Usiadłam na łóżku, przeciągnęłam dłonią po wilgotnych, splątanych włosach, pomacałam siniaki na ramionach w kształcie małych śladów stóp. Sekundnik zegara na ścianie wytrwale, idiotycznie zmierzał do przodu: tyk, tyk, tyk...

\* Emily Dickinson, 100 wierszy, wyd. cyt., s. 63.

Strach przed czym?

Samobójcza bratobójcza idylla. Strach, że matka wybierze Leę.

Doskonałą Leę z jej uroczym dzieckiem i mężem. Za kilka godzin będzie rano, zatańczą wokół choinki ze swymi małymi prezentami od matki, i zostaną, jednak zostaną. A przyciąganie wnuków będzie zbyt silne, by mu się oprzeć, i matka będzie należała do nich. A potem ja będę musiała iść spać. Śnie, o śnie, ty niezawodny stryczku spokoju.

Przez wiele męczących sekund siedziałam na skraju łóżka, połykając niezdecydowanie i łzy. Potem wstałam, otarłam twarz rękawem fartucha, poszłam do pokoju lekarzy i wykręciłam numer, który znałam na pamięć. Zadzwoiłam do niej. Był środek nocy. Cichej nocy, świętej nocy, a ja jestem Ada, która nie spodziewa się prezentów, Ada, której nie obchodzi, co powiedzą inni. A jednak zbudziłam matkę i po tylu latach spytałam ją, dlaczego wybrała mnie, tego dnia nad rzeką Kwenge.



Matka zawahała się, wiedząc, że istnieje wiele fałszywych odpowiedzi. Nie chciałam usłyszeć, że Rachel i Lea potrafiły same o siebie zadbać albo że czuła, iż nie ma innego wyboru.

Wreszcie powiedziała:

— Po Ruth May byłaś moją najmłodszą, Ada. Kiedy trzeba zdecydować, matka zajmuje się dziećmi od najmłodszego.

Taką bajeczkę na dobranoc wymyśliła dla mnie matka. Nie była to kwestia tego, ile jestem warta. Nie ma czegoś takiego jak wartość. To była kwestia kolejności chronologicznej i potrzeby matki. Po Ruth May najbardziej potrzebuje mnie.

Znalazłam w tym dużą pociechę. Postanowiłam z tym żyć.

Lea Price Ngemba

Kinszasa, 1974

Nie można teraz pojechać do Leopoldville, Stanleyville, Coquilhatville czy Elisabethville. Nazwiska tych wszystkich zdobywców (i dam ich serca) zostały wymazane z mapy. Nie można nawet pojechać do Konga, które nazywa się teraz Zair. Powtarzamy te słowa, jakbyśmy próbowali nauczyć się na pamięć fałszywej tożsamości: mieszkam w Kinszasie, stolicy Zairu. Miejsca, według których zawsze się orientowaliśmy, nagle są obce — miasta, wioski, nawet rzeki. Elisabet autentycznie się lęka — mimo naszych zapewnień — że jej i Anatole'owi mogą narzucić nowe imiona, ponieważ ich imiona są europejskie i „kolonialistyczne”. Tak naprawdę nie zdziwiłoby mnie to. Edykty Mobutu potrafią sięgać jeszcze dalej. Starsi państwo, którzy mieszkają obok, dzielają jej obawy: stale zapominają i mówią Leopoldville, a potem zasłaniają sobie usta dłonią, jakby wypsnęło im się jakieś wywrotowe słowo.

Wieczorami robimy sobie nawzajem testy, wyszukując na mapie jakieś mało istotne miejscowości: Charlesville? Banningville? Djokupunda! Bandundu! Chłopcy znają właściwą odpowiedź częściej niż ja, głównie dlatego, że lubią się popisywać. Anatole ani razu się nie pomylił, ponieważ ma bardzo szybkumysł, a poza tym rdzenne nazwy niosą dla niego więcej znaczenia. Dla mnie są oczywiście zupełnie obce. Kiedy chłopcy już śpią, siedzę za stołem przy migoczącym świetle lampy naftowej i powoli przemierzam nową mapę, czując się tak, jakby znalazł mnie tutaj ojciec i zadał mi Werset. Poddajemy nasze języki przeszkoleniu w ramach zarządzonej przez Mobutu wielkiej kampanii authenticite.

Lecz co jest w tym autentycznego? Ciągłe zadaję to pytanie Anatole'owi. Główna ulica Kinszasy nazywa się Boulevard 30 Czerwca, na pamiątkę tego wielkiego Dnia Niepodległości, tak pieczołowicie zdobytego za pomocą tysięcy kamyczków wrzuconych do kalebas i zawieszonych w górę rzeki. Na ile to jest autentyczne? Co wynikło z tego głosowania to zupełnie inna sprawa, nie upamiętniona w żadnym znanym mi publicznym miejscu. Nie istnieje Boulevard 17 Janvier Mort de Lumumba.

Anatole pokazuje na dróżkę, która biegnie między naszym domem i domem sąsiadów, przez rów ściekowy, który pokonujemy, podkasawszy zawoje, po puszkach po ropie i dochodzimy do głównej drogi.

— Ten boulevard potrzebuje nazwy, Beene. Postaw tu tablicę. — Spryciarz. Z niecierpliwością czeka, czy to zrobię.

Nasz dom jest solidny, z betonową podłogą i blaszanym dachem. Mieszkamy w czymś, co w Ameryce nazwano by slumsami, lecz tutaj jest to wyspa względnego luksusu na obrzeżach la cite, którego mieszkańcy w większości nie posiadają tak solidnych domów, oględnie mówiąc. Pod naszym dachem mieszka sześć osób: Anatole i ja, nasi chłopcy Pascal, Patrice i mały

MartinLothaire oraz ciocia Elisabet, plus czasami jej córka Chri-stiane. Po powrocie z Atlanty sprowadziliśmy tutaj Elisabet z Bi-koki, gdzie sytuacja zrobiła się dosyć rozpaczliwa. Nie mogę powiedzieć, by tutaj była mniej rozpaczliwa, ale z Elisabet przyjemnie się mieszka. Sądziłam, że nauczyłam się radzić sobie w życiu, ale Elisabet wtajemniczyła mnie w wyższe arkana i nauczyła mnie gotować zupę z kamieni. Mówi na mnie mondele, jestem jej białą córką. A przecież ma niewiele więcej lat od Anatole'a i jest bardzo do niego podobna, jeśli pominąć jego szerokie ramiona i wąską talię (u niej proporcje są jakby odwrócone). Z taką samą łagodną cierpliwością pracuje niestrudzenie w naszym jednoizbowym domu, przyśpiwując sobie w lingala, lewą ręką zawsze przytrzymuje pagne, żeby się nie rozchyliło, prawą zaś wykonuje więcej pracy, niż ja potrafiłabym trzema. Powiedziała mi wszystko, co sobie przypomina na temat swej starszej siostry, matki Anatole'a, a ja jak dziecko każę jej powtarzać te historie. Odczuwam głód rodziny. Mogę mówić o szczęściu, jeśli uda mi się dwa razy do roku dostać wiadomość od mamy i Ady. To nie ich wina. Wiem, że wysłały niezliczone paczki, które leżą gdzieś w wielkim, sypiącym się budynku poczty w centrum. Myślę, że minister poczty mógłby sobie zbudować drugi albo trzeci pałac za nie doręczone przesyłki.

Jednak stał się cud i dostaliśmy paczkę przed Wielkanocą. Chłopcy pokrzykiwali i biegali po naszej alejce 17 Janvier, wymachując swymi bezcennymi batonikami Mars. (Które, jak przechwalał się Pascal swym kolegom, są produkowane na Marsie). Miałam ochotę zrobić to samo z moim łupem: pięć książek po angielsku! Także ubrania, aspiryna, antybiotyki, balsam do rąk, grube bawełniane pieluchy, baterie do radia i długie listy. Zanurzyłam twarz w ubraniach, żeby poczuć zapach mojej matki, ale oczywiście nosiło je wcześniej jakieś amerykańskie dziecko, które nie jest z nami spokrewnione. Matka pracuje społecznie w organizacji pomocy Afryce. Można powiedzieć, że jesteśmy jej ulubionymi pomocobiorcami.

W każdej paczce jest jakaś zwariowana rzecz od Ady, którą traktuję jak zakodowany przekaz. Tym razem był to stary egzemplarz „Saturday Evening Post”, który znalazła na dnie szafy ubraniowej matki. Przeglądając gazetę, zastanawiałam się, co Ada chce, żebym przeczytała: o tym, jak zaczynał karierę Jimmy Stewart, czy też o tym, że jeśli zatrudnię firmę Philco, to skończą się moje problemy z telewizorem? A potem znalazłam artykuł zatytułowany „Czy Afryka stanie się komunistyczna?” Ada wciąż ma sokole oko do ironii. Artykuł mówił o tym, w jaki sposób Stany Zjednoczone powinny wziąć w karby niesforne Kongo. Na widok dwóch zdjęć serce przestało mi bić. Na pierwszym z nich młody Joseph Mobutu spogląda proszącym wzrokiem znad podpisu, z którego wynika, że jego pozycja jest zagrożona. Obok niego uśmiechnięty Patrice Lumumba z dosyć szczwaną miną, a pod spodem ostrzeżenie: „On może powrócić!” Gazeta ukazała się 18 lutego 1961 roku. Lumumba nie żył już od miesiąca, jego ciało leżało zakopane pod kurnikiem w Shaba, a Mobutu usadowił się wygodnie na swoim tronie. Wyobrażam sobie, jak gospodynie domowe drżały na myśl o zagrożeniu komunistycznym, szybko przewracając stronę, żeby zobaczyć tego czarnego diabła Lumumbę z zaostrozonym podbródkiem. Lecz ja wiedziałam wtedy niewiele więcej, a przebywałam w Bulungu, tej samej wiosce, w której schwytano Lumumbę. Moja siostra wyszła za człowieka, który być może pomógł przetransportować go do Shaba na miejsce kaźni, choć Rachel nigdy nie będzie tego wiedziała na pewno. W tej historii mamy do czynienia z ignorantami, lecz nie z autentycznymi niewiniątkami.

Ada napisała u dołu strony: „Pamiętasz »Superdemoną« i »W.I. Rouge'a«? Nasze sekretne sekrety?” Twierdzi, że mówi się teraz o śledztwie, że Kongres może spróbować wyjaśnić dawne naganne działania w Kongu i „ewentualne związki między CIA, śmiercią Lumumby i wojskowym zamachem stanu, który postawił Mobutu u władzy”. Żartują sobie? Ada mówi, że nikt w to

nie wierzy. Tutaj nikt nigdy w to nie wątpił. Jakby historia była lustrem ustawionym w ten sposób, aby każdy z nas zobaczył to, co już wie. Teraz wszyscy udają, że próbują przywrócić porządek: Kongres robi swoje przesłuchania, Mobutu zaś urządza cyrk ze zmienianiem wszystkich europejsko brzmiących nazw na rodzime, aby uwolnić nas od melodii obcej dominacji. I co się od tego zmieni? Mobutu dalej będzie biegał układać się z Amerykanami, którzy wciąż kontrolują całe nasze wydobycie kobaltu i diamentów. W zamian za to każda zagraniczna pomoc

## I

idzie prosto do kieszeni Mobutu. Przeczytaliśmy, że buduje sobie prawdziwy zamek z wieżyczkami i fosą koło Brukseli, pewnie żeby mieć gdzie odpocząć po pobycie w swoich willach w Paryżu, Hiszpanii i Włoszech. Kiedy otwieram drzwi i wyglądam na zewnątrz, widzę tysiąc koślawych domków z desek i tektury, pływających w oceanie kurzu. W całym kraju nie ma ani jednego dobrze funkcjonującego szpitala i ani jednej przejezdnej drogi poza granicami Kinszasy. A zatem jak to możliwe, ten zamek z wieżyczkami i fosą? Dlaczego świat nie otworzy paszczy jak wieloryb i nie połknie tego cynizmu jednym kłapnięciem? To pytanie zadałabym dziś ojcu. „Kogóż inszego przełożył nad ziemią? Albo kogo postawił nad światem, który stworzył? [...] Aż, tkto nie miłuje sądu, uzdrowion być może?” Hiob 34, 13-17, serdeczne dzięki. Najświeższa wiadomość od Mobutu jest taka, że zaprasza na stadion w Kinszasie dwóch wybitnych bokserów amerykańskich, Muhammada Alego i George'a Foremana. Zapowiedziano to dzisiaj po południu przez radio. Słuchałam tylko jednym uchem, ponieważ w naszej kuchni rozgrywał się ważniejszy dramat. Właśnie położyłam Martina spać na macie i wygotowywałam

pieluchy, Elisabet zaś wrzucała do miski suchą jak papier cebulę i ostre pili-pili. Smaży to z przecierem pomidorowym na sos do manioku. Na tym

polega geniusz kongijskiej kuchni: potrzeć o siebie dwa listki, żeby nadać kolor i smak kolejnej półprzezroczystej grudzie manioku, pozbawionej jakichkolwiek wartości odżywczych. Garnek, w którym miało zostać ugotowane fufu, czekał w kolejce do pieca, po pieluchach, a za nim stał już duży gar z koszulami chłopców, trzema prześcieradłami i dwoma ręcznikami. Tutaj w Kinszasie mamy „miejską kuchnię”, co znaczy, że piec jest wewnątrz domu, a właściwie kuchenka na butlę gazową, rozpaczliwie powolna dla kogoś, kto przez całe lata gotował na ryczącym ogniu karmionym drewnem. Mnóstwo ludzi w la cite używa do palenia w piecu drewna, które muszą sobie nawzajem podkładać spod domów w nocy, jak termity.

W tym dniu Anatole miał dostać wypłatę i w szkole mówiło się o *supplementaire*, czyli o możliwości, że rząd zacznie wypłacać zaległe pensje, z których przez ponad rok okradał wszystkie szkoły publiczne. Ten „dodatek” jest gestem dobrej woli, który ma zapobiec ogólnokrajowemu strajkowi studentów, lecz niektórzy studenci i tak zastrajkowali, a dotychczasowe gesty dobrej woli Mobutu wyrażały się ciosami pałek policyjnych. Nieustannie martwię się o Anatole'a, chociaż wiem, że w chwilach zagrożenia wykazuje niesamowite panowanie nad sobą.

Elisabet i ja wiedziałyśmy, że nie będzie żadnego dodatku, lecz i tak z radością rozprawiałyśmy o tym, na co go wydamy na jutrzejszym targu.

— Kilo świeżych węgorki i dwa tuziny jajek! — zaproponowałam, a ona śmiała się ze mnie. Mój głód protein graniczy z obsesją, którą ona nazywa zachciankami *mondele*.

— Lepiej dziesięć kilo ryżu i dwie kostki mydła — powiedziała. Rzeczywiście bardzo tego potrzebujemy, ale perspektywa, że ten mityczny dar z nieba miałby nas wzbogacić o trochę więcej krochmalu, budziła we mnie rozpacz.

— Nic białego — zadekretowałam.

— W takim razie szare mydło — zaproponowała. — Aha,

i trochę ślicznego różowego papieru higienicznego! — dodała z pasją i oboje roześmialiśmy się z tego marzenia ściętej głowy. Ostatnia rolka papieru, jaką widzieliśmy, różowa czy nie różowa, pochodziła z Atlanty.

— I przynajmniej trochę fasoli, Elisabet — zakwiliłam. — Świeżej, zielonej mangwansi, jaką jedliśmy na wsi.

Najlepsza przyjaciółka Pascala, przemiła dziewczyna imieniem Elevee, weszła do domu i usiadła za stołem naprzeciwko Elisabet, ale była nietypowo dla siebie spokojna.

— A ty co sądzisz?—Elisabet szturchnęła ją trzonkiem noża. — Powiedz Madame Ngemba, że potrzebuje nowe pagne, które nie byłoby jeszcze całkiem wyprane z koloru. Powiedz jej, że przynosi wstyd swoim synom, chodząc na targ w tej szmacie.

Elevee skubała krótki rękaw swego szkolnego mundurka, najwyraźniej nie mając ochoty rozmawiać o modzie. Jej bardzo ciemna skóra miała kolor popiołu, a ramiona zgarbiły się w ten charakterystyczny sposób, który u moich chłopców oznacza, że zarazili się tęgoryjcami dwunastnicy. Wyniosłam pieluchy na zewnątrz, starannie umyłam ręce resztką mydła i zatrzymałam popołudniową procesję garnków, żeby zrobić Elevee herbaty.

Nagle oznajmiła z kamienną miną, że rzuca szkołę.

— Och, Elevee, nie możesz tego zrobić — powiedziałam. Bardzo inteligentna z niej dziewczynka, ale to oczywiście niczego nie gwarantuje.

Elisabet spytała ją po prostu: — Dlaczego?

— Żeby pracować w nocy z matką — odparła beznamiętnie. Czyli żeby pracować jako prostytutka.

— Ile ty masz lat? — spytałam rozniewana. — Jedenaście? Dziesięć? To jest przestępstwo, Elevee, jesteś jeszcze dzieckiem! Istnieją prawa, które cię chronią przed tego rodzaju pracą. Nawet nie wiesz, jakie to straszne. Będziesz się bała, będziesz cierpieła i możesz ciężko zachorować.

Elisabet spojrzała na mnie skonsternowana.

— Mondele, nie strasz jej. Muszą zarabiać pieniądze.

To oczywiście prawda. I oczywiście nie istnieją prawa, które chroniłyby dzieci przed prostytutką. Córka Elisabet, Christiane, będzie miała jakieś siedemnaście lat i podejrzewam, że czasami dorabia sobie w nocy w mieście, lecz nie poruszamy tego tematu. Zawsze, kiedy jesteśmy na samym dnie, Elisabet znajduje w portmonetce trochę pieniędzy. Nie podoba mi się to. Patrzyłam na Elevee, koleżankę mojego syna z poobcieranymi kolanami i warkoczykami sterczącymi jak rączki kierownicy roweru: prostytutka. Uświadomiłam sobie, że jej wiek tylko zwiększy jej wartość rynkową, przynajmniej na jakiś czas. Miałam ochotę krzyknąć, kiedy to sobie pomyślałam. Postawiłam garnek z maniokiem na piecu, rozchlapując wodę na wszystkie strony.

Oburzenie jest pokarmem, który trzyma mnie przy życiu. To zrozumiałe. Dorastałam, pokładając całą wiarę w wielkiego białego człowieka u władzy — Boga, prezydenta: nieważne, kim jest, na pewno będzie służył sprawiedliwości! Tutaj zaś nikt nigdy nie miał żadnych przesłanek, aby ulegać takim złudzeniom. Czasami czuję się, jakbym była jedyną osobą w całej okolicy, która nie dała za wygraną. Oprócz Anatole'a, który wyraża swe oburzenie w bardziej produktywny sposób.



Po deklaracji Elevee przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Radio poinformowało nas, że dwóch amerykańskich bokserów otrzyma po pięć milionów dolarów, z naszej kasy państwowej, za przyjazd tutaj. Zapewnienie bezpieczeństwa i odświeżonej atmosfery podczas meczu będzie kosztowało drugie tyle.

— I świat będzie szanował nazwę Zair—oświadczył Mobutu w krótkim wywiadzie wyemitowanym na zakończenie audycji.

— Szanował! — Prawie że splunęłam na podłogę, co bardziej by zbulwersowało Elisabet niż haniebne roztrwonienie dwudziestu milionów dolarów.

— Wiesz, co jest pod tym stadionem? — spytałam.

— Nie — odparła stanowczo Elisabet, chociaż jestem przekonana, że wie. Setki więźniów politycznych, zakutych w kajdany. To jeden z owianych złą sławą lochów więziennych Mobutu, i wszyscy mamy świadomość, że Anatole może tam w każdej chwili wylądować. Za to, czego naucza, za jego wiarę w autentyczną niepodległość, za jego lojalność wobec podziemnej Partii Lumumbist Unifie, mógłby zostać zadenuncjowany przez jednego przekupionego agenta.

— Więźniowie mogą narobić mnóstwo hałasu podczas meczu bokserskiego — powiedziała Elevee.

— Co nie wpłynie korzystnie na szacunek świata do Zairu — stwierdziłam.

— Likambo te. — Elisabet wzruszyła ramionami. — Pascal i Patrice będą bardzo podekscytowani. Pomyśl tylko, mondele, Muhammad Ali, to prawdziwy bohater! Mali chłopcy na ulicach będą wznosili okrzyki na jego cześć.

— W to nie wątpię — powiedziałam. — Ludzie z całego świata przyjadą obejrzeć to wielkie wydarzenie, dwóch Murzynów tłucze się nawzajem do nieprzytomności za pięć milionów dolarów na głowę. I wyjadą, nie mając pojęcia, że w całym cholernym Zairze ani jeden pracownik państwowy poza cholerną armią od dwóch lat nie dostał pensji.

Przeklinanie w lingala przez kobietę jest rzeczą dosyć skandaliczną. Elisabet musi wiele przy mnie znosić.

— Stanleyville — przykazała, żeby zmienić temat.

— Kisangani — odparłam z entuzjazmem. Elevee pobiegła pobawić się Pascalem, żeby nie musieć brać udziału w tym nudnym ćwiczeniu.

— Parć National Albert?

— Parć de la Maiko.

Żadnej z nas nie obchodziło, czy udzieliłam poprawnej odpowiedzi.

Odkrywam, że nagle zmiany tematu przez Elisabet są zawsze uzasadnione — zazwyczaj chce kogoś ochronić, najczęściej mnie. Obserwuję ją też na targu, świadoma, że żadna szkoła nigdy mnie tyle nie nauczyła. Kongijczycy posiadają dodatkowy zmysł. Nazwałabym go zmysłem społecznym. Pozwala im on ocenić ludzi jednym spojrzeniem, oszacować możliwości dokonania korzystnej transakcji. Jest on równie niezbędny jak oddychanie. Aby przetrwać, trzeba nieustannie negocjować, ponieważ wszelkie

usługi, które powinien zapewniać rząd, w istocie można uzyskać tylko poprzez dyskretny handel wymienny. Jak opisać złożoność życia w kraju, którego przywódcy wyznaczają standard absolutnej korupcji? W Kinszasie nie można mieć nawet skrytki pocztowej. W dniu, w którym ją wynajmiesz, poczmistrz może ją sprzedać komuś oferującemu więcej pieniędzy, i ten ktoś wyrzuci twoje listy na ulicę. Poczmistrz może się bronić, że nie jest w stanie w

inny sposób utrzymać rodziny —jego koperta z pensją co tydzień przychodzi pusta, z oficjalnym stemplem informującym o awaryjnych oszczędnościach budżetowych. Ten sam argument wysuwają operatorzy telefoniczni, którzy połączą rozmowę z zagranicą, jeżeli podasz miejsce w Kinszasie, w którym zdeponujesz Z 'enveloppe z łapówką. To samo dotyczy ludzi wydających wize i paszporty. Dla osoby z zewnątrz to sprawia wrażenie chaosu, lecz to nie chaos, tylko negocjacje, które podlegają ścisłym regułom i nie mają końca.

Jako biała kobieta w Kinszasie budzę w tym względzie zainteresowanie, lecz nawet do Murzynki z taką samą torebką i w takich samych skórzanych butach ludzie podchodziliby na ulicy. Wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić. W zeszłym tygodniu podszedł do mnie młody mężczyzna i prosto z mostu poprosił o trzy tysiące zairów, a mnie kolejny raz opadła szczęka.

— Mondele, on nie prosił o trzy tysiące zairów — powiedziała spokojnie Elisabet, kiedy przerzuciłyśmy się w naszych fantazjach na ananasy. Wykonał ruch otwierający negocjacje, wyjaśniła. Ma coś do zaoferowania, może jakieś poufne informacje na temat towarów czarnorynkowych albo nazwisko operatora telefonicznego dysponującego nielegalnym (czyli tanim) dostępem do linii zamiejscowych. Tłumaczyła mi to już dziesiątki razy, ale zaczynam to sobie przyswajać, dopiero kiedy sama się zastanowię nad naturą tutejszego życia. W Kinszasie każdy, kto czegokolwiek potrzebuje — czy operacji usunięcia kamieni nerkowych, czy znaczka pocztowego — musi to sobie sprytnie wytargować. Kongijczycy są do tego przyzwyczajeni i wypracowali tysiące dróg na skróty. Oceniają perspektywy na podstawie stroju i wyrazu twarzy drugiej strony, toteż proces targowania się jest dawno rozpoczęty, jeszcze zanim zdążą otworzyć usta. Jeśli ktoś jest głuchy na tę subtelną rozmowę, to szokuje go, kiedy pierwsze wypowiedziane na głos słowa wydają się brzmieć: „Madame, żądam od pani trzech tysięcy zairów”. Słyszałam narzekania gości z zagranicy, że Kongijczycy są chciwi, naiwni i niekompetentni. Bzdura. Kongijczycy są

mistrzami sztuki przetrwania i ludźmi niesamowicie przenikliwymi, w przeciwnym razie umierają w młodym wieku. Przed takim stoją wyborem.

Już dawno mogłam sobie to wszystko wykoncypować, kiedy Anatole wyjaśnił, dlaczego tłumaczy kazania ojca. Nie powodował nim ewangelizm, lecz duch negocjacji. W ten sposób przekazywał wiernym warunki transakcji. Tego dnia pomnożyłam przez dziesięć moją ocenę inteligencji Anatole'a, a teraz widzę, że muszę to zrobić w stosunku do wszystkich ludzi, których znaleźliśmy. Dzieci, które męczyły nas codziennie o pieniądze i jedzenie, nie były tępymi na umyśle żebrakami. Były przyzwyczajone do dzielenia się nadmiarem dóbr i nie mogły pojąć, dlaczego my wykluczamy się z tego systemu. Wódz, który poprosił ojca o rękę mojej siostry, nie oczekiwał, że ojciec odda mu tego skamlącego termita! Sądzę, iż Tata Ndu taktownie sugerował, że staliśmy się ciężarem dla jego wioski, na którą spadł głód, że miejscowi ludzie radzą sobie z takimi ciężarami, przegrupowując rodziny, oraz że jeśli metoda ta jest dla nas nie do przyjęcia, to powinniśmy sobie poszukać innego miejsca pobytu. Tata Ndu niewątpliwie sprawował władzę w nieco aroganckim stylu, zarządził nawet głosowanie w kościele, aby upokorzyć mojego ojca, ale w sprawach życia i śmierci, co teraz dostrzegam, był wręcz niezrozumiale taktowny.

Smutne jest patrzeć, jak Zairczycy muszą wykorzystywać cały swój geniusz i zmysł dyplomatyczny, aby dożyć następnego dnia, podczas gdy codziennie wywozi nam się spod stóp całe fortuny w postaci diamentów i kobaltu.

— To nie jest biedne państwo — przypominam moim synom tak często, że słyszą to we śnie.—To jest państwo biednych ludzi.

Oczywiście Anatole nie przyniósł tego wieczoru do domu

żadnej pensji, już nie mówiąc o dodatku. Przyszedł jednak podniecony perspektywą strajku powszechnego i mówił o tym ściszym głosem przez całą

kolację, jak zawsze uważając, żeby posługiwać się zaszyfrowanymi słowami i zmienionymi nazwiskami. Wszelka wiedza na ten temat narażałaby chłopców na niebezpieczeństwo. Chociaż sędzę, że tego wieczoru nawet atak na Pearl Harbor przeszedłby nie zauważony, tacy byli zaabsorbowani jedzeniem manioku. Aby starczyło na dłużej, jadłam lewą ręką małymi kęsami, a prawą piersią karmiłam Martina. Po każdym jego łyku czułam coraz większy głód.

— Któregoś dnia — oznajmiłam — wezmę łuk i prześliznę się przez kraty Residence. — Pałac Mobutu w Kinszasie jest otoczony parkiem, w którym skubie trawę kilka zebra i jeden wychudzony słoń.

Pascal bardzo się zapalił do tego pomysłu.

— Oh, Mama! Abattons l'elephant\

Patrice trzeźwo nam uprzytomnił, że strzałem z łuku trudno będzie przebić skórę słonia. Pascal nie przejął się tym.

— Widziałeś go? Strzała mamy go powali! Piaf! Kufwa! Elisabet, jak zawsze praktyczna, spytała:

— Mondele,\ak zamierzasz ugotować słonia?

Jemy tylko maniok, maniok i jeszcze raz maniok. Czy zabarwimy go na różowo skórką z pomidora, czy na zielono rzeżuchą, maniok pozostaje maniokiem. Ryż i soja, jeśli uda nam się je dostać, pomagają nam uzupełnić aminokwasy i uniknąć procesu samozjadania się tkanki mięśniowej, zwanego malowniczo kwashiorkor. Pamiętam, iż zaraz po przyjeździe do Kilangi sądziłam, że tamtejsze dzieci muszą dużo jeść, skoro mają takie wydęte brzuchy. Teraz wiem, że ich mięśnie brzuszne były zbyt słabe, aby utrzymać wątrobę i jelita na miejscu. Zauważam oznaki tej choroby u Patrice'a. Wszelka żywność, która dociera do nas w Kinszasie, musi przybyć na zdezelowanych

ciężarówkach nieprzejezdnymi drogami z interioru, więc kosztuje za drogo, nawet

jeżeli uda się ją znaleźć. Czasami Anatole przypomina mi o pewnej rozmowie, którą odbyliśmy dawno temu. Próbowałam mu wyjaśnić, jak uprawia się żywność u nas w kraju: rośnie na olbrzymich polach daleko od ludzi, którzy ją jedzą. Teraz rozumiem jego zaniepokojenie. To miasto zostało zbudowane na wyobrażeniach o zachodniej wydajności przeszczepionych na tutejszą glebę—bardzo niedobry pomysł. Nikt, kto tutaj mieszka, temu nie zaprzeczy. To miasto jest olbrzymim nagromadzeniem głodu, zakaźnych chorób i rozpaczliwej nadziei.

Nie możemy nawet hodować warzyw na własny użytek. Próbowałam, zaraz za metalowymi tylnymi drzwiami, pod sznurkiem na pranie. Pascale i Patrice pomogli mi przekopać niewielki kawałek ziemi, z którego w ciężkich bólach wyrosło kilka marnych, zapyłonych wiechciów szpinaku i fasoli, pożartych w jedną noc przez kozę sąsiadów. Dzieci z tego domu wyglądały na takie wygłodzone (koza również), że nie umiałam żałować im tego prezentu.

My przynajmniej mamy ten wybór, że możemy wyjechać. Gdzieś z tyłu głowy myślę sobie — możemy znów spróbować zamieszkać w Atlancie. A nawet zostając tutaj, ze względu na pracę nauczycielską i działalność polityczną Anatole'a, i żyjąc za nędzne grosze, które przynosi ta praca, wciąż jesteśmy na uprzywilejowanej pozycji w porównaniu z sąsiadami. Zabrałam synów do USA, aby ich zaszczepić przeciwko chorobom, przeciwko którym w Zairze zaszczepić się nie można. Wszyscy urodzili się żywi i ani jednego nie zabrała mi ospa czy gruźlica. Mamy więcej szczęścia niż inni. To jest właśnie najtrudniejsze do zniesienia: widok za oknem. La che jest ponurą krainą w kolorze pyłu, toteż tęsknię za naszym dawnym życiem w interiorze. W Bikoki i Kilandze zawsze można było przynajmniej zerwać coś z drzewa. Nie było dnia, żebyśmy nie

widziały kwiatów. Epidemie czasami masakrowały wioskę, ale zawsze stosunkowo szybko się kończyły.

Śmieję się serdecznie z osoby, którą kiedyś byłam, przypominam sobie, jak moje siostry i ja nerwowo sporządzałyśmy listy niezbędnych artykułów: pomarańcze, mąka, nawet jajka! Kiedy

sytuacja naszej misjonarskiej rodziny sięgnęła dna, wciąż byliśmy bajecznie bogaci w porównaniu z mieszkańcami Kilangi. Nic dziwnego, że każdy przedmiot, który beztrąsko zostawiałyśmy na ganku, w nocy po cichutku znajdował sobie nowe miejsce pobytu. Nic dziwnego, że sąsiadki marszczyły brwi, kiedy wywracałyśmy na zewnątrz kieszenie na dowód naszego ubóstwa. Nikt inny w całej okolicy nie miał kieszeni. Musiały czuć się dokładnie tak samo, jak ja czuję się teraz, kiedy patrzę na Mobutu, który stoi na progu swych bajkowych pałaców i wzrusza ramionami, z rękami zanurzonymi po łokcie w migoczących skarbach jego kopalń.

— Wydawało mi się, że mówiłeś kiedyś, że zdaniem Kongijczyków nie należy zachowywać bogactwa dla siebie — powiedziałam kiedyś do Anatole'a, chcąc sprowokować sprzeczkę. On jednak roześmiał się tylko.

— Chodzi ci o Mobutu? On teraz nie jest już nawet Afrykańczykiem.

— W takim razie kim jest?

— Żoną wielu białych mężczyzn.

Anatole wyjaśnił mi to następująco: Jak księżniczka w bajce, Kongo urodziło zbyt bogate, aby wyszło mu to na dobre, i przyciągnęło uwagę chmary mężczyzn, którzy chcieli je doszczętnie złupić. Stany Zjednoczone są teraz mężem gospodarki zairskiej, i to mężem raczej mało sympatycznym, który mado swojej małżonki protekcyjny stosunek i wyzyskuje ją, a wszystko pod hasłem uchronienia jej przed upadkiem moralnym, który leży w jej naturze.

— O, doskonale znam ten rodzaj małżeństwa — powiedzia łam. — Przez całe dzieciństwo miałam przed oczami coś takiego.

Jednak przychodzi mi teraz do głowy, że wystawiając wszystkie nasze rzeczy na zewnątrz, matka sprawiła Kilandze pożegnalny dar. Żony są różne. Nasza pogańska matka jako jedyna spośród nas rozumiała ideę odkupienia.

Reszta z nas chyba dopiero do niej dorasta. Bóg przyznaje nam wystarczająco długie życie, abyśmy sami się ukarali. Janvier 17, Mort de Lumumba i śmierć Ruth May, to zawsze jest u nas smutny dzień. W styczniowe noce nawiedzają mnie rozpaczliwe sny,

w których balansuję nad wodą, próbując zachować równowagę. Kiedy patrzę za siebie na brzeg, rzędy jajek stają się twarzami głodnych dzieci, a potem następuje runięcie w siną rozpacz, w której muszę przesunąć górę kruszącą mi się w rękach. Jaka ulga obudzić się zlaną potem i poczuć ciało Anatole'a obok mojego. Lecz nawet jego oddanie nie może zdjąć ciężaru z mych ramion. „Zmiłuj się nade mną, Boże, w ogromie swego miłosierdzia”. Łapię się na tym, że odmawiam tę modlitwę, jeszcze zanim całkowicie rozbudzę się w świecie, w którym nie mam ojca i nie mogę liczyć na ogrom miłosierdzia.

Anatole mówi, że powtarzające się sny są częste u tych, którzy przeszli kiedyś ciężką malarię. Kiedy jestem podenerwowana albo smutna, padam również ofiarą straszego swędzenia od larw filaires, małych pasożytów, które wpełzają przez pory skórne i od czasu do czasu wywołują nagłe kryzysy. Afryka posiada tysiące sposobów, aby zaleźć człowiekowi za skórę.

Nasze życie tu w Kinszasie jest otoczone tyloma błogosławieństwami, że większość może o tym tylko pomarzyć. Na razie nie musiałam uśmiercać słonia Mobutu. Przez jakiś czas udawało mi się nawet przynosić do domu sporą pensję. Poszłam na żołd Amerykanów, tłumacząc się sama przed sobą, że obsypię tymi



dolarami handlarzy ulicznych w moim małym zakątku la cite, ponieważ jest pewne, że pomoc zagraniczna nie dotrze do nich w żaden inny sposób.

Pani Ngemba, nauczycielka angielskiego, tak brzmiała moja nowa tożsamość. Okazało się, że gryzła mnie równie dokuczliwie jak benedyktyński habit. Uczyłam w specjalnej szkole w osiedlu zbudowanym dla Amerykanów, którzy przyjechali budować linię energetyczną Inga-Shaba. To był wielki prezent ślubny od USA dla Konga — sfinansowanie budowy tej linii. Ciągnie się ona przez tysiąc sto mil dżungli, łącząc elektrownie wodne poniżej Leopoldville z odległym regionem górniczym Shaba na południu kraju. Do pracy przy budowie przyjechali inżynierowie z Uniwersytetu Purdue i ekipy chamowatych Teksaszczyków z rodzinami,

zamieszkali pod Leopoldville w dziwnym mieście zwanym Little America. Jeździłam tam autobusem codziennie rano, aby uczyć gramatyki i literatury dziwnie niepoetyckie dzieci tego przedsięwzięcia. Były blade, zdezorientowane i narzekały, że nie mogą oglądać różnych strasznych programów telewizyjnych, które miały w tytułach słowa „zło”, „gliniarz” i „niebezpieczeństwo”. Przypuszczalnie wyjadą z Konga w błogiej nieświadomości, że były całkowicie otoczone przez zło, gliniarzy i niebezpieczeństwa dżungli kłębiącej się od węży. Osiedle przypominało więzienie, sam beton zamknięty ogrodzeniem z drutu kolczastego. Jak wszyscy więźniowie, te dzieci walczyły ze sobą za pomocą wszelkich ostrych przedmiotów, które wpadły im w rękę. Kpiły z mojego sposobu ubierania się i nazywały mnie „Pani Gumbo”. Współczułam im, gardziłam nimi i życzyłam sobie w duchu, żeby wróciły do domu pierwszym statkiem. Raz po raz dostawałam nagany za swoją „postawę”, jak to nazywał dyrektor, ale tolerował mnie, ponieważ nie miał nikogo na moje miejsce. Zrezygnowałam po drugim półroczu.

To miejsce mnie przerażało. Wsiadałam do autobusu na końcu 17 Janvier, przysypiałam, telepiąc się na wybojach przez pół godziny przedświt, po czym otwierałam oczy na inną rzeczywistość. Osiedle składało się z kolejnych rzędów błyszczących metalowych domów i dziesiątków barów, które migotały o świetle aurą świeżych wymiocin i potłuczonego szkła. Autobus zatrzymywał się z sykiem tuż za bramą, po czym następowała osobliwa zmiana wachty: wysiadały nauczycielki i sprzątaczkę, robiąc miejsce w autobusie zmęczonym, rozmamłanym prostytutkom. Te młode Kongijki z pomarańczowymi włosami znały tylko parę najniezbędniejszych zwrotów po angielsku, a spod skąpych bluzek wystawały im ramiączka drogich amerykańskich biustonoszy. Wyobrażałam sobie, jak wracają do domów, składają ten uniform i zawijają się w pagnes, zanim pójdą na targ. Kiedy stałyśmy i patrzyłyśmy na siebie, mrugając i orientując się sytuacji, mijały nas z rykiem ciężarówki wiozące do dżungli ekipy mężczyzn, którzy (sądząc po prostytutkach) w ogóle nie sypiali.

Przez cały rok patrzyłam, jak ci nieokrzesani cudzoziemcy wyjeżdżają budować tysiące kilometrów tymczasowych dróg do wożenia drutu, narzędzi i blachy. Nawiasem mówiąc, prowincja Shaba huczy od wodospadów, które mogłyby z naddatkiem zaspokoić całe zapotrzebowanie na prąd, ale w sytuacji, gdy elektryczność przychodziłaby ze stolicy, Mobutu mógłby odciąć kopalniom prąd przy pierwszych oznakach buntu. W końcu Katanga próbowała się kiedyś odłączyć. W okresie, kiedy tam pracowałam, sądziliśmy, że tymi względami tłumaczy się to dziwne przedsięwzięcie.

Odkąd zrezygnowałam, dowiedzieliśmy się więcej, wystarczająco dużo, abym przeklinała mój skromny udział w budowie linii Inga-Shaba. Projekt ten był nie tylko nieracjonalny, ale i cyniczny. Linią wysokiego napięcia nigdy nie miał popłynąć prąd. Ponieważ nie było jak obsługiwać sieci, która przebiegała przez jądro ciemności, inżynierowie patrzyli, jak ogon potwora wali się z taką samą szybkością, z jaką powstaje głowa. Koniec końców całość została

dokładnie uprzątnięta na tej samej zasadzie, na jakiej drzewo zostaje oczyszczone przez mrówki żywiące się liśćmi: śruby, nakrętki i wszystko, co mogłoby posłużyć za materiał na dachy domów, wyparowało do dżungli. Każdy mógł przewidzieć taki rezultat. Jednak pożyczając Kongu ponad miliard dolarów na linię energetyczną, Bank Światowy zapewnił sobie permanentny dług, który będziemy spłacali kobaltem i diamentami aż do końca świata. A przynajmniej do końca epoki Mobutu. Jest to popularna zabawa: zakładać się, co nastąpi wcześniej. Dług zagraniczny liczy teraz wiele miliardów dolarów, toteż wszelkie nadzieje na niepodległość, jakie jeszcze się tliły, siedzą skute kajdankami w więzieniu dla dłużnika. Czarny rynek jest teraz o tyle prężniejszy niż oficjalna gospodarka, że widziałam, jak ludzie zalepiają zairami szczeliny w ścianach. Szmugiel minerałów za granicę kwitnie tak bujnie, że Kongo Francuskie, nasz sąsiad, który nie ma w swych granicach ani jednej kopalni diamentów, jest na piątym miejscu na świecie, jeśli chodzi o eksport tych kamieni.

Wszystko zaś, co nie wyfrunęło z kraju, leży w spiżarni króla. Gdyby moja siostra Rachel i pan William Shakespeare usiedli razem, aby wymyślić najbardziej rozrzutnego despotę, i tak nie przebiliby Mobutu. Teraz buduje sobie pałac wzorowany na tym, w którym mieszka jego przyjaciel szach Iranu. W swojej rodzinnej wiosce Gbadolite. Podobno po okolonym wysokimi murami dziedzińcu paradują tłuste pawie i dziobią ziarno ze srebrnych talerzy z mauryjskimi grawerunkami. Benzynowy generator prądu, który oświetla pałac, przez całą dobę robi tak straszny huk, że z okolicy pouciekały wszystkie małpy. Klimatyzacja musi być cały czas włączona, żeby gorąco dżungli nie uszkodziło złoconych żyrandoli.

Potrafię sobie to wszystko wyobrazić. Opodał murów pałacu kobiety z Gbadolite kucają na swych podwórzach i gotują maniok w kołpakach z odzysku, a gdyby ich zapytać, co dla nich znaczy niepodległość, nastroszyłyby się i

pogroziły kijem. Co za bzdura. Miasta mają nowe nazwy, a jakby tego było mało, mamy teraz zwracać się do siebie per citoyen.

W centrum Kinszasy, gdzie w wielu barach są telewizory, Mobutu w swej czapie z lamparciej skóry mruga do nas powiekami codziennie o siódmej wieczór, w celu zjednoczenia naszego narodu.

— Ilu ojców? — pyta raz po raz w tym nagrany spektaklu, a jego publiczność, również nagrana, odpowiada:

— Jeden!

— Ile plemion? Ile partii? — pyta dalej. — Ilu panów?

Za każdym razem lojalne zgromadzenie wiernych wrzeszczy:

— Mookoo! Jedno!Jedna!Jeden!

Obraz migocze, a citoyens piją piwo albo zajmują się swoimi sprawami. Mobutu mówi w języku swojego plemienia. Większość ludzi nawet go nie rozumie.

Rachel Axelroot DuPree Fairley

Equatorial, styczeń 1978

Słuchajcie, nie wierzcie w bajki! Jest ślub, jest potem-żyli-długo-i-szczęśliwie, i dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa historia, której nigdy nie podają. Nawet jeżeli wyjdiesz za księcia, to i tak budzisz się rano ze smakiem płynu do przetykania rur w ustach i włosami przyplaszczonymi z jednej strony.

Bidulka Rachel, nagle zrobiła się z niej żona dyplomaty na skraju pralasu, w sukni od Diora i długich czarnych rękawiczkach chodzi na przyjęcia do ambasady w Brazzaville, Kongo Francuskie. To była ta część bajkowa, rewelacyjna, dopóki się nie skończyła. Czułam się jak prawdziwy Kopciuszek.

Tutejsza wilgoć doskonale mi robiła na włosy i miałam swojego osobistego francuskiego fryzjera (to znaczy podawał się za Francuza, ale podejrzewałam, że jest Belgiem), który przychodził do nas do domu w każdy wtorek i sobotę. Nie potrafię sobie wyobrazić przyjemniejszego życia. Nikt by nie uwierzył, że zaledwie kilka lat wcześniej mieszkałam z rodziną po drugiej stronie rzeki — ja, Rachel, tarzałam się w brudzie! Gotowa sprzedać duszę za suchy moherowy sweter i puszkę lakieru Fina! Net. O boziu. Jako żona dyplomaty nieźle się wyedukowałam politycznie. Kongo Francuskie i nową Republikę Konga dzieli od siebie zwykła rzeka i mniej więcej milion mil zmodernizowanego nowoczesnego myślenia. To dlatego, że próbowali zrobić tam wszystko sami, a nie mają do tego usposobienia. Jeszcze im się nie udało założyć porządnej sieci telefonicznej, podczas gdy za całej mojej służby dyplomatycznej w Brazzaville najgorsze, co musiałam znosić, to było wyklócanie się ze służącymi, żeby przycięli hibiskusa w ogrodzie i starli pleśń z kryształów.

Od tego czasu upłynęło wiele wody w rzece. Służba dyplomatyczna to piękna rzecz, ale mężczyzna, który porzuca żonę dla kochanki, nie jest najlepszą partią, o czym się z przykrością przekonałam. Cóż, człowiek całe życie się uczy. Niestety, powiedzenie „widziały gały, co brały” nie zawsze się sprawdza.

Remy, mój trzeci mąż, był mi bardzo oddany. Był to starszy człowiek. Moje życie składało się prawie z samych katastrof, w tym przynajmniej połowy w sferze matrymonialnej, ale nareszcie poszczęściło mi się w miłości, kiedy spotkałam Remy'ego Fairleya. Miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, że umarł i zostawił mi Equatorial.

Kiedy dusza Remy'ego znalazła wieczny odpoczynek, nareszcie mogłam rozwinąć skrzydła i zabrałam się za rozbudowę i urządzenie Equatorial. Teraz jest to najprzyjemniejszy hotel dla biznesmenów przy całej północnej trasie z Brazzaville do Owando. Jesteśmy jakieś sto mil na północ od miasta, co wychodzi znacznie dalej w kilometrach, ale mimo to mamy sporo turystów.

Zawsze zatrzymują się u nas jacyś Niemcy, Francuzi i inni, którzy jadą na północ nadzorować jakąś budowę albo po prostu wymykają się z miasta, żeby zobaczyć trochę prawdziwej Afryki, zanim zakończą swoją misję zagraniczną w Brazzaville i wrócą do domu do swoich żon. Najczęściej są to naftowcy albo przedsiębiorcy.

Ten teren był kiedyś plantacją, więc dom otaczają śliczne zagajniki drzew pomarańczowych i palm kokosowych. Sam budynek został przerobiony na dwanaście mniejszych lub większych komfortowych pokojów, wszystkich całkiem luksusowych, z dwiema łazienkami na każdym piętrze. Restauracja na parterze mieści się w otwartym portyku ocienionym bugenwillami. Prawie zawsze wieje lekki wietrzyk. Ostatnio dołożyliśmy nieduże kryte patio z barem, toteż kiedy moi goście konsumują, ich szoferzy mogą spędzić czas w przyjemnym miejscu. Restauracja jest tylko dla płacących gości hotelowych, czyli, czego nie muszę chyba tłumaczyć, wyłącznie białych, bo Afrykanie z okolicy przez cały miesiąc nie zarobiliby tyle, żeby im wystarczyło na jedną kolację prix-fixe u mnie. Aleja na pewno nie należą do osób, które kazałyby ludziom stać na deszczu! Dlatego zbudowałam dla nich ten drugi lokal, dzięki temu nie korci ich, żeby się kręcić po głównym barze. Słynę też z mojej miłości do zwierząt i stworzyłam całkiem sporą menażerię między ogrodem a restauracją, dla rozrywki moich gości. O każdej porze dnia można

usłyszeć papugi paplające w klatkach. Nauczyłam je mówić: „Proszę dopijać! Zamykamy!” po angielsku, francusku i w afrikaans, muszę jednak przyznać, że w ciągu tych kilku lat zmałpowały od gości kilka skandalicznych zwrotów. Klientela w Eauatorial jest zawsze najwyższego kalibru, ale jakkolwiek na to patrzeć, składa się z mężczyzn.

Ze wszystkich moich osiągnięć najbardziej szcycę się basenem, patio i ogrodami, które są wyłącznie moim dziełem. Najwięcej wysiłku wymagał basen. Płaciłam ekipie miejscowych chłopaków za każdy koszyk wykopanej

ziemi. Oczywiście musiałam cały czas pilnować, żeby mi nie wkładali liści na dno koszyka. Prowadzenie takiego lokalu to ciężka praca, uwierzcie mi. Moja służba okradłaby mnie do szczeru, gdybym nie trzymała wszystkiego pod kluczem i nie karała winowajców twardą ręką. Większość kobiet nie wytrzymałaby tygodnia na moim miejscu. Moja tajemnica? Lubię to. Naprawdę to lubię. Na przekór wszystkiemu spaceruję po restauracji w bikini z upiętymi wysoko platynowymi włosami, dzwonię wielkim pękiem kluczy, wesoło zachęcam moich gości, aby pili swoje martini i zapomnieli o troskach dnia codziennego. I myślę sobie: nareszcie, Rachel, masz swoje własne królestwo, którym możesz rządzić, jak ci się spodoba. Na co mi mąż, skoro otacza mnie cała chmara przystojnych mężczyzn? A przecież, jeśli któryś z nich nie zachowuje się jak należy, to fora ze dwora! Jeśli chcę na obiad curry z kurczaka, to po prostu mówię kucharzom: curry z kurczaka. Jeśli chcę więcej kwiatów, to strzelam z palców i ludzie sadzą mi kwiaty. Zaharowuję się na śmierć, prowadząc ten zakład przez siedem dni w tygodniu plus weekendy. Ceny może mam trochę wyższe od przeciętnych, ale moi goście nigdy się na nic nie skarżą. Po co mieliby iść dać się oszwabić gdzie indziej, skoro mogą przyjść tutaj!

Przypuszczalnie będę bardzo bogata i bardzo stara, zanim odwiedzi mnie w Equatorial ktoś z mojej rodziny. Lea mieszka w Kinszasie, czyli o rzut beretem. Po tej walce Muhammada Alego i George'a Foremana mieliśmy całe tony turystów. Przyjechali do Afryki na mecz, a potem przepłynęli na drugą stronę

rzeki i zwiedzali Kongo Francuskie, ponieważ drogi i wszystko inne jest tu ogólnie w znacznie lepszym stanie niż tam. Wiedziałam, że ludzie będą się do mnie pchali drzwiami i oknami, jak tylko ogłoszono tę walkę. Zawsze miałam szósty zmysł do wyczuwania trendów rynkowych i trafiłam w dziesiątkę. Dokończyłam łazienkę na drugim piętrze, z którą miałam problemy, i udekorowałam bar motywami bokserskimi. Schodziłam sobie nogi, próbując

załatwić autentyczny plakat z meczu, ale czasami trzeba się zadowolić tym, co się ma. Kazałam jednemu z chłopców uszyć z wysuszonych liści figi rajskiej miniaturowe rękawice bokserskie, co wyszło bardzo zgrabnie, i kazałam je powiesić na wszystkich lampach i wiatrakach. Nie lubię się chwalić, ale to było po prostu чудо.

Stale sobie myślałam, wszyscy są w takim odświętnym nastroju, a Lea mieszka tak niedaleko. Matka i Ada ciągle powtarzały, że może przyjadą z wizytą, a skoro one są gotowe przepłynąć cały ocean, to Lea mogłaby chyba zdobyć się na to, żeby wsiąść w autobus. Już nie mówiąc o ojcu, który wciąż wałęsa się po dżungli i co on ma lepszego do roboty, ja się zapytuję, niż trochę się ochędożyć i złożyć wizytę swej najstarszej córce? Och, marzyłam o takim prawdziwym spotkaniu rodzinnym po latach. Oczy by im wyszły na wierzch, gdyby zobaczyli mój hotel. Oczywiście nikt nie przyjechał.

Chyba powinnam dać sobie z tym spokój, ale gdzieś z tyłu głowy dalej o tym myślę. Wyobrażam sobie, że oprowadzam Leę i Adę po moim pałacu, przeciągam dłonią po wytwornej mahoniowej boazerii w barze, zamaszystym gestem otwieram drzwi łazienek na górze, które mają lustra w ramach ze sztucznego złota (stać by mnie było na prawdziwe, ale zaraz by się złuszczyło przy tej wilgotności!) i ogólnie urządzone są w luksusowym stylu europejskim, z ubikacją i bidetem. Ale by się moje siostry zdziwiły, widząc, co osiągnęłam, choć zaczynałam niemal od zera. Nie obchodzi mnie, że są wybitnie uzdolnione i znają na pamięć cały słownik, muszą docenić wartość ciężkiej pracy. „Rachel — powiedziałyby Lea — jakże genialnie i z jakim rozmachem

prowadzisz ten lokal! Nie wiedziałam, że masz taki wyjątkowy talent do branży hotelarskiej". Ada oczywiście powiedziałyby coś jeszcze bardziej zabawnego, w stylu: „Rachel, kwestia higieny osobistej stała się u ciebie prawdziwym powołaniem!"



Jeśli chcecie wiedzieć, to właśnie dlatego nie przyjeżdżają — boją się, że musiałyby mnie zacząć nareszcie szanować. Jestem pewna, że wolą dalej uważać siebie za rodzinne mózgi, a mnie za głupią blondynkę. Zawsze strasznie zadzierały nosa, ale jeśli interesuje was moje zdanie, to na własne życzenie spaprały sobie karierę. Ada była na studiach prawdziwą gwiazdą (matka przysłała mi wycinki z gazet, z których wynikało, że Ada zdobywała jakąś nagrodę praktycznie za każdym razem, gdy poszła zrobić kupę) i mogłaby się bardzo dobrze urządzić jako lekarka, ale z tego, co pisze mi teraz matka, pracuje teraz dzień i noc ubrana w okropny biały fartuch w jakimś strasznie ważnym instytucie w Atlancie, gdzie badają mikroby. Super sprawa! No cóż, ktoś chyba musi się tym zajmować!

Ale Lei to już nigdy nie zrozumiem. Po tych wszystkich latach potrafię bez problemu pracować z Afrykanami, przede wszystkim nie wiodąc ich na pokuszenie. Ale wyjść za Afrykańca? I mieć z nim dzieci? To nie wydaje się normalne. Nie poczuwam się do przynależności do tego samego gatunku z tymi chłopakami.

Oczywiście nie powiedziałabym jej tego prosto w oczy. Przysięgam, że nie powiedziałam ani słowa przez wszystkie te lata. Co zresztą nie jest zbyt trudne, bo rzadko do siebie pisujemy. Przysyła mi tylko kartki bożonarodzeniowe, które dochodzą akurat na Wielkanoc. Myślę, że pocziarze w Zairze są leniwi albo przez większość czasu pijani. A kiedy już coś przyjdzie, to zawsze przeżywam wielkie rozczarowanie. Tylko: jak leci, urodziłam kolejne dziecko, które ma na imię tak i tak. Mogłaby im przynajmniej dać angielskie imiona, nie? Nigdy się nawet nie zapyta o hotel.

Jasne, że wszystkie wolałybyśmy utrzymać dobre stosunki rodzinne, ale nasza rodzina się rozpadła po tragicznej śmierci Ruth May. Można spędzić całe życie, gryząc się z tego powodu wyrzutami sumienia i mam wrażenie, że zwłaszcza matka do tej

pory się nie pozbierała. Lea postanowiła za to zapłacić zaślubinami z Afryką. Ada na pewno mogłaby sobie znaleźć znośnego chłopaka, odkąd nareszcie się wyleczyła, ale nie, ona musi wyrzucać najlepsze lata do próbówki z mikrobami.

Cóż, to ich decyzja. To, co się stało w Kongu, to było po prostu pechowe zderzenie dwóch przeciwstawnych światów, które spowodowało tragedię. Po czymś takim można tylko pójść swoją drogą, kierując się własnym sercem. A w mojej rodzinie każdy ma w sercu co innego.

Zadaję sobie pytanie, czy ja miałam w tym jakiś udział. Odpowiedź brzmi nie. Od razu postanowiłam trzymać się od tego wszystkiego na dystans. Dbać o włosy i udawać, że jestem gdzie indziej. Kurza melodia, czy to nie ja jako jedyna darłam się dzień i noc, że jesteśmy w niebezpieczeństwie? To prawda, że kiedy się to zdarzyło, byłam najstarsza i ktoś może uważać, że powinnam była wziąć sprawy w swoje ręce. Gdybym się szybciej zorientowała, to może zdążyłabym ją odciągnąć, ale to stało się tak błyskawicznie. Ona w ogóle nie wiedziała, co jej się stało. A poza tym nie można czuć się odpowiedzialną za ludzi, którzy w ogóle nie zwracają na ciebie uwagi, choć jesteś ich rodzoną siostrą. Więc nie poczuwam się do żadnej odpowiedzialności. Naprawdę.

Mój dzień tutaj, w Eąatorial, kończy się zazwyczaj tak, że sama zamykam bar, siedzę po ciemku z ostatnim kieliszkiem i ostatnim papierosem, i słucham niepokojących dźwięków sali, z której ulotnił się wesoły gwar. Po dachu ze strzechy skaczą różne stworzenia, diany i tym podobne, które widzi się tylko w nocy. Szurają i zagląдают na dół swoimi oczami jak paciorki, dopóki się nie wścieknę i krzyknę: „Stulcie mordy!” Czasami muszę rzucić w nie sandałami, zanim się uciszą. Zawsze sobie powtarzam, lepiej, kiedy hotel jest pełen gości, a szklanki pełne trunków. Naprawdę nie ma sensu siedzieć za długo samej w ciemnościach.

Lea Price Ngemba

Kinszasa, pora deszczowa, 1981

Anatole jest w więzieniu. Może po raz ostatni. Wstaję z łóżka, wkładam buty i zmuszam się do tego, by zająć się dziećmi. Za oknem deszcz leje na wszystkie mokre kozy, rowery i dzieci, a ja stoję i podziwiam koniec świata, gorzko żałując, że nie zostaliśmy w Atlancie.

Ale musieliśmy tu wrócić. Taki człowiek jak Anatole ma wiele do zaoferowania swemu krajowi. Oczywiście nie obecnemu reżimowi, którego jedynym celem jest utrzymanie się u władzy. Mobutu opiera się na ludziach, którzy najpierw strzelają, a potem zadają pytania. W tej chwili jedyną uczciwą pracą dla państwa jest dążenie do obalenia rządu. Tak mówi Anatole. Woli być tutaj, nawet w więzieniu, niż puścić płazem taką hańbę. Znam poczucie honoru mego męża równie dokładnie, jak ściany tego domu. Wstaję więc, wkładam buty i przeklinam sama siebie, że chcę stąd wyjechać. Teraz straciłam wszystko: jego, jego ideały i tajną drogę ucieczki, którą trzymałam w rezerwie, gdyby moje ideały zupełnie zawiodły. Zawsze myślałam, że mogę wsiąść w samolot i polecieć do Ameryki. Teraz już nie. Teraz wyciągnęłam tego asa z kryjówki, dobrze mu się przyjrzałam i zobaczyłam, że jest zupełnie bezużyteczny, zdewaluował się jak stary, różowy banknot kongijski.

Jak do tego doszło? Byłam w USA trzy razy, za każdym razem czując się bardziej obco. Czy Ameryka przesunęła się pod moimi stopami, czy też pozostała nieruchoma, lecz ja maszerowałam drogą ku temu, za czym gonię, kierując się na słup dymu w mym exodusie? Podczas naszej pierwszej podróży wydawało się, że Ameryka stanowi dla nas jakąś możliwość. Nosłam w brzuchu Patrice'a — czyli to musiał być 1968 rok. Pascal miał prawie trzy lata i jak przystało na inteligentną papużkę, bardzo szybko uczył się angielskiego. Ja studiowałam agronomię na Uniwersytecie Emory, a Anatole studiował nauki

polityczne i geografię. Był nietypowym studentem, pochłaniał wszystko, co podawały podręczniki, a potem wyruszał na poszukiwanie rzeczy, których nie wiedzieli nauczyciele. Bibliotekę publiczną mylił z rajem.

— Bćene — szeptał — o wszystkim, co kiedykolwiek przyszło mi do głowy, ktoś już napisał książkę.

— Uważaj — droczyłam się z nim — może jest też książka

o tobie.

— Tak, boję się tego! Z pełną relacją na temat grzechów mojej młodości.

Czuł się winny, że śpi w nocy, zamiast czytać te wszystkie książki. Nadal był powściągliwy, jeśli chodzi o mówienie po angielsku, bał się, że może pomylić pewne słowa, które dla niego brzmiały nieodróżnialnie, ale czytał z żarłocznością, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. A ja mogłam pobyc z moją rodziną. Ada studiowała wtedy medycynę, więc była potwornie zajęta, ale mimo to właściwie mieszkaliśmy z matką. Była dla nas dobra. Pascal wałęsał się po domu i drzemał na jej kolanach jak kot.

Po raz drugi polecałam, aby odzyskać siły po narodzinach Martina, ponieważ dostałam poważnej anemii, a poza tym chłopcy musieli wziąć dawki przypominające szczepionkę. Matka zdobyła pieniądze na nasze bilety. Tym razem polecałam tylko z chłopcami, bez Anatole'a, i zostaliśmy dłużej niż planowaliśmy, aby nacieszyć się tym, że mamy pod dostatkiem jedzenia.

1 aby dać matce szansę poznania swych jedynek wnuków. Za brała nas nad ocean, na smagane wiatrem piaszczyste wyspy koło wybrzeża Georgii. Chłopcy szaleli z radości, mając tyle rzeczy do odkrycia i rozległe otwarte przestrzenie do biegania. We mnie jednak wzbudziło to tęsknotę za domem. Wybrzeże pachniało jak targi rybne w Bikoki. Stałam na brzegu i patrzyłam

przez nie wyobrażalną ilość pustki w stronę Anatole'a i wszystkiego innego, co zostawiłam w Afryce.

Może to śmieszne narzekać na coś takiego, ale Ameryka jest prawie zupełnie bezwonna. Na pewno zauważyłam to już wcześniej, ale tym razem odczułam to jako wadę. Przez całe tygodnie po przybyciu do USA ciągle przecierałam oczy, sądząc, że tracę wzrok, a może słuch. Okazało się jednak, że szwankuje powonienie. Nawet w sklepie spożywczym, otoczona w jednym przejściu między półkami większą liczbą rodzajów żywności, niż Kongijczyk ich widzi przez całe życie, nie czułam w powietrzu nic oprócz mglistej, zdezynfekowanej próżni. Wspomniałam o tym Anatole'owi, który oczywiście już dawno zwrócił na to uwagę.

— Powietrze w Ameryce jest neutralne — powiedziałam. — Nie czuć w nim absolutnie nic, chyba że przystawi się do czegoś nos.

— Może dlatego oni nic nie wiedzą o Mobutu — zasugerował.

Anatole zarabiał trochę pieniędzy, udzielając korepetycji magistrantom, sumę, którą inni doktoranci nazywali „głodową”, ale to było znacznie więcej, niż nam dwojgu udało się zarobić w którymkolwiek roku. Znowu mieszkaliśmy w kwaterach przeznaczonych dla par małżeńskich, w kompleksie z drewnianych prefabrykatów położonym pośród sosen. Jedynym tematem rozmów naszych młodych sąsiadów były niezadowalające warunki mieszkaniowe w tych pakamerach. Dla Anatole'a i mnie mieszkania były absurdalnie luksusowe. Szklane okna, dwa zamki u drzwi, chociaż nie mieliśmy nic, co warto byłoby ukraść. Kran z bieżącą wodą, i to gorącą, w kuchni, a dziesięć kroków dalej kolejny, w łazience!

Chłopcy na przemian tęsknili za domem i byli zachwyceni Ameryką. Rozbudzili w sobie apetyt na pewne amerykańskie rzeczy, które mnie niepokoiły, a nie zwracali uwagi na inne, które mnie jeszcze bardziej niepokoiły.

Na przykład to, jak życzliwi biali mówili do moich trójjęzycznych synów (płynnie przechodzą z francuskiego na lingala i angielski, przy czym w każdym z tych języków mówiąz lekkim akcentem), zwracając się do nich jak do niezbyt rozbudowanych małych dzieci. W gruncie rzeczy tak samo zachowywali się w stosunku do Anatole'a jego studenci, którzy stale okazywali skłonność do pouczania go na temat demokracji i praw człowieka — bezczelnie smarkacze! Nie mieli przy tym pojęcia, jak ich kraj obchodzi się z jego krajem. Anatole opowiadał mi w nocy te historie ze spokojną rezygnacją, lecz ja przeklinałam, rzucałam poduszkami i płakałam, on zaś tulił mnie do siebie w ogromnym, wygodnym łóżu dla studenckich par małżeńskich.

Obywatele mojej ojczyzny traktowali mojego męża i dzieci jak istoty prymitywne lub dziwolągi. Na ulicy rzucali nam z daleka zgorzone spojrzenia, biorąc nas za paskudztwo, które znali i którym się brzydzyli — mieszane małżeństwo z małymi bękartami. Kiedy podeszli bliżej, wybałuszali oczy na Anatole'a i pogardę zastępował szok. Kunsztowne ryty na jego twarzy wojownika przemawiają językiem równie dla nich obcym jak lingala. Ta księga jest dla nich zamknięta na siedem pieczęci. Nawet znajomi mojej matki, którzy naprawdę się starali, nie pytali mnie o pochodzenie ani talenty Anatole'a — tylko szeptali konspiracyjnie, kiedy wyszedł z pokoju:

— Co mu się stało z twarzą?

Anatole zapewniał mnie, że zbulwersowane spojrzenia mu nie przeszkadzają. Przeważającą część życia spędził jako obcy. Ja jednak nie mogłam znieść tego protekcjonalnego traktowania. Anatole jest niezwykle pięknym i wybitnym człowiekiem w swoim kraju, dla tych, którzy doceniają intelekt i honor. Przez całe dzieciństwo zadręczałam się tym, że zrujnowałam życie mojej siostrze bliźniaczce, którą pociągnęłam za sobą do światła. Nie mogę teraz ciągnąć za sobą męża i synów do życia, w którym ich piękno rozkwitnie i zwiędnie w ciemnościach.

Wróciliśmy zatem do domu. Tutaj. W objęcia katastrofy. Anatole'owi zarekwirowano na lotnisku paszport. Kiedy Pascal i Patrice boksowali się ze znudzenia i wyczerpania, a Martin opierał się o mnie, płacząc, że uszy go bolą, mój mąż, niezauważenie przeze mnie, został powalony. Był w Zairze ścigany. Wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. Anatole powiedział mi, że to formalność i że musiał im podać nasz adres w Kinszasie, aby wiedzieli, gdzie mają mu odnieść paszport następnego dnia. Roześmiałam się i powiedziałam (przy urzędnikach!), że znając sprawność naszego rządu, to będzie w następnym roku. Potem wcisnęliśmy się do zdezelowanej taksówki marki Peugeot, w której nareszcie poczuliśmy się u siebie, i pojechaliśmy do domu

Elisabet, gdzie z powodu zmiany czasu spaliśmy niespokojnym, urywanym snem. Miałam na głowie tysiące rzeczy: posłać chłopców do szkoły, znaleźć mieszkanie, wymienić dolary od matki w jakimś kinszaskim banku, który nie da nam starych zairów albo podrobionych nowych, zdobyć jedzenie, żeby nie obciążać biednej Elisabet. Żadne z tych zmartwień nie dotyczyło mojego męża. Nawet nie spaliśmy razem, ponieważ pożyczone przez Elisabet łóżka polowe były za wąskie.

To mogła być nasza ostatnia okazja. Casques-bleus o świcie załomotały do drzwi. Nie byłam całkowicie rozbudzona. Podchodząc do drzwi, Elisabet wciąż zawijała jeszcze swoje pagne i czterech mężczyzn weszło do środka tak brutalnie, że pchnęli ją na ścianę. Tylko Martin był zupełnie obudzony i wpatrywał się swymi wielkimi czarnymi oczami w pistolety za paskami agresorów.

Anatole zachowywał się spokojnie, lecz w oczach miał rozpacz, kiedy na mnie patrzył. Podał mi nazwiska ludzi, których miałam natychmiast znaleźć — powiedział, że pomogą nam się zainstalować, ale wiedziałam, o co naprawdę chodzi — i adres, który wyglądał mi na przeliterowany od tyłu.

— Chłopcy... — zaczęłam, nie mając pojęcia, jak zamierzam dokończyć to zdanie.

— Chłopcy kochają cię bardziej niż swoje oczy. Planche de salut.

— Są na zawsze Afrykańczykami. Wiesz o tym.

— Uważaj na siebie, Beene.

I zabrali go. Nie mam pojęcia, jak uważać na siebie. Życie, ogólnie biorąc, wydaje mi się niewyraźne okrutne i nieprzewidywalne.

Przynajmniej wiem, gdzie on jest, Elisabet mówi, że to prawdziwe dobrodziejstwo. Nie zgadzam się z nią. Zabrali go natychmiast do Thysville, leżącego około stu kilometrów na południe od Leopoldville przy najlepszej drodze w tym państwie, która ostatnio otrzymała nową nawierzchnię dzięki pomocy zagranicznej. To pokazuje, jak ważne jest dla reżimu to więzienie. Musiałam pójść do ośmiu różnych urzędów państwowych, aby uzyskać

jakieś informacje, jak posłuszny pies nosząc różne kartki pergaminu z jednego biura do drugiego, aż wreszcie stanęłam przed obliczem mego pana, który siedział na odchylonym do tyłu krześle z nogami na blacie biurka. Był zdziwiony widokiem białej kobiety i nie mógł się zdecydować, jaką przyjąć postawę, unizoną czy pogardliwą, więc przeskakiwał od jednej do drugiej. Powiedział mi, że mój mąż będzie zatrzymany do czasu postawienia mu formalnych zarzutów, co może zająć od sześciu miesięcy do roku. Oskarża się go, ogólnie biorąc, o zdradę stanu, czyli o antymobuetyzm, i najbardziej prawdopodobnym wyrokiem wydaje się dożywocie, choć są też inne możliwości.

— W Camp Hardy — powiedziałam.

— Le Camp Ebeya — poprawił mnie. Oczywiście. Camp Hardy został przemianowany, w ramach authenticite.



Wiedziałam, że nie powinnam sobie robić złudzeń co do „innych możliwości”. Tak się składa, że w Camp Hardy trzymano Lumumbę i zatłuczono prawie na śmierć, zanim przewieziono go samolotem do Katangi. Zastanawiam się, ile pociechy znajdzie mój mąż w tej częściowej wspólnotocie losów. Zналиśmy kilku innych ludzi, w tym nauczyciela, kolegę Anatole'a, których trzymano w Camp Hardy. Pobyt tam uchodzi za przedłużoną egzekucję, przede wszystkim przez zagłodzenie. Kolega Anatole'a powiedział, że zdarzały się długie okresy, kiedy dawano mu raz na dwa dni banana. Większość cel jest pojedynczych, bez światła, urządzeń sanitarnych czy nawet dziury w podłodze. Wiader nikt nie wynosi.

Powiedziano mi, że nie mogę odwiedzać Anatole'a, dopóki nie zostaną mu przedstawione zarzuty. Potem to będzie zależało od rodzaju zarzutów. Patrzyłam tępo na pusty błękitny hełm, który leżał na biurku, a potem na nie osłoniętą głowę komendanta, i życzyłam sobie, żeby wybuchła na skutek siły mojego gniewu. Kiedy mój rozmówca nie miał mi już nic więcej do powiedzenia, podziękowałam moją najuprzejmniejszą francuszczyzną i wyszłam. „Zmiłuj się nade mną, Boże, w ogromie swego miłosierdzia. Zgrzeszyłam ochotą, by rozbić temu człowiekowi czaszkę i powrzucać kawałki jego cuchnącego mózgu ludziom do ogródków”.

Przynajmniej nie siedzi skuty kajdanami pod stadionem, powtarza Elisabet, i chyba nawet moje złamane serce potrafi przyznać, że to pomyślna okoliczność.

Nigdy wcześniej nie zaznałam takiej samotności. Chłopcom jest oczywiście smutno, ale Pascal i Patrice mają piętnaście i trzynaście lat i są już prawie mężczyznami, toteż radzą sobie z tym po męsku. Martin zaś jest taki zdezorientowany i ma taką potrzebę bycia pocieszanym, że nie ma mi nic do dania.

Od razu znaleźliśmy dom, niedawno zwolniony przez rodzinę nauczyciela, który wyjechał do Angoli. Jest daleko od centrum, na jednym z ostatnich osiedli przy drodze do interioru, toteż na pociechę mamy przynajmniej kwitnące drzewa i ogródek, w którym możemy hodować warzywa. Jesteśmy jednak daleko od Elisabet i Christiane, które pracują po kilkanaście godzin dziennie, sprzątając posterunek policji i przyległy magazyn rządowy. Nie dane jest mi pokrzepienie codziennej rozmowy. Poza tym nawet w Elisabet nie znajduję pokrewnej duszy. Ona mnie kocha, ale uważa mnie za osobę zagadkową i niekobiecą, jak również za potencjalne źródło kłopotów. Może stracić pracę na skutek powiązań rodzinnych ze zdradą stanu.

Nigdy nie zdałam sobie sprawy, w jakim stopniu byłam zależna od Anatole'a, by uzasadnił moją obecność tutaj i uzyskał dla niej przebaczenie. Przez tyle lat cieszyłam się luksusem niemal niepamiętania, że jestem białą kobietą w krainie ludzi brunatnych i czarnych. Byłam Madame Ngemba, kimś, do kogo można się wyżalić na targu, jakie wysokie są ceny owoców, matką dzieci, które psociły z ich dziećmi. Chroniona przez moje pagne i Anatolem, wydawałam się wrośnięta w ten kraj. Teraz, kiedy jestem bez męża w tym nowym otoczeniu, moja skóra świeci jak goła żarówka. Sąsiedzi traktują mnie z szacunkiem i rezerwą. Dzień po dniu, kiedy pytam o drogę lub próbuję pogawędzić o pogodzie, nerwowo próbują mi odpowiedzieć łamaną angielszczyzną lub francuszczyzną. Nie zauważyli, że zaczęłam rozmowę w lingala? Nie słyszą w moim głosie macierzyńskich akcentów rdzennie kongijskiej przekupki, kiedy codziennie drę się na moich synów?

Jakby widok mojej cudzoziemskiej skóry odbierał im zdrowy rozsądek. Na pobliskim targu bańka urwanych rozmów przemieszcza się razem ze mną. Wszyscy w okolicy wiedzą, co się stało z Anatole'em, i wiem, że mi współczują — wszyscy nienawidzą Mobutu i żałują, że nie są choć w połowie tak odważni jak mój mąż. Muszą jednak wziąć pod uwagę także jego jasnoskórą żonę. O

cudzoziemcach wiedzą tylko jedno: że wyrządzili im tyle krzywd. Na pewno Anatole nie zyskuje dzięki mnie w ich oczach. To ja muszę być słabością, która ściągnęła na niego klęskę.

Ja sama nie potrafię się opędzić przed takimi myślami. Gdzie byłby teraz, gdyby nie ja? Na pewno tak samo igrałby z katastrofą. Był rewolucjonistą, zanim go poznałam. Ale może nie zostałby uwięziony. Nie wyjechałby dwa razy z kraju, ustępując moim błaganiom, w których argumentami była moja starzejąca się matka i moje marzenia o befsztyku. Najprawdopodobniej nie miałby w ogóle paszportu. A właśnie w ten sposób go dopadli.

Ale gdyby nie ja, to gdzie byłyby jego dzieci? My, matki, zawsze wracamy do tej kwestii. Jak mógłby żałować zawarcia małżeństwa, które dało Afryce Pascala, Patrice'a i Martina? Nasz związek był na dłuższą metę trudny dla obojga z nas, ale czy nie o wszystkich związkach trzeba powiedzieć to samo? Małżeństwo to jedno długie i szerokie pasmo kompromisów. Zawsze jeden porządek dnia pożera drugi, skrzypiące koło protestuje. Ale czy nasze wspólne życie nie znaczyło więcej dla świata, niż każde z nas znaczyłoby osobno?

Tego rodzaju pytaniami usiłuję zająć myśli, kiedy chłopców nie ma w domu i samotność doprowadza mnie do obłądu. Próbuję wypełnić przestrzeń wspomnieniami, próbuję przypomnieć sobie jego twarz w chwili, kiedy po raz pierwszy wziął na rękę Pascala. Pamiętam nasze kochanie się w tysiącu różnych ciemności, pod tysiącem różnych moskitier, pamiętam jego zęby na skórze mego ramienia, czułe, pamiętam jego rękę na moich ustach, by mnie uciszyć, kiedy któryś z chłopców spał lekkim snem obok nas. Przypominam sobie mięśnie jego bioder i zapach jego włosów. W końcu muszę wyjść na zewnątrz i zdecydować, którą z moich

pulchnych kur w kratkę zarznąć na kolację. Ostatecznie nie biorę żadnej, żeby nie tracić jej towarzystwa.

Jednym ze sposobów na to, by przeżyć ból serca, jest stale być czymś zajęтым. Robić coś dobrze przynajmniej w jednym kąciku olbrzymiego domu błędów — nauczyłam się tego od Anatole'a, a może od siebie samej, jako osobliwej kombinacji obojga moich rodziców. Teraz jednak mam obawy, że skończą mi się możliwości, a pozostało mi jeszcze tyle lat. Skontaktowałam się już ze wszystkimi ludźmi, których poradził mi znaleźć, żeby ich ostrzec lub poprosić o pomoc. Podany wspaniałym adres okazał się, po kilku pomyłkach, należeć do podsekretarza Etienne Tshisekiediego, jedyne go ministra w rządzie, który mógłby nam pomóc, aczkolwiek on sam zaczął popadać w niełaskę u Mobutu. I oczywiście napisałam do znajomych matki (w „Amnezji International”, jak przypuszczalnie wciąż nazywa to Rachel). Błagałam ich, żeby wysłali telegramy wstawiające się za Anatole'em, i wysłałam całe beczki. Jeżeli Mobutu da się w ogóle zawstydzić, to istnieje szansa, że wyrok Anatole'a zostanie zmniejszony z dożywocia do pięciu lat albo mniej. Tymczasem matka zbiera pieniądze na łapówkę, żeby go karmiono, bo inaczej nie będzie różnicy między pięcioma latami i dożywociem. Udałam się do biur rządowych, żeby sprawdzić, gdzie należy zdeponować pieniądze, kiedy już będę je miała. Jestem taka namolna w sprawie odwiedzin i listów, że wszyscy znają moją twarz i nie chcą jej więcej widzieć. Wydaje się, że zrobiłam już wszystko, co mogłam, a teraz muszę zrobić coś, do czego nie jestem zdolna. Czekać.

Przy świetle lampy, kiedy chłopcy już śpią, piszę krótkie listy do Anatole'a, zdaję mu ogólną relację, co u chłopców i że wszyscy jesteśmy zdrowi, a potem piszę długie listy do Ady, którą informuję, jak się mam naprawdę. Przypuszczalnie żadne z nich nigdy nie zobaczy moich listów, ale odczuwam przymus wyrzucenia z siebie wszystkiego. Opowiadam Adzie o moich troskach.

Dramatyzuję. To chyba lepiej, że te słowa będą się dusić w stercie nie wysłanych kopert.

Niewykluczone, że zazdrozczę teraz Adzie, wolnej od więzi,

które rozszarpywałyby jej serce. Nie potrzebuje dzieci, które wchodziłyby jej na kolana, ani męża, który całowałby ją w czoło. Bez tego wszystkiego jest bezpieczna. I Rachel, która pod względem skomplikowania emocjonalnego dorównuje solniczce. To jest życie. Czasami przypominam sobie nasze kuferki małżeńskie i chce mi się śmiać, takie były prorocze. Rachel zawzięcie pracowała na nadgodziny, zapowiadające nieprzeciętną karierę matrymonialną, która nie wyróżnia się wprawdzie jakościowo, ale ilościowo bez wątpienia. Ruth May na zawsze zwolniona od tego obowiązku. Mój obrus, do którego z początku wzięłam się niechętnie, lecz ostatecznie włożyłam w niego moje najlepsze starania. I Ada, obszywająca serwetki na czarno i wyrzucająca je na cztery wiatry.

Skończyło się jednak na tym, że wszystkie oddaliśmy Afryce ciało i duszę, w taki czy inny sposób. Nawet Ada, która szkoli się na eksperta od medycyny tropikalnej i dziwnych nowych wirusów. Serce każdej z nas jest zakopane w afrykańskiej ziemi. Wszystkie jesteśmy wtajemniczone. I nie tylko my, nie tylko moja rodzina. Co zatem należy teraz zrobić? Znaleźć sposób na to, by wykopać swe serce, otrzepać go z ziemi i znów przyjrzeć mu się do światła.

„Uważaj na siebie”, mówi mi miękko do ucha, a ja go pytam, jak to jest możliwe. Kołyszę się na krześle jak małe dziecko, spragnione tyłu niemożliwych rzeczy: sprawiedliwości, przebaczenia, odkupienia. Nie chcę już nosić wszystkich ran tej krainy na moim wąskim ciele. Jednak pragnę również być osobą, która zostaje, która dalej cierpi tam, gdzie należy się cierpienie. Chcę gdzieś przynależeć, do diabła. Zeskrobać stuletnią wojnę z tej białej skóry, aż

nic nie zostanie i będę mogła pójść między sąsiadów ze ścięgnami i kośćmi na wierzchu, upodobniona do nich.

Przede wszystkim moja skóra pragnie być dotykana i tulona przez jedyne go człowieka na świecie, o którym wiem, że mi to przebaczył.

Rachel Price

Equatońal, 1984

Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy uczestniczyłam w spotkaniu z moimi siostrami. Właśnie wróciłam z rendez-vous z Leą i Adą, które było po prostu bezkonkurencyjną katastrofą,

Całą tę podróż wymyśliła Lea. Powiedziała, że ostatni miesiąc czekania na wyjście męża z więzienia ją zabije, jeśli się stamtąd nie wyrwie na jakiś czas. Poprzedni raz, kiedy mieli go wypuścić, w ostatniej chwili kazali mu zostać jeszcze rok, co na pewno musiało być dla niej rozczarowaniem. Ale czego się spodziewała, jeśli ktoś popełni przestępstwo, to musi za to zapłacić, no nie? Osobiście miałam kilku mężów, którzy może nie byli pod każdym względem idealni, ale kryminalista, nie wyobrażam sobie. No ale o gustach się nie dyskutuje, jak to mówią. Lea jest teraz okropnie samotna, odkąd jej dwaj starsi chłopcy chodzą na próbę do szkoły w Atlancie, żeby ich też nie aresztowano, a najmłodszy też pojechał na lato do Ameryki, więc Lea mogła w spokoju przygotować tę podróż. Prawdę powiedziawszy, zorganizowała ją tylko po to, żeby przetransportować landrower z Ameryki do Kinszasy, bo wymyślili sobie z Anatole'em, że założą na południu jakąś kretyńską komunę rolniczą, a potem przeniosą się do Angoli, kiedy tam będzie już bezpiecznie, czyli, z tego, co słyszę, na pewno nie w tym stuleciu. Poza tym Angola jest krajem do dna komunistycznym. Ale co matkę to obchodzi? Jej rodzona córka planuje przeprowadzkę do komunistycznego kraju, w którym drogi są wybrukowane minami przeciwpiechotnymi? I szczęście im Boże! Zebrała razem ze znajomymi

pieniądze i kupiła w Atlancie landrower z wyremontowanym silnikiem. A tak nawiasem, firma matki dla mnie nigdy nie zebrała ani centa, na przykład na podciągnięcie hydrauliki na piętro w Equatorial. Ale czy ja się skarżę?

Pojechałam tylko dlatego, że mój znajomy niedawno zmarł po długiej chorobie i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Geoffrey wyraźnie mówił o małżeństwie, zanim zachorował. Był przemiłym człowiekiem i znakomicie sytuowanym. Prowadził w Kenii safari dla turystów i tak właśnie się poznaliśmy, bardzo romantycznie. Ale złapał coś bardzo nieprzyjemnego w Nairobi, no i miał już swoje lata. Ale to i tak niesprawiedliwość, że trafiło akurat na niego. Już nie mówiąc o tym, że ja skończyłam w zeszłym roku czterdzieści lat, co nie było sielanką, ale nikt mnie nigdy nie ocenia na więcej niż trzydzieści, więc po co sobie będę liczyła? W każdym razie pomyślałam, że Lea i ja będziemy mogły sobie opowiedzieć o naszych kłopotach, bo nieszczęście lubi towarzystwo, chociaż ona ma przynajmniej żywego męża, czego ja nie mogę powiedzieć o sobie.

Plan gry był taki, że Ada przybędzie statkiem do Hiszpanii z landrowerem i przyjedzie nim do zachodniej Afryki. Ada za kierownicą, to mi się nie mieściło w głowie. Wciąż wyobrażałam ją sobie całą pokurczoną, chociaż matka napisała mi, że nie, przeżyła cudowne ozdrowienie. Miałyśmy się więc spotkać wszystkie trzy w Senegalu i przez kilka tygodni podróżować, podziwiając krajobrazy. Potem Ada miała polecieć do domu, a Lea i ja pojechać razem samochodem aż do Brazzaville, dla bezpieczeństwa, chociaż moim zdaniem dwie kobiety, które podróżują same, to dwa razy większe ryzyko niż jedna. Zwłaszcza moja siostra i ja! Skończyło się na tym, że nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa przez cały Kamerun i większość Gabonu. Anatole, który świeżo wyszedł z kicia, spotkał się z nami w Brazzaville i pojechali prosto do Kinszasy. O jeny, ale mu się rzuciła na szyję na przystani promów, całowali się na oczach wszystkich, to było naprawdę krępujące. Potem poszli, trzymając się za rączki

jak nastolatki, rozszczebiotani, gadali coś do siebie w jakimś kongijskim szwargocie. Myślę, że robili to specjalnie, żeby mnie wyłączyć z rozmowy. Co nie jest proste w przypadku osoby, która mówi trzema językami tak jak ja.

Do widzenia i to wcale nie szybko, mówię sobie. Lea jechała, jakby się paliło przez ostatnie sto mil podróży. Zadzwoiła z Libreville, żeby się upewnić, czy na pewno Anatole'a wypuszczają następnego dnia, a potem niech mnie drzwi ścisną, pędziła jak

rakieta. Nie pofatygowała się nawet pojechać i obejrzeć Equatorial, chociaż zostało nam już tylko pół dnia drogi! A ja praktycznie wdowa w żałobie. Nie mogę tego wybaczyć mojej rodzonej siostrze. Powiedziała, że pojedzie do Equatorial, jeśli najpierw zahaczymy o Brazzaville i zabierzemy ze sobą Anatole'a. Nie mogłam jej tak od razu odpowiedzieć, musiałam się zastanowić. To jest znacznie bardziej delikatna sprawa, niż jej się wydaje. Mamy bardzo ściśle przepisy na temat tego, komu wolno wchodzić na górę i jeśli robi się wyjątek dla jednej osoby, to potem już się tego nie zatrzyma. To znaczy mogłam zrobić wyjątek, ale kiedy jej powiedziałam, że muszę się zastanowić, Lea natychmiast odpaliła: „Nie, nie zawracaj sobie głowy. Musisz przecież przestrzegać zasad supremacji białych, prawda?” A potem wsiadła na swojego wysokiego konia i dodała gazu. Od tego czasu nie rozmawialiśmy ze sobą, koniec kropka. Dzięki temu miałyśmy dużo czasu na wsłuchiwanie się w charakterystyczny dźwięk napędu na cztery koła.

Kiedy nareszcie wróciłam do swego ukochanego domeczku, byłam taka szczęśliwa, że obaliłam podwójną wódkę z tonikiem, zrzuciłam buty, włączyłam magnetofon i zatańczyłam kankana na samym środku sali restauracyjnej. Mieliśmy całą grupę kupców bawełnianych z Paryża, o ile dobrze pamiętam. Oznajmiłam moim gościom: „Przyjaciele, nie ma nic lepszego niż własna rodzina, jeśli ktoś chce docenić obcych!” Potem ucałowałam ich wszystkich w łysę glace i postawiłam kolejkę na koszt zakładu.



Problem z moją rodziną jest taki, że ponieważ bardzo rzadko się widzimy, mamy mnóstwo czasu, żeby zapomnieć o tym, jaka jest między nami niezgodność charakterów. Lea, Ada i ja zaczęłyśmy się ze sobą kłócić praktycznie w tej samej chwili, kiedy spotkałyśmy się w Senegal. Nie mogłyśmy się nawet porozumieć co do tego, gdzie pójść, gdzie nocować i co jeść. Kiedy tylko znalazłyśmy jakiś lokal, w którym ja od biedy potrafiłabym coś przekąsić, Lea uważała, że jest za drogi. Ona i Anatole najwyraźniej postanowili żyć jak żebracy. Z kolei Ada, jak zawsze pomocna, recytowała listę mikrobow, z którymi miałyśmy szansę się

zaznajomić. Kłóciłyśmy się absolutnie o wszystko, nawet o komunizm! Temat, wydawałoby się, niezborny. Po prostu udzieliłam Lei bardzo rozsądnej porady, żeby się dobrze zastanowiła nad wyjazdem do Angoli, bo przejmują tam władzę marksści.

— Plemiona Mbundu i Kongo od dawna toczą tam wojnę domową, Rachel. Agostinho Neto poprowadził Mbundu do zwycięstwa, ponieważ miał większe poparcie ludności.

— Tak dla twojej wiadomości, sam doktor Henry Kissinger mówi, że Neto i jego banda to uczniowie Karola Marksa, a ci drudzy są proamerykańscy.

— To fascynujące — powiedziała Lea. — Mbundu i Kongo walczą ze sobą od przynajmniej sześciuset lat, a doktor Henry Kissinger nareszcie odkrył przyczynę: Kongo są proamerykańscy, a Mbundu są uczniami Karola Marksa.

— Ha! — mruknęła Ada. Jej pierwsza spontaniczna wypowiedź tego dnia. Ada teraz już mówi, ale nie można powiedzieć, żeby usta jej się nie zamykały.

Ada siedziała z tyłu, a my z Leą z przodu. Prowadziłam głównie ja, bo jestem do tego przyzwyczajona. Musiałam zwolnić daleko przed znakiem stop,

bo okazało się, że w zachodniej Afryce ludzie jeżdżą tak samo fatalnie jak w Brazzaville. Bardzo trudno mi było się skupić, kiedy moje siostry urządzały mi konkurs wiedzy na temat demokracji na świecie.

— Możecie się śmiać — powiedziałam — ale ja czytam gazety. Ronald Reagan ochrania nas przed socjalistycznymi dyktatorami i powinniście być mu za to wdzięczne.

— Na przykład przed którymi socjalistycznymi dyktatorami?

— Nie wiem. Przed Karolem Marksem! Czy on dalej rządzi w Rosji?

Myślałam, że Ada posika się w majtki ze śmiechu, jak to usłyszała.

— Oj, Rachel, Rachel — powiedziała Lea. — Pozwolisz, że udzielenie ci krótkiego wprowadzenia do nauk politycznych. Demo kracja i dyktatura to systemy polityczne, które wiążą się z tym, kto ma udział we władzy. Socjalizm i kapitalizm to systemy

ekonomiczne, które wiążą się z tym, kto jest właścicielem bogactw danego kraju i kto ma co jeść. Kapujesz?

— Nigdy nie mówiłam, że jestem ekspertem. Powiedziałam tylko, że czytam gazety.

— Dobra, weźmy na przykład Patrice'a Lumumbę. Był premier Konga, jego partia została wybrana w wyborach powszechnych. Był socjalistą, który wierzył w demokrację. Potem został zamordowany i CIA zastąpiło go Mobutu, kapitalistą, który wierzy w dyktaturę. W teatrze kukielkowym amerykańskiej historii to jest happy end.

— Tak dla twojej informacji, Lea, jestem dumna z tego, że jestem Amerykanką.

Ada znów tylko prychnęła, a Lea tylko klepnęła się w czoło.

— Jak możesz tak mówić? Przez połowę twojego życia w ogóle tam nie byłaś!

— Zachowałam obywatelstwo. Powiesiłam w barze flagę amerykańską i co roku obchodzę Czwartego Lipca.

— Imponujące — powiedziała Ada.

Jechałyśmy bitą drogą, która biegła wzdłuż wybrzeża w stronę Togo. Nad morzem ciągnęły się długie plaże, na których rosły palmy i biegały czarne dzieci na tle białego piasku. Wyglądało to jak na pocztówce. Nie miałam ochoty więcej rozmawiać o tych idiotycznych historiach. Dlaczego nie możemy się po prostu cieszyć życiem? Dlaczego Lea ciągle musi szukać zwady?

— Dla twojej informacji, Lea — powiadomiłam ją, żeby zakończyć sprawę — twój ukochany Lumumba przejąłby władzę i zostałby takim samym dyktatorem, jak wszyscy inni. Jeśli CIA się go pozbyło, to zrobiło to dla demokracji. Wszyscy to mówią.

— Z wyjątkiem tych, którzy nie mogą mówić — wtrąciła się Ada.

— Posłuchaj, Rachel — powiedziała Lea. — Nawet ty powinnaś to pojąć. W demokracji powinno się pozwolić Lumumbie, żeby żył dłużej niż dwa miesiące jako głowa państwa. Kongijczycy sami by ocenili, czy go lubią, i jeśli by go nie lubili, to by go zmienili.

Tego już nie zdzierżyłam.

— Ci ludzie nie potrafią sami o niczym zdecydować! Przysięgam ci, moja służba kuchenna nie potrafi nawet zapamiętać, żeby użyć właściwej patelni do usmażenia omleta! Na litość boską, Lea, powinnaś wiedzieć nie gorzej ode mnie, jacy oni są.

— Tak, Rachel, o ile się nie mylę, to wyszłam za jednego z nich za  
mąż.

Stale o tym zapominałam.

— Ja zawsze coś palnę.

— Nie zaprzeczę — stwierdziła Ada.

Przez całą podróż nie byliśmy ze sobą pokłócone chyba tylko przez jedno popołudnie. Udało nam się dojechać do Beninu, nie pozabijawszy się nawzajem, i Ada chciała zobaczyć słynne wioski na palach. Ale oczywiście się okazało, że deszcz splukał drogę. Lea i ja próbowałyśmy jej wytłumaczyć, że w Afryce jednego dnia jest droga, a drugiego jej nie ma. Wszędzie stoją znaki typu „Jeśli ten znak stoi pod wodą, to droga jest nieprzejezdna”. Przynajmniej w tej kwestii doszliśmy do porozumienia.

Skończyło się na tym, że pojechałyśmy do starego pałacu w Abomey, jedynej atrakcji turystycznej w promilu setek mil. Jechałyśmy według mapy i na szczęście droga jeszcze istniała. Zaparkowałyśmy w centrum miasta, gdzie rosły wysokie rzęby. Znalezienie pałacu było dziecinnie proste, bo otaczały go wielkie mury z czerwonej gliny i miał olbrzymią bramę. Na ławce w wejściu drzemał angielskojęzyczny przewodnik, który łaskawie zgodził się obudzić i nas oprowadzić. Wyjaśnił nam, że w dawnych wiekach, przed przybyciem Francuzów, królowie z Abomey mieli ogromne pałace i wspaniałe stroje. Zapisywali swoją historię na bajecznych tapiceriach, które wisiały na ścianach pałacu, i zręcznie posługiwali się nożami, mieczami i innymi szablami, którymi podbijali okoliczne plemiona i robili z nich niewolników. Bez obciachu zabijali ludzi na lewo i prawo, a potem ozdabiali sobie wnętrza pałacowe czaszkami swoich ulubionych wrogów. To prawda! Widziałyśmy wszystkie te rzeczy — tapicerie z krwawymi scenami, miecze, noże, a nawet tron z ludzkimi czaszkami

przymocowanymi od spodu do każdej nogi, oblane brązem jak dziecięce buciki na pamiątkę!

— Właśnie tego mi potrzeba do recepcji w Equatorial — zażartowałam, chociaż ciarki mnie przeszły na myśl, że to kiedyś były głowy żywych ludzi.

To nie było królestwo z bajki, uwierzcie mi. Zmuszali kobiety, żeby zostawały żonami-niewolnicami króla i taśmowo rodziły mu dzieci. Jeden król spokojnie mógł mieć pięćdziesiąt albo sto żon, a nawet więcej, jeśli był kimś wyjątkowym. W każdym razie tak nam powiedział przewodnik, może chciał nam zaimponować. Dla uczczenia wielkich wydarzeń przewozili i zarzynali tabun niewolników, mielili krew i kości, mieszały z gliną i budowali z tego świątynie! Mało tego, kiedy umarł król, trzeba było zabić i pochować razem z nim czterdzieści jego żon!

W tym miejscu przerwałam przewodnikowi, żeby mu zadać pytanie:

— Brali jego ulubione żony, najwredniejsze czy jakie?

Przewodnik powiedział, że najprawdopodobniej te najładniejsze. Wyobrażacie sobie? Kiedy król zachorował, wszystkie jego żony na pewno zaniedbywały się i żarły dzień i noc słodycze, żeby zepsuć sobie figurę.

Chociaż Lea i ja gryzłyśmy się ze sobą przez cały tydzień, tego popołudnia w pałacu w Abomey wszystkie siedziałyśmy cicho jak zdechłe myszy pod miotłą. Trochę już w życiu widziałam: zamieszki na tle rasowym w Południowej Afryce, przyjęcia w ambasadzie w Brazzaville, zakupy w Paryżu i Brukseli, dzikie zwierzęta w Kenii, to wszystko dla mnie nie nowina. Ale ten pałac to było co innego. Dostawałam gęziej skórki. Chodziłyśmy wąskimi korytarzami, podziwiałymy dzieła sztuki i ciarki nas przechodziły na widok kawałków kości, które sterczały ze ściany. Wszystko, o co się kłóciłyśmy,

wydawało się nieistotne, kiedy otaczały nas te martwe szczątki. Dygotałam od stóp do głów, chociaż dzień był całkiem ciepły.

Lea i Ada szły przede mną, pewnie po to, żeby nie musieć słuchać przewodnika, bo one lubią mieć na wszystko swoje

własne wytłumaczenia. Kiedy na nie spojrzałam, zaszokowało mnie, jakie sądo siebie podobne. Obie kupiły na targu w Senegalu batikowe koszule w jaskrawych kolorach, Ada założyła swoją do dżinsów, a Lea do zawoju (ja osobiście nie mam zamiaru się stubylczać, dziękuję bardzo, zostanę przy moich bawełnianych trykotach), Ada już ani trochę nie utyka, tak jak powiedziała matka. Poza tym mówi, co dowodzi, że w dzieciństwie nie była całkiem szczerą ze światem. Są teraz z Leą dokładnie tego samego wzrostu. Nie widziały się od lat, a tu nagle mają nawet identyczne fryzury! Do ramion, zaczesane do tyłu, co nawet nie jest teraz modne.

Nagle zdałam sobie sprawę, że rozmawiają o ojcu.

— Nie, jestem pewna, że to prawda — powiedziała Lea. — To musiał być on. Myślę, że naprawdę nie żyje.

No pięknie! To była dla mnie nowość. Szybko je dogoniłam, chociaż ciągle byłam trzecim kołem u wozu.

— Mówisz o ojcu? — spytałam. — Kurka wodna, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

— Chyba czekałam na odpowiedni moment, kiedy będziemy mogły porozmawiać — stwierdziła Lea.

A niby co robiłyśmy przez ostatnie pięć dni?

— Dobra, możemy uznać, że teraz jest odpowiedni moment? Przez chwilę jakby się nad tym zastanawiała, a potem powie działa beznamiętnym tonem:

— Przez ostatnie pięć lat przebywał w okolicach Lusambo, w różnych wioskach. Tego lata spotkałam leśnika, który tam pracował, i powiedział mi, że słyszał o ojcu i że ojciec nie żyje.

— Mój Boże, nawet nie wiedziałam, że się przeprowadził — powiedziałam. — Myślałam, że dalej mieszka w naszej starej wiosce.

— Nie, z upływem lat przenosił się w górę rzeki Kasai, z tego, co słyszę, nie zaprzyjaźniwszy się ze zbyt wieloma ludźmi. Ani razu nie odwiedził Kilangi, to wiem na pewno. Wciąż mamy z nimi częsty kontakt. Niektórzy z ludzi, których znałyśmy, jeszcze żyją, ale bardzo dużo umarło.

— Jakich ludzi? Kogo znałyśmy? — Naprawdę nikt nie przychodził mi do głowy. My wyjechałyśmy, Axelroot wyjechał, Underdownowie wrócili do Belgii, a poza tym nie mieszkali w Kilandze.

— Może porozmawiamy o tym później — powiedziała Lea. — Tutaj i bez tego roi się od zmarłych.

Trudno było temu zaprzeczyć. Spędziłyśmy zatem resztę naszego płatnego oprowadzania w milczeniu, szłyśmy przez sypiące się stare sale i próbowałyśmy nie myśleć o kawałkach kremowych kości, które wystawały ze ścian.

— Blade perły w miejscu oczu — powiedziała Ada w pewnym momencie, zupełnie w swoim stylu.

— Ojciec na dnie morza spoczął — odpowiedziała jej Lea. O czym one, do jasnej, gadają? — pomyślałam. Nie widziałam

tam żadnych pereł. Między tymi dwiema krążą jakieś dziwne fluidy. Nawet jak się nawzajem nie znoszą, to zawsze wiedzą, co druga mówi, choćby nikt inny nie miał zielonego pojęcia, o co w tym chodzi. Ale nie przejęłam się tym. Jestem już wystarczająco dorosła, żeby nosić wysoko głowę i mieć w życiu swoje własne przygody. Marzyłam o tym, że spaceruję po starożytnym pałacu w Abomey w moim staniku Maidenform!

Kiedyś może trochę zazdrościłam Lei i Adzie, że są bliźniaczkami. Ale choćby wyglądały i mówiły nie wiadomo jak identycznie jako dorosłe, widziałam, że w środku dalej różnią się od siebie jak noc i dzień. Ja też jestem od nich różna, nie jak noc i dzień, tylko jak coś zupełnie innego, powiedzmy Czwarty Lipca. Czyli starożytny pałac w Abomey zwiedzała pani Noc, pani Dzień i pani Czwarty Lipca, między którymi na chwilę zapanował pokój.

Ale stosunki wkrótce się popsęły, jak zwykle między nami. Poszliśmy do miasteczka, żeby napić się czegoś zimnego, i znalazłyśmy przyzwoitą knajpkę, gdzie można było usiąść na zewnątrz przy metalowym stole i obserwować mijające nas psy, rowery i całą ciżbę, wszyscy bez wyjątku transportowali coś na głowach. Oczywiście poza psami. Wypiłyśmy parę piw i było bardzo przyjemnie. Lea kontynuowała swój raport o jakże interesującej wiosce naszego dzieciństwa, o której moim zdaniem należałoby zapomnieć. Chciałam się dowiedzieć, na co umarł ojciec, ale nie chciałam być nieuprzejma i poganiać jej, więc zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i wachlowałam się mapą zachodniej Afryki.

Lea policzyła na palcach:

— Mama Mwanza wciąż ma się doskonale. Mama i Tata Nguzu oboje żyją. Tata Boanda stracił swoją starszą żonę, ale dalej ma Ebę. Syn Taty Ndu jest wodzem. Nie najstarszy, Gbenye — wypędzili go z wioski.

— Ten, który ukradł twojego buszboka — powiedziała Ada.



— Ten sam. Okazał się ponoć typem, który ciągle szuka zwady. Kiepski materiał na wodza. Więc przeszło na drugiego syna, Kenge. Nie pamiętam go zbyt dobrze. Tata Ndu zmarł na skutek zakażenia od jakiejś rany.

— Jaka szkoda — powiedziałam ironicznie. — Mój niedoszły mąż.

— Mogłaś trafić gorzej — powiedziała Ada.

— I trafiła gorzej — stwierdziła Lea. Uznałam tę uwagę za nie do przyjęcia i powiedziałam jej to.

W ogóle mnie nie słuchała.

— Nelson się ożenił, niewiarygodne, co? Ma dwie córki i trzech synów. Mama Lo nie żyje. Twierdzili, że miała sto dwa lata, ale ja w to wątpię. Tata Kuvudundu już dawno umarł. W wiosce stracili do niego szacunek po tym, co... co nam zrobił.

— Chodzi ci o węża? — spytałam. Wzięła głęboki wdech i spojrzała na niebo.

— O wszystko.

Czekałyśmy na dalszy ciąg, ale Lea bębniła palcami o stół i zachowywała się, jakby to już był koniec. Potem dodała:

— Pascal oczywiście nie żyje. Już od bardzo dawna. Zabiły go błękitne hełmy na drodze w pobliżu Bulungu. — Odwróciła głowę, ale widziałam, że ma łzy w oczach! Ja jednak z początku nie mogłam sobie przypomnieć, o kogo chodzi.

— A, Pascal, twój syn?

Ada poinformowała mnie, że jestem imbecylem.

— Nasz przyjaciel z dzieciństwa, na którego cześć dałam mojemu synowi na imię Pascal. Zmarł osiemnaście lat temu, tuż przed urodzeniem się Pascala, kiedy byliśmy w Bikoki. Nigdy ci o tym nie mówiłam, Rachel, bo miałam wrażenie, że cię to nie zainteresuje. Byłaś wtedy w Johannesburgu.

— Pascal nasz przyjaciel? — Zachodziłam w głowę. — A, ten chłopak w dziurawych portkach, z którym się wałęsałaś?

Lea skinęła głową i dalej gapiła się na duże rzęby, które ocieniały ulicę. Od czasu do czasu upuszczały wielkie purpurowe kwiaty, po jednym, jak damy upuszczające chusteczki, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zapaliłam następnego papierosa. Spodziewałam się, że dwa kartony Lucky Strikes wystarczą mi na całą podróż, ale jeny, przy całym tym napięciu nerwowym dranie poszły z dymem. Wolałam nawet o tym nie myśleć. Po ulicy biegało mnóstwo umorusanych chłopaków, którzy sprzedawali na sztuki papierosy takich marek jak Czarny Kapelusz i Kościotrup, co miało przypominać klientom, że są to papierosy bez filtra, które smakują jak płonąca smoła i można od nich na miejscu wykorkować. Z afrykańskim tytoniem nie ma żartów.

— No, to teraz opowiedz, co to za sensacje z naszym kocha nym tatą— powiedziałam w końcu, trącając Leę łokciem.

Dalej patrzyła na ulicę, gdzie przechodzili najróżniejsi ludzie. Jakby na kogoś czekała. Potem westchnęła, sięgnęła ręką, wytrząsnęła z paczki jeden z moich ostatnich bezcennych papierosów i zapaliła.

— Zrobi mi się od tego niedobrze — powiedziała.

— Od palenia? Czy od opowiadania o ojcu? Zakrztusiła się albo zaśmiała, nie wiem.

— Od jednego i drugiego. — Sztachnęła się, a potem zmarszczyła brwi, patrząc na Lucky Strike'a, jakby to było coś, co może ją ugryźć. — Wiecie, jaką robię chłopcom awanturę za palenie?

— Lea, opowiadaj!

— Och... To dosyć straszne. Siedział tam od pewnego czasu nad północnym zakolem Kasai, w regionie upraw kawy. Dalej próbował chrzcić dzieci, wiem to z wiarygodnego źródła. Fyntan i Celinę Fowles dopływają tam co parę lat.

— Brat Fowles — powiedziałam. — Dalej jesteś z nim w kontakcie? Musisz się strasznie nudzić, Lea. Święty Mikołaj! I widywał się z ojcem?

— Faktycznie nigdy im się z nie udało z nim zobaczyć. Ojciec doszedł do takiego punktu, że ukrywał się przed obcymi. Ale zawsze słyszeli mnóstwo historii o Tacie Prize, białym znachorze. Z tych opowieści wynikało, że jest bardzo stary. Z długą białą brodą.

— Ojciec? Nie umiem go sobie wyobrazić z brodą — powiedziałam. — Ile miałby teraz lat, sześćdziesiąt?

— Sześćdziesiąt cztery — powiedziała Ada. Chociaż teraz już normalnie mówiła, dalej miało się wrażenie, jakby notowała swe przemyślenia na kartkach z zeszytu.

— Chodziła za nim fama, że zamienia się w krokodyla i napada na dzieci.

— To umiem sobie wyobrazić — powiedziałam ze śmiechem. Afrykanie są bardzo zabobonni. Jeden z moich pracowników klnie się, że szef kuchni potrafi się zamienić w małpę i kraść rzeczy z pokoi gości. W to wierzę bez problemu!

— Wciąż próbował napić konia, któremu nie chciało się pić — powiedziała Ada.

— Jakiego konia?

— Kiedyś zdarzył się naprawdę straszny wypadek na rzece. Krokodyl wyrzucił łódź pełną dzieci i wszystkie albo utonęły, albo zostały pożarte lub ciężko okaleczone. Obwinili za to ojca. Zlinczowali go.

— Chryste — powiedziałam, chociaż nie byłam pewna, czy to znaczy powiesić na linie czy wychłostać liną. — Znaczą powiesili?

— Nie, nie powiesili — odparła Lea z poirytowaną miną, choć jednocześnie miała łzy w oczach. — Spalili.

Widziałam, że jest jej ciężko. Wzięłam ją za rękę.

— Wiem, słoneczko — powiedziałam do niej. — Był naszym tatą. Myślę, że tobie zawsze lepiej się z nim układało niż nam. Ale był gorszy od węża. Dostał, na co zasłużył.

Wyrwała mi rękę, żeby otrzeć łzy i wysiąkać nos.

— Wiem o tym! — powiedziała wściekłym tonem. — Ludzie z tamtej wioski sto razy go prosili, żeby poszedł sobie gdzie indziej, ale on zawsze cichcem wracał. Powiedział, że nie odejdzie, dopóki nie zabierze każdego dziecka nad rzekę i nie zanurzy w wodzie. Ludzie byli chorzy ze strachu. Więc po wywrotce pirogi uznali, że mają dosyć, wszyscy złapali za kije i zaczęli go szukać. Być może chcieli znowu go tylko przepędzić, ale ojciec na pewno przyjął bojową postawę.

— Jasne — powiedziałam. — Na pewno krzyczał przez ramię o ogniu piekielnym, kiedy uciekał.

— Otoczyli go na starym polu kawy i on wszedł na jedną z tych rozchwierutanych wieżyczek strażniczych, które zostały z czasów kolonialnych. Wiecie, o czym mówię? Nazywają je tours de maitre, wieże pana. W czasach belgijskich nadzorca obserwował z takiej wieżyczki wszystkich zbieraczy kawy, żeby móc wytypować wieczorem przeznaczonych do chłosty.

— I spalili go?

— Podpalili wieżyczkę. Jestem pewna, że buchnęła ogniem jak pudełko zapalek. Drewno miało co najmniej dwadzieścia lat, zostało po Belgach.

— Założę się, że do samego końca głosił ewangelię — powiedziałam.

— Powiedzieli, że zaczekał, aż się zajmie ogniem, zanim skoczył. Nikt nie chciał go dotykać, więc go tam zostawili na pożarcie drapieżnikom.

Nikt w tamtej okolicy przez jakiś czas nie będzie pił kawy, pomyślałam. Uznałam jednak, że nie jest to najodpowiedniejsza chwila na dowcipy. Zamówiłam jeszcze jedną kolejkę piwa Elephant i wszystkie siedziałyśmy pogrążone w swoich myślach.

Potem Ada zrobiła bardzo dziwną minę i powiedziała:

— W końcu i on dostał swój Werset.

— Który? — spytała Lea.

— Ostatni. Stary Testament. Druga Księga Machabejska 13, 4: „Król królów jednak rozpałił gniew Antiocha przeciwko złoczyńcy”\*.

— Nie znam tego — powiedziała Lea.

Ada zamknęła oczy i zastanowiła się przez chwilę, a potem zacytowała cały fragment: „Król królów jednak rozpałił gniew Antiocha przeciwko

złoczyńcy. Lizjasz bowiem wyjaśnił, że on właśnie jest winien całego zła, a król rozkazał, aby go zaprowadzili do Beroi i stracili wedle miejscowych zwyczajów. Była zaś tam wieża wysoka na pięćdziesiąt łokci, pełna popiołu, w niej zaś było urządzenie, które się obracało i ze wszystkich stron strącało do popiołu. Stamtąd świętokradcę lub winnego niektórych innych niezwykle ciężkich przestępstw strącali na zagładę. W ten sposób przyszła na przestępcę śmierć, która pozbawiła Menelaosa grobu wykopanego w ziemi".

— Ale jaja!—skomentowałam.

— Skąd znasz ten werset? — spytała Lea.

— Zadał mi go chyba z pięćdziesiąt razy. To ostatni werset w Starym Testamencie, jak już próbowałam wam powiedzieć. Setny od końca. Jeżeli liczyć apokryfy, a on zawsze liczył.

— No i jaka jest ta ostateczna lekcja? — spytałam.

— Ostatnie zdanie Starego Testamentu: „Tutaj niech będzie koniec”\*\*.

— Tutaj niech będzie koniec — powtórzyłyśmy z Leą zupełnie osłupiałe. Potem siedziałyśmy oniemiale przez mniej więcej godzinę, przysłuchując się nawzajem swoimgulgotaniom w gardle, kiedy piłyśmy piwo. A Lea wypaliła ostatnie dwa Lucky Strike, jakie jeszcze zostały w zachodniej Afryce.

Wreszcie spytała:

— Dlaczego tyle razy zadawał ci ten werset? Ja go nigdy nie dostałam.

Co to ma do rzeczy, pomyślałam, lecz Ada uśmiechnęła się i odpowiedziała, jakby to miało jakieś znaczenie:

\* Wg: Biblia Tysiąclecia, wyd. cyt. \*\* W układzie Biblii Króla Jakuba z apokryfami.

— A jak myślisz, Lea? Za to, że byłam zbyt powolna.

Po jakimś czasie poczułam zapach dymu drzewnego. Jacyś sprzedawcy uliczni smażyli mięso na grillu. Wstałam i kupiłam dla wszystkich za własne pieniądze, żebym nie musiała wysłuchiwać od Lei, że za drogie, a od Ady, jakie mieszkają w nim zarazki. Kupiłam kurczaka na drewnianych patyczkach i przyniosłam do stołu zawinięte w natłuszczony papier.

— Jedzcie i weselcie się! — powiedziałam. — Smacznego.

— Na pamiątkę ojca—powiedziała Ada. Ona i Lea spojrzały na swoje kebaby, a potem wymieniły spojrzenia i parsknęły śmiechem z jednego ze swych prywatnych dowcipów.

— Chodził zawsze swoimi własnymi drogami, trzeba mu to przyznać — powiedziała Lea, kiedy jadłyśmy. — Był sam dla siebie książką do historii. Mieliśmy o nim regularne nowiny od Taty Boandy i Fowlesow, kiedy wciąż jeszcze mieszkał w Kilandze. Pewnie należało go odwiedzić, ale jakoś nie mogłam zdobyć się na odwagę.

— Dlaczego? — spytałam. — Ja bym pojechała, żeby mu powiedzieć parę słów do słuchu.

— Chyba bałam się go zobaczyć obłąkanego. Z upływem lat krążyły o nim coraz bardziej nieprawdopodobne historie. Na przykład, że miał pięć żon, które wszystkie od niego odeszły.

— A to dobre — powiedziałam. — Baptysta bigamista.

— Pięćdziesiątnicowy pentagamista — powiedziała Ada.

— To była dla niego najlepsza śmierć, wiecie? W płomieniach męczeństwa — powiedziała Lea. — Jestem pewna, że do końca wierzył, że postępuje słusznie. Nigdy nie zrejterował z okrętu.

— To szokujące, że udało mu się przeżyć tak długo — powiedziała Ada.

— Masz rację. Że nie umarł piętnaście lat temu na tyfus, śpiączkę, malarię albo wszystko naraz. Jestem pewna, że nie prowadził się zbyt higienicznie, odkąd matka go zostawiła.

Ada nic na to nie powiedziała. Jako lekarka wie oczywiście wszystko na temat chorób tropikalnych, więc na pewno jej się nie spodobało, że Lea gra eksperta. Z nami zawsze tak było. Jeden krok za daleko i następujesz siostrze na odciski.

— Kurka wodna, napisałaś matce o ojcu? — spytałam nagle.

— Nie. Pomyślałam, że Ada będzie chciała jej to przekazać osobiście.

— Myślę, że matka już od dawna uważa go za zmarłego. Dokończyliśmy nasze kebaby i rozmawialiśmy o matce,

mnie nawet udało się opowiedzieć trochę o Equatorial i już zaczęłam się ludziom, że chociaż raz uda nam się spędzić razem popołudnie jak normalna rodzina. Ale potem Lea musiała oczywiście wyskoczyć z tym, że Mobutu wsadził jej męża do więzienia, że armia wszystkich terroryzuje, co się ostatnio dzieje nowego w zairskiej branży korupcyjnej, która między nami mówiąc, jest dla mnie jedynym źródłem klientów z tamtej strony rzeki. Potem zaczęła rozprawiać o tym, jak to Portugalczycy, Belgowie i Amerykanie zdemolowali biedną Afrykę od góry do dołu.

— Słuchaj, Lea, mam wyżej uszu twoich łzawych historii! — powiedziałam, a raczej prawie krzyknęłam. Chyba trochę za dużo wypiłam, a poza tym skończyły mi się papierosy i było gorąco. Mam tak jasną karnację, że od słońca zaraz mnie głowa boli. Ale naprawdę, żeby mówić takie rzeczy po tym, co właśnie widziałyśmy w pałacu: mordowanie żon i kości niewolników



sterczące ze ścian! Te straszne historie nie miały nic wspólnego z nami, zdarzyły się po prostu setki lat temu. Zwróciłam jej uwagę, że tubylcy już czekali z towarem, kiedy przyszli Portugalczycy chętni do zakupu niewolników. Król Abomeyu był zachwycony, kiedy się dowiedział, że za piętnastu swoich sąsiadów może dostać porządną portugalską armatę.

Jednak Lea zawsze ma na wszystko odpowiedź, oczywiście z wszystkimi tymi słowami, które wyszukała w słowniku. Powiedziała, że nie potrafimy sobie wyobrazić, jak wyglądało ich środowisko społeczne przed przybyciem Portugalczyków.

— To nie jest zasobny kraj, nigdy nie był w stanie wyżywić zbyt licznej populacji.

— Więc? — Oglądęłam swoje paznokcie, które były w naprawdę żalnym stanie.

— Więc to, co dla nas wygląda jak ludobójstwo, przypuszczalnie jest źle interpretowanym rytuałem. Jednym ze sposobów regulacji przyrostu ludności w okresach głodu. Może myśleli, że niewolnicy udają się w lepsze miejsce.

— Trochę rytualnego mordu—wtrąciła Ada—trochę śmier telności noworodków, to tylko niektóre z licznych zdrowych procesów naturalnych, o których wolimy nie myśleć. — Jej głos brzmiał zaskakująco podobnie do głosu Lei. Chociaż podejrze wam, że Ada żartowała, podczas gdy Lea nigdy nie żartuje.

Lea zmarszczyła się do Ady, a potem do mnie, nie mogąc się zdecydować, która z nas jest jej prawdziwym wrogiem. W końcu wybrała mnie.

— Nie możesz zakładać, że zasady, które my uznajemy za słuszne, ich też bezwzględnie obowiązują.

— Nie zabijaj — odparłam. — To nie jest coś, co sobie po prostu wymyśliliśmy. Tak się składa, że tak stoi napisane w Biblii.

Lea i Ada wymieniły uśmiechy.

— Zgoda. No to za Biblię — powiedziała, stukając swoją butelką o moją.

— Tata Jezus jest bdngala — powiedziała Ada, także podnosząc swoją butelkę. Przez chwilę patrzyły na siebie, a potem zaczęły się śmiać jak hieny.

— Jezus jest jadowitym drzewem! — powiedziała Lea. — Za kapłana jadowitego drzewa! I za jego pięć żon!

Ada przestała się śmiać.

— Mieli na myśli nas.

— Co? Jak? — powiedziałam.

— Pięć legendarnych żon Nathana. Na pewno mieli na myśli nas.

Lea wytrzeszczyła na nią oczy.

— Masz rację.

Tak jak powiedziałam: Dzień, Noc i Czwarty Lipca. Nawet nie próbuję ich zrozumieć.

Ada Price

Atlanta, styczeń 1985

Ojciec na dnie morza spoczął;

Koral wyrósł z kości,

Blade perły w miejscu oczu;

Spi na głębokości,

Już nie straszne mu cierpienia:

W klejnot morza się przemienia \*.

To nie są historie śmiertelników. Ten człowiek wypełniał nasze istnienie za życia, a po śmierci nie wypuścił z rąk tego, co jego zdaniem mu się należy. Teraz będziemy musiały zabrać ze sobą klejnot morza do naszych rozmaitych zamieszkań. Wyobcowane, zbulwersowane, spędzamy nasze najmroczniejsze godziny, patrząc na te perły, na te kości z koralu. Czy z tej materii jestem utkana? Ile spośród jego grzechów jest także moim udziałem? Jaka część jego kary?

Rachel wydaje się niezdolna do wyrzutów sumienia, ale tak nie jest. Kręci tymi swoimi bladymi oczami na wszystkie strony, aby odeprzeć atak. Lea wzięła wszystko — kości, zęby, skalp — i udziergała sobie coś w rodzaju włosiennicy. Tkanina matki jest tak skomplikowana, że nie wiem, czy potrafiłabym ją opisać. Zajmuje w jej domu tyle miejsca, że matka musi uważać, aby nie wpaść na nią w ciemnościach.

Poświęciwszy wystarczająco dużo czasu dobrym uczynom w Atlancie, matka przeniosła się na wybrzeże Georgii, do osady zszarzałych ze starości małych domków z cegły na wyspie Sanderling. Zabrała jednak do swego nadmorskiego domku zatopiony skarb. Dużo przebywa na zewnątrz, pewnie żeby od niego uciec. Kiedy jadę ją odwiedzić, zawsze znajduję ją w otoczonym murkiem ogrodzie, z rękami ubabranymi w ziemi od ugniatania

\* William Shakespeare, *Burza*, przeł. Stanisław Barańczak, *W drodze*, Poznań 1991, akt I, scena II.

korzeni kamelii. Jeśli nie ma jej w domu, idę do końca zabytkowej brukowanej uliczki i znajduję ją na falochronie, w płaszczu przeciwdeszczowym

i bez butów, patrzy na ocean. Orleanna i Afryka mierzą się wzrokiem. Dzieci jeżdżące na rowerach trzymają się z dala od tej bosonogiej kobiety w plastikowym płaszczu, ale zapewniam, że nie jest obłąkana. Moja matka wyznaje mądrą zasadę, że należy nakładać na siebie tylko to, co jest konieczne. Buty przeszkadzałyby jej w rozmowie, gdyż moja matka stale zwraca się do ziemi pod swymi stopami. Prosi ją o przebaczenie. Kaja się, odrzeka, zarzeka, zaklina, odtwarza makabryczny bieg wydarzeń, aby zrozumieć swój udział w nich. Chyba wszystkie to robimy. Próbujemy wymyślić naszą wersję tej historii. Wszystkie ludzkie ody są zasadniczo takie same: „Moje życie: co ukradłam historii i jak z tym żyję”.

Ja osobiście ukradłam rękę i nogę. Wciąż jestem Adą, ale raczej byście mnie nie poznali, bez mojego skrzywienia. Chodzę bez utykania. Co dziwne, zajęło mi całe lata, zanim pogodziłam się z moim obecnym położeniem. Stwierdzam, że nie istnieje już palindromiczna „Ada”, zagadka przychodzenia i odchodzenia. Wraz z paralizem połowy ciała utraciłam zdolność do czytania na swój dawny sposób. Kiedy otwieram książkę, słowa układają się na stronie w banalne rzędy. Lustrzane poematy wymazują się na pół ukształtowane w moim umyśle. Brakuje mi tych wierszy. Czasami, nocą, chodzę w sekrecie po mieszkaniu, utykając, niby pan Hyde, próbuję odzyskać moje dawne sposoby widzenia i myślenia. Tak jak Jekyll odczuwam głód tej zwiniętej we mnie ciemności. Czasami prawie przychodzi. Książki na półce tworzą namacalne rzędy śpiewającego koloru, świat znika i przed oczyma stają mi jego kształty ukryte. Ale to nigdy nie trwa długo. O świcie wszystkie książki stoją przyciśnięte do siebie łokciami, grzbietami do pokoju, skamieniałe, nieożywione.

Nikt inny nie tęskni za „Adą”. Nawet matka. Sprawia wrażenie uszczęśliwionej, że pokurczony ptak, którego wydała na świat, nareszcie się wyprostował i lata normalnie.

— Kiedy mnie się podobało tak, jak było — mówię jej.

— Och, Ada. Ja też cię kochałam. Nie miałam przez to o tobie gorszego zdania, tylko pragnęłam dla ciebie lepszego losu.

Jakąż sympatyczną i prostą moralność wyznaje nasza Zachodnia Cywilizacja: oczekuj doskonałości, gardź tymi, którzy do niej nie dorastają! Biedactwo Ada, hemiplegiczna, palindromiczna, dodekafoniczna. Ostatnio niechętnie uznano, że jeśli masz ciemną skórę albo kulejesz, to nie jest to do końca twoja wina, ale dobre wychowanie nakazuje, abyś czuła się tym zawstydzona. Kiedy Jezus uzdrawiał tych kalekich żebraków, to czy nie wstawali i nie tańczyli na proscenium, machając laseczkami i zamiatając ziemię cylindrami? Hosanna, jakie nas szczęście spotkało, hosanna!

Jeśli ktoś jest zdrowy, to powie: „Dlaczego nie mieliby się cieszyć? Czyż te wszystkie biedne dranie nie chcą być takie jak ja?”

Nie, niekoniecznie. Arogancja zdrowych na ciele jest wstrząsająca. Tak, może byłoby nam wygodniej, gdybyśmy umieli szybko się przenosić z miejsca w miejsce albo nosić różne rzeczy w obu rękach, ale tylko dlatego, że musimy dotrzymywać kroku reszcie z was, bo inaczej wlepią nam Werset. Dla nas byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli pozostać tacy, jacy jesteśmy i nikt nieN robiłby z tego problemu.

Jak mam wyjaśnić, że moje dwie niedopasowane do siebie połówki tworzyły więcej niż jedną całość. W Kongu byłam w połowie benduka kuternogą, w połowie benduka, zwinnym ptakiem, który śmigał w górę i w dół nad brzegiem z obłąkaną niezdarnością, która zapierała dech. Obie miałyśmy swoje zalety. Tutaj nie ma dobrej nazwy dla mego talentu, więc umarł i nie wyprawiono mu odpowiedniego pochówku. Teraz jestem zasną doktor Price, która widzi normalnie. Idę na ustępstwo i zgadzam się, że jestem zdrowa na umyśle.

Jak mam wymyślić moją wersję historii, bez mojego skrzywionego widzenia? Czy to jest słuszne, żeby wyswobodzić się ze starej skóry i uciec z miejsca zdarzenia? Przyszliśmy, zobaczyliśmy, zabraliśmy i zostawiliśmy, nie można nas pozbawiać prawa do bólu i skruchy. Matka stale chce się oczyścić, ale nie

chce wypuścić z rąk swej gliny i pyłu. Matka wciąż jest bezlitosna. Twierdzi, że teraz ja jestem najmłodsza, ale wciąż tuli do siebie swoje maleństwo. Sądzę, że odłoży ten ciężar w dniu, kiedy usłyszy słowa przebaczenia od samej Ruth May.

Zaraz po powrocie pojechałam się z nią zobaczyć. Siedziałyśmy na jej twardej kanapie z moimi zdjęciami z Afryki, układałyśmy z nich kolorową mozaikę pośród muszelek na jej stoliku do kawy.

— Lea jest chuda — relacjonowałam — ale dalej chodzi za szybko.

— Jak się miewa Rachel? Dobre pytanie.

— Choć w jej życiu miało miejsce wiele niezwykłych zdarzeń — powiedziałam — to gdy Rachel kiedykolwiek przyjedzie do Bethlehem na spotkanie klasowe, to zdobędzie nagrodę dla „tej, co się najmniej zmieniła”.

Matka oglądała zdjęcia z umiarkowanym zainteresowaniem, nie licząc tych, na których były moje siostry. Zatrzymywała się nad nimi przez bardzo długi czas, jakby słuchała milczących wyznań.

Wreszcie poczyniłam moje wyznanie. Powiedziałam jej, że umarł. Była dziwnie nieciekawa szczegółów, ale i tak większość z nich jej przekazałam.

Siedziała ze zdezorientowaną miną.

— Mam stokrotki do posadzenia — powiedziała w końcu i stuknęła siatkowymi drzwiami o ścianę, gdy wychodziła na tylną werandę. Poszłam za

nią i zobaczyłam ją w starym ogrodowym kapeluszu na głowie, w jednej ręce miała rydel, a w drugiej kuwetę ze stokrotkami. Pochyliła się, żeby zejść pod kapryfolium do ogrodu, posługując się rydlem jak maczetą, ucięła kilka przerośniętych pędów, które zarastały jej zadżungloną werandę. Poszłyśmy ścieżką do grządek kapusty koło bramki, gdzie uklękła i zaczęła kopać dołki. Przykucnęłam w pobliżu i obserwowałam ją. Jej słomiany kapelusz miał szerokie rondo i ścięty czubek, jakby zawartość jej głowy wielokrotnie eksplodowała.

— Lea mówi, że on życzyłby sobie umrzeć w ten sposób — powiedziałam. — W płomieniach męczeństwa.

— Guzik mnie obchodzą jego życzenia.

— A — odparłam. Kolana jej spodni naciągały wilgocią, która rozprzestrzeniała się jak ciemne plamy krwi.

— Nie jest ci smutno, że nie żyje?

— Ada, co to może mieć dla mnie teraz za znaczenie? Więc dlaczego jest ci smutno?

Wzięła sadzonki z kuwety i rozplatała delikatne białe korzonki. Wciskała kwiaty gołymi rękami do ziemi, poprawiając i głaszcząc, jakby kładła do łóżka całą chmarę małych dzieci. Wierzchem lewej dłoni starła łzy z obu stron twarzy, zostawiając na policzkach ciemne smugi ziemi. Życie to być naznaczonym, powiedziała bez mówienia. Życie to nieustanna przemiana, umieranie stokrotną śmiercią. Jestem matką. Ty nie jesteś, on nie był.

— Chcesz zapomnieć?

Przerwała pracę, położyła rydel na kolanie i spojrzała na mnie.

— Czy wolno nam pamiętać?

— Kto nam może tego zabronić?

— Ani jedna kobieta w Bethlehem nigdy mnie nie zapytała, jak umarła Ruth May. Wiedziałaś o tym?

— Domyślałam się.

— I wszyscy ci ludzie, z którymi pracowałam w Atlancie, w organizacjach obrony praw człowieka i pomocy Afryce. Ani razu nie rozmawialiśmy o tym, że mam obłąkanego męża ewangelistę, który wciąż jest gdzieś w Kongu. Ludzie wiedzieli, ale to był dla nich krępujący temat. Pewnie sądzili, że to nie świadczy zbyt dobrze o mnie.

— Grzechy ojca.

— O grzechach ojca się nie mówi. Tak to już jest. —Wróciła do dziurawienia ziemi.

Wiem, że ma rację. Nawet Kongo usiłuje wyśliznąć się ze swego starego ciała, aby móc udawać, że nie jest okaleczone. Kongo było kobietą z cienia, o mrocznym sercu, poruszającą się w takt bębnow. Zair jest wysokim młodym mężczyzną, który

rzuca sól przez ramię. Wszystkie stare rany przemianowano: Kinszasa, Kisangani. Nigdy nie było króla Leopolda, zawadiackiego Stanleya, pogrzebać ich, zapomnieć. Nie macie nic do stracenia prócz swoich kajdan.

Ja się jednak z tym nie zgadzam. Jeśli byłaś zakuta w kajdany, to na twoich ramionach zawsze pozostaną po nich ślady. Masz wiele do stracenia: twoją historię, twoje skrzywienie. Spojrzysz na blizny pokrywające ramiona i zobaczysz jedynie brzydotę lub też będziesz starannie odwracała od nich wzrok i wtedy nic nie zobaczysz. Tak czy owak nie będziesz miała słów, które pozwoliłyby ci opowiedzieć historię o tym, skąd pochodzisz.



— Ja będę mówiła o grzechach ojca — powiedziałam. — Gardziłam nim. To był człowiek godzien pogardy.

— No, Ada, ty zawsze nazywałaś rzeczy po imieniu.

— Wiesz, w których momentach najbardziej go nienawidziłam? Kiedy naśmiewał się z moich książek. I kiedy uderzył którąkolwiek z nas. Zwłaszcza ciebie. Wyobrażałam sobie, że biorę naftę i podpalam go w łóżku. Nie podpaliłam go tylko dlatego, że ty też tam leżałaś.

Spojrzała na mnie spod runda kapelusza. Jej oczy miały twarde, ciemnoniebieski kolor granitu.

— Naprawdę — powiedziałam. Widziałam tę scenę bardzo wyraźnie. Czułam zapach zimnej nafty i czułam pod palcami, jak nasiąka nią prześcieradło. Wciąż mam w nozdrzach ten zapach.

Więc dlaczego tego nie zrobiłaś? Nas oboje jednocześnie. Trzeba było.

Ponieważ wtedy ty również byłabyś wolna. A ja tego nie chciałam. Chciałam, żebyś pamiętała, co on nam zrobił.

Może wydaję się wysoka i prosta, ale w środku zawsze pozostanę Adą. Poskręcaną osobą, która próbuje powiedzieć prawdę. Siła tkwi w równowadze: jesteśmy naszymi ranami, w takiej samej mierze, co sukcesami.

Lea Price Ngemba

Dystrykt Kimvula, Zair, 1986

Mam czterech synów, wszyscy noszą imiona mężczyzn, których zabrała nam wojna: Pascal, Patrice, Martin-Lothaire i Nataniel.

Taniel to nasz cud. Urodził się w zeszłym roku, miesiąc przed czasem, po tej długiej, wyboistej jeździe do góry nogami landrowerem, w wyniku której

nasza rodzina przeniosła się z Kinszasy na farmę w dystrykcie Kinwula. Jakieś dziesięć kilometrów od wioski mój chroniczny ból pleców rozlał się na podbrzusze w postaci głębokich, twardych jak kamień skurczów i zdałam sobie ze zgrozą sprawę, że zaczęła się akcja porodowa. Wysiadłam i bardzo powoli poszłam za samochód, aby zdusić w sobie panikę. Anatole musiał być przerażony moim dziwnym zachowaniem, ale nie ma sensu się spierać z rodzącą kobietą, więc wysiadł i przyłączył się do mnie, podczas gdy chłopcy kłócili się o to, który z nich ma prowadzić. Mgliście przypominam sobie czerwone tylne światła landrowera, który podskakiwał przed nami monotonnie na ciemnej drodze przez dżunglę, jak również fałszywe zapowiedzi popołudniowej burzy. Po jakimś czasie, nic nie mówiąc, zesłam z drogi i poło-s żyłam się na stercie wilgotnych liści pomiędzy wysokimi korzeniami puchowca. Anatole uklęknął koło mojej głowy i głaskał mnie po włosach.

— Powinnaś wstać. Tutaj jest ciemno i mokro, a nasi domyśl ni synowie pojechali i zostawili nas.

Podniosłam głowę i poszukałam wzrokiem jeepa, który rzeczywiście zniknął. Potrzebowałam coś wyjaśnić Anatole'owi, ale akurat złapał mnie bardzo mocny skurcz. Nad głową miałam drzewo, z pierścieniem kończyn, które odchodziły promieniście od wielkiego jasnego pnia. Odmierzałam swoje męczarnie tymi gałęzmi, jakby to były cyfry na tarczy zegara, powoli, jeden głęboki oddech na jedną cyfrę. Siedemnaście. Bardzo długa minuta, może godzina. Potem skurcz ustąpił.

— Anatole — powiedziałam. — Chcę urodzić to dziecko tu i teraz.

— Och, Beene. Zawsze brakowało ci cierpliwości.

Chłopcy ujechali spory kawałek, zanim się zatrzymali i cofnęli, dzięki niech będą Bogu i Martinowi. Nie udało mu się przekonać braci, że to on

powinien usiąść za kierownicą, toteż siedział naburmuszony przy tylnym oknie i porażony nagłym natchnieniem krzyknął do brata, żeby się zatrzymał:

— Zaczekaj, zaczekaj, mama chyba rodzi!

Anatole gorączkowo przeszukiwał samochód, aż wreszcie znalazł matę z trawy i jakieś koszule (przynajmniej zabraliśmy ze sobą cały dobytek i wszystko było czyste). Kazał mi usiąść, żeby to pode mnie podłożyć. Nie pamiętam tego. Pamiętam tylko, że uda mi się napinały, a miednica wyginała w łuk pod wpływem tego nagłego, grzmistego popędu, który jest silniejszy od wszystkich innych ludzkich popędów — potrzeby pchania. Usłyszałam skowyt, który wyszedł chyba ze mnie, a potem był z nami Nataniel, który zakrwawił czystą białą koszulę Anatole'a i stare, miękkiepagne z nadrukiem w żółte ptaki.

Anatole puścił się w roześmiany taniec gratulacyjny. Nie minął jeszcze rok, odkąd zwolniono go z Camp Hardy, toteż dobrze rozumiał pośpiech, z jakim jego syn uciekał ze swej pojedynczej celi. Lecz dziecko było słabe. Zatraskany Anatole natychmiast ruszył w drogę przez ciemność, ja natomiast skuliłam się na tylnym siedzeniu i przystawiłam dziecko do piersi, lecz stwierdziłam ze zgrozą, że nie jest w stanie nawet ssać. Kiedy przyjechaliśmy do Kimvula, chłopczyk miał gorączkę. Potem w szybkim tempie zamienił się w letargiczny tobolek z okrytymi skórą kośćmi i obciążoną skórą czaszką. Nawet nie płakał. Liczne dni i noce, które potem nastąpiły, zlały mi się w jedno, ponieważ bałam się go odłożyć chociaż na chwilę, a nawet zasnąć, trzymając go w ramionach, żeby mi nie uciekł. Anatole i ja na przemian kołysaliśmy jego wiotkie ciało, mówiliśmy do niego, próbowaliśmy go zwabić do świata żywych. Martin domagał się, żeby jego również w to włączyć, on też chciał kołysać i szeptać sekrety chłopców do małego koca z nadrukiem. Lecz Nataniela trudno było przekonać. Dwa razy całkiem przestał oddychać.

Anatole dmuchał mu do ust i masował mu klatkę piersiową, aż w końcu dziecko westchnęło z cicha i wróciło.

Po tygodniu zaczął jeść i wydaje się, że teraz nie żałuje już swej decyzji o pozostaniu nami. Lecz przez ten straszny pierwszy tydzień jego życia byłam torturowana dolegliwościami słabego, obolałego ciała i zagubionej duszy. Przypomniałam sobie, że obiecałam jakiemuś Bogu, więcej niż raz, że jeśli tylko odzyskam Anatole'a, to już nigdy nie będę na tej ziemi o nic prosiła. A teraz znów łomotałam do drzwi nieba. Rozpaczliwy gest dziewczyny, która potrafiłaby policzyć lata, jakie upłynęły, odkąd przestała odczuwać jakąkolwiek realną obecność po drugiej stronie tych drzwi.

Pewnej nocy, kiedy siedziałam na podłodze bezsenna, obłąkana ze zmęczenia, kołysząc i tuląc do siebie ten niewinny wrak dziecka, zaczęłam po prostu mówić na głos. Mówiłam do ognia: „Ogniu, ogniu, proszę, ogrzej go, zjedz tyle drewna, ile ci potrzeba, jak się skończy, to przyniosę ci więcej, ale nie zgaśnij, nie pozwól, by to ciało, które już tak bardzo kocham, wyziębiło się!” Mówiłam po angielsku, dosyć przekonana, że do reszty straciłam rozum. Mówiłam do księżycy i do drzew, do śpiących ciał Anatole<sup>^</sup>, Patrice'a i Martina, a w końcu nawet do czajnika gotowanej, sterylnej wody i maleńkiego zakraplacza, którego używałam, aby nie pozwolić maleństwu się odwodnić. Nagle stanął przed oczyma obraz mojej matki, która klęczała i mówiła—modląc się, jak sądzę — do buteleczki antybiotyków, kiedy Ruth May była taka chora. Słyszałam oddech matki i jej słowa. Bardzo wyraźnie widziałam jej twarz i czułam wokół siebie jej ramiona. Matka i ja modliłyśmy się razem do wszystkiego, co mogło nas słyszeć. To wystarczało.

Jeśli Bóg jest kimś, kto o mnie w ogóle myśli, to na pewno myśli o mnie jako o matce. Matce, która zawzięcie poszukuje pożywienia i schronienia, z definicji obłąkana miłością. Moi chłopcy wołają: Sala mbote!, kiedy wybiegają

na zewnątrz, uciekają od mojej opieki i moich porad, lecz nigdy od mojej miłości. Pascal oddalił się najbardziej — od dwóch lat jest w Luandzie,

studiuje tam górnictwo naftowe, jak również, o czym jestem najzupełniej przekonana, ugania się za dziewczętami. Tak bardzo przypomina mi swego imiennika, mojego przyjaciela, z tymi samymi szeroko osadzonymi oczami i tym samym radosnym pytaniem pękającym jak skorupka jajka na powitanie każdego nowego dnia: Beto nki tutasala? „Co robimy?”

Patrice jest jego przeciwieństwem: pilny uczeń, trzeźwy umysł, a fizycznie dokładna kopia swego ojca. Chce studiować administrację rządową i zostać ministrem sprawiedliwości w Afryce zupełnie różnej od obecnej. Miękną mi kolana ze strachu i podziwu, kiedy patrzę, jak ostrzy sobie nadzieje. Lecz na najciemniejszego z mych synów, jeśli chodzi o karnację i temperament, wyrasta Martin-Lothaire. W wieku dwunastu lat siedzi pogrążony w melancholijnych refleksjach i pisze wiersze w diariuszu, wzorem Agostinho Neto, bohatera swego ojca. Przypomina mi jego ciocię Adę.

Tu, w dystrykcie Kinwula, pracujemy z rolnikami nad projektem uprawy soi, próbując założyć spółdzielnię — maleńki przyczółek samowystarczalności w brzuchu bestii Mobutu. Jeśli rząd zwietrzy, że odnieśliśmy tu jakiegokolwiek sukcesy, to tak nas złupi, że się nie pozbieramy. Po cichu sadzimy więc nasze nadzieje tu w dżungli, zaledwie kilka kilometrów od granicy z Angolą, na końcu fatalnej drogi, którą szpiedzy Mobutu nie zechcą zbyt często jeździć, aby nie zepsuć zawieszona w swych luksusowych samochodach.

Każdy dzień przynosi jakieś małe sukcesy. Anatole zreorganizował szkołę średnią, która od dziesięciu lat praktycznie nie działała — prawie żaden młody dorosły w wiosce Kinwula nie umie czytać. Ja jestem zajęta moim żarłocznym Tanielem, którego muszę karmić noc i dzień, przerzucam go w nosilkach z jednej piersi do drugiej, aby nie musiał sobie przerywać, kiedy wygotowuję jego

pieluchy. Anatole zarządził, że Patrice i Martin mają uczyć jeden francuskiego, a drugi matematyki, mimo że Martin profesoruje tym samym starszym od siebie dzieciom. Ja jestem szczęśliwa, że mieszkam pośród drzew owocowych i znów palę

w piecu drewnem. Nie przeszkadza mi męcząca, lecz dająca satysfakcję konieczność noszenia drewna i wody. Nienawidzę innego zmęczenia, nie kończącymi się wiadomościami o nadużyciach popełnianych przez Mobutu i kosztach życia w długotrwałej nędzy. Tutejsi ludzie są instynktownie bardziej wystraszeni i mniej szczodroblivi niż mieszkańcy Kilangi dwadzieścia lat temu. Sąsiadki wciąż zachodzą do nas z małymi prezentami, garścią bananów czy pomarańczą, którą dajemy dziecku i śmiejemy się z jego grymasów. Lecz mrużą oczy, kiedy omiatają wzrokiem pokój. Nigdy wcześniej nie miały do czynienia z białą osobą, toteż zakładają, że muszę osobiście znać Mobutu i wszystkich ważnych Amerykanów. Mimo moich protestów prawdopodobnie martwią się, że doniosę komuś o tym, iż miały o jedną pomarańczę za dużo. Konieczność bycia uchodzącą we własnym kraju to najskuteczniejszy środek, żeby zamienić hojną duszę w zaciśniętą pięść. Zairczycy są śmiertelnie zmęczeni, widać to, gdziekolwiek się spojrzy.

Nasz dom z gliny i słomy jest bardzo obszerny, z dwiema izbami i chatą kuchenną. Na pewno przyjemniejsze miejsce niż pudło z blachy i betonu, w którym byliśmy zamknięci w Kinszasie razem z naszymi troskami. Chrobocząca hydraulika nieustannie burczała do nas jak Bóg do Noego, grożąc potopem, i Anatole zarzekał się, że choćby miał przeżyć w Kinszasie dziesięć tysięcy poranków, to nigdy nie przyzwyczai się do oddawania kału w samym środku swego domu. Paradoksalnie, latryny wzbudzają w nas poczucie powrotu do cywilizacji.

Lecz nasze życie w wiosce ma prowizoryczny posmak. Jedną nogą stoimy już na granicy ziemi obiecanej, a może nad grobem. Nasz plan przedstawia się

następująco: ponownie załadować ciężarówkę i pojechać do Sanza Plombo w Angoli, najszybciej, jak to będzie możliwe. Tam połączymy siły z nowym, niepodległym narodem, którego nadzieje zbiegają się z naszymi. Ciągnie nas do Angoli od dziesięciu lat — Anatole miał możliwość pracować tam dla rządu w 1975 roku, tuż po podpisaniu traktatu, w wyniku którego Neto został prezydentem. Anatole nie był

jednak jeszcze gotowy opuścić Konga, a potem Neto zmarł, przedwcześnie. W 1982 roku przyszło kolejne zaproszenie, od drugiego prezydenta, Jose dos Santosa. Na przeszkodzie objęciu przez Anatole'a proponowanego stanowiska stanął fakt, że mieszkał on wtedy w pomieszczeniu o powierzchni dwóch metrów kwadratowych, z wiadrem swoich ekskrementów do towarzystwa, w zakładzie karnym w Thysville.

Nie sądzę, aby Anatole bardzo tego żałował, ale byłby dumny z tego, że pracuje z Neto czy dos Santosem. Dzięki tym wybitnym ludziom, plus innym niepoliczonym, którzy zmarli po drodze, Angola wyrwała się z uścisku Portugalii i pozostaje właścicielem swoich diamentów i szybów naftowych. Angolański przemysł nie subsydiuje cudzoziemców ani zamków z fosami, a dzieci Angolczyków mają duże szanse na to, że zostaną zaszczepione i nauczą się czytać. Oczywiście wciąż są rozpaczliwie biedni. Za zatrzymanie swych diamentów i ropy musieli zapłacić straszliwą cenę. Nikt z nas nie przewidział tego, co się tam wydarzyło. A najmniej Neto, młody lekarz-poeta, który chciał tylko oszczędzić swemu ludowi szpecących chorób, jakimi są ospa i ponizeń. Pojechał po pomoc do USA, lecz pokazano mu drzwi. Wrócił więc do kraju i próbował w pojedynkę obalić rządy Portugalczyków i stworzyć ludową Angolę. Dopiero wtedy Amerykanie zwrócili na niego uwagę. Teraz był bowiem komunistycznym diabłem.

Dziesięć lat temu, kiedy Anatole otrzymał ten pierwszy list z nową, oficjalną pieczęcią urzędu prezydenta niepodległej Angoli, wyglądało na to, że

marzenia mogą się spełniać. Po sześciuset latach bratobójczych walk i paru stuleciach łajdactw Portugalczyków wojujące plemiona angolskie nareszcie uzgodniły plan pokojowy. Agostinho Neto został prezydentem afrykańskiego państwa naprawdę wolnego od obcego jarzma. Tak niewiele brakowało, abyśmy się spakowali i pojechali, jeszcze tego samego dnia. Tak rozpaczliwie pragnęliśmy przenieść naszych synów w miejsce, w którym mogliby zakosztować przynajmniej nadziei, jeśli nie jedzenia.

Jednak po dwóch tygodniach od podpisania układu pokojowego Stany Zjednoczone pogwałciły go. Drogą powietrzną przekazały ogromną dostawę broni przywódcy opozycji, który osobiście poprzysiągł, że zamorduje Neto. W dniu, w którym dotarła do nas ta wiadomość, siedziałam, szlochając w kuchni, zdruzgotana wstydem i wściekłością. Przyszedł Patrice i usiadł koło mojego krzesła, aby z głęboką cierpliwością chłopca klepać mnie w nogę. Mama, Mama, ne pleure pas. Ce n'est pas de lafaute de Grandmere, Mama. W ogóle nie przyszło mu do głowy, żeby skojarzyć mnie z haniebnym postępkiem Amerykanów. Sądził, że jestem zła na matkę i Adę. Podniósł ku mnie swoją wąską twarz z oczami w kształcie migdałów i przypomniałam sobie, co powiedział wiele lat wcześniej jego ojciec: „Nie ty, Beene”.

Lecz jeśli nie ja, to kto, i przez ile pokoleń musimy uzyskiwać przebaczenie naszych dzieci? Zamordowanie Lumumby, utrzymywanie Mobutu u władzy, powtórne wzniesienie bratobójczych walk w Angoli — to wygląda na rozgrywkę między dorosłymi mężczyznami, lecz w istocie są to akty zdrady dzieci przez ojców. Anatole powiedział mi ostatnio, że USA wydało trzydzieści milionów dolarów na próby zdławienia suwerenności Angoli. Każdy dolar musiał pochodzić od jakiejś osoby, mężczyzny lub kobiety. Jak to się odbywa? Oni to chyba traktują jak interes, handel ciężkim sprzętem, materiałami wybuchowymi i minami przeciwpiechotnymi, które są potrzebne do wykonania zadania. A może chodzi o handel wyimaginowanymi lękami. Komuś udało się



przekonać gospodynie domowe z Bethlehem, że odległy, czarny komunistyczny diabeł zagnieździ się w ich starannie zaprojektowanych kolorystycznie dużych pokojach.

Ale jakie to mogło mieć dla nich znaczenie, że po zerwaniu warunków traktatu i rozpaczliwym wołaniu Neto o pomoc, jedynymi ludźmi, którzy na nie odpowiedzieli, byli Kubańczycy? Byliśmy tacy szczęśliwi, chłopcy, Anatole i sąsiedzi skakali i krzyczeli na naszym podwórzu, kiedy w radio poinformowali, że do Luandy przyleciały kubańskie samoloty. Na pokładzie byli nauczyciele i pielęgniarki, z opakowaniami szczepionki przeciwko ospie. Wyobrażaliśmy sobie, jak wyzwalają Angolę i maszerują w górę rzeki Kongo, żeby zaszczepić nas wszystkich!

Rachel mnie informuje, że dałam sobie wyprać mózg komunistycznemu spiskowi. Ma najzupełniejszą rację. Dałam się przeciągnąć na stronę nauczycieli i pielęgniarek, wypowiadając lojalność materiałom wybuchowym. Żadna ojczyzna, którą mogłabym uznać za swoją, nie wysadziłaby w powietrze zapór hydroelektrowni i wodociągów zmagającego się z nędzą, dalekiego kraju, nie wciągałaby braku światła i dyzenterii na służbę swoim ideałom, nie podkładałaby min na każdej angolskiej drodze, która łączyła jedzenie z głodnym dzieckiem. Serca podeszły nam do gardeł, kiedy patrzyliśmy na tę wojnę, wiedzieliśmy bowiem, o co toczy się gra. Kolejne Kongo. Kolejna zmarnowana szansa płynąca jak zatruta woda pod Afryką, zaciskająca nasze dusze w pięści.

Ale ponieważ nie mamy na widoku żadnych innych nadziei, sterujemy w stronę Angoli, czekamy, przeszłość robi się coraz cięższa, a przyszłość zwęża się do rozmiarów szczeliny w drzwiach. Czekamy na granicy, zgromadziwszy wszystko, czego może od nas wymagać nie znany jeszcze los. Mamy łóżka polowe, stół i krzesła kupione w Kinszasie, zbiór podręczników rolnictwa i pomoce nauczycielskie z Bikoki, moją przedpotopową walizkę pełną rodzinnych skarbów ocalonych z Kilangi. Anatole zachował nawet globus, który

mu dałam w prezencie ślubnym — namalowałam go własnoręcznie na kalebasie, kiedy zakonnice odmawiały swe nowenny. W ich dziwnej bibliotece był St. Exupery, ale nic tak świeckiego jak atlas świata, więc musiałam pracować z pamięci. Później moi synowie przyssali się do globusa jak początkujący wróżbici z ręki, próbując odczytać los ich świata na podstawie długości i wygięć jego linii rzecznych. Jakimś cudem globus wytrzymuje wilgoć i przewodźki, tylko kilka nieuprawnionych archipelagów szarej pleśni upstrzyło jego oceany. Anatole jest do niego bardzo przywiązany, jak również do zaskakującego faktu, że to ja pierwsza mu powiedziałam, jaki kształt ma świat. Lecz kiedy widzę globus na stole, jestem skonsternowana przeoczeniami, jakich dopuściłam się w wieku osiemnastu lat: na przykład Morze Kaspijskie, poza tym Ural, Bałkany, Pireneje, całe łańcuchy górskie zniknęły na skutek moich zaniedbań. Udało mi się jednak dokładnie odwzorować kształt i rozmiary Konga, w stosunku do Europy i obu Ameryk. Widać już wtedy bardzo chciałam oddać Afryce sprawiedliwość.

Wciąż jesteśmy dziećmi, którymi kiedyś byliśmy, mamy plany, które zachowujemy w sekrecie nawet przed samymi sobą. Plan Anatole'a przedstawia się, jak sądzę, następująco: przeżyć Mobutu i wrócić tutaj, kiedy będziemy mogli stanąć na tej ziemi i powiedzieć słowo „ojczyzna”, nie czując na języku palącego, gorzkiego smaku złoconych kandelabrow i powszechnej nędzy. A mój plan? Wyjść kiedyś z domu nie naznaczona piętnem białości i spacerować po współczującej ziemi w towarzystwie Ruth May, która nie będzie miała do mnie żalu. Być może nigdy nie wyleczę się ze swego dążenia do równowagi, nigdy nie przestanę wierzyć, że życie będzie sprawiedliwe z chwilą, gdy wyzwolimy się od tych wszystkich błędów spowodowanych chwilową zaćmą na oczach. Jak malaria, z której nigdy się do końca nie otrząsnęłam, to płynie w mojej krwi. Oczekuję, że dobroć zostanie wynagrodzona, na zło zaś spadnie topór kary, choć od tylu lat tkwię w tym przybytku nagradzanego zła i mordowanej dobroci.

Kiedy realia życia zaczynają wzbudzać we mnie rezygnację, natychmiast budzę się rozgorączkowana, rozglądam się po świecie i konstatuje z przerażeniem, że znów tak wiele się popsuło i muszę to naprawić. Chyba za bardzo kochałam mego ojca, toteż przynajmniej część jego wizji wciąż we mnie żyje.

Lecz praktyka mówienia do bliźnich bogatym, melodyjnym językiem zmięczyła brzmienie głosu ojca w moich uszach. Słyszę teraz niuanse, które skrzę się pod powierzchnią słów „dobro” i „zło”. Kiedyś bardzo nas deprymowały słowa w kikongo, które posiadają tyle różnych znaczeń: bangala to „najcenniejszy”, „najnieznośniejszy” i „jadowite drzewo”. Tym jednym słowem ojciec za każdym razem rujnował swe kazania, kończył je bowiem okrzykiem: „Tata Jezus jest bangalal”

W tej odległej epoce, kiedy Rachel wyciągała słowa z kapelusza i używała w takich znaczeniach, w jakich jej się podobało, a Ruth May wymyślała swoje własne, Ada i ja zastanawialiśmy

się, jak to możliwe, że wszystko, co nam wydaje się takie oczywiste i jednoznaczne, w Afryce znaczy coś zupełnie innego. Martwiło nas słowo nzolo: ukochany albo biała glista używana jako przynęta, albo specjalny amulet przeciwko dyzenterii, albo małe ziemniaki. Nzole to podwójnej wielkości pagne, w które można zawinąć dwoje ludzi naraz. Nareszcie widzę, w jaki sposób to wszystko jest ze sobą powiązane. Podczas ceremonii ślubnej mąż i żona stoją przyciśnięci do siebie w swym nzole i uważają się nawzajem za coś najcenniejszego: nzolani. Za coś tak cennego, jak pierwsze ziemniaki w sezonie, małe i słodkie jak fistaszki z Georgii. Tak cennego jak najtłustsze glisty wygrzebane z ziemi, na które łapią się największe ryby. Z kolei amulet przeciwko dyzenterii, bardzo ceniony przez matki, zawiera cząstkę wszystkich rzeczy, do których odnosi się słowo nzolo: trzeba wykopać i wysuszyć glistę i ziemniaki, obwiązać je nicią z szaty ślubnej i kazać to wszystko pobłogosławić w ogniu czarownikowi ngan-ga. Tylko najlepsze rzeczy, jakie ma do

zaoferowania świat, mogą ochronić dzieci — w to z pewnością wierzę. Każde z moich fistaszkowego koloru maleństw nazywałam moimi nzolani, a mówiąc to, czułam w ustach smak ryb, ognia i młodych ziemniaków. Inaczej nie potrafię sobie teraz tego wyobrazić.

„Wszystko, co uważasz za dobre, w innym miejscu może być niedobre. Zwłaszcza tutaj”. Często to sobie powtarzam, kiedy gotuję pieluchy w chacie kuchennej i toczę wyimaginowane spory z nieobecną Rachel. (Nie różniące się tak bardzo od sporów z Rachel we własnej osobie). Ona znów mi przypomina o zagrożeniu komunistycznym. Ja wychodzę na zewnątrz, żeby wylać wodę i pomachać sąsiadce, która gotuje fistaszki w kołpaku samochodowym. Obie kulimy się na dźwięk hamującego auta. To może być czarny mercedes casaquebleus, emisariuszy Mobutu, którzy przyjechali zarekwirować nasze nędzne zbiory, aby sfinansować budowę kolejnego pałacu. I wtedy, z zamierchłego dzieciństwa, nagle przychodzi do mnie moja pierwsza nieporadna definicja komunizmu, którą wygłosiłam do Anatole'a: Nie boją się Boga i uważają, że każdy powinien mieć taki sam dom.

Z miejsca, w którym stoję, siostró, trudno jest zrozumieć, dlaczego to miałyby być takie groźne.

Mieszkam w maleńkim domu zapchanym po sam dach chłopcami, ziemniakami, amuletami i podręcznikami, jest też szata ślubna, rozpadająca się mapa świata, przedpotopowa skórzana walizka wspomnień — nawarstwiająca się przeszłość wypiera coraz bardziej zwięzłą przyszłość. Nasze czekanie dobiega końca. Trwało to dziesięć lat i rzecz zakrawa na cud, ale Amerykanie przegrywają w Angoli. Ich miny przeciwpiechotne wciąż czyhają w całym kraju, codziennie urywają nogę albo rękę dziecka i wiem, co może się zdarzyć, kiedy będziemy jechali tymi drogami. Lecz w moich snach wciąż mam nadzieję, w życiu zaś — żadnego bezpiecznego schronienia. Choćbym musiała kicać całą

drogę na jednej nodze, do diabła, znajdę miejsce, które będę mogła nazwać swoim domem.

## KSIĘGA VI PIEŚŃ TROJGA DZIECI

Wszystko, co na nas sprowadziłeś, i wszystko, co nam uczyniłeś, uczyniłeś według sprawiedliwego sądu... Wybaw nas przez swe cuda.

Pieśń trzech młodzieńców Księga Daniela 3,31-43\*

Rachel Price

Equatorial

Stale słyszę komplementy na temat mojej doskonałej cery, ale muszę się wam z czegoś zwierzyć: nic na świecie nie wymaga tyle wysiłku, ile zachowanie dobrego wyglądu.

Nie mająk pięćdziesiąte urodziny, żeby poczuć się jak stulatka. Nie miałam oczywiście zamiaru stawiać świeczek na torcie i puszczać hotelu z dymem. Spędziłam ten dzień, nie pisnąwszy nikomu ani słowa. Teraz zamknęłam bar, siedzę ze swoim Lucky Strikiem i sandałem dyndającym na palcu. Zawsze mogę sobie powiedzieć, że to był dzień jak każdy inny, ale taka okrągła cyfra daje trochę do myślenia.

Wg: Biblia Tysiąclecia, wyd. cyt.

Czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, że zestarzeję się w Afryce? Nigdy w życiu. Przeżyłam całą duckę małżeństw i niedoszłych małżeństw, ale nigdy nie wyjechałam z Czarnego Lądu. Osiadłam tutaj i zrobił się ze mnie taki domator, że nie mam nawet ochoty wychodzić na zewnątrz! W zeszłym tygodniu zmuszona byłam pojechać do Brazzaville po dostawę alkoholu, ponieważ nie mogłam znaleźć kierowcy, któremu mogłabym zaufać, że przywiezie towar i samochód z powrotem w stanie nienaruszonym, ale trafiłam

na powódź i dwa drzewa leżące w poprzek drogi, więc kiedy wróciłam, pocałowałam podłogę baru. Słowo daję. Zrobiłam to przede wszystkim z wdzięczności, że podłoga wciąż tam jest, ponieważ dalej się spodziewam, że służba wyniesie podczas mojej nieobecności każdą klepkę. Na razie jednak, odpukać, wszystko jest na swoim miejscu.

Kiedy rozglądam się wokół siebie, jedno mogę na pewno powiedzieć: jestem osobą, która coś w życiu osiągnęła. Nie chcę się przechwalać, ale stworzyłam swoje królestwo. Ja jestem tu panem i władcą. Może toalety nie zawsze funkcjonują idealnie i zdarzają się drobne niesnaski między pracownikami, ale obsługa w moim hotelu jest doskonała, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. W każdym pokoju wisi tekturka z informacją, że klienci mogą się zgłaszać z zażaleniami w biurze między dziewiątą a jedenastą przed południem. I co, skarżą się? Nie. Pod moim nadzorem wszystko chodzi jak w zegarku! Z tego naprawdę mogę być dumna. Po drugie, zgarniam niezły szmal. Po trzecie, nie mam czasu na to, żeby czuć się samotna. Jak już powiedziałam, wciąż ta sama twarz w lustrze, pięćdziesiąt lat, a wygląda, jakby ledwo skończyła dziewięćdziesiąt. Ha, ha, ha!

Czy kiedykolwiek zastanawiam się nad tym, jakie życie w pocziwych Stanach mnie ominęło?

Odpowiedź brzmi: praktycznie codziennie. Mój Boże, imprezy, samochody, muzyka — cały ten beztroski amerykański sposób życia. Brakuje mi poczucia przynależności do czegoś, w co można naprawdę wierzyć. Kiedy nareszcie sprawiliśmy tu sobie telewizor, przez długi czas puszczała Dicka Clarka i American Bandstand o czwarte

j po południ

u. Zamyka

łam bar, robiłam sobie podwójny Singapo  
re Sling, siadałam przed telewizorem z papierowym wachlarzem i serce się we mnie ścisnęło z rozpacz  
y. Umiem robić takie fryzury. W Ameryce naprawdę mogłabym zostać kimś.  
Więc dlaczego nie wracam? Powiedzmy sobie wyraźnie, że teraz jest już na to za późno. Mam tu obowiązki. Najpierw wtrzymałam jednego męża, potem drugiego, potem Equator  
ial, który nie jest tylko zwykłym hotelem

, mam wrażeni  
e, jakbym rządziła małym państwe  
m, które wszyscy chcą rozdrap  
ać dla siebie, gdy choćby na chwilę spuścisz z nich wzrok. Moje rzeczy  
miałyby wylądować w dżungli, w moim drogim francusk  
im szybko  
warze miałyby się gotować maniok na śmierdz  
ącym ognisku, moje piękne chromowan  
e blaty miałyby posłuży  
ć za dach jakiejś kurnej chaty? Dziękuj  
ę, postoję. Nie zniosłab  
ym tego. Człowie  
k coś tworzy i do końca życia musi walczyć o to, żeby się nie rozsypał  
o. Wystarc  
zy sobie trochę odpuści  
ć i wszyst  
ko się wali.  
Lata temu, kiedy między mną a Axelroo  
tem zaczęło się psuć — przypus  
zczalnie wtedy należało wrócić do kraju. W nic wtedy jeszcze nie zainwes  
towała



m w Afryce, jeśli nie liczyć małego buduaru urzędzo  
nego na jasnoróż  
owo. Mogłam wtedy próbowa  
ć go namówi  
ć, żebyśm  
y przepro  
wadzili się do Teksasu  
, gdzie rzekom  
o miał jakąś rodzinę, tak przynaj  
mniej wynikał  
o z paszportu, który okazał się prawie w całości sfal szo  
wany. A jeszcze lepiej, mogłam pojecha  
ć sama. Kurza melodia, mogłam się ewakuować, nie mówiąc nawet cześć,  
poniewa  
ż formalni  
e biorąc, byliśmy małżeńs  
twem tylko w sensie biblijny  
m. Już wtedy znałam kilku wysoko postawi  
onych panów, którzy by mi pomogli uzbierać pieniądz  
e na samolot, a potem byłaby  
m w Bethleh

em, zanim ktokolwi  
ek zdążyłb  
y mi powiedz  
ieć: „Leć nisko i powoli”. Podkulił  
abym ogon i zamiesz  
kałabym z matką i Adą w kurnej chacie. Oczywi  
ście musiała  
bym od nich wysłuch  
iwać: „A nie mówiły  
śmy ci?” na temat Axelroo  
ta. Ja już jednak wcześni  
ej połknęła  
m moją dumę. Tyle razy, że jestem wyklejo  
na od środka swoimi pomyłk  
ami jak źle wy tapetow  
ana łazienka

Więcej niż raz miałam już spakowane walizki. Jednak kiedy przyszło co do czego, zawsze się bałam. Czego? Trudno to wytłumaczyć. Tak w największym skrócie, bałam się, że nie będę się umiała z powrotem przystosować. Miałam wtedy dopiero dziewiętnaście czy dwadzieścia lat. Moje koleżanki z ogólniaka dalej skarżyły się na swoich chłopaków i biły się ze sobą

o pracę kelnerki w kinie samochodowym. Ich wyobrażeniem krwiożerczej walki o przetrwanie była szkoła kosmetyczek. I nagle zjawia się Rachel z brudnymi włosami, jedną martwą siostrą i jednym spaskudzionym małżeństwem za sobą, nie wspominając o sodomie i gomorze. Nie wspominając o Kongu. Po moim długim marszu przez błoto byłam za bardzo wypompowana i filozoficznie usposobiona, żebym się z powrotem wstrzeliła w świat nastolatków.

Już sobie wyobrażałam, jak mnie pytają: „Jak tam było?” Co bym im odpowiedziała? „No wiecie, mrówki o mało co nas nie zjadły żywcem. Wszyscy ludzie, których znałyśmy, ciągle umierali na taką albo inną chorobę. Małe dzieci dostawały biegunki i po prostu wysychały na śmierć. Kiedy byłyśmy głodne, szłyśmy ubić jakieś zwierzęta i obdrzeć je ze skóry”.

Powiedzmy sobie szczerze, w Ameryce już nigdy nie byłabym lubiana. Ludzie, z którymi się zawsze kumpłowałam, nie mieliby ochoty zadawać się z kimś, kto robił kupę za krzakiem. Gdybym chciała się przystosować, musiałabym udawać, a nie jestem dobrą aktorką. Lea zawsze była w tym dobra—stałe grała kogo innego, żeby zrobić przyjemność ojcu, nauczycielom, Bogu, a może tylko dla udowodnienia sobie, że umie to robić. No a Ada przez wiele lat udawała, że nie mówi, z czystej przekory. Ja jednak ciągle bym zapominała, jaką mam grać rolę. Zaraz bym się zdradziła ze swoimi prawdziwymi myślami.

To nie należy do tematu, ale wiecie, komu zawsze naprawdę współczułam? Tym młodym żołnierzom, którzy wrócili do Stanów po Wietnamie. Czytałam o tym. Wszyscy krzyczeli: „Pokój, bracie!”, a oni myśleli o tym, jak siedzieli w dżungli i patrzyli, jak grzyb zjada ciała trupów. Dokładnie wiem, co wtedy czuli.

Ja osobiście nie należę do ludzi, którzy oglądają się za siebie.

I samodzielnie odniosłam sukces. Otarłam się w życiu o wielki świat. Żona ambasadora—pomyślcie sobie! Te dziewczyny w Bethlehem robią się już stare i siwe, wciąż ładują ubranie do pralek, biegają za swoimi dziećmi, a nawet wnukami i dalej żałują, że nie są Brigitte Bardot, podczas gdy ja pracowałam w dyplomacji.

Nigdy nie mogłam mieć dzieci. Tego jednego żałuję. Miałam bardzo ciężkie problemy kobiece z powodu infekcji, którą mnie zaraził Eeben Axelroot. Jak już powiedziałam, słono mu zapłaciłam za uratowanie mi życia.

Tutaj, w Equatorial, człowiek nie nudzi się ani przez chwilę. Po co komu dzieci, kiedy ma się małpy, które wpadają do jadalni, żeby ukraść gościom jedzenie z talerzy! Ile razy to się już zdarzyło. W mojej ogrodowej menażerii mam cztery małpy i lisa z uszami jak nietoperz i za każdym razem, gdy chłopak sprzątający klatki da im taką szansę, wbiegają z wrzaskiem do restauracji, biedny lis rwie się na wolność, ale małpy zapominają, jaki jest ich cel, na widok świeżych owoców. Zatrzymują się nawet, żeby złapać za butelkę piwa i wychylić do dna! Kiedyś po powrocie z targu przywitał mnie następujący widok: dwa moje koczokoda-ny, księżniczka Grace i generał Mills, zataczały się uchlane po stole, podczas gdy grupa niemieckich właścicieli plantacji kawy śpiewała pijackie piosenki. Z reguły toleruję wszelkie rozrywki, ja- kim oddają się moi goście, bo to jedyny sposób, żeby nie pójść na dno w tym interesie, ale kazałam tym Szkopom zapłacić za wyrządzone szkody.

Co jakiś czas przyjeżdża po południu wycieczka nieokrzesanych typów, którzy wyrabiają sobie fałszywe wrażenie o moim lokalu. To się zdarza tylko z nowicjuszami, którzy nie znają Equatorial. Patrzą na mnie, jak leżę wyciągnięta nad basenem z pękiem kluczy na szyi, patrzą na moje śliczne młode kucharki i pokojówki, które odpoczywają podczas przerwy poobiedniej oparte o ścianę patio, i nigdy byście nie zgadli: biorą mnie za burdelmamę! Nie przebieram w

słowach, kiedy się coś takiego dzieje. Jeśli to wam wygląda na dom publiczny, mówię im, to tylko dowodzi, że nie macie za grosz przyzwoitości.

Muszę jednak przyznać, że to na swój sposób zabawne. Mam już swoje lata, ale nigdy sobie nie odpuściłam. Chyba powinno mi to pochlebiać, kiedy jakiś facet podgląda znad muru ogrodu i myśli, że widzi Jezebel. Gdyby ojciec mnie teraz zobaczył, zadałby mi Werset, aż by się kurzyło!

Obawiam się, że te wszystkie lekcje świątobliwości z dzieciństwa spłynęły po mnie jak masło po grillu. Czasami myślę sobie, czy ojciec nie przewraca się w grobie (czy gdzie on tam leży). Jestem pewna, że oczekiwał po mnie, że wyrosnę na pobożną panią, która chodzi w ślicznym kapelusiku i organizuje wonty dobroczynne. Czasami jednak życie nie stwarza zbyt wielu szans na dobre uczynki. W każdym razie nie tutaj. Nawet ojciec nauczył się tego na własnej skórze. Zaczął ostro, myślał, że zbawi dzieci w wiosce, i co osiągnął? Stracił swoje własne. Bardzo czytelna lekcja. Jeśli zabierasz stado prawie dorosłych, pełnokrwistych córek do Afryki, to czy nie powinienes się spodziewać, że przynajmniej niektóre z nich wyjdą za mąż i już tu zostaną? Nie możesz po prostu wparować do dżungli, planując urządzić tam wszystko po chrześcijańsku, musisz być gotowy na to, że dżungla zmieni też ciebie. Stale to widzę u tych panów, którzy przyjeżdżają tutaj w interesach. Facetowi się wydaje, że będzie panem Afryki, a koniec jest taki, że europejski garnitur łąduje zmięty w kącie, a goście w mózgu się płacze od filaires, które mu się wżarły pod skórę. Gdyby to było takie proste, jak im się na początku wydawało, to Afryka już dawno wyglądałaby jak Ameryka z większą ilością palm. A jak na razie wygląda dokładnie tak samo jak kwartylion lat temu. Natomiast Afrykanie biegają po całej Ameryce, urządzają rozruchy o prawa obywatelskie i są najlepsi w sporcie i w muzyce rozrywkowej.

Od pierwszej chwili, gdy postawiłam stopę w Kongu, wiedziałam, że nie jesteśmy panami sytuacji. Tłum porwał nas ze sobą i zaniósł do kościoła, żeby

nam pokazać swoje półnagie tańcowanie i poczęstować kozim mięsem nie obranym z futra, i powiedziałam sobie: Ta mała wycieczka ściągnie ruinę na rodzinę Price'ów. O boziu, ale wyprorokowałam. Błąd ojca polegał na

tym, że on chciał nawrócić całą bandę na swój sposób myślenia. Zawsze mówił: „Dziewczęta, wybierzcie swoją drogę, nie zbaczajcie z niej i ponście konsekwencje swego wyboru”. Cóż ojciec nie żyje, leży na jakimś afrykańskim cmentarzu voodoo albo jeszcze gorzej, pożarły go dzikie zwierzęta, amen. To się nazywa ponosić konsekwencje.

Ja to widzę tak: Afryki nie trzeba lubić, ale trzeba uznać jej istnienie. Ty masz swój sposób myślenia, ona ma swój i nigdy ze sobą nie spasują, jak mówi poeta. Nie wolno tylko jej pozwolić żeby cię wciągnęła w swoje problemy. Jeśli na zewnątrz dzieją się nieprzyjemne rzeczy, zakładasz mocny zamek i sprawdzasz dwa razy przed snem, czy przekreśliłaś klucz. Skupiasz się na tym, żeby jak najlepiej urządzić swój mały kącik, tak jak ja to zrobiłam. Przekonasz się, że zmartwienia innych ludzi niekoniecznie muszą ci ciążyć.

Czasami sama jestem zdziwiona, że po tym wszystkim, co przeszłam,ostałam się w jednym kawałku. Czasami myślę, że zawdzięczam ten sukces małej książeczce, którą dawno temu przeczytałam, pod tytułem Jak przeżyć 101 katastrof. Proste rozwiązania na groźne sytuacje, tego można się z niej nauczyć. W spadającej windzie spróbuj wejść na sąsiada, żeby jego ciało zamordyzowało lądowanie. W zatłoczonym teatrze podczas pożaru, kiedy wszyscy pchają się do wyjścia awaryjnego, wystaw łokcie na boki, żeby się wklinać w żebra sąsiadów, a potem podnieś stopy do góry, żeby cię nie zdeptali. W ten sposób ludzie często tracą życie podczas zamieszek: ktoś następuje ci na piętę a potem wchodzi wyżej, aż ty leżysz plackiem, a on stoi na tobie.

Oto nagroda, jaką dostajesz za stanie na własnych nogach

rozgniotą cię na miazgę!

Taka jest więc moja rada. Niech inni się rozpychają, ty daj się unieść tłumowi. W ostatecznym rachunku ocalisz swoją skórę, a nie cudzą. To nie brzmi może zbyt po chrześcijańsku, ale spójrzmy prawdzie w oczy, kiedy wychodzę w nocy poza granice mojego małego królestwa i słucham hałasów, jakie dochodzą z mroku, czuję w kościach, że to nie jest za bardzo chrześcijańska

kraina. To najczarniejsza Afryka, która przewala się z obu stron jak powódź i trzeba się łapać wszystkiego, co pozwoli utrzymać się na wodzie.

Jeśli chcecie poznać moją opinię, tak właśnie jest i zawsze tak będzie. Trzeba wystawić łokcie na boki i nie dać się zdeptać.

Lea Price

Sanza Pombo, Angola

„Za siedmioma górami...” — mówi Anatole w ciemnościach, a ja zamykam oczy i odfruwam na jego historiach. To niemal szok, że jesteśmy sami w naszym łóżku, w gruncie rzeczy starsi państwo, po prawie trzydziestu latach spędzonych z małymi łokciami, piętami i głodnymi paszczkami. Kiedy Taniel skończył dziesięć lat, porzucił nas dla osobnego łóżka, pełnego kamyczków, które wypadają mu z kieszeni. Większość chłopców w jego wieku wciąż śpi razem z rodzicami, ale Taniel był nieugięty: „Moi bracia mają swoje własne łóżka!” (Nie zdaje sobie sprawy, że już zerwali z samotnością—nawet Martin, teraz na uniwersytecie, ma dziewczynę). Ze swoją kędzierzawą głową, którą czujnie obraca na boki, żeby nic nie uszło jego uwagi, i chce zjeść cały świat na jednego gryzą, zapiera mi dech. Jest taki podobny do Ruth May.

A w naszym łóżku, które Anatole nazywa Nową Republiką Connubia, mój mąż opowiada mi historię świata. Z reguły zaczynamy pięćset lat temu, kiedy Portugalczycy skierowali dziób swego drewnianego stateczku w ujście

rzeki Kongo. Anatole rozgląda się na boki, odgrywając pantomimicznie zdziwienie Portugalczyków.

— Co zobaczyli? — Zawsze zadaję to pytanie, chociaż znam już odpowiedź. Zobaczyli Afrykanów. Mężczyzn i kobiety czarne jak noc, ludzi przechadzających się w jasnym słońcu wzdłuż brzegów rzeki. Ale nie nagich — wręcz przeciwnie! Mieli nakrycia głowy, miękkie buty i więcej warstw egzotycznych spódnic i tunik, niż wydawałoby się do wytrzymania w tym klimacie.

Taka jest prawda. Widziałam rysunki opublikowane przez tych pierwszych poszukiwaczy przygód po ich pospiesznym powrocie do Europy. Relacjonowali, że Afrykanie żyją jak królowie, noszą nawet królewskie tkaniny: aksamit, adamaszek i brokat. Ich relacja tylko nieznacznie odbiegała od rzeczywistości. Mieszkańcy Konga produkowali niezwykle tkaniny, młóćąc włóknistą korę niektórych drzew lub tkając nić uzyskaną z rafii. Z mahoniu i kości słoniowej sporządzali rzeźby i umeblowanie swych domostw. Wytapiali rudę żelaza i wykuwali z niej broń, lemiesz pługów, flety i delikatną biżuterię. Portugalczycy nie mogli wyjść z podziwu, jak skutecznie królestwo Konga zbierało podatki oraz jak sprawnie funkcjonował dwór i ministerstwa. Nie było języka pisanego, lecz istniała tak potężna tradycja ustna, że kiedy katolicy ojcowie dopasowali litery do słów w języku kikongo, jego poezja i opowieści wlały się do ksiąg z siłą powodzi. Księża z konsternacją dowiedzieli się, że Kongo ma już swoją Biblię. Mieszkańcy tego kraju znali ją na pamięć od setek lat.

Choć Europejczycy byli pod wielkim wrażeniem królestwa Konga, zdumiało ich, że nie istnieje tutaj rolnictwo towarowe. Całą żywność konsumowano w pobliżu miejsca uprawy. Nie było więc wielkich miast, olbrzymich plantacji, dróg koniecznych do przewożenia zbiorów z tych drugich do tych pierwszych. Królestwo pokrywała gęsta sieć ścieżek, które wiodły przez



las, a nad rzekami przerzucone były mosty wiszące z lian. Wyobrażam to sobie tak, jak to opisuje Anatole: mężczyźni i kobiety w warstwach aksamitnych zawojów, maszerują bezszelestnie ścieżką przez las. Czasami, kiedy nawiedza mnie mój stary demon, leżę w zakolu jego barku, a on pociesza mnie w ten sposób, mówi do mnie przez całą noc, aby odegnąć złe sny. Chinina z trudem trzyma malarię w szachu i pojawiły się szczepy odporne na ten lek. Sny w gorączce są zawsze te same, pierwsze ostrzeżenie, że wkrótce zostanę powalona. Mój sen zalewa stara, smutna beznadzieja i przechodzę przez rzekę, oglądając się przez ramię na twarze dzieci, które zebrzą o jedzenie: Cadeaux! Cadeaux! Lecz potem budzę się w naszym dwuosobowym państwie, zamkniętym

w granicach namiotu moskitiery osrebrzonej światłem księżycy, i zawsze myślę o Bulungu, gdzie po raz pierwszy leżeliśmy w ten sposób. Anatole wtulał we mnie przebaczenie, podczas gdy ja dygotałam i szczękałam zębami z gorączki. Nasze małżeństwo było dla mnie długą rekonwalescencją.

Teraz idą do domu, Beene. Z koszami orzechów palmowych i orchidei z lasu. Śpiewają.

O czym śpiewają?

Och, o wszystkim. O kolorach ryb. O tym, jak grzecznie zachowywałyby się ich dzieci, gdyby wszystkie były z wosku.

Śmieję się. Kim są? Ilu ich jest?

Tylko mężczyzna i kobieta na ścieżce. Żona i mąż. Nie mają ze sobą swych niegrzecznych dzieci?

Jeszcze nie. Pobrali się dopiero przed tygodniem.

A, rozumiem. To pewno trzymają się za ręce.

Oczywiście.

Jak wygląda okolica?

Są blisko rzeki, w lesie, w którym nigdy nie ścinano drzew. Te drzewa mają tysiąc lat. Jaszczurki i małpy spędzają całe życie w ich koronach, nigdy nie schodzą na dół. Mieszkają na dachu świata.

Ale tam na ścieżce, którą idziemy, jest ciemno?

To przyjemna ciemność. Taka, którą czymogapolubić. Pada deszcz, ale gałęzie są tak gęste, że na dół dociera tylko lekka mżawka. Młode liany mbika wiją się do góry za naszymi plecami, gdzie w odciskach naszych stóp gromadzi się woda.

Co się stanie, kiedy dotrzemy do rzeki?

Oczywiście przejdziemy na drugi brzeg.

Śmieję się. Jakie to proste! A jeśli się okaże, że prom jest uziemiony po drugiej stronie bez akumulatora?

W królestwie Konga, Beene, nie ma akumulatorów. Nie ma ciężarówek, nie ma dróg. Wzbraniał się przed wynalezieniem koła, bo wiedzieli, że w tym błocie byłyby z tym same kłopoty. Do przekraczania rzeki mają mosty, które wiszą pomiędzy jednym wielkim zielonym hebanem a drugim na przeciwległym brzegu.

Widzę to małżeństwo. Wiem, że są prawdziwi, że naprawdę żyli. Wspinają się na podest zielonego hebanu, gdzie kobieta przystaje na chwilę dla złapania równowagi, zbiera długi zawój w jedną rękę i przygotowuje się do wyjścia na jaśniejsze światło i deszcz. Dotyka swoich włosów, które są splecione w grube sznurki i związane z tyłu głowy tasiemką z dzwoneczkami. Kiedy jest gotowa, wchodzi na rozchwiany most z lian. Moje serce przyspiesza, a potem synchronizuje się z rytmem jej kroków na rozkołysanym moście.

— A co, jeśli to jest wielka rzeka — spytałam go kiedyś — jak na przykład Kongo, tak szeroka, że żadna liana nie sięgnie na drugą stronę?

— To proste — powiedział. — Takiej rzeki nie należy przekraczać.

Ach, jak byłoby pięknie, gdyby rzeka mogła pozostać nie przekroczona i to, co po drugiej stronie, mogłoby sobie żyć, tak jak mu się podoba, nieogładane i niezmienione. Stało się jednak inaczej. Portugalczycy wyjrżeli spomiędzy drzew i zobaczyli, że elegancko odziane, wygadane Kongo nie kupuje, nie sprzedaje i nie transportuje swoich plonów, lecz mieszka w jednym miejscu i je to, co ma, jak zwierzęta w lesie. Mimo swej poezji i pięknych strojów ci ludzie z pewnością nie do końca zasługiwali na miano ludzi — byli prymitywni; tym słowem posłużyli się zapewne Portugalczycy, aby uciszyć sumienie w obliczu tego, co miało nastąpić. Wkrótce księża urządzali nad rzeką masowe chrzty i wsadzali nawróconych na statki płynące ku plantacjom trzciny cukrowej w Brazylii — niewolnicy wyższego boga rolnictwa towarowego.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Ojcze, gdziekolwiek jesteś, przebacz mi, ale ten świat ściągnął całą serię nikczemnych łajdactw na głowy sprawiedliwych i nie dożyję chwili, kiedy pokorni cokolwiek posiadą. Nie ma sprawiedliwości, istnieje zaś chyba mechanizm, który sprawia, że ludzkie błędy rozlewają się równomiernie jak woda w swojej sferze wpływów. Istnieje możliwość równowagi. Świat jakoś dźwiga ciężary nie do udźwignięcia, i to nie bez gracji.

Od dziesięciu lat mieszkamy w Angoli, na faktorii koło Sanza Pombo. Przed niepodległością Portugalczycy mieli tu plantację palmy olejowej, pół wieku temu wykarczowali dziewiczą dżunglę. Pod tymi palmami olejowymi, które przeżyły, uprawiamy kukurydzę, ignam i soję, mamy też hodowlę świń. Co roku w porze suchej, kiedy da się podróżować, nasza spółdzielnia zyskuje kilka nowych rodzin. Są tu głównie małe dzieci i kobiety w

złachmanionych pagM<sup>^</sup>, wychodzą bezszelestnie z lasu, lądują tutaj lekko jak zmęczone motyle po latach ucieczki przed wojną. Z początku w ogóle się nie odzywają. Potem po paru tygodniach kobiety zaczynają mówić, bardzo cicho, lecz swobodnie, aż skończą relację o miejscach i ludziach, których straciły. Prawie zawsze dowiaduję się, że ich życie zatoczyło krąg, najpierw uciekły z rodzinnej wioski do miasta, odważnie stając przed perspektywą śmierci głodowej, a teraz powracają do tej małej, ukrytej przed światem osady, gdzie mogą mieć pewną nadzieję, że nie będą chodziły o pustym żołądku. Udaje nam się wyprodukować trochę nadliczbowego oleju palmowego na sprzedaż w Luandzie, lecz większość tego, co uprawiamy, jest spożywane na miejscu. Spółdzielnia posiada jeden pojazd, naszego landrowera (który ma takie bogate życie, że gdyby potrafił, to opowiedziałby swoją własną historię świata), ale we wrześniu zaczynają się u nas deszcze i droga jest nieprzejezdna aż do kwietnia. Przez większość roku patrzymy na to, co mamy, i postanawiamy się tym zadowolić.

Nie jesteśmy daleko od granicy, toteż mieszkańcy tego regionu wyglądają i mówią bardzo podobnie do ludzi z Kilangi. Kiedy tu przyjechaliśmy, ogarnęło mnie niezwykle wrażenie powrotu do dzieciństwa. Stale oczekiwałam, że zza węgła wyłoni się ktoś znajomy: Mama Mwanza, Nelson, Tata Boanda w czerwonych spodniach i najbardziej niesamowicie — ojciec. Granica między Kongiem i Angolą nie jest oczywiście niczym więcej, jak tylko linią na mapie — Belgowie i Portugalczycy pociągnęli losy. Dawne królestwo Konga obejmowało całą środkową Afrykę. Jako państwo upadło, kiedy milion jego najzdrowszych mieszkańców sprzedano w niewolę, lecz jego język i tradycje przetrwały. Budzi mnie to samo roziskrzone Mbote! wykrzykiwane za otwartym oknem domu. Kobiety w taki sam sposób zawijają i rozwijają swoje pagnes i wyciskają olej palmowy za pomocą takiego samego przyrządu, jakiego używała

Mama Lo. Często słyszę duchy: wznoszącą się intonację głosu Pascala w pytaniu Beto nki tutasala? „Co robimy?”

Nie słyszę tego jednak często. W naszej wiosce jest bardzo niewiele chłopców, którzy wspinaliby się na drzewa, żeby wybrać jajka z gniazd ptasich, albo dziewcząt, które defilowałyby drogą z małym braciszkiem niesionym na biodrze jak nadwymiarowa szmaciana lalka. Wszędzie zauważam ich nieobecność. Wojna poczyniła największe spustoszenia pos'ród dzieci do dziesiątego roku życia. Ta wielka, milcząca pustka powoli podchodzi do góry między nami. Wojna zostawia dziury nie tylko w tamach i drogach, które można naprawić.

Prowadzę lekcje z zasad żywienia, higieny i uprawy soi, dla kobiet, które z szacunkiem nazywają mnie Mama Ngemba i puszczają mimo uszu dziewięćdziesiąt procent tego, co im mówię. Naszym najtrudniejszym zadaniem jest nauczyć ludzi, aby liczyli na przyszłość: aby sadzili drzewa cytrusowe i kompostowali odpadki na nawóz. Z początku byłam zdezorientowana. Dlaczego ktoś miałby wzbraniać się przed czymś tak oczywistym, jak posadzenie drzewa owocowego czy użyczenie gleby? Jednak aby ludzie, którzy żyli jako uchodźcy dłużej, niż sięga pamięć, uwierzyli w cykl wegetacyjny, potrzebne jest coś zbliżonego do nawrócenia religijnego.

Powinam rozumieć. W dorosłych latach pędziłam równie koczownicze życie jak większość osób w naszej spółdzielni. Dopiero teraz, po dziesięciu latach uprawiania tej samej ziemi, zaczynam ogarniać rozmiary porażki cudzoziemców, którzy chcieli narzucić Afryce swoje obyczaje. To nie jest Bruksela, Moskwa czy Macon w stanie Georgia. Tutaj jest albo głód, albo powódź. Nie można niczego nauczyć innych, dopóki tego nie wiesz. Tropiki odurzają słodyczą jaśminu i powalają na ziemię ukąszeniem żmii, nie zostawiając miejsca na zaczerpnięcie tchu.

To wielki wstrząs dla dusz troskliwie wychowanych w umiarkowanym klimacie, umiarkowanej nadziei i umiarkowanym strachu.

Portugalczyki przeżyli taki szok, że zdarli z Konga bogate szaty i rzędami przykuli jego mieszkańców w ciemnościach galer. Potępili ich za brak upraw towarowych. Europejczycy nie potrafili sobie wyobrazić rozsądnego społeczeństwa, które nie podjęłoby tego kroku, i do tej pory trudno nam jest to sobie wyobrazić. W strefie umiarkowanej jest to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, aby obsiać pola falującym zbożem. Uprawiać je rok w rok, nie lękając się powodzi czy zarazy, w glebie strzelającej do góry zielonymi łodygami, które rok w rok kładą się pod kosę — chleb z kosza bez dna. Chrześcijanie mogli wymyślić przypowieść o bochnach chleba i rybach i uwierzyć w nią, ponieważ ich rolnicy mają pełne prawo spodziewać się wysokich plonów i wysyłać je do kwitnących miast, których mieszkańcy mogą przeżyć całe życie, nie wiedząc i nie interesując się tym, że z nasienia wyrasta roślina.

Tutaj każdy wie, co to są nasiona, albo umiera z głodu. Dżungla nie rodzi obfitości pokarmu, która pozwoliłaby wyżywić lud Boży, nie utrzymuje klasy próżniaczej. Brutalne deszcze wypłukują glebę z delikatnej czerwonej gliny. Karczowanie lasu deszczowego, aby posadzić rośliny jednoroczne, jest jak obdarcie zwierzęcia najpierw z futra, a potem ze skóry. Ziemia skowyczy. Uprawa roślin o rocznym cyklu wegetacyjnym świadczyłaby o irracjonalnym optymizmie. A nawet jeśli uda ci się zebrać plony, to przecież potrzeba drogi, aby je zawieźć do miasta! Udaj się w podróż lądową na tym kontynencie, a zapamiętasz sobie do końca życia, że droga w dżungli to słodkie, niespełnione marzenie. Gleba rozłazi się. Ziemia topnieje i tryska czerwoną cieczą jak paszcza wieloryba. Grzyby i kłacza okrywają kocem twarz martwej ziemi. Środkowa Afryka to rozwichrzona społeczność flory i fauny, która zdołała zachować razem równowagę na drżącej płycie tektonicznej przez dziesięć

milionów lat: jeśli wykarczujesz część tej płyty, reszta zsunie się w katastrofę. Być może ludzie będą mogli żyć tutaj szczęśliwie na dłuższą metę tylko pod

warunkiem, że powrócą do obyczajów dawnego Konga, będą podróżowali pieszo, uprawiali jedzenie blisko miejsca zamieszkania, używali swoich własnych narzędzi i tkanin blisko miejsca produkcji. Nie wiem. Aby żyć tutaj i wszystkiego nie zepsuć, potrzebne jest nowe rolnictwo, nowy rodzaj planowania, nowa religia. Jestem antymisjonarzem, jak powiedziała Ada, zaczynam każdy dzień od modlitwy o nawrócenie. „Przebacz mi, Afryko, wedle miłosierdzia swego”.

Gdybym mogła wyciągnąć rękę do przeszłości i dać ojcu w prezencie tylko jedną rzecz, to byłoby nią zwykłe, ludzkie uświadomienie, że można popełnić zło i żyć dalej. Biedny ojciec, jeden z milionów ludzi, którzy nigdy tego nie rozumieli. Wpoił we mnie wiarę w sprawiedliwość, a potem zalał mnie takim poczuciem winy, że nie życzyłam takich cierpień nawet moskitowi. Lecz ten jego wymagający, tyrański Bóg opuścił mnie na zawsze. Nie bardzo wiem, jak nazwać to, co zajęło jego miejsce. Chyba coś pokrewnego pasji brata Fowlesa, który poradził mi, abym zaufała Stworzeniu, które codziennie odradza się na nowo i nic nie traci podczas tego przeistoczenia. Wyroki tego Boga nie są szczególnie nieodgadnione. Słońce wschodzi tutaj i zachodzi dokładnie o szóstej. Gąsienica przemienia się motyla, a zielony heban wyrośnie tylko z nasienia zielonego hebanu. Ten nowy Bóg zsyła czasem suszę, a potem ulewne deszcze, i chociaż nie zawsze jest to po mojej myśli, nie czuję się też ukarana. Powiedzmy, że w ten sposób wynagradzana jest cierpliwość nasienia.

Grzechy moich ojców nie są bez znaczenia, ale idziemy dalej. Jak mówiła moja matka: „Tylko stojąca woda stoi w miejscu”. Poruszam rękami we dnie i w nocy, kiedy wracają malaryczne sny i wiele mil pode mną jest rzeka, balansuję wysoko nad wodą podczas tej nie kończącej się przeprawy, chcąc zachować równowagę. Pragnę się obudzić i budzę się. Budzę się w miłości, a moja skóra

czernieje od pracy w równikowym słońcu. Patrzę na moich czterech chłopców, którzy są koloru mułu, iłu, pyłu i gliny, nieskończona paleta dla dzieci, które są czymś odrębnym ode mnie, i rozumiem, że czas całkowicie wymazuje białość.

Ada Price

Atlanta

Ropucha może umrzeć od Światła! — ostrzegła nas Emily, wyglądając na ulicę pomiędzy zaciągniętymi zasłonami. Śmierć jest wspólnym prawem Ropuch i Ludzi. Czemu więc puszyć się jak paw?

Moi koledzy z medycyny oskarżali mnie o cynizm, ale głęboko się mylili. Jestem bezradnym dziecięciem porzuconym w lesie pod drzewem. W dniu, w którym złożyłam przysięgę Hipokratesa, włoski na karku stanęły mi dęba: czekałam, kiedy padnę rażona piorunem. Kimże ja byłam, żeby ślubować pośród tych wszystkich młodych mężczyzn w krawatach, iż będę wrywać życie z paszczy natury za każdym razem, gdy nadarzy się okazja i zapłacą mi za to? Ta przysięga zawsze wydawała mi się niebezpieczna, oplatała mi szyję razem ze słuchawkami. Nie mogłam zaakceptować tego kontraktu: że każde dziecko człowiecze na tej ziemi przychodzi na świat, ściskając w piąstce gwarancję doskonałego zdrowia i dożycia starości.

Utrata jednego życia: niemile widziana. Niemoralna? Nie wiem. Chyba zależy od tego, gdzie jesteś i co to była za śmierć. W naszej okolicy, gdzie siedzimy pośród tak olbrzymich zwałów zbędnych protein, że dodajemy je do ciastek dla psów i kotów, które odwdzięczają się nam, pilnując naszych pustych krzeseł; tutaj, gdzie płacimy wróżkom i akrobatom, aby pomogli nam stracić na wadze, tak, tutaj śmierć dziecka z głodu jest niemoralna. Ale są jeszcze inne miejsca na ziemi. Obawiam się, że widziałam trochę świata.



W świecie tym wytrzymałość ludzka jest ograniczona. Historia trzyma wszystkie rzeczy w równowadze, łącznie z wielkimi nadziejami i krótkimi żywotami. Kiedy Albert Schweizer szedł do dżungli, błogosławił mu Boże, zabrał ze sobą środki bakteriobójcze i potężne, zupełnie nowe przekonanie, że nikt nie powinien umierać młodo. Chciał ocalić każde dziecko, sądząc, że Afryka nauczy się wtedy mieć mniej dzieci. Lecz w sytuacji, gdy rodziny

wydawały na świat dziewięcioro dzieci w nadziei, że jedno przeżyje, nie potrafią się od tego odzwyczaić. Kultura jest strzałem z procy, w której gumkę naciągnęła przeszłość. Pociskiem, który polecą, nie będzie planowanie rodziny, lecz mała, twarda głowa dziecka. Przeludnienie doprowadziło do wytrzebiecia lasów na trzech czwartych powierzchni Afryki, co z kolei zaowocowało suszą, głodem i prawdopodobnym wymarciem wszystkich zwierząt najbardziej ukochanych przez dzieci i ogrody zoologiczne. Rywalizacja o zasoby naturalne nasila się, a pączkujące plemiona rwą się do tego, żeby się nawzajem pozabijać. Na każde życie ocalone dzięki szczepieniom lub pomocy żywnościowej przypada jedno zabrane przez głód i wojnę. Biedna Afryka. Żaden inny kontynent nie doświadczył takiej niewypowiedzianej dziwacznej kombinacji zagranicznego złodziejstwa i zagranicznej dobroczynności. Ze współczucia dla Diabła i Afryki porzuciłam zawód uzdrowiciela. Zostałam znachorem. Moim kościołem jest Wielki Rów Tektoniczny, która ciągnie się wzdłuż wschodniej granicy Konga. Nie chodzę do niego. Badam tylko jego kongregację.

Oto historia, w którą wierzę: Kiedy Bóg był dzieckiem, Wielki Rów był kotłem czarownic z najpotrzebniejszymi do życia składnikami i z tego kotła wyszli pierwsi ludzie na dwóch nogach. Mając swobodne ręce, wzięli w nie narzędzia i za ich pomocą wycięli sobie z buszu jedzenie, dach nad głową i wyrafinowany podział na dobro i zło. Stworzyli voodoo, najstarszą religię świata. Żyli w ścisłej symbiozie ze swoim środowiskiem naturalnym i łańcuchem pokarmowym. Oddawali cześć wszystkiemu, co żywe, i

wszystkiemu, co martwe, ponieważ voodoo traktuje śmierć jako towarzysza, a nie wroga ludzi. Szanuje równowagę między utratą i ocaleniem. To właśnie próbował mi kiedyś wytłumaczyć Nelson, kiedy czyściliśmy kurnik z kurzego łąjna. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, że słowo muntu z jednakową precyzją odnosi się do osoby żywej i martwej, lecz Nelson tylko wzruszył ramionami. Wszystko, co jest.

A zatem Bóg jest wszystkim. Bóg jest wirusem. Lepiej w to wierzyć, kiedyś ktoś się przeziębii. Bóg jest mrówką. W to też

lepiej wierzyć, bo wędrowne mrówki są opętane, zbiorowo, na miarę plagi biblijnej. Maszerują lasem i doliną kolumnami szerokimi na sto metrów i długimi na wiele mil, wyjadając sobie drogę przez Afrykę. Pożerają wszystko, co organiczne, nie ruszają mineralnego. Tego nauczyłyśmy się w Kilandze: zejdź im z drogi i podziękuj Bogu za posprzątaną dom. Po kilku dniach czarna brygada opuści wioskę — te mrówki nie potrafią się zatrzymać. Po powrocie znajdujesz swój dom wymieciony z gnijących okruszków, pościel odwieszoną, drewno na opał obrane z ekskrementów, kurniki uwolnione od kleszczy. Jeśli przez pomyłkę zapomniano zabrać jakieś dziecko w kołysce albo lamparta w klatce, zostanie po nim szkielet wyssany ze szpiku, czyściuteńki. Jednak dla tych, którzy gotowi są ustąpić na bok wyższej sile, wszystko jest w porządku. Utrata i ocalenie.

Afryka zna tysiąc sposobów na samooczyszczanie. Wędrowne mrówki, wirus Ebola, zespół nabytego braku odporności: są to wszystko miotły wymyślone przez naturę, aby dokładnie posprzątać niewielką polanę. Żadna z tych mioteł nie potrafi samodzielnie przepłynąć przez rzekę. Żadna nie potrafi przeżyć śmierci swego żywiciela. Pasożyt człowieka, który wytrzebiłby cały rodzaj ludzki, szybko ległby do grobu razem z nami. A zatem drapieżnik i ofiara idą w tym wyścigu łeb w łeb.

Jako nastolatka, która czytała w bibliotece medycznej książki o afrykańskich pasożytach, byłam zdumiona, jak szeroki jest wachlarz stworzeń, które mogą się zagnieździć w ludzkim ciele. W tym okresie wciąż jeszcze drżałam na myśl, że Bóg wstawi swe bosonogie lalki obojga płci do rajy, w którym właśnie spuścił ze smyczy słoniowaciznę i mikroby zjadające rogówkę oka. Teraz rozumiem, że Bóg nie kibicuje wyłącznie lalkom obojga płci. My i nasze robactwo wyrosliśmy razem z tej samej wilgotnej gleby Wielkiego Rowu Tektonicznego i na razie nie widać zwycięzcy. Pięć milionów lat to długie partnerstwo. Ktoś, kto potrafi na chwilę wyjść ze swej ukochanej skóry, aby spojrzeć na mrówkę, człowieka i wirus jako na równie przedsiębiorcze stworzenia, będzie podziwiał porozumienie, jakie zawarły ze sobą w Afryce.

Wróciwszy do swej skóry, będzie oczywiście wołał o lekarstwo. Warto jednak pamiętać: podróże lotnicze, drogi, miasta, prostytutka, zgromadzenie ludzi na rzecz sprawnego handlu — dla wirusa są to wszystko dary niebios. A raczej dary zagranicznych czarowników, przywiezione z daleka. Chcąc ocalić od chorób dzieci Afryki i wyrwać z piersi jej mineralną duszę, Zachód zbudował drogę do swych własnych drzwi i otworzył je na oścież zarazie.

Ropucha może umrzeć od Światła! Śmierć jest wspólnym prawem Ropuch i Ludzi- Czemu więc puszyć się jak paw? Moi koledzy oskarżają mnie o cynizm, ale ja jestem po prostu ofiarą poezji. Zakarbowalam sobie w pamięci wspólne prawa ropuch i ludzi. Nie mogłabym puszyć się jak paw. Nie mam tak pięknego ogona.

Moja praca polega na odkrywaniu perypetii życiowych wirusów i wydaje się, że jestem w tym bardzo dobra. Nie traktuję wirusów jak przedmiotu mojej pracy, lecz jako moich krewnych. Nie mam kotów ani dzieci, mam wirusy. Odwiedzam je codziennie w ich obszernych szklanych naczyniach i jak każda matka szczebioczę do nich, jestem uszczęśliwiona, kiedy się rozmnożą, i przyglądam im się szczególnie uważnie, kiedy zauważę jakieś dziwne

zachowania. Myślę o nich, kiedy mnie przy nich nie ma. Dokonałam ważnych odkryć na temat wirusów AIDS i Ebola. W rezultacie muszę się czasem pokazywać na publicznych imprezach, na których jestem wynoszona pod niebiosa jako zbawca publicznej służby zdrowia. To mnie zaskakuje. Nie jestem żadnym zbawcą. Na pewno nie jestem szalonym eksterminatorem, który chce wytepić diabelskie mikroby. Przeciwnie, podziwiam je. To jest tajemnica mojego sukcesu.

Prowadzę satysfakcjonujące i zwyczajne życie. Dużo pracuję i raz w miesiącu odwiedzam moją matkę na wyspie Sanderling. Lubię swoje pobyty u niej, które w większości upływają nam w milczeniu. Matka o nic mnie nie nagabuje. Chodzimy na długie spacery po plaży, ona patrzy na grzebiące w piasku piaseczniki, od których wyspa ta bierze swą nazwę. Czasami w połowie stycznia, jeśli wydaje się niespokojna, płyniemy promem na stały

ład i jedziemy samochodem nadbrzeżną szosą, zostawiając za sobą całe mile płaskich, niezamieszkanymi terenów porośniętych karłowatymi palmami, od czasu do czasu mijamy jakąś chatę z bali, przed którą stare, ciemnoskóre kobiety siedzą i plotą piękne koszyki z trawy. Późnym wieczorem czasami zjeżdżamy na nieutwardzony parking koło drewnianego kościoła i słuchamy starych, mrocznych hymnów Gullah\*, które płyną z okien. Nigdy nie wchodzimy do środka. Znamy swoje miejsce. Matka cały czas trzyma głowę zwróconą w stronę Afryki, zerka na ocean, jakby się spodziewała, że może znienacka wyschnąć.

Lecz podczas większości moich wizyt nigdzie nie jedziemy. Siedzimy na ganku albo ja patrzę, jak ona uprawia swoją małą dżunglę, obcina martwe liście, rozrzuca widłami gnój pod magnolie, mówi pod nosem. Mieszka na parterze jednego z tych betonowych pudeł osadzonych na mikropalach antysejsmicznych. Wyobrażam sobie, że takie mikropale wzmacniają przeciw

wstrząsam także moją matkę. Potrzebne byłoby coś tego rzędu, żeby się nie rozleciała.

Zamieszkuje swój świat, czekając przebaczenia, podczas gdy jej dzieci żyją w czterech różnych miejscach, które się o nas upomniały. Rachel obstawiła się zamkami, żeby zablokować wszystkie możliwe drogi do defenestracji. Lea niestrudzenie prze do przodu, chcąc naprawić świat. Ja jestem tą, która dokonuje podsumowań. Jednakowo wierzy we wszystkie stworzenia. Głęboko wierzy w prawo rośliny i wirusa do rządzenia światem. Matka mówi, że nie mam serca do przedstawicieli mego własnego gatunku. Myli się. Jestem za bardzo pobłażliwa. Wiem, czego się dopuściliśmy i na co zasługujemy.

Wciąż odczuwa skutki wielu chorób, którymi zaraziła się w Kongu, między innymi schistostomiazy, robaka gwinejskiego i przypuszczalnie gruźlicy. Kiedy wystawia język i pozwala mi, abym zajęła się jej pomniejszych dolegliwościami, widzę, że

\* Przypuszczalnie zniekształcone słowo „Angola”, określenie pieśni śpiewanych przez Murzynów zamieszkujących wyspy i wybrzeże Karoliny Południowej.

każdy z jej organów został w taki czy inny sposób nadwerężony. Lecz mijają lata, matka garbi się coraz bardziej i żyje dalej w swej coraz węższej przestrzeni. Nigdy nie wyszła powtórnie za męża. Jeśli ktoś ją zapyta, dlaczego, odpowiada: „Nathan Price jako małżonek zupełnie mi wystarczy”. Widzę, że to prawda. Jej ciało wiele lat temu zamknęło się na głucho w granicach jej kosztownej wolności.

Ja też nie wyszłam za męża, z innych powodów. Okazało się, że sławny neurolog-karierowicz chciał zostać moim kochankiem i na jakiś czas zdołał mnie zwabić do swojego łóżka. Powoli jednak zaświtało mi w mojej pijanej miłością czaszce: zaprosił mnie do alkowy dopiero po uruchomieniu programu,

który miał mnie zreperować! Obawiam się, że był pierwszym z szeregu mężczyzn, którzy musieli znosić burze śnieżne Ady.

Poddaję ich następującemu sprawdzianowi: wyobrażam ich sobie tam, w księżycowym blasku, który pada na ziemię kipiącą od mrówek. Którą wybierasz, tę, co krzywo chodzi, czy wcieloną doskonałość? Wiem, którą by wybrali. Każdy mężczyzna, który podziwia teraz moje ciało, zdradza poprzednią Adę. Tak to wygląda.

Czasami gram w szachy z jednym z kolegów, anachoretą tak jak ja, cierpiącym na zespół po chorobie Heine-Medina. Potrafimy spędzić ze sobą cały wieczór, nie mówiąc zdań dłuższych niż „szach i mat”. Czasami idziemy do restauracji w Atlanta Underground albo na film do kina, do którego można wjechać na wózku inwalidzkim. Lecz zgiełk zawsze nas przytłacza. Okazuje się, że pasja to rzeczywiście głównie sapanie, i to nieznośnie hałaśliwe. Po seansie zawsze musimy pojechać za miasto w stronę Sandy Springs albo Chattahoochee, gdziekolwiek, byle było płasko i pusto. Parkujemy samochód na czerwonej gruntowej drodze i znów oddajemy się we władanie milczenia i światła księżycy. Potem wracam do domu i piszę wiersze przy stole kuchennym, jak William Carlos Williams. Piszę o straconych siostrach, o Dolinie Wielkiego Uskoku i o swej bosonogiej matce, która mierzy ocean wzrokiem. Cały ten hałas w moim mózgu. Eksmituję go na papier, żeby umilkł.

Oczywiście dalej uwielbiam czytać. Teraz czytam inaczej, odkąd jestem zdrowa na umyśle, ale powracam do starych przyjaciół. Doliny Miski Cne: „To wszystko — to mój list do Świata. ..” Czy można sobie wyobrazić wers bardziej przypadający do serca melancholijnej nastolatce? Widziałam jednak tylko połowę, zignorowałam drugą stronę tego wiersza: „Proste Nowiny — wysławiane Łagodnie i dostojnie”. W domu matki znalazłam niedawno zakurzony egzemplarz Wierszy zebranych Emily Dickinson, z marginesami

bulwersująco pobazgranymi moimi starymi palindromami: Kap swe łyzy złe wspak! — zaskrzeczała ta druga Ada i zastanawiam się, o jakie zło mi chodziło.

Zużyłam tyle energii jako dziecko na czucie się zdradzoną. Przez świat w ogóle, a przez Leę w szczególności. Zdrada zginała mnie w jedną stronę, a poczucie winy w drugą. Zbudowałyśmy nasze życie na nieporozumieniu i gdybym spróbowała teraz wyrwać się z niego albo je naprawić, padłabym plackiem na ziemię. Nieporozumienie jest moim kamieniem węgielnym. Zresztą dotyczy to każdego, jak się nad tym zastanowić. Nasz świat wybrukowany jest złudzeniami, które bierzemy za prawdę. Nazywamy ten świat cywilizacją.

Ostatnio zaczęłam kolekcjonować stare książki ze słynnymi błędami drukarskimi. Można tam znaleźć mnóstwo zabawnych rzeczy. Zwłaszcza w Bibliach. Nigdy nie widziałam żadnego z tych oryginalnych wydań, ale w czasach, kiedy drukowało się znacznie mniej książek niż dzisiaj, w danym okresie rozpowszechnione było jedno wydanie Biblii i ludzie znali je na pamięć. Błędy stawały się bardzo znane. W Biblii stojących ryb rybacy musieli być bardzo zaskoczeni tym, że „ryby stały na brzegu od Engedi po Eneglaim”. Jest ich dziesiątki: Biblia melasy, Biblia niedźwiedzia, Biblia robaka, Biblia octu. W Biblii grzesznej Św. Jan wzywa wierzących, aby grzeszyli więcej, zamiast nie grzeszyli więcej!

Nie mogę się oprzeć tym cennym dziełom. Kazały mi się zastanowić, jaką Biblię napisał mój ojciec w Afryce. Przywieźliśmy tam ze sobą tyle nieporozumień, że nie wiem, które z nich

odcisnęły się na trwałe w pamięci ludzi. Ciekawe, czy przypominają sobie, jak stoi dumnie wyprostowany przed swymi wiernymi i woła: „Tata Jezus jest bangala!”

Bo ja mam go wyraźnie przed oczyma. Jesteśmy bilansem naszych cierpień i występków. Był moim ojcem. Mam w sobie połowę jego genów i całą

jego historię. Uwierzcie mi: pomyłki są częścią opowieści. Urodziłam się z człowieka, który sądził, że potrafi mówić tylko prawdę, lecz po wieczne czasy zostanie po nim Biblia jadowego drzewa.

## KSIEGA VII

### OCZY NA DRZEWACH

Ślizg brzucha na gałęzi. Paszcza rozdziawiona, koloru nieba. Jestem wszystkim, co tutaj istnieje. Oczy na drzewach nigdy nie mrugają. Prosisz mnie, swoją córkę siostrę u uniewinnienie, ale nie jestem małą bestią i nie mam powodu osądzać. Nie mam zębów i nie mam powodu. Jeśli czujesz, że coś gryzie twoje kości, to jesteś ty sama, twój głód.

Jestem muntu Afryka, muntu jedno dziecko i milion innych, wszystkie stracone jednego dnia. Jestem twoim niedobrym dzieckiem, które przemieniło się w dobre, bo kiedy dzieci umierają, mogą być tylko dobre. To jest coś, co na bardzo długą metę zyskałaś, jak również straciłaś. Matka płacze za tym, co pamięta, lecz pamięta ukochanego dzidziusia zabranego już przez czas i nie należy o to winić śmierci. Widzi bezgrzeszność, nietknięte królestwo, zabitego wielkiego przywódcę, wielką dziurę w kształcie dziecka, która robi się jeszcze większa i wspaniała. Ale to złudzenia. Dziecko mogło wyrosnąć na łajdaka lub dobroć wcieloną, ale najprawdopodobniej na osobę przeciętną. Popęłniłoby błędy, sprawiło ci ból, zjadło świat na jednego gryzą. Ty jednak wysyłasz nas do innego królestwa, gdzie nietknięte zmierzamy przez las, drzewa nie padają od ciosu siekierą wszystko jest takie, jakie nigdy być nie mogło.

Tak, wszystkie jesteście współwinowajczyniami nieszczęścia, i tak wszystkie pograżyłyśmy się w ruinie tak dziwnej, że trzeba ją nazwać innym imieniem. Nazwijcie ją muntu: wszystko, co jest.

Mamo, nie ruszaj się, posłuchaj. Widzę, że prowadzisz swoje



dzieci do wody i nazywasz to opowieścią o ruinie. Oto, co ja widzę: Po pierwsze, las. Drzewa niby muskularne zwierzęta przerośnięte ponad wszelką miarę. Liany duszą na śmierć swych bliskich w walce o światło słoneczne. Ślizg brzucha węża na gałęzi. Chór młodych pędów wyciąga szyje ze spróchniałych pniaków drzew, wysysa życie ze śmierci. Jestem sumieniem lasu, lecz pamiętaj, że ten las zjada sam siebie i żyje wiecznie.

Ścieżką w dole idą gęsiego kobieta i cztery dziewczynki, jasne paki skazane na pożarcie. Niebieskooka matka prowadzi je, rozcina dłońmi zasłony pajęczyn. Wydaje się, jakby dyrygowała symfonią. Za jej plecami najmniejsze dziecko zatrzymuje się, żeby odłamać szpic każdej gałęzi, której potrafi dosięgnąć. Lubi piekący, zielony zapach, który wydzielają zgniecione liście. Kiedy wyciąga rękę, aby zerwać liść, dostrzega pulchnego, pomarańczowego pajaka, który spadł na ziemię. Pająk leży na plecach, wystraszony, walczy o to, żeby stanąć na swych szcudłowatych nogach i pomknąć z powrotem do góry. Dziecko ostrożnie wysuwa stopę i rozgniata pajaka. Ciemna krew tryska na boki, przerażająco. Dziecko biegnie, by dogonić resztę towarzystwa.

Nad rzeką jedzą swój piknikowy prowiant, a potem przenoszą się w dół strumienia, aby powrzeszczyć sobie w chłodnej wodzie. Hałas płoszy młodego samca okapi. Zwierzę niedawno zaczęło zamieszkiwać terytorium na obrzeżu wioski. Gdyby nie przyszły dzisiaj dzieci, okapi wybrałby to miejsce. Pozostałby aż do drugiego miesiąca pory suchej, a potem zabiłby go myśliwy. Lecz dzisiejszy piknik wystraszył go, toteż roztropny instynkt popycha go głębiej w dżunglę, gdzie samiec znajduje partnerkę i dożywa końca roku. A wszystko dlatego. Gdyby matka i jej dzieci nie przyszły tego dnia ścieżką, podłamywane gałęzie urosłyby większe, a gruby pająk nie straciłby życia. Każde życie przebiega inaczej, dlatego że przeszłyście tędy i dotknęłyście historii. Nawet Ruth May dotknęła historii. Wszyscy są uwikłani. Okapi uwikłał się, bo przeżył, pająk — bo umarł. Gdyby mógł, to by żył.

Posłuchaj: bycie martwym nie jest gorsze od bycia żywym. Ale jest inne. Można powiedzieć, że widok jest rozleglejszy.

W inny dzień ta sama kobieta prowadzi swe dzieci przez targowisko. Ma teraz siwe włosy i tylko trzy córki. Żadna z nich nie utyka. Nie idą gęsiego, tak jak kiedyś. Jedna z córek często odłącza się od reszty, żeby podotykać bel płótna i porozmawiać z handlarkami w ich własnym języku. Jedna z córek niczego nie dotyka i przyciska pieniądze do piersi. Jedna z córek trzyma dłoń na ramieniu matki, steruje nią, żeby nie wpadła do brudnych kraterów w chodniku. Matka jest zgarbiona i widać, że bolą ją członki. Wszystkie kobiety są zaskoczone, że się tutaj znalazły, zaskoczone każda sobą i innymi. Nie były razem od śmierci tej piątej. Przybyły tutaj, aby pożegnać się z Ruth May, a przynajmniej tak twierdzą. Chcą znaleźć jej grób. W rzeczywistości jednak żegnają się ze swoją matką. Kochają ją niezmiernie.

Na targowisku wokół nich kłębi się tłum sprzedających i kupujących. Kobiety z wiosek szły piechotą przez wiele dni, żeby popatrzeć półprzymkniętymi oczami na ten miejski targ. Pieczołowicie ustawiają pomarańcze w piramidy, potem przykucają na chudych nogach i opierają kanciaste nadgarstki na kolanach. A kobiety z miasta, które zawijają się w pagnes tylko odrobinę inaczej, przychodzą potargować się o pożywienie dla swych rodzin. W nadziei obniżenia ceny obrzucają obelgami towary swych siostr, niczym denerwującymi, lecz nieszkodliwymi garściami żwiru. „Co za główne pomarańcze, w zeszłym tygodniu kupiłam lepsze za połowę tej ceny”. Kobieta sprzedająca pomarańcze sparowuje tę bzdurę ziewnięciem. Wie, że koniec końców każda potrzeba znajduje swój towar.

Matka i córki poruszają się jak olej przez przezroczyście-ciemny płyn tego tłumu, mieszają się z nim, a potem wyodrębniają. Zagraniczni goście są tutaj czymś rzadkim, lecz nie nieznanym. Półprzymknięte oczy śledzą je, rachując szanse. Mali chłopcy gonią za nimi z wyciągniętymi rączkami. Jedna z córek

otwiera torebkę i szuka monet, inna córka mocniej przyciska torebkę do piersi. Starsi chłopcy, niosący barwne sterty podkoszulków, gromadzą się i ciągną za nimi jak chmara much plujek. Wyskakują jeden przed drugiego, żeby zwrócić uwagę na swój towar, ale

goście nie zwracają na nich uwagi, pochylają się natomiast, aby obejrzyć drewniane rzeźby i biżuterię z paciorków. Chłopcy są zaskoczeni i hałaśliwie odpychają się nawzajem łokciami.

Wszystkie inne hałasy zagłusza muzyka, która wyje z wielu sklepów sprzedawców kaset. Muzyka ta jest tak znajoma, że nie wydaje się zagraniczna. Mali chłopcy, goście, wiejskie kobiety — wszyscy poruszają głowami w takt naprzężonych głosów trzech różnych piosenkarzy, popularnych wykonawców z Ameryki, których zgruchotani przodkowie, niewolni i szlochający, zostali zakuci w żelazne obręcze w ładowni statku, który zawinął do pobliskiego portu. Ich muzyka odbyła niezwykłą podróż tam i z powrotem. Fakt ten umyka uwagi wszystkich obecnych. Ten deszcz trzeba nazwać innym imieniem. Zamiast tego, co mogło być, jest to.

Kobieta i jej córki szukają czegoś, czego nie znajdują. Zamierzały odnaleźć drogę do Kilangi i do grobu siostry. Matka gorąco pragnie postawić na grobie tablicę pamiątkową. Coś jednak pokrzyżowało im plany: nie da się przekroczyć granicy. W ciągu tych sześciu miesięcy, przez które planowały podróż, Kongo ogarnęła wojna. Straszna wojna, lecz wszyscy wierzą, że wkrótce okaże się warta swej ceny. Jak tutaj powiadają, zgniłe mięso trzeba dobrze wygotować, żeby nadawało się do jedzenia. Po trzydziestu pięciu latach ten typ Mobutu uciekł nocą. Po trzydziestu pięciu latach śmierci klinicznej ta zamordowana ziemia wciąga powietrze do płuc, porusza palcami, czerpie życie ze swych rzek i lasów. Oczy na drzewach patrzą. Zwierzęta otwierają pyski i wypowiadają radosne, zaskakujące słowa. Matuzalem, zniewolona papuga, której ciało było

pożerane przez kolejne pokolenia drapieżników, wygłasza swoją deklarację niepodległości przez paszcze lampartów i cybetów.

W tym samym dniu o tej porannej godzinie Mobutu leży w łóżku w swej kryjówce. Zasłony są zaciągnięte. Jego oddech jest tak płytki, że prześcieradło na jego piersi nie podnosi się i nie opada: żadnych oznak życia. Rak zmiękczył jego kości. Ciało na dłoniach tak skłębło, że doskonale widać kości palców. Przybrały

kształt wszystkiego, co ukradł. Zrobił wszystko, co mu kazano, a nawet więcej. Teraz, w tym zaciemnionym pokoju, prawa ręka Mobutu opada. Ręka ta, która ukradła więcej niż jakakolwiek inna ręka w historii świata, zwisa bezwładnie obok łóżka. Ciężkie złote pierścienie zsuwają się do kłykci, a potem, po chwili wahania, spadają jeden po drugim. Uderzając o podłogę, wydają pić różnej wysokości dźwięków: niezwykła, krótka pieśń w starodawnej skali pentatonicznej. Kobieta w bieli podbiega do drzwi, sądząc nierozumnie, że schorowany prezydent zagrał piosenkę na kalimba. Na jego widok zakrywa usta dłonią.

Na zewnątrz zwierzęta wzdychają.

Wkrótce wieści dotrą do każdego miasta, by wtargnąć jak oddech lub kula do wszystkich piersi. Ciało generała Eisenhowera pożarte przez pokolenia drapieżników przemówi na głos. Ciało Lumumby, również pożarte, przemówi na głos. Na jakiś czas skowyt ten zagłuszy wszystko inne. Lecz teraz świat tkwi w tej niewielkiej, pustej przestrzeni, w której nikt jeszcze nie odebrał tej nowiny. Jeszcze przez moment życia ludzkie będą się toczyły dawnym biegiem. Na targowisku kupują, sprzedają i tańczą.

Matka i córki stają jak wryte na widok kobiety, którą chyba rozpoznają. To znaczy nie tyle kobietę, co jej sposób ubierania się i coś jeszcze. Jej życzliwość. Przechodzą przez ulicę i zbliżają się do niej, siedzi na chodniku

oparta plecami o chłodną północną ścianę. Na płachcie jasnego płótna leżą wokół niej setki maleńkich zwierząt wyrzeźbionych z drewna: słonie, lamparty, żyrafy. Okapi. Gromada maleńkich zwierząt w lesie niewidzialnych drzew. Matka i córki stoją i patrzą, sparaliżowane tym pięknem.

Kobieta jest mniej więcej w wieku córek, lecz dwa razy grubsza. Żółte pagne ma zawinięte dwa razy, a ozdobny gorset odsłania spory kawałek jej obfitych piersi. Głowę ma zakutaną w kolor nieba. Otwiera usta, uśmiecha się szeroko. *Achetez un cadeau pour votre fils*, wydaje im polecenie łagodnym tonem. W jej głosie nie ma ani śladu prośby. Zwija dłoń w miseczkę, jakby niosła w niej wodę lub ziarno, i wskazuje na miniaturowe, doskonale wierne żyrafy i słonie. Wykorzystała już cały swój

zasób francuskich zdań, toteż bez skrępowania mówi teraz w kikongo, jakby nie istniał na świecie żaden inny język. To miasto leży daleko od regionu, w którym używa się tego języka, lecz kiedy jedna z córek odpowiada w kikongo, kobieta nie wygląda na zaskoczoną. Gawędzą o swoich dzieciach. Wszyscy są za starzy na zabawki, *a bu*. W takim razie dla wnuków, nie poddaje się kobieta, więc po dalszych naradach wybierają trzy słoniki z kości słoniowej dla dzieci dzieci. Płaci za nie prababcia, Orleanna. Przygląda się garści obcych monet, a potem podaje je wszystkie handlarce. Kobieta zręcznie wyłuskuje te, które trzeba, a potem wciska Orleannie w dłoń podarunek: maleńkiego drewnianego okapi, idealnie wyrzeźbionego. *Pour vous, madame*, mówi. *Un cadeau.*

Orleanna wkłada do kieszeni ten mały cud, jak to robiła przez całe życie. Córki stoją już odwrócone bokiem, ale nie mają ochoty iść dalej. Życzą kobiecie pomyślności i pytają, czy pochodzi z Konga. Oczywiście, mówi, *a bu*, żeby handlować na targowisku, musi przejść pieszo dwieście kilometrów. Czasami, jeśli się jej poszczęści, jedzieza opłatą ciężarówką. Ostatnio jednak, kiedy nie ma

czarnego rynku, niewielu commercants przekracza granicę, więc będzie o to trudno. Może zająć jej miesiąc, zanim wróci do rodziny w Bulungu.

Bulungu!

Ee, mono imwesi Bulungu.

Nad rzeką Kwilu ?

Ee — oczywiście.

Miała pani ostatnio jakieś wieści z Kilangi?

Kobieta marszczy uroczo brwi, nie potrafiąc sobie przypomnieć takiej miejscowości.

One upierają się: Ależ na pewno tak. Teraz Lea dalej prowadzi rozmowę, w kikongo, wyjaśnia jeszcze raz. Może nazwa została zmieniona w ramach authenticite, chociaż nie wiadomo, po co miano by to robić. Następna wioska w dół rzeki, tylko dwa dni na piechotę drogą, która biegnie przez Bulungu. Wioska Kilanga! Wiele lat temu była tam misja amerykańska.

Nie, mówi kobieta, nie ma takiej wioski. Droga kończy się w Bulungu. Tam jest tylko bardzo gęsta dżungla, mężczyźni chodzą tam robić węgiel drzewny. Jest tego najzupełniej pewna. Nigdy nie było żadnej wioski przy drodze, która przechodzi przez Bulungu.

Powiedziawszy wszystko, co należało powiedzieć, kobieta zamyka oczy, aby odpocząć. Pozostałe rozumieją, że trzeba się oddalić, odejść od tej kobiety i jej siły woli, pamiętają ją jednak podczas dalszej wędrówki. Przypomną sobie, jak wyciągnęła rękę, jakby była pełna. Siedząc na rozłożonym na chodniku płótnie, była handlarką matką kochanką pustkowiec dla siebie samej. Czymś znacznie więcej niż handlarką. Ale nie mniej.

Przed nimi mały chłopiec tańczy na ulicy z radiem przy uchu. Jest wzrostu Ruth May, kiedy po raz ostatni widziano ją żywą. Orleanna patrzy na dołki z tyłu jego kolan, które zginają się jak u małych dzieci, i zaczyna jeszcze raz — ile razy matka musi to robić? — zaczyna obliczać, ile miałabym teraz lat.

Lecz ten raz będzie już ostatni. Tym razem, zanim twój mózg zdąży obliczyć odpowiedź, ja powędruję ulicą z tym chłopcem, tańcząc do afrykańskiej muzyki, która odeszła i wróciła zmieniona. Drewniane zwierzątko w twojej kieszeni uspokoi twoje palce, które po prostu szukają czegoś, czego mogłyby dotknąć. Mamo, możesz iść dalej, lecz wybacz wybacz wybacz dopóki dopóki obie będziemy żyły, wybaczam ci, mamo. Zwrócą serca ojców dzieciom i serca dzieci ojcom. Kości twych zębów są twoje własne, własny jest twój głód, twoje przebaczenie. Grzechy ojców należą do ciebie, do lasu, a nawet do ludzi w żelaznych obręczach, a ty stoisz tutaj i przypominasz sobie ich pieśni. Słuchaj. Zsuń ciężar z barków i idź dalej. Boisz się, że możesz zapomnieć, ale nigdy nie zapomnisz. Przebaczysz i będziesz pamiętała. Pomyśl o pnączu wijącym się do góry z małego, kwadratowego kawałka ziemi, która kiedyś była moim sercem. To jest jedyna tablica nagrobna, jakiej potrzebujesz. Idź dalej. Idź ku światłości.

## BIBLIOGRAFIA

Achebe Chinua, *Things Fall Apart*, Doubleday, New York 1959.

Boivin Michael, *The Accidental Anthropologist*, Spring Arbor College Press, Spring Arbor, Mich., 1995.

Clark Dora Jane Armstrong, *Congo Trails*, Vantage Press, New York 1961.

Conrad Joseph, *Jądro ciemności*, przeł. Aniela Zagórska, SEN, Warszawa 1991.

Dugauquier D.P., *Congo Cauldron*, Jarrolds, London 1961.

Forbath Peter, *The River Congo*, Houghton Mifflin, Boston 1977.

*Guide du Voyageur au Congo Belge et au Ruanda-Urundi*, edite par L'Office du Tourisme du Congo Belge et du Ruanda-Urundi, Bruxelles 1954.

Heinz G. i Donnay H., *Lumumba: The Last Fifty Days*, Grove, New York 1969.

Jahn Janheinz, *Muntu: African Culture and the Western World*, przeł. Marjorie Grene, Grove Weidenfeld, New York 1958.

Joris Lieve, *Back to the Congo*, przeł. Stacey Knecht, Macmillan, London 1987.

Kalb Madeleine G., *The Congo Cables*, Macmillan, New York 1982.

Kingsley Mary, *Travels in West Africa*, Orion, London 1897.

Kwitny Jonathan, *Endless Enemies: The Making of an Unfriendly World*, Congdon & Weed, New York 1984.

Laman K.E., *Dictionnaire Kikongo-Francaise*, Bruxelles 1936.

Livingstone David, *Thirty Years' Adventures and Discoveries of Dr. David Livingstone and the Herald-Stanley Expedition*, Hubbard Bros., Philadelphia 1872.

Merriam Alan P., *Congo: Background of Conflict*, Northwestern University, Evanston 1961.

Meyers Margaret, *Swimming in the Congo*, Milkweed, Minneapolis 1995.

Schweitzer Albert, *On the Edge of the Primeval Forest*, A. and C. Black, London 1921.



Smith Alexander McCall, *Children of Wax: African Folk Tales*, Interlink Books, New York 1991.

Some Malidonna Patrice, *Of Water and the Spirit: Ritual, Magie, and Initiation in the Life of an African Shaman*, G.P. Putnam, New York 1994.

Stanley H.M., *A Trawers le Continent Mysteriewc, le Tour du Monde: Nouveau Journal des Voyages*, vol. XXXVI, no. 913, 1874-1877, texte et dessins inedits.

U.S. Congress, Senate Select Committee to Study Governmental Operations with Respect to Intelligence Activities, Frank Church, chair, final report of Select Committee, United States Senate. *Congressional Record*, 1976.

Visser John i Chapman David S., *Snakes & Snakebite: Venomous Snakes and Management of Snakebite in Southern Africa*, Purnell, Capetown 1978.

Wagner Michael R., *Forest Entomology in West Tropical Africa: Forest Insects of Ghana*, Dordrecht, Kluwer Academic Publishers, Boston 1991.

Weissman Stephen R., *The CIA Covert Action in Zaire and Angola*, „*Political Science Quarterly*”, summer 1979.

Williams John G., *A Field Guide to the Birds of East and Central Africa*, Houghton Mifflin, Boston 1964.

Williams John G., *A Field Guide to the Butterflies of Africa*, Houghton Mifflin, Boston 1969.

Winternitz Helen, *East Along the Equator: A Journey Up the Congo and into Zaire*, Atlantic Monthly Press, New York 1987.

SPIS TREŚCI

Nota od autorki

7

Księga I. Genesis	9	
Rzeczy, które zabrałyśmy ze sobą		15
Księga II. Apokalipsa św. Jana	86	
Czego się nauczyłyśmy	99	
Księga III. Księga Sędziów	184	
Rzeczy, których nie wiedziałyśmy		196
Księga IV. Bel i wąż	303	
Co straciłyśmy	311	
Księga V. Exodus	359	
Co zabrałyśmy ze sobą	364	
Księga VI. Pieśń trojga dzieci	489	
Księga VII. Oczy na drzewach	512	
Bibliografia	519	